

AUTOR NAJLEPSZYCH POWIEŚCI
SZPIEGOWSKICH WSZECH CZASÓW

Daniel Silva

Czarna wdowa



Daniel Silva

Czarna wdowa

Tłumaczenie:

Barbara Budzianowska-Budrecka

*Czarne flagi nadciągną ze Wschodu na ramionach
mocarnych mężów, długowłosych i długobrodych. A imiona
swe wezmą od rodzimych miast.*

hadis

*Dajcie mi jakąkolwiek dziewczynkę w okresie największej
chłonności, a jest moja do końca życia.*

Muriel Spark „Pełnia życia panny Brodie”, przeł. Zofia Uhrynowska, PIW
1972

Część pierwsza

RUE DES ROSIERS

1

Marais, Paryż

To Tuluza przyczyniła się do jej zguby. Tego wieczoru Hannah Weinberg zadzwoniła do Alaina Lamberta z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, mówiąc, że tym razem naprawdę trzeba coś zrobić. Alain obiecał, że niezwłocznie podejmie działania, co zabrzmiało jak wykręt urzędnika, który w rzeczywistości nie zamierza robić nic. Nazajutrz rano w miejscu napaści zjawił się sam minister i wygłosił ogólnikowy apel, wzywając do „dialogu i porozumienia”. Rodzicom trzech ofiar miał do zaofiarowania jedynie wyrazy współczucia.

- Dołożymy wszelkich starań, by położyć kres podobnym incydom - zapewnił przed pospiesznym powrotem do Paryża. - To nasz obowiązek.

Ofiarą ataku padły żydowskie dzieci - dwaj dwunastoletni chłopcy i dziewczynka - choć w pierwszych doniesieniach media nie wspomniały o ich pochodzeniu. Nie pofatygowały się również, by wskazać na muzułmańską tożsamość sześciu napastników. Ograniczyły się do stwierdzenia, że są to młodzi ludzie z przedmieścia, banlieu leżącego na wschód od centrum miasta. Opis wydarzeń był też niedokładny, by nie powiedzieć mylący. Wedle francuskiego radia przed wejściem do piekarni wybuchła kłótnia. Trzy osoby zostały ranne, jedna poważnie. Policja wszczęła śledztwo, ale nikogo nie aresztowano.

W rzeczywistości nie była to kłótnia, lecz zręcznie przygotowana zasadzka, a grupa napastników nie składała się z nieletnich. Tworzyli ją ponaddwudziestoletni mężczyźni, którzy wybrali się do centrum Tuluzy, by atakować Żydów. To, że ofiarą padły dzieci, nie miało dla nich znaczenia. Dwóch chłopców skopali, opluli i pobili do krwi. Rzuconej na chodnik dziewczynce pocięli twarz nożem. Przed ucieczką odwrócili się do osłupiałych przechodniów, skandując po arabsku: „Chajbar, Chajbar, ja-Jahud!”^[1]. Świadkowie zajścia nie mieli pojęcia, że napastnicy odwołują się do wydarzenia z siódmego wieku, kiedy to muzułmanie dokonali rzezi mieszkańców żydowskiej oazy Chajbar w pobliżu świętego miasta Medyny. Przekaz był nader czytelny. Członkowie bandy zapowiadali, że armia Mahometa gotuje się do ataku na Żydów zamieszkujących Francję.

Napad w Tuluzie nie był niestety wydarzeniem bezprecedensowym i zaskakującym. Od czasów Holokaustu Francja nie pamiętała podobnej eskalacji przemocy wobec Żydów. W synagogach podkładano bomby, bezczeszczono cmentarze, rabowano sklepy i demolowano domy, a mury żydowskich osiedli pokrywano graffiti z pogrózkami. Łącznie odnotowano ponad cztery tysiące antyżydowskich ataków w ciągu zaledwie roku. Każdy z nich opisano i starannie zbadano, a dokonał tego Ośrodek Studiów nad Antysemityzmem we Francji pod kierownictwem Hannah.

Ośrodek imienia jej dziadka ze strony ojca, Izaaka Weinberga, został otwarty przed dziesięcioma laty pod ścisłą ochroną służb bezpieczeństwa. Obecnie był najbardziej

prestżową instytucją tego typu we Francji, zaś Hannah Weinberg uchodziła za nadzwyczaj rzetelnego kronikarza nowej fali budzącego się w kraju antysemityzmu. Zdaniem jej zwolenników była „strażnikiem pamięci”, osobą niezłomnie walczącą o to, by Francja zapewniła bezpieczeństwo zagrożonej mniejszości swych żydowskich obywateli. Opinie jej przeciwników brzmiały znacznie mniej pochlebnie, toteż Hannah od dawna już nie czytała komentarzy zamieszczanych na jej temat w prasie i w internecie.

Centrum Weinberga mieściło się przy ulicy des Rosiers, największej w przeważająco żydowskiej dzielnicy miasta. Hannah mieszkała tuż za rogiem, przy rue Pavée. Na liście lokatorów przy numerze jej mieszkania widniało jednak: „Mme Bertrand”. Był to zabieg podjęty przez nią w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Mieszkała sama wśród pamiątek po trzech pokoleniach rodziny, w tym skromnej kolekcji obrazów oraz kilkuset par staroświeckich okularów, które stanowiły jej sekretną namiętność. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat była niezamężna i bezdzietna. Od czasu do czasu, gdy pozwalała jej na to praca, miewała kochanków. Alain Lambert, jej kontakt w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, był miłą formą relaksu w szczególnie trudnym okresie antyżydowskich incydentów. Po wizycie swego szefa w Tuluzie późnym wieczorem zadzwonił na jej domowy telefon.

- Tak skończyły się zdecydowane działania - skomentowała cierpko. - Powinien się wstydzić.

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

- Wasze wszystko to mniej niż nic.
- W dzisiejszych czasach lepiej nie dolewać oliwy do ognia.
- To samo mówili latem czterdziestego drugiego roku.
- Nie dajmy się ponieść emocjom.
- Zmuszacie mnie do wydania oświadczenia, Alain.
- Postaraj się ostrożnie dobierać słowa. Tylko my was od nich oddzielamy.

Hannah odłożyła słuchawkę, a potem wysunęła górną szufladę biurka i wyjęła z niej klucz. Otwierał drzwi w głębi korytarza, gdzie znajdował się pokój dziecinny – jej dawny pokój, w którym czas się zatrzymał. Łóżko z baldachimem przykryte koronkową narzutą, półki pełne zabawek i pluszowych zwierzątek, wyblakła podobizna uwielbianego ongiś amerykańskiego aktora. A nad prowincjonalną francuską komódką pogrążony w mroku obraz Vincenta van Gogha „Marguerite Gachet przy toaletce”. Przesunęła palcem po śladach pędzla, myśląc o człowieku, który dokonał ostatniej i jedynej renowacji tego dzieła. Jak by się zachował w takiej sytuacji? Nie, pomyślała z uśmiechem. To na nic.

Położyła się na swym dziecinnym łóżku i, o dziwo, zapadła w głęboki sen. A gdy się ocknęła, zaczęła układać plan.

* * *

Przez większą część kolejnego tygodnia Hannah i jej zespół pracowali w ścisłej konspiracji. Skutecznie wywierano naciski, dyskretnie pozyskiwano potencjalnych uczestników i sponsorów. Ale dwaj pewni dotąd ofiarodawcy zawiedli, podobnie jak minister spraw wewnętrznych, wychodząc

z założenia, że nie należy *jeter de l'huile sur le feu* – dolewać oliwy do ognia. W tej sytuacji Hannah musiała sięgnąć do własnych zasobów. Było to możliwe, gdyż posiadała pokaźne środki, co oczywiście podsycalo jeszcze niechęć wrogów. No i wreszcie pozostawała kwestia nazwy dla tej inicjatywy. Rachel Lévy z działu reklamy uważała, że należy unikać tonu konfrontacji, ale Hannah miała inne zdanie.

- Gdy płoną synagogi – oznajmiła – ostrożność jest luksusem, na który nas nie stać.

Chciała wszcząć głośny alarm, nawoływać do działania. Pospiesznie skreśliła kilka słów na kartce z notatnika i rzuciła ją na zagracone biurko Rachel.

- To powinno ich zachęcić.

Do tej pory żadna z osób odgrywających jakąkolwiek rolę nie zgłosiła chęci udziału w konferencji. Wyraził ją jedynie pewien nachalny amerykański bloger oraz komentator telewizji kablowej, który przyjąłby zaproszenie nawet na własny pogrzeb. Nagle jednak Arthur Goldman, wybitny historyk antysemityzmu z Cambridge, oświadczył, że gotów jest wybrać się do Paryża, oczywiście pod warunkiem, że Hannah zapewni mu dwudniowy pobyt w jego ulubionym apartamencie w hotelu Crillon.

Wykorzystując Goldmana na przynętę, w ślad za nim zdołała ściągnąć Maxwella Straussa z Yale, który nigdy nie pomijał okazji, by wystąpić tam, gdzie rywal. Dzięki temu szybko pojawili się inni. Zgłosił się dyrektor amerykańskiego Muzeum Pamięci Holokaustu, dwóch ważnych biografów Zagłady oraz ekspert z Yad Vashem. Wystosowano również zaproszenie do

pewnej powieściopisarki, bardziej z racji jej ogromnej popularności niż wiedzy historycznej, a także do radykalnie prawicowego polityka francuskiego, który rzadko wyrażał się o kimkolwiek przychylnie. Nie pominięto przy tym muzułmańskich liderów duchowych i politycznych, ale żaden nie przyjął zaproszenia. Podobnie jak minister spraw wewnętrznych, o czym poinformował Hannah osobiście Alain Lambert.

- Czy naprawdę sądziłaś, że weźmie udział w konferencji o tak prowokacyjnym tytule?

- Boże broń, żeby twój szef kiedykolwiek zrobił coś podobnego.

- A co z waszym bezpieczeństwem?

- Zawsze sami musieliśmy się o nie troszczyć.

- Tylko nie bierz Izraelczyków, Hannah. To nie zapewni tej sprawie przychylniej atmosfery.

Nazajutrz Rachel Lévy wydała komunikat prasowy. Zaproszono na konferencję media, a niewielką liczbę miejsc przeznaczono dla publiczności. Kilka godzin później na ruchliwej ulicy w dzielnicy XX jakiś ortodoksyjny Żyd został zaatakowany i ciężko zraniony przez mężczyznę z siekierą. Napastnik przed ucieczką wymachiwał zakrwawionym narzędziem, wrzeszcząc:

- Chajbar, Chajbar, ja-Jahud!

Jak poinformowano, policja wszczęła w tej sprawie dochodzenie.

* * *

Zarówno z powodu pośpiechu, jak i ze względów bezpieczeństwa konferencja miała się odbyć zaledwie pięć dni po wydaniu ogłoszenia prasowego. Hannah do ostatniej chwili zwlekała z przygotowaniem mowy wstępnej. Wieczorem przed otwarciem spotkania, siedząc sama w domowej bibliotece, gniewnie zapełniała piórem żółte kartki biurowego notesu. Uznała to za odpowiednie miejsce dla tej pracy. Biblioteka należała kiedyś do jej dziadka Izaaka. Urodzony w Polsce na Lubelszczyźnie wyjechał do Paryża w 1936 roku, cztery lata przed wkroczeniem tam wojsk Wehrmachtu. Rankiem 16 lipca 1942 roku, w dniu zwanym później *Jeudi Noir*, Czarnym Czwartkiem, funkcjonariusze francuskiej policji wyposażeni w pliki błękitnych kart deportacyjnych aresztowali Izaaka Weinberga wraz z żoną, a także blisko trzynaście tysięcy Żydów obcego obywatelstwa. Nim rozległo się złowieszcze pukanie do drzwi, Izaak zdążył ukryć swego jedynego syna, chłopca o imieniu Marc, oraz obraz van Gogha. Marc Weinberg przeżył wojnę w ukryciu i w 1952 roku zdołał odzyskać mieszkanie na rue Pavée zasiedlone po Czarnym Czwartku przez rodzinę francuską. Obraz, co graniczyło wręcz z cudem, znajdował się tam, gdzie schował go Izaak, a mianowicie pod deskami podłogi w miejscu, gdzie stało biurko, przy którym siedziała teraz Hannah.

Trzy tygodnie od dnia aresztowania Izaak Weinberg wraz z żoną zostali deportowani do Auschwitz i tuż po przybyciu do obozu zgładzeni w komorze gazowej. Byli zaledwie dwojgiem spośród siedemdziesięciu pięciu tysięcy Żydów wywiezionych z Francji i zamordowanych w niemieckich obozach śmierci.

Ich zagłada pozostawiła nieusuwalny ślad hańby na kartach francuskiej historii. Czy może się to powtórzyć? Czy nadszedł czas, by czterysta siedemdziesiąt pięć tysięcy Żydów zamieszkujących Francję, trzecia największa żydowska społeczność na świecie, kolejny raz musiała gotować się do ucieczki?

Takie pytanie Hannah zawarła w tytule konferencji. Wielu członków jej społeczności opuściło już Francję. W ubiegłym roku piętnaście tysięcy emigrowało do Izraela i co dzień wyjeżdżali następni. Ona jednak nie zamierzała do nich dołączyć. Niezrażona przejawami wrogości uważała się przede wszystkim za Francuzkę, a dopiero potem za Żydówkę. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby mieszkać gdzie indziej niż w dzielnicy IV. Niemniej uważała za swój obowiązek ostrzec współbraci przed nadciągającym sztormem. Nie było to jeszcze śmiertelne zagrożenie, ale gdy płonie dom, pisała, należy szukać najbliższego wyjścia.

Skończyła przed północą. Po przeczytaniu brudnopisu uznała jednak, że ton wypowiedzi jest zbyt ostry, a nawet gniewny. Złagodziła nieco agresywną formę, wzbogacając zarazem tekst o pewne przygnębiające dane statystyczne na poparcie swoich racji. W końcu przepisała wszystko na laptopie, wydrukowała i około drugiej w nocy zdołała zasnąć. Budzik zbudził ją o siódmej rano. Pijąc duży kubek kawy z mlekiem, powlokła się pod prysznic. Potem w płaszczu kąpielowym usiadła przed toaletką, przypatrując się w lustrze swojej twarzy. Kiedyś ojciec w chwili brutalnej szczerości stwierdził, że wprawdzie Bóg szczerze obdarzył jego

jedynaczkę rozumem, to niestety poskąpił jej urody. Miała ciemne kręcone włosy z nitkami siwizny, której nie zamierzała ukrywać, wydatny orli nos i brązowe, szeroko rozstawione oczy. Nie była to twarz piękna, ale nikt nie mógłby przypisać jej tępoty. Pomyślała, że w takiej chwili jak ta jej wygląd stanowi atut.

Lekko się upudrowała, by ukryć cienie pod oczami, i uczesała się staranniej niż zwykle. Szybko włożyła ciemną wełnianą spódnicę, sweter, ciemne pończochy i pantofle na płaskim obcasie. Potem ruszyła schodami na dół, przecięła wewnętrzne podwórze, lekko uchyliła główne drzwi budynku i wyjrzała na ulicę. Było kilka minut po ósmej. Paryżanie i turyści spieszenie przesuwali się chodnikiem pod szarym wczesnowiosennym niebem. Wyglądało na to, że nikt nie czyha na pięćdziesięciokilkuletnią kobietę o inteligentnej twarzy, która wychodziła z budynku numer dwadzieścia cztery.

Ruszyła więc przed siebie, minęła rzędy eleganckich butików z odzieżą i weszła w rue des Rosiers. Przez pierwszych kilka kroków sprawiała ona wrażenie zwykłej paryskiej ulicy w jednej z lepszych dzielnic miasta. Wkrótce jednak, gdy ukazały się koszerna pizzeria oraz kilka stoisk z falafelami, nad którymi widniały hebrajskie napisy, ujawnił się jej prawdziwy charakter.

Hannah wyobraziła sobie, jak wyglądał tu poranek *Jeudi Noir*. Bezradny tłum zatrzymanych, którzy stłoczeni w otwartych ciężarówkach kurczowo przyciskali do siebie jedyną walizkę, do której dano im prawo. Sąsiedzi w otwartych oknach, jedni milczący i zawstydzeni, inni

niekryjący radości z nieszczęścia znieawidzonej mniejszości. Nie mogła się uwolnić od tego obrazu - wciąż widziała paryżan, którzy z radością zegnali Żydów skazanych na śmierć, gdy szła w rozproszonym świetle poranka, rytmicznie stukając obcasami w płyty chodnika.

Centrum Weinberga znajdowało się w cichym miejscu przy końcu ulicy, w trzypiętrowym budynku, gdzie przed wojną mieściła się redakcja gazety wychodzącej w jidysz oraz fabryka płaszczy. Przed drzwiami tłoczyły się dziesiątki osób, a dwaj ochroniarze w ciemnych garniturach, młodzi mężczyźni niewiele po dwudziestce, starannie sprawdzali każdego, kto chciał wejść do środka. Hannah przemknęła obok i ruszyła na górę do sali recepcyjnej dla VIP-ów.

Arthur Goldman i Max Strauss przyglądali się sobie czujnie z przeciwległych krańców pomieszczenia, sącząc z filiżanek słabą kawę *américain*. Słynna powieściopisarka poważnie rozmawiała z jednym z pamiętnikarzy, a szef Muzeum Holokaustu wymieniał uwagi ze swym starym znajomym z Yad Washem. Jedynie nachalny amerykański komentator nie znalazł partnera do rozmowy. Nakładał sobie na talerz stertę brioszek i croissantów, jakby od wielu dni nie widział jedzenia.

- Nie denerwuj się - rzuciła Hannah z uśmiechem. - Zamierzamy zrobić przerwę na lunch.

Porozmawiała przez chwilę z każdym z uczestników panelu dyskusyjnego, po czym skierowała się przez hol do swego gabinetu. W samotności ponownie zaczęła czytać uwagi wstępne, aż w końcu Rachel Lévy wsunęła głowę w drzwi, wymownie wskazując na zegarek.

- Jest dużo osób? - spytała Hannah.
- Więcej niż możemy zmieścić.
- A media?
- Są wszystkie, w tym „New York Times” i BBC.

W tym momencie rozległ się sygnał komórki. Wiadomość od Alaina Lamberta z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Czytając, Hannah zmarszczyła brwi.

- O co chodzi? - spytała Rachel.

- Och, cały Alain. - Hannah odłożyła telefon na biurko, zebrała kartki i ruszyła do wyjścia. Rachel czekała, aż zamkną się za nią drzwi, po czym podniosła komórkę i wpisała dobrze jej znane hasło. Wiadomość od Alaina składała się czterech słów.

„Bądź ostrożna, moja droga...”

* * *

Centrum Weinberga miało trochę za mało przestrzeni na prawdziwą salę audytoryjną, ale pokój na najwyższym piętrze był jednym z najpiękniejszych w Marais. Z olbrzymich okien roztaczał się wspaniały widok na dachy Paryża i Sekwanę, a na ścianach wisiały duże czarno-białe fotografie upamiętniające życie, które kwitło w tej dzielnicy, nim nadszedł *Jeudi Noir*. Wszyscy zatrzymani w kadrze fotografa zginęli w czasie Zagłady, wśród nich Izaak Weinberg, uwieczniony na tle swej biblioteki trzy miesiące przed tragicznym końcem.

Przechodząc obok podobizny dziadka, Hannah przesunęła palcem wskazującym po powierzchni zdjęcia, tak jak muskała ślady pędzla na obrazie van Gogha. Jedynie ona знаła tajemny

związek między obrazem, swoim dziadkiem i ośrodkiem jego imienia. Nie, uświadomiła sobie nagle. To nieprawda. Znał go również konserwator dzieła.

Długi prostokątny stół ustawiono na podium przed oknami, a na podłodze niżej dwieście krzeseł w żołnierskim szyku. Wszystkie były zajęte, a pod ścianami tłoczyło się jeszcze ze sto osób.

Hannah zajęła miejsce, rozdzielając Goldmana i Straussa. Czekala teraz, aż na prośbę Rachel obecni przycisną telefony komórkowe. Gdy w końcu mogła już mówić, włączyła mikrofon i spojrzała na pierwszą linijkę tekstu.

- To narodowa tragedia, że podobna konferencja ma rację bytu... - Wtem na ulicy w dole rozległ się jakiś hałas, jakby trzask odpalonej petardy, i niemal jednocześnie głos mężczyzny wołający po arabsku:

- Chajbar, Chajbar, ja-Jahud!

Zeszła z podium i podbiegła do wysokich okien.

- O Boże! - wyszeptała.

Odwracając się, krzyknęła do dyskutantów przy stole, by odsunęli się od okien, ale jej słowa pochłonał huk wybuchu. Pokój w jednej chwili przemienił się w tornado wirujących odłamków szkła, cegieł, zdruzgotanych krzeseł, strzępów odzieży i ludzkich członków. Hannah czuła, że leci do przodu, choć nie wiedziała, czy wznosi się, czy opada. W pewnej chwili zdawało jej się, że widzi Rachel Lévy wirującą w powietrzu jak primabalerina. A potem Rachel zniknęła podobnie jak wszystko inne.

W końcu Hannah znieruchomiała. Leżała na plecach, a może

na boku. Może na ulicy, a może w grobowcu z cegieł i betonu. Osaczała ją straszliwa cisza. Dławił dym i pył. Chciała strzepnąć piach z oczu, ale prawa ręka odmówiła jej posłuszeństwa. Wtedy uświadomiła sobie, że nie ma prawej ręki. A także, jak się zdawało, prawej nogi. Lekko obróciła głowę i zobaczyła, że obok leży jakiś mężczyzna.

- Profesorze Strauss, czy to pan?

Ale on nie odpowiadał. Był martwy. Wkrótce, pomyślała, ja też będę martwa.

Nagle poczuła, że ogarnia ją straszliwy chłód. Sądziła, że z upływu krwi. A może sprawił to wiatr, który na chwilę zdmuchnął czarny dym znad jej twarzy. Zdała sobie wtedy sprawę, że zarówno ona, jak i mężczyzna, który mógł być profesorem Straussem, leżą w gruzowisku na ulicy des Rosiers i że nad nimi stoi czarno odziana postać z lufą automatu skierowaną w dół. Balakława zakrywała jej twarz, lecz nie oczy. Zjawiskowo piękne, lśniły miedzią i brązem niczym dwa kalejdoskopy.

- Proszę - powiedziała cicho, ale oczy pod maską gwałtownie zapłonęły.

Oślepiło ją białe światło i nagle znów szła przez hol, odzyskawszy rękę i nogę. Przekroczyła próg swej dawnej sypialni i zaczęła w ciemności szukać van Gogha. Ale obraz gdzieś zniknął. A po chwili zniknęła i ona.

2

Rue de Grenelle, Paryż

Władze francuskie poinformowały z czasem, że bomba miała pół tony. Ukryta w białej dostawczej furgonetce renault trafic została zdetonowana - wedle nagrań z kamer rozmieszczonych wzdłuż ulicy - dokładnie o dziesiątej, z chwilą rozpoczęcia konferencji w Centrum Weinberga. Zamachowcy wykazali się wzorową punktualnością.

Wedle fachowych ocen ładunek był zbyt duży jak na tak skromny cel. Eksperci francuscy uznali, że dwieście kilogramów trotylu wystarczyłoby aż nadto, by zrównać z ziemią centrum i zabić lub ranić wszystkich tam obecnych. Bomba o wadze pięciuset kilogramów zniszczyła domy i wybiła okna przy całej rue des Rosiers.

W Paryżu po raz pierwszy od niepamiętnych czasów odnotowano wstrząsy o sile dorównującej trzęsieniu ziemi. Fala wybuchu była tak gwałtowna, że uszkodziła podziemną infrastrukturę. W całej dzielnicy pękły gazociągi i wodociągi, a wagony rozpędzonego metra wykoleiły się tuż przed stacją Hôtel de Ville. Ponad dwustu pasażerów odniosło obrażenia, w tym wiele poważnych. Paryska policja początkowo sądziła, że w metrze również podłożono bombę, w związku z czym zarządzono ewakuację na wszystkich liniach. Życie w mieście zamarło. Dla zamachowców był to nieoczekiwany dar losu.

Potężna siła eksplozji wyrwała na rue des Rosiers krater

głębokości sześciu metrów. Z furgonetki renault trafic nie pozostało nic oprócz lewych tylnych drzwi, które, o dziwo, wypłynęły w całości na falach Sekwany w pobliżu Notre-Dame, blisko kilometr od miejsca postoju samochodu. Z czasem śledczy ustalili, że pojazd skradziono w Vaulx-en-Velin, ponurym przedmieściu Lyonu zamieszkanym głównie przez ludność muzułmańską. W przededniu zamachu przewiózł go do Paryża kierowca, którego tożsamości nigdy nie ustalono i który pozostawił wóz na bulwarze Saint-Germain przed sklepem z wyposażeniem kuchni i łazienek.

Stał tam do ósmej dziesiąt następnego ranka, kiedy to wsiadł do niego inny mężczyzna – gładko ogolony, około metra siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, w czapce z daszkiem i ciemnych okularach. Jeździł centralnymi ulicami Paryża, zdawałoby się bez celu, aż do dziewiątej dwadzieścia, kiedy przed Gare du Nord dosiadł się do niego współnik. Początkowo francuska policja i służby wywiadowcze działały w przeświadczeniu, że drugim zamachowcem był również mężczyzna. Jednak później, po przeanalizowaniu wszystkich nagrań wideo, stwierdzono bez wątpienia, że to kobieta.

Zanim renault dotarł do Marais, kierowca i pasażer nałożyli na twarze kominiarki. A gdy wysiedli z pojazdu przed Centrum Weinberga, byli uzbrojeni w kałasznikowy, pistolety i granaty. Dwaj pracownicy ochrony Centrum zginęli na miejscu, podobnie jak cztery inne osoby stojące przed budynkiem. Przechodnie, którzy próbowali interweniować, również zostali bezlitośnie zamordowani. Pozostali świadkowie wydarzeń obecni na tej wąskiej ulicy rozsądnie wybrali ucieczkę.

Strzały przed Centrum ucichły trzydzieści sekund przed wybiciem godziny dziesiątej, a dwaj zamaskowani zamachowcy spokojnie ruszyli na zachód, kierując się rue des Rosiers w stronę Vieille-du-Temple. Tam weszli do popularnej piekarni, gdzie ośmiu klientów karnie czekało w kolejce. Wszyscy zostali zabici, podobnie jak kobieta za ladą, która błagała o życie, nim dobiła ją seria z automatu.

Dokładnie w chwili, gdy padała na ziemię, nastąpiła eksplozja bomby ukrytej w furgonetce. Siła podmuchu wyrwała okna piekarni, lecz poza tym budynek nie ucierpiał. Zamachowcy nie zbiegli jednak z miejsca masakry, lecz wrócili na rue des Rosiers, gdzie jedyna ocalała kamera zarejestrowała, jak metodycznie przeszukiwali rumowisko, dobijając rannych i konających. Wśród nich znajdowała się również Hannah Weinberg, do której oddano dwa strzały, mimo że nie miała szans na przeżycie. Okrucieństwu terrorystów towarzyszyła niewątpliwa kompetencja. Nagranie ukazało, jak kobieta spokojnie usuwa nabój zaklinowany w lufie kałasznikowa, po czym dobija ciężko rannego mężczyznę, który chwilę wcześniej był na ostatnim piętrze budynku centrum.

Po ataku dzielnicę Marais na kilka godzin otoczył kordon policji. Wstęp miały wyłącznie służby ratownicze oraz śledczy. Późnym popołudniem, gdy ugaszono resztki pożaru i sprawdzono teren pod kątem dalszych zagrożeń bombowych, na miejsce tragedii przybył prezydent Francji. Po oględzinach skutków zamachu nazwał go „Holokaustem w sercu Paryża”. Ta opinia nie spotkała się z życzliwą reakcją niektórych

nieprzyjaznych *banlieues*. W jednym z nich wybuchła nawet spontaniczna radość na wieść o masakrze, czemu zresztą policja szybko położyła kres. Większość prasy zlekceważyła jednak ten incydent, a pewien wyższy funkcjonariusz policji nazwał go „kłopotliwym zakłóceniem” bieżącego zadania, które skupiało się na pościgu za sprawcami zamachu.

Ich ucieczka z Marais, podobnie jak wszystkie szczegóły operacji, została starannie zaplanowana. Na pobliskiej ulicy czekał motocykl peugeot satelis, a w nim dwa czarne kaski. Zabójcy niezauważeni ruszyli na północ pod prąd strumienia ambulansów i wozów policyjnych. Mężczyzna prowadził, kobieta obejmowała go w pasie. Kamera drogowa zarejestrowała ich po raz ostatni w pobliżu wioski Villeron w departamencie Val-d'Oise. Nim wybiło południe, stali się celem największego pościgu w historii Francji.

Państwowa policja i żandarmeria organizowały blokady dróg, sprawdzały dokumenty, przeszukiwały magazyny z wybitymi oknami i podejrzone rudery z uszkodzonymi kłódkami. Tymczasem w pewnym pięknym starym budynku przy rue de Grenelle zespół złożony z osiemdziesięciu czterech mężczyzn i kobiet prowadził poszukiwania zupełnie innego rodzaju. Znani wyłącznie pod nazwą Grupa Alfa w rzeczywistości działali w ramach tajnej agencji wywiadowczej DGSI - francuskich służb bezpieczeństwa wewnętrznego. Mówiono, że grupa powstała sześć lat wcześniej, po samobójczym zamachu bombowym dokonanym przez dżihadystów przed znaną restauracją przy avenue Champs-Élysées. Specjalizowała się w rozpracowywaniu

struktur rosnącego w siłę podziemia dżihadystycznego we Francji i miała prawo stosowania „aktywnych środków” w celu eliminacji potencjalnych islamskich terrorystów, nim ci zdołają podjąć jakiegokolwiek działania przeciw Republice lub jej obywatelom. Mówiono, że Paul Rousseau, szef grupy, opracował strategię większej liczby zamachów bombowych niż Osama bin Laden. On sam jednak, nie kwestionując zresztą tych pogłosek, szybko dodawał, że żadna z jego bomb dotąd nie wybuchła. Członkowie Grupy Alfa mistrzowsko opanowali sztukę uników i podstępów, a Paul Rousseau był ich bezspornym przywódcą i gwiazdą przewodnią.

W swych tweedowych marynarkach, z potarganymi siwiejącymi włosami i nieodłączną fajką sprawiał bardziej wrażenie roztargnionego profesora niż bezwzględного agenta tajnej policji. Nie bez powodu zresztą, gdyż to na uniwersytecie rozpoczął karierę i właśnie tam w chwilach zwątpienia pragnął powrócić. Był cenionym badaczem dziewiętnastowiecznej literatury francuskiej na paryskiej Sorbonie, gdy pewnego dnia jego przyjaciel z francuskiego wywiadu zaproponował mu pracę w DST – francuskiej agencji kontrwywiadu. Był rok 1983 i w kraju szerzyły się zamachy bombowe oraz zabójstwa dokonywane przez lewacką grupę terrorystyczną o nazwie Action directe. Rousseau dołączył do jednostki, której zadaniem była likwidacja tej grupy, i po serii błyskotliwych operacji wykonał powierzone mu zadanie.

Do roku 2004 działał w DST, zwalczając kolejne fale terroryzmu lewackiego i bliskowschodniego. Wtedy jednak po długiej walce z białaczką zmarła jego ukochana żona, Collette.

Załamany jej śmiercią wrócił do swej skromnej willi w Luberon i rozpoczął pracę nad dawno planowaną wielotomową biografią Prousta. Ale potem nastąpił zamach na Champs-Élysées. Rousseau zgodził się odłożyć pióro i powrócić do walki, ale pod jednym warunkiem. Nie bawiła go obserwacja podejrzanych o terroryzm, podsłuchiwanie rozmów telefonicznych i lektura chorobliwych wynurzeń w internecie. Pragnął przejść do ofensywy. Jego zwierzchnik wyraził zgodę, podobnie jak minister spraw zagranicznych. I tak powstała Grupa Alfa. W ciągu sześciu lat istnienia udaremniła ponad tuzin groźnych zamachów na terenie Francji. Atak na Centrum Weinberga Rousseau odebrał nie jako porażkę wywiadu, lecz osobistą klęskę. Późnym popołudniem w dniu, gdy stolica Francji pogrążyła się w chaosie, zatelefonował do szefa DGSI, zgłaszając zamiar dymisji. Oczywiście zwierzchnik jej nie przyjął.

- Ale za karę - powiedział - znajdziesz potwora odpowiedzialnego za tę rzeź i podasz mi jego głowę na tacy.

Rousseau pominął milczeniem tę aluzję, gdyż nie zamierzał rywalizować z kreaturami, które bezwzględnie zwalczał. Wraz ze swym zespołem przystąpił do akcji z nie mniejszym zapałem niż fanatyzm religijny przeciwników. Grupa Alfa skupiała się na współpracy z ludźmi i również tą drogą zbierała teraz informacje. W kawiarenkach, na stacjach kolejowych i w bocznych uliczkach całego kraju jej członkowie spotykali się dyskretnie z informatorami - duchownymi, pracodawcami, ulicznymi cwaniakami, porządnymi obywatelami o umiarkowanych poglądach, a także

z desperatami o pustym spojrzeniu, którzy znaleźli dom w globalnej wspólnocie radykalnego islamu.

Jedni współpracowali dla idei, drudzy dla pieniędzy, a jeszcze inni dlatego, że Rousseau i jego tajni agenci nie zostawili im wyboru. Nikt z nich jednak nie słyszał, by planowano ten zamach, nawet uliczni cwaniacy, którzy twierdzili, że wiedzą wszystko, zwłaszcza gdy w grę wchodzi forsa. Również nikt z Grupy Alfa nie zdołał zidentyfikować zamachowców. Być może były to samotne wilki, pozbawieni lidera dżihadyści, którzy zbudowali półtonową bombę tuż pod okiem wywiadu francuskiego, po czym sprawnie dostarczyli ją na miejsce przeznaczenia. To możliwe, myślał Rousseau, lecz mało prawdopodobne. Gdzieś musiał istnieć mózg tej operacji, człowiek, który opracował zamach, zwerbował wykonawców i zręcznie nimi sterował. To jego głowę Paul Rousseau miał dostarczyć szefowi.

Tak więc, gdy wszystkie francuskie służby bezpieczeństwa poszukiwały sprawców zamachu na Centrum Weinberga, wzrok Rousseau biegł znacznie dalej. Jak przystało na dobrego kapitana przy sztormowej fali, niezłomnie trwał na mostku, którym w tym wypadku był jego gabinet na czwartym piętrze.

Panowała tam atmosfera akademickiego nieładu, a w powietrzu unosił się słodkawy zapach tytoniowego dymu. Paul wydmuchiwał go z fajki, uparcie trwając w swym nałogu mimo licznych zakazów palenia w rządowych instytucjach. Pod kuloodpornymi oknami jego gabinetu, które zamontowano z inicjatywy szefa, znajdowało się skrzyżowanie rue de

Grenelle i spokojnej małej rue Amélie. Budynek nie miał wejścia od ulicy, jedynie czarną bramę, która prowadziła na mały dziedziniec i parking. Dyskretna tabliczka informowała, że mieści się tam Towarzystwo Literatury Francuskiej, co wyraźnie wskazywało na wpływ Rousseau. Dla zachowania pozorów wydawał on cienki kwartalnik, który samodzielnie redagował. Wedle ostatnich szacunków miał dwunastu czytelników. Wszystkich dokładnie prześwietlono.

Natomiast wewnątrz budynku kamuflaż się kończył. Pomieszczenia przyziemia zajmował personel techniczny, parter obserwatorzy, a na pierwszym piętrze znajdowało się potężne archiwum Grupy Alfa, Rousseau wolał bowiem staromodne papierowe akta niż cyfrowe pliki. Piętro drugie i trzecie stanowiło terytorium agentów operacyjnych. Większość z nich przybywała do budynku i opuszczała go przez bramę przy rue de Grenelle, pieszo lub w rządowych samochodach. Niektórzy jednak wchodzili tajnym przejściem łączącym gmach ze znajdującym się w sąsiedztwie zaniedbanym sklepikiem ze starzyzną. Należał do pewnego starszego Francuza, który służył w tajnych służbach podczas wojny algierskiej. Paul Rousseau jako jedyny członek Grupy Alfa otrzymał prawo wglądu w przerażające akta sklepikarza.

Ktoś niewtajemniczony mógłby wziąć czwarte piętro za siedzibę prywatnego banku szwajcarskiego. W korytarzu o przyciemnionych światłach i surowym wystroju panowała cisza, tylko z otwartych drzwi gabinetu Paula Rousseau dobiegały dźwięki Chopina. Jego niezastąpiona sekretarka, żelazna madame Treville, siedziała przy starannie

uporządkowanym biurku w przedpokoju, zaś na przeciwległym krańcu korytarza mieścił się gabinet zastępcy Rousseau, Christiana Boucharda. Bouchard uosabiał to, czego brakowało jego szefowi - młodość, sprawność i elegancję, a w dodatku był zabójczo przystojny. Ale nade wszystko cechowała go ambicja. Władze DGSI narzuciły go Paulowi, toteż powszechnie zakładano, że z czasem przejmie stery. Rousseau nie przepadał za nim, lecz nie była to zaciekła niechęć, gdyż Bouchard mimo oczywistych wad był dobrym fachowcem. A w dodatku człowiekiem bezwzględny. Jeśli należało wykonać jakąś brudną urzędową robotę, nieodmiennie to on ją nadzorował.

Trzy dni po zamachu na Centrum Weinberga, gdy terroryści wciąż pozostawali na wolności, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych odbyło się spotkanie szefów departamentów. Rousseau nienawidził takich zebrań, gdyż zawsze bez wyjątku przeradzały się one w polityczne rozgrywki, toteż wysłał w zastępstwie Boucharda. Dochodziła już ósma wieczór, gdy zastępca powrócił na rue Grenelle. Wszedł do gabinetu szefa i bez słowa położył mu na biurku dwie fotografie. Przedstawiały niespełna trzydziestoletnią kobietę o oliwkowej skórze, owalnej twarzy i oczach lśniących brązem i miedzią. Na pierwszym zdjęciu jej długie do ramion, zaczesane do tyłu włosy, odsłaniały nieskazitelne czoło. Na drugim okrywał je surowy dżihab z czarnego jedwabiu.

- Nazywają ją czarną wdową - rzekł Bouchard.

- Efektowne. - Rousseau, marszcząc brwi, podniósł drugą fotografię. Tę, na której kobieta miała tradycyjne nakrycie

głowy.

- Jak się naprawdę nazywa? - spytał, patrząc w jej przepastne oczy.

- Safia Bourihane.

- Algierka?

- Z Aulnay-sous-Bois.

Aulnay-sous-Bois to przedmieście położone na północ od Paryża, enklawa przestępczości zrodzonej w tanich budynkach komunalnych zwanych HLM - lub *habitation à loyer modéré* - miejsce uchodzące za jedno z najbardziej niebezpiecznych w kraju. Policja rzadko się tam zapuszczała. Nawet Rousseau doradzał swym ulicznym operatorom, by pozyskiwali informacje z Aulnay na mniej niebezpiecznym gruncie.

- Ma dwadzieścia dziewięć lat i urodziła się we Francji - ciągnął Bouchard. - Jednak zawsze podaje się za muzułmankę, a dopiero potem za Francuzkę.

- Kto ją znalazł?

- Lucien.

Lucien Jacquard był szefem sekcji antyterrorystycznej DGSI i nominalnie zwierzchnikiem Grupy Alfa. W praktyce jednak Rousseau, pomijając go, składał raporty szefowi służb. By uniknąć potencjalnych konfliktów, informował wprawdzie Jacquarda o bieżących działaniach swej grupy, lecz zazdrośnie strzegł danych informatorów oraz operacyjnych metod jednostki. Grupa Alfa była państwem w państwie, niezależną formacją w łonie służb, którą Lucien Jacquard pragnął sobie podporządkować.

- Co on o niej wie? - Rousseau nadal wpatrywał się w oczy

kobiety.

- Pojawiła się na jego radarze mniej więcej trzy lata temu.

- Z powodu?

- Swojego chłopaka.

Bouchard położył na biurku kolejną fotografię. Przedstawiała trzydziestolatkę z krótko ostrzyżonymi włosami i rzadką brodą pobożnego muzułmanina.

- Algierczyk?

- Raczej Tunezyjczyk. Tym razem rodowity. Znał się na elektronice, a także na komputerach. Był jakiś czas w Iraku i Jemenie, nim wyjechał do Syrii.

- Al-Kaida?

- Nie. - Bouchard pokręcił głową. - ISIS.

Rousseau gwałtownie podniósł wzrok.

- Gdzie on teraz jest?

- Zapewne w raju.

- Co się stało?

- Zginął podczas nalotu koalicji.

- A kobieta?

- W zeszłym roku wyjechała do Syrii.

- Jak długo tam była?

- Co najmniej sześć miesięcy.

- Co robiła?

- Najwyraźniej uczyła się korzystać z broni.

- A po powrocie do Paryża?

- Lucien objął ją nadzorem. A potem... - Bouchard wzruszył ramionami.

- Odpuścić?

Bouchard skinął głową.

- Dlaczego?

- Z tych samych powodów co zawsze. Zbyt wiele obiektów, zbyt mało środków...

- Przecież była tykającą bombą.

- Lucien był innego zdania. Po powrocie do Francji zupełnie się zmieniła. Nie zadawała się ze znanymi radykałami, a jej działalność w internecie była nieszkodliwa. Przestała nawet chodzić w hidżabie.

- Na polecenie człowieka, który planował zamach. Była oczywistym elementem skomplikowanej siatki.

- Lucien uważa podobnie. Co więcej, sądzi, że kolejny atak jest tylko kwestią czasu.

- Jak minister przyjął te wiadomości?

- Poleciał, aby Lucien przekazał wszystkie akta naszej jednostce.

Rousseau pozwolił sobie na krótki uśmiech satysfakcji.

- Chcę je mieć, Christianie, wszystkie. Zwłaszcza raporty obserwacyjne z okresu po jej powrocie z Syrii.

- Lucien obiecał przekazać nam materiały jutro z samego rana.

- Miło z jego strony.

Rousseau spojrział na fotografię kobiety, którą nazywano *la veuve noire*. Czarna wdowa...

- Jak myślisz, gdzie ona jest?

- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że już w Syrii razem ze współnikiem.

- Ciekawe, czemu nie chcieli zginąć dla sprawy. - Rousseau

zebrał fotografie i oddał je zastępcy. - Są jeszcze jakieś wiadomości?

- Ciekawe odkrycie związane z tą Weinberg. Wygląda na to, że w jej kolekcji znajdował się zaginiony obraz Vincenta van Gogha.

- Naprawdę?

- I zgadnij, komu go zapisała.

Wyraz twarzy Rousseau wskazywał jednoznacznie, że nie jest skory do żartów, toteż Bouchard szybko wymienił nazwisko.

- Myślałem, że on nie żyje.

- Najwyraźniej niesłusznie.

- No to czemu nie był na pogrzebie?

- A skąd wiesz, że nie był?

- Czy to od nas wie o tym obrazie?

- Ministerstwo wolałoby zatrzymać go we Francji.

- Czyli odpowiedź brzmi „nie”?

Bouchard milczał.

- Ktoś powinien przypomnieć ministerstwu, że w zamachu na Centrum Weinberga zginęło czterech obywateli Państwa Izrael - mruknął Rousseau.

- Do czego zmierzasz?

- Przypuszczam, że on wkrótce się odezwie.

Bouchard wyszedł, zostawiając go samego. Rousseau wyłączył lampę na biurku i wcisnął „Play” w ustawionej na półkach aparaturze stereo. Po chwili rozległy się pierwsze dźwięki koncertu fortepianowego e-moll Chopina. Wzdłuż rue Grenelle sunął gęsty sznur pojazdów, a dalej na wschód, nad

brzegami Sekwany, jaśniały światła wieży Eiffla. On jednak ich nie widział. W myślach podążał za młodym mężczyzną, który szybko przecinał dziedziniec z bronią w wyciągniętej ręce. Ten nieomylny zabójca i genialny mistyfikator był legendą. I zwalczał terroryzm dłużej niż sam Rousseau. Większym zaszczytem byłoby działać z nim niż przeciw niemu. Wkrótce, pomyślał z przekonaniem. Wkrótce...

3

Bejrut

Choć Paul Rousseau wtedy o tym nie wiedział, ziarno dla takiego przymierza już kiełkowało. Tego samego wieczoru, gdy wracał do swego smutnego pustego mieszkania przy rue Saint-Jacques, w dalekim Bejrucie przez nadbrzeżną promenadę Corniche mknął czarny niemiecki samochód imponującej wielkości. Z tyłu siedział wysoki szczupły mężczyzna o bladej bezkrwistej skórze i oczach przejrzystych jak lód. Jego twarz wyrażała bezgraniczne znużenie, ale palce prawej ręki, lekko uderzając w oparcie, zdradzały rzeczywiste emocje.

Miał na sobie obcisłe dzinsy, ciemny wełniany pulower i skórzaną kurtkę. Pod nią, wsunięty za pas, tkwił belgijski pistolet, kaliber 9 mm, dostarczony przez kontakt z lotniska. W Libanie nie brakowało broni, lekkiej ani ciężkiej. W portfelu na piersi trzymał plik banknotów oraz wysłużony kanadyjski paszport na nazwisko David Rostov. Podobnie jak większość jego danych, również te w paszporcie były fałszywe. W istocie nazywał się Michaił Abramow i był pracownikiem tajnych służb wywiadowczych Państwa Izrael. Długa i celowo myląca nazwa tej organizacji miała niewiele wspólnego z jej rzeczywistą działalnością. Dlatego związani z nią ludzie, tacy jak Michaił, nazywali ją po prostu Biurem, nigdy inaczej.

Spojrzał w lusterko wsteczne, czekając, aż kierowca

napotka jego wzrok. Samochód prowadził Sami Haddad, maronita, były członek chrześcijańskiej milicji libańskiej i wieloletni kontraktowy pracownik Biura. Miał łagodne dobrotliwe oczy księdza i żelazne dłonie zawodowego boksera. Urodził się na tyle dawno, by pamiętać jeszcze czasy, gdy Bejrut był Paryżem Bliskiego Wschodu, a także walczyć w wojnie domowej, która rozdarła Liban na strzępy. Nie było niczego, czego Sami Haddad nie wiedziałby o swym kraju i jego groźnej polityce, a także niczego, czego w pośpiechu nie umiałby wykorzystać - dotyczyło to zarówno broni, łodzi i samochodów, jak też narkotyków, a nawet kobiet. Zdarzyło się kiedyś, że w krótkim czasie dostarczył górskiego lwa, gdy Biuro próbowało zwerbować pewnego arabskiego księcia znad Zatoki Perskiej - alkoholika uwielbiającego drapieżne koty. Jego lojalność była niepodważalna. Podobnie jak instynkt, którym nieomylnie wyczuwał zagrożenia.

- Zrelaksuj się - rzekł Sami, widząc w lusterku wzrok Michaiła. - Nikt nas nie śledzi.

Michaił zerknął przez ramię na strumień pojazdów sunących wzdłuż Corniche. W każdym z nich mogła się ukrywać grupa zabójców lub porywaczy z Hezbollahu, a może członków którejs z ekstremalnych organizacji dżihadystycznych, wywodzących się z palestyńskich obozów dla uchodźców na południu. Al-Kaida wydawała się przy nich zaledwie starą niemodną grupą umiarkowanych muzułmanów.

Była to jego trzecia wizyta w Bejrucie w ciągu ostatniego roku. Do tej pory legitymował się tym samym paszportem i podobnie uzasadniał swój przyjazd. Nazywał się David

Rostov, był wędrownym kupcem rosyjsko-kanadyjskiego pochodzenia, który nielegalnie kupował starożytne dzieła sztuki Bliskiego Wschodu, głównie dla europejskich klientów. Bejrut stanowił jeden z jego ulubionych terenów łowieckich, gdyż wszystko było tam możliwe. Kiedyś zaoferowano mu ponaddwumetrowy posąg rannej Amazonki z czasów rzymskich, zachowany w idealnym stanie. Koszt tego eksponatu wraz z transportem wyceniono na dwa miliony dolarów, ale przy niezliczonej ilości filiżanek słodkiej tureckiej kawy zdołał nakłonić sprzedawcę, wybitnego fachowca z szanowanej rodziny, by obniżył cenę o pół miliona. Potem odszedł, zapewniając sobie opinię zręcznego negocjatora i twardego klienta, co w mieście takim jak Bejrut było nader korzystne.

Sprawdził czas na swym samsungu. Sami Haddad to zauważył. Nic mu nigdy nie umknęło.

- O której cię oczekuje?
- O dziesiątej.
- Późno.
- Pieniądze nigdy nie śpią, Sami.
- Opowiedz mi o tym.
- Pojedziemy prosto do hotelu czy wolisz się przedtem przejechać?
- Jak chcesz.
- No to jedźmy do hotelu.
- Lepiej się przejedźmy.
- Nie ma problemu.

Haddad zjechał z Corniche w ulicę zabudowaną domami

z francuskich czasów kolonialnych. Michaił dobrze je znał. Przed dwunastoma laty, służąc w Sajjeret Matkał, jednostce rozpoznawczej Sił Obronnych Izraela, zlikwidował terrorystę z Hezbollahu, gdy ten spał, ukrywając się w jednym z nich.

Przynależność do tej elitarnej jednostki była marzeniem każdego izraelskiego chłopca, a w przypadku przybysza z Moskwy stanowiła niebywałe osiągnięcie. Przybysz ten bowiem dzień w dzień musiał walczyć o przetrwanie, gdyż miał żydowskich przodków. Jego ojca, wybitnego radzieckiego naukowca, zamknięto w szpitalu dla psychicznie chorych, gdy podważył dogmat mądrości partii. Chłopiec przyjechał do Izraela w wieku szesnastu lat i w ciągu miesiąca nauczył się mówić po hebrajsku, a po roku wyzbył się do resztek rosyjskiego akcentu. Podobnie jak miliony przybyłych tu przed nim pionierów syjonizmu, którzy zbiegli do Palestyny z Europy Wschodniej przed prześladowaniami i pogromami – ludzkie wraki ocalone z końcem wojny z niemieckich obozów śmierci – odrzucił bagaż przeszłości i wszelką słabość. Stał się nowym człowiekiem, nowym Żydem. Izraelczykiem.

- Jest czysto – zapewnił Haddad.

- Więc na co czekasz? – spytał Michaił.

Krążąc bocznymi uliczkami, Sami wrócił na Corniche i skierował się w stronę przystani. Górowały nad nią lśniące stalą i szkłem bliźniacze wieże hotelu Four Seasons. Wjechał na podjazd i spojrzął w lusterko, czekając na polecenia.

- Zadzwoń do mnie, jak się pojawi – powiedział Michaił. – I daj znać, czy ma obstawę.

- Bez niej się nie rusza.

Michaił wziął z siedzenia aktówkę i niewielką torbę podróżną, po czym otworzył drzwi.

- Uważaj, jak wejdiesz do środka - poradził Sami. - Nie rozmawiaj z obcymi.

Michaił wysiadł, bezdźwięcznie pogwizdując, szybkim krokiem minął chłopców hotelowych i wszedł do holu. Ochroniarz w ciemnym garniturze spojrzał na niego podejrzliwie, ale pozwolił mu wejść, nie sprawdzając. Michaił przeszedł po grubym dywanie tłumiącym odgłos kroków i zatrzymał się przed imponującym kontuarem recepcji. Za nim, w padającym z góry stożkowym świetle, stała ładna czarnowłosa dwudziestopięciolatka. Wiedział, że jest Palestynką i że jej ojciec, dawny bojownik, zbiegł z Libanu z Arafatem w 1982 roku, zanim się urodziła. Kilka innych zatrudnionych w hotelu osób miało również kłopotliwe powiązania. Dwaj członkowie Hezbollahu byli zatrudnieni w kuchni, a w obsłudze pracowało kilku znanych dżihadystów. Michaił obliczył, że co najmniej dziesięć procent pracowników hotelu bez wahania by go zgładziło, gdyby odkryto, kim naprawdę jest.

Uśmiechnął się do kobiety w recepcji, a ta odpowiedziała chłodnym zawodowym uśmiechem.

- Dobry wieczór, panie Rostov. Miło znów pana widzieć. - Jej pomalowane paznokcie szybko uderzały w klawiaturę, podczas gdy czekał w dusznej woni przekwitłych kwiatów azalii. - Tylko na jedną noc?

- Niestety tak - odparł, znów się uśmiechając.

- Czy pomóc panu wnieść bagaż?

- Nie, poradzę sobie.

- Tym razem umieścimy pana na czternastym piętrze w pokoju de luxe z widokiem na morze. - Podała mu kopertkę z kluczami i wykonała gest w stronę wind jak stewardesa wskazująca wyjścia awaryjne. - Miłego pobytu.

Michaił ruszył z torbą i aktówką do wind, z których jedna czekała z otwartymi drzwiami. Wszedł do kabiny, zadowolony, że jest sam, i wcisnął przycisk czternastego piętra. Ale gdy drzwi się zamykały, jakaś ręka wsunęła się w szczelinę, a za nią wcisnął się mężczyzna. Był przysadzisty, nad brwią miał głęboką bliznę, a jego szczęka sprawiała wrażenie odpornej na ciosy. W szklanym odbiciu drzwi jego wzrok na chwilę skrzyżował się ze spojrzeniem Michaiła. Skinęli głowami, nie zamieniając słowa. Mężczyzna, jakby po namyśle, wcisnął przycisk dwudziestego piętra i zaczął skubać kciuk, gdy winda ruszyła.

Michaił udając, że czyta mejl w komórce, ukradkiem sfotografował topornego współpasażera. Idąc korytarzem do swego pokoju, wysłał zdjęcie na bulwar Króla Saula w Tel Awiwie, gdzie mieściła się anonimowa siedziba Biura. Rzuciwszy okiem na futrynę drzwi, nie dostrzegł prób włamania, toteż przesunął nad zamkiem klucz magnetyczny i przygotowany na atak, wszedł do pokoju.

Powitały go dźwięki Vivaldiego. Ulubiona muzyka przemytników broni, dilerów narkotyków i terrorystów z całego świata, pomyślał i wyłączył radio. Łóżko było przygotowane do snu, a na poduszce leżała czekoladka. Podeszedł do okna i zobaczył dach samochodu Samiego

Haddada parkującego przy Corniche. Dalej znajdowała się przystań, a za nią lśniła czarna toń Morza Śródziemnego. Gdzieś tam znajdowało się wyjście awaryjne. Tym razem nie otrzymałby zgody na wyjazd do Bejrutu, gdyby nie zapewniono mu morskiej drogi ewakuacji. Nowy szef, który wkrótce obejmował urząd, wiązał z nim plany. Tak przynajmniej mówiło się w Biurze, gdzie – jak na instytucję o tajnym charakterze – panowało niepoprawne plotkarstwo.

W tej samej chwili rozbłysł ekran komórki. Esemes z bulwaru Króla Saula informował, że komputery nie mogą zidentyfikować mężczyzny, który wszedł z nim do windy. Ostrzegano Michaiła, by działał ostrożnie, choć nie bardzo wiedział, co mają na myśli. Opuścił roletę, zaciągnął zasłony i kolejno gasił lampy w pokoju, aż w końcu wokół niego zapadł całkowity mrok. Wtedy siadł w nogach łóżka, wpatrując się w wąski pasek światła u dołu drzwi, i czekał na telefon.

* * *

Nie dziwiło go, że informator się spóźniał. Przecież przypominał przy każdej okazji, jak wiele ma zajęć. Dlatego Michaił nie był zaniepokojony, że choć nadeszła dwudziesta druga, Sami Haddad wciąż się nie odzywa. W końcu jednak o dwudziestej drugiej piętnaście rozbłysł ekran komórki.

– Wchodzą do hotelu. On i dwaj kumple. Uzbrojeni.

Michaił przerwał rozmowę i jeszcze przez dziesięć minut siedział na łóżku. Potem z bronią w ręku ruszył do przedpokoju i przyłożył ucho do drzwi. Niczego nie słysząc, wsunął pistolet za pasek z tyłu spodni i wyszedł na korytarz,

na którym nie było nikogo oprócz chłopaka z obsługi, bez wątpienia jednego z dżihadystów. Powyżej, w barze na dachu, siedziało towarzystwo to samo, co zawsze - bogaci Libańczycy, mieszkańcy Emiratów w białych fruwających kandurach, chińscy biznesmeni zaczerwienieni od alkoholu, handlarze narkotyków, dziwki, hazardziści, poszukiwacze przygód i zwykli głupcy. Morski wiatr rozwiewał włosy kobiet i marszczył powierzchnię basenu. Dudniąca muzyka, którą miksował zawodowy didżej, stanowiła dźwiękową zbrodnię wobec ludzkości.

Michaił ruszył w stronę najdalszego kąta baru, gdzie Clovis Mansour, potomek handlującej zabytkami starożytności dynastii Mansourów, siedział samotnie na białej kanapie, wpatrzony w morze. Upozowany jak do zdjęcia w kolorowym magazynie, trzymał kieliszek szampana w jednej ręce i tłącego się papierosa w drugiej. Miał na sobie ciemny włoski garnitur oraz białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, szytą na miarę przez krawca w Londynie, a całości dopełniał lśniący na przegubie złoty zegarek wielkości zegara słonecznego. Zapach wody kolońskiej otulał go jak szata.

- Spózniasz się, *habibi*^[2] - powiedział, gdy Michaił usiadł na kanapie naprzeciwko. - Już chciałem iść.

- Nie, nie chciałem.

Michaił zlustrował wzrokiem bar. Dwaj ochroniarze Mansoura skubali fistaszki z misy przy sąsiednim stoliku. Mężczyzna z windy opierał się o balustradę. Trzymając telefon przy uchu, udawał, że podziwia widok morza.

- Znacie się? - zapytał Michaił.

- Nigdy wcześniej go nie widziałem. Drinka?

- Nie, dzięki.

- Lepiej będzie, jeśli coś wypijesz.

Mansour machnął na przechodzącego kelnera i zamówił drugi kieliszek szampana. Michaił wyciągnął z kieszeni na piersi żółtobrązową kopertę i położył ją na stoiku.

- Co to jest? - spytał Mansour.

- Dowód naszego uznania.

- Forsa?

Michaił skinął twierdząco głową.

- Nie pracuję dla was z braku forsy, *habibi*. I tak mam jej mnóstwo. Robię to, bo chcę się utrzymać w interesie.

- Moi zwierzchnicy wolą, żeby pieniądź zmieniał właściciela.

- Twoi zwierzchnicy uprawiają tani szantaż.

- Może lepiej sprawdź, czy taki tani.

Mansour zerknął do koperty i uniósł brew. Potem wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Co masz dla mnie, Clovis?

- Paryż - odparł handlarz antykami.

- Co z Paryżem?

- Wiem, kto to zrobił.

- Skąd?

- Nie mam pewności - odrzekł Mansour - ale możliwe, że mogłem pomóc mu to sfinansować.

4

Bejrut – Tel Awiw

Gdy Michaił w końcu wrócił do swego pokoju, była druga trzydzieści w nocy. Nic nie wskazywało na to, by ktoś się tu zakradł pod jego nieobecność. Nawet mała zafoliowana czekoladka leżała na poduszce dokładnie pod tym samym kątem. Obwąchał ją, szukając woni arszeniku, po czym ostrożnie nadgryzł. Następnie z nietypową dla siebie nerwowością przepchnął do przedpokoju wszystkie meble, których nie przymocowano na stałe do podłogi, i spiętrzył je przed drzwiami. Gdy barykada była gotowa, rozsunał kotary i podniósł rolety, wypatrując wśród świateł na morzu drogi ucieczki. Natychmiast jednak skarcił się za to w myślach. Z wyjścia awaryjnego korzystano tylko w przypadkach najwyższej konieczności. Fakt posiadania informacji nie zaliczał się do tej kategorii, nawet jeśli ta informacja mogła zapobiec kolejnej katastrofie w Paryżu.

„Nazywają go Saladyn...”

Wyciągnął się na łóżku, opierając plecy o wezłowie. Z bronią przy boku wpatrywał się w niewyraźny zarys fortyfikacji przy drzwiach, świadom, że ten widok nie przynosi mu chluby. Włączył telewizor i surfował w eterze oszalałego Bliskiego Wschodu, aż w końcu, znudzony, zaczął usypiać. By otrzeźwieć, wychylił butelkę coli z lodówki, myśląc o kobiecie, której głupio pozwolił odejść. Była piękną Amerykanką

z nieskazitelnie protestanckim rodowodem. Pracowała dla CIA i okresowo dla Biura. Mieszkała teraz w Nowym Jorku, gdzie sprawowała nadzór nad unikalną kolekcją malarstwa w Muzeum Sztuki Współczesnej. Słyszał, że na serio związała się z jakimś mężczyzną, podobno handlującym obligacjami. Nagle zapragnął do niej zadzwonić. Tylko po to, by usłyszeć jej głos. W końcu jednak uznał, że to niemądre. Utracił ją. Tak jak Rosję.

„Jak on się naprawdę nazywa, Clovis?”.

„Nie wiem, czy kiedykolwiek nazywał się naprawdę”.

„Skąd się wziął?”.

„Może kiedyś pochodził z Iraku, ale teraz jest synem kalifatu...”

W końcu czarne niebo za oknem zabarwiło się błękitem. Zaczęło świtać. Michaił uporządkował pokój i pół godziny później, mrużąc zaczerwienione oczy, osunął się na tylne siedzenie samochodu Samiego Haddada.

- No i jak? - spytał Libańczyk.

- Kompletna strata czasu. - Michaił stłumił teatralne ziewnięcie.

- Gdzie teraz jedziemy?

- Do Tel Awiwu.

- To nie takie łatwe, przyjacielu.

- To w takim razie może zawieszysz mnie na lotnisko.

Samolot odlatywał o ósmej trzydzieści. Michaił przeszedł kontrolę paszportową jako uśmiechnięty, lekko zaspany Kanadyjczyk, i zajął miejsce w pierwszej klasie lecącego do Rzymu odrzutowca Middle East Airlines. By odgrodzić się od

sąsiada, tureckiego akwizytora o podejrzanej aparycji, udał, że pochłania go lektura porannych gazet. W rzeczywistości rozważał wszystkie możliwe powody, dla których samolot państwowych linii Libanu mógłby nie dotrzeć bezpiecznie do miejsca przeznaczenia. Tyle że tym razem, myślał ponuro, jego śmierć miałyby pewne znaczenie, gdyż uzyskana informacja zginęłaby wraz z nim.

„O jakiej kwocie mowa, Clovis?”

„O czterech milionach, może pięciu”.

„A konkretniej?”

„Raczej pięciu...”

Samolot wylądował w Rzymie bez przygód, lecz przedarcie się przez tłum do stanowiska kontroli paszportów na lotnisku Fiumicino zabrało mu niemal dwie godziny. Pobyt we Włoszech był krótki. Wystarczająco jednak długi, by Michaił zdążył zmienić tożsamość, a następnie wejść na pokład kolejnego samolotu, tym razem linii El Al, lecącego do Tel Awiwu. Na lotnisku Ben Guriona czekał kierowca z Biura. Szybko ruszył na północ w kierunku bulwaru Króla Saula. Dom na końcu ulicy, po zachodniej stronie, podobnie jak siedziba Paula Rousseau przy rue de Grenelle, był czystym kamuflażem. Ani godło nad wejściem, ani żadna mosiężna tabliczka nie informowały o tożsamości lokatora. Absolutnie nic nie wskazywało na to, że gmach ten jest kwaterą jednej z najgroźniejszych i najwyżej cenionych na świecie tajnych służb. Dopiero przy bliższych oględzinach okazywało się, że wewnątrz pierwszego budynku znajduje się drugi. Z własnym zasilaniem, systemem wodociągów i kanalizacji, a także

bezpieczną łącznością. Każdy z pracowników miał dwa klucze. Jeden otwierał nieoznakowane drzwi w holu, a drugi windy. Tego, kto dopuścił się niewybaczalnej zbrodni, jaką była utrata jednego lub obu tych kluczy, czekało wygnanie na Pustynię Judzką, skąd nikt jeszcze nie wrócił.

Jak większość agentów operacyjnych Michaił wszedł do budynku przez podziemny parking, po czym wjechał na najwyższe piętro, gdzie mieściła się dyrekcja. Godzina była późna - zapis kamery wskazywał dziewiątą trzydzieści wieczorem - toteż na korytarzu panowała pustka jak w szkole po wyjściu dzieci. Zza półotwartych drzwi na samym końcu padał niewielki romb światła. Cicho zapukał, po czym wszedł, nie czekając na zaproszenie. W dyrektorskim fotelu ze skóry, za biurkiem ze szklanym blatem siedział Uzi Navot, który wkrótce miał ustąpić ze swej funkcji. Marszcząc czoło, wpatrywał się w otwarte akta, jakby to był rachunek, którego nie zdoła zapłacić. W zasięgu jego ręki stało otwarte pudełko maślanych ciasteczek, które, jak wszyscy wiedzieli, stanowiły jego wielką słabość. Zostały tylko dwa. Nie był to dobry znak.

W końcu jednak Navot podniósł głowę i gestem polecił Michaiłowi, by usiadł. Miał na sobie przyciasną koszulę w paski i okulary bez oprawek, jakie noszą niemieccy intelektualiści i szwajcarscy bankierzy. Jego włosy, ongiś rudoblond, posiwiały, a niebieskie oczy były zaczerwienione. Z podwiniętymi rękawami koszuli, które ukazywały jego muskularne ręce, długo przyglądał się Michaiłowi, jakby z trudem ukrywał wrogość. Nie było to powitanie, jakiego ten się spodziewał, ale w ostatnim czasie nikt nie wiedział, czego

oczekiwać po Uzim Navocie. Krążyły pogłoski, że następny szef chce go zatrzymać w Biurze na jakimś innym stanowisku. W służbie, gdzie regularna rotacja kierownictwa stanowiła równie żelazną zasadę jak doktryna religijna, było to szokujące. Oficjalnie jednak nikt nie znał jego przyszłości.

- Były jakieś problemy z wyjazdem z Bejrutu? - spytał w końcu, jakby nagle się ocknął.

- Żadnych - odparł Michaił.

Navot strzepnął okruch ciastka kciukiem grubego palca wskazującego.

- Ktoś cię obserwował?

- Nie zauważyliśmy.

- A ten facet, który wsiadł z tobą do windy? Czy potem go widziałeś?

- Tak, w barze na dachu.

- Zauważyłeś coś podejrzanego?

- Tam wszyscy wydają się podejrzeni. W końcu to Bejrut.

Navot strzepnął okruch na talerz, po czym wyjął z akt fotografię i pchnął ją przez blat do Michaiła. Ukazywała mężczyznę siedzącego za kierownicą luksusowego samochodu na skraju nadmorskiego bulwaru. Szyby pojazdu były wybite, a kierowca zmasakrowany na krwawą miazgę i niewątpliwie martwy.

- Poznajesz go?

Michaił przyjrzał się zdjęciu, mrużąc oczy.

- Spójrz uważnie na auto.

Wtedy zrozumiał. Zmasakrowanym mężczyzną był Sami Haddad.

- Kiedy go dopadli?

- Wkrótce po tym, jak odwiózł cię na lotnisko. Ale to dopiero początek.

Navot przesunął po blacie kolejną fotografię. Przedstawiała wysadzony w powietrze budynek w eleganckim centrum Bejrutu. Była to galeria Mansourów przy rue Madame Curie. Na chodniku leżały liczne głowy i członki, tyle że nie ludzkie. Tym razem ofiarą ataku padły bezcenne zbiory Clovisa Mansoura.

- Miałem nadzieję - podjął po chwili Navot - że końcówka mojej kadencji upłynie bez incydentów. Tymczasem w jednej chwili tracimy naszego najlepszego kontraktowego pracownika w Bejrucie oraz informatora zwerbowanego kosztem wielu starań i czasu.

- Zawsze to lepsze niż martwy agent operacyjny.

- Pozwól, że ja to ocenię. - Navot wziął fotografię i na powrót wsunął je do akt. - Co miał dla ciebie Mansour?

- Wiedział, kto stoi za zamachem w Paryżu.

- Kto?

- Saladyn. A przynajmniej tak go nazywają.

- Saladyn? - powtórzył Navot, zamykając teczkę. - Przynajmniej coś na początek.

* * *

Navot pozostał w gabinecie jeszcze długo po wyjściu Michaiła. Na jego pustym biurku leżał oprawny w skórę notatnik, w którym zapisał jedno słowo: Saladyn... Tylko

człowiek wielkiej pychy i ambicji mógł przybrać taki przydomek. Prawdziwy Saladyn zjednoczył świat muzułmański pod dynastią Ajjubidów i odbił Jerozolimę z rąk krzyżowców. Możliwe, że nowy Saladyn miał podobne dążenia. Przecież już na wstępie zrównał z ziemią żydowską instytucję w centrum Paryża, atakując tym samym dwa kraje i dwie cywilizacje. Zapewne, myślał Navot, sukces tego przedsięwzięcia wzmógł w nim jeszcze żądzę krwi niewiernych. Kolejny atak jest zatem kwestią czasu.

Chwilowo Saladyn stanowi problem Francuzów. Ale fakt, że w zamachu zginęło czterech obywateli Izraela, uprawniał Navota do uczestnictwa w sprawie. Podobnie jak znajomość imienia, które Clovis Mansour zdradził Michaiłowi w Bejrucie. W gruncie rzeczy przy zręcznej taktyce tylko to powinno zapewnić Biuru udział w operacji. Navot wierzył w swoją zdolność perswazji. Jako były agent werbujący szpiegów potrafił w tej dziedzinie dokonać cudów. Pozostawało jednak pytanie, kto ma reprezentować interesy Biura w przypadku współpracy z Francuzami. Znał tylko jednego kandydata. Był nim legendarny agent, który od dwudziestego drugiego roku życia prowadził operacje na terenie Francji. Co więcej, ów agent osobiście znał Hannah Weinberg. Tyle że, niestety, premier miał wobec niego inne plany.

Sprawdził czas. Dwudziesta druga piętnaście. Sięgnął po telefon i połączył się z działem podróży.

- Muszę jutro rano lecieć do Paryża.
- Szósta czy dziewiąta?
- Szósta - odparł z rezygnacją.

- Kiedy powrót?

- Wieczorem.

- Załatwione.

Navot się rozłączył, po czym zatelefonował w jeszcze jedno miejsce. Pytanie, które zadał, padało wielokrotnie wcześniej.

- Kiedy on wreszcie skończy?

- Już niedługo.

- Kiedy?

- Może jeszcze dziś, najpóźniej jutro.

Odłożył słuchawkę i przebiegł wzrokiem przepastny gabinet, który wkrótce miał przekazać następcy.

Najpóźniej jutro...

Może, pomyślał. A może nie.

5

Muzeum Izraela, Jerozolima

W głębi pracowni konserwacji zabytków z białego sufitu opadała na białą posadzkę czarna zasłona. Za nią stały dwie identyczne włoskie sztalugi z dębowego drewna, dwie lampy halogenowe, kamera Nikon na trójnogu, paleta malarska, mały kłębek bawełny, stary odtwarzacz pomazany farbą w różnych kolorach oraz stolik na kółkach zastawiony barwnikami i rozpuszczalnikami, wśród których leżało kilka sobolowych pędzli Winsor & Newton Series

7. Przez większość ostatnich czterech miesięcy konserwator pracował sam, czasem do późna w nocy, czasem zaczynał jeszcze przed świtem. Nie miał takich uprawnień jak inni w muzeum, gdyż jego faktyczne miejsce pracy znajdowało się gdzie indziej. Etatowym pracownikom polecono, by nikomu nie zdradzali jego obecności, a nawet nie wspominali imienia. Obowiązywał również zakaz rozmów na temat wielkiego obrazu ołtarzowego, dzieła włoskiego mistrza, który teraz odzyskiwał dawną świetność. Obraz bowiem miał groźną i tragiczną przeszłość, podobnie jak jego renowator.

Był mężczyzną niewysokiego wzrostu, niewiele ponad metr siedemdziesiąt, i szczupłej budowy. Miał wysokie czoło, wąski podbródek, wydatne kości policzkowe i długi smukły nos, który sprawiał wrażenie wyrzeźbionego w drewnie. Krótko ostrzyżone ciemne włosy srebrzyła na skroniach siwizna,

a oczy lśniły niespotykanym odcieniem zieleni. Jego wiek był jednym z najściślej strzeżonych sekretów Izraela. Gdy stosunkowo niedawno cała światowa prasa zamieściła jego nekrologi, wiarygodna data urodzin nigdzie się nie pojawiła.

Informacja o jego śmierci była niezbędna dla przeprowadzenia skomplikowanej akcji. Miała służyć zmyleniu wrogów w Moskwie i Teheranie. Dzięki powodzeniu tej mistyfikacji mógł dokonać na nich odwetu.

Wkrótce po tym, jak wrócił do Jerozolimy, żona urodziła bliźniaki - dziewczynkę, której po jego matce nadali imię Irene, i synka Raphaela. Wszyscy troje - matka, córka i syn - zostali otoczeni przez Państwo Izrael ścisłą ochroną. Podobnie jak sam konserwator. Przyjeżdżał i wyjeżdżał opancerzonym amerykańskim SUV-em w asyście dwudziestopięcioletniego ochroniarza, zawodowego zabójcy o sarnich oczach, który nieustannie czuwał przed drzwiami pracowni.

Gdy w pewną ciemną i mokrą grudniową środę, kilka dni po narodzinach swych dzieci, pojawił się w muzeum, pracownicy działu konserwacji zabytków doznali szoku, a zarazem głębokiej ulgi. I choć ich ostrzegano, że nie lubi, by obserwowano go podczas pracy, wciąż ktoś zaglądał za kotarę, by na własne oczy zobaczyć słynne arcydzieło.

Prawdę mówiąc, nie miał im tego za złe. Obraz Caravaggia „Boże Narodzenie ze św. Franciszkiem i św. Wawrzyńcem” uchodziło za najwybitniejsze zaginione dzieło sztuki na świecie. Skradzione z Oratorium św. Wawrzyńca w Palermo w październiku

1969 roku, znajdowało się teraz formalnie w posiadaniu

Watykanu. Stolica Apostolska rozważnie postanowiła nie informować opinii publicznej o pracach renowacyjnych, którym poddano obraz, aż

do czasu ich zakończenia. Podobnie jak wiele innych wypowiedzi Watykanu, i tym razem komunikat brzmiał bardzo lakonicznie. Przemilczał fakt, że arcydzieło zostało odnalezione w kościele na północy Włoch, w miasteczku Brienne. I że dokonał tego legendarny agent izraelskiego wywiadu, Gabriel Allon. A także, iż to właśnie jemu powierzono dzieło renowacji słynnego płótna.

W swej długoletniej karierze Gabriel przeprowadził wiele poważnych prac konserwatorskich. Kiedyś nawet odnawiał przebity kulą portret pędzla Rembrandta. Ale ołtarzowy obraz Caravaggia był niewątpliwie najbardziej zniszczonym z płócien, jakie dotąd spotkał. Niewiele wiedziano o jego długiej drodze z Oratorium św. Wawrzyńca do kościółka, w którym go odnalazł. Mnożyły się natomiast liczne hipotezy. Wedle jednej z nich był przetrzymywany przez mafijnego bossa i prezentowany z okazji ważnych spotkań gangów. Inne głosiły, że został pogryziony przez szczury, zalany podczas powodzi, a nawet podpalony. Gabriel wiedział tylko jedno – uszkodzenia i ubytki płótna, aczkolwiek poważne, były odwracalne. Natomiast Efraim Cohen, szef działu konserwacji, żywił co do tego poważne wątpliwości. Gdy po raz pierwszy zobaczył malowidło, poradził, by Allon udzielił mu ostatniego sakramentu i odesłał arcydzieło do Watykanu w tej samej drewnianej trumnie, w której przybyło.

- Człowieku małej wiary... - westchnął Gabriel.

- Nie wiary - odparł Cohen - lecz talentu.

Podobnie jak inni członkowie zespołu, on również słyszał o przekroczonych terminach, porzuconych zobowiązaniach i opóźnionych uroczystościach kościelnych. Ślimacze tempo pracy Gabriela było powszechnie znane i równie legendarne, jak sukcesy jego tajnych operacji na terenie Europy i Bliskiego Wschodu. Wkrótce jednak wszyscy zrozumieli, że ta powolność jest celowa. Sztuka renowacji, wyjaśniał Cohenowi, fachowo przywracając rysy twarzy św. Franciszka, przypomina sztukę miłości. Wymaga czasu i troski o szczegóły, a także chwil wytchnienia dla odnowy sił. W sumie jednak, gdy majster i dzieło dobrze się poznają, można wykonać pracę naprawdę szybko.

- Caravaggio to twój stary przyjaciel? - spytał Cohen.

- Współpracowaliśmy w przeszłości.

- A więc te pogłoski są prawdziwe?

Gabriel który dotąd malował prawą ręką, przełożył pędzel do lewej i pracował dalej w niezmiennym tempie.

- Jakie pogłoski? - spytał po chwili.

- Że renowacja „Zdjęcia z krzyża” dla Muzeów Watykańskich jest twoją zasługą.

- Nigdy nie słuchaj pogłosek, Efraim. Zwłaszcza kiedy chodzi o mnie.

- Ani wiadomości w telewizji - ponuro mruknął Cohen.

Godziny jego pracy były nieregularne i nieprzewidywalne. Zdarzało się, że nie zjawiał się przez cały dzień, lecz gdy rano Cohen przybywał do muzeum, jego oczom ukazywał się świeżo odrestaurowany duży fragment płótna. To pewne, myślał, że

Allon ma sekretnego pomocnika. Lub że sam Caravaggio zakrada się nocą do muzeum z mieczem w jednej i pędzlem w drugiej ręce, by uczestniczyć w pracy. Po jednej ze szczególnie owocnych nocnych sesji, podczas której cała postać Najświętszej Marii Panny odzyskała swoją dawną świetność, Cohen postanowił sprawdzić nagranie z kamer. Okazało się, że Gabriel wszedł do pracowni o dziesiątej trzydzieści wieczorem i opuścił ją o siódmej dwadzieścia nazajutrz rano. Nie było przy nim nawet ochroniarza o sarnich oczach. Może to i prawda? – myślał Cohen, patrząc, jak bezszelestna postać przecina w półmroku hol z prędkością jednej klatki na sekundę. Może on naprawdę jest archaniołem?

Gdy pracował w normalnych godzinach, zawsze towarzyszyła mu muzyka. Szczególnie lubił „Cyganerię”. W istocie słuchał jej tak często, że Cohen, który nie znał słowa po włosku, wkrótce umiał zaśpiewać z pamięci „Che gelida manina”. Kiedy zniknął za zasłoną, nie wyłaniał się stamtąd dopóty, dopóki nie wykonał planu. Zarówno przechadzki, by zaczerpnąć powietrza w muzealnym ogrodzie rzeźb, jak też wyprawy do baru po zastrzyk kofeiny, były mu obce. Zza zasłony docierały tylko dźwięki muzyki, miękki szelest pędzla i czasem kliknięcie kamery rejestrującej niestrudzone postępy jego pracy. Przed wyjściem starannie mył pędzle i paletę, a także porządkował stolik na kółkach. Najwyraźniej po to, myślał Cohen, by sprawdzić, czy nikt nie rusza tam czegoś pod jego nieobecność. Potem muzyka cichła, halogenowa lampa gasła, a on odchodził, żegnając wszystkich krótkim skinieniem

głowy.

Z początkiem kwietnia, gdy zimowe deszcze stały się wspomnieniem i nadeszły długie ciepłe dni, Gabriel zaczął gorączkowo zmierzać do mety, którą widział tylko on. Pozostał mu jeszcze skrzydlaty aniołek – chłopczyk o skórze barwy kości słoniowej, unoszący się w górnej części kompozycji. To dziwne, że zostawił go na sam koniec, myślał Cohen. Tym bardziej że aniołek miał znaczne ubytki – jego kończyny odarte były z farby, a biała szata postrzępiona. Tylko wzniesiona ku niebu prawa ręka nie uległa zniszczeniu. Gabriel odtworzył tę postać w maratonie wielogodzinnych sesji. Zapamiętali to wszyscy nie tylko ze względu na towarzyszącą im ciszę – tym razem nie słuchał muzyki – lecz również dlatego, że wtedy, gdy przywracał włosom cherubinka kasztanowy blask, w Paryżu wybuchła duża bomba.

Wpatrzony w niewielki ekran stojącego w pracowni telewizora zastygł z paletą w ręku, patrząc, jak ratownicy wyciągają z rumowiska ludzkie ciała. A gdy na ekranie pojawiła się fotografia kobiety, Hannah Weinberg, wzdrygnął się, jakby dosięgł go niewidzialny cios. Twarz mu pociemniała, a w zielonych oczach zapłonął gniew. Cohen chciał nawet zapytać, czy znał tę kobietę, lecz w końcu zrezygnował. Bo choć każdy mógł z nim gawędzić o malarstwie i pogodzie, to gdy wybuchały bomby, należało chyba zachować dystans.

Ostatniego dnia, wtedy gdy Uzi Navot poleciał do Paryża, Gabriel pojawił się w pracowni przed świtem i został w swej enklawie jeszcze długo po zamknięciu muzeum. Efraim Cohen również znalazł pretekst, by siedzieć tam do późna,

przeczuwał bowiem, że praca dobiega końca, i pragnął być świadkiem tej chwili.

Wkrótce po ósmej wieczorem usłyszał znajomy odgłos. Konserwator odłożył pędzel Winsor & Newton Series 7 na aluminiowy blat stolika. Cohen zerknął ukradkiem przez wąską szczelinę w zasłonie i zobaczył go, jak stoi przed płótnem, z ręką wspartą na brodzie i lekko przechyloną w bok głową. Trwał w tej pozycji nieruchomo jak postaci z obrazu aż do chwili, gdy ciemnooki ochroniarz wszedł za zasłonę i gwałtownie wcisnął mu w dłoń komórkę. Niechętnie podniósł ją do ucha, wysłuchał w milczeniu rozmówcy, a potem mruknął coś, czego Cohen nie zrozumiał. Chwilę później wyszli razem z ochroniarzem.

Efraim Cohen, widząc, że jest sam, wsunął się za zasłonę, stanął przed arcydziełem i wstrzymał oddech. Na koniec wziął ze stolika pędzel Winsor & Newton i wsunął go do kieszeni roboczego fartucha. To niesprawiedliwe, myślał, gasząc halogenową lampę. Może on naprawdę jest archaniołem?

6

Ma'ale ha-Chamisza, Izrael

Stary kibuc Ma'ale ha-Chamisza leży na strategicznym wzgórzu wśród skalistych terenów na zachód od Jerozolimy, nieopodal arabskiego miasta Abu Ghusz. Powstał w czasie arabskiej rewolucji lat 1936-1939 i jest jednym z pięćdziesięciu siedmiu tak zwanych obronnych osad, pospiesznie zakładanych w Brytyjskim Mandacie Palestyny dla umocnienia żydowskiej obecności na tych ziemiach, a w konsekwencji wsparcia dążeń syjonistycznych do odzyskania starożytnego królestwa Izraela. Jego nazwa, „Powstanie Pięciu”, jest niezbyt subtelnym wyrazem pamięci o arabskim terroryście, który zginął z rąk pięciu Żydów z kibucu w przygotowanej nieopodal zasadzce.

Pomimo krwawych okoliczności swego powstania kibuc rozkwitł, handlując kalafiorami i brzoskwiniami, a ponadto czerpał dochody z uroczego górskiego hotelu. Ari Szamron, szara eminencja izraelskiego wywiadu, pełniąc przez dwie kadencje funkcję szefa Biura, często korzystał z tego obiektu. Odbywał tu spotkania wówczas, gdy siedziba przy bulwarze Króla Saula oraz konspiracyjne mieszkanie nie spełniały wymaganych warunków. Jedno z takich spotkań odbyło się w piękne wrześniowe popołudnie 1972 roku. Zaproszenie dość niechętnie przyjął obiecujący młody artysta malarz, Gabriel Allon. Szamron wyłuskał go spośród studentów Szkoły

Sztuk Pięknych Besaleel w określonym celu. Podczas igrzysk olimpijskich w Monachium palestyńska organizacja terrorystyczna Czarny Wrzesień zamordowała jedenastu izraelskich sportowców i trenerów. Szef Biura postanowił dokonać odwetu, zaś młody artysta, który długo mieszkał w Europie i mówił po niemiecku bez obcego akcentu, mógł stać się narzędziem zemsty. W młodzieńczym odruchu protestu Gabriel powiedział, by poszukali kogoś innego. Ale Szamron, po raz pierwszy, lecz nie ostatni, nakłonił go do spełnienia swej woli.

Operację opatrzone kryptonimem Gniew Boży. Ta nazwa miała nadać jej rangę boskiej sankcji. Przez trzy lata Gabriel i jego mały zespół tropili swe ofiary w całej Europie Zachodniej i na Bliskim Wschodzie. Zabijali w nocy i w biały dzień, z pełną świadomością, że w każdej chwili mogą zostać schwytani i aresztowani przez lokalne władze pod zarzutem morderstwa. Zlikwidowali łącznie dwunastu członków Czarnego Września. Gabriel osobiście zastrzelił sześciu ze swej beretty, kaliber.22, a gdy tylko było to możliwe, każdorazowo oddawał jedenaście strzałów, po jednym za każdego zamordowanego Żyda. Lata napięcia i wyczerpanie naznaczyły jego skronie pasmami siwizny. Gdy wrócił do Izraela, Szamron przyrównał je do smug popiołu na włosach księcia ognia.

Gabriel zamierzał znów podjąć swą artystyczną twórczość, ale za każdym razem, gdy stawał przed sztalugami, widział tylko twarze tych, których zabił. W końcu z błogosławieństwem Szamrona wybrał się do Wenecji jako

mieszkający za granicą Włoch o nazwisku Mario Delvecchio, który chce poznać sztukę konserwacji obrazów. Po ukończeniu praktyki wrócił jednak do Biura w stęsknione ramiona szefa.

Odgrywając rolę utalentowanego, choć małomównego konserwatora z Europy, zlikwidował kilku najgroźniejszych wrogów Izraela, w tym Abu Dżihada, słynnego zastępcę Jasira Arafata, którego zabił w Tunisie na oczach żony i dzieci. Arafat nie pozostał mu dłużny. Na jego zlecenie terroryści podłożyli bombę pod samochód Gabriela, który mieszkał wówczas w Wiedniu. Eksplozja zabiła jego małego synka, Daniela, i ciężko raniła Leah, pierwszą żonę. Kobieta przebywała obecnie w szpitalu psychiatrycznym, położonym – patrząc z Ma'ale ha-Chamisza – po drugiej stronie górskiego grzbietu, na zawsze uwięziona w klatce swej pamięci i poparzonego ogniem ciała.

Szpital natomiast powstał na terenie starej arabskiej wioski Dajr Jasin, gdzie żydowscy wojownicy z paramilitarnych organizacji Irgun i Lehi dokonali masakry ponad stu Palestyńczyków nocą dziewiątego kwietnia 1948 roku. Była w tym okrutna ironia, że okaleczona żona izraelskiego mściciela mieszkała wśród duchów Dajr Jasin. Ale tak wyglądało życie w Ziemi Podwójnie Obiecanej. Przeszłość nie dawała się zapomnieć. Arabów i Żydów wiązały nienawiść, krew i ofiary. Za karę skazani zostali na los wiecznie zwalczających się sąsiadów.

Lata po zamachu w Wiedniu były dla Gabriela czasem straconym. Żył jak pustelnik w Kornwalii lub wędrował po Europie, konserwując obrazy. Próbował zapomnieć. W końcu

Szamron znów się o niego upomniał i więź z Biurem została odnowiona. Działając na zlecenie swego mocodawcy, Gabriel przeprowadził kilka najśłynniejszych operacji w historii izraelskiego wywiadu. Odtąd jego miarą oceniano wszystkich kandydatów na stanowisko szefa, zaś ofiarą tych porównań padł przede wszystkim Uzi Navot. Podobnie jak Arabowie i Żydzi w Palestynie, tak Gabriel i Navot byli nierozłącznie z sobą związani. Obu ich bowiem Ari Szamron uważał za swych synów, spadkobierców, którym miał powierzyć los stworzonego przez siebie imperium. Gabriel, starszy z nich, był pewien miłości ojca, podczas gdy Navot wiecznie musiał o nią walczyć. Stanowisko szefa wywiadu otrzymał tylko dlatego, że Allon nie chciał go przyjąć. Teraz jednak, gdy powtórnie się ożenił i został ojcem, w końcu gotów był zająć należne mu miejsce w gabinecie przy bulwarze Króla Saula. Dla Uziego Navota była to *nakba* - tym słowem Arabowie określali katastrofę wygnania z palestyńskiej ziemi w 1948 roku.

Stary hotel w Ma'ale ha-Chamisza stał nieco ponad kilometr od granicy z 1967 roku, toteż z tarasu restauracji można było dojrzeć żółte światła żydowskich osad spływające równomiernie w dół zbocza aż do Zachodniego Brzegu. Taras tonął w mroku, tylko kilka przygasających na wietrze świec słabo migotało na pustych stołach. Navot siedział samotnie w odległym kącie, tym samym, przy którym Szamron czekał wrześniego popołudnia 1972 roku. Gabriel podszedł do niego, usiadł i podniósł kołnierz skórzanej kurtki, osłaniając się przed chłodem. Navot milczał. Patrzył w dół na światła

Har Adar, pierwszej izraelskiej osady za starą Zieloną Linia.

- Mazeł tow^[3] - odezwał się w końcu.

- Za co?

- Za obraz - odrzekł Navot. - Podobno jest niemal gotów.

- Kto ci to powiedział?

- Przyglądałem się twoim postępom. Podobnie jak premier. Spojrzał na Gabriela przez szkła okularów bez oprawek.

- Naprawdę skończyłeś?

- Chyba tak.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że rano chcę mu się jeszcze przyjrzeć. Jeśli mi się spodoba, nałożę warstwę werniksu i odeślę go do Watykanu.

- Zaledwie dziesięć dni po terminie.

- Właściwie jedenaście. Ale kto by to liczył?

- Ja. - Navot uśmiechnął się ze smutkiem. - Korzystałem z odroczenia wyroku, choć trwało to krótko.

Zapadła cisza. I nie była to cisza przyjazna.

- Na wypadek, gdyby umknęło to twojej uwadze - odezwał się w końcu Navot - czas już, żebyś podpisał swój nowy kontrakt i wprowadził się do mojego gabinetu. W gruncie rzeczy zamierzałem spakować się dzisiaj, ale muszę odbyć jeszcze jedną podróż w roli szefa.

- Dokąd?

- Mam informację, którą muszę przekazać naszym francuskim braciom. Chodzi o zamach na Centrum Weinberga. Chciałbym też sprawdzić, czy ścigają sprawców wystarczająco energicznie. W końcu zginęło czterech obywateli Izraela, nie

mówiąc o kobiecie, która kiedyś oddała nam wielką przysługę.

- Czy oni wiedzą o naszych powiązaniach?

- Francuzi?

- Tak, Uzi. Francuzi.

- Po zamachu wysłałem do jej mieszkania naszych ludzi, żeby się rozejrzeli.

- I co?

- Nigdzie nie znaleźli wzmianki o izraelskim oficerze wywiadu, który ongiś pożyczył od niej van Gogha, żeby wytropić pewnego terrorystę. Ani też odniesień do niejakiego Zizi al-Bakariego, menedżera inwestycyjnego spółki Domu Saudów i kierownictwa dżihadu. - Navot zamilkł, po czym dodał: - Niech spoczywa w spokoju.

- Co z obrazem?

- Był tam, gdzie zawsze. Teraz myślę, że należało go zabrać.

- Dlaczego?

- Jak zapewne pamiętasz, nasza Hannah nie była mężatką. Nie miała też potomstwa. Jeśli chodzi o obraz, jej wola była jednoznaczna. Niestety francuski wywiad dotarł do jej prawnika, zanim ten zdołał skontaktować się z nami.

- O czym ty mówisz, Uzi?

- Wygląda na to, że w kwestii opieki nad van Goghciem Hannah ufała tylko jednemu człowiekowi na świecie.

- Komu?

- Oczywiście tobie. Ale jest pewien problem - dodał Navot. - Francuzi wzięli obraz w zastaw. I domagają się dość wysokiego okupu.

- Ile?

- Oni nie chcą pieniędzy, Gabrielu. Oni chcą ciebie.

Ma'ale ha-Chamisza, Izrael

Navot położył na stole fotografię. Przedstawiała ulicę Bejrutu, a na niej rumowisko, które pozostało z galerii sztuki starożytnej.

- Przypuszczam, że to widziałeś.

Gabriel wolno skinął głową. Czytał w prasie o śmierci Clovisa Mansoura, ale wobec zamachu w Paryżu wybuch bomby w Bejrucie zszedł na drugi plan. Nikt też nie próbował doszukać się związku między tymi wydarzeniami ani też sugerować, że Clovis Mansour mógł być płatnym agentem jakiegoś obcego wywiadu. W rzeczywistości dostawał wynagrodzenie z co najmniej czterech źródeł - od CIA, MI6, wywiadów jordańskiego oraz izraelskiego. Gabriel wiedział o tym, ponieważ, przygotowując się do objęcia kierownictwa Biura, zapoznał się dokładnie z wszystkim raportami na temat bieżących działań operacyjnych oraz osobowych źródeł informacji.

- Clovis był jednym z naszych najlepszych informatorów w Bejrucie - ciągnął Navot. - Zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodziły transakcje finansowe. Ostatnio śledził udział ISIS w nielegalnym handlu antykami. I dlatego domagał się spotkania dzień po wybuchu w Paryżu.

- Kogo tam wysłałeś?

Navot odpowiedział.

- Od kiedy to Michaił jest kurierem?

Navot bez słowa położył na stole inne zdjęcie, nie najlepszej jakości nagranie z kamery. Przedstawiało dwóch mężczyzn siedzących przy małym okrągłym stole. Jednym z nich był Clovis Mansour, ubrany jak zawsze wytwornie, natomiast jego rozmówca wyglądał tak, jakby wypożyczył swe okrycie specjalnie na to spotkanie. Pośrodku stołu, na kawałku zielonego sukna, leżała naturalnej wielkości kamienna głowa z oczyma patrzącymi pusto w dal. Gabriel rozpoznał eksponat z czasów rzymskich. Przypuszczał, że biednie ubrany człowiek ma nie tylko fragment posągu, lecz może nawet całość. Idealnie zachowana głowa była jedynie reklamą.

- Nie widzę daty ani godziny.

- Dwudziesty drugi listopada, szesnasta piętnaście.

- Kim jest ten facet z rzymską głową?

- Według jego wizytówki nazywa się Ijad al-Hamza.

- Libańczyk?

- Syryjczyk - sprostował Navot. - Wygląda na to, że przyjechał do miasta ciężarówką załadowaną starożytnościami - greckimi, rzymskimi i perskimi. Wszystkie na sprzedaż i wszystkie najwyraźniej świeżo wydobyte. Wśród miejsc, w których zamierzał upłynnić towar, znajdowała się również Gallerie Mansour. Clovis wyraził zainteresowanie kilkoma eksponatami, ale po dyskretnym zebraniu informacji odstąpił od transakcji.

- Dlaczego?

- Bo mówiono, że ów syryjski dżentelmen, sprzedając zrabowane zabytki, wspiera Państwo Islamskie. Ale

najwyraźniej nie były to fundusze przeznaczone na ogólny użytek ISIS. Syryjczyk działał w imieniu islamskiego lidera, który organizował siatkę terrorystyczną szkoloną do atakowania celów w krajach Zachodu.

- Czy ten lider ISIS ma jakieś imię?
- Nazywają go Saladynem.

Gabriel uniósł wzrok znad fotografii.

- Ambitne - mruknął.
- Trudno zaprzeczyć.
- Domyślam się, że Clovis nie zdołał poznać jego prawdziwej tożsamości.

- Nie miał aż tyle szczęścia.

- Narodowość?

- Całe kierownictwo ISIS to Irakijczycy. Traktują Syryjczyków jak woły robocze.

Gabriel ponownie spojrział na fotografię.

- Czemu Clovis wcześniej nam tego nie powiedział?

- Zapewne umknęło to jego uwadze.

- A może zwyczajnie kłamał?

- Clovis Mansour? Kłamał? Jak możesz sugerować coś podobnego!

- To libański handlarz antyków.

- Masz jakąś hipotezę? - spytał Navot.

- Mam przeczucie, że Clovis zrobił fortunę na sprzedaży tych zabytków. Ale kiedy w sercu Paryżu wybuchła bomba, pomyślał, że lepiej się zabezpieczyć. Poczęstował nas zatem wzruszającą historyjką o tym, jak szlachetnie odrzucił ofertę powiązaną z ISIS.

- Ta wzruszająca historyjka - odrzekł Navot - kosztowała go życie.

- Skąd wiesz?

- Bo zabili również Samiego Haddada. Oszczędzę ci widoku fotografii.

- Dlaczego tylko Clovisa i Samiego? Dlaczego nie Michała?

- Zadawałem sobie również to pytanie.

- I?

- Nie wiem. Cieszę się tylko, że go nie zabili. To zepsułoby mi przyjęcie pożegnalne.

Gabriel oddał fotografię.

- Ile z tego powiedziałaś Francuzom?

- Tyle, by wiedzieli, że plan zamachu na Centrum Weinberga powstał w kalifacie. Zresztą nie zaskoczyłem nikogo. Doskonale wiedzieli o powiązaniach z Syrią. Sprawcy zamachu w ostatnim roku tam wyjeżdżali. Zarówno kobieta, Francuzka algierskiego pochodzenia, jak i jej współnik, obywatel Belgii, mieszkaniec brukselskiej dzielnicy Molenbeek.

- Belgia? Coś podobnego! - zadrwił Gabriel.

Tysiące muzułmanów z Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec wyjeżdża do Syrii, by zasilić szeregi ISIS, ale mała Belgia zyskała wątpliwą sławę największego (w przeliczeniu na głowę) europejskiego dostawcy ludzkich zasobów dla islamskiego kalifatu.

- Gdzie oni teraz są? - spytał Gabriel.

- Minister spraw wewnętrznych Francji za kilka minut poinformuje, że zbiegli do Syrii.

- Jak się tam dostali?
- Samolotem Air France na pożyczonych paszportach.
- No tak... - Zapadła cisza. W końcu Gabriel spytał: - Ale co to ma wspólnego ze mną, Uzi?
- Francuzi są mocno zaniepokojeni. Uważają, że ISIS organizuje w ich kraju szeroko zakrojoną sieć terrorystyczną.
- Doprawdy?
- Obawiają się również - ciągnął Navot, ignorując jego sarkazm - że niebawem islamiści znów zaatakują. Oczywiście, chcieliby ich zneutralizować, zanim to nastąpi. A także, abys ich w tym wspomógł.
- Dlaczego ja?
- Wygląda na to, że masz wielbiciela w łonie francuskich służb. Nazywa się Paul Rousseau. Kieruje małą jednostką operacyjną o nazwie Grupa Alfa. Chce jutro rano spotkać się z tobą w Paryżu.
- Albo?
- Obraz nigdy nie opuści Francji.
- Mam jutro spotkanie z premierem. Zamierza obwieścić światu, że nie zginąłem w zamachu bombowym na Brompton Road, a także poinformować o mojej nominacji na nowego szefa Biura.
- Owszem - potwierdził sucho Navot. - Wiem.
- Może to ty zająłbyś się Francuzami?
- Sugerowałem takie rozwiązanie.
- I?
- Chcą tylko ciebie. - Zamilkł, po czym dodał: - Nic nowego. Gabriel nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Ale ma to i dobrą stronę - ciągnął Navot. - Zdaniem premiera współdziałanie z Francuzami wpłynie na poprawę stosunków z krajem, który kiedyś był naszym cennym i wiarygodnym sojusznikiem.

- Dyplomacja za pomocą operacji specjalnych?

- Mniej więcej.

- No cóż - skapitulował Gabriel. - Wygląda na to, że omówiliście to już z premierem.

- To pomysł Paula Rousseau, nie nasz.

- Czyżby, Uzi?

- Co ty sugerujesz? Że wymyśliłem to wszystko, żeby trochę dłużej utrzymać się na stanowisku?

- Czy nie tak?

Navot machnął ręką, jakby chciał się od czegoś opędzić.

- Weź tę sprawę, Gabrielu. Jeśli nie z innych powodów, to przez wzgląd na Hannah Weinberg. Dotrzyj do tej siatki. Dowiedz się, kim naprawdę jest ten Saladyn i gdzie działa. I zlikwiduj go, nim wybuchnie kolejna bomba.

Gabriel zapatrzył się na północ, gdzie w oddali ciemniał górski masyw dzielący Izrael od tego, co pozostało z Syrii.

- Nie masz nawet pewności, czy on istnieje, Uzi. To przecież tylko pogłoski.

- Ktoś zaplanował i szczegółowo zorganizował ten atak pod nosem francuskich służb. I nie była to dwudziestodziewięciolatka z *banlieues* ani jej kompan z Brukseli. Ten zamach był prawdziwy.

Ekran komórki Navota rozbłysł jak zapalka w ciemności. Podniósł aparat do ucha i zaraz podał go Gabrielowi.

- Kto to?
- Premier.
- Czego chce?
- Odpowiedzi.

Gabriel przez chwilę patrzył na telefon.

- Powiedz mu, że muszę porozmawiać z najważniejszą osobą w Państwie Izrael. I że zadzwonię do niego jutro rano.

Navot powtórzył i się rozłączył.

- Co powiedział?

Navot się uśmiechnął.

- Życzy powodzenia.

8

Ulica Narkiss, Jerozolima

Szum opon SUV-a, którym Gabriel wracał do domu, zakłócił głęboką ciszę ulicy Narkiss. Otworzył tylne drzwi, wysiadł i minawszy żelazną bramę, ruszył przez ogrodową ścieżkę do budynku z piaskowca. Gdy wszedł na drugie piętro, spostrzegł, że drzwi jego mieszkania są lekko uchylone. Powoli je otworzył i w przyćmionym świetle ujrzał Chiare, która siedziała na białej kanapie z dzieckiem przy piersi. Było otulone kocykiem i dopiero podchodząc bliżej, Gabriel zobaczył, że to Raphael. Chłopczyk odziedziczył rysy swego ojca, a zatem i przyrodniego brata, którego nigdy nie miał poznać. Gabriel musnął delikatne jak puch ciemne włoski, a potem schylił się, by pocałować ciepłe wargi Chiary.

- Jeśli go zbudzisz - szepnęła - zabiję cię.

Uśmiechając się, Gabriel zsunął zamszowe mokasyny i w skarpetkach ruszył na palcach do pokoju dzieciennego. Dwie kołyski stały obok siebie pod ścianą pomalowaną w chmurki. Było to dzieło Chiary, które pospiesznie poprawiał po powrocie do Izraela ze swej - jak zakładał - ostatniej operacji. Stanął przy poręczu jednej z kołysek i patrzył na śpiącą Irene. Nie odważył się jej dotknąć. Raphael przesypiał już spokojnie całe noce, ale ona właśnie wtedy się ożywiła, głośnym szantażem wymuszając dla siebie miejsce w łóżu rodziców. Była mniejsza i drobniejsza od swego pulchnego

brata, ale znacznie bardziej uparta i niezależna. Gabriel uważał, że ma wszelkie zadatki na rasowego szpiega. Ale nigdy by na to nie pozwolił. Lekarz, malarz, poeta – owszem. Wszystko, byle nie szpieg. Nie będzie miał następcy, nie stworzy dynastii. Dom Allonów zniknie wraz z nim.

Spojrzał w górę – tam, gdzie wśród chmur namalował twarz Daniela, ale jego rysy pograżyły się w mroku. Po chwili bezszelestnie wycofał się z pokoju, zamykając drzwi, i ruszył do kuchni. W powietrzu unosił się kuszący aromat mięsa duszonego w czerwonym winie i ziołach. Zerknął przez szybę do piekarnika i zobaczył na ruszcie pomarańczowy rondel z przykrywką. Obok piecyka, jak na obrazku w książce kucharskiej, stały produkty do słynnego risotta Chiary: ryż arborio, starty ser reggiano, masło, białe wino i duży kubek domowego rosółu z kurczaka. Była tam również zakorkowana butelka galilejskiego syraha. Gabriel otworzył ją, nalał wino do kieliszka i wrócił do salonu.

Cicho usiadł w fotelu naprzeciwko Chiary, myśląc nie po raz pierwszy, że to mieszkanie w starej dzielnicy Nachlaot jest za małe dla czteroosobowej rodziny i zbyt odległe od bulwaru Króla Saula. Lepszy byłby dom gdzieś na świeckich przedmieściach ciągnących się wzdłuż nadbrzeżnego pasa równin albo duże mieszkanie w jednym z eleganckich wieżowców, które wyrastały z dnia na dzień nad brzegiem morza. Ale Jerozolima, podzielone miasto na wzgórzach, zupełnie go zniewoliła. Kochał jej budynki z piaskowca, zapach sosen, a zimą wiatry i deszcze. Kochał świątynie, pielgrzymów i ultraortodoksów, haredi, którzy krzyczeli na niego

z oburzeniem, gdy jeździł w szabas samochodem. Kochał nawet Arabów ze Starego Miasta, którzy przyglądali mu się podejrzliwie, gdy na suku mijał ich stragany, jakby wiedząc, że to on zlikwidował tak wielu spośród świętych patronów terroryzmu. I choć nie był człowiekiem religijnym, uwielbiał zaglądać do Dzielnicy Żydowskiej, by stanąć tam przed kamiennymi blokami Zachodniej Ściany.

Gabriel skłonny był uznać kompromis terytorialny w celu zapewnienia realnego trwałego pokoju z Palestyńczykami i ze światem arabskim, prywatnie jednak uważał, że prawo do Ściany Płaczu nie podlega żadnym negocjacjom. Nigdy więcej granica nie może przecinać serca Jerozolimy, a Żydzi nigdy już nie mogą być zmuszani do ubiegania się o zgodę na odwiedzinę ich najświętszego miejsca. Ściana była teraz częścią Izraela i pozostanie nią tak długo, jak długo Izrael będzie istnieć. W tym gorącym zakątku Śródziemnomorza królestwa i cesarstwa zawsze pojawiały się i znikwały jak zimowe deszcze. Pewnego dnia zniknie również współczesne wcielenie Izraela. Ale nie za jego życia i nie dopóki, dopóty będzie sprawować urząd szefa wywiadu izraelskiego.

Sącząc syrah o lekkim aromacie ziemi i pieprzu, patrzył na Chiare i Raphaela, jakby widział postaci ze stworzonego przez siebie obrazu. Dziecko oderwało się od piersi matki i teraz syte i spokojne leżało w jej ramionach. Chiara spoglądała na nie ze spuszczoną głową. Jej długie kręcone włosy z kasztanowym połyskiem opadały na ramię, a szczupły nos i broda tworzyły doskonały półprofil.

Była to twarz ponadczasowej piękności. Widział w niej ślady

Arabii, Afryki Północnej i Hiszpanii, a także wszystkich innych miejsc, które przewędrowali jej przodkowie, nim osiedli w starożytnym żydowskim getcie w Wenecji. To właśnie tam przed dziesięcioma laty w małym biurze w pobliżu głównego placu ujrzał tę piękną, pewną siebie i aż nazbyt wykształconą córkę głównego rabina miasta. Nie wiedział tylko, że jest ona również związana z Biurem jako bat lewejha, agentka prowadząca. Ujawniła się niedługo potem w Rzymie po związanym ze strzelaniną incydencie, w który zaangażowana była włoska policja. Uwięziony samotnie z Chiarą w mieszkaniu konspiracyjnym, rozpaczliwie pragnął jej dotknąć. Czekał jednak do zamknięcia sprawy i powrotu do Wenecji. Tam, w domu nad kanałem w starej dzielnicy Cannaregio, po raz pierwszy się kochali. Zdawało mu się wtedy, że dotyka istoty namalowanej pędzlem Veronesego.

Była dla niego o wiele za młoda, a on był o wiele za stary, by znów zostać ojcem. Tak przynajmniej myślał do chwili, gdy jego dzieci – najpierw Raphael, a potem Irene – w błysku chirurgicznego cięcia wyłoniły się z brzucha Chiary. W tym momencie wszystko, co działo się przedtem, zdało mu się tylko podróżą do tego miejsca – eksplozja bomby w Wiedniu, lata narzuconego sobie wygnania, długie hamletowskie rozważania, czy powinien znów się ożenić i założyć nową rodzinę. Cień Leah zawsze miał się unosić nad tym małym mieszkaniem w sercu Jerozolimy, a twarz Daniela zawsze miała spoglądać na przyrodnie rodzeństwo z niebiańskich wyżyn na ścianie dziecięcej sypialni. Ale po latach błędzenia w pustce Gabriel Allon, wieczny wędrowiec, utracony syn

Ariego Szamrona, w końcu dotarł do domu. Wypił jeszcze łyk krwistoczerwonego syraha, zastanawiając się, jak powiedzieć Chiarze, że wyjeżdża do Paryża, bo kobieta, której nigdy nawet nie widziała, zapisała mu obraz van Gogha wart ponad sto milionów dolarów. Ta kobieta, jak zbyt wielu innych na jego drodze, była martwa. On zaś zamierzał znaleźć człowieka, który za to odpowiada.

„Nazywa się Saladyn...”

Chiara położyła palec na ustach. Potem wstała i zaniosiła Raphaela do sypialni dzieci. Wróciła chwilę później i wyjęła kieliszek z dłoni męża. Podniosła go i głęboko wciągnęła w nozdrza bogaty aromat wina, lecz nie umoczyła ust.

- Nie zaszkodziś im, jeśli wypijesz mały łyk.
- Już niedługo. - Oddała kieliszek. - Skończyłeś?
- Tak - odparł. - Myślę, że tak.
- To dobrze. - Uśmiechnęła się. - I co teraz?

* * *

- Nie przyszło ci na myśl - spytała - że wszystko to chytrze wykombinował Uzi, żeby dłużej utrzymać stanowisko?

- Owszem.
- I co?
- Przysięga, że to pomysł Paula Rousseau.

Chiara ze sceptyczną miną dodała do risotta masło i ser reggiano. Potem nałożyła łyżką ryż na dwa talerze, a obok po grubym plastrze ossobuco alla milanese.

- Więcej sosu - poprosił. - Uwielbiam ten sos.
- To nie jest zupa, skarbie.

Gabriel oderwał kawałek chleba i wytarł nim dno rondla.

- Wieśniak - prychnęła.

- Pochodzę z długiej linii wieśniaków.

- Ty? Jesteś takim mieszcuchem jak mało kto.

Zgasiła górne światło i usiadła przy małym kuchennym stoliku oświetlonym tylko blaskiem świec.

- Z jakiej to okazji? - zapytał.

- Bardzo specjalnej.

- Aha... Moja ostatnia renowacja.

- Myślę, że na jakiś czas. Zawsze możesz wrócić do obrazów, kiedy skończysz kadencję jako szef.

- Będę wtedy za stary, żeby utrzymać pędzel.

Wbił nóż w mięso, które lekko oddzieliło się od grubej kości. Ostrożnie nałożył na widelec risotto i cielęcinę w gęstym sosie, po czym z nabożeństwem wsunął widelec do ust.

- No i jak?

- Powiem ci, jak tylko odzyskam przytomność.

Blask świec tańczył w oczach Chiary. Miały barwę karmelu i miodu, połączenie, którego nigdy nie zdołał odtworzyć na płótnie. Nabierał na widelec kolejną porcję risotta z cielęciną, gdy jego uwagę przyciągnął obraz na ekranie telewizora. W różnych dzielnicach Paryża wybuchły zamieszki po aresztowaniu kilku mężczyzn, którym zarzucano działalność terrorystyczną, niezwiązaną jednak z zamachem na Centrum Weinberga.

- ISIS zapewne triumfuje - skomentował.

- Z powodu tych zamieszek?

- To mi nie wygląda na zwykłe zamieszki. To sprawia

wrażenie...

- Czego, skarbie?

- Intifady.

Chiara wyłączyła telewizor i wzmocniła odbiór monitora przekazującego odgłosy z pokoju dzieci. Dział techniczny Biura zakodował sygnał ich domowego monitoringu tak, by nikt niepożądany nie mógł podsłuchiwać rodzinnego życia szefa. W tym momencie emitował tylko niski szum.

- Więc co zamierzasz zrobić? - zapytała.

- Zamierzam zjeść do końca to boskie danie. A potem wylizać z rondla resztki sosu.

- Mówiłam o Paryżu.

- Oczywiście mamy dwie możliwości.

- Ty masz dwie możliwości, skarbie. Ja mam dwoje dzieci.

Gabriel odłożył widelec i spojrzał spokojnie na swoją piękną młodą żonę.

- W każdym razie - odezwał się po chwili pojedynczej ciszy - mój ojcowski urlop dobiegł końca. Mogę objąć kierownictwo Biura albo zacząć pracę z Francuzami.

- I wejść w posiadanie obrazu van Gogha wartości co najmniej stu milionów dolarów.

- W rzeczy samej. - Znow podniósł widelec.

- Jak myślisz, czemu zapisała go właśnie tobie?

- Bo wiedziała, że nigdy nie zrobię z nim nic głupiego.

- Na przykład?

- Na przykład nie wystawię go na sprzedaż.

Chiara zrobiła minę.

- Nawet o tym nie myśl - dodał.

- Można trochę pomarzyć, prawda?
- Tylko o twoim risotto.

Gabriel wstał i podszedł do kuchennego blatu, by nałożyć na talerz kolejną porcję. Potem nalał na ryż i mięso tyle sosu, że prawie przelewał się przez talerz. Za jego plecami Chiara syknęła karcąco.

- Jeszcze trochę zostało - powiedział, wskazując rondel.
- Mam wciąż do stracenie pięć kilo.
- Podobasz mi się taka, jaka jesteś.
- Mówisz jak prawdziwy włoski mąż.
- Nie jestem Włochem.
- A jakim językiem do mnie mówisz?
- Językiem obżartucha.

Usiadł i zaatakował kolejny kawałek cielęciny. Z monitora dobiegł krótki płacz dziecka. Chiara czujnie nadstawiała uszu, jakby nasłuchiwała kroków intruza. Jednak gdy po chwili znów zapadła kojąca cisza, z wolna się odprężyła.

- A więc chcesz wziąć tę sprawę. Czy to masz mi do powiedzenia?

- Rozważam taką możliwość - odrzekł przezornie.

Wolno pokręciła głową.

- Czym znów zawiniłem?
- Zrobiłbyś wszystko, byle tylko nie kierować Biurem, prawda?

- Nie wszystko.
- Prowadzenie operacji to nie praca od dziewiątej do piątej.
- Kierowanie Biurem też nie.
- Ale Biuro jest w Tel Awiwie, nie w Paryżu.

- Paryż jest odległy tylko o cztery godziny lotu.
- Cztery i pół - poprawiła.
- Poza tym - brnął - z faktu, że operacja zaczyna się w Paryżu, nie wynika, że tam się skończy.

- A gdzie?

Gabriel przechylił głowę w lewo.

- W mieszkaniu pani Lieberman?

- W Syrii.

- Byłeś tam?

- Tylko w Madżdal Szams.

- To się nie liczy.

Madżdal Szams jest miastem Druzów na Wzgórzach Golan. Od Syrii dzieli je jedynie wzniesione na północnym krańcu ogrodzenie z drutów kolczastych. Dżabhat al-Nusra, ugrupowanie stowarzyszone z Al-Kaidą, kontroluje terytorium wzdłuż granicy, ale dwie godziny dalszej jazdy na północny wschód jest już ISIS i kalifat. Gabriel zastanawiał się, co czułby prezydent Stanów Zjednoczonych, gdyby ISIS znajdowało się o dwie godziny drogi od, powiedzmy, Indiany.

- Myślałam - odezwała się Chiara - że mieliśmy się nie wtrącać do wojny domowej w Syrii. Myślałam, że będziemy tylko czekać, aż wszyscy nasi wrogowie wybiją się nawzajem.

- Następny szef Biura uważa, że taka polityka na dłuższą metę niczego nie rozwiązuje.

- Naprawdę?

- Czy kiedyś słyszałaś o człowieku nazwiskiem Arnold Toynbee?

- Jestem magistrem historii. Toynbee był brytyjskim

historykiem i ekonomistą, jedną z najwybitniejszych postaci swoich czasów.

- I to on - rzekł Gabriel - uważał, że w świecie istnieją dwa ważne ośrodki, których wpływy wykraczają daleko poza ich granice. Jeden z nich to basen rzek Oxus-Jaksartes^[4] we współczesnym Pakistanie i Afganistanie, czyli w Af-Pak, jak lubią mówić nasi amerykańscy przyjaciele.

- A drugi?

Gabriel ponownie przechylił głowę w lewo.

- Mielśmy nadzieję, że problemy Syrii pozostaną w Syrii. Obawiam się jednak, że nadzieja nie jest właściwą strategią, gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe. Podczas gdy my siedzieliśmy beczynnienie, ISIS zbudowało sprawną siatkę terrorystyczną zdolną do ataków w sercu Zachodu. Może faktycznie ich liderem jest niejaki Saladyn, a może ktoś inny. Tak czy owak, zamierzam porwać tę sieć na strzepy i obym zdążył, nim ponownie zaatakują.

Chiara chciała odpowiedzieć, ale w tej samej chwili rozległ się płacz dziecka. Irene. Dwie nuty jej zawodzenia były Gabrielowi tak dobrze znane jak dźwięk francuskich syren w mokrą paryską noc. Zaczął wstawać, ale Chiara zerwała się pierwsza.

- Skończ jeść - powiedziała. - Mówią, że w Paryżu jest fatalna kuchnia.

Chwilę później usłyszał przez monitor, jak Chiara łagodnie mówi po włosku, uspokajając dziecko, które w końcu przestało płakać. Włączył telewizor, kończąc kolację, podczas gdy w odległości czterech i pół godzin lotu na północny zachód

płonął Paryż.

* * *

Pół godziny później wciąż jej nie było. Gabriel sprzątnął ze stołu i starannie wytarł kuchenne blaty, tak by nie musiała robić tego ponownie, co zwykle się zdarzało. Wsypał kawę i nalał wody do automatycznego ekspresu, po czym cicho ruszył przez hol do ich sypialni, gdzie ujrzał żonę i córkę pogrążone w głębokim śnie. Chiara leżała na łóżku wyciągnięta na wznak, zaś Irene w poprzek niej, wtulona twarzą w pierś matki.

Stanął w drzwiach, opierając się ramieniem o framugę, i wolno przesunął wzrokiem po ścianach pełnych obrazów. Trzy z nich namalował jego ojciec. Tylko tyle zdołał po nim odzyskać. Reszta wyszła spod pędzla matki. Wisiał tam również duży portret młodego człowieka o przedwcześnie posiwiałych skroniach i szczupłej udręczonej twarzy, która zdawała się osnuta cieniem śmierci. Pomyślał, że pewnego dnia jego dzieci zaczną pytać o tego młodzieńca z portretu, a także o kobietę, która go malowała. Nie cieszyła go ta perspektywa. Już teraz obawiał się ich reakcji. Będą mu współczuć? A może zaczną się go bać? Pomyślą, że jest potworem? Mordercą? Nieważne. Musi im powiedzieć. Lepiej by usłyszały nieszczęsne szczegóły jego życia od niego samego, niż gdyby miał zrobić to ktoś obcy. Matki często przedstawiają ojców w zbyt pochlebnym świetle, a nekrologi rzadko opisują całość historii, zwłaszcza gdy jej bohater jest funkcjonariuszem tajnych służb.

Ostrożnie wziął córeczkę na ręce i przeniósł ją do pokoju dzieciennego. Ułożył delikatnie w kołysce, przykrył kocykiem i stał nad nią do chwili, gdy zyskał pewność, że się nie obudzi. Potem wrócił do sypialni. Chiara nadal głęboko spała pod portretem posepnego młodzieńca.

To nie byłem ja, powie kiedyś swym dzieciom. To tylko ktoś, kim musiałem się stać. Nie jestem potworem ani mordercą. To, że tu żyjecie i spokojnie śpicie w tym kraju, zawdzięczacie takim ludziom jak ja.

9

Marais, Paryż

O dziesiątej dwadzieścia nazajutrz rano Christian Bouchard stał w hali przylotów na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Na gładko odprasowany garnitur narzucił płaszcz przeciwdeszczowy, a w ręku trzymał tekturową tabliczkę z napisem „Smith”, co nawet jemu wydało się podejrzane.

Patrzył, jak fala ludzi wlewa się do holu po przejściu kontroli paszportowej: międzynarodowi handlarze towarów i usług, poszukiwacze pracy i schronienia, turyści przybywający tu, by zwiedzać kraj, który przestał istnieć. Dzień po dniu służby bezpieczeństwa tropiły w tym tłumie potencjalnych terrorystów i agentów obcych wywiadów, by następnie kontrolować ich ruchy do czasu wyjazdu z Francji. Było to zadanie wręcz niewykonalne, ale dla ludzi takich jak Christian Bouchard oznaczało, że nie grozi im brak pracy i otwierają się drogi awansu. Cokolwiek by mówić, służba bezpieczeństwa była jedną z najlepiej rozwijających się branży w kraju.

W tej samej chwili w kieszeni płaszcza zawibrował telefon. Nadeszła wiadomość, że cel jego wizyty na lotnisku Charles'a de Gaulle'a właśnie przekroczył granice Francji z izraelskim paszportem wydanym na Gideona Argowa. Dwie minuty później Bouchard dostrzegł, jak monsieur Argow w czarnej skórzanej kurtce, niosąc niewielką czarną torbę podróżną, przemieszcza się wraz z falą pasażerów w stronę wyjścia. Do

tej pory znał tylko jego zdjęcia z monitoringu, jak choćby słynne ujęcie na Gare de Lyon, kilka sekund przed eksplozją. Nigdy jednak nie widział owej legendy wywiadu w rzeczywistości i musiał przyznać, że jej wygląd mocno go rozczarował. Izraelczyk był niewysoki i ważył najwyżej siedemdziesiąt parę kilo. Niemniej jego ruchy znamionowała zręczność drapieżnika, a miękki sprężysty chód wskazywał na to, że był szybki i zwinny w czasach młodości. Tyle że, uznał Bouchard z nieuzasadnioną arogancją, młodości minionej.

Dwa kroki za Izraelczykiem szedł znacznie młodszy mężczyzna niemal identycznego wzrostu i wagi. Miał ciemne włosy, smagłą skórę i czujne oczy Żyda, którego przodkowie żyli na ziemiach arabskich. Na ich powitanie przyjechał pracownik ambasady Izraela i wszyscy trzej – legendarny agent, jego ochroniarz i człowiek z ambasady – wyszli do czekającego na zewnątrz samochodu. Ruszyli wprost do centrum Paryża, a za nimi podążył drugi samochód, którego jedynym pasażerem był Bouchard. Przewidywał, że skierują się wprost do mieszkania madame Weinberg przy rue Pavée, gdzie czekał Paul Rousseau. Tymczasem zatrzymali się przy rue des Rosiers. W głębi, na zachodnim krańcu ulicy, policja ustawiła blokadę, za którą widniały ruiny Centrum Weinberga.

Wedle zegarka Boucharda Izraelczyk stał tam trzy minuty. Potem odwrócił się i ruszył ulicą na wschód pod eskortą ochroniarza. Po kilku krokach zatrzymał się gwałtownie przed witryną sklepu. Było to posunięcie proste, lecz fachowe, gdyż zmusiło Boucharda, który dyskretnie za nimi podążał, do ukrycia się w butikku naprzeciwko.

Natychmiast zaatakowała go natrętna sprzedawczyni, a gdy w końcu zdołał się jej pozbyć, Izraelczyk z ochroniarzem zniknęli. Bouchard znieruchomiał, lustrując wzrokiem całą długość ulicy, a gdy się odwrócił, Izraelczyk stał tuż za nim z dłonią podpierającą podbródek i przechyloną w bok głową.

- Gdzie twoja tabliczka? - spytał po francusku.

- Co takiego?

- Twoja tabliczka. Ta, którą trzymałeś na lotnisku. - Zielone oczy świdrowały go na wylot. - Christian Bouchard, jak mniemam.

- A pan jest zapewne...

- Zapewne jestem - wszedł mu ostro w słowo. - I zapewniono mnie, że nie będzie żadnych form obserwacji.

- Nie obserwowałem pana.

- Więc co robiłeś?

- Rousseau polecił mi dopilnować, żeby bezpiecznie dotarł pan na miejsce.

- Masz mnie ochraniać? To chcesz powiedzieć?

Bouchard milczał.

- Pozwól, że na wstępie wyjaśnię jedno - rzekł legendarny agent. - Ja nie potrzebuję ochrony.

* * *

Szli obok siebie chodnikiem, Bouchard w eleganckim garniturze i płaszczu, Gabriel w swej skórzanej kurtce, aż dotarli do budynku numer dwadzieścia cztery. Otwierając drzwi zewnętrzne, Bouchard nieświadomie otworzył przed Gabrielem drzwi jego pamięci. Było to przed dziesięcioma laty,

wczesnym wieczorem. Padał lekki deszcz, jakby niebo roniło łzy. Przyjechał do Paryża, gdyż van Gogh był mu potrzebny. Używając go jako przynęty, mógł wprowadzić agenta do otoczenia Zizi al-Bakariego. O tym, że Hannah Weinberg jest w posiadaniu arcydzieła, dowiedział się od swego starego znajomego, ekscentrycznego marszanda Juliana Isherwooda. Nieumówiony podszedł do niej w tym samym miejscu, w którym teraz stali z Bouchardem. W jednej ręce trzymała parasol, a drugą wsuwała klucz w zamek.

- Przykro mi pana rozczarować - skłamała z godnym podziwu spokojem - ale nie mam van Gogha. Jeśli chce pan obejrzyć jego obrazy, sugerowałabym wizytę w Musée d'Orsay.

Wspomnienie zbladło. Gabriel podążył za Bouchardem przez wewnętrzny dziedziniec do holu, a potem ruszył na górę po okrytych dywanem schodach. Na trzecim piętrze blade światło przenikało przez brudne okno, padając na dwoje potężnych mahoniowych drzwi znajdujących się po przeciwnych stronach podestu. Oddzielone szachownicą posadzki sprawiały wrażenie, że przygotowują się do pojedynku. Przy drzwiach po prawej stronie nie było tabliczki z nazwiskiem lokatora. Bouchard otworzył je, stanął z boku i gestem zaprosił Gabriela do środka.

Zatrzymał się w holu i rozejrzał, jakby widział go pierwszy raz. Pomieszczenie wyglądało dokładnie tak jak owego poranka Jeudi Noir - meble bogato tapicerowane brokatem, ciężkie aksamitne kotary, pozłacany zegar na kominku, nadal spóźniający się pięć minut. Drzwi jego pamięci znów stanęły

otworem. W krótkim przebiegu ujrzął Hannah siedzącą na kanapie w wysłużonej wełnianej spódnicy i grubym swetrze. Właśnie podała mu butelkę sancerre i patrzyła z uwagą, jak wyjmuje korek. Zapamiętał, że przyglądała się jego ręką - ręką mściciela.

- Potrafię dotrzymać sekretu, monsieur Allon - mówiła. - Proszę mi powiedzieć, czemu chce pan mojego van Gogha. Może osiągniemy jakieś porozumienie.

Z przyległej biblioteki dobiegł szelest papieru, jakby ktoś przewracał kartkę w książce. Gabriel zajrzał tam i zobaczył niedbale ubranego mężczyznę, który stał przed regałami, trzymając w ręce wielki, oprawny w skórę tom.

- Dumas - odezwał się, nie podnosząc wzroku. - I to dość cenny.

Mężczyzna zamknął książkę, odłożył ją na półkę i spojrzał badawczo na Gabriela, jakby oglądał rzadką monetę lub ptaka w klatce. Gabriel odpowiedział spojrzeniem bez wyrazu. Oczekiwał kolejnej wersji Boucharda, gładkiego bezczelnego drania, który pija wino do lunchu i wychodzi z biura dokładnie o piątej, by spędzić godzinę z kochanką, nim pośpieszy do domu, gdzie czeka żona z kolacją. Paul Rousseau okazał się miłą niespodzianką.

- Miło mi w końcu pana poznać - rzekł Francuz. - Żałuję tylko, że w takich okolicznościach. Był pan znajomym madame Weinberg, prawda?

Gabriel milczał.

- Czy coś się nie zgadza? - spytał Rousseau.

- Powiem panu, kiedy zobaczę van Gogha.

- Ach tak, van Gogh. Jest w pokoju przy końcu korytarza - odrzekł Rousseau. - Ale sądzę, że pan już to wie.

* * *

Trzymała klucz, jak przypomniał sobie Gabriel, w górnej szufladzie biurka. Oczywiście Rousseau i jego ludzie tego nie wiedzieli, gdyż zdemontowali zamek. Poza tym pokój wyglądał tak, jak go zapamiętał - to samo łóżko przykryte koronkową narzutą, te same zabawki i pluszowe zwierzęta, ta sama komódka, nad którą wisiał ten sam obraz - „Marguerite Gachet przy toaletce”, olej na płótnie pędzla Vincenta van Gogha. Gabriel dokonał jedynej renowacji tego dzieła w wielkim, pełnym sekretnych zakamarków wiktoriańskim domu kryjówce, tuż zanim kupił go, oczywiście prywatnie, Zizi al-Bakari. Teraz myślał, że jego praca nie poszła na marne. Obraz był idealny. Jedyne cienka pozioma rysa u samej góry naruszała jego doskonałość. Wówczas nawet nie próbował jej usunąć, była bowiem śladem nieuwagi samego van Gogha, który oparł inny obraz o portret biednej Marguerite, nim ten zdążył odpowiednio wyschnąć. Zizi al-Bakari, koneser sztuki, którą wielbił na równi z aktami terroru, uważał tę skazę za dowód autentyczności dzieła. A także wiarygodności pięknej młodej Amerykanki, historyka sztuki z dyplomem Harvardu, która mu go sprzedała.

O tym jednak Paul Rousseau nie wiedział. Patrzył nie na obraz, lecz na Gabriela, niczym na perłę swej kolekcji.

- Ciekawe, czemu chciała powiesić go tutaj, nie w salonie - odezwał się po chwili. - I dlaczego, na Boga, zapisała go

właśnie panu.

Gabriel oderwał wzrok od obrazu i spojrzał prosto w twarz Paula.

- Chciałbym na wstępie ustalić jedno - oświadczył. - Nie będziemy rozliczać dawnych rachunków. Ani też powracać do przeszłości.

- Oczywiście - zgodził się pospiesznie Rousseau. - Nie mamy na to czasu. Byłoby to jednak ciekawe ćwiczenie, choćby tylko ze względu na walory rozrywkowe.

- Zalecałbym ostrożność, monsieur Rousseau. Ścieżka pamięci jest tuż za rogiem.

- W rzeczy samej - przytaknął Rousseau z uśmiechem kapitulacji.

- Zawarliśmy umowę - oznajmił Gabriel. - Jeśli przyjadę do Paryża, oddacie mi obraz.

- Nie, monsieur Allon. Najpierw pomoże mi pan znaleźć tego, kto dokonał zamachu na Centrum Weinberga, a potem oddamy obraz. Powiedziałem to bardzo wyraźnie pańskiemu przyjacielowi, Uziemiu Navotowi. - Rousseau spojrzał pytająco. - To pana przyjaciel, prawda?

- Kiedyś nim był - odparł chłodno Gabriel.

Obaj zamilkli, przyglądając się płótnu van Gogha jak obcy ludzie w galerii.

- Vincent musiał bardzo ją kochać, skoro namalował coś tak pięknego - odezwał się w końcu Rousseau. - Wkrótce będzie to należeć do pana. Chciałbym powiedzieć, że jest pan szczęściarzem, ale tego nie zrobię. Bo widzi pan, monsieur Allon - rzekł, uśmiechając się smutno - poznałem pańskie

akta.

Rue Pavée, Paryż

Tajne służby różnych krajów nie współpracują z sobą dlatego, że się lubią. Podobnie jak rozwiedzeni rodzice małych dzieci robią to dlatego, że czasem wspólne działanie dla dobra wyższego jest koniecznością. Dawne rywalizacje nie znikają z dnia na dzień. Są głęboko ukryte jak rany zadane niewiernością, gorycz zapomnianych rocznic i niezaspokojone potrzeby emocjonalne. Głównym wyzwaniem dla współdziałających z sobą wywiadów jest zatem konieczność stworzenia strefy zaufania, przestrzeni, w której znikają wszelkie urazy i sekrety. Poza tą strefą mogą działać na własną rękę, ale w jej granicach muszą wzajemnie ujawniać wszelkie, nawet najcenniejsze źródła informacji oraz metody operacyjne.

Gabriel miał w tej dziedzinie znaczne doświadczenie. Dzięki naturalnym talentom negocjacyjnym zdołał nie tylko naprawić stosunki Biura z CIA, lecz również z Brytyjczykami. Ale Francja stanowiła trudniejsze zadanie, była bowiem wieloletnim teatrem operacyjnym dla Biura, a zwłaszcza Gabriela, na którym ciążyła długa lista popełnionych tu grzechów. Co więcej, kraj ten udzielał stałego poparcia najbardziej zaciekłym wrogom Izraela. Mówiąc krótko, wywiady Izraela i Francji za sobą nie przepadały.

Ale nie zawsze tak było. Francja uzbroiła Izrael

u początków jego istnienia i bez jej pomocy kraj ten nie zdołałby wyprodukować środków odstraszania nuklearnego, które umożliwiły mu przetrwanie wśród wrogich państw Bliskiego Wschodu. Jednakże w latach sześćdziesiątych, po katastrofalnej wojnie algierskiej, Charles de Gaulle postanowił naprawić nadszarpnięte stosunki ze światem arabskim. Kiedy więc Izrael, posługując się zresztą samolotami francuskiej produkcji, rozpoczął wojnę sześciodniową niespodziewanym atakiem na egipskie lotniska, de Gaulle potępił Izraelczyków, mówiąc, że są wyniośli, żądni władzy i powodowani pychą. Między tymi krajami nastąpiło całkowite zerwanie stosunków.

Teraz, pijąc kawę w salonie Weinbergów przy rue Pavée, Gabriel i Rousseau musieli – choćby tymczasowo – obalić mur wzajemnej nieufności. Pierwszym krokiem było opracowanie wspólnych zasad operacyjnych, regulaminu współpracy, podziału zadań i zwierzchnictwa, czyli ustalenie swoistego kodeksu drogowego. Miało to być rzeczywiste partnerstwo, choć z oczywistych względów w pewnych sytuacjach Rousseau przejmowałyby ster operacji prowadzonej na terenie Francji. W zamian Gabriel otrzymywał nieograniczony dostęp do przepastnych akt dotyczących islamskich ekstremistów zamieszkałych w tym kraju – raportów obserwacyjnych, mejli, bilingów telefonicznych oraz danych znajdujących się w gestii organów imigracyjnych. Jak stwierdził znacznie później, już samo to stanowiło wystarczającą rekompensatę za jego udział w akcji.

Zdarzały się wprawdzie kwestie sporne, ale na ogół negocjacje przebiegały łatwiej, niż zarówno on, jak i Rousseau

przewidywali. Działo się tak być może dlatego, że mieli wiele wspólnego. Obaj byli twórcami, ludźmi kultury i nauki, a jednak poświęcili życie dla swych współobywateli, chroniąc ich przed tymi, których ideologia bądź wiara pchnęła do rozlewu niewinnej krwi.

Obaj stracili żony. Jeden z powodu choroby, drugi - aktu terroru. Poza tym każdy z nich cieszył się szacunkiem służb w Waszyngtonie i Londynie. Rousseau nie był wprawdzie Allonem, ale walczył z terrorystami niemal równie długo i miał na swym koncie wiele spektakularnych akcji.

- Wśród francuskich polityków są tacy - powiedział Gabriel - którzy chętnie wsadziliby mnie za kratki z powodu mojej dawnej działalności.

- Słyszałem o tym.

- Jeśli więc mam działać tu jawnie, muszę posiadać dokument zapewniający mi pełną nietykalność, teraz i zawsze, amen.

- Zobaczę, co da się zrobić.

- A ja zobaczę, czy uda mi się znaleźć Saladyna, nim znów zaatakuje.

Rousseau zmarszczył czoło.

- Szkoda, że to nie pan negocjował irańskie porozumienie nuklearne.

- Wielka szkoda - zgodził się Gabriel.

Mijało popołudnie. Dochodziła piąta. Rousseau wstał, teatralnie ziewnął, przeciągnął się i zaproponował spacer.

- Polecenie lekarzy - wyjaśnił. - Podobno dla własnego dobra powinienem schudnąć.

Wymknęli się z kamienicy, w której ongiś mieszkała Hannah Weinberg, i ruszyli wzdłuż brzegu Sekwany w stronę Notre-Dame. Za nimi cierpliwie podążali Bouchard i ochroniarz Gabriela. Stanowili dziwną parę - niezgrabny naukowiec z Sorbony w tweedowej marynarce i niewysoka postać w skórzanej kurtce, która jakby płynęła nad powierzchnią bruku. Słońce po zachodniej stronie stało już nisko, prześwitując przez wąską szczelinę w chmurach. Rousseau przesłonił oczy.

- Od czego chce pan zacząć?
- Oczywiście od akt.
- Będzie panu potrzebna pomoc.
- Bez wątpienia.
- Ilu agentów zamierza pan sprowadzić?
- Ilu będę musiał.
- Mogę oddać wam do dyspozycji pokój w naszej siedzibie przy rue de Grenelle.
- Wolałbym coś bardziej prywatnego.
- Mogę załatwić mieszkanie konspiracyjne.
- Ja też.

Gabriel zatrzymał się przed stoiskiem z gazetami. Na tytułowej stronie „Le Monde” opublikowano dwie fotografie Safii Bourihane - Francuzki muzułmańskiego pochodzenia i zamaskowanej morderczyni z kalifatu. Nagłówek głośno krzyczał jednym słowem: „Katastrofa!”.

- Czyja to katastrofa? - spytał Gabriel.
- Nieuchronne śledztwo oczywiście wykaże niewybaczalne błędy popełnione przez moje służby. Ale czy naprawdę to nas

należy obwiniać? Nas, skromnych tajniaków, którzy grzęzniemy w tym bagnie? Czy może wina leży gdzie indziej?

- Czyli gdzie?

- Na przykład w Waszyngtonie. - Rousseau ruszył nadbrzeżem przed siebie. - Po inwazji na Irak cały ten region zmienił się w kipiący kocioł. A gdy nowy amerykański prezydent uznał, że czas się wycofać, wrzątek wykypiał. No i nastąpiło szaleństwo zwane Arabską Wiosną. Precz z Mubarakiem! Precz z Sadamem! Precz z Assadem! - Wolno potrząsnął głową. - To był obłęd, zupełny obłęd. No i proszę, mamy, co mamy. Tuż u bram Europy ISIS kontroluje obszar wielkości Wielkiej Brytanii. Bin Laden nawet by o tym nie marzył. A co na to amerykański prezydent? ISIS nie jest dziełem islamu - deklaruje. - ISIS to *jayvee*. - Zmarszczył czoło. - Co to jest *jayvee*?

- To chyba coś mającego związek z koszykówką. Uniwersytecka drużyna rezerwowa.

- A co ma koszykówka do tak poważnej sprawy jak powstanie kalifatu?

Gabriel tylko się uśmiechnął.

- On naprawdę wierzy w te brednie czy to *ignorantia affectata*?

- Celowa ignorancja?

- Tak.

- Musiałby go pan spytać.

- Pan go zna?

- Kiedyś poznałem.

Rousseau miał wyraźną ochotę spytać Gabriela

o okoliczności jego jedyne spotkanie z prezydentem USA, ale powstrzymał się i kontynuował swój wykład.

- Prawda jest taka, że ISIS to ugrupowanie czysto islamskie i ma więcej wspólnego z Mahometem i jego pierwszymi wyznawcami, *al-salaf al-salih*, niż niektórzy z tak zwanych ekspertów odważają się przyznać. Paraliżuje nas zgroza, kiedy czytamy opisy dokonywanych przez ISIS ukrzyżowań. Mówimy, że to akty barbarzyństwa obce ludziom wiary. Ale ISIS dopuszcza się ich nie tylko z okrucieństwa. Dokonuje ukrzyżowań, gdyż wedle Koranu są one jedną z kar zalecanych wobec wrogów islamu. Robi to, bo musi. My, cywilizowani ludzie Zachodu, uważamy, że to wprost niewiarygodne.

- My nie - rzekł Gabriel.

- To dlatego, że żyjecie w tamtym regionie. Jesteście stamtąd - powtórzył Rousseau. - I dobrze wiecie, co nastąpi, jeśli podobni ISIS kiedykolwiek zdołają się wdrzeć do waszej twierdzy. To będzie...

- Holokaust - dokończył Gabriel.

Rousseau w zamyśleniu skinął głową. Potem skierował się przez Pont Notre-Dame na Île de la Cité.

- A zatem, mówiąc słowami Lenina - spytał - co robić?

- Jestem tylko szpiegiem, monsieur Rousseau, nie generałem ani premierem.

- A gdyby pan nim był?

- Wyrwałbym ich z korzeniami i konarami. Starłbym w pył i przejął ziemie, które zawłaszczyli - odparł. - Żadne państwo islamskie nie miałyby prawa bytu. A bez państwa kalifat przeszedłby ponownie do historii.

- Inwazja na Irak i Afganistan nie przyniosła skutku - zauważył Rousseau. - Tak samo będzie z Syrią. Lepiej nękać ich z powietrza, i to z pomocą regionalnych sojuszników. W ten sposób można by ograniczyć pole konfliktu, tak by nie rozprzestrzenił się na cały Bliski Wschód i Europę.

- Za późno. Już się rozprzestrzenił.

Przeszli przez kolejny most, Petit Pont, i znaleźli się w dzielnicy łacińskiej. Rousseau, były profesor, dobrze ją znał. Teraz już nie dla kondycji kierował się bulwarem Saint-Germain w wąską boczną uliczkę, by na koniec zatrzymać się przed wejściem do jakiejś kamienicy. Choć minęło wiele lat, była ona Gabrielowi równie znana jak budynek przy rue Pavée, gdzie mieszkała Hannah Weinberg. Spojrzał na spis lokatorów przy interkomie. Niektóre nazwiska się nie zmieniły.

Niemal w tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanęło w nich dwoje dwudziestokilkulatków, mężczyzna i kobieta. Rousseau przytrzymał drzwi, nim się zamknęły, i wprowadził Gabriela w półmrok korytarza. Przeszli nim na mroczne podwórze, gdzie Rousseau na chwilę się zatrzymał, by wskazać okno na najwyższym piętrze.

- Mieszkaliśmy tu kiedyś z żoną. Gdy umarła, wyprowadziłem się i przeniósłem się na południe. Zbyt wiele wspomnień, zbyt wiele duchów. - Potem wskazał okno po przeciwnej stronie podwórza. - A tam mieszkała moja studentka. Była bardzo inteligentna. I bardzo radykalna, jak zresztą większość moich studentów w tamtych czasach. Nazywała się - zerknął z ukosa na Gabriela - Denise Jaubert.

Gabriel patrzył na niego wzrokiem bez wyrazu, jak gdyby to nazwisko nic mu nie mówiło.

Podjeżdżał, że w rzeczywistości wie o Denise Jaubert więcej niż jej dawny profesor. Miała istotnie radykalne poglądy. Co ważniejsze jednak, była przelotnie kochanką niejakiego Sabriego al-Chalify, przywódcy palestyńskiej organizacji terrorystycznej o nazwie Czarny Wrzesień i sprawcy masakry na olimpiadzie w Monachium.

- Pewnego późnego popołudnia - podjął Rousseau - gdy pracowałem przy biurku, dobiegł mnie z podwórza głośny śmiech. Poznałem głos Denise. Szła w towarzystwie mężczyzny. Miał ciemne włosy, jasną skórę i był uderzająco przystojny. Kilka kroków za nim szedł inny mężczyzna, znacznie niższy, krótko ostrzyżony. Nie widziałem jego twarzy, bo widzi pan, mimo pochmurnej pogody nosił ciemne okulary.

Spojrzał na Gabriela, ale ten, pogrążony w myślach, znów powrócił na to paryskie podwórze, podążając kilka kroków za człowiekiem, którego Biuro szukało przez siedem długich lat.

- Ale nie tylko ja dostrzegłem mężczyznę w ciemnych okularach - dodał po chwili Rousseau. - Przystojny towarzyszysz Denise też go dostrzegł. Próbował wyjąć pistolet, ale tamten był pierwszy. Nigdy nie zapomnę, jak ruszył do przodu, oddając strzał po strzale. To było... piękne. Zliczyłem dziesięć strzałów, a potem błyskawicznie zmienił magazynek i przyłożył lufę do skroni mężczyzny, żeby oddać ostatni strzał. To dziwne, ale zupełnie nie pamiętam, aby się oddalał. Miałem wrażenie, że po prostu się rozpląnął. - Spojrzał na Gabriela. - A teraz stoi obok mnie.

Gabriel milczał. Patrzył na bruk podwórza, na kamienie, które kiedyś poczerwieniały od krwi Sabriego al-Chalify.

- Muszę przyznać - ciągnął Rousseau - że przez długi czas uważałem pana za mordercę. Cywilizowany świat potępił wasze działania. Ale teraz cywilizowany świat prowadzi tę samą walkę i stosuje tę samą taktykę. Drony, rakiety, mężczyźni w czerni atakujący pośrodku nocy. - Zamilkł, po czym dodał: - Wygląda na to, że historia pana rozgrzeszyła.

- Nie popełniłem żadnych grzechów - odparł Gabriel. - I nie oczekuję rozgrzeszenia.

W tej samej chwili w kieszeni Rousseau odezwał się telefon, a kilka sekund później rozbrzmiała komórka Gabriela. Ale Gabriel znów był szybszy i pierwszy odebrał priorytetową wiadomość z bulwaru Króla Saula. Rousseau otrzymał podobną z DGSI.

- Wygląda na to, że zamach na Centrum Weinberga był dopiero początkiem. - Francuz wsunął aparat do kieszeni płaszcza i wbił wzrok w kamienie, na które kiedyś upadł Sabri al-Chalifa. - Czy tak samo skończy ten, którego nazywają Saladynem?

- Jeśli nam się uda.

- Kiedy możemy zacząć?

- Dziś.

11

Amsterdam – Paryż

Później ustalono niemal z pewnością, że zamachy w Paryżu i Amsterdamie były dziełem tego samego człowieka. Za każdym razem bomby dostarczano zwykłą białą furgonetką, choć w Amsterdamie był to ford transit, nie renault. Eksplozja nastąpiła tu dokładnie o czwartej trzydzieści w centrum ruchliwego Albert Cuyp Market. Pojazd wjechał na targowisko wczesnym rankiem i stał niezauważony przez cały dzień, podczas gdy tysiące kupujących nieświadomie przechodziło obok w bladych promieniach wiosennego słońca. Kierownicą furgonetki była około trzydziestoletnia kobieta. Miała blond włosy, długie nogi, szczupłe biodra, błękitne dzinsy, bluzę z kapturem i kamizelkę bez rękawów. Wszystko to zostało nagrane przez kamery monitoringu, a nie ustalone na podstawie zeznań świadków. Policja nie znalazła bowiem nikogo, kto by ją zauważył.

Targowisko to, uznane za największe w Europie, znajduje się w starej części miasta. Kupieckie stragany ciągną się wzdłuż całej ulicy, a za nimi stoją szeregowce z brązowej cegły. Na parterach roi się od sklepów i restauracji. Wielu kupujących to mieszkańcy Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, co już w pierwszych relacjach podkreślali reporterzy i analitycy terroryzmu. Uznali to za dowód, że zamachowców nie motywował radykalny islam, lecz jakieś

inne wyznanie, choć mimo nacisków nie potrafili go określić. W końcu pewna uczona badaczka islamu z Cambridge wyjaśniła pozorny paradoks. Muzułmanie z Amsterdamu, wyjaśniła, żyją w mieście zalegalizowanych narkotyków i prostytucji, gdzie o wszystkim decydują prawa człowieka, nie prawo Allaha. W oczach muzułmańskich ekstremistów są to odszczepieńcy. A za odstępstwo od wiary jedyną karą jest śmierć.

Świadkowie zapamiętali nie tyle grzmiący huk eksplozji, co głęboką śmiertelną ciszę, która po nim zapadła. Zaraz jednak rozległy się jęki i dziecięcy płacz, a także elektroniczne pulsowanie jakiejś komórki, które błagało o odpowiedź. Przez kilka minut czarny gęsty dym miłosiernie przesłaniał scenę grozy. Potem jednak z wolna zaczął się unosić, ujawniając skalę tragedii – ciała martwych i pozbawionych członków ludzi, ocalałych żywych w strzępach ubrań, z twarzami czarnymi od sadzy, półprzytomnie słaniających się wśród gruzu i szczątków, tysiące butów na sprzedaż rozrzuconych pośród butów ofiar. Wszędzie walały się we krwi rozbite owoce, a w powietrzu unosiła się mdląca w tej chwili woń pieczonej jagnięciny z kuminem i kurkumą.

Wkrótce kolejne organizacje zaczęły przypisywać sobie odpowiedzialność za zamach. Pierwsze zgłosiło się nieznane ugrupowanie z pogrążonej w chaosie Libii, wkrótce potem do ataku przyznała się somalijska organizacja Asz-Szabab, terroryzująca Afrykę Wschodnią. W końcu na popularnej stronie społecznościowej pojawiło się nagranie. Zakapturzony mężczyzna mówiący po angielsku z wschodniolondyńskim

akcentem oświadczył, że zamach jest dziełem ISIS i że wkrótce nastąpią kolejne. Następnie, posługując się mieszanką angielskiego i arabskiego, wygłosił bezładne kazanie, mówiąc coś o armii Rzymu i syryjskiej wiosce o nazwie Dabik. Komentatorzy telewizyjni stracili rezon. Uczona badaczka z Cambridge nie.

Skala reakcji była ogromna - od niedowierzania po wzajemne oskarżenia. W Waszyngtonie prezydent Stanów potępił zamach jako „bezprzykładowy akt morderstwa i barbarzyństwa”, aczkolwiek, o dziwo, nie wspomniał słowem o motywach sprawców ani też o islamie, radykalnym bądź jakimkolwiek innym. Jego oponenci w Kongresie szybko obciążyli go winą za atak. Gdyby tak szybko nie wycofał z Iraku sił amerykańskich, ISIS nigdy nie zdołałoby się zakorzenić w sąsiedniej Syrii. Prezydencki rzecznik zdementował później sugestię, że nadszedł czas, by amerykańskie oddziały lądowe bezpośrednio zaatakowały państwo islamskie.

- Opracowaliśmy strategię - oświadczył. Po czym dodał z niewzruszoną powagą: - Wdrażamy ją.

W Holandii władze nie obrzucały się wzajemnie oskarżeniami, gdyż były zbyt zajęte wydobywaniem ciała z gruzów oraz poszukiwaniami długonogiej jasnowłosej trzydziestolatki w błękitnych dżinsach, bluzie z kapturem i bezrękawniku, która wprowadziła samochód na targowisko. Przez dwa dni jej tożsamość pozostawała tajemnicą. Potem jednak pojawiło się kolejne nagranie na tej samej stronie internetowej co uprzednio. Komentował je również mężczyzna

posługujący się angielskim ze wschodniego Londynu. Tym razem nie był sam. Obok stały dwie zakwefione kobiety. Jedna z nich milczała. Przemawiała druga. Przedstawiła się jako Margreet Janssen, nawrócona na islam mieszkanka holenderskiego nadmorskiego miasta Noordwijk. Oświadczyła, że to ona podłożyła bombę. Pragnęła w ten sposób ukarać bluźnierców i niewiernych w imię Allaha i Mahometa, niech pokój będzie z nimi.

Później tego samego dnia holenderskie służby wywiadu i bezpieczeństwa AIVD potwierdziły, że Margreet Janssen przed osiemnastoma miesiącami wyjechała do Syrii, przebywała tam około pół roku i otrzymała zgodę na powrót do Holandii, przekonawszy władze, że zerwała wszelkie kontakty z ISIS i globalnym ruchem dżihadystów. Służby bezpieczeństwa objęły kobietę elektronicznym i fizycznym nadzorem, którego z czasem zaniechano wobec braku z jej strony kontaktów z islamskimi radykałami. Jak się okazało, stwierdził rzecznik AIVD, była to decyzja błędna.

W ciągu kilku minut ożywiły się cyberpokoje cyfrowego kalifatu. Margreet Janssen - dawna chrześcijanka z europejskiego kraju, a obecnie członek społeczności wiernych - nagle stała się nowym symbolem globalnego dżihadu. Ale kim była ta druga? Ta, która milczała? Odpowiedź nie nadeszła z Amsterdamu, lecz z podobnego do fortecy budynku na paryskim przedmieściu Levallois-Perret. Szef DGSI poinformował, że drugą kobietą była Safia Bourihane, sprawczyni zamachu na Centrum Weinberga.

W trakcie nadzorowania Margreet Jansen AIVD

zgromadziło obszerną tekę raportów obserwacyjnych, zdjęć, mejli, esemesów, a także historię wyszukiwań w przeglądarce internetowej. Uzupełniały ją również dane dotyczące jej znajomych, członków rodziny, sprzymierzeńców oraz współbraci z globalnego świata dżihadu. Paul Rousseau otrzymał kopię tych akt w trakcie spotkania w siedzibie AIVD w Hadze i po powrocie do Paryża przekazał je Gabrielowi w cichej knajpce przy rue de Miromesnil w Ósmej Dzielnicy. Dokumentację zeskanowano i przegrano na zabezpieczony pendrive. Rousseau wsunął go pod serwetkę i pchnął przez blat z dyskrecją strzału w pustej kaplicy. Nie miało to znaczenia. W restauracji nie było nikogo oprócz małego łysego mężczyzny w dobrze skrojonym garniturze i szerokim krawacie lawendowej barwy. Popijając wino z Côtes du Rhone, czytał „Le Figaro” wypełnione relacjami z Amsterdamu. Gabriel wsunął pendrive'a w kieszeń płaszcza, nie próbując nawet tego ukryć, i spytał Rousseau o nastroje w siedzibie AIVD.

- Wahają się od paniki do rezygnacji - odparł tamten. - Szefostwo zaostrza nadzór nad znanymi islamskimi ekstremistami i szuka mężczyzny, który zbudował tę bombę, a także innych członków sieci. - Zniżył głos i dodał: - Pytali, czy mam jakieś domysły.

- Wspomniał pan o Saladynie?

- Jakoś mi to umknęło - odparł Rousseau z chytrym uśmieszkiem. - Ale w pewnym momencie będziemy musieli wszystko ujawnić naszym kolegom z Europy.

- To pańscy koledzy, nie moi.

- Kontaktował się pan kiedyś z holenderskimi służbami?
- Nigdy nie miałem przyjemności być w Holandii.
- Jakoś trudno mi w to uwierzyć. - Rousseau zerknął na tysego człowieczka po przeciwnej stronie sali. - Pański znajomy?
- Ma sklep po drugiej stronie ulicy.
- Skąd pan wie?
- Widziałem, jak wychodził i zamykał drzwi.
- Cóż za spostrzegawczość. - Rousseau wbił wzrok w zapadający mrok. - Antiquités Scientifiques?
- Stare mikroskopy i tym podobne - wyjaśnił Gabriel.
- Ciekawe. - Rousseau wpatrywał się w filiżankę. - Okazuje się, że nie byłem wczoraj jedynym zagranicznym gościem w siedzibie AIVD. Zjawił się tam również jakiś Amerykanin.
- Z agencji?
- Rousseau skinął głową.
- Lokalnej czy z Langley?
- To drugie.
- Miał jakieś nazwisko?
- Moi gospodarze zachowali je dla siebie. Nie kryli jednak, że wykazywał duże zainteresowanie.
- Jakie to krzepiące!
- Najwyraźniej Biały Dom obawia się, że zamach na terenie Stanów teraz, z końcem drugiej kadencji prezydenta, mógłby skompromitować jego spuściznę polityczną. CIA znalazła się pod ogromną presją. Nie może do tego dopuścić.
- A więc jednak ISIS nie jest bandą dzieciaków.
- W tym celu - kontynuował Rousseau - agencja oczekuje

pełnej współpracy ze strony swych europejskich przyjaciół i sojuszników. Człowiek z Langley będzie w Paryżu jutro rano.

- Powinien pan mu poświęcić trochę czasu.

- Moje nazwisko jest już na liście gości.

Gabriel podał mu kartkę złożoną we czworo.

- Co to jest?

- Lista dalszych niezbędnych akt.

- Jak długo jeszcze?

- Niedługo - odparł Gabriel.

- Mówił pan to wczoraj i przedwczoraj. - Rousseau wsunął listę do wewnętrznej kieszeni tweedowej marynarki. - Czy kiedykolwiek się dowiem, gdzie pańska ekipa pracuje?

- Jeszcze pan tego nie sprawdził?

- Nie próbowałem.

- Jakoś - Gabriel się uśmiechnął - trudno mi w to uwierzyć.

Wstał bez słowa i wyszedł na ulicę. Rousseau patrzył, jak znika w gęstniejącym mroku, dyskretnie śledzony przez dwóch najlepszych tropicieli z Grupy Alfa. Łysy człowieczek w lawendowym krawacie położył na stoliku kilka banknotów i też opuścił lokal. Rousseau został jedynie w towarzystwie swojej komórki. Minęło pięć minut, nim ekran w końcu rozbłysł. Wiadomość od Christiana Boucharda.

- *Merde* - mruknął cicho.

Allon znów ich zgubił.

12

Paryż

Wystarczyło kilka rutynowych technik z zakresu kontrobservacji - zwrot w tył na jednokierunkowej ulicy, krótki postój w bistro z wyjściem dla obsługi przez kuchnię na tyły budynku - by Gabriel zdołał się urwać asom z Grupy Alfa. Potem pieszo, metrem, a następnie taksówką dotarł do niewielkiego domu na skraju Lasku Bulońskiego. Wedle informacji na panelu interkomu lokatorem mieszkania cztery B był niejaki Guzman. Gabriel wcisnął przycisk, czekając na trzask automatycznego zamka, po czym wszedł.

Drzwi na piętrze otworzył Michaił Abramow. Powietrze było gęste od dymu. Gabriel zajrzał do kuchni i zobaczył, jak Eli Lavon usiłuje stłumić ogień, który płonął w mikrofalówce. Lavon był niepozorną postacią o wiecznie rozczochranych włosach i twarzy, którą trudno zapamiętać. Ale jego wygląd, podobnie jak większość innych właściwości, wprowadzał w błąd. Zmienny jak kameleon, miał instynkt drapieżnika i uchodził za najlepszego zwiadowcę, jakiego Biuro kiedykolwiek miało. Wedle pamiętnych słów Ariego Szamrona ten człowiek umiał zniknąć, potrząsając twoją ręką. I nie było to dalekie od prawdy.

- Ile tym razem trwało, nim ich zgubiłeś? - spytał Lavon, wrzucając do zlewu zwęglony kawałek plastiku.

- Mniej niż tobie puszczenie naszej kryjówki z dymem.

- Pokręciłem coś z ustawieniem czasu. Znasz mnie, nigdy nie radziłem sobie z cyframi.

Ale nie było to prawdą. Lavon z niezwykłą finansową dociekliwością zdołał samodzielnie wytropić zagrabione w czasie Holokaustu aktywa wartości milionów dolarów. Będąc z wykształcenia archeologiem, miał naturę poszukiwacza skarbów.

Gabriel wszedł do salonu. Jakow Rossman, wieloletni agent terenowy płynnie posługujący się arabskim, analizował możliwość włamania do swego notebooka. Jossi Gawisz i Rimona Stern rozciągnęli się na kanapie jak para studentów. Wysoki łysiejący Jossi w tweedowej marynarce był szefem „Badań”, jak w Biurze określano dział analityczny. Dostał się do oksfordzkiego All Souls College i mówił po hebrajsku z silnym angielskim akcentem. W swoim czasie występował również na scenie, głównie w sztukach Szekspira, a ponadto był utalentowanym wiolonczelistą. Natomiast Rimona służyła w jednostce zajmującej się szpiegowaniem irańskiego programu jądrowego. Miała włosy barwy piaskowca, kobiece biodra i temperament odziedziczony po swoim wuju, Arim Szamronie. Gabriel znał ją od dziecka. Pamiętał, jak będąc małą dziewczynką, brawurowo zjeżdżała na hulajnodze ze stromego podjazdu przed domem Szamrona.

Tych pięcioro tworzyło elitarny zespół operacyjny o nazwie Barak, co w hebrajskim oznacza błyskawicę, potrafili bowiem zjawiać się równie szybko i uderzać z podobną siłą. Walczyli razem, czasem przelewając krew na sekretnych polach bitew, które rozciągały się od Moskwy aż po Karaiby, a wszystko to

w ramach jednej z najszlachetniejszych operacji w historii wywiadu izraelskiego. Gabriel był twórcą i dowódcą tej grupy, natomiast Dina Sarid, szósty członek jednostki, stanowiła jej sumienie i pamięć. Dina, główny ekspert do spraw terroryzmu i żywa baza danych, potrafiła wyrecytować czas, miejsce, nazwiska sprawców i liczbę ofiar każdego aktu terrorku palestyńskiego i islamskiego, wymierzonego przeciwko Izraelowi i Zachodowi. Miała ponadto szczególny dar dostrzegania powiązań tam, gdzie inni widzieli tylko zalew nazw, liczb i słów.

Owa drobna postać o kruczoczarnych włosach okalających łagodną, niemal dziecinną twarz stała teraz nad pozornie chaotycznym kolażem zdjęć obserwacyjnych, mejli, esemesów i bilingów. W tym samym miejscu Gabriel widział ją przed trzema godzinami, gdy wychodził na spotkanie z Paulem Rousseau. Działała gorączkowo, z groźną twórczą pasją, która ogarniała ją za każdym razem, gdy gdzieś wybuchała bomba. Gabriel już wielokrotnie zdołał w niej tę pasję pobudzić. Teraz, sądząc po minie Diny, sięgała zenitu. Przeszedł przez pokój i stanął obok niej.

- Na co patrzysz? - spytał po chwili milczenia.

Lekko utykając, zrobiła dwa kroki w przód i wskazała zdjęcie Safii Bourihane. Było to zdjęcie obserwacyjne wykonane przed jej pierwszym wyjazdem do Syrii w arabskiej kawiarence na zamieszkanym głównie przez imigrantów paryskim przedmieściu Saint-Denis. Safia nałożyła chustę, podobnie jak towarzysząca jej młoda kobieta. W kawiarni było także kilka innych kobiet oraz czterech mężczyzn,

Algierczyków i Marokańczyków. Siedzieli przy wspólnym stole w pobliżu lady. Jeszcze jeden mężczyzna, gładko ogolony, o zamazanych na zdjęciu rysach, siedział samotnie. Był w ciemnym służbowym garniturze, bez krawata, i coś pisał w notebooku. Mógł być Arabem, ale też Francuzem lub Włochem. W tej chwili Dina nie poświęcała mu uwagi. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w twarz Safii Bourihane.

- Wydaje się normalna, prawda? Nawet szczęśliwa. Nikt by nie przypuszczał, że przez cały rano prowadziła w internecie rozmowę z rekruterem ISIS. Namawiał ją, żeby porzuciła rodzinę i wyjechała do Syrii budować kalifat. I jak myślisz, co mu odpowiedziała?

- Oczywiście, że pragnie zostać we Francji, że chce poślubić przyzwoitego chłopca z dobrej rodziny i mieć dzieci, które wyrosną na w pełni zasymilowanych francuskich obywateli. Powiedziała, że nie chce mieć nic wspólnego z kalifatem, bo rządzą nim mężczyźni, którzy ścinają głowy, krzyżują i palą żywcem nieprzyjaciół.

- Jakież by to było piękne. - Dina wolno pokiwała głową. - Kto popełnił tu błąd, Gabrielu? Dlaczego ponad pięćset młodych kobiet z krajów Zachodu zaciągnęło się do ISIS? Dlaczego ci brodacze stali się nowymi gwiazdami rockowymi islamu? Dlaczego mordercy są atrakcyjni? - Dina poświęciła życie studiom nad terroryzmem i islamskim ekstremizmem, ale wciąż nie znajdowała odpowiedzi. - Myśleliśmy, że bestialstwa ISIS wzbudzą wśród młodych odrazę. Niesłusznie. Zakładaliśmy, że ratunkiem jest asymilacja. Ale im bardziej są zasymilowani, tym mniej podoba im się to, co widzą. Tak więc,

gdy rekruter z ISIS puka do ich cyfrowych drzwi, gotowi są go przyjąć.

- Jesteś dla nich zbyt wyrozumiała, Dino.

- To są dzieci. - Zamilkła i dodała: - Podatne na wpływy dziewczęta.

- Nie wszystkie.

- To prawda. Wiele ma znacznie lepsze wykształcenie niż mężczyźni, którzy zaciągnęli się do ISIS. Kobietom nie wolno walczyć, pełnią więc liczne i ważne funkcje pomocnicze. W różnych dziedzinach to właśnie one budują kalifat. Często też znajdują tam mężów, którzy w każdej chwili mogą zginąć w aureoli męczeństwa. Jedna na cztery zostaje więc wdową. Czarną wdową - uściśliła. - Zindoktrynowaną, zgorzkniałą, mściwą. I pomyśleć, że wystarczy dobry rekruter lub łowca talentów, żeby te kobiety zmieniły się w tykające bomby. - Wskazała zdjęcie niewyraźnej postaci siedzącej samotnie w arabskiej kawiarence. - Ktoś taki jak on. Niestety Francuzi nigdy go nie zauważyli. Byli zbyt zajęci poszukiwaniem towarzyszki Safii.

- Kim ona jest?

- To zwykła dziewczyna, która obejrzała w internecie kilka nagrań z egzekucji. Szkoda na nią czasu, pieniędzy i sił. Ale Safia jest inna. To bomba z opóźnionym zapłonem. - Dina zrobiła krok w prawo i wskazała drugą fotografię. - Trzy dni po kawie z koleżanką w Saint-Denis wybrała się do centrum Paryża na małe zakupy. To zdjęcie zrobiono, kiedy szła pod arkadami rue de Rivoli. I spójrz, kogo widzisz kilka kroków za nią.

Z tyłu podążał ten sam człowiek, który siedział w kawiarni, gładko ogolony mężczyzna o szczupłej twarzy, który mógł być Arabem, Francuzem lub Włochem.

- Jak mogli go przeoczyć?

- Dobre pytanie. Przeoczyli go i tutaj.

Dina wskazała trzecią fotografię. Pochodziła z tego samego dnia, tyle że wykonano ją godzinę później. Safia Bourihane wychodziła ze sklepu z damską odzieżą na Champs-Élysées. Mężczyzna stał na chodniku, udając, że sprawdza coś w przewodniku turystycznym.

- Wyślij te zdjęcia na bulwar Króla Saula - rzekł Gabriel. - Może coś się wyjaśni.

- Już to zrobiłam.

- I co?

- Nie ma go na liście znajomych.

- Może więc to pomoże. - Gabriel wyjął z kieszeni pendrive'a.

- Co to takiego?

- Dzieje życia Margreet Janssen.

- Ciekawa jestem, kiedy uda się znaleźć jakiegoś skłonnego do wynurzeń wielbiciela Safii.

- Na twoim miejscu nie traciłbym czasu. Amerykanie też mają jej teczkę.

- Wyprzedzę ich - odparła. - Jak zawsze.

* * *

Po niecałych trzydziestu minutach znalazła pierwszą fotografię Margreet Janssen i mężczyzny, który jak cień

towarzyszył w Paryżu Safii Bourihane. Zespół AIVD zrobił to zdjęcie w przytulnej włoskiej restauracji w centrum Amsterdamu, gdzie Margreet po wyjeździe ze swego nudnego domu w Noordwijk pracowała jako kelnerka za głodowe stawki. Nietrudno było go dostrzec. Siedział sam przy stoliku z otwartym dla pozorów tomem Sartre'a. Tym razem ujęcie było wystarczająco ostre, choć różnił się nieco wyglądem od swego wcześniejszego wcielenia. Okulary w okrągłych oprawkach zmiękczały ostre rysy twarzy, a w rozpinanym swetrze sprawiał niegroźne wrażenie bibliotekarza. Obsługiwała go właśnie Margreet, a sądząc po jej szerokim uśmiechu, uznała, że jest atrakcyjny, i to tak dalece, że zgodziła się z nim umówić na drinka w barze obok dzielnicy czerwonych latarni. Wieczór zakończył się jednak, gdy celnie uderzyła go prawą ręką w lewy policzek, co mógł potwierdzić cały zespół obserwatorów. Fachowy ruch, pomyślał Gabriel. Holendrzy skreślili faceta, uznając go za zwykłego chama, i nie próbowali ustalić jego tożsamości.

Ale co łączyło te dwie kobiety oprócz mężczyzny, który mógł być Arabem, Francuzem lub Włochem? Dina dociekła i tego. Otóż wspólny mianownik stanowiła witryna internetowa założona w emiracie Kataru nad Zatoką Perską. Reklamowano tam elegancką odzież dla religijnych muzułmanek. Safia Bourihane otwierała tę stronę trzy tygodnie przed wizytą mężczyzny w Paryżu. Margreet Janssen natomiast sprawdzała ją zaledwie dziesięć dni przed burzliwie zakończonym spotkaniem w Amsterdamie. Dina podejrzewała, że witryna zawiera chroniony hasłem pokój, do którego rekruterzy ISIS

zapraszają obiecujące młode kobiety na prywatne czaty. Te zakodowane pokoje były wciąż niedostępne zarówno dla wywiadu Izraela, jak i państw zachodnich. Nawet Agencja Bezpieczeństwa Narodowego NSA, wszechwiedząca amerykańska służba wywiadowcza, z trudem zmagala się z cyfrową hydrą ISIS.

Dla zawodowego szpiega nie ma nic gorszego, niż dostać od funkcjonariusza obcych służb wiadomość, którą winien był pozyskać sam. Paul Rousseau doznał takiego upokorzenia w małej kafejce przy rue Cler, wyłączonej z ruchu eleganckiej handlowej ulicy w pobliżu Wieży Eiffla. Francuska policja zablokowała wszystkie skrzyżowania z bocznymi ulicami i sprawdzała torebki oraz plecaki każdego, kto próbował się tam przedostać. Nawet Gabriel, który nie miał nic oprócz szarej koperty ze zdjęciami, został dokładnie przeszukany, nim pozwolono mu przejść.

- Gdyby kiedykolwiek dotarło to do opinii publicznej - powiedział Rousseau - moje służby znalazłyby się w poważnym kłopotcie. Spadłoby wiele głów. Pamiętaj, to jest Francja.

- Nie martw się, Paul, nie zdradzę twojego sekretu.

Rousseau ponownie przejrzał zdjęcia Safii Bourihane i mężczyzny, który przez dwa dni snuł się za nią po Paryżu, nie zwracając uwagi DGSI.

- Jak myślisz, co on robił?

- Oczywiście ją obserwował.

- Dlaczego?

- Żeby sprawdzić, czy to odpowiednia dziewczyna. Pytanie

brzmi - dodał Gabriel - czy możecie go znaleźć.

- To są zdjęcia sprzed roku.

- Więc? - spytał wymownie Gabriel.

- To nie będzie łatwe - odrzekł Rousseau. - Przecież do tej pory nie możemy odkryć, gdzie pracuje wasz zespół.

- To dlatego, że jesteśmy lepsi niż on.

- W rzeczy samej ma niezłe wyniki.

- Facet nie przybył do kafejki w Saint-Denis na latającym dywanie - Gabriel wrócił do sprawy. - Musiał korzystać z pociągu albo autobusu, a potem iść ulicą, przy której są kamery.

- Nasza sieć kamer CCTV jest nieporównanie słabsza niż wasza czy brytyjska.

- Ale istnieje, zwłaszcza w takich miejscach jak Saint-Denis.

- Owszem. - Rousseau pokiwał głową. - Istnieje.

- A więc sprawdź, jak się tam dostał, a potem dowiedz się, kim jest. Ale cokolwiek robisz, rób to po cichu - dodał Gabriel.

- I nie wspominaj o tym naszemu przyjacielowi z Langley.

Rousseau spojrział na zegarek.

- O której się spotykacie?

- O jedenastej. A tak przy okazji, nazywa się Taylor. Kyle Taylor. Jest zastępcą dyrektora Centrum Antyterrorystycznego CIA i najwyraźniej człowiekiem ambitnym. Wskazał wielu terrorystów. Jeszcze jeden skalp, a może zostać następnym szefem operacji. Tak przynajmniej plotkują.

- To zaskoczy obecnego dyrektora.

- Adriana Cartera?

Gabriel skinął głową.

- Zawsze lubiłem Adriana - stwierdził Rousseau. - To przyzwoity gość i chyba zbyt uczciwy na szpiega. Aż dziw, że taki człowiek zdołał przetrwać lata w takim miejscu jak Langley.

* * *

Jak się okazało, Grupa Alfa w ciągu zaledwie czterdziestu ośmiu godzin zdołała odkryć, że mężczyzna z kafejki w Saint-Denise przyjechał do Paryża z Londynu pociągiem szybkobieżnym Eurostar. Zdjęcia obserwacyjne pokazywały, jak późnym rankiem wysiada z pociągu na Gare du Nord, a kilka minut później wsiada do metra, kierując się na północne przedmieścia Paryża. Opuścił Paryż dzień po tym, jak widziano go na rue de Rivoli i Champs-Élysées, również pociągiem Eurostar, tym razem jadącym do Londynu.

W odróżnieniu od większości pociągów międzynarodowych Europy Zachodniej kontrola paszportowa w Eurostarze odbywa się przed wejściem pasażerów do wagonów. Grupa Alfa szybko odnalazła swego człowieka na liście podróżnych. Nazywał się Dżalal Nasser. Urodzony w 1984 roku w Ammanie w Jordanii, obecnie mieszkał w Wielkiej Brytanii pod nieznanym adresem. Rousseau wysłał telegram do londyńskiego MI5 z nader lakonicznym pytaniem, czy brytyjska służba bezpieczeństwa zna miejsce pobytu niejakiego Dżalala Nassera i czy kiedykolwiek miała powody, by podejrzewać go o związki z islamskim ekstremizmem. Dwie godziny później dostał adres: 33 Chilton Street, Bethnal

Green, East London. Nie, MI5 nie ma dowodów wskazujących na to, że Nasser jest kimś innym niż tym, za kogo się podaje, czyli studentem ostatniego roku wydziału ekonomii w King's College. Studiuje tam z przerwami od siedmiu lat.

Gabriel wysłał Michała do Londynu w towarzystwie pary pomocników do wszystkiego, Mordechaja i Odeda. W ciągu kilku godzin od przyjazdu zdołali znaleźć małe mieszkanie przy Chilton Street, a także zrobić zdjęcie, na którym wieczny student Dżalal Nasser przechadzał się wzdłuż Bethnal Green Road z przerzuconą przez ramię torbą na książki. Zdjęcie to pojawiło się w komórce Gabriela wieczorem, gdy stał w pokoju dziecięcym swego mieszkania w Jerozolimie, patrząc na dwoje dzieci śpiących bezpiecznie w kołyskach.

- Strasznie za tobą tęskniły - powiedziała Chiara. - Ale jeśli je zbudzisz...

- To co?

Uśmiechnęła się, wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni.

- Tylko cicho - szepnęła, rozpinając guziki bluzki. - Bardzo cicho.

13

Amman, Jordania

Nazajutrz wczesnym rankiem, kiedy Chiara i dzieci głęboko jeszcze spały, Gabriel wymknął się z domu i po chwili siedział na tylnym fotelu swego opancerzonego SUV-a. Towarzyszyły mu dwa pojazdy dobrze uzbrojonej ochrony przydzielonej przez Biuro. Zamiast jednak ruszyć na zachód w stronę Tel Awiwu i bulwaru Króla Saula, okrążyli powstałe w czasach imperium osmańskiego szare mury Starego Miasta i zjechali zboczami Wzgórz Judejskich ku nieprzyjaznym nizinom Zachodniego Brzegu. Gwiazdy wciąż lśniły na bezchmurnym niebie nad Jerozolimą, gdy ognista kula słońca wyłoniła się nad rowem Doliny Jordanu. Kilka kilometrów przed Jerychem skręcili na most Allenby, historyczne przejście między Zachodnim Brzegiem a utworzonym przez Brytyjczyków Haszymidzkim Królestwem Jordanii.

W związku z przejazdem Gabriela po izraelskiej stronie wstrzymano ruch na przejściu granicznym. Po drugiej stronie stała imponująca kawalkada chevroletów suburbanów, w których czekali wąsaci beduińscy wojskowi. Szef ochrony Gabriela wymienił kilka słów ze swym jordańskim odpowiednikiem, po czym dwie kawalkady połączyły się w jedną i ruszyły przez pustynię w stronę Ammanu.

Celem wyprawy była siedziba wywiadu jordańskiego, Da'irat al-Muchabarat al-Amma, znanego także jako Al-Muchabarat.

Tym arabskim słowem określa się wszechobecne tajne służby, które chronią słabe królestwa, emiraty i republiki Bliskiego Wschodu. Otoczony koncentrycznym pierścieniem ochrony, trzymając w ręce aktówkę z nierdzewnej stali, Gabriel szybko przeciął marmurowy hol, pokonał biegnące łukiem schody i wszedł do gabinetu szefa wywiadu, Farida Barakata. Było to przepastne pomieszczenie, cztero-, a może pięciokrotnie większe niż dyrektorski gabinet przy bulwarze Króla Saula.

Z okien spływały ciężkie zasłony, na olśniewających perskich dywanach stały miękko tapicerowane fotele i kanapy, a wszędzie pyszniły się kosztowne bibeloty, którymi w dowód uwielbienia obdarowali Farida szpiedzy i politycy z całego świata. W takich miejscach, myślał Gabriel, rozdziela się łaski, wydaje sądy i unicestwia ludzkie istnienia. Sam zresztą również dostosował swój zwykły ubiór do rangi tej wizyty, zmieniając dzinsy i skórzaną kurtkę na elegancki popielaty garnitur i białą koszulę. Efekt jego trudów zbladł jednak wobec prezencji wysokiego Farida Barakata, który szył garnitury w Londynie u samego Anthony'ego Sinclaira. Podobnie jak obecny król Jordanii, którego przysiągł chronić, odebrał kosztowne wykształcenie w Wielkiej Brytanii i posługiwał się angielskim jak prezydent wiadomości BBC.

- Gabriel Allon, nareszcie! - Małe czarne oczy Farida lśniły jak polerowany onyks, a nos przypominał dziób drapieżnego ptaka. - Cieszę się, że mogę pana poznać. Po przeczytaniu różnych prasowych doniesień już myślałem, że straciłem okazję.

- Ach, ci reporterzy... - Gabriel skrzywił się pogardliwie.

- No właśnie - przytaknął Farid. - Pierwszy raz w Jordanii?
- Niestety.
- Żadnych dyskretnych wizyt w Ammanie z pożyczonym paszportem? Żadnych operacji przeciwko któremuś z waszych licznych wrogów?
- Nawet bym o tym nie śnił.
- Bardzo mądrze. - Farid szeroko się uśmiechnął. - Lepiej przestrzegać reguł. Wkrótce się pan przekona, że mogę być bardzo pomocny.

Izrael i Jordanię łączyło więcej niż wspólna granica i kolonialna przeszłość pod brytyjskimi rządami. Oba te prozachodnie kraje usiłowały przetrwać na Bliskim Wschodzie, który niebezpiecznie wymykał się spod kontroli. Dwukrotnie prowadziły wojny, w latach 1948 i 1967, ale formalnie osiągnęły porozumienie w ramach procesu pokojowego sterowanego z Oslo. Jednak jeszcze wcześniej izraelskie Biuro i wywiad Jordanii utrzymywały bliskie, choć ostrożne stosunki. Jordania powszechnie uchodziła za najsłabsze z arabskich państw, toteż wywiad miał za zadanie chronić głowę króla i utrzymać na bezpieczną odległość rewolucyjny chaos, który opanował cały region. Izrael miał podobny cel, więc znalazł w Jordanii kompetentnego i spolegliwego partnera, nieco bardziej cywilizowanego niż brutalne służby Iraku i Egiptu, choć równie wszechobecnego. Potężna sieć informatorów penetrowała tamtejsze społeczeństwo, śledząc wszelkie słowa i czyny jej mieszkańców. Nawet przypadkiem rzucona niechętna uwaga pod adresem króla lub jego rodziny mogła spowodować

bezterminowy pobyt w labiryncie tajnych więzień.

Uzi Navot uprzedził Gabriela o rytuałach towarzyszących każdej wizycie w pozłacanej jaskini Farida – o nieskończonej ilości filiżanek słodkiej jak ulepek arabskiej kawy, papierosach i długich historiach podbojów szefa jordańskiego wywiadu, zarówno zawodowych, jak i romantycznych. Farid mówił o tym tak, jakby nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu, co potęgowało jeszcze jego niezaprzeczalny urok. Niektórzy mężczyźni uginają się pod ciężarem odpowiedzialności, podczas gdy on rozkwitał. Był władcą potężnego imperium tajemnic. I wielce zadowolonym człowiekiem.

Przez cały monolog Farida Gabriel zdołał utrzymać spokojny, pełen uwagi uśmiech. W odpowiednich chwilach wybuchał śmiechem, a na dowód zainteresowania zadał kilka pytań. Ale przez cały czas jego myśli krążyły wokół fotografii zamkniętych w stalowej aktówce, którą ustawił przy nodze. Nigdy dotąd nie nosił aktówki, chyba że pod fałszywą tożsamością, i czuł się teraz jak galernik zakuty w łańcuch z kulą. Na pewno bez trudu znalazłby kogoś, kto mógł zrobić to za niego, ale w głębi duszy obawiał się, by nie nabrać upodobania do przywilejów, co nieuchronnie prowadzi do zatrudnienia służącego, degustatora posiłków, a także regularnych wizyt w ekskluzywnym salonie fryzjerskim w Tel Awiwie. Już teraz brakowało mu dreszczyku emocji, który odczuwał, samodzielnie zjeżdżając autostradą A1 w dół stromego jak narciarski stok zbocza. Farid Barakat bez wątpienia uznałby podobne skrupuły za śmieszne. Mówiono, że kiedyś wtrącił do więzienia własnego służącego, gdyż

o minutę za długo parzył earl greya.

W końcu jednak Farid zmienił temat i przeszedł do sytuacji na bulwarze Króla Saula. Słyszał o nominacji Gabriela i rychłym ustąpieniu Uziego Navota. Słyszał też, choć odmówił podania źródła, że Gabriel zamierza zatrzymać Navota w Biurze, powierzając mu jakąś funkcję. Uznał to za bardzo zły, wręcz horrendalny pomysł.

- Lepiej oczyścić pokład i zacząć od nowa - oświadczył, nie kryjąc dezaprobaty.

Gabriel odpowiedział uśmiechem, wyraził uznanie dla jego rozsądku i przenikliwości, lecz nie podjął tematu.

Jordańczyk wiedział również, że jego gość niedawno został ojcem. Przyciskiem wezwał asystenta, który wszedł do gabinetu z dwoma prezentowymi pudełkami - jedno było ogromne, a drugie małe. Farid nalegał, by Gabriel otworzył je w jego obecności. Duże pudło zawierało samochód, wyposażonego w silnik mercedesa zabawkę. W drugim, niedużym, leżał sznur pereł.

- Mam nadzieję, że nie obraża pana fakt, że to niemiecki samochód.

- W najmniejszym stopniu.

- A te perły są od Mikimoto.

- To miło. - Gabriel zamknął pudełko. - Niestety nie mogę ich przyjąć.

- Musi pan. W przeciwnym razie poczuję się głęboko dotknięty.

Gabriela ogarnęło zażenowanie, że przybył do Ammanu bez prezentów. Ale co można ofiarować człowiekowi, który uwięził

służącego za to, że niewłaściwie zaparzył herbatę? Miał tylko fotografie, które wyjął z aktówki. Pierwsza ukazywała mężczyznę, który szedł ulicą wschodniego Londynu z przerzuconą przez ramię torbą na książki i mógł być Arabem, Francuzem lub Włochem. Gabriel bez słowa podał ją Barakatowi. Ten tylko rzucił okiem.

- To Dżalal Nasser - oświadczył, z uśmiechem oddając zdjęcie. - Dlaczego to tak długo trwało, przyjacielu?

Siedziba wywiadu, Amman

Farid Barakat wiedział więcej o ISIS niż jakikolwiek inny funkcjonariusz wywiadu na świecie. I miał po temu powody. Ruch ten zrodził się bowiem w Az-Zarka, na ponurym przedmieściu Ammanu, gdzie w piętrowym domu z widokiem na opuszczony cmentarz mieszkał kiedyś człowiek nazywający się Ahmad Fadil an-Nazal al-Chalajla - pijak, wandal i awanturnik z tak gęstym tatuażem, że dzieci z sąsiedztwa mówiły o nim „zielony człowiek”.

Jego matka, pobożna muzułmanka, wierzyła, że tylko islam może ocalić jej grzesznego syna. Zapisała go zatem na naukę w meczecie Al-Husajn bin Ali. Tam Al-Chalajla odnalazł swe powołanie. W krótkim czasie stał się radykałem i zaprzysiężonym wrogiem jordańskiej monarchii, którą postanowił obalić siłą. Spędził kilka lat w więzieniach tajnych służb, w tym pewien okres w osławionej pustynnej twierdzy Al-Dzafr. Przywódcą jego bloku był tam Abu Muhammad al-Makdisi, płomienny kaznodzieja i jeden z pierwszych ideologów dżihadyzmu. W 1999 roku młody niedoświadczony król objął tron po śmierci ojca i w tradycyjnym geście dobrej woli ogłosił amnestię dla ponad tysiąca więźniów kryminalnych i politycznych. Wśród nich wolność odzyskali również Al-Makdisi i jego wojowniczy uczeń z Az-Zarka.

W tym czasie dawny awanturnik w tatuażach nazywał się już

Abu Musab az-Zarkawi. Niedługo po wyjściu na wolność wyruszył do Afganistanu i ślubował wierność Osامية bin Ladenowi. W marcu 2003 roku, w obliczu grożącej Irakowi inwazji amerykańskiej, przedostał się do Bagdadu i tam utworzył jednostki oporu, które z czasem zdobyły rozgłos jako iracka Al-Kaida. Fala egzekucji dokonywanych przez ścięcia oraz organizowane przez Az-Zarkawiego i jego współników zamachy bombowe doprowadziły niemal do wojny domowej, zaś on sam stał się prototypem nowego typu islamskiego ekstremisty. Gotów był stosować wszelkie, najstraszliwsze nawet formy przemocy po to, by zastraszyć i szokować. Nawet jego zastępca, Ajman az-Zawahiri, wyrażał się krytycznie o jego okrucieństwach.

Zarkawi zginął podczas nalotu lotniczego w czerwcu 2006 roku, a pod koniec następnego dziesięciolecia Al-Kaida w Iraku była już mocno zdziesiątkowana. Jednak w roku 2011 nastąpiły dwa wydarzenia, dzięki którym ożyła na nowo – wybuch wojny domowej w Syrii i wycofanie amerykańskich wojsk z Iraku. Teraz ugrupowanie to odrodziło się pod nazwą ISIS i zajęło bezpieczne tereny wzdłuż granicy Syrii i Iraku, kontrolując obszar rozciągający się od kolebki cywilizacji aż po próg Europy. Jego kolejnym celem było Haszemickie Królestwo Jordanii. A także Izrael.

Wśród tysięcy młodych muzułmanów z Bliskiego Wschodu i Europy zwabionych syrenim śpiewem ISIS znajdował się również młody Jordańczyk, Dżalal Nasser. Podobnie jak Zarkawi pochodził z nad Wschodniego Brzegu, z tym że należał do znanego klanu Bani Hasan, znacznie bardziej zamożnego

niż rodzina Chalajla z Zarki. Uczęszczał do prywatnego liceum w Ammanie, a potem do King's College w Londynie. Wkrótce po wybuchu wojny domowej w Syrii poznał w Ammanie rekrutera ISIS, licząc na to, że ułatwi mu to drogę do kalifatu. Jednak rekruter uznał, że gotowość Dżalala lepiej będzie wykorzystać w innym miejscu.

- W Europie? - spytał Gabriel.

Farid przytaknął.

- Skąd pan wie?

- Mamy swoje źródła i metody. - Jordańczyk najwyraźniej nie zamierzał odpowiedzieć na to pytanie.

- Dlaczego nie zdejmiecie go z ulicy?

- Dżalal pochodzi z dobrej rodziny, lojalnej wobec króla. Jego zatrzymanie spowodowałoby problemy. - Uśmiechnął się ostrożnie. - Miałyby poważne skutki uboczne.

- A zatem wysłaliście go samolotem do Londynu i pomachaliście na do widzenia.

- Niezupełnie. Za każdym razem, kiedy Dżalal wraca do Ammanu, zapraszamy go na pogawędkę. Poza tym okresowo obserwujemy go w Anglii, żeby sprawdzić, czy nie spiskuje przeciwko nam.

- Czy poinformowaliście o nim Brytyjczyków?

Cisza.

- A przyjaciela z Langley?

Dalsza cisza.

- Dlaczego tego nie zrobiliście?

- Bo nie chcemy rozdmuchiwać problemów. Wydaje mi się, że podobne jest ostatnio podejście Amerykanów.

- Uważaj, Farid. Nigdy nie wiadomo, kto nas słyszy.
- Tu na pewno nikt. - Rozejrzał się po swym ogromnym gabinecie. - Jest absolutnie bezpiecznie.

- Kto tak twierdzi?

- Langley.

Gabriel się uśmiechnął.

- A więc dlaczego tak bardzo interesuje was Dżalal? - spytał Farid.

Dostał kolejną fotografię.

- To ta kobieta z zamachu w Paryżu?

Gabriel skinął głową. Potem zwrócił mu uwagę na mężczyznę siedzącego samotnie w kawiarni nad otwartym laptopem.

- Dżalal?

- We własnej osobie.

- To na pewno nie pomyłka?

Gabriel podał mu kolejne dwa zdjęcia - na pierwszym Dżalal Nasser siedział z Margreet Janssen w restauracji w Amsterdamie, na drugim stał na ulicy w dzielnicy czerwonych latarni, trzymając się za policzek.

- Jasny szlag... - mruknął cicho Farid.

- Biuro się zgadza.

Farid oddał zdjęcia.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Paul Rousseau.

- Z Grupy Alfa?

Gabriel potwierdził.

- Są nieźli - orzekł Farid.

- Pracowaliście z nimi?
- Okazjonalnie. - Jordańczyk wzruszył ramionami. - Z reguły problemy Francji dotyczą innej części świata arabskiego.
- Teraz już nie. - Gabriel wsunął zdjęcia do teczki.
- Zakładam, że objęliście Dżalalą nadzorem. - Farid nie sprawiał wrażenia zachwyconego.
- Od wczorajszego wieczoru.
- Zdołaliście się dostać do jego laptopa?
- Jeszcze nie. A wy?
- Prześwietliliśmy go dokładnie, kiedy ostatnim razem przyszedł tu na rozmowę. Był czysty jak łąza. Ale to nic nie znaczy. Dżalal zna się na komputerach. Oni są w tym dobrzy. I z każdym dniem lepsi.

Farid zaczął zapalać jednego ze swych angielskich papierosów, lecz zrezygnował. Najwyraźniej awersja Gabriela do tytoniu była w wywiadzie jordańskim dobrze znana.

- Chyba nie wspomniał pan o tym Amerykanom?
- Komu? - zdziwił się Gabriel.
- A Brytyjczykom?
- Mimochodem.
- To niemożliwe w przypadku Brytyjczyków. Co więcej - ciągnął Farid tonem prezentera wiadomości - wiem z pewnych źródeł, że obawiają się kolejnego ataku.
- I powinni.

Farid przysunął w końcu płomień swej złotej zapalniczki do papierosa, po czym spytał:

- A więc co wiąże Dżalalą z Paryżem i Amsterdamem?
- Jeszcze nie wiem. Może jest rekruterem albo łowcą

kandydatów. A może kieruje całym projektem. – Gabriel przez chwilę milczał. – Możliwe również – odezwał się w końcu – że to jego nazywają Saladynem.

Barakat gwałtownie podniósł wzrok.

– Oczywiście – Gabriel patrzył mu prosto w oczy – słyszał pan to imię.

– Tak – potwierdził Farid. – Słyszałem.

– Czy to on?

– Wykluczone.

– Czy więc tamten istnieje?

– Saladyn? – Farid wolno skinął głową. – Tak, istnieje.

– Kim on jest?

– Najgorszym z naszych koszmarów. Poza tym – rozłożył ręce – nie wiemy o nim nic.

Siedziba wywiadu, Amman

Na temat patrona terrorysty szef tajnych służb Jordanii wiedział natomiast bardzo wiele. Salah ad-Din Jusuf ibn Ajjub, czyli Saladyn, urodził się około 1138 roku w Tikricie. Był synem kurdyjskiego żołnierza najemnego, służącego najpierw Seldżukom, a następnie Zengidom. Młodość spędził w Baalbek, mieście położonym w obecnym Libanie, a także w Damaszku, gdzie pił wino, uwodził kobiety i grał w polo przy świetle świec. To właśnie Damaszek stał się jego ulubionym miastem. Egipt, z czasem centrum finansowe swego imperium, zwał nierządnicą, która chce go oderwać od wiernej żony, czyli od Damaszku.

Stworzone przez niego imperium rozciągało się od Jemenu do Tunisu, a od północy sięgało Syrii. Rządzili tam liczni książęta, emirowie i jego chciwi krewniacy, ale dyplomatyczne talenty i charyzmatyczna osobowość Saladyna zapobiegały konfliktom. Przemoc nie była mu obca i dzięki niej odnosił liczne sukcesy, ale budziła w nim odrazę. Kiedyś miał powiedzieć do swego ulubionego syna Zahira: „Ostrzegam cię przed rozlewem krwi. Nie upajaj się nim i nie czyn z niego nawyku, bo krew nie zasypia nigdy”.

Kulawy i chorowity, pozostawał pod stałą opieką zespołu dwudziestu jeden medyków, w tym filozofa i słynnego znawcy Talmudu, Majmonidesa, którego mianował nadwornym

lekarzem w Kairze. Mimo posiadanej potęgi próżność była mu obca - mówiono, że kiedyś w Jerozolimie parsknął tylko śmiechem, gdy jakiś dworzaniek opryskał błotem jego jedwabne szaty - i nie szukał osobistego bogactwa ani przyziemnych rozkoszy. Spełniał się w otoczeniu poetów i uczonych, nade wszystko jednak pochłaniała go idea dżihadu - świętej wojny. Wszerz i wzdłuż swych ziem budował meczety i ośrodki nauk islamu, nie szczędząc pieniędzy i przywilejów uczonym i kaznodziejom. Dążył do rozbudzenia zapału religijnego, natchnienia wczesnych wyznawców, które przyczyniło się do podboju połowy ówczesnego świata. A gdy zdołał rozpalić ów święty ogień, skierował go na jedyny cel, którego wciąż nie osiągnął. Była nim Jerozolima.

Mała placówka czerpiąca ze źródeł, miasto strategicznie położone na wzgórzach u styku trzech kontynentów, grzeszny wybryk geografii, za co miała przez wieki pokutować. Oblegana, plądrowana, podbijana i odbijana Jerozolima należała do Jebusytów, Egipcjan, Asyryjczyków, Babilończyków, Persów, Greków, Rzymian, Bizantyjczyków i, oczywiście, Żydów. Gdy Umar al-Chattab, teść i zausznik Mahometa, na czele arabskich wielbłądników z Hejaz i Jemenu dokonał podboju Jerozolimy w roku 639, było to w przeważającej mierze miasto chrześcijańskie. Cztery i pół wieku później na apel papieża Urbana II z Europy wyruszyła krucjata w liczbie kilku tysięcy chrześcijan, by odbić Jerozolimę z rąk muzułmanów, których uważano za „obcych Bogu”. Chrześcijańskie rycerstwo, nazwane później krzyżowcami, przełamało obronę miasta nocą 13 lipca 1099

roku i dokonało rzezi jego mieszkańców, w tym również trzech tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy ukryli się w wielkim meczecie Al-Aksa na Wzgórzu Świątynnym.

To właśnie Saladyn, syn kurdyjskiego najemnika z Tikritu, miał pomścić zamordowanych. Po upokorzeniu oszalałych z pragnienia wojsk krzyżowców w bitwie pod Hattin nieopodal Tyberiady w 1187 roku, gdzie osobiście zgładził Renalda z Châillon, nastąpiła kapitulacja chrześcijan. Muzułmanie odbili Jerozolimę. Saladyn strącił potężny krzyż wzniesiony na Kopule Skały, kazał wyszorować dziedziniec damasceńską wodą różaną, by zniszczyć nieczyste ślady niewiernych i sprzedał tysiące chrześcijan do niewoli i haremów. Odtąd Jerozolima miała pozostać w rękach muzułmanów do 1917 roku, kiedy to Brytyjczycy odbili ją Turkom osmańskim. A gdy Imperium Osmanów upadło w 1924 roku, wraz z nim upadł ostatni muzułmański kalifat.

Teraz jednak ISIS ogłosiło powstanie nowego kalifatu. Na razie obejmował on jedynie fragmenty zachodniego Iraku i wschodniej Syrii z Rakką jako stolicą. Saladyn - nowy Saladyn - był dowódcą operacji zagranicznych ISIS. Tak przynajmniej uważał Farid Barakat i jordański wywiad. Niestety nie wiedzieli o nim niemal nic, a nawet nie znali jego prawdziwej tożsamości.

- To Irakijczyk?

- Możliwe. Ale równie dobrze może być Tunezyjczykiem lub Saudyjczykiem, Egipcjaninem. Brytyjczykiem lub jednym z maniaków gotowych spieszyć do Syrii, aby żyć w tym nowym islamskim raju.

- Chyba wasz departament w to nie wierzy.
- Nie, my nie wierzymy - zgodził się Farid. - Myślimy, że to były iracki wojskowy. Kto wie? Może pochodzi z Tikritu, tak jak Saladyn.
- I Saddam.
- No właśnie, nie zapominajmy o Saddampie. - Farid wypuścił kłąb dymu w stronę wysokiego sufitu. - Mieliśmy z nim swoje kłopoty, ale ostrzegaliśmy Amerykanów, że gorzko pożałują dnia, w którym go obalą. Oczywiście nie posłuchali. Nie słuchali też, kiedy prosiliśmy, żeby zrobili coś z Syrią. Mówili, że to nie ich problem. Sprawy Bliskiego Wschodu należą do przeszłości. Amerykanie nie będą walczyć na ziemiach muzułmańskich. No i proszę spojrzeć na obecną sytuację. Ćwierć miliona zabitych, setki tysięcy uchodzi do Europy, a Rosja i Irak próbują wspólnie zdominować Bliski Wschód. - Wolno pokręcił głową. - Czy o czymś zapomniałem?
- Tak, o Saladynie - przypomniał Gabriel.
- Co chcecie zrobić w tej sprawie?
- Sądzę, że nie pozostaje nam nic oprócz nadziei, że zniknie.
- My też początkowo mieliśmy taką nadzieję - odrzekł Farid.
- Nadzieję i pychę.
- A więc go zlikwidujemy, i to jak najprędzej.
- A co z Amerykanami?
- W jakim sensie? - spytał Gabriel.
- Będą chcieli w tym uczestniczyć.
- Nie mamy dla nich zadań. Przynajmniej na razie.
- Moglibyśmy skorzystać z ich technologii.
- My też mamy technologie.

- Nie takie jak oni. - Farid pokręcił głową. - Mają najlepszą cybertechnologię na świecie, a także technologie komórkowe i satelitarne.

- To wszystko nie ma znaczenia, skoro nie wiemy, jak nazywa się obiekt.

- Jasne. A więc pracujemy wspólnie? Biuro i nasz departament?

- A także Francuzi - dodał Gabriel.

- Kto dowodzi?

Gdy Gabriel milczał, Jordańczyk zmarszczył czoło. Nie lubił dyktatu, ale obawiał się konfliktu z człowiekiem, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miał kierować Biurem przez bardzo długi czas.

- Nie chcę być traktowany jak służący, rozumiemy się? Dość już mam zachowań Amerykanów. Uważają nas niemal za filię Langley.

- Nigdy by mi to nie przyszło do głowy, Faridzie.

- W porządku. - Uśmiechnął się sztucznie. - W takim razie proszę mi powiedzieć, w czym możemy pomóc.

- Na początek chciałbym dostać wszystko, co macie na Dżalalą Nassera.

- A potem?

- Zostawcie go w spokoju. Dżalal jest teraz mój.

- Proszę bardzo. Tylko bez skutków ubocznych. - Jordańczyk poklepał Gabriela po dłoni. - Jego Wysokość nie lubi skutków ubocznych. Tak jak ja.

* * *

Gdy Gabriel dotarł na bulwar Króla Saula, Uzi Navot siedział samotnie w gabinecie, ze smętną miną posilając się filetem z dorsza oraz jakąś szarozieloną warzywną breją. Używał w tym celu pałeczek, a nie widelca i noża, co znacznie spowalniało proces konsumpcji, choć teoretycznie miało uprzyjemnić nieapetyczny posiłek. Sprawcą tej udręki była Bella, jego surowa małżonka. Kontrolowała każdy okruczek pokarmu, który mąż brał do ust, i nadzorowała jego wagę ze starannością geologa, który obserwuje dymiący wulkan. Dwa razy dziennie, gdy rano wstawał i nim wykończony padał do łóżka, Navot musiał stawać na precyzyjnej wadze łazienkowej, Bella zaś notowała odczyty w oprawnym w skórę notesie i w zależności od nich nagradzała go bądź wymierzała mu karę. Kiedy Navot dobrze się sprawował przez odpowiednio długi czas, dostawał strogonowa, gulasz, sznycel lub jedną ze wschodnioeuropejskich potraw, które tak uwielbiał. Ale gdy coś przeszkrobał, wówczas był skazany na rybę i pałeczki. Patrząc teraz na niego, Gabriel nie miał wątpliwości, że znów pokutuje za dietetyczne przewinienia.

- Wygląda na to, że doszłście z Faridem do porozumienia - stwierdził Navot, gdy Gabriel zakończył relację z wizyty w Ammanie. - Nigdy nie dał mi nic prócz cukierków i bakławy. Bella zawsze zgaduje, kiedy się z nim spotykam. Nie mam tam po co jeździć.

- Próbowałem oddać mu perły, ale nie chciał o tym słyszeć.

- Tylko pamiętaj, żeby zgłosić to w kadrach. Wszyscy wiedzą, że nikt cię nie przekupi, ale wolałbym, żeby nie gadali, że wdałeś się w romans z jordańskim wywiadem.

Odsunął talerz. Nie zostało na nim nic jadalnego. Aż dziw, że ocalały pałeczki i papier, w który je zawinięto, pomyślał Gabriel.

- Czy naprawdę myślisz, że Farid odpuści sobie Dżalalą Nassera?

- Akurat.

- Co oznacza, że jordański wywiad zajmie pierwszy rząd w twojej operacji.

- Z zasłoniętym widokiem.

Navot się uśmiechnął.

- Co zamierzasz?

- Chcę rozpracować siatkę Saladyna. Odkryć, kim naprawdę jest i gdzie działa. A potem zrzucić mu na łeb potężną bombę.

- To oznacza wysłanie agenta do Syrii.

- Tak, Uzi. Bo to tam jest ISIS.

- Tylko szczęściarz może stamtąd wrócić z głową na szyi. Nowy kalifat to zakazane królestwo. Jego los zawisnie na włosku.

- Nie jego, lecz jej - sprostował Gabriel. - Saladyn zdecydowanie woli kobiety.

Navot ponuro pokręcił głową.

- To zbyt niebezpieczne.

- Zbyt niebezpiecznie jest nic nie robić, Uzi.

Po chwili napiętego milczenia Navot spytał:

- Nasz człowiek czy ich?

- Nasz.

- Języki?

- Francuski i arabski. I potrzebuję kogoś, kto coś potrafi.

ISIS ma już dość nieudaczników. – Gabriel przerwał, po czym spytał: – Znasz kogoś takiego, Uzi?

– Być może.

Jednym z wielu udoskonaleń, które Navot wprowadził do dyrektorskiego gabinetu, był supernowoczesny ekran wideo, na którym dniem i nocą migotały wszystkie światowe kanały informacyjne. W tej chwili na ekranach ukazały się straszliwe obrazy nędzy i cierpienia, w większości pochodzące z tego, co pozostało ze starożytnego kraju zwanego Syrią. Navot długo patrzył na ekran, po czym otworzył cyfrowym kodem prywatny sejf. Wyjął z niego dwie rzeczy – jakieś akta oraz nietknięte pudełko wiedeńskich maślanych ciasteczek. Akta podał Gabrielowi, ale ciasteczka zatrzymał. Do czasu, gdy Gabriel podniósł wzrok, wszystkie zniknęły.

– Jest idealna.

– Owszem – zgodził się Navot. – I jeśli coś jej się stanie, odpowiesz za to ty, nie ja.

Centrum Medyczne Hadassa, Jerozolima

Nikt nie pamiętał dokładnie, jak to się zaczęło. Może od arabskiego motocyklisty, który wjechał w troje żydowskich nastolatków w pobliżu osiedli na Zachodnim Brzegu, na południe od Jerozolimy. A może od arabskiego handlarza, który zaatakował nożem dwóch studentów jesziwy za Bramą Damasceńską, głównym wejściem do Starego Miasta. Czy też od arabskiego pracownika luksusowego hotelu, który próbował otruć przybyłego z wizytą kongresmena z Ohio.

Inspirowani słowami i czynami ISIS, rozczarowani złamanymi obietnicami pokoju, liczni młodzi Palestyńczycy całkiem dosłownie wzięli sprawy w swoje ręce. Dokonywane przez nich akty przemocy miały charakter jednostkowy, głęboko osobisty i trudny do powstrzymania. Stosunkowo łatwo dostrzec Araba w kamizelce samobójcy, lecz Arab z kuchennym nożem lub w samochodzie z bombą stał się koszmarem wszystkich służb bezpieczeństwa, zwłaszcza że gotów był na śmierć. Przypadkowy charakter tych ataków głęboko naruszył równowagę społeczeństwa Izraela. Ostatnie ankiety wykazały, że jego przeważająca większość obawia się ataku na ulicy. Wiele osób unikało już miejsc, w których można spotkać Arabów, co nie jest rzeczą łatwą w takim mieście jak Jerozolima.

Zawsze jednak przewożono rannych i umierających do

Centrum Medycznego Hadassa, najważniejszego ośrodka tego typu w Izraelu. Powstał on na terenie Zachodniej Jerozolimy, w miejscu opuszczonej arabskiej wioski Ain Karem. Wspaniały zespół lekarzy i pielęgniarek nieustraszenie niósł pomoc ofiarom najstarszego konfliktu świata – okaleczonym w wyniku samobójczych ataków bombowych, rannym żołnierzom izraelskich sił obronnych, arabskim demonstrantom rażonym izraelskim ogniem. Nikt nie robił tu różnic między Arabem i Żydem, ofiarą i sprawcą. Ratowano każdego, kto przekroczył próg szpitala, łącznie z największymi wrogami Izraela. Widok wysokiego rangą członka Hamasu nie był w Hadassie rzadkością. Nawet władcy Syrii przed wybuchem wojny domowej wysyłali tam ważne osobistości na leczenie.

Wedle tradycji chrześcijańskiej Ain Karem jest miejscem narodzin świętego Jana Chrzciciela. Wieże kościelne górują tam nad starymi domkami z piaskowca, ongiś należącymi do Arabów, a dźwięk dzwonów wita i żegna każdy dzień. Pomiedzy starą wioską a nowoczesnym szpitalem znajduje się parking przeznaczony dla starszych lekarzy i administracji. Doktor Natalie Mizrahi nie miała na razie prawa z niego korzystać. Przysługiwało jej miejsce na odległym peryferyjnym parkingu na krawędzi głębokiego wąwozu. Przyjechała o ósmej trzydzieści i jak zawsze musiała przez kilka minut czekać na mały autobus kursujący do szpitala. Wsiadła w pobliżu wejścia na oddział ratunkowy. W tym momencie panował tu spokój. Na dziedzińcu nie było ambulansów, a oddział urazowy wydawał się pogrążony w ciszy i mroku. Dyżurowała tam zaledwie jedna pielęgniarka na wypadek,

gdyby zaszła konieczność wezwania zespołu operacyjnego.

W szatni dla pracowników Natalie schowała torebkę w szafce, nałożyła biały kitel na swój niebieskozielony uniform i zawiesiła na szyi słuchawki. Zaczynała dyżur o dziewiątej i miała go skończyć nazajutrz rano. Twarz, której się przyjrzała w łazience, wyglądała na wypoczętą i świeżą, znacznie lepiej, niż będzie wyglądać za dwadzieścia cztery godziny. Miała oliwkową cerę i niemal czarne oczy. Ciemne włosy, ciasno upięte w kok, zabezpieczyła zwykłą elastyczną opaską, ale kilka kosmyków, które się spod niej wymknęły, opadało na szyję. Nie malowała się i nie perfumowała, a krótko obcięte paznokcie tylko lekko pociągnęła przezroczystym lakierem. Luźny szpitalny ubiór ukrywał jej sprężyste ciało, szczupłe biodra oraz uda i łydki, których delikatną muskulaturę zawdzięczała nawykowi biegania. W ostatnich czasach ograniczyła się jednak do biegni w klubie sportowym, gdyż w miejscach publicznych przestała czuć się bezpiecznie.

Umyła ręce środkiem dezynfekującym i nachyliła się do lustra, by dokładniej się sobie przyjrzeć. Nie znosiła swojego nosa i uważała, że usta, choć zmysłowe, są nieco zbyt duże w stosunku do twarzy. Uważała również, że jej największym atutem są oczy – duże, ciemne, inteligentne i kuszące, kryły w sobie cień zdrady, a może głębokie piętno bólu. Po dziesięciu latach trudnej praktyki lekarskiej nie wierzyła już w swą urodę, choć z jej doświadczeń wynikało, że dla mężczyzn nadal jest atrakcyjna. Wciąż jednak nie spotkała żadnego przedstawiciela tej płci, który byłby wart poślubienia.

Jej życie uczuciowe składało się z kolejnych monogamicznych, lecz nieszczęśliwych związków.

Tak było we Francji, gdzie mieszkała do dwudziestego szóstego roku życia, jak i w Izraelu, gdzie przyjechała z rodzicami, gdy ci stwierdzili, że Marsylia nie jest już bezpiecznym miejscem dla Żydów. Oboje mieszkali teraz w Netanji, w apartamencie z widokiem na Morze Śródziemne. Ale ich asymilacja w izraelskim społeczeństwie przebiegała opornie. Nadal oglądali francuską telewizję, czytali francuskie gazety, robili zakupy we francuskich sklepach, spędzali popołudnia we francuskich kafejkach i mówili po hebrajsku tylko wtedy, gdy było to konieczne. Hebrajski Natalie, mimo że płynny i szybki, zdradzał jej marsylskie korzenie. Podobnie jak arabski, choć posługiwała się nim bezbłędnie i wśród kramów Starego Miasta zdarzało jej się rozumieć wypowiedzi, które sprawiały, że przechodziły ją ciarki.

Wychodząc ze służbowej szatni, dostrzegła dwóch lekarzy biegnących w stronę oddziału urazowego. Oddział ratunkowy znajdował się na końcu holu. Tylko dwa boksy były tam zajęte. Doktor Ajelet Malkin, kierowniczka zmiany, siedziała za kontuarem pośrodku sali i wpatrywała się w ekran komputera.

- W samą porę - rzuciła, nie podnosząc wzroku.
- Co się dzieje?
- Palestyńczyk ze wschodniej Jerozolimy zaatakował nożem dwóch haredi na ulicy Sułtana Sulejmana. Jeden z nich zapewne nie przeżyje. Drugi jest w krytycznym stanie.
- Kolejny dzień i kolejny atak.
- Niestety jest coraz gorzej. Jakiś przechodzień rzucił się na

Araba, próbując go rozbroić. Gdy przybyła policja, zobaczyli dwóch mężczyzn walczących o nóż i postrzelili obu.

- Jak poważnie?

- Najbardziej oberwał ten bohater. Właśnie wiozą go na urazowy.

- A terrorysta?

- Dostał raz. Kula przeszła na wylot. Jest cały twój.

Natalie wybiegła na korytarz w chwili, gdy pierwszego pacjenta przewożono na oddział urazowy. Miał na sobie czarny garnitur, długie do kolan skarpetki i białą koszulę, jak przystało na ultraortodoksyjnego żyda. Z jego marynarki zostały strzępy, a koszula przesiąkła krwią. Długie rudawe pejsy okalały twarz barwy popiołu. Natalie rzuciła mu zaledwie krótkie spojrzenie. Trwało to sekundę lub dwie, ale instynktownie czuła, że ten człowiek nie będzie długo żył.

Za nim wieziono kolejną ofiarę, około trzydziestopięcioletniego Izraelczyka z maską tlenową na twarzy i kulą w piersi. Był przytomny i oddychał z trudem. Chwilę później pojawiły się nosze z kolejną ofiarą nożownika. Był nią drugi haredi, mniej więcej czternastoletni chłopiec z licznymi, obficie krwawiącymi ranami. Na koniec ukazał się sprawca napaści i rozlewu krwi - Palestyńczyk ze wschodniej Jerozolimy, który obudziwszy się tego ranka, postanowił zabić dwie osoby dlatego, że były Izraelczykami i żydami. Natalie oceniła go na najwyżej dwadzieścia pięć lat. Miał ranę postrzałową po lewej stronie klatki piersiowej, między podstawą szyi i barkiem, a na twarzy kilka otarć i skaleczeń. Być może bohater, który próbował go rozbroić, w trakcie

szarpaniny zdołał mu wymierzyć kilka ciosów. A może, myślała Natalie, to policja nieco go poturbowała podczas aresztowania. Nosze, na których leżał skuty kajdankami i związany, eskortowało czterech policjantów z wydającymi trzaski krótkofalówkami. Obok szło kilku mężczyzn w cywilu. Natalie przypuszczała, że to ludzie z Szabak, izraelskiej służby bezpieczeństwa wewnętrznego.

Jeden z nich podszedł do niej i przedstawił się jako Joaw. Miał włosy ostrzyżone tuż przy skórze, a ciemne okulary zasłaniały jego oczy. Zdawał się rozczarowany, że pacjent wciąż jest wśród żywych.

- Musimy być obecni w trakcie zabiegu. Jest niebezpieczny.
- Poradzę sobie.
- Nie z nim. On chce umrzeć.

Sanitariusze przewieźli młodego Palestyńczyka na oddział ratunkowy i z pomocą policjantów przenieśli go z zalanych krwią noszy na czyste łóżko. Ranny mężczyzna krótko się opierał, gdy funkcjonariusze mocowali plastikowymi kajdankami jego ręce i stopy do aluminiowych poręczy łóżka. Na prośbę Natalie policjanci wycofali się z pomieszczenia, natomiast agenci Szabak stanowczo odmówili.

- Denerwujecie go - protestowała Natalie. - Musi spokojnie leżeć, jeśli mam właściwie oczyścić ranę.

- Dlaczego ma być spokojny, jeśli tamtych trzech walczy o życie?

- To w tym miejscu nie ma znaczenia. Nie teraz. Zawołam was w razie potrzeby.

Ludzie z Szabaku usiedli przed boksem. Natalie zasunęła

kotare i teraz, sama z terrorystą, zaczęła oglądać ranę.

- Jak się nazywasz? - spytała po hebrajsku, gdyż wielu arabskich mieszkańców wschodniej Jerozolimy dobrze ten język znało, zwłaszcza ci, którzy pracowali po zachodniej stronie. Ranny Palestyńczyk się zawahał, po czym podał imię Hamid.

- No cóż, Hamid, masz wiele szczęścia. Centymetr lub dwa niżej, a pewnie byś nie żył.

- Nie chcę żyć. Chcę zostać szahidem.

- No to źle trafiłeś.

Z tacy na narzędzia chirurgiczne wzięła zagięte nożyczki do bandaży. Palestyńczyk zaczął się szarpać ze strachu.

- Co? - zapytała. - Nie lubisz ostrych narzędzi?

Drgnął, ale milczał. Przechodząc na arabski, Natalie odezwała się łagodnie:

- Nie bój się, Hamid. Nie zrobię ci krzywdy.

Wydawał się zaskoczony.

- Mówisz bardzo dobrze po arabsku.

- A dlaczego nie?

- Jesteś z naszych?

Uśmiechnęła się i ostrożnie przecięła zakrwawioną koszulę, by odsłonić jego ciało.

* * *

Wstępny opis stanu pacjenta okazał się nieprawidłowy. Kula nie przeszła na wskroś. Dziewięćmilimetrowy pocisk nadal tkwił obok obojczyka w odległości jakichś ośmiu centymetrów od mostka. Natalie podała miejscowe znieczulenie i gdy środek zaczął działać, szybko zabrała się do roboty. Przemyśla

ranę antybiotykiem i używając sterylnych szczypiec, usunęła odłamki kości i kilka wbitych w tkankę strzępów koszuli. Następnie wyjęła dziewięciomilimetrový pocisk, zniekształcony w wyniku uderzenia w kość, ale cały. Hamid poprosił, by pozwoliła mu zatrzymać kulę na pamiątkę jego wyczynu, ale Natalie, marszcząc brwi, wrzuciła go do torby na odpady medyczne. Potem czterema starannymi ruchami zszyła ranę i nałożyła ochronny bandaż. Należało jeszcze unieruchomić lewą rękę, by obojczyk się zróśł, ale to wymagało zdjęcia plastikowych kajdanków. Uznała, że trzeba z tym poczekać. Nie miała złudzeń, że gdy uwolni mu rękę, Hamid zacznie się wyrywać, a to spowodowałoby pogłębienie urazu kości i otaczającej ją tkanki.

Pacjent pozostał na oddziale ratunkowym przez następną godzinę, odzyskując siły. W tym czasie jego dwie ofiary przewiezione w głąb korytarza na oddział urazowy – starszy z haredi oraz świecki Izraelczyk, który został omyłkowo postrzelony – przegrały walkę o życie. Gdy policjanci wrócili po zamachowca, na ich twarzach malował się gniew. Zazwyczaj Natalie zatrzymywała pacjenta z raną postrzałową na całodobową obserwację, ale tym razem zgodziła się, by funkcjonariusze policji i Szabak zabrali Hamida natychmiast. Gdy zdjęto mu kajdanki, umieściła jego rękę na temblaku i ciasno przymocowała ją do ciała. Potem, już bez żadnych kojących arabskich słów, oddała go w ręce władz.

Tego samego popołudnia miał miejsce jeszcze jeden atak. Dokonał go nożem kuchennym młody Arab ze wschodniej Jerozolimy na Centralnym Dworcu Autobusowym przy Jaffa

Road. Tym razem napastnik nie przeżył. Zginął z rąk uzbrojonego cywila, ale wcześniej zdołał zadźgać nożem dwie kobiety, obie po siedemdziesiątce. Jedna zmarła w drodze do szpitala, druga na oddziale ratunkowym w chwili, gdy Natalie uciskała ranę w piersi, próbując powstrzymać krwotok. Później, gdy weszła do pokoju dla personelu, zobaczyła na ekranie telewizora przywódcę Autonomii Palestyńskiej, który zapewniał swych ludzi, że ich patriotycznym obowiązkiem jest zabić tylu Żydów, ile to możliwe.

- Poderżnijcie im gardła! - nawoływał. - Wbijcie nóż w ich podłe serca. Każda kropla krwi przelana za Jerozolimę jest święta.

Wieczór przyniósł nieco wytchnienia, Natalie i Ajelet zjadły razem kolację w restauracji w lśniącej galerii handlowej znajdującej się na terenie szpitala. Rozmawiały o przyziemnych sprawach - o mężczyznach, filmach i seksualnych przygodach pielęgniarki nimfomanki z oddziału położnictwa - wszystkim, byle tylko nie wracać do potwornych wydarzeń, których były świadkiem tego dnia.

Ich rozmowę przerwało jednak kolejne dramatyczne zajście: cztery ofiary zderzenia czołowego znajdowały się w drodze na oddział ratunkowy. Natalie zajęła się najmłodszą, czternastoletnią dziewczynką pochodzącą z Kapsztadu, która mieszkała teraz w angielskojęzycznej wspólnocie religijnej w Bet Szemesz. Mimo licznych skaleczeń nie doznała złamań ani wewnętrznych obrażeń. Niestety jej ojciec nie miał tyle szczęścia. Natalie towarzyszyła dziewczynce w chwili, gdy poinformowano ją o jego śmierci.

Wyczerpana wyciągnęła się na kozetce w dyżurce, próbując się zdrzemnąć, a gdy zapadła w sen, przyśnił jej się tłum zakapturzonych mężczyzn, którzy ścigali ją z obnażonymi nożami. Gwałtownie się ocknęła i zerknęła na komórkę. Była siódma piętnaście. Wstając, wlała w siebie kubek czarnej słodkiej kawy, zmusiła się, by przeczesać włosy, i ruszyła z powrotem na oddział ratunkowy, zastanawiając się, jaki kolejny koszmar przyniosą ostatnie dwie godziny jej dyżuru. Było tam jednak spokojnie aż do ósmej pięćdziesiąt pięć, kiedy to Ajelet odebrała informację o nowym ataku nożowniczym.

- Ile osób?

Ajelet podniosła dwa palce.

- Gdzie?

- Netanja.

- Netanja? Jesteś pewna, że chodzi o Netanję?

Ajelet ponuro skinęła głową. Natalie szybko wybrała numer telefonu rodziców. Ojciec odezwał się tak szybko, jakby czekał przy aparacie.

- Papa... - Zamknęła z ulgą oczy.

- Oczywiście, że ja. Co się stało, kochanie?

W tle słyszała odgłosy porannego programu francuskiej telewizji. Już miała powiedzieć, by przełączył się na Kanał 1, ale się powstrzymała. Może lepiej, by rodzice nie wiedzieli, że ich mały francuski azyl nad morzem nie jest już miejscem bezpiecznym.

- A mama? - spytała. - Wszystko dobrze?

- Jest obok. Chcesz z nią porozmawiać?

- To niekonieczne. Kocham cię, papo.

Rozłączyła się. Była dziewiąta. Ajelet zwolniła miejsce za kontuarem dla następnego kierownika dyżuru, doktora Marca Gellera, piegowatego i rudowłosego Szkota.

- Chciałabym zostać - powiedziała.

Marc Geller wskazał ręką wyjście.

- Zobaczymy się za trzy dni.

Zabrała więc swoje rzeczy z pokoju dla personelu i odrętwiała ze zmęczenia ruszyła do busa kursującego na odległy parking. Uzbrojony ochroniarz w kamizelce khaki odprowadził ją do samochodu. A więc takie jest życie Żyda w dwudziestym pierwszym wieku, myślała, wsuwając się za kierownicę. Wygnani z Francji przez nasilający się antysemityzm ona i jej rodzice przybyli do swej żydowskiej ojczyzny tylko po to, by zetknąć się tu z falą brutalnych ataków ze strony młodych mężczyzn, którym od urodzenia wpaja się nienawiść. Izrael przestał być miejscem bezpiecznym dla Żydów. Ale jeśli nie Izrael, to co? Jesteśmy, myślała, zapalając silnik, narodem skazanym.

Mieszkała niedaleko szpitala w dzielnicy Rehawia, jednej z droższych w tym coraz bardziej kosztownym mieście. Wolno przebiła się przez poranny ruch ulicy Ramban, po czym skręciła w lewo w Ibn Ezra, by tam zaparkować na pustym miejscu przy krawężniku. Budynek, w którym mieszkała, znajdował się za rogiem uliczki Elkharizi, tak wąskiej, że nie mieściły się na niej dwa samochody. W chłodnym powietrzu unosiła się ciężka woń sosen i bugenwilli. Ruszyła szybko do wejścia. Nawet tu, w Rehawii, dzielnicy czysto żydowskiej, nie czuła się już bezpieczna. Weszła do bramy, minęła hol i ruszyła

po schodach do swego mieszkania. W chwili, gdy stanęła przed drzwiami, zadzwonił jej telefon. Zanim odebrała, sprawdziła, kto to. Na wyświetlaczu ukazał się numer rodziców w Netanji.

- Coś się stało? - rzuciła do słuchawki.

- Ależ skąd - odparł po francusku jakiś pewny męski głos.

Ponownie sprawdziła numer dzwoniącego.

- Z kim rozmawiam?

- Proszę się nie denerwować - odrzekł ten sam głos. - Pani rodzicom nic nie grozi.

- Pan jest w ich mieszkaniu?

- Nie, nie. To tylko mały wybieg, którego użyliśmy, żeby nie przełączyła nas pani do poczty głosowej.

- My? Kim jesteście?

- Nazywam się Uzi Navot. Być może słyszała pani o mnie. Jestem szefem czegoś, co nazywa się...

- Wiem, kim pan jest.

- To dobrze. Bo my też wiemy, kim pani jest, Natalie.

- Dlaczego do mnie dzwonicie? - spytała niecierpliwie.

- Mówi pani jak ktoś z nas - odparł ze śmiechem.

- Jak szpieg?

- Jak Izraelczyk.

- Ja jestem Izraelką.

- Już nie.

- O czym pan mówi?

- Posłuchaj uważnie, Natalie. Chciałbym, żebyś teraz się rozłączyła i weszła do mieszkania. Czeka tam na ciebie pewna kobieta. Nie obawiaj się, pracuje dla mnie. Pozwoliła sobie spakować do torby twoje rzeczy.

- Coo?

Połączenie się urwało. Przez chwilę stała bez ruchu, nie wiedząc, co robić. Potem jednak wyjęła klucze z torebki, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Dolina Jezreel, Izrael

Kobieta siedząca przy kuchennym stole nie wyglądała na szpiega. Była drobna, niższa od Natalie, a na jej twarzy malowało się ni to znudzenie, ni żal. Przed nią stała samodzielnie zaparzona filiżanka herbaty, zaś obok leżały komórka i paszport. Natalie trzymała go dotąd w szarej kopercie ukrytej w dolnej szufladzie szafki nocnej. Koperta zawierała również trzy bardzo osobiste listy od mężczyzny, z którym była związana podczas studiów we Francji. Zawsze żałowała, że ich nie spaliła, nigdy jednak bardziej niż teraz.

- Otwórz to. - Kobieta wskazała spojrzeniem wyjętą z szafy elegancką podręczną walizkę. Wciąż widniała na niej nalepka z kodem kreskowym, ślad ostatniej podróży do Paryża samolotem Air France, a nie El Al, linią preferowaną przez francusko-żydowskich emigrantów. Natalie szarpnęła zamek i zajrzała do środka.

Torba została spakowana szybko i niedbale. Zawierała spodnie, dwie bluzki, bawełniany rozpinany sweter i po jednej sztuce bielizny. Jaka kobieta, pomyślała Natalie, pakuje jedną parę majtek?

- Na jak długo wyjeżdżam?
- To zależy.
- Od czego?

Ale nieznajoma milczała, popijając herbatę.

- Żadnych kosmetyków? Dezodorantu? Szamponu? Gdzie ja jadę? Do Syrii?

Odpowiedziała jej cisza. Po chwili kobieta się odezwała:

- Weź, co chcesz. Tylko szybko. On bardzo chce cię poznać. Nie możemy pozwolić mu czekać.

- Kto? Uzi Navot?

- Nie - odparła tamta, po raz pierwszy się uśmiechając. - Człowiek, którego zobaczysz, jest znacznie ważniejszy niż Uzi Navot.

- Muszę wrócić do pracy za dwa dni.

- Tak, wiemy. O dziewiątej rano. - Wyciągnęła rękę. - Daj mi telefon.

- Ale...

- Proszę - powiedziała kobieta. - Tracisz cenny czas.

Natalie poświęciła telefon i weszła do sypialni. Pokój sprawiał wrażenie splądrowanego, a zawartość szarej koperty rozrzucona była po całym łóżku. Brakowało tylko listów, które gdzieś zniknęły. Oczami wyobraźni ujrzała nagle tłum ludzi, którzy głośno je czytają, wybuchając co chwila gromkim śmiechem. Wzięła jeszcze kilka dodatkowych sztuk garderoby i spakowała do małej kosmetyczki przybory toaletowe, a także tabletki antykoncepcyjne i przeciwbólowe na wypadek napadu migreny, która czasem wręcz ją paraliżowała. Potem wróciła do kuchni.

- Gdzie są moje listy?

- Jakie listy?

- Te, które zabrałaś z sypialni.

- Niczego nie zabrałam.

- A więc kto?

- Chodźmy - powiedziała tylko kobieta.

Schodząc na dół z walizką w jednej i torebką w drugiej ręce, Natalie spostrzegła, że nieznajoma lekko utyka. Jej samochód był zaparkowany przy Ibn Ezra, tuż przed samochodem Natalie. Prowadziła spokojnie, lecz bardzo szybko, zjeżdżając ze Wzgórz Judejskich w stronę Tel Awiwu, a potem kierując się na północ przez nadbrzeżne równiny autostradą A6. Przez pewien czas słuchały wiadomości radiowych, ale te informowały wyłącznie o atakach nożowników i śmiertelnych ofiarach, prorokując straszliwą wojnę o Wzgórze Świątynne między Żydami i muzułmanami. Kobieta uciniała wszystkie pytania i próby podjęcia rozmowy, tak więc Natalie pozostało jedynie patrzeć przez okno na minarety górujące nad osadami Zachodniego Brzegu, które rozciągały się tuż za murem separacyjnym. Były tak bliskie, że wydawało się, iż można ich dotknąć. Bliskość tych wiosek w stosunku do strategicznie ważnej drogi nasuwała obawy co do perspektyw dwupaństwowego rozwiązania obecnej sytuacji. Miasteczka francuskie i szwajcarskie egzystowały tuż obok siebie wzdłuż niewidocznej granicy, ale Szwajcaria nie pragnęła zmieść Francji z mapy, a Szwajcarzy nie nakłaniali swych synów do przelewu krwi niewiernych Francuzów.

Stopniowo nadbrzeżne równiny zniknęły im z oczu i autostrada skierowała się w stronę zboczy masywu Karmel oraz zielono-brązowej szachownicy ziem Galilei. Posuwały się zasadniczo w stronę Nazaretu, ale kilka kilometrów wcześniej kobieta skręciła w boczną drogę i podążała nią wzdłuż

terenów sportowych jakiejś szkoły, aż do chwili, gdy stanęły przed metalowym, ostro zwieńczonym ogrodzeniem blokującym przejazd. Brama rozsunęła się automatycznie i wjechały teraz w łagodnie wijącą się ulicę obsadzoną drzewami. Natalie spodziewała się jakichś tajnych obiektów, tymczasem znalazła się w cichym małym miasteczku, którego układ opierał się na planie koła. Przy drodze stały parterowe domy, a za nimi, niczym fałdy wachlarza, rozciągały się pastwiska i tereny uprawne.

- Gdzie jesteście?

- W Nahalal - odparła kobieta. - To jest moszaw. Znasz to określenie?

- Jestem imigrantką - odparła chłodno Natalie - ale nie idiotką. Moszaw to wspólnota prywatnych gospodarstw, co różni ją od kibucu.

- Bardzo dobrze.

- A więc to prawda?

- Co?

- Naprawdę uważacie nas za idiotów. Namawiacie nas do powrotu, a potem traktujecie tak, jakbyśmy nie do końca byli członkami tego klubu. Dlaczego?

- Życie w Izraelu nie jest łatwe. Jesteśmy z natury nieufni wobec ludzi, którzy wybrali ten kraj. Wielu z nas nie miało żadnego wyboru. Dla wielu nie było innych możliwości.

- I to ci daje poczucie wyższości?

- Nie - odparła kobieta. - To skłania mnie do podejrzeń.

Wolno mijały bungalowy, gdzie w cieniu oleandrów bawiły się dzieci.

- Nieźle, co?

- Nieźle - odparła Natalie. - Całkiem nieźle.

- Nahalal to najstarszy moszaw w Izraelu. Gdy pierwsi Żydzi przybyli tutaj w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku, ujrzeni moczary, nad którymi unosiły się chmary widliszków. - Przerwała. - Znasz ten gatunek? To komary roznoszące malarię.

- Jestem lekarzem - powiedziała Natalie znużonym tonem.

Ale na kobiecie nie zrobiło to wrażenia.

- Osuszyli bagna i zmienili to miejsce w pola uprawne. - Potrząsnęła głową. - Myślimy, że mamy trudne życie, ale oni przybyli tu z niczym i z niczego zbudowali państwo.

- Podejrzewam, że nie zauważyli tego. - Natalie skinęła w stronę arabskiej wioski położonej na szczycie wzgórza górującego nad doliną.

Kobieta zerknęła na nią niespokojnie.

- Chyba nie wierzysz w te wszystkie bzdury?

- O jakich bzdurach mówisz?

- Że ukradliśmy ich ziemię.

- A jak to inaczej nazwać?

- Te ziemię kupił Żydowski Fundusz Narodowy. Nikt niczego nie ukradł. Ale jeśli się wstydzisz naszej historii, może powinnaś zostać we Francji?

- To już niemożliwe.

- Przyjechałaś z Marsylii, tak?

- Owszem.

- Ta Marsylia to ciekawe miejsce. Nieco zaniedbane, ale miłe.

- Byłaś tam?

- Tak, raz - odparła kobieta. - Polecono mi zabić pewnego terrorystę.

Skreśliła w podjazd nowoczesnego bungalowu. Na zadaszanej werandzie stał mężczyzna w wyblakłych błękitnych dżinsach i skórzanej kurtce. Jego twarz krył cień. Kobieta zaparkowała i zgasła silnik.

- Zazdroszczę ci, Natalie. Dałabym wszystko, żeby znaleźć się teraz na twoim miejscu. Ale to niemożliwe. Nie mam twoich umiejętności.

- Jestem tylko lekarzem. W jaki sposób mogę być wam pomocna?

- To już on ci wyjaśni. - Spojrzała na mężczyznę stojącego na ganku.

- Kto to jest?

Kobieta uśmiechnęła się i otworzyła jej drzwi.

- Nie martw się o bagaż. Ktoś się nim zajmie.

* * *

Pierwszą rzeczą, która zwróciła jej uwagę po wyjściu z samochodu, był zapach - woń żyznej ziemi i świeżo skoszonej trawy, kwitnących kwiatów i pyłków, zwierząt i nawozu. Pomyślała nagle, że jej ubiór jest tu zupełnie nieodpowiedni, zwłaszcza pantofle, które miały podeszwy tak płaskie jak baletki. Była zła, że kobieta, która ją przywiozła, nie uprzedziła jej słowem, iż jadą na farmę w Dolinie Jezreel. Ale potem, gdy przecinały gęsty zielony trawnik, znów dostrzegła, że ta kobieta kuleje, i wybaczyła jej wszystkie przewinienia. Mężczyzna na werandzie nadal stał bez ruchu.

Wiedziała, że obserwuje ją uważnie, jak portrecista, który studiuje swój model. W końcu wolno zszedł po trzech stopniach na trawnik i wyłaniając się z cienia, stanął w ostrym słońcu.

- Natalie... - Wyciągnął do niej rękę. - Cieszę się, że w końcu mogę cię poznać. Mam nadzieję, że droga nie była uciążliwa. Witaj w Nahalal.

Jego skronie miały barwę popiołu, a oczy niepokojący odcień zieleni. W tej przystojnej twarzy było jednak coś znajomego. Nagle uświadomiła sobie, że gdzieś już ją widziała. Wsunęła dłoń z jego uścisku i zrobiła krok w tył.

- Pan jest...

- Tak, jestem. I jak widzisz, żyję, a to oznacza, że znalazłaś się w posiadaniu sekretu państwowej wagi. Mam nadzieję - dodał z ufnością - że można ci go powierzyć.

Skinęła głową.

- Pana nekrolog w „Haaretz” był naprawdę wzruszający.

- Też tak uważam. Ale nie można wierzyć we wszystko, co piszą gazety. Dowiesz się wkrótce, że blisko siedemdziesiąt procent historii ma charakter tajny, a sprawy trudne niemal zawsze załatwia się w sekrecie.

Jego uśmiech nagle znikł, a zielone oczy badawczo przyglądały się jej twarzy.

- Słyszałem, że masz za sobą długą noc.

- Ostatnio mieliśmy ich wiele.

- Podobnie jak lekarze w Paryżu i Amsterdamie. - Przechylił głowę w bok. - Zakładam, że uważnie słuchałaś wiadomości o zamachu bombowym w Marais.

- Dlaczego pan to zakłada?

- Bo jesteś Francuzką.

- Teraz jestem Izraelką.

- Ale zachowałaś francuski paszport.

To zabrzmiało jak oskarżenie. Nie odpowiedziała.

- Nie martw się, Natalie. To nie jest krytyka. W takich czasach jak dziś dobrze mieć jakieś koło ratunkowe. - Podparł dłonią podbródek. - A więc jak? - spytał nagle.

- Co jak?

- Znasz wiadomości z Paryża?

- Żywiłam głęboki podziw dla madame Weinberg. Miałam nawet zaszczyt ją poznać, gdy kiedyś odwiedziła Marsylię.

- A więc już nas coś łączy. Ja też darzyłem Hannah ogromnym szacunkiem i czułem dumę, że mogę uznać ją za przyjaciela. Była bardzo życzliwa naszym służbom i zawsze pomocna w potrzebie. Dzięki niej zlikwidowaliśmy poważne zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa.

- Czy dlatego zginęła?

- Hannah Weinberg nie żyje - rzekł dobitnie - z powodu człowieka, który nazywa się Saladyn. - Spojrzał jej w oczy. - Jesteś teraz członkiem bardzo małego klubu, Natalie. Nawet amerykańska CIA nie wie o jego istnieniu. Ale wyprzedzam fakty. - Uśmiechnął się i ujął ją pod ramię. - Chodź, trzeba coś zjeść. Musimy lepiej się poznać.

Poprowadził ją przez werandę do ocienionego ogrodu, gdzie na okrągłym stole nakrytym dla czterech osób przygotowano typowy izraelski lunch: sałatki i sosy bliskowschodniej kuchni. Jedno z miejsc zajmował solidnie zbudowany, pochmurny

mężczyzna. Miał krótko ostrzyżone siwe włosy i małe okulary bez oprawek. Natalie z miejsca go poznała. Nieraz widziała w telewizji, jak w krytycznych sytuacjach spieszył do gabinetu premiera.

- Natalie... - Uzi Navot wolno się podniósł. - Jestem wdzięczny, że przyjęła pani nasze zaproszenie. Proszę wybaczyć, że pojawiliśmy się na pani progu bez uprzedzenia, ale zawsze postępowaliśmy w ten sposób. A ja wierzę w stare metody.

Kilka kroków za ogrodem stała duża szopa z przerdzewiałej blachy, a obok niej zagroda pełna bydła i koni. Dalej pola uprawne ciągnęły się w kierunku góry Tabor, która znienacka wyrastała nad płaską jak stół doliną.

- Ta farma należy do przyjaciela naszych służb - wyjaśnił mężczyzna, który rzekomo nie żył i nazywał się Gabriel Allon. - Ja urodziłem się tam - wskazał skupisko odległych zabudowań na prawo od góry Tabor - w Ramat Dawid, powstałym kilka lat później niż Nahalal. Wielu tamtejszych mieszkańców było uciekinierami z Niemiec.

- Jak pański ojciec i matka.

- Widzę, że starannie przeczytałaś mój nekrolog.

- Był fascynujący. Ale bardzo smutny. - Obróciła się i spojrzała na rozciągające się wokół ziemie. - Dlaczego tu jestem?

- Najpierw lunch. Potem porozmawiamy.

- A jeśli zechcę odejść?

- To odejdiesz.

- A jeśli zostanę?

- Mogę obiecać ci tylko jedno, Natalie. Twoje życie nigdy już nie będzie takie samo.

- A gdybyśmy tak odwrócili role? Co by pan zrobił?

- Pewnie bym ci poradził, żebyś znalazła kogoś innego.

- No cóż - westchnęła. - Jak mogłabym odrzucić podobną ofertę? Chyba jednak coś zjemy. Umieram z głodu.

Nahalal, Izrael

Wyrwali ją bezszelestnie z jawnego świata i przemycili do swej sekretnej sielankowej twierdzy. Ale teraz żarty się skończyły i nastąpiło sprawdzanie, badanie, dociekanie. Wszystkie te przykre zabiegi prowadziły do ustalenia, czy doktor Natalie Mizrahi, zamieszkała dawniej w Marsylii, a obecnie w zachodniej Jerozolimie, w dzielnicy Rehawia, jest emocjonalnie, intelektualnie i politycznie przygotowana do roli, jaką jej wyznaczyli. Tyle że, niestety – myślał Gabriel – była to rola, jakiej żadna kobieta o zdrowych zmysłach nigdy by się nie podjęła.

Wielki Ari Szamron mawiał, że rekruterzy są jak uwodziciele. A większość uwiedzeń, nawet tych, w które angażują się wyszkoleni agenci wywiadu, wymaga obustronnych wyznań i zwierzeń. Zazwyczaj więc rekruter przybiera fałszywą tożsamość, wymyśla nową osobowość, by jak garnitur i krawat nosić ją do czasu kolejnej zmiany. Ale tym razem, patrząc na dolinę dzieciństwa, Gabriel naprawdę otwierał przed Natalie swoją duszę.

- A więc dla porządku zacznę od tego – rzekł, odsuwając jej krzesło, by usiadła – że imię i nazwisko, które podały gazety po mojej rzekomej śmierci, są prawdziwe. To nie pseudonim ani przydomek. Mam je od urodzenia. Wiele innych szczegółów dotyczących mojego życia niestety również się

zgadza. Byłem członkiem jednostki, która pomściła śmierć naszych ludzi w Monachium, zabiłem w Tunisie zastępcę dowódcy OWP, mój syn zginął w zamachu bombowym w Wiedniu, a żona została ciężko ranna.

Nie wspomniał jednak, że ponownie się ożenił i został ojcem. Jego szczerość miała swoje granice.

- Jest również faktem - ciągnął - że urodziłem się w rolniczej osadzie Ramat Dawid kilka lat po powstaniu Państwa Izrael.

Jego matka przybyła tu w 1948 roku po tym, jak póływa ocalała z niemieckiego obozu śmierci Auschwitz. Poznała wtedy pisarza i intelektualistę, który tuż przed wojną zbiegł do Palestyny z Monachium. W Niemczech nosił nazwisko Grünberg, ale w Izraelu zmienił je na hebrajskie Allon. Postanowili, że po ślubie będą mieć szóstkę dzieci - jedno za każdy milion zamordowanych. Ale pani Allon zdołała wydać na świat tylko jedno. Nadała mu imię Gabriel, tak jak zwał się posłaniec Boży, obrońca Izraela, interpretator wizji proroka Daniela. I zaraz potem odwróciła się od syna.

W osadach wczesnego Izraela panowała atmosfera smutku i żałoby. Umarli mieszkali tam wśród żywych, którzy ze wszystkich sił starali się znaleźć swoją drogę na obcej ziemi. W niewielkim domu z pustaków, gdzie znaleźli miejsce Allonowie, przy fotografiach bliskich, którzy zginęli w płomieniach Zagłady, nieustannie palono świece. Zastępowały kamienie nagrobne. Ci bowiem, którzy stali się dymem na wietrze i popiołami w rzece, byli ich pozbawieni.

Allonowie nie lubili hebrajskiego, toteż w domu rozmawiali

po niemiecku. Ojciec Gabriela mówił z akcentem bawarskim, a matka z berlińskim. Często ulegała napadom melancholii i gwałtownym zmianom nastrojów, a nocami dręczyły ją koszmary. Rzadko się śmiała, a nawet uśmiechała, nie cieszyła jej żadne odświętne okazje, nie lubiła ciężkich dań ani trunków. Zawsze nosiła długie rękawy, nawet podczas letnich upałów, i codziennie rano owijała świeżym bandażem lewe ramię w miejscu, gdzie widniał obozowy tatuaż. Mówiła, że to znak jej żydowskiej słabości, hańbiące piętno.

Gabriel jako dziecko nauczył się przy niej milczeć, by nie budzić demonów. Tylko raz odważył się spytać ją o wojnę. Ale wtedy po nerwowym zdawkowym opisie pobytu w Auschwitz popadła w głęboką depresję i przez wiele dni nie podnosiła się z łóżka. Od tej pory w domu Allonów nie mówiono już nigdy o wojnie ani o Holokauście. Gabriel zamknął się w sobie i wyrastał na samotnika. Kiedy nie malował, trenował długie biegi wzdłuż rowów irygacyjnych, które przecinały dolinę. Stał się naturalnym strażnikiem sekretów, ideałem szpiega.

- Chciałbym, żeby to była wyjątkowa historia, Natalie, ale tak nie jest. Rodzina Uziego mieszkała w Wiedniu. Nie ocalał z niej nikt. Przodkowie Diny pochodzili z Ukrainy. Zostali zamordowani w Babim Jarze. Jej ojciec, podobnie jak moja matka, był jedynym dzieckiem, które przeżyło. Po przyjeździe do Izraela przyjął imię Sarid, ocalony. A kiedy na świat przyszło jego szóste dziecko, córka, dał jej na imię Dina.

- Pomszczona,
Gabriel skinął głową.

- Dopiero teraz - Natalie zerknęła przez stół na Dinę -

dowiedziałam się, że ona ma imię.

- Czasem nasza Dina przypomina mi moją matkę i dlatego ją kocham. Bo widzisz, ona też dźwiga brzemień smutku. I bardzo serio traktuje swoje obowiązki, jak zresztą każdy z nas. Musimy zagwarantować, że nigdy więcej się to nie powtórzy. To nasze święte zadanie. - Uśmiechnął się, by rozładować nieco żalobną atmosferę, która zapanowała przy stole. - Wybacz mi, Natalie, ale ta dolina przywołuje wiele starych wspomnień. Mam nadzieję, że twoje dzieciństwo wyglądało inaczej niż moje.

Było to zaproszenie do zwierzeń, intymności, wyznania skrywanego cierpienia. Ale nie zareagowała.

- Gratulacje, Natalie. Właśnie zdałaś ważny egzamin. Nigdy nie opowiadaj o sobie trzem agentom wywiadu, chyba że któryś z nich przyłoży ci pistolet do skroni.

- Pan to robi?

- Wielki Boże, nie. Poza tym - szybko dodał - już i tak wiemy o tobie bardzo dużo. Na przykład to, że twoja rodzina pochodzi z Algierii. Zbiegła stamtąd w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku po zakończeniu wojny. Zresztą nie miała wyboru. Nowe władze zdecydowały, że tylko muzułmanie mogą mieć obywatelstwo tego kraju. - Umilkł, po czym spytał: - Potrafisz sobie wyobrazić, co by się działo, gdybyśmy zrobili to samo? Co by powiedziano o nas?

Ona jednak i tym razem wstrzymała się z osądem.

- Ponad sto tysięcy Żydów zostało skazanych na wygnanie. Niektórzy przybyli do Izraela. Inni, tak jak twoi rodzice, wybrali Francję. Osiedlili się w Marsylii, gdzie urodziłaś się

w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku. Twoi dziadkowie i rodzice mówili z algierskim akcentem zarówno po arabsku, jak i po francusku. A ty jako dziecko poznałaś też arabski. - Spojrzał ponad doliną na osadę widniejącą na szczycie wzgórza. - To kolejna rzecz, która nas łączy. Ja też nauczyłem się w dzieciństwie arabskiego. Inaczej nie mógłbym się porozumieć z naszymi sąsiadami z plemienia Izmaela.

- Przez wiele lat - ciągnął - zarówno ród Mizrahi, jak też inni Żydzi żyli we Francji spokojnie. Francuzi, zawstydzeni rolą, jaką odegrali w Holokauście, hamowali swój tradycyjny antysemityzm, ale z czasem w ich kraju nastąpiły poważne zmiany demograficzne. Silny wzrost liczby muzułmanów sprawił, że ich populacja zdominowała małą i słabą społeczność żydowską, a wtedy stara nienawiść objawiła się ze zdwojoną siłą. Twoi rodzice widzieli to już wcześniej jako dzieci w Algierii i nie zamierzali czekać na ciąg dalszy. Po raz drugi w życiu spakowali się i uciekli, tym razem do Izraela. A ty po pewnych wahaniach postanowiłaś do nich dołączyć.

- Czy jest jeszcze coś, co chciałby mi pan o mnie opowiedzieć?

- Wybacz, Natalie, ale obserwujemy cię już jakiś czas. Taką mamy praktykę. Nasza agencja stale wypatruje talentów wśród młodych imigrantów i Żydów odwiedzających nasz kraj. Diaspora - dodał z uśmiechem - ma swoje zalety.

- Dlaczego?

- Po pierwsze z powodu znajomości języków. Ja sam zostałem zwerbowany ze względu na mój niemiecki. Nie był

nabyty w szkole ani wyuczony z taśm. Posługiwałem się swobodnym niemieckim z berlińskim akcentem mojej matki.

- Sądzę, że równie dobrze umiał pan strzelać.

- W gruncie rzeczy nie najlepiej. Oględnie mówiąc, moja kariera w Siłach Obronnych Izraela była skromna. Znacznie lepiej czułem się z pędzlem niż z karabinem. Ale to nieistotne

- rzucił. - Chciałbym się natomiast dowiedzieć, dlaczego tak niechętnie przyjechałaś do Izraela.

- Uważałam Francję za swoją ojczyznę. Moja praca, moje życie - dodała - wszystko było tam.

- A jednak przyjechałaś.

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie chciałam rozdzielać się z rodzicami.

- Jesteś dobrym dzieckiem.

- Jestem jedynym dzieckiem.

- Tak jak ja.

Nie odpowiedziała.

- Lubimy ludzi z dobrym charakterem, Natalie. Nie interesują nas tacy, którzy porzucają żony i dzieci, a także zaniedbują rodziców. Zatrudniamy ich jako płatnych informatorów, ale nie chcemy się spoufalać.

- Skąd pan wie, że mam...

- Dobry charakter? Ponieważ dyskretnie i z dystansu byłaś obserwowana. Nie niepokój się. Nie zajmujemy się podglądaniem, jeśli to niekonieczne. Nie naruszaliśmy twojej prywatności i zawsze, gdy było to możliwe, odwracaliśmy wzrok.

- Nie mieliście prawa.

- W gruncie rzeczy - pokręcił głową - mieliśmy wszelkie prawa. Zasady, które nas obowiązują, dają nam pewne pole manewru.

- Czy pozwalają również na czytanie cudzej korespondencji?

- To nasza praca.

- Chcę odzyskać te listy.

- O jakich listach mówisz?

- Tych, które zabraliście z mojej sypialni.

Gabriel spojrzał z naganą na Uziego Navota, który wzruszył swymi potężnymi ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to możliwe, a właściwie pewne, iż niektóre prywatne listy wykradzono z mieszkania Natalie.

- Twoja własność - rzekł Gabriel tonem przeprosin - zostanie zwrócona najszybciej jak to możliwe.

- Cóż za uprzejmość. - W jej głosie brzmiało głębokie oburzenie.

- Nie miej nam tego za złe, Natalie. To część procedury.

- Nigdy się nie ubiegałam o pracę dla...

- Biura - podpowiedział Gabriel. - Używamy nazwy Biuro. I nikt z nas też się o nią nie ubiegał. Zaproszono nas do współpracy. Bo tak to działa.

- Ale dlaczego ja? Nic nie wiem o waszym świecie ani o tym, na czym polega wasza praca.

- Wyznam ci jeszcze jeden sekret, Natalie. Otóż nikt z nas nie wie. Żadna uczelnia nie wydaje dyplomów agentom wywiadu. Jeden jest inteligentny, drugi pomysłowy, trzeci ma pewne umiejętności i cechy, a reszty trzeba się uczyć. Nasze

szkolenia są bardzo skuteczne. Nikt, nawet Brytyjczycy, nie szkolą swoich szpiegów tak dobrze jak my. Kiedy je zaliczysz, nie będziesz już jedną z nas. Staniesz się jedną z nich.

- To znaczy kim?

Gabriel skierował wzrok na arabską osadę.

- Powiedz mi coś jeszcze. W jakim języku śnisz?

- Francuskim.

- Nie hebrajskim?

- Jeszcze nie.

- Nigdy?

- Nie, nigdy.

- To dobrze - odrzekł, wciąż patrząc na wioskę. - Może powinniśmy przejść na francuski.

Nahalal, Izrael

Wcześniej jednak, zanim przeszedł do sedna sprawy, jeszcze raz dał jej szansę odmowy. Jeśli chce, może wrócić do jawnego świata, do Jerozolimy i pracy w szpitalu Hadassa. Jej teczka – owszem, przyznał, założono jej teczkę – zostanie zniszczona i spalona. I nie ją będą winić za odrzucenie ich oferty, lecz siebie za to, że nie zdołali jej przekonać. Poza tym zawsze, jeśli w ogóle, będą mówić o niej dobrze, żałując, że z nimi nie została.

Wszystko to mówił do niej po francusku, nie po hebrajsku. Ona zaś odpowiedziała w tym samym języku – języku swych snów. Oświadczyła po zaledwie krótkim namyśle, że zostanie, ale pod pewnym warunkiem. Chce się dowiedzieć, dlaczego właśnie ją zapraszają do swego ekskluzywnego klubu.

– *Szwajja, szwajja...* – odparł Gabriel, czyli po arabsku „powoli, powoli”. Po czym, bez zbędnych wstępów, opowiedział jej o mężczyźnie zwanym Saladynem, lecz nie tym, który zjednoczył arabski świat i odbił Jerozolimę z rąk krzyżowców. Saladyn, o którym mówił, w odstępie kilku dni dokonał krwawych zamachów w Paryżu i Amsterdamie, mszcząc się na odstępcach i niewiernych. Nikt nie wiedział, jak naprawdę się nazywa ani skąd pochodzi, ale ten pseudonim nie mógł być dziełem przypadku.

Ujawniał ambicje zjednoczenia arabskiego i islamskiego

świata pod czarną flagą ISIS i kalifatu, jak też gotowość osiągnięcia celu za cenę masowych mordów. Wszystko wskazywało również i na to, że był on nader sprawnym strategiem akcji terrorystycznych. Zdołał tuż pod nosem wywiadu zachodniego zbudować siatkę zdolną dostarczyć samochodami potężne ładunki wybuchowe w starannie wybrane miejsca. Być może miał się ograniczyć do obecnej taktyki, ale mógł mieć również znacznie szersze plany. Tak czy inaczej, siatkę tę należało zlikwidować.

- A nie ma pewniejszego rozwiązania - ciągnął Gabriel - niż usunięcie przywódcy.

- Usunięcie? - powtórzyła Natalie.

Gabriel milczał.

- Trzeba go zabić? O to wam chodzi?

- Zabić, wyeliminować, zlikwidować, jak wolisz to określić.

Dla mnie słowa nigdy nie miały znaczenia. Moim obowiązkiem jest chronić niewinnych ludzi.

- Nie mogłabym...

- Zabić? Nie obawiaj się, nie zamierzamy robić z ciebie żołnierza ani zabójcy. Mamy dużo facetów w czerni szkolonych do takiej roboty.

- Jak pan.

- To było dawno. Ostatnio prowadzę wojny z za biurka. Jestem gabinetowym bohaterem.

- Nie tak pisali w „Haaretz”.

- Nawet tak szacowne pisma jak „Haaretz” czasem się mylą.

- Podobnie jak szpiedzy.

- Masz zastrzeżenia wobec działań wywiadu?
- Tylko wtedy, kiedy są naganne.
- Jak...?
- Na przykład tortury - odparła.
- Nikogo nie torturujemy.
- A Amerykanie?
- Zostawmy teraz Amerykanów. Zastanawiam się jednak, czy nie miałabyś moralnych oporów przed udziałem w operacji, której celem jest spowodowanie czyjejś śmierci.
- Może to pana zaskoczy, Allon, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałam.
- Jesteś lekarzem, Natalie. Przywykłaś ratować życie. Złożyłaś przysięgę i kierujesz się zasadą: „Po pierwsze nie szkodzić”. Przecież jeszcze wczoraj ratowałaś młodego człowieka odpowiedzialnego za śmierć dwóch osób. To musi być trudne.
- Ani trochę.
- Dlaczego?
- Bo taki mam zawód.
- Wciąż nie odpowiedziałaś na moje pytanie.
- Odpowiedź brzmi „nie”. Nie miałabym zastrzeżeń natury moralnej ani innej przed udziałem w operacji, której celem jest uśmiercenie człowieka odpowiedzialnego za zamachy w Paryżu i Amsterdamie. Oczywiście pod warunkiem, że nie pociągnie to za sobą niewinnych ofiar.
- Mam wrażenie, że nawiązujesz do amerykańskiego programu dronów.
- Izraelskie siły powietrzne również dokonują nalotów.

- Niektórzy z nas są przeciwni tej strategii. Jeśli to możliwe, przedkładamy operacje specjalne nad akcje sił powietrznych. Ale nasi politycy zakochali się w koncepcji tak zwanej czystej wojny. Drony to umożliwiają.

- Nie tym, którzy znaleźli się po drugiej stronie.

- To prawda. Jest zbyt wiele niewinnych ofiar. A największą szansę, żeby temu zapobiec, stanowi dobry wywiad. - Zamilkł, po czym dodał: - I dlatego tu jesteś.

- Czego ode mnie oczekujecie? Uśmiechnął się. *Szwajja, szwajja...*

* * *

Do tej pory Natalie nie tknęła potraw, które stały na stole, podobnie jak pozostali. Gabriel zachęcał wprawdzie, by coś zjedli, sam jednak nie spróbował żadnego z dań, gdyż na ogół nie jadał lunchu. Tak więc, gdy wszyscy sięgnęli po potrawy dostarczone na koszt Biura przez catering z Tel Awiwu, powrócił do wspomnień dzieciństwa w dolinie. Mówił o atakach Arabów ze wzgórz Zachodniego Brzegu oraz izraelskich akcjach odwetowych, wspominał wojnę sześciodniową, która zabrała mu ojca, i wojnę Jom Kipur, która zgasła w nim wiarę, że Izrael jest niezniszczalny.

Pokolenie pionierów wierzyło, że żydowskie państwo na historycznych ziemiach Palestyny zapewni postęp i pokój na Bliskim Wschodzie. Tymczasem wszędzie wokół, zarówno w krajach pierwszoplanowych, jak i na arabskich peryferiach, gniew i wrogość płonęły jeszcze długo po powstaniu Państwa

Izrael, a społeczeństwa pod rządami monarchii i dyktatur trwały w gospodarczym i cywilizacyjnym zacofaniu. Podczas gdy reszta świata gwałtownie się rozwijała, w arabskich petropotęgach panował zastój. Arabskie radio grzmiało oskarżeniami pod adresem Żydów, a tymczasem arabskie dzieci były obdarte i głodne. Arabskie gazety przypisywały Żydom mordy rytualne, lecz tamtejsza prasa nie zyskiwała odzewu, gdyż niewielu Arabów potrafiło czytać. Władcy coraz bardziej się bogacili, podczas gdy poddani żyli w nędzy i poniżeniu, karmiąc się wrogością i zwracając ku islamowi.

- Czyżbym się do tego przyczynił? - Gabriel nie skierował tego pytania do nikogo. Nikt też na nie nie odpowiedział. - Czy stało się tak dlatego, że mieszkałem w tej dolinie? Czy rozpałem nienawiść, bo wysuszyłem bagna, wybiłem komary i doprowadziłem te ziemie do rozkwitu? Czy gdyby nie my, Arabowie byłiby wolni, bogaci i bezpieczni?

- Przez krótki okres - ciągnął - pokój wydawał się możliwy. Doszło przecież do historycznego spotkania i uścisków dłoni na trawniku przed Białym Domem. Arafat zbudował w Ramallah swą siedzibę, a Izrael zachowywał się spokojnie. Tyle że przez cały ten czas syn pewnego saudyjskiego multimilionera z branży budowlanej tworzył organizację o nazwie Al-Kaida, czyli Baza. Mimo swej religijnej żarliwości owo islamskie przedsięwzięcie bin Ladena miało charakter silnie zburokratyzowany. Obowiązujące tam przepisy i reguły nie odbiegały od zasad rządzących każdą nowoczesną firmą. Dokładnie określały zarówno czas urlopu, jak też zakres świadczeń medycznych, kosztów przelotów i wielu innych

wydatków. Istniały nawet zasady przyznawania rent inwalidzkich oraz procedury zwolnień. Każdy szczegół życiorysu potencjalnego członka organizacji podlegał obserwacji i badaniu.

Ale ISIS działa inaczej. Owszem, mają swoje kwestionariusze, ale nie umywają się one do szczegółowości tych z Al-Kaidy. I nie bez przyczyny. Bo widzisz, Natalie, kalifat bez ludzi nie będzie żadnym kalifatem. To jedynie jałowe pustynne ziemie między Aleppo i sunnickim trójkątem Iraku. - Zamilkł, a potem dodał: - I tu właśnie potrzebna jesteś ty.

- Chyba nie mówi pan serio.

Jego poważne spojrzenie stanowiło wystarczającą odpowiedź.

- Chcecie, żebym zaciągnęła się do ISIS? - spytała, nie mogąc w to uwierzyć.

- Nie - odparł. - Sami cię o to poproszą.

- Kto?

- Oczywiście Saladyn.

Znów nastąpiła cisza. Natalie powiodła wzrokiem po siedzących wokół niej - posępnej twarzy Diny i znajomej fizjonomii szefa Biura, by zatrzymać się na człowieku, który rzekomo zginął.

- Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

- Bo jestem Żydówką i nie zdołam udawać nikogo innego tylko dlatego, że mówię jego językiem.

- Ależ robisz to przez cały czas, Natalie. W Hadassie

powierzają ci palestyńskich pacjentów, bo uważają cię za jedną z nich. Podobnie jak arabscy kupcy na Starym Mieście.

- Arabscy kupcy nie są członkami ISIS.

- Niektórzy są. Ale to nieistotne. Masz pewne wrodzone cechy, które sprawiają, że jesteś darem od bogów wywiadu, jak mawiamy. Nasze szkolenie przemieni cię w diament. Mamy w tym długą praktykę, Natalie. I jesteśmy naprawdę dobrzy. Potrafimy z żydowskiego chłopca z kibucu zrobić Araba z Dżaninu. A już na pewno bez trudu zdołamy zmienić kogoś takiego jak ty w palestyńską lekarzkę z Paryża, która pragnie zniszczyć niewierny Zachód.

- Dlaczego miałyby tego pragnąć?

- Dlatego że tak jak Dina jest przepełniona gniewem i cierpieniem. Łaknie tylko zemsty. Jest czarną wdową.

Nastąpiła długa cisza. Kiedy Natalie w końcu się odezwała, w jej głosie brzmiał kliniczny chłód.

- To Francuzka?

- Ma francuski paszport, kończyła szkoły i studia we Francji, ale etnicznie jest Palestynką.

- A więc akcja odbędzie się w Paryżu?

- Tam się rozpocznie - odparł ostrożnie. - Ale jeśli pierwszy etap skończy się pomyślnie, nastąpi transfer.

- Dokąd?

Nie odpowiedział.

- Do Syrii?

- Niestety - potwierdził - to właśnie tam jest ISIS.

- A wiecie, co się stanie z waszą lekarzką z Paryża, jeśli ISIS odkryje, że w rzeczywistości jest Żydówką z Marsylii?

- Mamy świadomość...
- Odrąbią jej głowę, a potem wrzucą nagranie do internetu, żeby pokazać to całemu światu.
- Nigdy się nie dowiedzą.
- Ale ja będę o tym wiedzieć - mówiła - a bardzo się od was różnię. Nie umiem kłamać. Nie potrafię dotrzymać tajemnicy. Mam stale poczucie winy. Absolutnie nie dam rady.
- Nie doceniasz swoich możliwości.
- Przykro mi, Allon, ale wybrał pan niewłaściwą osobę. - I dodała: - Proszę znaleźć kogoś innego.
- Jesteś pewna swojej decyzji?
- Tak, jestem. - Złożyła serwetkę, podniosła się i wyciągnęła dłoń. - Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe.
- W żadnym wypadku. - Gabriel wstał i ociągając się, ujął jej dłoń. - Jestem zaszczycony, że niemal przekonałem cię do współpracy, Natalie. Proszę, nie wspominaj nikomu o tej rozmowie, nawet rodzicom.
- Ma pan moje słowo.
- W porządku. - Wypuścił jej dłoń. - Dina odwiezie cię do Jerozolimy.

Nahalal, Izrael

Ruszyła za Diną przez ocieniony ogród, by na koniec wejść przez podwójne przeszklone drzwi do salonu w bungalowie. Ze swym skąpym umeblowaniem bardziej przypominał biuro niż dom. Na białych ścianach wisiało kilka dużych czarno-białych zdjęć ukazujących cierpienia Palestyńczyków – długi marsz wygnańców przez pustynne drogi, nędzę obozów, pomarszczone twarze starców marzących o utraconym raj.

- W tym miejscu miałaś odbyć szkolenie – rzuciła Dina. – Tu stałabyś się jedną z nich.

- Gdzie są moje rzeczy?

- Na górze – odparła. I dodała: – W twoim pokoju.

Nad schodami wisiały kolejne zdjęcia, a w małym pokoju na stoliku przy łóżku leżał tom wierszy Mahmuda Darwisa, półoficjalnego barda palestyńskiego nacjonalizmu. Walizka Natalie stała w nogach łóżka. Była pusta.

- Pozwoliliśmy sobie ją rozpakować – wyjaśniła Dina.

- Podejrzewam, że nikt mu nie odmawia.

- Jesteś pierwsza.

Natalie patrzyła, jak Dina kuśtyka przez pokój i otwiera górną szufladę wiklinowej komódki.

„Widzisz, Natalie, Dinę też przepełnia ból. I bardzo poważnie traktuje swoją pracę...”.

- Co się stało? – spytała łagodnie.

- Powiedziałaś „nie” i teraz wyjeżdżasz.

- Z twoją nogą.

- To nieważne.

- Dla mnie ważne.

- Bo jesteś lekarzem? - Dina wyjęła naręcze ubrań z szuflady i włożyła je do walizki. - Jestem pracownikiem służb wywiadu Państwa Izrael. Nie dowiesz się, co stało się z moją nogą. Nie masz prawa. To informacja tajna. Jak wszystko, co mnie dotyczy.

Natalie usiadła na brzegu łóżka, podczas gdy Dina wyciągała z szuflady resztę rzeczy.

- To była bomba - powiedziała w końcu. - Zadowolona?

- Gdzie?

- W Tel Awiwie. - Wsunęła szufladę głośniejsz, niż należało. - Przy ulicy Dizengoffa. Wybuchła w autobusie numer pięć. Słyszałaś o tym?

Natalie skinęła głową. To było w październiku 1994 roku, zanim jeszcze rodzice i ona przybyli do Izraela. Ale widziała małą szarą tabliczkę u stóp drzewa różańcowego, które rosło przy chodniku, gdy kiedyś przypadkiem wstąpiła do kafejki w sąsiedztwie.

- Byłaś w tym autobusie?

- Nie. - Dina pokręciła głową. - Stałam na chodniku. Ale była w nim moja matka i dwie siostry. I widziałam go, zanim nastąpił wybuch.

- Kogo?

- Abdela Rahima al-Suwiego - odparła, jakby czytając z akt.
- Siedział po lewej stronie, tuż za kierowcą. U jego stóp stała

torba. Zawierała dwadzieścia kilogramów wojskowego trotylu oraz gwoździe i śruby oblane trucizną na szczury. Bombę zbudował Jahja Ajjas, ten, którego nazwali Inżynierem. Była jedną z jego najlepszych, a przynajmniej tak twierdził. Oczywiście wtedy nie mogłam o tym wiedzieć. Nic jeszcze nie wiedziałam. Byłam zaledwie dziewczynką. Byłam niewinna.

- A co się działo, kiedy bomba wybuchła?

- Autobus wzniósł się ponad metr w górę, po czym spadł na ziemię. Straszliwa siła rzuciła mnie na chodnik. Widziałam obok siebie ludzi, którzy krzyczeli, ale nic nie słyszałam, fala wybuchu uszkodziła mi bębny w uszach. Zobaczyłam, że koło mnie leży ludzka noga. Pomyślałam najpierw, że jest moja, ale zaraz dostrzegłam, że moje nogi wciąż są na miejscu. Woń krwi i spalonych ciał przyprawił o mdłości pierwszych policjantów, którzy przybyli na miejsce. W sąsiednich kawiarniach walały się ludzkie członki, a strzępy ciał zwisały z okolicznych drzew. Kiedy leżałam bezwładnie na chodniku, z góry kapłała na mnie krew. Tego dnia na ulicę Dizengoffa spadł deszcz krwi.

- A twoja mama i siostry?

- Zginęły na miejscu. Patrzyłam, jak rabini zbierali ich szczątki za pomocą pincety i umieszczali je w plastikowych torbach. Tylko to mogliśmy pogrzebać. Strzępy. Resztki.

Natalie milczała z braku słów.

- A więc zechciej wybaczyć - odezwała się po chwili Dina - że zdumiało mnie twoje dzisiejsze zachowanie. Nie robimy tego wszystkiego dlatego, że chcemy. Robimy to, bo musimy. Bo nie mamy wyboru. Bo to jedyny sposób, żeby przetrwać na

tej ziemi.

- Bardzo chciałabym pomóc, ale nie mogę.

- To fatalnie - Dina pokręciła głową - bo idealnie się nadajesz. I owszem - dodała - zrobiłabym wszystko, żeby znaleźć się na twoim miejscu. Słuchałam ich, obserwowałam, przesłuchiwałam. Wiem o nich więcej niż oni sami o sobie. Ale nigdy nie byłam w pokoju, w którym spiskują i planują. To tak, jakby się znaleźć w oku cyklonu. Dałabym wszystko za jedną taką szansę.

- Pojechałabyś do Syrii?

- W każdej chwili.

- A twoje życie? Oddałabyś życie za taką możliwość?

- Nie prowadzimy samobójczych misji. Nie jesteśmy tacy jak oni.

- Ale nie możecie zagwarantować mi bezpieczeństwa.

- Zagwarantować możemy tylko jedno. - Dina kładła nacisk na każde słowo. - To mianowicie, że Saladyn planuje kolejne ataki i że zginie więcej niewinnych ludzi.

Wrzuciła resztkę ubrań do otwartej walizki. Wtem Natalie dostrzegła wśród nich coś, co nie należało do niej: kawałek ciemnobłękitnego jedwabiu o wymiarach mniej więcej metr na metr.

- Co to jest? - zapytała, podnosząc go. Lecz zanim usłyszała odpowiedź, zrozumiała. Kwadrat błękitnego jedwabiu był hidżabem. - Pożegnalny prezent?

- Miał służyć twojemu przemianiu. Arabski ubiór bardzo to ułatwia. Spójrz tylko. - Dina wzięła chustę z jej rąk, złożyła ją w trójkąt i szybko owinęła wokół głowy i szyi. - No i jak

wyglądam?

- Jak Żydówka w muzułmańskiej chuście.

Krzywiąc się, Dina zdjęła hidżab i podała go Natalie.

- Teraz ty.

- Nie chcę.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Zanim zdołała się cofnąć, trójkąt błękitnego jedwabiu okrył jej włosy. Dina zebrała materiał pod brodą Natalie i spięła go agrafką. Potem ujęła dwa luźne końce chusty, z których jeden był nieco dłuższy, i związała je z tyłu na karku.

- Proszę - lekko wygładziła jedwab - tylko spójrz.

Nad komodą wisiało owalne lustro. Przez długą chwilę Natalie wpatrywała się w swe odbicie jak zahipnotyzowana.

- Jak mam na imię?

- Natalie. - Dina patrzyła na nią zdziwiona. - Masz na imię Natalie.

- Nie - zaprzeczyła, nie odrywając wzroku od kobiety w lustrze. - Jakie jest jej imię?

- Jej imię - odparła Dina - brzmi Lajla.

- Lajla - powtórzyła Natalie. - Lajla...

* * *

Wyjeżdżając z Nahalal, Dina po raz pierwszy zauważyła, że Natalie jest piękna. Wcześniej, zarówno w Jerozolimie, jak i podczas lunchu ze zwierzchnikami nie miała czasu na takie obserwacje. Natalie stanowiła środek prowadzący do celu, jakim była likwidacja Saladyna. Ale teraz, gdy znów jechała z nią samochodem w złotych promieniach popołudniowego

słońca, a ciepłe powietrze wpadało przez otwarte okna, mogła swobodnie podziwiać owal jej twarzy, głęboki brąz oczu, długi wąski nos i małe kształtne piersi. Patrząc na smukłe nadgarstki i delikatny kształt jej rąk, myślała, że te ręce mogą ocalić życie i uratować nogę rozerwaną przez bombę. Uroda Natalie nie należała do tych, które wprawiają w olśnienie i wstrzymują ruch uliczny. Miała w sobie szlachetność i inteligencję, a nawet wzniosłość. Można ją było osłabić, zamaskować. A może, myślała chłodno Dina, wykorzystać.

Nie po raz pierwszy zastanawiała się również, dlaczego Natalie nie wyszła za mąż i nie jest poważnie z kimś związana. Obserwatorzy Biura nie znaleźli nic, co mogłoby zdyskwalifikować jej kandydaturę. Nie miała żadnych słabości poza upodobaniem do białego wina i żadnych fizycznych ani emocjonalnych przypadłości oprócz bezsenności, do której przyczyniły się nieregularne godziny pracy. Dina cierpiała na podobną dolegliwość, ale z innej przyczyny. Nocami, gdy w końcu spływał na nią sen, widziała krew kapiącą z różańcowego drzewa i matkę złożoną z poszarpanych szczątków, która, scalona i zszyta, wzywała ją z otwartych drzwi autobusu numer pięć. Widziała również Abdela Rahima al-Suwiego z torbą przy nodze, jak uśmiechał się do niej ze swego miejsca za kierowcą. „Była jedną z jego najlepszych, a przynajmniej tak twierdził”.

Tak, pomyślała znowu, dałabym wszystko, żeby znaleźć się na jej miejscu.

Natalie nie zabrała z bungalowu nic oprócz hidżabu, którym owinęła szyję jak szalem. Wpatrywała się w słońce, które

nisko zawisło nad Górą Karmel, i w skupieniu słuchała wiadomości radiowych. Informowały o kolejnym ataku nożownika i kolejnej śmierci, tym razem w rzymskich ruinach Cezarei. Napastnikiem był izraelski Arab z wioski położonej w gęsto zaludnionej przez Palestyńczyków części kraju zwanej Trójkątem. Nie wymagał on jednak opieki lekarzy z Hadassa. Zginął na miejscu zastrzelony przez izraelskiego żołnierza. W Ramallah i Jerychu zapanował entuzjazm. Jeszcze jeden męczennik i jeszcze jeden zabity Żyd. Bóg jest wielki. Wkrótce Palestyna znów będzie wolna.

Kilkanaście kilometrów na północ od Cezarei leży Netanja. Nowe białe wieżowce z balkonami wyrastają nad wydiami i klifami wybrzeża Morza Śródziemnego, nadając miastu luksusowy klimat Riwieri. Natomiast w dzielnicach wewnętrznych dominują modernistyczne budynki z czasów pionierskiego Izraela. Dina znalazła miejsce w pobliżu Park Hotel, gdzie w 2002 roku w czasie święta Paschy zamachowiec samobójca z Hamasu zabił trzydzieści osób, po czym ruszył z Natalie w stronę Placu Niepodległości. Grupa małych chłopców bawiła się w berka przy fontannie pod okiem kobiet w długich do kostek szatach i chustach na głowie. Zarówno kobiety, jak i dzieci rozmawiały po francusku. Tak zresztą jak i bywalcy kawiarenek ciągnących się wzdłuż promenady. Zazwyczaj późnym popołudniem tętniły życiem, teraz jednak, w gasnącym świetle zmierzchu, świeciły pustkami. Wojskowi i policja zabezpieczali teren. Strach zdawał się wręcz namacalny, pomyślała Dina.

- Widzisz ich?

- Są tam. - Natalie wskazała przeciwległą stronę placu. - Siedzą przy swoim stoliku w Chez Claude. - Był to jeden z kilku nowych lokali, które wciąż otwierano w związku z zapotrzebowaniem rosnącej społeczności francusko-żydowskiej. - Chciałabyś ich poznać? Są naprawdę mili.

- Idź. Poczekam tutaj.

Usiadła na brzegu fontanny i patrzyła, jak Natalie przechodzi przez promenadę. Końce błękitnego hidżabu powiewały jak proporzec na tle jej białej bluzki. Błękit i biel, pomyślała. Jakież to cudownie izraelskie. Odruchowo potarła swą kaleką nogę. Ból atakował nieoczekiwanie, w chwilach zmęczenia, stresu, a także, myślała, patrząc na Natalie, wówczas gdy żałowała swego zachowania.

Natalie kierowała się wprost do kawiarni. Jej ojciec, szczupły siwowłosy mężczyzna, opalony przez nadmorskie słońce, pierwszy podniósł wzrok, by ze zdumieniem ujrzeć córkę, która w barwach flagi Izraela przecinała plac. Położył rękę na ramieniu żony, by zwrócić jej uwagę, a wówczas szlachetne rysy starej kobiety rozjaśnił szeroki uśmiech. Dina pomyślała, że taka będzie twarz Natalie za trzydzieści lat. Czy Izrael przetrwa kolejnych trzydzieści lat? Czy przetrwa je Natalie?

Tymczasem Natalie lekko skręciła, by przepuścić siedmio- lub ośmioletnią dziewczynkę, która biegła za piłką. A potem ucałowała każde z rodziców w oba policzki i usiadła na jednym z dwóch pustych krzeseł, być może nie przypadkiem obracając się plecami do Diny. Ta nie spuszczała wzroku z twarzy starszej kobiety, której uśmiech zbladł, gdy Natalie

recytowała przygotowane słowa: „Na pewien czas wyjeżdżam. Proszę, żebyście nie próbowali się ze mną kontaktować. Gdyby ktoś o mnie pytał, powiedzcie, że prowadzę ważne badania i nie można mi przeszkadzać. Nie, nie mogę powiedzieć, czego to dotyczy, ale ktoś z rządu będzie was odwiedzał, żeby udzielić wszelkiego wsparcia. Tak, będę bezpieczna”.

Piłka toczyła się teraz w stronę Diny. Zatrzymała ją stopą i szybkim skrętem kostki odesłała siedmio- a może ośmiolatce. Ten mały gest uprzejmości wywołał ból, który przeszył jej nogę od biodra do stopy. Zignorowała go, widząc, że Natalie znów całuje rodziców, tym razem na pożegnanie. Gdy przecinała plac w gasnącym świetle słońca, w błękitnej chuście trzepoczącej na wietrze, pojedyncza łza spłynęła po jej twarzy. Jest piękna nawet wtedy, gdy płacze, pomyślała Dina. Wstała i ruszyła do samochodu zaparkowanego obok hotelu, w którym w pewną świętą noc zginęło trzydzieści osób. Tak postępujemy, powtarzała w duchu, wsuwając kluczyk w stacyjkę. Tacy jesteśmy. To jedyny sposób, by przetrwać na tej ziemi. To nasza kara za to, że nadal trwamy.

Część druga

JEDNA Z NAS

21

Nahalal, Izrael

Nazajutrz rano kierownictwo Centrum Medycznego Hadassa otrzymało mejl z informacją, że doktor Natalie Mizrahi zamierza skorzystać z przedłużonego urlopu. Zawiadomienie złożone z trzydziestu słów było arcydziełem biurokratycznego żargonu, lecz nie podawało powodu absencji ani daty powrotu do pracy. W tej sytuacji personel szpitala nie mógł się powstrzymać od spekulacji na temat nagłego odejścia lekarki. Budziło to tym większe ożywienie, bo kierowało rozmowy na tematy inne niż zabójstwa i zamachy bombowe. Podejrzewano, że Natalie poważnie zachorowała lub uległa załamaniu nerwowemu, a może tylko wróciła do Francji. No bo kto w takich czasach, orzekł pewien mędrzec z kardiologii, mając francuski paszport, wybrałby życie w Izraelu?

Ajlet Malkin jednak, z którą w szpitalu najbliżej się przyjaźniły, uważała, że wszystkie te domysły są bezsensowne. Wiedziała, że Natalie jest osobą zdrową fizycznie i psychicznie, a poza tym wielokrotnie słyszała, że cieszy się z przyjazdu do Izraela, gdyż jako Żydówka czuje się pełnoprawnym obywatelem i nie obawia ataków ani restrykcji. Co więcej, pełniąc w ostatnim tygodniu wspólny całodobowy dyżur, jak zawsze podczas kolacji rozmawiały o wielu sprawach, ale Natalie nie wspomniała o żadnych planach urlopowych. Ajelet pomyślała, że cała ta sprawa ma podłoże

polityczne. Jej wuj, podobnie jak wielu Izraelczyków, był też zaangażowany w jakąś tajną działalność na rzecz rządu. Przychodził i wychodził bez uprzedzenia i nigdy nie mówił o swojej pracy czy podróżach. Ajelet doszła do wniosku, że Natalie ze swą znajomością trzech języków została zwerbowana jako szpieg. A może, zastanawiała się, już nim była?

Wprawdzie rozumowała słusznie, lecz nie w pełni odpowiadało to faktom, gdyż Natalie dopiero nazajutrz miała rozpocząć szkolenie w Nahalal, i nie po to, by zostać szpiegiem. Wyjaśniono jej, że szpieg to ktoś zwerbowany do pozyskiwania informacji działających na niekorzyść własnego wywiadu, rządu, międzynarodowej instytucji lub przedsiębiorstwa handlowego. Niektórzy szpiegują dla pieniędzy, dla innych motywem jest seks lub chęć zdobycia wyższej pozycji, są też tacy, którzy robią to pod przymusem, z obawy przed ujawnieniem ciemnych stron ich życia osobistego. W przypadku Natalie nie przesądził o tym przymus, lecz perswazja. Od chwili podjęcia decyzji stała się specjalnym pracownikiem Biura i jako taki podlegała tym samym regułom i ograniczeniom, które dotyczyły wszystkich funkcjonariuszy tajnych służb.

Obowiązywał ją zakaz ujawniania sekretów władzom obcych państw, a także opisywania swego życia zawodowego bez specjalnego zezwolenia. Poza Biurem nie wolno jej było rozmawiać na temat swojej pracy z nikim, nie wyłączając członków rodziny. Umowa wchodziła w życie od zaraz i obowiązywała do chwili zakończenia operacji. Gdyby jednak

wyraziła chęć dalszej współpracy, Biuro zapewniało jej kontynuację kontraktu na uzgodnionych warunkach. Na jej dotychczasowe konto bankowe wpłynęła kwota pięciuset tysięcy szekli, a poza tym miała dostawać równowartość swojej miesięcznej pensji w szpitalu Hadassa. W okresie wykonywanej przez nią operacji kurier Biura miał opiekować się jej mieszkaniem, a w przypadku jej śmierci rodzice otrzymaliby odszkodowanie w wysokości dwóch milionów szekli.

Cały pierwszy dzień upłynął na czynnościach administracyjnych, pouczeniach i surowych ostrzeżeniach. Dopiero w drugim rozpoczęto formalne szkolenie. Natalie czuła się jak studentka na prywatnej uczelni. Rano, zaraz po śniadaniu, wdrażano techniki zmian tożsamości, czyli – jak podkreślano – podstawy fachu. Po lekkim lunchu zaczynały się lekcje na temat historii Palestyny, a po nich wykłady z zakresu ideologii islamu i dżihadu. Nikt nie zwracał się już do niej: Natalie. Była teraz Lajlą, pozbawioną nazwiska Lajlą. Nauczyciele rozmawiali z nią wyłącznie po arabsku, występując pod imionami: Abdul, Muhammad lub Ahmed. Dwaj współpracujący z sobą instruktorzy przedstawili się jako Abdul i Abdul, a ona w skrócie nazwała ich „AA”.

Godzina przed zapadnięciem zmroku należała wyłącznie do niej. Z głową pękającą od nauk na temat islamu i dżihadu ruszała trenować biegi na zakurzonych wiejskich drogach. Nigdy jednak nie zostawiano jej samej. Tuż za nią zawsze toczył się ciemnozielony quad z uzbrojonymi agentami ochrony. Często, gdy wracała do domu, czekał na nią Gabriel,

po czym razem wyruszyli na spacer w pachnącym zmierzchu doliny. Jego znajomość arabskiego nie pozwalała na dłuższe rozmowy, toteż rozmawiali po francusku. Mówił z nią o szkoleniu i wiedzy, którą zdobywała, nigdy już nie wspominając o swym dzieciństwie w tej dolinie ani o jej ciekawej historii, która w oczach Lajli stanowiła dowód kolonialnego rabunku i zawłaszczenia na szkodę prawowitych mieszkańców.

- Spójrz tam - mawiał, wskazując arabską wioskę na wzgórzu. - Wyobrażasz sobie, co oni czują, patrząc na osiągnięcia Żydów? Wyobraź sobie ich gniew. A także ich wstyd. To jest twój gniew, Lajlo. Twój wstyd.

W miarę postępów szkolenia uczyła się sprawdzać, czy nikt jej nie śledzi i czy w jej mieszkaniu lub biurze nie założono podsłuchu. A także czy kochanek lub osoba, którą uważała za przyjaciela, nie jest w rzeczywistości najgroźniejszym wrogiem. Instruktorzy Abdul i Abdul wpajali jej, by zawsze zakładała, że jest śledzona, obserwowana i podsłuchiwana. I że nie stanowi to zagrożenia dopóty, dopóki zachowuje swą przybraną tożsamość. Terenowi agenci Biura znacznie więcej czasu poświęcają utrwalaniu swej wiarygodności niż zbieraniu informacji. Przykrywka, powtarzali, to rzecz najważniejsza.

W drugim tygodniu na farmie jej palestyńskie studia przybrały zdecydowanie radykalny charakter. Cały ruch syjonistyczny, przekonywano ją, opiera się na micie. Mit ten głosi, że Palestyna była opustoszałą ziemią, która oczekiwała na ludzi gotowych ją zasiedlić. Tymczasem w roku 1881, nim przybyli tam pierwsi żydowscy osadnicy, liczba mieszkańców

Palestyny wynosiła czterysta siedemdziesiąt pięć tysięcy. Olbrzymią większość stanowili muzułmanie zamieszkujący Wzgórza Judejskie, Galileę i te części kraju, w których warunki pozwalały się osiedlić. Potem niemal taką samą liczbę ludności Żydzi skazali na wygnanie. Za sprawą Izraela w roku 1948 nastąpiła Al-Nakba – katastrofa Palestyńczyków. A po ataku syjonistycznym w 1967 kolejna fala uchodźców opuściła osady na Zachodnim Brzegu, by później wegetować w obozach takich jak Chan Junus, Szatila, Ain al-Hilwe, Jarmuk, Balat, Dżanin, Tulkarm i dziesiątkach innych, marząc o swych gajach oliwnych i drzewach cytrynowych. Wielu zachowało akty własności ziemi i domów, a niektórzy klucze do drzwi. Ta niezaleczona rana stała się źródłem żalu arabskiego świata. Wojny, cierpienia, zacofanie ekonomiczne, despotyzm – wszystko to wynikło z winy Izraela.

- Oszczędź mi tego – jęknęła Natalie.

- Kto to mówi? – skarcił ją Abdul, blady jak ściana osobnik o trupim wyglądzie, który nie rozstawał się z papierosem i kubkiem herbaty. – Chyba nie Lajla, tylko... Natalie? Lajla nigdy nie podważa tych prawd. Wie od dziecka, że są oczywiste. W końcu wyssała je z mlekiem matki, słyszała z ust najbliższych. Lajla głęboko wierzy, że Żydzi wywodzą się od świń i małp. Nie ma też wątpliwości, że to ludzie z gruntu źli, diabelski pomiot zbierający na macę krew palestyńskich dzieci.

Studia z zakresu islamu również weszły na bardziej zaawansowany poziom. Po zakończeniu przyspieszonego kursu podstaw wiary i norm obrzędowych instruktorzy

przeszli do analizy ideologii islamu i dżihadu. Natalie czytała Sajjida Kutbę, egipskiego pisarza uznanego za ideologa współczesnego islamizmu, i zgłębiała teksty Ibn Tajmijja, islamskiego teologa z trzynastego wieku, które według licznych ekspertów były niewyczerpanym źródłem wiedzy o islamie. Na liście jej lektur znajdowali się również bin Laden i Zawahiri, a ponadto słuchała wielogodzinnych kazań pewnego jemeńsko-amerykańskiego duchownego, który zginął w nalocie dronów. Oglądała nagrania zamachów bombowych na amerykańskie siły w Iraku i przerzucała co bardziej pikantne islamskie strony internetowe, zwane przez jej instruktorów „dżihadi porno”. Nim zgasła wieczorem lampę przy łóżku, zawsze czytała kilka linijek poezji Mahmuda Darwisza: „Moje korzenie wrosły w tę ziemię, nim narodził się czas...”. A w snach wędrowała przez gaje oliwne i wśród drzew cytrynowych.

Metody szkolenia opierały się na technice prania mózgow i z wolna przynosiły efekty. Natalie odcinała się od swej tożsamości i dawnego życia, stopniowo stając się Lajlą. Nie знаła jeszcze swego nowego nazwiska. Miała je poznać na końcu wraz ze swą legendą, jak to określano, gdy utrwalała się fundamenty jej tożsamości i wzniesiona na nich konstrukcja.

Tymczasem w słowach i zachowaniu była coraz bliższa ideału bogobojnej muzułmanki. Trenując wieczorami biegi na zakurzonych wiejskich drogach, zakrywała ręce i nogi, a gdy jej instruktorzy podejmowali temat Palestyny lub islamu, zakładała hidżab. Wypróbowała kilka sposobów wiązania chusty, ale w końcu wybrała najprostszy, przypinając ją dwoma

agrafkami tak, by całkowicie zakrywała włosy. Uznała, że wprawdzie chusta jej nie szpeci, wręcz przeciwnie, lecz drażniło ją, że zwraca uwagę na kształt nosa i ust. Częściowa zasłona twarzy rozwiązałaby problem, ale nie odpowiadało to jej profilowi. Lajla była bowiem kobietą wykształconą, lekarką zawieszoną między Wschodem a Zachodem, między teraźniejszością a przeszłością. Balansowała na linii rozciągniętej pomiędzy Domem Islamu a Domem Wojny – tą częścią świata, gdzie wiara jeszcze nie zwyciężyła. Przeżywała wewnętrzny konflikt. Była rozdarta.

Nauczono ją również podstaw sztuk walki, pomijając jednak ćwiczenia z bronią, gdyż i ta umiejętność nie mieściła się w jej profilu. W końcu, w trzecim tygodniu pobytu na farmie, odziano ją od stóp do głów jak muzułmankę i w otoczeniu szczelnej ochrony wysłano na próbę do Tajbe, największej arabskiej miejscowości w tak zwanym Trójkącie. Następnie odwiedziła Ramallah, siedzibę palestyńskich władz na Zachodnim Brzegu, a kilka dni później, w pewien piękny majowy poranek, uczestniczyła w piątkowych modłach w jerozolimskim meczecie Al-Aksa w murach Starego Miasta. To był dzień pełen napięć – Izraelczycy nie zezwolili młodym mężczyznom na wejście do sanktuarium, co spotkało się z gwałtownym protestem. Wzburzony tłum rozdzielił ją na krótko z grupą jej zakamuflowanych ochroniarzy. W końcu jednak, dusząc się od gazu łzawiącego, zdołali wyciągnąć ją z tłumy, wepchnąć na tył samochodu i szybko odwieźć na farmę.

- Jak to odebrałaś? - spytał Gabriel, gdy w dolinie zapadł

chłodny wieczór i znów wybrali się na przechadzkę. W tym okresie przestała już trenować biegi, gdyż i to nie pasowało do profilu Lajli.

- Byłam zła.

- Na kogo?

- Oczywiście na Izraelczyków - odparła bez wahania. - Świetnie - stwierdził. - W tym celu to zrobiłem. - Co zrobiłeś?

- Sprowokowałem demonstrację na Starym Mieście. - Co takiego? - Wierz mi, Natalie, to naprawdę nic trudnego.

* * *

Nie przyjechał do Nahalal nazajutrz ani przez kolejnych pięć dni. Dopiero później dowiedziała się, że był w Paryżu i Ammanie, dokonując przygotowań do wprowadzenia jej w teren. Nazywał to operacyjną czarną robotą. Wrócił na farmę w ciepły wietrzny czwartek, w samo południe. Natalie poznawała właśnie nietypowe funkcje swej nowej komórki. Poinformował jedynie, że czeka ją kolejna wyprawa, tym razem tylko z nim, i polecił, by ubrała się tak, jak przystoi Lajli. Włożyła więc zielony hidżab z wyszywanym brzegiem, białą bluzkę, która ukrywała kształt jej piersi oraz bioder i długie spodnie, które odsłaniały jedynie podeszwy stóp w pantofelkach Bruno Magli. Najwyraźniej Lajla miała słabość do markowych butów.

- Gdzie się wybieramy?

- Na północ - brzmiała lakoniczna odpowiedź.

- Bez ochrony?

- Dziś bez - odpowiedział. - Dzisiaj jestem wolny.

Podjechał zwykłym koreańskim sedanem, który prowadził bardzo szybko z nietypową dla siebie brawurą.

- Chyba cię to bawi - zauważyła.

- Dawno już nie siedziałem za kierownicą. Świat wygląda zupełnie inaczej z tyłu opancerzonego SUV-a.

- Czyli jak?

- Obawiam się, że to informacja tajna.

- Przecież jestem już jedną z was.

- Niezupełnie - odparł. - Ale robisz postępy.

Przez kilka następnych minut milczał. Natalie nałożyła stylowe okulary słoneczne i patrzyła na brązowy krajobraz Akry, który przesuwał się za oknem. Kilka kilometrów dalej na północ leżał kibuc Lochamej HaGeta'ot założony przez członków żydowskich grup oporu, którzy ocalili z Holokaustu w Polsce i na Litwie. Ocaleni powstańcy z getta warszawskiego i wileńskiego oraz więźniowie obozów koncentracyjnych stworzyli tu małą zorganizowaną społeczność utrzymującą się z uprawy roli. Domy z zielonymi trawnikami były starannie utrzymane, a regularne uliczki obsadzone cyprysami. Widok mężczyzny, najwyraźniej Izraelczyka, za kierownicą w towarzystwie kobiety w hidżabie przyciągał lekko zdziwione spojrzenia.

- Co to jest? - Natalie wskazała wysoką stożkową budowlę górującą nad dachami kibucu.

- To Jad Lajeled, muzeum zbudowane dla upamiętnienia dzieci zgładzonych w Holokauście. - Jego głos był dziwnie pozbawiony wyrazu. - Ale nie po to tu jesteśmy. Przyjechaliśmy zobaczyć coś znacznie ważniejszego.

- Co?

- Twój dom.

Dojechał do centrum handlowego na północ od kibucu i zaparkował w odległym krańcu placu.

- Uroczo - stwierdziła Natalie.

- To nie tutaj. - Wskazał pas zaniedbanej ziemi między parkingiem i Autostradą 4. - Twój dom jest tam, Lajlo. Zabrali ci go Żydzi.

Wysiadł z samochodu, nie mówiąc nic więcej, i poprowadził ją drogą dojazdową ku połamanym blokom piaskowca rozrzuconym wśród chwastów i zdziczałych grusz.

- Witaj w Sumajrijji, Lajlo. - Obrócił się, by spojrzeć jej w twarz. - Powtórz to teraz, proszę. Powiedz to tak, jakby to było najpiękniejsze słowo, jakie kiedykolwiek słyszałaś w życiu. Jakby to było imię twojej matki.

- Sumajrijja... - powtórzyła.

- Bardzo dobrze. - Obrócił się, patrząc na strumień pojazdów mknących autostradą. - W maju tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku mieszkało tu osiemset osób, sami muzułmanie. - Wskazał na łuki starożytnego, w większości dobrze zachowanego akweduktu, który biegł wzdłuż granicy pola soi. - Należał do nich. Dostarczał wodę ze źródeł do rur nawadniających pola, które rodziły najśodsze melony i banany w całej Galilei. Tam grzebali swych zmarłych. - Wskazał w prawo. - A tam, w meczecie, modlili się do Allaha. - Skierował rękę ku ruinom sklepionego portyku. - To byli twoi przodkowie, Lajlo. To stąd się wywodzisz.

- Moje korzenie wrosły w tę ziemię, nim narodził się czas.

- Widzę, że czytasz Darwisa. - Wszedł głębiej w zarośla i ruiny, zbliżając się do autostrady. Gdy znów się odezwał, musiał podnieść głos, gdyż zagłuszał go hałas pojazdów. - Twój dom był tam, a twoi przodkowie nazywali się Hadawi. I ty też tak się nazywasz. Lajla Hadawi. Urodziłaś się we Francji, studiowałaś we Francji i praktykowałaś jako lekarz we Francji. Ale na pytanie, co jest twoją ojczyzną, odpowiadasz: Sumajrijja.

- Co tu się wydarzyło?

- Wydarzyła się Al-Nakba. Wydarzyła się operacja Ben-Ami. - Spojrzał na nią przez ramię. - Czy twoi instruktorzy wspominali o Ben-Ami?

- To była operacja wykonana przez organizację Hagana wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku w celu zabezpieczenia nadbrzeżnej drogi pomiędzy Akrą a libańską granicą oraz przygotowania Zachodniej Galilei do zbliżającej się inwazji regularnych sił arabskich.

- Syjonistyczne kłamstwa - warknął. - Jedynym celem operacji Ben-Ami było zajęcie arabskich wiosek i wysiedlenie ludności.

- To prawda?

- Prawda nie ma tu znaczenia. Lajla w to wierzy. Wie, że tak było. Widzisz, Lajlo, twój dziadek, Daud Hadawi, był tu owej nocy, gdy konwój syjonistycznych sił Hagany nadciągał drogą z Akry. Mieszkańcy Sumajrijji słyszeli, co się działo w innych wioskach opanowanych przez Żydów, toteż niezwłocznie ruszyli do ucieczki. Kilku z nich zostało, ale większość zbiegła do Libanu, gdzie czekali, aby arabskie wojska odbiły Palestynę

z rąk Żydów. A gdy arabskie wojska poniosły klęskę, mieszkańcy Sumajriji stali się uchodźcami, wygnańcami. Rodzina Hadawi zamieszkała w Ain al-Hilwe, największym z palestyńskich obozów w Libanie. Otwarte ścieki, domy z żużlobetonu... Piekło na ziemi.

Gabriel poprowadził ją obok ruin małych domów, które członkowie Hagany wysadzili dynamitem wkrótce po zajęciu Sumajriji. Zatrzymał się na brzegu zdziczałego sadu.

- Kiedyś należał do mieszkańców Sumajriji, teraz jest własnością kibucu. Przed laty jego członkowie mieli kłopoty z doprowadzeniem wody do rur irygacyjnych. Wtedy pojawił się jakiś mężczyzna, Arab, który znał trochę hebrajski, i cierpliwie wytłumaczył, co mają zrobić. Zdumieni kibucnicy spytali, skąd to wie. I wiesz, co ten Arab odpowiedział?

- Że to był jego sad.

- Nie, Lajlo, że to był wasz sad.

Zamilkł. Ciszę zakłócał tylko wiatr w zaroślach i szum pojazdów na autostradzie. Patrzył na ruiny domu, który leżał u jego stóp - ruiny czyjegoś życia. Wydawał się wzburzony. Natalie nie umiała powiedzieć, czy było to szczere, czy tylko udawał dla Lajli.

- Dlaczego wybrałaś dla mnie to miejsce? - spytała.

- To nie ja je wybrałem - odparł zamyślony. - To ono wybrało mnie.

- W jaki sposób?

- Znałem kobietę, która stąd pochodziła. Taką jak ty.

- Jak Natalie czy jak Lajla?

- Nie ma żadnej Natalie. - Spojrzał na kobietę w hidżabie,

która stała obok. – Już nie.

Nahalal, Izrael

Gdy wróciła do Nahalal, tom poezji Darwisza zniknął ze stolika przy jej łóżku. Jego miejsce zajął oprawiony instruktaż, gruby jak manuskrypt i opracowany w języku francuskim. Była to kontynuacja historii, którą Gabriel zaczął jej opowiadać wśród ruin Sumajrijji, opowieść o życiu pewnej utalentowanej młodej kobiety, urodzonej we Francji lekarki palestyńskiego pochodzenia. Jej ojciec, podobnie jak wielu bezpaństwowych wykształconych Palestyńczyków, prowadził wędrowne życie. Po uzyskaniu dyplomu inżyniera mieszkał w Iraku, Jordanii, Libii i Kuwejcie, zanim osiedlił się we Francji, gdzie poznał Palestynkę z Nablus. Pracowała jako tłumaczka w agencji ONZ do spraw uchodźców oraz w pewnym małym francuskim wydawnictwie. Mieli dwoje dzieci - syna, który zginął w wypadku samochodowym w Szwajcarii w wieku dwudziestu trzech lat, i córkę, której nadano imię na pamiątkę Lajli Chaled, słynnej bojowniczką z organizacji Czarny Wrzesień - pierwszej kobiety, która zdołała dokonać porwania samolotu.

Trzydziestotrzyletnie życie Lajli zostało przedstawione na stronach instruktażu w formie nieznośnie drobiazgowej spowiedzi cechującej współczesne pamiętniki. Natalie musiała jednak przyznać, że była to interesująca lektura. Opisywała zniewagi, które spotkały w szkole Lajlę jako Arabkę i muzułmankę, jej krótką przygodę z narkotykami, zawierała

również anatomicznie wręcz dokładną relację z pierwszego kontaktu seksualnego szesnastoletniej Lajli z młodym Francuzem o imieniu Henri, który ją porzucił i złamał jej serce. Obok tego fragmentu widniała fotografia dwojga nastolatków: francuskiego chłopca i arabskiej dziewczyny, pozujących przy balustradzie Pont Marie w Paryżu.

- Kim oni są? - spytała bladoliciego Abdula.

- To oczywiście Lajla i jej chłopak, Henri.

- Ale...

- Nie ma żadnych „ale”. To historia twojego życia.

Wszystko, o czym tu czytasz, wydarzyło się tobie.

Natalie odkryła, że jako francuska Żydówka ma wiele wspólnego z Palestynką, którą wkrótce miała się stać. Tak jedna, jak i druga cierpiały w szkole zniewagi z powodu swej wiary i pochodzenia, a ich pierwsze seksualne doświadczenia z francuskimi chłopcami zakończyły się równie nieszczęśliwie. Obie też rozpoczęły studia medyczne jesienią 2003 roku - Natalie na uniwersytecie w Montpellier, jednej z najstarszych uczelni medycznych na świecie, a Lajla na uniwersytecie Paris-Sud.

Był to okres pełen napięć zarówno we Francji, jak i na Bliskim Wschodzie. Wcześniej tego roku ku wzburzeniu całej społeczności arabskiej i muzułmańskiej Europy Zachodniej Amerykanie zajęli Irak. Co więcej, Druga Intifada objęła Zachodni Brzeg i Strefę Gazy. Muzułmanie zdawali się zewsząd osaczeni. Lajla wśród tysięcy innych protestowała w Paryżu przeciwko wojnie w Iraku i działaniom Izraela na Terytoriach Okupowanych. W miarę angażowania się

w politykę umacniały się jej związki z islamem. Podjęła również decyzję, by nosić hidżab, co zszokowało jej niewierzącą matkę. Ale kilka tygodni później jej matka również przywdziała chustę.

Na trzecim roku studiów medycznych Lajla poznała Zijada al-Masri, Palestyńczyka z Jordanii, który studiował elektronikę. Początkowo zdawał się jedynie miłym urozmaicheniem w gęstym harmonogramie zajęć z farmakologii, bakteriologii, wirusologii i parazytologii. Wkrótce jednak Lajla zdała sobie sprawę, że jest po uszy zakochana. Zijad okazał się bardziej zaangażowany politycznie i religijnie niż ona. Utrzymywał kontakty z radykalnymi muzułmanami, był członkiem ekstremistycznego ugrupowania Hizb at-Tahrir i uczęszczał do meczetu, gdzie duchowny z Arabii Saudyjskiej regularnie głosił ideologię dżihadu. Trudno się więc dziwić, że jego aktywność zwróciła uwagę francuskich służb bezpieczeństwa, które dwukrotnie zatrzymały go i przesłuchiwały. Te przesłuchania jedynie utwierdziły przekonania Zijada, który wbrew życzeniu Lajli postanowił wyjechać do Iraku, by dołączyć do islamskiego ruchu oporu. Zdołał jednak dotrzeć tylko do Jordanii, gdzie został aresztowany i wtrącony do okrytego złą sławą więzienia zwanego Fabryką Paznokci. Miesiąc później nie żył. Budząca grozę tajna policja Muchabarat nigdy się nie pofatygowała, by udzielić rodzinie wyjaśnień w tej sprawie.

Książka instruktażowa nie była dziełem pojedynczego autora, lecz produktem współpracy trzech ekspertów z trzech kompetentnych służb. Jej treść była niepodważalna, a postaci

przekonująco nakreślone. Żaden recenzent nie wykryłby w niej fałszu i nawet najbardziej podejrzliwy czytelnik nie zdołałaby podważyć jej wiarygodności. Niektórzy mogliby kwestionować ilość nieistotnych szczegółów dotyczących wczesnego okresu życia bohaterki, ale drobiazgowość autorów miała ukryty cel. Pragnęli oni bowiem stworzyć dla swej agentki studnię pamięci, z której mogłaby dowolnie czerpać, gdy okaże się to konieczne.

Owe pozornie nieistotne szczegóły – imiona, miejsca, szkoły, do których chodziła, wystrój mieszkania rodziców w Paryżu, opis wycieczek w Alpy i nad morze – w ostatnich dniach pobytu Natalie na farmie w Nahalal budowały podstawy jej nowego życiorysu. No i oczywiście był jeszcze Zijad, kochanek Lajli i zamordowany żołnierz Allaha. Oznaczało to, że musiała zakodować w pamięci szczegóły nie jednego życia, lecz dwóch. Zijad bowiem wiele opowiadał Lajli o swym domu rodzinnym, wychowaniu i Jordanii.

Jej głównym i zarazem najbardziej wymagającym instruktorem była Dina. Mówiła z najwyższym uznaniem o wierności, jakiej Zijad dochował idei dżihadu, a także nienawiści, którą żywił wobec Izraela i Amerykanów. Jego droga życiowa, podkreślała Dina, winna stanowić chwalebny przykład, a nie przedmiot potępienia. Nade wszystko jednak należało pomścić jego śmierć.

Praktyka medyczna okazała się dla Natalie szczególnie przydatna, gdyż wyrobiła w niej nawyk i zdolność przyswajania ogromnej ilości informacji, zwłaszcza liczb. Była nieustannie przepytywana, chwalona za reakcje właściwe

i karcona nie tylko za omyłki, lecz nawet cień wahania. Wkrótce, ostrzegła ją Dina, inni zaczną zadawać ci pytania.

W tym czasie odwiedzali ją liczni obserwatorzy. Przysłuchiwali się lekcjom, lecz nie ingerowali. Był wśród nich krótko ostrzyżony mężczyzna o surowym wyglądzie i ospowatej twarzy. I drugi – łysy, w tweedowej marynarce, który zachowywał się jak akademik z Oksfordu. Był jakiś drobny człowieczek o przerzedzonych niesfornych włosach, którego twarzy mimo upartych prób nie mogła sobie przypomnieć. I był również wysoki szczupły mężczyzna o bezkrwistej cerze i oczach przejrzystych jak tafla lodu. Gdy Natalie spytała Dinę, jak się nazywa, ta spojrzała na nią z naganą.

- Lajla nigdy nie zwróciłaby uwagi na kogoś, kto nie jest muzułmaninem – upomniała podopieczną – a co dopiero na Żyda. Lajla kocha wyłącznie pamięć o Zijadzie. Nikt nigdy nie zajmie jego miejsca.

Przybywał do Nahalal dwukrotnie, za każdym razem w towarzystwie rozczochanego człowieczka o twarzy pozbawionej właściwości. Przyglądali się krytycznie, gdy Dina wypytywała ją o najmniejsze szczegóły związku Lajli i Zijada – o to, w jakiej restauracji spotkali się pierwszy raz i co tam zamówili, o ich pierwszy pocałunek, a także jego ostatni mejl. Zijad wysłał go z internetowej kawiarenki w Ammanie, czekając na kuriera, który miał przeprowadzić go do Iraku. Nazajutrz rano został aresztowany. Nigdy więcej już nie rozmawiali.

- Czy pamiętasz, co wtedy napisał? – spytała Dina.

- Był pewien, że ktoś go śledzi.
- I co mu odpowiedziałaś?
- Odpowiedziałam, że niepokoję się o jego bezpieczeństwo. Prosiłam, żeby wrócił najbliższym samolotem do Paryża.
- Nie, Lajlo, pytam, co dokładnie napisałaś. To był twój ostatni kontakt z człowiekiem, którego kochałaś. - Dina machnęła kartką, która rzekomo zawierała treść mejli. - Musisz pamiętać ostatnie słowa, jakie wysłałaś do Zijada, nim został aresztowany.
- Powiedziałam, że umieram z lęku o niego. I błagałam, żeby się wycofał.
- Ale to nie wszystko, prawda? Napisałaś również, że może się zatrzymać u twojej krewnej, czy tak?
- Zgadza się.
- Co to za krewna?
- Moja ciotka.
- Siostra twojej matki?
- Tak.
- Mieszka w Ammanie?
- W Az-Zarka.
- W mieście czy w obozie?
- W mieście.
- Czy zawiadomiłaś ją, że Zijad wybiera się do Jordanii?
- Nie.
- Czy mówiłaś o tym matce lub ojcu?
- Nie.
- A francuskiej policji?
- Nie.

- A twój kontakt w jordańskim wywiadzie, Lajlo? Jemu też o tym nie powiedziałaś?

- Co?

- Odpowiadaj na pytanie - warknęła Dina.

- Nie mam żadnego kontaktu w jordańskim wywiadzie.

- Czy wydałaś Zijada Jordańczykom?

- Nie.

- Czy jesteś odpowiedzialna za jego śmierć?

- Nie.

- A tego wieczoru, gdy spotkaliście się po raz pierwszy - spytała Dina, nagle zmieniając taktykę - czy piłaś do kolacji wino?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo to jest haram - odparła Natalie.

Gdy wróciła wieczorem do swego pokoju, na stoliku nocnym znów leżał tom poezji Darwisza. Pomyślała, że wkrótce wyjedzie. Pytanie tylko kiedy.

* * *

Kiedy? To samo pytanie było przedmiotem późnej wieczornej rozmowy Gabriela z Uzim Navotem przy bulwarze Króla Saula. Na stole konferencyjnym piętrzyły się pisemne opinie licznych szkoleniowców, lekarzy i psychiatrów zaangażowanych w sprawę. Wszyscy potwierdzali, że Natalie Mizrahi jest osobą zdrową na ciele i umyśle, a także w pełni zdolną do wykonania misji, dla której ją pozyskano. Żadna z tych opinii nie miała jednak takiego znaczenia jak ocena

szefa Biura oraz mężczyzny, który miał niebawem objąć ten urząd. Obaj bowiem byli weteranami operacji terenowych i większość kariery zawodowej spędzili pod fałszywą tożsamością. To właśnie na nich ciążyłaby odpowiedzialność, gdyby cokolwiek potoczyło się niezgodnie z planem.

- Przecież to tylko Francja - zauważył Navot.

- Tak - odparł ponuro Gabriel. - Nic nigdy nie dzieje się we Francji.

Zapadła cisza.

- No i? - spytał w końcu Navot.

- Chciałbym przeprowadzić jeszcze jeden test.

- Przeszła ich już wiele i zawsze wypadała celująco.

- Spróbujmy ją pozbawić poczucia bezpieczeństwa.

- Próba ognia?

- Raczej analiza badawcza - odrzekł Gabriel.

- Jak dokładna?

- Wystarczająco, żeby wykryć każdą skazę.

- Kogo chcesz do tego wyznaczyć?

- Jakowa.

- Jakow wystraszyłby nawet mnie.

- O to mi chodzi, Uzi.

- Kiedy chcesz to zrobić?

Gabriel spojrzał na zegarek. Navot sięgnął po telefon.

* * *

Przyszli po nią godzinę przed świtem, gdy śniła o cytrynowych gajach Sumajrijji. Trzej, a może czterej. Natalie nie miała pewności. Pokój pogrążony był w ciemności,

a porywacze ubrani na czarno. Narzucili jej na głowę kaptur, skrępowali ręce taśmą do pakowania i potykającą się po omacku sprowadzili po schodach. Na zewnątrz poczuła chłód powietrza przesyconego wonią ziemi i zwierząt, a pod bosymi stopami mokrą trawę ogrodu. Potem wepchnęli ją na tył samochodu. Jeden siadł z lewej, a drugi z prawej strony, uniemożliwiając jej wszelkie ruchy. Przerazona zaczęła wołać Gabriela, lecz bez skutku. Dina też nie reagowała.

- Gdzie mnie zabieracie? - Ku swemu zaskoczeniu zdała sobie sprawę, że mówi po arabsku.

Jak większość lekarzy miała precyzyjnie ustawiony zegar wewnętrzny. Wedle jej oceny jazda samochodem, której wyścigowe tempo przyprawiało ją o mdłości, trwała jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu minut. Nikt nie odezwał się do niej ani słowem nawet wówczas, gdy oświadczyła po arabsku, że ją mdli. W końcu samochód gwałtownie się zatrzymał. I znów prowadzono ją po omacku, tym razem drogą gruntową. Powietrze przesycone zapachem sosen było tu chłodniejsze niż w dolinie, poza tym widziała światło prześwitujące przez tkaninę kaptura narzuconego na jej głowę. Wprowadzili ją przez próg do jakiegoś pomieszczenia i pchnęli na krzesło, nakazując położyć ręce na stole. Oświetlało ją silne światło lamp. Czuła na sobie ich ciepło.

Usiadła w milczeniu, lekko drżąc. Wiedziała, że za lampami ktoś jest. W końcu jakiś męski głos odezwał się po arabsku:

- Zdejmijcie jej kaptur.

Zdjęli go z takim namaszczeniem, jakby była cennym obiektem oczekującym na uroczyste odsłonięcie przed

oczekującą publicznością. Kilkakrotnie zamrugła, w miarę jak jej oczy przyzwyczajały się do ostrego światła, po czym jej wzrok zatrzymał się na mężczyźnie siedzącym na wprost niej po przeciwnej stronie stołu. Był ubrany na czarno, a czarna kefija zasłaniała całą jego twarz z wyjątkiem oczu, również czarnych jak noc. Postać po jego prawej stronie, tak jak i ta po lewej, wyglądały identycznie.

- Jak się nazywasz? - spytał po arabsku siedzący naprzeciwko.

- Nazywam się Lajla Hadawi.

- Nie pytam o to, jak nazwali cię ci syjoniści - warknął. - Podaj swoje prawdziwe imię i nazwisko. Żydowskie.

- To jest moje prawdziwe nazwisko. Nazywam się Lajla Hadawi. Wyrosłam we Francji, ale pochodzę z Sumajriji.

* * *

On jednak nie chciał przyjąć do wiadomości ani jej nazwiska, ani wyznania, ani rzekomego pochodzenia, a już na pewno nie wszystkich razem. Miał teczkę przygotowaną, jak twierdził, przez służby bezpieczeństwa swojej organizacji, lecz nie określił dokładnie jakiej. Wspomniał jedynie, że jej członkowie czerpią z przykładu pierwszych wyznawców Mahometa, niech pokój będzie z nim. Teczka rzekomo miała zawierać dowody, że w rzeczywistości nazywa się Natalie Mizrahi, że oczywiście jest Żydówką, a w dodatku agentką izraelskiego wywiadu przeszkoloną na farmie w Dolinie Jezreel. Odpowiedziała, że nigdy nie była w Izraelu i nie zamierza postawić tam swej stopy, a jedyne szkolenie, jakie odebrała,

odbyło się na uniwersytecie Paris-Sud, gdzie studiowała medycynę.

- Kłamstwa - orzekł mężczyzna w czerni. - Co zmusza do tego - dodał - żeby zacząć od początku.

W trakcie niekończącego się przesłuchania Natalie zupełnie straciła rachubę czasu. Miała wrażenie, że od chwili, gdy wyrwano ją ze snu, minął już tydzień. Jej głowa pękała z pragnienia kofeiny, a oślepiająco jasne światło było nie do zniesienia. Mimo to jednak jej odpowiedzi były równie płynne i szybkie jak strumień górskiej wody. Nie musiała sobie przypominać, czego ją wyuczono, przypominała sobie to, o czym wiedziała. Nie była już Natalie. Była Lajlą z Sumajriji. Lajlą, która kochała Zijada. I która pragnęła odwetu.

Mężczyzna naprzeciwko niej zamknął w końcu teczkę. Spojrzał na postać po prawej, a potem po lewej stronie. I wtedy rozwinął chustę, ukazując twarz. Znała ją. To był ten dziobaty obserwator. Dwaj pozostali również zdjęli kefije. Ten po lewej okazał się rozczochranym człowieczkiem trudnym do zapamiętania, zaś ten z prawej strony bladym mężczyzną o oczach przejrzystych jak lód. Wszyscy spoglądali na nią z uśmiechem, ale ona zaczęła nagle łkać. Z tyłu podszedł cicho Gabriel i położył ręce na jej ramionach, którymi wstrząsał szloch.

- Już dobrze, Lajlo - rzekł miękko. - Już po wszystkim.

O nie, nie jest po wszystkim, myślała. To dopiero początek.

* * *

Zarówno w Tel Awiwie, jak i na jego przedmieściach Biuro

posiada liczne mieszkania kryjówki, zwane również punktami wypadowymi. Są to miejsca, w których zgodnie z tradycją i zasadami pracy agenci operacyjni spędzają ostatnią noc przed wyjazdem z Izraela na zagraniczne akcje. Trzy dni po próbnym przesłuchaniu Natalie i Dina przybyły do Tel Awiwu, gdzie zatrzymały się w luksusowym apartamencie z widokiem na morze. W sypialni Natalie starannie ułożona na łóżku czekała nowa odzież, bez wyjątku kupiona we Francji. Obok niej leżały: francuski paszport, francuskie prawo jazdy, francuskie karty kredytowe i płatnicze oraz różne dyplomy i poświadczenia uprawnień lekarza na nazwisko Lajla Hadawi. Dostrzegła również kilka fotografii mieszkania, w którym miała zamieszkać w Aubervilliers, typowo imigranckim *banlieue* Paryża.

- Liczyłam na przytulną mansardę na Lewym Brzegu.

- Rozumiem - odparła Dina - ale łowiąc ryby, trzeba szukać ich tam, gdzie są.

Natalie miała tylko jedną prośbę: chciała spędzić tę noc ze swoją matką i ojcem. Nie uzyskała jednak zezwolenia. Przekształcenie jej w Lajlę Hadawi kosztowało zbyt wiele czasu i wysiłku. Nawet krótki kontakt z poprzednim życiem uznano za zbyt ryzykowny. Doświadczony agent operacyjny może swobodnie przekraczać niewyraźną granicę dzielącą jego prawdziwe życie od tego, które prowadzi służbowo, ale świeżo wyszkoleni nowicjusze tacy jak Natalie są jak delikatne kwiaty, które wędną wystawione na ostre słońce.

Tak więc spędziła ostatni wieczór w Izraelu w smutnym towarzystwie kobiety, która ją wyrwała z bezpiecznej

przystani dawnego życia. W poszukiwaniu zajęcia trzykrotnie pakowała i rozpakowywała walizkę. Następnie, po zamówieniu jagnięciny z ryżem, którą zjadły na kolację, włączyła telewizor i obejrzała odcinek egipskiej opery mydlanej, znanej jej jeszcze z Nahalal. Później usiadła na balkonie, przyglądając się przechodniom, rowerzystom i deskorolkarzom, którzy tego chłodnego wietrznego wieczoru gęstym strumieniem płynęli przez promenadę w dole. Był to wspaniały widok, urzeczywistnienie marzeń pierwszych syjonistów, ale ona patrzyła na zadowolony tłum niechętnym wzrokiem Lajli. To są okupanci, Żydzi - dzieci i wnuki kolonialistów, którzy wydarli ten kraj słabszemu narodowi. Należy ich pokonać i przegnać z tej ziemi, tak jak oni wygnali jej przodków z Sumajriji pewnego majowego wieczoru 1948 roku.

W gniewie położyła się spać. Nie pamięta jednak, by tej nocy zdołała zasnąć, toteż rano wstała zmęczona i z czerwonymi oczami. Ubrała się jak Lajla i przykryła włosy jej ulubionym szmaragdowym hidżabem. Na dole czekała na nią taksówka, a raczej samochód Biura tak oznakowany. Prowadził go jeden z agentów ochrony, ten sam, który nie odstępował jej w Nahalal, gdy na farmie uprawiała biegi. Zawiózł ją wprost na lotnisko Ben Guriona, gdzie została poddana szczegółowej kontroli i dokładnie przesłuchana, zanim pozwolono jej przejść do odpowiedniej bramki. Nie czuła się urażona sposobem, w jaki ją traktowano. Jako muzułmanka w chuście nawykła do szczególnej uwagi służb ochrony lotnisk.

Po wejściu do terminalu ruszyła w stronę bramki, obojętna

na niechętnie spojrzenia izraelskich podróżnych, a gdy ogłoszono jej lot, posłusznie ustawiła się w kolejce do wejścia na pokład. Obok niej usiadł szarooki mężczyzna o bladej cerze, a po przeciwnej stronie przejścia dostrzegła swego ospowatego egzaminatora oraz jego rozczochranego towarzysza. Żaden z nich nie zerknął nawet w stronę samotnie podróżującej kobiety w hidżabie. Nagle poczuła, że ogarnia ją przemożne zmęczenie. Cicho poprosiła stewardesę, by jej nie przeszkadzano, po czym, gdy Izrael rozplynął się we mgle, zamknęła oczy, śniąc o Sumajriji.

Aubervilliers, Francja

Dziesięć dni później w Aubervilliers, północnym *banlieue* Paryża, otwarto bez rozgłosu przychodnię im. Jacques'a Chiraca. W uroczystości uczestniczył minister zdrowia, a także popularny piłkarz z Wybrzeża Kości Słoniowej, który przeciął trójkolorową wstęgę przy oklaskach kilkunastu aktywistów społecznych przybyłych z tej okazji. Francuska telewizja poinformowała o tym wydarzeniu w głównym wydaniu wieczornych wiadomości, a „Le Monde” w krótkiej nocy redakcyjnej nazwał przedsięwzięcie „obietującym początkiem”.

Celem przychodni była poprawa warunków życia mieszkańców niespokojnego przedmieścia, gdzie bezrobocie i przestępczość występowały nagminnie, a służby socjalne rzadko się pojawiały. Oficjalnie działalność przychodni podlegała ministerstwu zdrowia, natomiast w rzeczywistości służyła ona tajnemu przedsięwzięciu z udziałem ministerstwa i Grupy Alfa kierowanej przez Paula Rousseau. Kierownik przychodni, Roland Girard, był członkiem tej grupy, podobnie jak zgrabna recepcjonistka. Natomiast sześć pielęgniarek oraz dwóch z trzech lekarzy nic nie wiedziało o podwójnym charakterze przychodni. Wszyscy zostali zatrudnieni przez państwowy system szpitalnictwa i przyjęci po nader starannym sprawdzeniu. Nikt z nich nie znał wcześniej doktor

Lajli Hadawi, nie uczęszczał z nią na studia medyczne i nie pracował wcześniej tam, gdzie ona.

Przychodnia mieściła się przy avenue Victor Hugo, pomiędzy całonocną pralnią i kafejką uczęszczaną przez członków lokalnego marokańskiego gangu narkotykowego. Skromne wejście tonęło w cieniu platanów rosnących przy chodniku, a nad nią widniały trzy piętra eleganckiego starego budynku z brązową elewacją i oknami z opuszczonymi żaluzjami. Za nim jednak wyrastały potężne szare ściany bloków socjalnych, które zamieszkiwali biedacy z reguły urodzeni nie tu, lecz w Afryce i dawnych francuskich koloniach Maghrebu. Była to część Francji, do której rzadko zaglądali poeci i autorzy literatury podróżniczej, strefa przestępstw, tłumionej nienawiści i coraz silniej radykalizującego się islamu. Połowa mieszkańców *banlieue* urodziła się poza Francją, z czego trzy czwarte stanowiła młodzież. Wyobcowani, zepchnięci na margines egzystencji, stanowili potencjalną rezerwę dla ISIS.

W pierwszym dniu działalności przychodnia stanowiła przedmiot nieco sceptycznego zdziwienia. Ale już nazajutrz rano zaczął płynąć tam strumień pacjentów. Dla wielu z nich była to pierwsza wizyta u lekarza od lat, dla innych, zwłaszcza tych, którzy niedawno przybyli z głębi Maroka i Algierii, pierwszy kontakt z medycyną w życiu. Trudno się zatem dziwić, że największą ufność budziła *médecine généraliste* w skromnym ubraniu i hidżabie, która mówiła w ich rodzinnym języku.

Leczyła ich chore gardła i chroniczny kaszel, a także różne bóle, dolegliwości i choroby, które przywieźli z trzeciego do

pierwszego świata. Powiedziała czterdziestoczteroletniej matce, że przyczyną nieznośnego bólu głowy, na który cierpi, jest guz mózgu. A sześćdziesięcioletniemu mężczyźnie, zatwardziałemu palaczowi, że jego nałóg doprowadził do nieuleczalnego raka płuc. Zbyt słabych i chorych, by udać się do poradni, odwiedzała w zatłoczonych klatkach socjalnych domów. Gdy szła przez cuchnące moczem klatki schodowe i brudne podwórza, gdzie w podmuchach wiatru wirowały śmieci, chłopcy i młodzi mężczyźni z Aubervilliers przyglądali jej się nieśmiało. W tych rzadkich okolicznościach, gdy mogli z nią rozmawiać, odzywali się z szacunkiem i uprzejmością. Natomiast kobiety i dziewczęta bez ograniczeń o wszystko ją wypytywały. Owe bloki socjalne były bowiem podobne do arabskich wiosek – plotkarskich i podległych segregacji płci, a doktor Lajla Hadawi okazała się interesującą nowością. Chciały się zatem dowiedzieć, skąd pochodzi, gdzie mieszka jej rodzina i jak wyglądały jej studia. Ale nade wszystko ciekawiło je, dlaczego w późnym wieku trzydziestu czterech lat wciąż jest niezamężna. Odpowiadała im na to smutnym uśmiechem, pozwalając się domyślać nieodwzajemnionej miłości bądź też miłości utraconej w odmętach przemocy i chaosu, który owładnął Bliskim Wschodem.

W odróżnieniu od innych członków personelu zamieszkała wśród tych, którym służyła, jednak nie w fabryce przestępstw, jaką były socjalne blokowiska, lecz w małym przytulnym mieszkaniu w *quartier* zamieszkanym przez rdzennie francuską klasę robotniczą. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowała się mała przytulna kawiarenka, gdzie, jeśli nie

pracowała, widywano ją często z filiżanką kawy przy stoliku na zewnątrz. Nigdy jednak nie z winem czy piwem, gdyż zarówno jedno, jak i drugie było haram.

Jej hidżab najwyraźniej drażnił niektórych mieszkańców dzielnicy. Wyczuwała to w tonie, jakim zwracał się do niej kelner, i widziała w spojrzeniach przechodniów. Była inna, obca. Wzmagało to jej niechęć do kraju, w którym się urodziła, i podsycalo cichy gniew. Bo doktor Lajla Hadawi, pracownica francuskiej służby zdrowia, nie była kobietą, za jaką ją uważano. Wojny w Iraku i Syrii oraz żydowska okupacja Palestyny przyczyniły się do radykalizacji jej poglądów, a śmierć Zijada al-Masri, jej jedynej miłości, z rąk jordańskiego Muchabratu jeszcze silniej utrwaliła jej przekonania. Była czarną wdową, tykającą bombą z opóźnionym zapłonem. Nie zwierzała się z tego nikomu oprócz swego komputera, jej sekretnego zausznika.

W ciągu swych ostatnich dni na farmie w Nahalal, której obrazu mimo starań nie potrafiła odtworzyć w pamięci, dostała listę stron internetowych. Niektóre z nich znalazła w zwykłym internecie, ale inne kryły się gdzieś głęboko w ciemnych zakątkach sieci. Wszystkie jednak wiązały się z islamem i dżihadyzmem. Czytała blogi, włączała się w czaty muzułmańskich kobiet, słuchała kazań ekstremistycznych duchownych i oglądała nagrania wideo, których nikt, wierzący ani niewierzący, nie powinien nigdy zobaczyć: zamachy bombowe, ścinanie głów, palenie, krzyżowanie – krwawe dni z życia ISIS. W Lajli te obrazy nie budziły emocji, natomiast Natalie, nawykła przecież do widoku krwi, kilkakrotnie

wybiegała do łazienki, wstrząsana atakiem torsji. Korzystała z zapewniających anonimowość popularnych wśród dżihadystów ruterów cebulowych, które pozwalały jej wędrować bezkarnie po wirtualnym kalifacie. Wybrała sobie nick Umm Zijad. To był jej przydomek, jej wojenny pseudonim.

Nie trwało długo, nim doktor Hadawi zwróciła na siebie uwagę. Nie brakowało jej znajomych w sieci. Była tam kobieta z Hamburga, która miała samotnego kuzyna w wieku odpowiednim dla Lajli. Był egipski kleryk, który wciągnął ją w niekończącą się dyskusję na temat apostazji. I był wreszcie autor szczególnie drastycznego blogu, który zapukał do jej wirtualnych drzwi w chwili, gdy oglądała egzekucję chrześcijanina w kapturze nałożonym na głowę. Bloger okazał się rekruterem ISIS. Zapytał, czy nie chciałaby wyjechać do Syrii, by wspomóc budowę kalifatu.

Lajla odpisała:

„Bardzo bym tego chciała, ale pracuję tutaj, we Francji. Leczę moich braci i siostry w ziemi *kuffar*^[5]. Jestem im potrzebna”.

„Jesteś lekarzem?”.

„Tak”.

„Potrzebujemy lekarzy w kalifacie. Również kobiet”.

Ta wymiana mejli podziałała na nią z siłą elektrowstrząsu, oszołomiła jak pierwszy poryw namiętności. Nie złożyła nikomu raportu. Nie musiała. Monitorowali jej komputer i komórkę, a ją samą czujnie obserwowali. Na ulicach Aubervilliers widywała czasem ospowatego twardziela, który prowadził jej ostatnie przesłuchanie na żydowskiej ziemi,

a kiedy indziej mężczyznę z twarzą nie do zapamiętania, i jeszcze tego z oczami jak lód. Zgodnie z wyuczonymi zasadami nie zwracała na nich uwagi, zajmując się własnymi sprawami. Leczyła pacjentów, gawędziła z kobietami z bloków, skromnie odwracała wzrok w obecności chłopców i młodych mężczyzn, a nocą, sama w swym mieszkaniu, korzystając z anonimowych ruterów, wędrowała pod pseudonimem w przestrzeni radykalnego islamu. Była czarną wdową. Tykającą bombą.

* * *

Banlieue Aubervilliers dzieli zaledwie jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od miasteczka Seraincourt, lecz są to dwa różne światy. W Seraincourt nie ma bowiem targowisk halal, meczetów ani wielkich blokowisk, gdzie tłoczą się imigranci z wrogich ziem. Francuski jest jedynym językiem, jaki słychać na wąskich uliczkach i w piekarni obok starożytnego kamiennego kościoła na miejskim skwerze. Tak właśnie jawi się cudzoziemcom idealna wizja Francji. Tej, jaką kiedyś była. I nigdy już nie będzie.

Tuż za miasteczkiem, w dolinie rzeki, pośród wypielegnowanych farm i lasów stoi Château Treville. Rezydencja, osłonięta przed wzrokiem wścibskich trzyipółmetrowym murem, ma podgrzewany basen, dwa ziemne korty tenisowe, czternaście wytwornych sypialni i blisko trzynaście hektarów ogrodów, które trudno byłoby przemierzyć pieszo, gdyby nawet znalazł się ktoś do tego skłonny.

Dział gospodarczy Biura, który kupował tajne lokale służbowe i odpowiadał za ich utrzymanie, pozostawał w dobrych, choć opartych na fałszywych pozorach stosunkach z właścicielem *château*. Umowa zawarta na okres sześciu miesięcy z możliwością przedłużenia zakończyła się krótką wymianą faksów i dobrze zakamuflowanym przelewem kilku tysięcy euro. Zespół wprowadził się tam tego samego dnia, w którym doktor Lajla Hadawi zamieszkała w swym skromnym mieszkanku w Aubervilliers. Większość zainstalowała się w pokojach jedynie po to, by zostawić bagaże, po czym niezwłocznie wyruszyła w teren.

Wcześniej niejednokrotnie prowadzili operacje na terenie Francji, nawet w spokojnym Seraincourt, nigdy jednak za wiedzą i przyzwoleniem francuskich służb bezpieczeństwa. Zakładali, rzecz jasna, że przez cały czas będą obserwowani i podsłuchiwani, toteż przystosowali się do sytuacji. Będąc w *château*, porozumiewali się skrótową formą biurowego żargonu, niedostępną dla zwykłego tłumacza. A nadzorując Natalie na ulicach Aubervilliers, robili wszystko, by nie zdradzić domowych sekretów przed swymi francuskimi sojusznikami, którzy również ją obserwowali. Rousseau wynajął mieszkanie dokładnie naprzeciwko niej, by zespoły Izraelczyków i Francuzów mogły rotacyjnie prowadzić stałą obserwację. Początkowo atmosfera w lokalu była chłodna. Ale stopniowo, w miarę jak się poznawali, ulegała poprawie. W końcu, mimo dawnych uprzedzeń, wspólnie podjęli tę walkę. Tak więc wszystkie dawne grzechy zostały zapomniane, a nakazem chwili stała się wzajemna uprzejmość.

Jedynym członkiem grupy, który nie pojawił się na stanowisku obserwacyjnym ani na ulicach Aubervilliers, był jej twórca i szef. Nikt nie potrafił przewidzieć jego ruchów – jednego dnia był w Paryżu, drugiego w Brukseli lub Londynie. Leciał do Ammanu, gdy musiał skonsultować się z Faridem Barakatem, i do Jerozolimy, gdy chciał zobaczyć żonę i dzieci. A gdy w końcu pojawiał się nieoczekiwanie w Château Treville, wówczas razem z Elim Lavonem, swym przyjacielem i towarzyszem broni z czasów operacji Gniew Boży, ślęczeli do późna w nocy nad raportami obserwacyjnymi, wypatrując śladów zagrożenia. Natalie była jego dziełem. Zwerbował ją, przeszkolił i wystawił w galerii fanatyzmu religijnego na pastwę publiki złożonej z potworów. Ale czas oglądania dobiegał końca. Nadeszła pora transakcji. Aukcja była z góry ustawiona, gdyż Gabriel nie zamierzał sprzedać jej nikomu oprócz Saladyna.

Dokładnie dwa miesiące od chwili otwarcia przychodni im. Jacques'a Chiraca pojawił się w biurze Paula Rousseau przy rue de Grenelle. Opędzając się przed falą dymu z fajki Francuza, oświadczył, że pierwsza faza operacji została zakończona. Nadszedł czas, by wprowadzić ich cenny atut do gry. Warunki umowy francusko-izraelskiej zakładały wspólnotę podejmowanych decyzji. Ponieważ jednak była to agentka Gabriela, również decyzja należała do niego. Spędził ten wieczór w Seraincourt w towarzystwie swego zespołu, a rano, z Michałem u boku i Elim Lavonem osłaniającym go z tyłu, wsiadł na Gare du Nord do pociągu jadącego do Brukseli. Rousseau nie próbował nawet ich śledzić. Wolał nic

nie wiedzieć o tej części operacji. Teraz sprawy miały potoczyć się ostro.

Rue du Lombard, Bruksela

W ciągu jednej ze swych licznych wizyt w siedzibie wywiadu jordańskiego w Ammanie Gabriel wszedł w posiadanie kilku przenośnych twardych dysków. Skopiowano na nich zawartość notebooka Dżalala Nassera w czasie jego pobytów w Ammanie, a także podczas sekretnych wizyt w jego mieszkaniu w Bethnal Green, dzielnicy wschodniego Londynu. Wywiad jordański nie znalazł jednak nic podejrzanego. Wśród adresatów jego poczty nie było żadnych znanych dżihadystów ani kontaktów z ich stronami w historii przeglądania. Ale Farid Barakat zgodził się, by Biuro przyjrzało się tym materiałom jeszcze raz. Po niecałej godzinie cyberszpicle z bulwaru Króla Saula wypatrzyły między niewinnie wyglądającymi aplikacjami do gier chytrze ukrytą furtkę.

Prowadziła do wielokrotnie zakodowanej piwnicy wypełnionej nazwiskami, liczbami i adresami mejlowymi, były tam również okolicznościowe fotografie, w tym kilka zdjęć Centrum Weinberga w Paryżu, a nawet fotografia Hannah Weinberg w chwili, gdy wychodziła ze swego domu przy rue Pavée. Gabriel ostrożnie prze kazał tę wiadomość Faridowi, by nie urazić potężnego ego swego cennego sojusznika.

- Czasem para świeżych oczu bywa pomocna - zauważył.
- Albo zdolny żydowski chłopak z doktoratem uniwersytetu kalifornijskiego - odparł Farid.

- To też - zgodził się Gabriel.

Jednym z najczęstszych kontaktów mejlowych Nassera był Nabil Awad. Pochodził z miasta Irbid w północnej Jordanii, lecz ostatnio mieszkał w Brukseli w dzielnicy Molenbeek, którą od eleganckiego centrum oddzielał kanał przemysłowy. Dawniej żyła tu liczna społeczność katolickich Walonów i protestanckich Flamandów - robotników lokalnych fabryk i hurtowni. Teraz jednak fabryki przeszły do historii, podobnie jak pierwotni mieszkańcy dzielnicy. Stała się ona stutysięczną muzułmańską wioską, gdzie z dwudziestu dwóch różnych meczetów pięć razy dziennie dobiegały nawoływania do modłów. Nabil Awad mieszkał przy rue Ransfort, wąskiej uliczce zabudowanej szeregowcami z kruszącymi się dziewiętnastowiecznymi cegiel, z których każdy podzielono na kilka przeludnionych mieszkań. Pracował na pół etatu w drukarni cyfrowej w centrum Brukseli, lecz podobnie jak wielu młodych mieszkańców Molenbeek angażował się przede wszystkim w radykalny islam. Wśród specjalistów od spraw bezpieczeństwa dzielnica Molenbeek uchodziła bowiem za europejską stolicę dżihadu.

Nie było to miejsce odpowiednie dla człowieka o wyrafinowanych upodobaniach Farida Barakata. Podobnie zresztą jak oferujący noclegi za sześćdziesiąt euro hotel przy rue Lombard, gdzie spotkali się z Gabrielem. Z tej okazji Farid nieco stonował swą zwykłą elegancję - wystąpił w blezerze, gołębiopopielatych spodniach i koszuli z francuskimi mankietami, za to bez krawata. Znalazłszy się w małym ciasnym pokoiku na drugim piętrze, zaczął się przyglądać

czajnikowi elektrycznemu, jakby nigdy w życiu nie widział podobnego urządzenia. Gabriel napełnił czajnik wodą z kranu w łazience i podszedł do stojącego przy oknie Jordańczyka. Dokładnie na wprost hotelu, na parterze nowoczesnego sześciopiętrowego biurowca, znajdowała się drukarnia XTC Printing and Copying.

- O której przyszedł? - spytał Farid.

- Punkt dziesiąta.

- Wzorowy pracownik.

- Najwyraźniej.

Ciemne oczy Jordańczyka przesunęły się po ulicy jak oczy jastrzębia wypatrującego ofiarę.

- Nie trudź się, Farid. Nigdy ich nie zobaczysz.

- Pozwolisz, że spróbuję?

- Wedle życzenia.

- Błękitny wóz dostawczy, dwaj mężczyźni w zaparkowanym samochodzie przy końcu bloku, samotna dziewczyna przy oknie kawiarni.

- Pudło, pudło, pudło.

- Kim są ci dwaj w aucie?

- Czekają, aż ich koleś wyjdzie z apteki.

- A może to belgijska służba bezpieczeństwa?

- Ostatnią rzeczą, jaka może tu niepokoić, jest Sûreté.

Niestety - dodał ponuro Gabriel - podobne zdanie mają terroryści z Molenbeek.

- Ciekawe - mruknął pod nosem Farid. - Belgia produkuje ich więcej niż my w Jordanii.

- A to już coś.

- Ale my - ciągnął Farid - nie mielibyśmy tego problemu, gdyby nie wy, Izraelczycy. To wy wywróciliście naturalny porządek na Bliskim Wschodzie i teraz wszyscy płacimy za to cenę.

Gabriel wbił wzrok w ulicę.

- Może to jednak nie był najlepszy pomysł - powiedział spokojnie.

- Nasza współpraca?

Gabriel skinął głową.

- Potrzebujecie przyjaciół wszędzie, gdzie tylko zdołacie ich znaleźć, *habibi*. Powinniście nas doceniać.

Woda się zagotowała i czajnik wyłączył się z kliknięciem.

- Będiesz miał mi za złe - Jordańczyk spojrzał pytająco - jeśli ci nie pomogę? W kuchni jestem zupełnie bezradny.

- Jasne, Farid. I tak niewiele mam tu do roboty.

- W takim razie poproszę o cukier. Dużo cukru.

Gabriel nalał wody do kubka, wrzucił torebkę zwietrzałej herbaty i wsypał trzy opakowania cukru. Jordańczyk ukradkiem powąchał herbatę, nim podniósł kubek do ust.

- I jak smakuje? - spytał Gabriel.

- Ambrozja. - Farid chciał już zapalić, lecz się powstrzymał, gdy Gabriel pokazał mu tabliczkę z zakazem. - Nie mogłeś zarezerwować pokoju dla palących?

- Wszystkie były zajęte.

Farid na powrót wsunął papierosa do złotej papierośnicy, a tę do kieszeni blezeru.

- Może jednak masz rację - rzekł, marszcząc brwi. - Może jednak to nie był dobry pomysł.

* * *

Zobaczyli go o jedenastej tego ranka, gdy wychodził z pracy, by kupić dla kolegów cztery kawy na wynos, a potem znów o pierwszej po południu, gdy jadł lunch w kawiarence za rogiem. Wreszcie, o szóstej wieczorem, patrzyli, jak po raz ostatni wychodzi z pracy, a za nim podąża człowieczek z najbardziej niewinną twarzą w Brukseli i jakaś para – wysoki mężczyzna w tweedowej marynarce i kobieta o krągłych biodrach, wprost nie mogąc oderwać od siebie rąk. Choć o tym nie wiedział, jego życie – to, które znał – zbliżało się do końca. Wkrótce, myślał Gabriel, będzie istnieć tylko w cyberprzestrzeni. Stanie się postacią wirtualną, cyfrowym pyłem złożonym z jedynek i zer. Jednak pod warunkiem, że zdołają zdjąć go czysto, niezauważeni przez jego kompanów i belgijską policję, nie zostawiając śladu. Był to nie lada wyczyn w mieście tak gęsto zaludnionym jak Bruksela. Ale jak kiedyś powiedział wielki Ari Szamron, nic, co warto zrobić, nie przychodzi łatwo.

Sześć mostów rozciąga się nad szerokim kanałem przemysłowym, który oddziela Molenbeek od centrum miasta. Przekraczając którykolwiek z nich, opuszczamy Zachód i wkraczamy w świat islamu. Nabil Awad, jak zawsze, ruszył w stronę pokrytego graffiti mostu dla pieszych, na który niewielu rodowitych Belgów odważało się wejść. Po stronie Molenbeek przy zaśmieconym nabrzeżu parkowała zniszczona furgonetka, zapewne niegdyś biała. Ale on, jak się zdawało, jej nie widział. Skupił całą uwagę na szczupłym mężczyźnie, który nie będąc Arabem, spacerował nabrzeżem

nad zielonkawą wodą kanału. Dziwne było widzieć twarz człowieka Zachodu wieczorem w Molenbeek, a jeszcze dziwniejsze, że ten człowiek nie miał towarzysza czy dwóch, którzy zapewnieliby mu bezpieczeństwo.

Zawsze czujny Nabil Awad zatrzymał się przy furgonetce, by pozwolić mu przejść. Był to błąd, gdyż w tej samej chwili cicho rozsunęły się boczne drzwi na naoliwionych zawiasach i dwie pary sprawnych rąk wciągnęły go do środka. Mężczyzna o europejskiej twarzy wspiął się na siedzenie obok kierowcy i samochód zjechał z krawężnika. Gdy przejeżdżał przez muzułmańską wioskę zwaną Molenbeek, mijając mężczyzn w sandałach i kobiety w chustach obok targów halal i tureckich stoisk z pizzą, skrępowany mężczyzna z tyłu samochodu szamotał się rozpaczliwie, walcząc o życie, które – dobrze wiedział – dobiegło kresu.

O wpół do siódmej wieczorem dwaj mężczyźni w średnim wieku, elegancko ubrany Arab o twarzy drapieżnego ptaka i drugi, o żydowskiej powierzchowności, opuścili hotel i wsiedli do samochodu, który, jak się zdawało, wyłonił się znikąd. Służba hotelowa weszła do pokoju kilka minut później, spodziewając się, że zastanie tam pobojuwisko, jak zwykle po krótkim pobycie podejrzanych męskich par.

Tymczasem panował tam nieskazitelny ład. Wyjątek stanowiły tylko dwie filiżanki na okiennym parapecie – jedna z resztką herbaty, a druga wypełniona niedopałkami papierosów, co stanowiło oczywiste złamanie hotelowego regulaminu. Wzbudziło to irytację, lecz nie zaskoczenie. W końcu Bruksela jest zachodnioeuropejską stolicą

przestępczości. Dopisano zatem do rachunku kwotę stu euro za sprzątanie i złośliwie podwojono i tak już wysoką opłatę za napoje i potrawy, których nikt nie zamawiał. Kierownictwo hotelu miało pewność, że również nikt nie wniesie skargi.

Północna Francja

Udział Paula Rousseau w tym, co nastąpiło potem, ograniczył się do kupna w pobliżu belgijskiej granicy tajnego lokalu, którego koszt ukrył gdzieś głęboko w operacyjnym budżecie. Ostrzegł również Gabriela i Farida Barakata przed stosowaniem wobec więźnia jakichkolwiek praktyk, które można by uznać za tortury. Ale nawet przy tych zastrzeżeniach niebezpiecznie zbliżał się do granicy ryzyka. We francuskim prawie nie ma bowiem klauzul dopuszczających pozasądowe akty pojmania belgijskiego obywatela na belgijskiej ziemi, nawet wtedy, gdy ów obywatel jest podejrzany o udział w aktach terroru dokonanych na terenie Francji.

Gdyby ta operacja kiedykolwiek wyszła na jaw, związany z nią skandal unicestwiłby doszczętnie karierę Rousseau. On jednak gotów był się zmierzyć z takim ryzykiem. Uważał funkcjonariuszy belgijskiej *Sûreté* za niekompetentnych durniów, pod okiem których ISIS zdołała sobie zapewnić bezpieczny azyl w sercu Europy. Wielokrotnie bowiem *Sûreté* lekceważyła dostarczane przez jego jednostkę ważne informacje dotyczące zagrożeń na terenie Francji. W przekonaniu Rousseau był to więc tylko rewanż.

Nieruchomość kupiona na cele operacyjne była małą odludną farmą w pobliżu Lille. Ale Nabil Awad o tym nie

wiedział, gdyż całą podróż odbył w kapturze zasłaniającym oczy i z zatyczkami w uszach. W ciasnej jadalni przygotowanej już na jego przyjazd stał metalowy stół, dwa krzesła oraz lampa z żarówką wielką jak słońce, nic więcej. Michaił i Jakow przymocowali Nabila do krzesła taśmą klejącą i na ledwie dostrzegalne skinienie Farida Barakata zdarli mu kaptur z głowy. Na widok budzącego grozę szefa Muchabaratu, który spokojnie siedział po przeciwnej stronie stołu, Jordańczyk skulił się z przerażenia. Komuś takiemu jak Nabil Awad, młodzieniec z ubogiej rodziny, trudno było sobie wyobrazić coś gorszego.

Na dobre kilka minut zapadła cisza. Zdenerwowało to nawet Gabriela, który w towarzystwie Eliego Lavona obserwował całą scenę z ciemnego kąta pokoju. Nabil Awad zaczął tymczasem dygotać z przerażenia. Na tym właśnie polega siła jordańskich służb, myślał Gabriel. Nie muszą stosować tortur. Wyprzedza ich własna reputacja. To ona daje im poczucie wyższości nad pokrewnymi służbami w Egipcie. Funkcjonariusze egipskiej wersji Muchabaratu wieszają bowiem więźniów na hakach, zanim się łaskawie odezwą.

Kolejnym lekkim skinieniem Farid polecił Michaiłowi, by ponownie założył kaptur na głowę więźnia. Gabriel wiedział, że jordańskie służby głęboko wierzą w skuteczność deprivacji sensorycznej. Człowiek pozbawiony zdolności widzenia i słyszenia bardzo szybko ulega dezorientacji, czasem zaledwie w ciągu kilku minut. Ogarnia go lęk i przygnębienie, słyszy głosy i miewa halucynacje. W krótkim czasie popada w rodzaj obłądu. Wystarczy szept, by wmówić

mu niemal wszystko. Że jego ciało odpada od kości. Że brak mu jednej ręki. I że jego dawno zmarły ojciec siedzi obok i patrzy na jego upokorzenie. Wszystko to można osiągnąć bez bicia, elektrowstrząsów i wody. Potrzeba tylko trochę czasu.

Ale czas, myślał Gabriel, nie był ich sprzymierzeńcem. W tej chwili Nabil Awad znajdował się na moście dzielącym jego dawne życie od tego, które wkrótce miał rozpocząć z woli Farida Barakata. Ale most ten należało przekroczyć bardzo szybko, tak by nie spostrzegli tego inni członkowie sieci. W przeciwnym razie bowiem ten etap operacji – zdolny przekreślić wszystko, co osiągnęli wcześniej – byłby ogromną stratą czasu, wysiłku i cennych ludzkich zasobów. Teraz jednak rola Gabriela ograniczała się jedynie do obserwacji. Losy jego operacji znajdowały się w rękach byłego wroga.

W końcu Farid przemówił. Zadał krótkie pytanie głębokim barytonem, który niemal wstrząsał ścianami małej francuskiej jadalni. Jego głos nie brzmiał groźnie. Nie było to konieczne. Nikt nie wątpił, że właściciel tego głosu ma władzę, przywileje i bogactwa. Że jest krewnym Jego Wysokości, a tym samym potomkiem proroka Mahometa, pokój niech będzie z nim. Ten głos mówił również do Nabila Awada: „Jesteś niczym. Jeśli zechcę odebrać ci życie, zrobię to, nie mrugnawszy okiem. A potem z przyjemnością wypiję filiżankę dobrej herbaty”.

- Kto to jest? – padło pytanie.
- Kto? – dobył się spod kaptura słaby zdruzgotany szept.
- Saladyn – rzekł Farid.
- Odbił Jerozolimę z rąk...
- O nie – przerwał mu ostro – nie ten Saladyn. Pytam

o Saladyna, z rozkazu którego podłożyłeś bombę w żydowskim centrum w Paryżu i na targu w Amsterdamie.

- Nie mam nic wspólnego z tymi zamachami. Nic! Przysięgam.

- Dżalal powiedział mi co innego.

- Jaki Dżalal?

- Dżalal Nasser, twój kumpel z Londynu.

- Nie znam nikogo takiego.

- Oczywiście, że znasz, *habibi*. Dżalal wszystko mi opowiedział. Wiem, że to ty planowałeś operacje w Paryżu i Amsterdamie. I że jesteś jego zaufanym zastępcą w Europie Zachodniej.

- To nieprawda!

- Co nie jest prawdą?

- Nie znam żadnego Dżalala Nassera i nie planowałem żadnych operacji. Pracuję w drukarni. Jestem nikim. Proszę, niech mi pan uwierzy.

- Czy na pewno, *habibi*? - spytał łagodnie Farid, jakby poczuł się nagle rozczarowany. - Czy na pewno tak brzmi twoja odpowiedź?

Spod kaptura nie wydobył się żaden dźwięk. Farid spojrzał na Michaiła i Jakowa, milcząco polecając im wyprowadzić więźnia. Gabriel patrzył ze swego stanowiska w kącie pokoju, jak dwaj jego zaufani współpracownicy posłusznie wykonują rozkaz. Teraz była to operacja Jordańczyka. On sam występował jako widz.

* * *

Przygotowano mu miejsce w piwnicy. Była mała, zimna, wilgotna i cuchnęła pleśnią. Michaił i Jakow przykuli Nabila Awada do pryczy i zaryglowali pancerne dźwiękoszczelne drzwi. Z góry padało ostre światło żarówki w metalowej osłonie. Nie miało to znaczenia. Dla Nabila Awada słońce już zaszło. W kapturze nasuniętym na oczy znalazł się teraz w świecie wiecznego mroku.

Ciemności, cisza i strach zaczęły stopniowo drążyć dziurę w jego mózgu. Farid obserwował ten proces przez kamerę zainstalowaną wewnątrz prowizorycznej celi. Czekał, aż pojawią się typowe reakcje - niepokój, wiercenie się, gwałtowne ruchy - sygnalizujące początki załamania psychicznego i dezorientacji. Prowadził osobiście niezliczoną ilość przesłuchań w mrocznych piwnicach siedziby departamentu wywiadu i wiedział, kiedy zadawać pytania, a kiedy pozwolić ciemnościom i ciszy wykonać za niego robotę. Niektórzy z przesłuchiwanym terrorystów nie dali się złamać nawet w brutalnym śledztwie, ale jego zdaniem Nabil Awad nie był człowiekiem z żelaza. To dlatego właśnie działał w Europie, zamiast zabijać i ścinać głowy w kalifacie. Awad nie był walczącym dżihadystą. Był pionkiem. I właśnie kogoś takiego potrzebowali.

Po dwóch godzinach Farid ponownie zażądał, by przyprowadzono więźnia z piwnicy. Zadał mu trzy pytania: jaką odegrał rolę w zamachach w Paryżu i Amsterdamie. Jak się kontaktował z Dżalalem Nasserem i wreszcie - kim jest Saladyn. Ale i tym razem młody Jordańczyk twierdził, że nie ma nic wspólnego z terroryzmem, z Dżalalem Nasserem ani

z tajemniczym mężczyzną, którego zwał Saladynem. Był lojalnym jordańskim poddanym. Nie wierzył w dżihad ani w słuszność terroryzmu. Nie bywał często w meczecie. Lubił kobiety, palił i pił. Pracował w drukarni. Był zupełnie nikim.

- Na pewno, *habibi*? - spytał Farid, nim ponownie odesłał go do celi. - Czy na pewno tak brzmi twoja odpowiedź?

Powtarzało się to przez całą długą noc, co dwie godziny, czasem trochę mniej, a czasem więcej, tak by Nabil Awad nie mógł uregulować swego wewnętrznego zegara i przygotować się na cichy atak Farida. Za każdym razem młody Jordańczyk był bardziej nerwowy i oszołomiony. I za każdym razem słyszał te same trzy pytania: jaką odegrał rolę w zamachach w Paryżu i Amsterdamie. Jak się kontaktował z Dżalalem Nasserem i kim jest Saladyn. Jego odpowiedzi brzmiały niezmiennie tak samo. Był niczym. I nikim.

I przez cały ten czas komórka dżihadysty sygnalizowała światłem i dźwiękiem nadchodzące wiadomości z co najmniej sześciu różnych portali informacyjnych i społecznościowych. Aparat znajdował się w fachowych rękach Mordechaja, wszechstronnego specjalisty w zakresie elektroniki, który starannie wyłuskiwał z nich istotne treści. Dwa zespoły, jeden w siedzibie jordańskiego wywiadu, a drugi przy bulwarze Króla Saula, błyskawicznie analizowały uzyskany materiał. Wspólnie też prokurowały odpowiedzi, które Mordechaj wysyłał z telefonu Nabila i które miały przekonać przyjaciół, rodziny i towarzyszy z globalnego dżihadu, że Awad funkcjonuje bez zmian. Jeden nieostrożny ruch, jedno niebaczone słowo mogło zaprzepaścić całą operację.

Balansowali na cienkiej linii w trakcie tej niezwyklej współpracy dwóch wywiadów. Ale globalna wojna z islamskim ekstremizmem tworzyła zdumiewające sojusze, z których żaden nie dziwił bardziej niż ten, który połączył Gabriela Allona z Faridem Barakatem. W młodości znajdowali się po przeciwnych stronach konfliktu arabsko-izraelskiego, a ich kraje toczyły okrutną wojnę, w której celem obozu Farida było uśmiercić tylu Żydów, ilu tylko się da, a resztę utopić w morzu. Teraz jednak byli sojusznikami w nowej wojnie - walce przeciwko tym, którzy zabijali w imię starożytnego przodka Farida. Była to wojna długa. Być może bez końca.

Tej nocy toczyła się nie w Jemenie, Pakistanie czy Afganistanie, ale w małym odludnym gospodarstwie w pobliżu Lille, nieopodal granicy belgijskiej. Atak przypuszczali w odstępach mniej więcej dwugodzinnych, czasem krótszych, a czasem nieco dłuższych, zadając za każdym razem tylko trzy pytania: jaką rolę odegrał w zamachach w Paryżu i Amsterdamie, jak się kontaktował z Dżalalem Nasserem i kim jest Saladyn.

- Jesteś pewny, *habibi*? Czy na pewno tak brzmi twoja odpowiedź?

- Tak, jestem pewny.

Ale nie był pewny ani trochę i za każdym razem, gdy stawiano go w kapturze przed Faridem Barakatem, jego pewność słabła. A wraz z nią słabła siła oporu. O świcie zaczął rozmawiać z nieistniejącym współlokatorem z celi, a wczesnym popołudniem nie mógł już wejść po schodach prowadzących z piwnicy na górę. To właśnie wtedy Farid zdjął

mu kaptur z głowy i położył przed nim fotografię zawołowanej kobiety o krągłej twarzy. A potem pokazał mu jeszcze inne zdjęcia. Przedstawiały pomarszczonego mężczyznę w czarno-białej kefiji, około szesnastoletniego chłopca i śliczną dziewczynę. To oni mieli zapłacić za czyny Nabila Awada. Starzy umarliby w hańbie, a młodym odebrano by przyszłość. To jeszcze jedna cecha Jordańczyków, myślał Gabriel. Nie wahają się niszczyć ludzkiego życia, i nie dotyczy to wyłącznie jakiegoś terrorysty. Stawką jest życie całych pokoleń. Nikt nie wiedział tego lepiej niż Nabil Awad, gdy w końcu zaczął szlochać w potężnych objęciach Farida. A Farid obiecał mu wtedy, że wszystko będzie dobrze. Ale wcześniej, zapowiedział łagodnie, będą musieli chwilę porozmawiać.

Północna Francja

To była historia nader dobrze znana. Mówiła o rozczarowaniu i rozgoryczeniu, niezaspokojonych potrzebach i płonnych nadziejach małżeńskich oraz majątkowych, a także wściekłym gniewie na Amerykanów i Żydów, którzy świadomie tolerowali poniewierkę muzułmanów. Podobnie smutną historię mogłaby opowiedzieć co najmniej połowa dżihadystów na świecie, myślał Gabriel. Nie było w tym nic nowego. Owszem, w zwierzchnictwie globalnego dżihadyzmu zdarzali się młodzi utalentowani ludzie z dobrych rodzin, ale szeregowi żołnierze i ci, którzy mieli posłużyć za mięso armatnie, byli w większości zradykalizowanymi życiowymi rozbitkami. Polityczny islam stał się dla nich ratunkiem, a ISIS rajem. Stawiał tym zagubionym duszom jasny cel i obiecywał rozkosze wiecznej kopulacji w życiu, które nastąpi po śmierci dla świętej sprawy. Zachodnia cywilizacja nie dysponowała przekazem, który mógłby rywalizować z tą wizją.

Historia Nabila Awada rozpoczęła się w Irbidzie, gdzie jego ojciec miał stragan na głównym targowisku. Nabil pilnie się uczył i po ukończeniu szkoły średniej został przyjęty do jednego z koledżów na uniwersytecie londyńskim. Był rok 2011. Syria stała w ogniu, a brytyjscy muzułmanie kipieli gniewem. Z dala od karzącej ręki jordańskich służb

bezpieczeństwa Nabil szybko nawiązał kontakty z radykalnymi islamistami. Uczęszczał na modły do meczetu we wschodnim Londynie i przyłączył się do londyńskiego oddziału Hizb at-Tahrir, organizacji sunnickiej wspierającej ideę kalifatu, zanim jeszcze ktokolwiek słyszał o ISIS. Hizb, jak potocznie ją nazywano, działała w ponad pięćdziesięciu krajach i miała ponad milion sympatyków. Jednym z nich był Jordańczyk z Ammanu, Dżalal Nasser. Awad poznał go na zebraniu Hizb we wschodniolondyńskiej gminie Tower Hamlets. Dżalal zdołał już przekroczyć linię pomiędzy ideologią islamizmu i dżihadyzmem, czyli polityką a terrorem. Z czasem pociągnął za sobą Nabila.

- Kiedy dokładnie go poznałeś? - spytał Farid.

- Nie pamiętam.

- Ależ pamiętasz, *habibi*.

- Wiosną dwa tysiące trzynastego.

- Wiedziałem, że sobie przypomnisz. - Farid uśmiechnął się ciepło, zdjął kajdanki z nadgarstków Nabila i dał mu filiżankę mocno słodkiej herbaty dla przywrócenia sił. Sam również popijał herbatę, paląc papierosa, czego Nabil Awad jako salafita nie pochwalał.

Gabriel opuścił już pokój. Przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie wspólnie ze swym zespołem oglądał przesłuchanie na ekranie laptopa. Obserwowały je również dwa inne zespoły - jeden w siedzibie jordańskiego wywiadu, drugi przy bulwarze Króla Saula.

Lekkim szturchnięciem Farid przynaglił Nabila do rozwinięcia historii jego znajomości z Dżalalem Nasserem, co

odniosło skutek. Początkowo, podjął Nabil, Dżalal bardzo nieufnie go traktował. Obawiał się, że jest agentem wywiadu jordańskiego lub MI5, brytyjskich służb bezpieczeństwa. Ale stopniowo, po kilku rozmowach, które przypominały przesłuchanie, nabrał do niego zaufania. Wyznał, że został wysłany przez ISIS do Europy, by utworzyć siatkę do likwidacji celów na Zachodzie. A także, że liczy na pomoc ze strony Nabila.

- Jaką?
- Werbunek ochotników.
- Dla ISIS?
- Dla siatki - odparł Nabil.
- W Londynie?
- Nie, chciał, żebym się przeniósł do Belgii.
- Dlaczego tam?
- Bo w Anglii radził sobie sam. Uważał natomiast, że Belgia jest terytorium bardzo obiecującym.
- Bo tam żyje wielu naszych braci?
- Bardzo wielu - przytaknął Nabil. - Zwłaszcza w Brukseli.
- Znałeś flamandzki?
- Skądże.
- A francuski?
- Nie.
- Ale nauczyłeś się francuskiego.
- Bardzo szybko.
- Jesteś bystrym chłopcem, Nabil. Za bystrym, żeby tracić czas na całe to gówno. Powinieneś skończyć studia, a wtedy wszystko mogłoby się potoczyć inaczej.

- W Jordanii? - Nabil pokręcił głową. - Ten, kto nie pochodzi z możnej rodziny albo nie jest spokrewniony z królem, nie ma żadnych szans. Co miałbym tam robić? Kierować taksówką? Albo jako kelner w hotelu podawać niewiernym alkohol?

- Lepiej być kelnerem niż tym, czym jesteś teraz, Nabil.

Jordańczyk nie odpowiedział. Farid w milczeniu otworzył grubą teczkę.

- To ciekawe - odezwał się po chwili. - Bo widzisz, Dżalal przedstawia to trochę inaczej. Mówi, że to ty go zwerbowałeś. I że ty zbudowałeś tę siatkę w Europie.

- To nieprawda!

- Ale chyba rozumiesz mój problem, *habibi*. On mówi jedno, a ty zupełnie co innego.

- Ja mówię prawdę. To on kłamie.

- Udowodnij to.

- Jak?

- Powiedz mi o nim coś, czego jeszcze nie wiem. Albo jeszcze lepiej - dodał Farid po udawanym namyśle - pokaż mi coś w twoim telefonie lub komputerze.

- Mój komputer stoi w moim pokoju w Molenbeek.

Farid uśmiechnął się smutno i poklepał dłoń więźnia.

- Już nie, *habibi*. Już nie.

* * *

Od początku wojny opartej na terrorze zarówno Al-Kaida, jak i jej mordercze odpryski dowiodły wybitnych zdolności adaptacyjnych. Przegnani ze swego pierwotnego azylu w Afganistanie znaleźli nowe obszary działania w Jemenie,

Iraku, Syrii, Libii, na egipskim półwyspie Synaj i w brukselskiej dzielnicy Molenbeek. Opracowali również nowe metody komunikacji, by uniemożliwić ingerencję NSA i innym zachodnim służbom. Jednym z najbardziej pomysłowych szyfrów był 256-bitowy program kodujący o nazwie Sekrety Mudżahedina. Od przyjazdu do Belgii Nabil używał go do bezpiecznej komunikacji z Dżalalem Nasserem. Pisał tym szyfrem wiadomości, po czym przegrywał je na pendrive'a, który przekazywał do Londynu. Oryginalne teksty likwidował. Mimo to Mordechaj bez trudu zdołał je odzyskać z twardego dysku laptopa. Używając hasła złożonego z czternastu znaków, przywrócił martwe pliki do życia, przekształcając na pozór chaotyczne litery i liczby w klarowny tekst. Jeden z dokumentów dotyczył potencjalnie obiecującej kandydatki - Francuzki algierskiego pochodzenia, Safii Bourihane.

- To ty wciągnąłeś ją do siatki? - spytał Farid, podejmując przesłuchanie.

- Nie - odparł młody Jordańczyk. - Ja ją tylko znalazłem. To Dżalal prowadził rekrutację.

- Gdzie ją spotkałeś?

- W Molenbeek.

- Co tam robiła?

- Mieszka tam jej rodzina, chyba jacyś kuzyni. Jej narzeczony niedawno zginął w Syrii.

- Rozpaczała?

- Była zła.

- Na kogo?

- Oczywiście na Amerykanów, ale bardziej na Francuzów.

Chłopak zginął w nalocie francuskich samolotów.

- Chciała zemsty?
- Gorąco.
- Rozmawiałeś z nią osobiście?
- Nigdy.
- Gdzie ją wypatrzyłeś?
- Na imprezie w mieszkaniu kolegi.
- Jakiej imprezie?
- Takiej, w jakiej żaden dobry muzułmanin nie powinien uczestniczyć.
- Co tam robiłeś?
- Pracowałem.
- Nie przeszkadza wam, jeśli wasi kandydaci piją alkohol?
- Większość to robi. Pamiętajmy - dodał - że Zarkawi pił, zanim odkrył piękno islamu.
- Co się stało, gdy wysłałeś wiadomość do Dżalala?
- Poleciał, żebym dowiedział się o niej więcej. Pojechałem więc do Aulnay-sous-Bois, żeby przez kilka dni ją obserwować.
- Dobrze znasz Francję?
- To część mojego terytorium.
- I podobało ci się to, co zobaczyłeś?
- Bardzo.
- Wiec wysłałeś drugą zaszyfrowaną wiadomość do Dżalala
- rzekł Farid, machając wydrukiem.
- Tak.
- W jaki sposób?
- Przez kuriera.
- Jak się nazywa?

Młody człowiek zdobył się na słaby uśmiech.

- Spytaj Dżalala - odpowiedział. - On ci to powie.

Farid podniósł fotografię zakwefionej matki Nabila Awada.

- Jak nazywa się ten kurier?

- Nie wiem. Nigdy nie stykamy się osobiście.

- Używacie skrzynek kontaktowych?

- Tak.

- Jak go zawiadamiasz?

- Umieszczam post na Twitterze.

- I ten kurier śledzi twoje posty?

- Oczywiście.

- Gdzie znajduje się skrzynka?

- Mamy cztery.

- W Brukseli?

- I okolicy.

- Skąd kurier wie, którą wybrać?

- Lokalizacja jest zawarta w wiadomości.

W sąsiednim pokoju Gabriel przyglądał się, jak Farid Bakarat kładzie przed Nabilem Awadem żółty notatnik i długopis. Zdesperowany Jordańczyk złapał długopis jak tonący chwyta linę ratunkową rzuconą nad wzburzonymi falami. Pisał po arabsku, nawet na chwilę nie przerywając. Robił to dla rodziców, rodzeństwa i całego rodu Awadów. Ale przede wszystkim, myślał Gabriel, dla Farida Barakata. Farid go pokonał. Nabil Awad należał teraz do nich. Stał się ich własnością.

* * *

Gdy więzień wykonał zadanie, Farid zażądał od niego jeszcze jednej informacji. Chciał wiedzieć, kim jest człowiek, który kieruje siatką, wyznacza obiekty ataków, szkoli zamachowców i buduje bomby. Chciał wiedzieć, kim jest ten, który zwie się Saladynem. Nabil ze łzami przysięgał, że tego nie wie, a Farid, być może dlatego, że był znużony, udawał, że mu wierzy.

- Ale słyszałeś o nim?

- Tak, oczywiście.

- To Jordańczyk?

- Wątpię.

- Syryjczyk?

- Możliwe.

- Irakijczyk?

- Tak mi się wydaje.

- Dlaczego?

- Bo jest prawdziwym specem. Tak jak pan - dodał szybko Awad. - Bardzo dba o swoje bezpieczeństwo. Nie chce być taką gwiazdą jak bin Laden. Chce tylko zgładzić niewiernych. I tylko na samej górze wiedzą, jak się naprawdę nazywa i skąd pochodzi.

Tymczasem zapadła noc. Znow wsadzili zakapturzonego i skrupowanego Awada do ongiś białej furgonetki i zawieźli go na lotnisko Le Bourget pod Paryżem, gdzie czekał gulfstream należący do monarchy Jordanii. Awad, nie opierając się, wszedł na pokład samolotu i zaledwie sześć godzin później znalazł się w Ammanie, w celi Generalnego Departamentu Wywiadu. W równoległym świecie globalnego internetu był

natomiast człowiekiem wolnym, który poinformował znajomych, zwolenników na portalach społecznościowych oraz szefa drukarni, w której pracował, że w trybie nagłym wyjeżdża do Jordanii, gdyż jego ojciec poważnie zachorował. Sam ojciec nie mógł temu zaprzeczyć, gdyż podobnie jak wszyscy członkowie rozległego klanu Awadów znajdował się w areszcie departamentu wywiadu.

Przez następne siedemdziesiąt dwie godziny komórkę Nabila Awada bombardowały tysięczne wyrazy współczucia. Tymczasem dwa zespoły fachowców, jeden w siedzibie Jordańczyków, drugi przy bulwarze Króla Saula, analizowały każdy mejl i esemes, wypatrując jakichkolwiek śladów zagrożenia. Sami również sporządzili i wysłali kilka ponuro brzmiących informacji na Twitterze Nabila. Wynikało z nich, że stan zdrowia pacjenta się pogorszył. Z bożą wolą być może wróci do zdrowia, ale chwilowo rokowania są złe.

Dla niewprawnych oczu słowa Nabila przekazywane na strony mediów społecznościowych brzmiały jak naturalna reakcja najstarszego syna człowieka, który był ciężko chory. Ale pewna wiadomość operowała dość dziwaczną składnią i doborem słów, które dla jednego czytelnika mogły oznaczać coś bardzo istotnego. Informowała ona bowiem, że na skraju małego pastwiska nieopodal centrum Brukseli ukryto w krzewie kolcolistu pustą puszkę po belgijskim piwie. Wewnątrz, owinięty warstwą plastiku, znajdował się pendrive z zaszyfrowanym plikiem. Dotyczył on w całości doktor Lajli Hadawi.

Seraincourt, Francja

Zaczęło się wielkie czekanie. W każdym razie tak określali to wszyscy, którzy przeżyli ten trudny czas. Przez blisko siedemdziesiąt dwie godziny zaszyfrowana wiadomość leżała nietknięta w swym małym aluminiowym sarkofagu u stóp słupa elektrycznego przy Kerselaarstraat w Dilbeek, na przedmieściu Brukseli. Aktorzy tego wolno rozgrywającego się dramatu znajdowali się daleko od siebie, rozrzucony pomiędzy Bethnal Green we wschodnim Londynie, imigranckim *banlieue* na północy Paryża oraz Ammanem, gdzie w osławionym budynku zwanym Fabryką Paznokci więziono dżihadystę, którego życie toczyło się nadal w cyberprzestrzeni. Taka sytuacja miała już swój historyczny precedens. W czasie drugiej wojny światowej brytyjski wywiad zdołał utrzymać Abwehrę w przeświadczeniu, że członkowie niemieckiej siatki szpiegowskiej żyją i nadal działają, choć faktycznie zostali zdemaskowani i ujęci. Anglicy dostarczali Niemcom fałszywych i mylących wiadomości przez długi okres. Teraz Izraelczycy i Jordańczycy uznali się za strażników świętego ognia.

Jedynym miejscem, w którym nie pojawił się żaden z członków zespołu, było Dilbeek. To typowo wiejskie przedmieście leżące nieco ponad kilometr od centrum Brukseli otaczały zewsząd małe farmy.

- Innymi słowy - oświadczył Eli Lavon, który dokonał oględzin punktu kontaktowego rankiem po przesłuchaniu Nabila Awada - to koszmarne sen szpiega.

Stały punkt obserwacyjny nie wchodził tu w rachubę, podobnie jak obserwacja z zaparkowanego samochodu lub kawiarni. Na dogodnym dla tych celów odcinku Kerselaarstraat obowiązywał zakaz parkowania, a nieliczne kawiarnie znajdowały się w centrum wioski.

Jedynym rozwiązaniem była zatem miniaturowa kamera w kępie wysokich chwastów po drugiej stronie drogi. Mordechaj monitorował jej starannie zaszyfrowaną transmisję z pokoju hotelowego w centrum Brukseli i kierował sygnał do bezpiecznej sieci, co pozwalało innym członkom zespołu również ją obserwować. Wkrótce stało się to spektaklem, który bił rekordy oglądalności. W Londynie, Tel Awiwie, Ammanie i Paryżu najlepiej wyszkoleni i zmotywowani oficerowie wywiadu stali nieruchomo przed ekranami komputerów, wpatrzeni w gąszcz kolcolistu u stóp betonowego słupa elektrycznego. Od czasu do czasu przejeżdżał tamtędy jakiś samochód, rowerzysta, a czasem emeryt z wioski w ramach porannych ćwiczeń. Jednak przez większość czasu obraz bardziej przypominał nieruchomą fotografię niż nagranie na żywo. Gabriel obserwował to miejsce z utworzonego w Château Treville centrum operacyjnego i uznał je za najbardziej szpetny widok, jaki kiedykolwiek oglądał. Nadał mu nazwę „Puszka przy słupie” i przeklinał w myślach wybór punktu kontaktowego w Dilbeek, skoro miał jeszcze trzy inne możliwości. Choć i one nie były

wiele lepsze. Najwyraźniej Dżalal Nasser nie wybierał tych miejsc ze względu na ich walory estetyczne.

Od czasu do czasu zmuszone oczekiwanie urozmaicały zabawne sytuacje. Codziennie pojawiał się na przykład owczarek belgijski, zwierzę wielkości wilka, który regularnie załatwiał swe potrzeby pod krzewem kolcolistu. Zdarzyło się również, że jakiś emeryt z wykrywaczem metalu wygrzebał puszkę z gąszczu, lecz po starannych oględzinach rzucił ją tam, gdzie leżała. Kiedy indziej jeszcze rozpętała się nawałnica niemal biblijnych rozmiarów i przez bite cztery godziny lawina wodna groziła nie tylko porwaniem puszek wraz z jej zawartością, ale też zalaniem całej wioski. Później, gdy burza ucichła, Gabriel polecił Mordechajowi, by ten sprawdził, czy pendrive nie został zniszczony. Mordechaj zapewnił jednak, że to bezcelowe, gdyż – tak jak robił Nabil Awad – wsunął nośnik do dwóch wodoszczelnych, zamykanych na zamek plastikowych torebek. Jego zdaniem wszelka osobista kontrola niesie zbyt duże ryzyko. No bo jak przewidzieć, czy kurier nie pojawi się właśnie w chwili inspekcji? Ponadto zawsze istnieje możliwość, dodał, że nie tylko oni obserwują to miejsce.

Tymczasem cel owego przedsięwzięcia, Dżalal Nasser, z nadania Saladyna szef europejskich operacji, niczym nie zdradzał swych zamiarów. Była już wczesna wiosna i uwolnił się wreszcie z ciężkiego brzemienia studiów w King's College, które w jego przypadku sprowadzały się do jednego seminarium na temat wpływu zachodniego imperializmu na ekonomię krajów arabskich. Mógł więc teraz całym sercem

angażować się w dżihadyzm i terroryzm, a tymczasem, jak wszystko wskazywało, relaksował się na koszt podatników. Przesiadywał nad poranną kawą w ulubionej kawiarence przy Bethnal Green Road i snuł się po Oxford Street, robiąc zakupy. Odwiedził też wystawę sztuki zakazanej w National Gallery i obejrzał jakiś amerykański film akcji w kinie przy Leicester Square. Ku ogólnemu zdumieniu wybrał się nawet na musical „Jersey Boys”, co wzbudziło w londyńskich zespołach obawy, czy nie zamierza czasem podłożyć w trakcie spektaklu bomby. I choć nic nie wskazywało na to, by znajdował się pod obserwacją brytyjskich służb, wiedzieli, że w orwellowskim Londynie pozory bywają złudne. MI5 nie musi korzystać wyłącznie z agentów, by obserwować podejrzanych terrorystów. Oczy kamer bezpieczeństwa nigdy się nie zamykają.

Kawalerka Dżalala przy Chilton Street została starannie przeszukana i zbadana na wszelkie możliwe sposoby. Obserwowali go w trakcie jedzenia, snu i modłów. A późnymi wieczorami, gdy siedział przed komputerem, jak ciekawskie dzieci zerkali mu cichcem przez ramię. Miał nie jeden, lecz dwa identyczne laptopy. Pierwszy podłączony był do internetu, drugi niezwiązany z globalną cyberprzestrzenią. A przynajmniej w to wierzył. Jeśli więc kontaktował się z siatką Saladyna, nie było to łatwe do wykrycia. Dżalal Nasser mógł być żarliwym dżihadystycznym terrorystą, ale w sieci zachowywał się jak wzorowy mieszkaniec Wielkiej Brytanii i lojalny obywatel Haszemickiego Królestwa Jordanii.

Czy jednak wiedział o pendrivie, który leżał pod betonowym

słupem elektrycznym na wiejskich terenach Dilbeek pod Brukselą? A także o tym, że człowiek, który rzekomo go tam ukrył, znajduje się teraz w Jordanii przy łożu ciężko chorego ojca? Czy też dostrzegł w tych dwóch wydarzeniach – zawiadomieniu o informacji w skrzynce kontaktowej i nagłej podróży swego zaufanego pomocnika – zbyt dużą zbieżność? I czy czasem nie zwróciło to jego uwagi? Gabriel był pewien, że tak się właśnie stało. Świadczy o tym to, utrzymywał, że nikt się nie pojawił, by odebrać zawartość skrzynki. Jego nastrój pogarszał się w miarę mijających godzin. Przemierzał pokoje Château Treville i ogrodowe ścieżki, nieustannie sprawdzał raporty obserwacyjne, ale głównie wpatrywał się w ekran komputera, gdzie z gęstwiny kolcolistu niezmiennie wystawał betonowy słup elektryczny, zapewne najbardziej szpetny widok w całej historii jego chwalebnej służby.

Na trzeci dzień późnym popołudniem ulewa, która niemal zatopiła Dilbeek, odcięła przedmieścia leżące na północ od Paryża. Eli Lavon utknął w pułapce na ulicach Aubervilliers i kiedy znów się pojawił się w Château Treville, wyglądał jak szaleniec, który postanowił popływać w pełni ubrany. Gabriel stał przed swym komputerem nieruchomo jak posąg, ale jego zielone oczy płonęły.

- No i? - spytał Lavon.

Gabriel wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze, po czym kliknął w ikonę „Play”. Sekundy później z lewa na prawo przemknął niewyraźny kształt motocyklisty.

- Czy wiesz, ilu motocyklistów przejechało tamtędy dzisiaj?
- spytał Lavon.

- Trzydziestu ósmiu - odparł Gabriel. - Ale tylko jeden zrobił to.

Powtórnie odtworzył nagranie, tym razem w zwolnionym tempie, i w pewnej chwili kliknął „Pause”. Obraz na chwilę zamarł, a wizjer kasku motocyklisty skierował się dokładnie ku podstawie słupa elektrycznego.

- Może coś go zainteresowało? - rzekł Lavon.

- Na przykład co?

- Na przykład puszka z pendrive'em w środku.

Gabriel uśmiechnął się po raz pierwszy od trzech dni. Wcisnął kilka klawiszy i na ekranie znów pojawił się żywy obraz. Puszka przy słupie, pomyślał. Nagle stała się najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widział.

* * *

Po raz drugi zobaczyli go o siódmej wieczorem, a potem o ósmej trzydzieści, gdy zmierzch przesłonił widok niczym pożółkły nalot, który stopniowo pokrywa powierzchnię obrazu. Za każdym razem przemykał z lewej strony na prawą. I za każdym razem, zwalniając tempo nagrania, dało się zauważyć, jak jego głowa niemal niedostrzegalnie obraca się w stronę krzewu rosnącego pod słupem elektrycznym. Za trzecim razem pojawił się długo po zapadnięciu zmroku, toteż nagranie było ciemne jak smoła. Stanął i zgasił światła. Mordechaj przełączył kamerę z optycznej na podczerwień i chwilę później Gabriel i Eli Lavon patrzyli, jak żółtoczerwona sylwetka mężczyzny nurkuje pod krzew rosnący na krawędzi Kerselaarstraat i równie szybko się spod niego wyłania.

Pendrive był identyczny z modelem używanym przez Nabila Awada w trakcie poprzednich kontaktów, z jedną istotną różnicą: obwód drukowany został tu wzbogacony o urządzenie lokacyjne. Pozwalało to śledzić ruchy człowieka, który nim dysponował. On zaś z Dilbeek przeniósł się do centrum Brukseli, gdzie spędził spokojny wieczór w dość dobrym hotelu. Nazajutrz rano wsiadł na dworcu Bruxelles Midi do pociągu Eurostar, który odchodził o ósmej pięćdziesiąt dwie, i o dziesiątej szedł już peronem St. Pancras International w Londynie. Jakow Rossman zdołał zrobić zdjęcie kuriera w chwili, gdy ten przecinał halę przyjazdów. Później okazało się, że był to Egipcjanin, który mieszkał przy jednej z przecznic Edgware Road i pracował jako asystent produkcji w telewizji Al-Dżazira.

Pendrive wyruszył pieszo do wschodniego Londynu i w południe nader dyskretnie zmienił właściciela na chodniku Brick Lane. Kilka minut później w kawalerce pod numerem trzydziestym szóstym został podłączony do komputera, który – jak wierzył jego właściciel – nie miał połączenia z internetem. Właśnie zaczęło się nowe czekanie, tym razem na to, by Dżalal Nasser, człowiek Saladyna w Europie, przybył do Paryża poznać swą nową dziewczynę.

Paryż

Natalie po raz pierwszy świadomie zauważyła jego obecność w sobotę o drugiej trzydzieści po południu, gdy przechodziła przez Ogród Luksemburski. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że widziała go kilkakrotnie wcześniej, również wczorajszego popołudnia w kawiarence naprzeciwko jej mieszkania w Aubervilliers. W cieniu parasola z napisem Pernod sączył z kieliszka białe wino, udając, że zajmuje go lektura podniszczonej książki w miękkiej oprawie, gdy tymczasem bez żenady się na nią gapił. Mylnie wzięła jego zainteresowanie za męską natarczywość i wyszła z kawiarni szybciej, niż zamierzała. Później, patrząc wstecz, uznała, że jej zachowanie wywarło pozytywne wrażenie.

Ale dopiero tej pięknej słonecznej soboty utwierdziła się w przekonaniu, że nieznajomy ją śledzi. Zamierzała wziąć wolny dzień od pracy, ale pandemia anginy w *cités* zmusiła ją do spędzenia poranka w przychodni.

Wyszła więc dopiero w południe i dotarła linią RER do centrum. Udając, że ogląda wystawy przy rue Vavin, dostrzegła go po przeciwnej stronie ulicy. Podobnie jak ona przystawał przed kolejnymi witrynami. Kilka minut później, wchodząc do Ogrodu Luksemburskiego, zastosowała inną z technik, które opanowała na farmie w Nahalal. Gwałtownie przystanęła, obróciła się i szybko zawróciła. Znów go

dostrzegła. Przeszła obok, odwracając wzrok, ale nawet wtedy czuła na sobie ciężar jego spojrzenia. Kilka kroków za nim szedł człowiek Biura – ten o nijakiej twarzy, a za nim dwóch francuskich obserwatorów. Szybko wróciła na rue Vavin i weszła do butiku, w którym była kilka minut wcześniej. W tym momencie zadzwonił jej telefon.

– Czy zapomniałaś o naszej kawie?

Rozpoznała głos.

– Oczywiście, że nie – odparła szybko. – Będę za kilka minut.

Gdzie jesteś?

– Café de Flore. To jest...

– Wiem, gdzie to jest – przerwała tonem francuskiej wyższości. – Już idę.

Połączenie zostało przerwane. Wrzuciła komórkę do torebki i wyszła na ulicę. Nie było tam wprawdzie mężczyzny, który ją śledził, ale po przeciwnej stronie dostrzegła jednego z nadzorujących ją Francuzów. Szedł za nią przez Ogród Luksemburski do bulwaru Saint Germain, gdzie już z oddali zobaczyła Dinę Sarid machającą do niej sprzed jednej z najsłynniejszych paryskich kawiarni. Miała jaskrawą chustę i wielkie ciemne okulary gwiazdy filmowej.

– Nawet w tym przebraniu – powiedziała ciepło Natalie, całując jej policzek – wyglądasz jak aszkenazyjska żydówka w hidżabie.

– Szef sali ma inne zdanie. Udało mi się dostać stolik.

Gdy usiadły, Natalie położyła serwetkę na kolanach.

– Mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi.

– Owszem – potwierdziła Dina.

- Kiedy chcieliście mi o tym powiedzieć?

Dina tylko się uśmiechnęła.

- Czy to ten, o którego chodzi?

- Najwyraźniej.

- Jak mam to rozegrać?

- Udawaj niedostępną. I pamiętaj - dodała Dina - żadnych pocałunków na pierwszej randce.

Natalie otworzyła menu i westchnęła.

- Muszę się jednak napić.

Aubervilliers, Francja

- Lajla? To naprawdę ty? Pamiętasz mnie? Jestem Dżalal. Dżalal Nasser z Londynu. Spotkaliśmy się kilka tygodni temu. Mogę się dosiąść? Właśnie zamierzałem wypić tu kawę - mówił szybko klasycznym jordańskim arabskim.

Było chłodne rześkie niedzielne przedpołudnie, na bezchmurnym niebie jasno świeciło słońce. Jak zwykle piła kawę w kafejce naprzeciwko domu, w którym mieszkała. Siedziała przy stoliku na zewnątrz, a ponieważ ruch był niewielki, już z daleka widziała, jak się zbliża. Mijając jej stolik, gwałtownie przystanął, podobnie jak ona na ścieżce w Ogrodzie Luksemburskim, a potem obrócił się wokół osi, jakby ktoś klepnął go w ramię, i z wolna do niej podszedł, stając tak, by słońce oświetlało go z tyłu. Jego długi cień padł na jej otwartą gazetę. Podniosła głowę, zasłaniając oczy, i spojrzała na niego obojętnie, jakby go właśnie dostrzegła. Miał starannie ufryzowane i ostrzyżone włosy, mocną kwadratową szczękę i powściągliwy, lecz ciepły uśmiech. Podobał się kobietom i dobrze o tym wiedział.

- Zasłaniasz mi słońce - zauważyła.

Nie odpowiadając, położył rękę na oparciu pustego krzesła.

- Można?

Nim zdążyła zaprotestować, odsunął krzesło od stolika i wygodnie usiadł. No proszę, myślała. Oto jest. Po tych

wszystkich przygotowaniach i szkoleniach jak gdyby nigdy nic siedzi na wprost niej ten, którego tak usilnie szukali i który miał ją przekazać w ręce Saladyna. Jednocześnie czuła, że jej serce wali jak żelazny dzwon. Musiało to być widoczne, gdyż młody mężczyzna położył dłoń na rękawie jej skromnej jedwabnej bluzki. Widząc jednak, że z oburzeniem cofnęła rękę, szybko się odsunął.

- Wybacz mi. Nie chcę cię denerwować.

Ależ ja nie jestem zdenerwowana, powtarzała sobie w duchu. Bo i czemu miałyby być? Siedzi w znajomej kawiarni naprzeciwko swojego domu, jest szanowanym członkiem społeczności, lekarką, która opiekuje się mieszkańcami *cités* i mówi w ich własnym języku, choć z wyraźnym palestyńskim akcentem. Jest doktor Lajlą Hadawi, absolwentką uniwersytetu Paris-Sud uprawnioną przez francuski rząd do prowadzenia praktyki medycznej. Jest Lajlą z Sumajrijji, tą, która kochała Zijada. A ten przystojny typ, który zakłócił jej poranną kawę i ośmielił się dotknąć jej rękawa, nie ma żadnego znaczenia.

- Przepraszam - powiedziała, składając gazetę - ale nie dosłyszałam imienia.

- Dżalal - powtórzył. - Dżalal Nasser.

- Z Londynu?

- Tak.

- I mówisz, że spotkaliśmy się wcześniej?

- W przelocie.

- To tłumaczy, czemu cię nie pamiętam.

- Być może.

- Ale gdzie to właściwie było?

- Na place de la République, dwa miesiące temu, a może trzy. Na demonstracji przeciw...

- Dobrze ją pamiętam. - Z namysłem zmrużyła oczy. - Ale nie przypominam sobie ciebie.

- Rozmawialiśmy potem. Powiedziałem, że podziwiam twoje zaangażowanie w sprawę Palestyny. Powiedziałem też, że chciałbym z tobą jeszcze o tym pomówić. Zapisałem ci mój telefon na odwrocie ulotki.

- Skoro tak twierdzisz... - Udając znudzenie, spojrzała na ulicę. - Czy używasz tych tandetnych chwytów wobec kobiet siedzących samotnie w kawiarni?

- Sądzisz, że wszystko wymyśliłem?

- Jak słyszysz.

- Skąd więc miałbym wiedzieć, że byłaś na demonstracji na place de la République, gdybym cię tam nie widział?

- Tego jeszcze nie wiem.

- Wiem, że tam byłaś - powtórzył - bo i ja tam byłem.

- A przynajmniej tak mówisz.

Przywołał gestem kelnera i zamówił café crème. Odwróciła głowę i się uśmiechnęła.

- Co w tym śmiesznego?

- Twój francuski jest okropny.

- Mieszkam w Londynie.

- Wiem - odparła. - Już to słyszałam.

- Studiuję w King's College - dodał.

- Chyba jesteś trochę za stary na studenta?

- Mój ojciec wciąż to powtarza.

- Twój ojciec jest zapewne mądrym człowiekiem. Czy też mieszka w Londynie?

- W Ammanie. - Zamilkł, gdy kelner stawiał przed nim kawę. A potem zagadnął jakby od niechcienia: - Twoja matka pochodzi z Jordanii, prawda?

Tym razem to ona zamilkła. W jej milczeniu kryła się podejrzliwość i lęk wygnańca.

- Skąd wiesz, że moja matka jest Jordanką? - spytała w końcu.

- Sama mi powiedziałaś.

- Kiedy?

- Po demonstracji, rzecz jasna. Mówiłaś, że rodzina twojej matki mieszkała kiedyś w Nablus, skąd zbiegła do Jordanii. A także, że zmuszona była żyć w obozie dla uchodźców w Az-Zarka. W rzeczy samej dobrze znam ten obóz. Mam tam wielu kolegów. Modliłem się nawet w tamtejszym meczecie. Znasz meczet w Zarka?

- Chodzi ci o meczet Al-Falah?

- Tak, właśnie.

- Dobrze go znam - odparła. - Ale jestem zupełnie pewna, że nigdy o tym z tobą nie rozmawiałam.

- Skąd mógłbym wiedzieć o twojej matce, gdybyś mi tego nie mówiła?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Mówiłaś również o swoim ojcu - dodał.

- To niemożliwe.

On jednak zlekceważył jej protest.

- Nie pochodził z Dżanin jak twoja matka. Urodził się

w Zachodniej Galilei. - Przerwał, po czym dodał: -
W Sumajriji.

Jej wzrok pociemniał i zaczęła wykonywać szereg drobnych gestów, które przesłuchujący określają mianem czynności zastępczych. Poprawiła hidżab, stuknęła paznokciem w brzeg filiżanki z kawą i spojrzała nerwowo na spokojną niedzielną ulicę. Robiła wszystko, byle tylko nie spojrzeć w twarz człowieka siedzącego po przeciwnej stronie stolika. Tego, który miał ją przekazać w ręce Saladyna.

- Nie wiem, kim jesteś - rzekła w końcu - ale nigdy nie rozmawiałam z tobą na temat moich rodziców. I w dodatku mam pewność, że nigdy dotąd cię nie widziałam.

- Nigdy?

- Nie.

- Więc skąd tyle o tobie wiem?

- Może pracujesz w wywiadzie?

- Ja i wywiad francuski? Przecież ledwie mówię po francusku. Sama tak powiedziałaś.

- No to może jesteś Amerykaninem. Albo Izraelczykiem - rzuciła.

- Masz paranoję.

- To dlatego, że jestem Palestynką. I jeśli mi nie powiesz, kim naprawdę jesteś i czego ode mnie chcesz, natychmiast stąd wyjdę. Bardzo możliwe, że znajdę gdzieś blisko żandarma i opowiem mu o dziwnym mężczyźnie, który wie o mnie więcej, niż powinien.

- To nie najlepszy pomysł, żeby muzulmanka zadawała się z francuską policją, Lajlo. Mogliby założyć ci teczkę, a wtedy

dowiedzieliby się rzeczy, które byłyby szkodliwe dla osoby z twoją pozycją.

Bez słowa położyła pięć euro obok swojej filiżanki i już wstawiała, gdy znów położył dłoń na jej ręce. Tym razem jednak nie było to lekkie dotknięcie, lecz szokująco silny uścisk. Jednocześnie przez cały czas się uśmiechał ze względu na kelnera oraz przechodniów, tak imigrantów, jak i rdzennych Francuzów, którzy mijali ich w łagodnym świetle słońca.

- Kim jesteś? - mruknęła przez zęby.
- Nazywam się Dżalal Nasser.
- Dżalal z Londynu?
- Prawidłowo.
- Czy spotkaliśmy się kiedyś wcześniej?
- Nie.
- Więc kłamałeś.
- Musiałem.
- Dlaczego tu jesteś?
- Bo ktoś mnie poprosił.
- Kto?

- Ty, oczywiście. - Zwolnił uścisk. - Nie niepokój się, Lajlo - dodał łagodnie. - Nie zrobię ci nic złego. Chcę tylko pomóc. Mogę dać ci szansę, na którą czekasz. Mogę spełnić twoje marzenia.

* * *

Punkt obserwacyjny Paula Rousseau mieścił się dokładnie nad kawiarnią i ostry kąt skierowanej w dół kamery sprawiał, że Natalie i Dżalal wyglądali jak bohaterowie awangardowego

francuskiego filmu. Akustykę zapewniała natomiast komórka Natalie, co jednak oznaczało, że dźwięk docierał z irytującym dwusekundowym opóźnieniem w stosunku do wizji. Dopiero później, w bezpiecznym azylu Seraincourt, Mordechaj dokonał synchronizacji dźwięku i obrazu. Gabriel z Elim Lavonem u boku obejrzał zmontowaną wersję nagrania trzykrotnie od początku do końca. Potem znów cofnął i kliknął w ikonę „Play”.

„Dlaczego tu jesteś?”.

„Bo ktoś mnie poprosił”.

„Kto?”.

„Ty, oczywiście”.

Gabriel kliknął „Pause”.

- Niezły popis - orzekł Lavon.

- Jego czy jej?

- W gruncie rzeczy obojga.

Gabriel ponownie wcisnął „Play”.

„Mogę dać ci szansę, na którą czekasz. Mogę spełnić twoje marzenia”.

„Kto ci powiedział o moich marzeniach?”.

„Mój przyjaciel Nabil. Może go pamiętasz?”.

„Bardzo dobrze”.

„Opowiedział mi o waszej rozmowie po tej demonstracji na place de la République”.

„Dlaczego miałyby to robić?”.

„Bo Nabil i ja pracujemy dla tej samej organizacji”.

„Jakiej organizacji?”.

„Nie mogę o tym mówić. Nie tutaj i nie teraz”.

Gabriel wcisnął „Pause” i spojrzał na Lavona.

- Dlaczego nie tutaj? - spytał. - I dlaczego nie teraz?

- Chyba nie myślałeś, że powie to w tej kafejce?

Gabriel zmarszczył brwi i wcisnął „Play”.

„Może moglibyśmy się spotkać bardziej prywatnie, żeby dłużej porozmawiać?”.

„Może”.

„Jesteś dziś wieczór wolna?”.

„Mogę być”.

„Znasz La Courneuve?”.

„Oczywiście”.

„Możesz tam dotrzeć?”.

„To niedaleko. Przyjdę pieszo”.

„Przy avenue Leclerc jest duży blok mieszkalny”.

„Znam go”.

„Bądź o dziewiątej przed apteką. Nie bierz z sobą komórki ani żadnej elektroniki. I ciepło się ubierz”.

Gabriel zatrzymał nagranie.

- Wygląda na to, że chce ją gdzieś zabrać motorem.

- Cwaniak.

- Działal czy ja?

Obaj zamilkli. W końcu odezwał się Lavon:

- Czego się boisz?

- Boję się, że zamierza ją wywieźć w odludne miejsce i poddać brutalnemu przesłuchaniu, a potem obciąć jej głowę. Poza tym nie mam obaw.

Znów zapadła cisza, tym razem dłuższa niż poprzednio.

- Co chcesz zrobić? - spytał po chwili Lavon.

Gabriel z przechyloną w bok głową wpatrywał się w ekran komputera, pocierając brodę. W końcu bez słowa sięgnął do klawiatury, zresetował czas i wcisnął „Play”.

„Lajla? To naprawdę ty? Pamiętasz mnie? Jestem Dżalal. Dżalal Nasser z Londynu...”.

La Courneuve, Francja

Wieczorem czyste niebo stało się już tylko miłym wspomnieniem. Zimny wilgotny wiatr szarpał hidżabem Natalie, gdy szła avenue Leclerc, a gruby nawis chmur nad jej głową przesłaniał księżyc i gwiazdy. Zmienna pogoda nie była rzadkością na północnych przedmieściach, gdyż przeważające tu wiatry południowozachodnie niosły z sobą znacznie chłodniejsze powietrze niż w centrum Paryża. Pogłębiało to nastrój złowieszczej beznadziei, który niczym szary całun ciążył nad majaczącymi na horyzoncie betonowymi wieżami *cités*.

Oczom Natalie ukazała się właśnie jedna z największych budowli w całej dzielnicy. Dwie kolosalne płyty w stylu brutalizmu – jedna wysoka i prostokątna niczym potężna talia kart, druga niższa i dłuższa, jakby dla zapewnienia architektonicznej równowagi. Między tymi dwoma konstrukcjami biegła szeroka promenada wysadzana młodymi drzewkami o zielonych listkach. Grupa kobiet w chustach, w tym część o całkowicie zasłoniętych twarzach, rozmawiała cicho po arabsku, podczas gdy zaledwie metr dalej grupa nastolatków jawnie paliła jointa, świadoma, że patrol francuskiej policji na pewno się nie zjawi. Natalie minęła kobiety, odpowiadając na ich pozdrowienia, i skierowała się w stronę rzędu sklepów u stóp wieżowca. Supermarket, salon

fryzjerski, mała restauracja z potrawami na wynos, optyk, apteka - wszystkie życiowe potrzeby zaspokojone w jednym wygodnym miejscu. Celem projektantów była stworzenie samowystarczalnej utopii dla klas pracujących. Niewielu mieszkańców *banlieues* ryzykowało wyprawę do centrum Paryża, jeśli nie mieli szczęścia, by znaleźć tam pracę. Ale nawet wtedy, jak żartowali, ta krótka podróż, zaledwie dziesięć minut podmiejską szybką kolejką RER, wymagała paszportu i świadectwa szczepień.

Natalie skręciła w stronę apteki. Na zewnątrz stały dwie modułowe ławy z betonu, które zajmowało kilku Afrykanów w tradycyjnych długich szatach. Przypuszczała, że nie ma jeszcze dziewiętej, ale nie była pewna. Zgodnie z poleceniem nie miała przy sobie żadnych urządzeń elektronicznych, a więc i zegarka na baterie. Jeden z Afrykanów, wysoki smukły mężczyzna o skórze barwy mahoni, zaproponował, by usiadła. Ona jednak uprzejmym gestem dała mu do zrozumienia, że woli stać. Patrzyła na wieczorny ruch mknących bulwarem pojazdów, na okryte chustami kobiety gawędzące cicho po arabsku i na grupę nastolatków, teraz już wyraźnie naćpanych, którzy z kolei mierzyli ją niechętnym wzrokiem, jakby widzieli prawdę ukrytą pod jej hidżabem. Wciągnęła głęboki oddech, by uspokoić gorączkowy rytm serca. Jestem we Francji, powtarzała sobie raz po raz. Tutaj nic nie może mi się stać.

Minęło kilka minut na tyle długich, że zaczęła się zastanawiać, czy Dżalal Nasser nie zrezygnował. Z tyłu otworzyły się drzwi apteki i wyszedł z nich Francuz, który

wyglądał jak Afrykańczyk z północy kontynentu. Poznała go. Widziała wcześniej, jak ją obserwował. Był jednym z agentów francuskich służb bezpieczeństwa. Bez słowa przeszedł obok i wsunął się na tylne siedzenie podniszczonego renault. Jednocześnie tuż za nim zatrzymał się czarny skuter, wystarczająco duży, by zmieścić dwóch pasażerów. Staął przed apteką niecały metr od niej. Kierowca uniósł wizjer kasku i się uśmiechnął.

- Spóźniłeś się - rzuciła z naganą.

- Dla ścisłości - odparł Dżalal Nasser - to ty przyszłaś za wcześniej.

- Skąd wiesz?

- Bo cię śledziłem.

Wyjął zapasowy kask ze schowka z tyłu pojazdu i jej podał. Natalie niepewnie wzięła go do ręki. Nie uczono jej na farmie w Nahalal, jak zakładać kask na hidżab. Wsunęła go ostrożnie na chustę, zapięła pasek pod brodą i wspięła się na tył pojazdu, który błyskawicznie włączył się do ruchu. Kiedy jak mglisty kształt mknęli kanionami *cités*, objęła Dżalala w pasie, rozpaczliwie się go trzymając. Jestem we Francji, próbowała się uspokoić. Nic nie może mi się tutaj stać. I nagle pojęła swój błąd. Nie jest we Francji. Już nie.

* * *

Nieco wcześniej tego popołudnia w eleganckim salonie Château Treville odbyła się gorączkowa dyskusja dotycząca nadzoru nad tym wieczornym spotkaniem. Gabriel, być może pod ciężarem odpowiedzialności szefa, domagał się

wzmoczonej obserwacji swej agentki, zarówno w formie fizycznej, jak i elektronicznej. Jedynie Eli Lavon odważył się sprzeciwić jego stanowisku, znał bowiem nie tylko korzyści, lecz i pułapki prewencji. Najwyraźniej, argumentował, Dżalal Nasser postanowił sprawdzić potencjalną kandydatkę, zanim powierzy jej swą duszę dżihadysty. Jeśli odkryje, że pojawiła się z obstawą, cała operacja się zakończy, nim się rozpoczęła. Wyposażenie Natalie w jakiegokolwiek urządzenia lokacyjne jego zdaniem również nie wchodziło w rachubę, gdyż techniczne służby ISIS i Al-Kaidy bez trudu to wykryją.

Wybuchł zaciekły, choć braterski spór. Podniesionym głosem towarzyszyła wymiana ostrych słów, a w pewnej chwili nad głową Lavona przeleciał banan. Lavon później orzekł, że błyskawiczny atak Gabriela, choć efektowny, był bezowocny. W końcu jednak stanęło na opinii Lavona, choćby tylko dlatego, że Gabriel czuł swym operacyjnym instynktem, że jego stary przyjaciel ma rację. Wielkodusznie się poddał, co jednak nie znaczyło, że przestał się martwić o los swej agentki, którą wysłał samotnie na to spotkanie. Mimo niegroźnego wyglądu Dżalal Nasser był przecież bezwzględny fanatycznym dżihadystą i organizatorem dwóch potężnych ataków terrorystycznych. Natalie zaś, przy całej swej inteligencji i wyszkoleniu, jest jedynie Żydówką, która dobrze zna arabski.

Tak więc gdy dwie minuty po dziewiątej wspięła się na skuter Dżalala Nassera, obserwowały ich tylko oczy Francuzów, i to z bezpiecznej odległości. Przez pewien czas podążało za nimi podniszczone renault, by w końcu ustąpić

miejsca Citroënowi. Ale i ten niebawem przerwał akcję, pozostawiając dalszą obserwację tylko oczom kamer. Tropiły ich w drodze na północ, gdy mijali lotniska Le Bourget i Charles'a de Gaulle'a, a także gdy skręcili na wschód, zostawiając za sobą wioski Thieux i Juilly. Jednak o dziewiętej dwadzieścia Paul Rousseau zadzwonił do Gabriela z informacją, że obiekt zniknął z ich radarów.

Od tej chwili dla Gabriela i jego zespołu zaczęło się kolejne długie czekanie. Mordechaj i Oded wdali się w zacieklą potyczkę nad stołem ping-pongowym, Michaił z Lavonem rozpoczęli brawurową partię szachów, natomiast Jossi i Rimona włączyli telewizor, by obejrzeć jakiś amerykański film. Tylko Gabriel i Dina nie podjęli zwyczajnych czynności. On nerwowo przemierzał ścieżki ciemnego ogrodu, udręczony przez własną wyobraźnię, ona zaś siedziała samotnie w naprędce zorganizowanym centrum operacyjnym,

wpatrując się w ciemny ekran komputera. Cierpiała. I oddałaby wszystko, by znaleźć się na miejscu Natalie.

* * *

Zostawili za sobą ostatnie z paryskich przedmieść i przez godzinę jechali wśród sennych pól uprawnych i pocztówkowych wiosek, na pozór bez celu i przyczyny. A może nawet trwało to dwie godziny? Natalie nie była pewna. Jej świat się zawęził, ograniczył do szerokich ramion Dżalala, jego kasku i wąskich bioder, do których przyłgnęła w głębokim poczuciu winy, bo przecież myślała o Zijadzie,

którego kochała. Przez pewien czas próbowała zorientować się w okolicy, zapamiętać nazwy miasteczek, które przejeżdżali, i numery dróg. W końcu jednak dała za wygraną i podniosła głowę. Gwiazdy lśniły na czarnym niebie, a świetlisty księżyc sunął nisko nad spokojnym krajobrazem. Miała wrażenie, że wróciła do Francji.

W końcu dotarli na przedmieście niewielkiej miejscowości. Natalie ją знаła. Było to Senlis, starożytne miasto francuskich królów na skraju lasu Chantilly. Dżalal przemknął po brukowanych uliczkach średniowiecznego centrum i zaparkował na jakimś małym podwórzu. Z dwóch stron otaczały je wysokie mury z szarego kamienia, a z trzeciej wznosił się piętrowy budynek z zamkniętymi okiennicami, wewnątrz ciemny i najwyraźniej niezamieszany. Gdzieś w oddali były dzwony kościelne, poza tym jednak w mieście panowała dziwna cisza. Dżalal zsiadł ze skutera i zdjął kask. Natalie zrobiła to samo.

- Hidżab też - mruknął po arabsku.

- Dlaczego?

- Bo to nie jest miejsce dla takich ludzi jak my.

Zdjęła chustę i wsunęła ją w kask. W ciemności Dżalal bacznie się jej przyglądał.

- Coś nie tak?

- Nie, nic, jesteś tylko...

- Co?

- O wiele piękniejsza, niż myślałem. - Zamknął kaski w schowku, po czym wyjął z kieszeni płaszcz przedmiot wielkości staromodnego pagera. - Czy, jak poleciłem, nie masz

przy sobie komórki ani urządzeń elektronicznych?

- Oczywiście, że nie.
- A kart kredytowych?
- Żadnych.
- Pozwól, że sprawdzę.

Metodycznie zaczął przesuwać przyrządem po jej ciele, wzdłuż rąk, nóg i ramion, wokół piersi i bioder, w dół i w górę kręgosłupa.

- Zdałam?

Bez słowa wsunął przyrząd z powrotem do kieszeni.

- Czy naprawdę nazywasz się Dżalal Nasser?
- Jakie to ma znaczenie?
- Dla mnie ma.
- Tak, na imię mam Dżalal.
- Co to za organizacja?

- Pragniemy odbudować kalifat na muzułmańskich ziemiach Bliskiego Wschodu i zapewnić islamską dominację nad resztą świata.

- Jesteś z ISIS...

Nie odpowiadając, odwrócił się i poprowadził ją przez pustą ulicę w stronę dźwięku kościelnych dzwonów.

- Weź mnie pod rękę - szepnął. - I mów po francusku.
- O czym?
- O czymkolwiek, nieważne.

Wsunęła mu więc rękę pod ramię i zaczęła opowiadać o swoim dniu w klinice. Od czasu do czasu potakiwał, z reguły w niewłaściwym momencie, ale ani razu się nie odezwał tym swoim okropnym francuskim. W końcu spytał po arabsku:

- Kim była kobieta, z którą piłaś kawę wczoraj po południu?
- Słucham?
- Kobieta z Café de Flore. Miała hidżab. Kto to jest?
- Od kiedy mnie śledzisz?
- Proszę, odpowiedz na moje pytanie.
- To Mona.
- Mona i...?
- Mona el-Baz. Studiowałyśmy razem medycynę. Teraz mieszka we Frankfurcie.

- I jest Palestynką.
- Konkretnie Egipcjanką.
- Nie wyglądała na Egipcjankę.
- Pochodzi ze starego rodu. Bardzo wysokiego.
- Chciałbym ją poznać.
- Dlaczego?
- Być może mogłaby pomóc naszej sprawie.
- Szkoda trudu. Mona nie myśli tak jak my.

Wydawał się zszokowany.

- To dlaczego się z nią zadajesz?
- A dlaczego ty studiujesz w King's College i żyjesz na ziemi *kuffar*?

Uliczka doprowadziła ich na skwer. Przed małą restauracją stały na bruku stoliki, a z drugiej strony wznosiły się w niebo gotyckie wieże i łuki przyporowe katedry Senlis.

- A ten butik na rue Vavin? - spytał wśród bicia dzwonów. -
Dlaczego tam wróciłaś?
- Zapomniałam karty kredytowej.
- Byłaś czymś zajęta?

- Niezupełnie.
- Zdenerwowana?
- Czym miałabym się denerwować?
- Wiedziałaś, że cię śledzę?
- A śledziłeś?

Na chwilę jego uwagę odwrócił śmiech, który dobiegł od strony stolików przed restauracją. Wziął ją za rękę i gdy dzwony ucichły, przeprowadził przez plac.

- Jak dobrze znasz Koran i hadisy? - spytał zniechęcony.

Oddechnęła z ulgą, gdy zmienił temat. Najwyraźniej nie kwestionował jej tożsamości. Oczywiście nie przyznała, że nawet nie otworzyła Koranu przed pobytem na farmie w dolinie Jezreel. Wyjaśniła natomiast, że jej rodzice mieli świeckie poglądy i dopiero będąc na uniwersytecie, odkryła piękno Koranu.

- Czy słyszałaś o Mahdim? - zapytał. - Tym, którego zważają Zbawicielem?

- Tak, oczywiście. Wedle hadisów ma się pojawić na ziemi jako zwykły człowiek. „Jego imię będzie moim imieniem - zacytowała. - A imię jego ojca imieniem mojego ojca”. Stanie się jednym z nas.

- Bardzo dobrze. Mów dalej.

- Mahdi obejmie rządy na Ziemi do czasu Sądu Ostatecznego, żeby zbawić świat od zła. A wtedy nie będzie już chrześcijan. - Umilkła, po czym dodała: - Ani Żydów.

- A także Izraela.

- Inszallah - usłyszała swój cichy głos.

- Tak. Jeśli taka będzie wola Boga. - Przystanął pośrodku

skweru i z niechęcią spojrział na tonącą w mroku północną fasadę starożytnej katedry. - Wkrótce ten plac będzie wyglądać tak jak Koloseum w Rzymie i Partenon w Atenach. A nasi muzułmańscy przewodnicy wyjaśnią turystom, co się tu kiedyś działo. W tym miejscu *kuffar* odprawiali swe modły, powiedzą. Tu chrzcili potomstwo i tu ich duchowni szeptali magiczne zaklęcia, które miały przemienić chleb i wino w ciało i krew Isy, naszego proroka. Koniec jest bliski, Lajlo. Zegar tyka.

- Chcecie ich zniszczyć?

- Nie będzie to konieczne. Zniszczą się sami, atakując ziemie kalifatu. W syryjskiej wiosce Dabik rozegra się ostateczna bitwa między wojskami Rzymu i armią islamu. Wedle jednego z hadisów „czarne flagi nadciągną ze Wschodu na ramionach mocarnych mężów, długowłosych i długobrodych. A imiona swe wezmą od rodzimych miast”. Wojowników tak nieugiętych jak Zarkawi i Bagdadi. - Odwrócił się i przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Po czym dodał: - I oczywiście ty.

- Ależ ja nie jestem żołnierzem. Nie umiem walczyć.

- Nie pozwalamy naszym kobietom walczyć, Lajlo. A już na pewno nie na polu bitwy. Ale to nie znaczy, że nie możesz zostać żołnierzem.

Stado gawronów sfrunęło hałaśliwie z przypór katedry. Patrzyła na ich czarne sylwetki falujące na niebie niczym czarne flagi mocarnych mężów ze Wschodu. Potem ruszyła za Dżalalem w stronę południowego transeptu katedry. Siwa i wychudła, około siedemdziesięcioletnia kobieta z obsługi

powiedziała, że zamykają świątynię za dziesięć minut. Natalie wzięła broszurę i dołączyła do Dżalala w głównej nawie. Patrzył w stronę jej zachodniej części. Odwróciła wzrok w kierunku przeciwnym, ponad chór, ku głównemu ołtarzowi. Witraże niebotycznych okien tonęły w mroku. Oprócz nich i starej kobiety z obsługi w katedrze nie było nikogo.

- Organizacja, dla której pracuję - zaczął Dżalal, a jego arabski odbijał się cichym echem od filarów i łuków - prowadzi dla państwa islamskiego akcje zagraniczne. Naszym celem jest wciągnięcie Ameryki i jej europejskich sojuszników w wojnę lądową na terenie Syrii, co przyspieszyć mają starannie przeprowadzone akty przemocy. To właśnie nasza siatka przygotowała zamachy w Paryżu i Amsterdamie. Ale planujemy jeszcze wiele innych, niektóre w najbliższym czasie.

Mówił to wszystko, patrząc przed siebie gdzieś w głąb katedry. Natalie odpowiedziała, odwracając się do absydy:

- Co to ma ze mną wspólnego?

- Chciałbym, żebyś dla nas pracowała.

- Nie mogę się angażować w coś takiego jak Paryż czy Amsterdam.

- Co innego mówiłaś mojemu przyjacielowi Nabilowi. Powiedziałaś mu, że chcesz, aby *kuffar* poczuli, co znaczy strach. Powiedziałaś, że chcesz ukarać ich za to, że wspierają Izrael. - Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. - Powiedziałaś, że chcesz pomścić Zijada.

- Widzę, że Nabil powiedział ci również o Zijadzie.

Wyjął z jej rąk broszurę, udając, że coś sprawdza, a potem

poprowadził ją środkiem nawy ku zachodniej fasadzie.

- Wiesz - powiedział - chyba go kiedyś spotkałem.

- Naprawdę? Gdzie?

- Na jakimś spotkaniu z naszymi braćmi w Ammanie. Ze względów bezpieczeństwa nie podawaliśmy sobie prawdziwych danych. - Przerwał i wyciągnął szyję, by spojrzeć na sklepienie. - Ty się boisz, Lajlo. Potrafię to wyczuć.

- Tak - przyznała. - Boję się.

- Dlaczego?

- Bo to nie było serio. Tak tylko mówiłam.

- Czyżbyś była salonową dżihadystką? Naprawdę wolisz nosić transparenty i wykrzykiwać slogany?

- Nie. Tylko nie wyobrażałam sobie, że coś takiego może mnie spotkać.

- To nie jest internet, Lajlo. To dzieje się naprawdę.

- I dlatego się boję.

Kobieta na drugim końcu katedry sygnalizowała, że powinni wychodzić. Dżalal oderwał wzrok od sklepienia i spojrzał Natalie w twarz.

- A jeśli powiem tak? - zapytała.

- Będziesz musiała wyjechać na szkolenie do kalifatu. Załatwimy wszystkie formalności.

- Nie mogę zniknąć na długo.

- Wystarczy nam kilka tygodni.

- A jeśli dowiedzą się o tym władze?

- Zaufaj mi, Lajlo, niczego się nie dowiedzą. Mamy swoje trasy i fałszywe paszporty. Twój pobyt w Syrii pozostanie

naszym sekretem.

- A potem?

- Wrócisz do Francji, do swojej pracy w przychodni.

I będziesz czekać.

- Na co?

Położył jej ręce na ramionach.

- Wiesz, Lajlo, naprawdę masz szczęście. Jesteś przeznaczona do czegoś niezwykle ważnego. Mogę ci tylko zazdrościć.

Uśmiechnęła się mimo woli.

- Moja przyjaciółka Mona powiedziała to samo.

- O co jej chodziło?

- Och, o nic. - Natalie wzruszyła ramionami. - Naprawdę o nic.

Aubervilliers, Francja

Tej nocy nie mogła zasnąć. Przez jakiś czas leżała w łóżku, próbując zapamiętać każde słowo wypowiedziane przez Dżalalę Nasserę. Potem niespokojnie przewracała się w pościeli z głową pękającą od myśli o tym, co ją czeka. Chcąc się od nich oderwać, włączyła jakiś nudny film dokumentalny we francuskiej telewizji, a gdy i to nie pomogło, otworzyła laptop i zaczęła surfować w internecie. Nie wchodziła jednak na strony dżihadystów. Dżalal ostrzegał ją przed tym. Służyła teraz dwóm panom, miała dwóch kochanków. Kiedy w końcu zdołała zamknąć oczy, pojawił się w jej śnie. Nałożył samobójczą kamizelkę na jej nagie ciało i delikatnie ją pocałował. „Naprawdę masz szczęście. Jesteś przeznaczona do czegoś niezwykle ważnego”.

Obudziła się zamroczone, zdenerwowana i z migreną, której żadne leki ani kofeina nie były w stanie osłabić. Litościwy Bóg mógłby jej darować jeden spokojny dzień w przychodni, ale procesja ludzkich cierpień zmuszała ją do biegu z jednego gabinetu do drugiego aż do godziny szóstej wieczorem. Gdy wychodziła z pracy, Roland Girard rzekomo pełniący funkcję dyrektora administracyjnego zaprosił ją na kawę. Uprzejmie pomógł jej wsiąść do swego osobowego peugeota, po czym przez czterdzieści pięć minut zawiał drogą do centrum Paryża milczał. Gdy mijali Musée d'Orsay, jego komórka

zasygnalizowała nadchodzącą wiadomość. Przeczytał ją i ruszył na drugi brzeg Sekwany, kierując się w stronę rue Grenelle w Siódmej Dzielnicy, gdzie skręcił w strzeżoną bramę eleganckiego kremowego budynku. Natalie zerknęła na mosiężną tabliczkę, którą dostrzegła za oknem. Wygrawerowany napis głosił: Société Internationale pour la Littérature Française.

- Wieczór z Balzakiem?

Zgasił silnik i wprowadził ją do środka. W holu dostrzegła Francuza o arabskiej aparycji, który wychodził z apteki w La Courneuve, a na schodach minęła częstego bywalca kawiarni znajdującej się naprzeciwko domu, w którym mieszkała. Najwyższe piętro budynku przypominało bank po godzinach pracy. Kobieta o surowej twarzy siedziała za starannie uporządkowanym biurkiem, a w przyległym pokoju mężczyzna w eleganckim garniturze wpatrywał się w komputer, jakby ten odmawiał współpracy. W przeszklonym pokoju konferencyjnym czekali dwaj mężczyźni. Jeden, w wymiętym blezerze, palił fajkę. Drugim był Gabriel.

- Lajlo - powitał ją oficjalnie - cieszę się, że znów cię widzę. Dobrze wyglądasz. Może na trochę zmęczoną, ale dobrze.

- To była trudna noc.

- Dla nas wszystkich. Odetchnęliśmy z ulgą, widząc, jak ten skuter staje przed twoim domem. - Gabriel wolno wstał zza stołu. - Mam nadzieję, że twoją rozmowa z Dżalalem Nasserem przebiegła pomyślnie.

- Bardzo.

- Ma wobec ciebie jakieś plany?

- Tak, myślę, że ma.

- Z powodu środków ostrożności, które wymusił, nie mogliśmy nagrać tej rozmowy. Mam nadzieję, że zrobiłaś to za nas. Oczywiście w pamięci.

- Myślę, że tak.

- To ważne, żebyś powtórzyła wszystko, co powiedział. I dokładnie tak, jak powiedział. Potrafisz to zrobić, Lajlo?

Skinęła głową.

- Dobrze. - Gabriel uśmiechnął się po raz pierwszy. - Proszę, usiądź i zacznij od początku. Co powiedział, kiedy zobaczył cię pod apteką? Czy coś mówił w czasie jazdy? Gdzie cię zawiózł i jaką trasą? Powiedz nam wszystko, co możesz. Nawet najmniejszy szczegół jest ważny.

Usiadła na wskazanym miejscu, wygładziła hidżab i zaczęła mówić. Po chwili Gabriel sięgnął przez stół i przerwał jej, kładąc rękę na jej dłoni.

- Czy zrobiłam coś źle? - spytała.

- Robisz wszystko wspaniale, Lajlo. Ale proszę, zacznij znów od początku. I tym razem - dodał - wolałbym, żebyś mówiła po francusku, nie po arabsku.

* * *

To w trakcie tego spotkania uświadomili sobie pierwszy poważny problem operacyjny. Dowiedzieli się bowiem, że w murach starożytnej katedry w Senlis Dżalal Nasser, człowiek Saladyna w Europie Zachodniej, zapowiedział dalsze zamachy, i to niebawem. Paul Rousseau oświadczył, że w tej sytuacji muszą poinformować o wszystkim ministra jego

resortu, a także, być może, Brytyjczyków. Celem ich operacji, ciągnął, jest likwidacja siatki terrorystycznej. Współpracując z MI5, mogliby aresztować Dżalala Nassera, poddać go przesłuchaniu, poznać jego plany i zgarnąć współpracowników.

- I tyle? - spytał Gabriel. - Sprawa zamknięta?

- Na to wszystko wskazuje.

- A co, jeśli Nasser nie pęknie w uprzejmym śledztwie, jakie go czeka w Londynie? Co, jeśli nie wyjawí swych planów i nazwisk współpracowników? Co, jeśli zdołali utworzyć równoległe siatki i komórki, żeby w razie zwinięcia jednej przetrwały inne? - Przerwał, po czym dodał: - I co z Saladynem?

Rousseau przyznał mu rację. Ale w kwestii powiadomienia władz, czyli swego szefa i ministra, któremu podlegał, był nieustępliwy. I tak oto o godzinie dziesiątej trzydzieści wieczorem Gabriel Allon, człowiek, który ongiś bezkarnie przeprowadził na francuskiej ziemi brutalną operację, znacząc martwymi ciałami szlak od Paryża po Marsylię, wszedł do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych u boku dowódcy Grupy Alfa. Minister czekał już w swym wytwornym gabinecie wraz z szefem francuskich służb bezpieczeństwa oraz Alainem Lambertem, swoim pomocnikiem, protokolantem, degustatorem i człowiekiem do wszystkiego. Lambert wyszedł w tym celu z przyjęcia, a minister z łóżka. Z ociąganiem podał Gabrielowi dłoń, jakby w obawie, że się czymś zarazi. Natomiast Lambert wyraźnie unikał wzroku Izraelczyka.

- Jak poważne jest zagrożenie kolejnym atakiem? - spytał

minister, gdy Rousseau przedstawił swój raport.

- Bardzo poważne - odparł szef Grupy Alfa.
- Czy kolejny zamach ma nastąpić we Francji?
- Nie umiemy powiedzieć.
- A co umiecie powiedzieć?

- Że nasza agentka przeszła pomyślnie rekrutację i zaproszono ją na szkolenie w Syrii.

- Nasza agentka? - Minister pokręcił głową. - Nie, Paul, ona nie jest naszą agentką. - Po czym wskazał na Gabriela. - Ona należy do niego.

W pokoju zapadła cisza,

- Czy nadal się nie wycofała? - spytał po chwili minister.
- Nie.

- A pan, monsieur Allon? Dalej chce ją pan tam wysłać?

- Najlepszym sposobem odkrycia czasu i miejsca następnego ataku jest wprowadzenie do siatki naszego agenta.

- Zakładam, że pańska odpowiedź brzmi „tak”.

Gabriel posępnie przytaknął. Minister udał, że się namyśla.

- Jakiego typu nadzorem objęliście tego Nassera?

- Fizycznym i elektronicznym.

- Ale on kontaktuje się szyfrem?

- Zgadza się.

- A więc może wydać rozkaz ataku, a my nie będziemy mieć o tym pojęcia.

- To niewykluczone - przyznał ostrożnie Gabriel.

- A Brytyjczycy? Nic nie wiedzą o jego działalności?

- Tak się wydaje.

- Nie odważyłbym się pana pouczać w kwestiach

zawodowych, monsieur Allon, ale gdyby to mój agent miał wyjechać do Syrii, wolałbym, żeby Brytyjczycy nie aresztowali człowieka, który go tam wysłał.

Gabriel nie sprzeciwił się ministrowi głównie dlatego, że od pewnego czasu żywił podobne obawy. Dlatego też nazajutrz późnym rankiem przekroczył Kanał, by poinformować Grahama Seymoura, szefa brytyjskiego wywiadu, czyli MI6, że Biuro prowadzi obserwację wysokiej rangi agenta ISIS, który mieszka we wschodniolondyńskiej dzielnicy Bethnal Green. Zgodnie z przewidywaniami Seymour był zbulwersowany, podobnie jak Amanda Wallace, szefowa MI5, która usłyszała to samo godzinę później w siedzibie brytyjskich służb bezpieczeństwa na przeciwległym brzegu Tamizy. Za karę Gabriel musiał wyrazić zgodę na bierne uczestnictwo brytyjskich służb w swojej operacji. Pomyślał, że do pełnej katastrofy brakuje jeszcze tylko Amerykanów.

Kobieta występująca teraz jako doktor Lajla Hadawi nie była świadoma rozpętanej wokół siebie wojny służb międzynarodowych. Zajmowała się w przychodni pacjentami, w wolnym czasie odwiedzała kafejkę naprzeciwko swego domu, a od czasu do czasu wybierała się do centrum Paryża po zakupy lub po prostu na przechadzkę. Stosując się do instrukcji, przestała przeglądać w internecie strony islamskiego ekstremizmu. Nigdy też nie dyskutowała z kolegami czy znajomymi na temat swych poglądów politycznych. Ostatnio mówiła głównie o wakacjach, które zamierzała spędzić w Grecji z przyjaciółką ze studiów. Przesyłka zawierająca bilety i rezerwację hotelu nadeszła trzy

dni przed jej wyjazdem. Wszystko załatwił agent londyńskiego biura podróży, Faruk Ghazi. Doktor Hadawi nie wniosła żadnych opłat.

Z chwilą nadejścia przesyłki Gabriel i pozostali członkowie zespołu weszli na ścieżkę wojenną. Nie bacząc na nikogo, załatwili formalności wyjazdowe – oczywiście za pośrednictwem bulwaru Króla Saula – i nazajutrz wczesnym rankiem pierwsi z nich dyskretnie wyruszyli na swe stanowiska. Jedynie Eli Lavon pozostał w Seraincourt, by towarzyszyć Gabrielowi, czego miał później żałować, gdyż jego stary przyjaciel szalał ze zdenerwowania.

Czuwał nad Natalie jak rodzic nad chorym dzieckiem, wypatrując wszelkich oznak przygnębienia, przyczyn zmiany nastroju i zachowania. Ona jednak, jeśli nawet się bała, nie dawała temu wyrazu. Nawet ostatniego wieczoru, gdy wysłał ją do jaskini Paula Rousseau przy rue Grenelle na końcową odprawę, zachowała spokój. A gdy po raz ostatni spytał, czy nie zmieniła zdania, tylko się uśmiechnęła. Potem napisała list przeznaczony dla rodziców na wypadek swojej śmierci. Dość wymowne, że Gabriel nie odmówił, gdy mu go wręczyła. Umieścił list w zapieczętowanej kopercie i schował ją w kieszeni na piersi marynarki. Miała tam pozostać do dnia, gdy Natalie powróci z Syrii.

ISIS dostarczało na ogół ochotnikom z Europy szczegółową listę rzeczy potrzebnych do podróży. Ale doktor Lajla Hadawi nie była zwykłą ochotniczką, toteż z premedytacją spakowała letnie sukienki, jakie noszą rozwiązłe Europejki, skąpe stroje kąpielowe i erotyczną bieliznę. Rankiem ubrała się jak

nabożna muzułmanka, starannie nałożyła i zawiązała chustę, po czym, ciągnąc walizkę na kółkach, wyruszyła cichym ulicami Aubervilliers na stację szybkiej kolejki RER. Podróż na lotnisko Charles'a de Gaulle'a trwała dziesięć minut. Po wyjątkowo dokładnej kontroli bezpieczeństwa weszła na pokład samolotu Air France lecącego do Aten. Po przeciwnej stronie przejścia siedział mały człowieczek o nijakiej twarzy. Wyglądał, jakby się wybierał na konferencję jednej z pięciuset najbogatszych firm wedle rankingu magazynu „Fortune”. Natalie, uśmiechając się do siebie, patrzyła przez okno, jak Francja znika w dole pod chmurami. Nie była sama. Jeszcze nie.

* * *

Tak się złożyło, że dzień, w którym opuszczała Paryż, obfitował w szczególnie drastyczne wydarzenia na Bliskim Wschodzie, nawet przyjmując tamtejsze krwawe standardy. W Syrii dokonano egzekucji przez ścięcia i spalenia, w Bagdadzie nastąpiły równoległe liczne samobójcze zamachy bombowe, w Kabulu atak talibów, w Jemenie wznowiono walki, w Jerozolimie i Tel Awiwie kilku cywili zginęło w atakach nożowników, a na plaży w Tunezji zachodni turyści zginęli od kul i granatów terrorystów. Łatwo więc zrozumieć, że starcie stosunkowo nielicznej grupy islamskich bojowników z jordańską policją nie zwróciło większej uwagi. Incydent miał miejsce o dziesiątej piętnaście rano w okolicy miasta Arramsa, zaledwie kilka metrów od syryjskiej granicy. Islamiści, których było czterech, zginęli podczas krótkiej wymiany ognia.

Jeden z nich został później zidentyfikowany jako Nabil Awad, dwudziestoczteroletni obywatel Jordanii zamieszkały w Brukseli w dzielnicy Molenbeek.

W oświadczeniu podanym w mediach społecznościowych ISIS potwierdziło, że Awad był członkiem tej organizacji i odegrał ważną rolę w przygotowaniu zamachów w Paryżu i Amsterdamie. Ogłoszono go świętym męczennikiem, jednocześnie zapewniając, że w odwecie za jego śmierć „popłynie rzeka krwi”. Ostateczna rozprawa, jak zapowiadano, dokona się w miejscu o nazwie Dabik.

Santorini, Grecja

Doktor Lajla Hadawi zrzuciła hidżab w toalecie na lotnisku w Atenach dziesięć minut po przejściu przez kontrolę paszportową. Zdjęła również strój pobożnej muzułmanki i przebrała się w białe spodnie odsłaniające kostki stóp oraz płaskie złote sandały ukazujące jej świeżo polakierowane paznokcie. Czekać na kolejny lot, poszła do baru i po raz pierwszy od chwili rekrutacji zamówiła alkohol – dwa kieliszki białego cierpkiego greckiego wina. Gdy wchodziła na pokład samolotu, który odlatywał o trzeciej piętnaście na Santorini, zapomniała o strachu. Teraz Syria była dla niej jedynie niespokojnym miejscem na mapie, a ISIS żoną Ozyrysa, przyjaciela niewolników i grzeszników oraz opiekuna zmarłych.

Lajla Hadawi nigdy nie widziała Santorini, podobnie jak kobieta, która przybrała tożsamość dobrej pani doktor. Patrząc z góry na ostre demoniczne wierzchołki wyspy strzelające w niebo znad brzegów zatopionej kaldery, wręcz zamarła z zachwytu. A gdy wyszła z lotniska na rozgrzany asfalt, ciepło promieni słońca, które padły na jej nagie ramiona, zdało jej się pierwszym pocałunkiem kochanka. Dojechała taksówką do Thiry, po czym ruszyła przez chodnik do hotelu Panorama Boutique. Wchodząc do holu, dostrzegła wysokiego opalonego Anglika, który histerycznie wykrzykiwał

coś do recepcjonistki, podczas gdy stojąca obok niego kobieta o jasnobłond włosach i szerokich biodrach patrzyła na niego z zakłopotaniem. Natalie się uśmiechnęła. Nie była sama. Jeszcze nie.

Dyżur w recepcji pełniła młoda Greczynka. Natalie podeszła i podała swoje nazwisko.

- Ma pani rezerwację dwuosobowego pokoju na dziesięć dni
- powiedziała recepcjonistka po sprawdzeniu zgłoszenia w komputerze. - Wedle naszych danych, drugą osobą w pokoju będzie... panna Szirazi.

- Niestety przyjedzie z opóźnieniem.

- Jakież problemy z lotem?

- Sprawy rodzinne.

- Mam nadzieję, że nic poważnego.

- Nie bardzo.

- Poproszę o paszport.

Podawała przez kontuar swój podniszczony francuski paszport. Jednocześnie Jossi Gawisz i Rimona Stern, którzy zameldowali się pod fałszywymi nazwiskami, z udawanym oburzeniem wypadli z holu. Nawet Natalie z ulgą powitała nagłą ciszę.

- Nie odpowiada im pokój - wyjaśniła recepcjonistka.

- Tak sądziłam.

- Zapewniam, że pani pokój jest piękny.

Odebrała klucz i nie korzystając z oferowanej pomocy, wzięła torbę i skierowała się do pokoju. Miał dwa osobne łóżka i mały balkon wychodzący na kalderę, gdzie na spokojnych wodach kołysały się jak zabawki dwa lśniące bielą jachty. Ostatnie wagary na koszt najbogatszej organizacji

terrorystycznej w historii, pomyślała.

Otworzyła torbę i zaczęła rozpakowywać rzeczy, jakby przygotowywała się na dłuższy pobyt. Do czasu, gdy skończyła, słońce zapadało już za horyzont, rzucając na pokój ogniście pomarańczowe światło. Włożyła paszport do sejfu i zeszła po schodach do baru na tarasie, gdzie tłoczyli się goście hotelowi, głównie przyjezdni z wysp brytyjskich. Wśród nich siedzieli Jossi z Rimoną, już w zdecydowanie lepszym humorze.

Natalie znalazła pusty stolik i zamówiła u gorączkowo biegającej kelnerki kieliszek białego wina. Do baru z wolna wchodzili kolejni goście, w tym smukły mężczyzna o bladej cerze i oczach barwy lodu. Miała nadzieję, że się do niej przysiądzie, on jednak zajął stołek przy barze. Mógł stamtąd wygodnie obserwować taras, udając, że podrywa pewną ładną dziewczynę z Bristolu. Natalie po raz pierwszy usłyszała jego głos, który zaskoczył ją swym wyraźnym rosyjskim akcentem. Znając jednak demografię Izraela, przypuszczała, że mógł być autentyczny.

Tymczasem słońce zaszło za szczyty Thirasii. Niebo okrył mrok, a morze zdawało się czarne. Zerknęła na mężczyznę mówiącego z rosyjskim akcentem, ale ten był zajęty czymś innym. Odwróciła się więc w drugą stronę i wbiła wzrok w ciemność.

Uprzedzono ją, że ktoś po nią przyjdzie, ale w tym momencie i tym miejscu jedynym człowiekiem, którego chciała mieć obok siebie, był mężczyzna przy barze.

* * *

Przez następne trzy dni doktor Lajla Hadawi zachowywała się jak zwyczajna samotna turystka. Samotnie jadła śniadanie w hotelowej jadalni, smażyła się w słońcu na czarnej plaży w Perissie, spacerowała brzegiem kaldery, zwiedzała zabytki archeologiczne i geologiczne, a o zachodzie słońca sączyła wino na tarasie. Była to mała wyspa, nic więc dziwnego, że spotykała gości ze swego hotelu w różnych jej częściach. Spędziła uciążliwy poranek na plaży w zasięgu głosu łysiejącego Anglika oraz jego małżonki o rubensowskich kształtach, a gdy zwiedzała wykopaliska w Akrotiri, wpadła na bladego Rosjanina, który ostentacyjnie ją zignorował. Nazajutrz, czwartego dnia jej pobytu na wyspie, robiąc zakupy w Thirze, spostrzegła ładną dziewczynę z Bristolu. Gdy doktor Hadawi wychodziła z butików ze strojami plażowymi, ładna dziewczyna czekała w wąskiej uliczce na zewnątrz.

- Mieszkamy w tym samym hotelu - powiedziała.

- Tak mi się zdaje.

- Jestem Miranda Ward.

Doktor Lajla Hadawi wyciągnęła rękę i też się przedstawiła.

- Jakie ładne imię! Może byśmy poszły gdzieś na drinka?

- Właśnie wracam do hotelu.

- Nie wytrzymuję już towarzystwa w naszym barze. Sami cholerni Anglicy. Zwłaszcza ten łysy typ z tą swoją pękatą żoną. Boże, co za nudziarze! Chyba ich zamorduję, jeśli znów zaczną narzekać na obsługę.

- No to chodźmy gdzie indziej.

- Dobry pomysł.

- Gdzie?
- Byłaś w Tango?
- Chyba nie.
- To jest tam.

Złapała Natalie pod ramię, jakby w obawie, że ta zrezygnuje, i poprowadziła ją w cień uliczki. Była szczupła, jasnowłosa i piegowata, pachniała czereśniowym cukierkiem i kokosem. Jej sandały uderzały w bruk tak głośno jak policzek wymierzony za niewierność.

- Jesteś Francuzką - odezwała się nagle tonem, w którym brzmiało oskarżenie.

- Tak.
- Rodowitą Francuzką?
- Moja rodzina pochodzi z Palestyny.
- Rozumiem. To smutne.
- Dlaczego?
- No bo cała ta sprawa z uchodźcami... I ci Izraelczycy!

Straszne typy.

Doktor Hadawi uśmiechnęła się, lecz nie odpowiedziała.

- Przyjechałaś tu sama? - spytała Miranda.
- Plan był inny, ale tak się skończyło.
- Dlaczego?
- Osoba, która miała mi towarzyszyć, zrezygnowała w ostatniej chwili.

- Tak było i ze mną. Rzucił mnie dla innej.
- W takim razie jest idiotą.
- Muszę jednak przyznać, że był boski. Jesteśmy na miejscu. Tango ożywało dopiero znacznie później. Minęły puste,

podobne do jaskini wewnątrz i wyszły na taras. Natalie zamówiła kieliszek lokalnego białego wina, Miranda Ward koktajl z wódki i martini. Wypiła łyk, skrzywiła się i odstawiła szklanekę na stół.

- Nie smakuje ci? - zdziwiła się Natalie.
- W gruncie rzeczy nie tykam alkoholu.
- Naprawdę? Więc dlaczego zaprosiłaś mnie na drinka?
- Chciałam zamienić z tobą kilka słów na osobności. - Uśmiechnęła się. - To właśnie na mnie czekasz, Lajlo. Jestem przyjaciółką Dżalala.

* * *

Wróciły razem do hotelu i poinformowały recepcjonistkę, że zamierzają wybrać się do Turcji. Nie, nie potrzebują pomocy w rezerwacji biletów na prom. Ktoś już to za nie zrobił. Owszem, zatrzymują pokoje. Wyjeżdżają na krótko. Następnie doktor Hadawi wróciła do siebie i spakowała rzeczy.

Potem wysłała esemesa do swojego „ojca”, zawiadamiając go o dalszych planach. Z miejsca nadeszła odpowiedź, w której „ojciec” błagał, by była ostrożna. A chwilę później kolejna:

„Jak się czujesz?”.

Natalie wahała się przez chwilę, po czym wystukała:

„Samotnie, ale dobrze”.

„Potrzebujesz towarzystwa?”.

Znów nastąpiło wahanie, po czym trzykrotne kliknięcie w klawiaturę.

„Tak”.

Nie doczekała się odpowiedzi. Zeszła na taras,

spodziewając się, że ujrzy Mirandę Ward. Nigdzie jej jednak nie było. Wysoki blady Rosjanin zajmował swoje zwykłe miejsce przy barze, gdzie podrywał nową ofiarę. Natalie usiadła tyłem do niego, by wypić ostatni kieliszek wina przed długą przerwą. Gdy skończyła, kelnerka przyniosła następną.

- Niczego nie zamawiałam.

- To on zapłacił. - Kelnerka spojrzała w stronę baru, a potem wręczyła jej wąski pasek papieru, złożony w pół. - To też od niego. Chyba masz dziś pecha.

Gdy odeszła, Natalie przeczytała karteczkę. Uśmiechając się, wychyliła drugi kieliszek, wsunęła liścik do torebki i wyszła, nie patrząc na odrażającą postać przy barze. Po powrocie do pokoju szybko wzięła prysznic, powiesiła na klamce tabliczkę „Do not disturb” i zgasiła światło. Potem siedziała w ciemnościach i czekała na pukanie. Rozległo się dwadzieścia minut po dziesiątej. Gdy uchyliła drzwi, wszedł cicho jak nocny złodziej.

- Proszę - jęknęła, padając mu w ramiona - powiedz mi, że chcę wrócić do domu. Powiedz, że nie mogę tego zrobić. Powiedz, że umieram ze strachu.

Santorini, Grecja

- Jak się naprawdę nazywasz? - zapytała.
- Kierownictwo hotelu Panorama sądzi, że Michael Danilov.
- To prawda?
- Mniej więcej. - Stał przed drzwiami balkonowymi. Światło księżycy padało na jego bladą twarz. - A pani, doktor Hadawi, nie powinna zapraszać do pokoju takiego mężczyzny jak ja.
- Nie przyszłoby mi to na myśl, panie Danilov. Powiedziałam tylko, że potrzebuję towarzystwa. Mogli zamiast pana przysłać mi tę kobietę.
- No to ma pani szczęście, bo empatia nie jest jej mocną stroną. - Lekko obrócił głowę, by w ciemności zobaczyć jej oczy. - Wszyscy się denerwujemy przed poważną operacją, zwłaszcza gdy rozgrywa się w miejscach, gdzie nie ma ambasady na wypadek, gdyby coś się skomplikowało. Ale wierzymy w naszą misję i się nie cofamy. Tacy już jesteśmy.
- Nie jestem taka jak ty.
- W gruncie rzeczy jesteśmy bardziej podobni, niż ci się wydaje.
- Czym się dokładnie zajmujesz?
- Czymś, o czym nigdy nie mówimy.
- Zabijasz ludzi?
- Likwiduję zagrożenia dla naszego bezpieczeństwa. A w noc przed dużą operacją zawsze się boję, że to mnie

zlikwidują.

- Ale się nie cofasz.

Odwrócił wzrok i zmienił temat.

- A więc to ponętna panna Ward ma cię przeprowadzić na drugą stronę.

- Nie wydajesz się zaskoczony.

- Bo nie jestem. Czy podała ci trasę?

- Z Santorini na Kos, a z Kos do Bodrum.

- Dwie młode kobiety na urlopie... Bardzo sprytne. -
Odwrócił się, rzucając ostatecznie słowa w mrok. - Musi cię
wysoko oceniać.

- Kto?

- Saladyn.

Zza drzwi dobiegły ich z korytarza głosy pijanych Anglików.
Gdy znów zapadła cisza, spojrział na fosforyzującą tarczę
swego zegarka.

- Prom na Kos odchodzi wcześniej rano. Powinnaś się
zdrzemnąć.

- Zdrzemnąć? Chyba nie mówisz serio!

- To ważne. Jutro czeka cię długi dzień.

Zasunął rolety, pogrążając pokój w kompletnej ciemności,
i ruszył w stronę drzwi.

- Proszę, nie odchodź - wyszeptała.

- Muszę.

- Nie chcę być sama.

Po chwili wahania siadł na łóżku, oparł się o wezglowie
i wyciągnął swoje długie nogi. Umieściła poduszkę na
wysokości jego bioder i położyła na niej głowę. Okrył ją

cienkim kocem i odsunął włosy z jej twarzy.

- Zamknij oczy.
- Są zamknięte.
- Nie, nie są.
- Widzisz po ciemku?
- Nawet bardzo dobrze.
- Przynajmniej zdejmij buty.
- Lubię w nich sypiać.
- Chyba żartujesz.

Ale jego milczenie mówiło, że nie. Cicho się roześmiała i ponownie zapytała, jak się nazywa. Tym razem odpowiedź była prawdziwa. Nazywał się Michaił Abramow.

- Kiedy przyjechałeś do Izraela?
 - Miałem wtedy kilkanaście lat.
 - Z jakiego powodu twoja rodzina wyjechała z Rosji?
 - Z tego samego, z jakiego twoja opuściła Francję.
 - Może rzeczywiście tak bardzo się nie różnimy.
 - Już to mówiłem.
 - Nie jesteś żonaty, prawda? Nie mogłabym...
 - Nie jestem.
 - Masz dziewczynę?
 - Już nie.
 - Co się stało?
 - W tym fachu niełatwo utrzymać trwałą związek. Wkrótce sama się przekonasz.
 - Nie zamierzam wiązać się z Biurem, kiedy to się skończy.
 - Skoro tak mówisz...
- Położył dłoń na jej plecach i delikatnie zaczął masować

palcami kręgosłup.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że dobrze to robisz?

- Zamknij oczy.

Uśluchoła, ale nie dlatego, że nagle ogarnęła ją senność. Jego dotyk wyzwolił w niej nagły impuls elektryczny, który przeszył ją na wskroś. Objęła ramieniem jego uda. Palce na moment zamarły, by po chwili znów przesunąć się wzdłuż jej kręgosłupa.

- Jak myślisz? Moglibyśmy spotkać się na drinka, kiedy będzie po wszystkim? - zapytała. - Czy to niedozwolone?

- Zamknij oczy - powiedział tylko.

Palce na jej kręgosłupie zsunęły się kilka centymetrów niżej. Położyła dłoń płasko na jego udzie i delikatnie je ścisnęła.

- Nie - powiedział, po czym dodał: - Nie teraz.

Odsunęła rękę i podłożyła ją pod brodę, podczas gdy jego palce wędrowały wzdłuż jej pleców. Z wolna ogarniała ją senność, z którą usiłowała walczyć.

- Powiedz mu, że nie dam sobie rady - wymamrotała. - Powiedz, że chcę wrócić do domu.

- Śpij, Lajlo - wyszeptał łagodnie, i zasnęła. Kiedy się rankiem zbudziła, jego już nie było.

* * *

Geometryczne domki Thiry wciąż kąpały się w różowym blasku wschodu, gdy o siódmej piętnaście Natalie i Miranda Ward wyszły na cichą ulicę. Ciągnąc za sobą walizki na kółkach, dotarły do najbliższego postoju taksówek, gdzie polecily kierowcy, by zawiózł je wybrzeżem na przystań

promową w Athinios. Podróż na wschód, gdzie leżała wyspa Kos, trwała cztery i pół godziny. Spędziły ją na skąpanym w słońcu pokładzie widokowym oraz w okrętowej kawiarni. Zapominając o zasadach, Natalie nerwowo wypatrywała wśród twarzy podróżnych ludzi z Biura, w nadziei, że zobaczy gdzieś Michaiła. Nie rozpoznała jednak nikogo. Wyglądało na to, że została sama.

Po zejściu na ląd musiały czekać godzinę na prom łączący Kos z tureckim portem w Bodrum. Ta podróż była krótsza, gdyż trwała niecałą godzinę, tym razem jednak na obu jej końcach odbywała się szczegółowa kontrola paszportowa. Miranda Ward wręczyła Natalie jakiś belgijski paszport i kazała jej jak najgłębiej schować francuskie dokumenty. Fotografia w belgijskim paszporcie przedstawiała trzydziestokilkuletnią kobietę marokańskiego pochodzenia. Miała ciemne włosy i ciemne oczy, może nie idealne, ale niemal doskonałe.

- Kto to jest? - spytała Natalie.

- To ty - odparła Miranda.

Grecki kontroler paszportów na Kos też tak myślał, podobnie jak jego turecki odpowiednik w Bodrum. Po krótkich oględzinach wbił pieczętkę w paszport i marszcząc brwi, pozwolił Natalie przekroczyć granicę Turcji. Miranda pojawiła się kilka sekund później i wspólnie ruszyły w stronę zatłoczonego parkingu, gdzie rząd taksówek smażył się w parzącym popołudniowym słońcu. Gdzieś rozległ się klakson i z przedniego okna zakurzonego kremowego mercedesa przywołała je gestem czyjaś ręka. Natalie i Miranda wrzuciły

walizki do bagażnika i wsiadły do auta - pierwsza z tyłu, druga z przodu. Natalie otworzyła torebkę, wyjęła z niej swój ulubiony zielony hidżab i starannie go upięła. Maskarada skończona. Znow była Lajlą. Lajlą, która kochała Zijada, Lajlą z Sumajriji.

* * *

Wbrew jej przekonaniu nie odbyła samotnie podróży z Santorini do Bodrum. W pierwszym etapie towarzyszył jej Jakow Rossman, a w drugim Oded. Pstryknął jej nawet zdjęcie w chwili, gdy wsiadała na tył mercedesa, i przesłał je niezwłocznie na bulwar Króla Saula oraz do kryjówki w Seraincourt.

W ciągu kilku minut po opuszczeniu przystani mercedes skierował się na wschód autostradą D330, co wynikało z obserwacji izraelskiego satelity szpiegowskiego Ofek 10. Krótco po godzinie drugiej w nocy dotarł do granicznego miasta Kilis, gdzie satelitarna kamera na podczerwień zarejestrowała, jak dwie kobiece postaci wchodzą do małego domu. Nie były tam długo, bo dokładnie dwie godziny i piętnaście minut. Następnie w obstawie czterech mężczyzn przekroczyły pieszo dziurawą granicę i wsiadły do kolejnego pojazdu w syryjskim mieście Azaz. Tak dotarły na południe do Rakki, nieoficjalnej stolicy kalifatu, gdzie odziane w czerń weszły do budynku mieszkalnego w pobliżu parku Ar-Raszida.

Tymczasem w Paryżu dochodziła czwarta rano. Po bezsennej nocy Gabriel usiadł za kierownicą wynajętego auta i ruszył na lotnisko Charles'a de Gaulle'a, gdzie wsiadł na

pokład samolotu lecącego do Waszyngtonu. Nadszedł czas, by wybrać się do Langley i tym samym dopełnić katastrofy.

N Street, Georgetown

- Rakka? Chyba coś ci się popierdoliło!

Wulgaryzmy nie były specjalnością Adriana Cartera, zwłaszcza te zaczerpnięte z anglosaskiej frazeologii kopulacyjnej. Był synem pastora Kościoła Episkopalnego z Nowej Anglii i uważał ordynarne słownictwo za oznakę bezradności jednostek prymitywnych. Tych zaś, którzy używali go w jego obecności, nawet jeśli to byli potężni politycy, rzadko ponownie zapraszał do swego biura na siódmym piętrze siedziby CIA w Langley.

Carter był szefem Dyrekcji Operacji i pełnił tę funkcję najdłużej w historii CIA. Przez krótki okres po 11 września jego królestwo nazywano Narodową Służbą Wywiadowczą, ale nowy dyrektor, szósty w ciągu dziesięciu lat, postanowił wrócić do starej nazwy. Tak bowiem postępowała agencja, gdy popełniła błąd - zmieniała tabliczki z nazwą i przesuwała biurka. Ślady palców Cartera odcisnęły się na wielu spośród największych błędów CIA, nie tylko nie przewidział on bowiem upadku Związku Radzieckiego, ale podtrzymał również kompromitującą wywiad opinię na temat broni masowego rażenia w Iraku. A jednak przetrwał. Zbyt dużo wiedział. Był nietykalny.

Podobnie jak Paul Rousseau niczym nie przypominał asa wywiadu. Ze swymi zmierzwionymi włosami, staromodnym

wąsem i cichym głosem wyglądał na terapeutę, który spędził życie, wysłuchując spowiedzi na temat miłosnych afer i różnych ułomności. Jego niegroźna powierzchowność, podobnie jak wyjątkowe zdolności językowe, były ważnym atutem zarówno w służbie terenowej, w której wielokrotnie się wyróżnił, jak i w biurowej pracy agencji. Nie tylko przeciwnikom, ale i sojusznikom zdarzało się nie doceniać Cartera. Jednak Gabriel nigdy nie popełnił tego błędu.

W przeszłości blisko współpracowali z sobą w priorytetowych operacjach, w tym jednej z niewielkim udziałem Hannah Weinberg, lecz amerykańskie porozumienie z Iranem w sprawie broni jądrowej zmieniło dynamikę ich relacji. Dawniej Langley i Biuro wspólnie prowadziły dyskretny sabotaż nuklearnych planów Iranu. Teraz jednak Stany, związane warunkami umowy, zobowiązane były do ochrony tego, co pozostało z atomowej infrastruktury Teheranu. Gabriel natomiast nie zamierzał odstąpić od obserwacji Iranu. Postanowił szpiegować do upadłego poczynania tamtejszych władz, by mieć pewność, że nie łamią warunków umowy. Gdyby dostrzegł jakikolwiek dowód, że mułowie nadal wzbogacają uran lub budują systemy przenoszenia broni, doradziłby natychmiast swemu premierowi podjęcie akcji militarnej. I w żadnych okolicznościach nie konsultowałby tego wcześniej ze swym dobrym znajomym i dawnym sojusznikiem, Adrianem Carterem.

- Czy to ich człowiek - spytał go Carter - czy wasz?

- To kobieta - odparł Gabriel. - Jest nasza.

Amerykanin cicho zaklął.

- Może ty naprawdę oszalałeś.

Z termosu na stoliku nalał sobie filiżankę kawy. Stali w jadalni federalnego budynku z czerwonej cegły przy N Street w dzielnicy Georgetown. Był to diament w koronie gęstej sieci kryjówek CIA w Waszyngtonie. Gabriel często bywał tu po 11 września, w okresie ożywionych relacji Biura z Langley. Planował operacje, werbował agentów, a kiedyś, w początkach kadencji ówczesnego amerykańskiego prezydenta, zgodził się wytropić i zlikwidować terrorystę, który legitymował się amerykańskim paszportem. Tak przedstawiały się jego związki z CIA.

Z chęcią podejmował się dla agencji roli sekretnej filii, prowadząc operacje, których Carter nie mógł wykonać ze względów politycznych. Wkrótce jednak Gabriel miał objąć w swym kraju funkcję szefa tajnych służb, co z formalnego punktu widzenia stawiało go wyżej od amerykańskiego partnera. Uważał zresztą po cichu, że tamten o niczym bardziej nie marzy, niż by objąć podobne stanowisko. Uniemożliwiała mu to jednak przeszłość. W miesiącach, które nastąpiły po 11 września 2011 roku, zamykał terrorystów w tajnych więzieniach lub przekazywał do krajów, gdzie stosowano tortury. Sam w trakcie przesłuchań praktykował metody z gatunku tych, z którymi Gabriel zapoznał się dopiero na farmie w północnej Francji. Krótko mówiąc, wykonywał brudną robotę niezbędną dla udaremnienia kolejnego spektaklu Al-Kaidy na amerykańskiej ziemi. Ale od tamtej pory miał za karę pokornie pukać do drzwi mniej zasłużonych od

niego.

- Nie wiedziałem, że Biuro walczy z ISIS.

- Ktoś w końcu musi to zrobić, Adrianie. Czemu więc nie my?

Carter rzucił mu przez ramię gniewne spojrzenie i świadomie nie zaproponował kawy.

- Kiedy ostatnio rozmawiałem z Uzi na temat Syrii, odniosłem wrażenie, że z aprobatą spogląda na tych świrów, które mordują się nawzajem - powiedział. - Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Czy nie tak się mówi w twoim uroczym małym kraju? Dopóki ten reżim, Irańczycy, Hezbollah i sunniccy dżihadyści wybijali się wzajemnie, Biuro spokojnie zasiadało w łoży i z przyjemnością obserwowało spektakl. Nie próbuj nas więc oskarżać, że siedzimy na tyłku i nic nie robimy w sprawie ISIS.

- Uzi nie będzie długo szefem.

- Doszły mnie takie pogłoski - potwierdził Carter. - W rzeczy samej spodziewaliśmy się tej zmiany przed kilkoma miesiącami i byliśmy mocno zdziwieni, słysząc, że Uzi pozostanie na stanowisku przez czas nieokreślony. Zaczęliśmy się nawet zastanawiać, czy wieści o nieszczęśliwej śmierci jego następcy nie są jednak prawdziwe. Ale teraz już znamy rzeczywisty powód, dla którego Uzi nadal jest waszym szefem. Jak się okazuje, jego następcą postanowił przeniknąć do globalnej sieci ISIS, wykorzystując żywego agenta. Cel szlachetny, choć nader niebezpieczny.

Gabriel nie odpowiedział.

- Dla ścisłości wspomnę - ciągnął Carter - że z prawdziwą

ulgą przyjąłem wiadomość, że doniesienia o twojej śmierci były przedwcześnie. Może kiedyś zechcesz mi powiedzieć, czemu to zrobiłeś.

- Może kiedyś - westchnął Gabriel i dodał: - Owszem, z przyjemnością napiję się kawy.

Carter napełnił drugi kubek.

- Myślałem, że masz już dość Syrii po twojej ostatniej operacji - rzekł, wręczając mu kawę. - Ile was to kosztowało? Pewnie z osiem miliardów dolarów?

- Osiem przecinek dwa - potwierdził Gabriel. - Kto by to zresztą liczył.

- Niemało za jedno ludzkie życie.

- To najlepszy interes, jaki kiedykolwiek zrobiłem. Postąpiłbyś tak samo w mojej sytuacji.

- Ale nie byłem w twojej sytuacji - skwitował cierpko Carter - bo nic nam nie powiedziałaś.

- A ty nam nie powiedziałaś, że potajemnie negocjujecie z Irańczykami, prawda, Adrian? Po całej tej robocie, którą wykonaliśmy razem, żeby wstrzymać ich program, po prostu nas wykiwałaś.

- Nie ja was wykiwałem, tylko mój prezydent. Nie tworzę polityki, tylko wykradam sekrety i dokonuję analiz. Zresztą - dodał po chwili namysłu - rzadko się tym teraz zajmuję. Przede wszystkim zabijam terrorystów.

- Za mało.

- Rozumiem, że komentujesz nasz stosunek do ISIS.

- Skoro tak twierdzisz. Najpierw przegapiliście nadciągającą burzę, a potem zrezygnowaliście z peleryn

i parasoli.

- Nie my jedni przeoczyliśmy powstanie ISIS. Wasze Biuro też nie popisało się czujnością.

- Byliśmy wtedy zajęci Iranem. Przypominasz sobie Iran, Adrianie?

Zapadła cisza.

- Nie ciągnijmy tego - odezwał się po chwili Carter. - Zbyt wiele nas łączy, żeby jacyś politycy mogli nas poróżnić.

Była to gałązka oliwna. Gabriel skinął głową na znak, że ją przyjmuje.

- To prawda - przyznał Carter - spóźniliśmy się na imprezę ISIS. Prawdą jest również to, że gdy w końcu dołączyliśmy do niej, omijaliśmy z dala bar i bufet. Widzisz, po latach udziału w podobnych akcjach w końcu poczuliśmy się zmęczeni. Nasz prezydent wyraźnie oświadczył, że ostatnia z nich, ta w Iraku, była zbyt nużąca. I kosztowna. Zarówno ze względu na rozlew amerykańskiej krwi, jak obciążenie budżetu. A także, że nie zamierza angażować się w Syrię, tym bardziej że podważa to oficjalną narrację.

- A jaka to narracja?

- Taka, że nasza reakcja na jedenastego września była przesadna i że terroryzm to kłopot, a nie śmiertelne zagrożenie. Kryje się w niej sugestia, że nie wyjdziemy obronną ręką z kolejnego ataku, skoro poprzedni rzucił na kolana naszą gospodarkę i system transportu. Nie zapominajmy przy tym - dodał - o nieszczęsnej wypowiedzi prezydenta, który porównał ISIS do szkolnej drużyny. Prezydenci nie lubią świadectw własnych błędów.

- Pod tym względem nie różnią się od szpiegów.
- Nie tworzę polityki - powtórzył Carter. - Dostarczam informacji. I w tej chwili widzę groźny obraz tego, z czym mamy się zmierzyć. Paryż i Amsterdam to zaledwie przygrywka do dalszych atrakcji. Ten film wejdzie na ekrany wszystkich kin, również tych w Ameryce.
- Gdybym miał zgadywać - odparł Gabriel - rzekłbym, że stanie się prawdziwym hitem.
- Najbliżsi doradcy prezydenta są w tej sprawie zgodni. Obawiają się, że atak na amerykańskiej ziemi w tak późnym okresie prezydentury odcisnie trwałe ślad na jej ideowej spuściźnie. Wyraźnie polecieli naszej agencji, żeby utrzymywać bestię na dystans przynajmniej do czasu, gdy prezydent po raz ostatni wejdzie na pokład Marine One.
- A zatem radziłbym ci, Adrianie, zabierać się do roboty. Bestia już czyha u waszych bram.
- Mamy tego świadomość. Niestety ta bestia jest odporna na naszą dominację w cyberprzestrzeni. A poza tym nie mamy żywego agenta wewnątrz ISIS. - Carter zamilkł, po czym dodał: - Do tej pory.

Gabriel milczał.

- Dlaczego nie poinformowaliście nas, że zamierzacie infiltrować ich siatkę?
- Bo to nasza operacja.
- Pracujecie sami?
- Mamy partnerów.
- Gdzie?
- W Europie Zachodniej i w naszym regionie.

- Francuzi i Jordańczycy?

- A także Brytyjczycy.

- Brytyjczycy to niezłe aparaty. - Carter zamilkł, po czym podniósł wzrok: - Więc po co tu przyszedłeś?

- Bo nie chciałbym, żebyście zbombardowali pewien dom przy parku Ar-Raszida w centrum Rakki. Albo wystrzelili tam raketę.

- To was będzie kosztować.

- Ile?

Carter się uśmiechnął.

- Dobrze cię znów widzieć, Gabrielu. Zbyt długo cię nie było.

N Street, Georgetown

W Waszyngtonie nastąpiło późne lato, męcząca pora roku, w której większość zasobnych mieszkańców Georgetown ucieka ze swego małego miasteczka do domów w Maine, na Martha's Vineyard lub w góry, do Sun Valley i Aspen. Trudno im się dziwić, myślał Gabriel. Upał był tropikalny. Zastanawiał się też jak zawsze, dlaczego ojcowie założyciele zbudowali stolicę pośrodku malarycznego bagna. Żydzi nie mieli wyjścia. To Jerozolima ich wybrała. Ale dla Amerykanów nie było tłumaczenia.

- Czemu my wciąż chodzimy, Adrianie? Czy nie możemy usiąść w jakimś klimatyzowanym miejscu i jak inni sączyć ten wasz miętowy ulepek?

- Muszę rozprostować nogi, a poza tym myślałem, że upał ci nie szkodzi. No bo cóż to za upał w porównaniu z Doliną Jezreel.

- Widać z jakiegoś powodu kocham Kornwalię. Tam nie ma upałów.

- Wkrótce będą. Langley prognozuje, że w wyniku globalnego ocieplenia południe Anglii stanie się z czasem jednym z największych producentów win.

- Skoro tak twierdzi Langley - odparł Gabriel - to na pewno nic nam nie grozi.

Dotarli do granicy Uniwersytetu Georgetown, kuźni

amerykańskich dyplomatów i przechowałni wielu uśpionych szpiegów. Po wyjściu z agencyjnej kryjówki Gabriel opowiedział Carterowi o swej niewiarygodnej współpracy z Paulem Rousseau oraz Faridem Barakatem, a także o mieszkającym w Londynie szefie operacji ISIS, Dżalalu Nasserze i zamieszkałym w Brukseli Nabilu Awadzie, który werbował kandydatów dla ISIS. Posuwając się wąskim pasem cienia wzdłuż Trzydziestej Siódmej Ulicy, Gabriel relacjonował kolejne fakty. Mówił o tym, jak jego zespół zdjął niepostrzeżenie Nabila Awada z ulicy Molenbeek i jak - wzorem mistrzów wojennego kamuflażu - wciąż utrzymuje ISIS w przekonaniu, że ten żyje. A także, jak dzięki temu przekazali Dżalalowi Nasserowi dane pewnej obiecującej kandydatki z północnego przedmieścia Paryża. ISIS na własny koszt zorganizowało jej wyjazd na Santorini, skąd skierowano ją do Turcji i na koniec przeprowadzono przez syryjską granicę. Nie podał mu danych tej kobiety ani przykrywki, a tym bardziej prawdziwego nazwiska. Powodowany zawodowym taktem Carter o to nie spytał.

- Ta wasza dziewczyna to Żydówka?
- Zgadnij.
- Niech cię Pan Bóg strzeże, Gabrielu.
- Zazwyczaj tak robi.

Carter się uśmiechnął.

- Chyba ta wasza dziewczyna nie używała w sieci nicku Umm Zijad, co?

Gabriel nie zareagował.

- Uznaję to za potwierdzenie.

- Jak się dowiedziałeś?

- Turbulencja - uśmiechnął się Carter.

Gabriel znał to hasło. Turbulencja była supertajnym programem nadzoru. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego nieprzerwanie przeczesywała internet w poszukiwaniu stron nawołujących do agresji, a także czatowni dżihadystów.

- NSA zidentyfikowało ją jako potencjalną terrorystkę wkrótce po tym, jak pojawiła się w sieci - wyjaśnił Carter. - Próbowali zainstalować w jej komputerze program nadzoru, ale okazał się odporny na wszelką ingerencję. Nie potrafili nawet ustalić, gdzie ona jest. Teraz rozumiem dlaczego. - Zerkając bokiem na Gabriela, spytał: - A przy okazji, kto to jest Zijad?

- Jej zabity kochanek.

- Czyli ta twoja dziewczyna jest czarną wdową...

Gabriel skinął głową.

- Sprytne.

Skęcili w P Street i posuwali się teraz wzdłuż wysokiego kamiennego muru otaczającego samotny klasztor. Na chodniku było pusto, pomijając ochronę. Dwaj agenci szli z przodu, dwaj z tyłu.

- Miło ci będzie usłyszeć - ciągnął Carter - że twój nowy przyjaciel Farid Barakat nie zająknął się o tym nawet słowem, kiedy ostatnio rozmawialiśmy. Nie wspomniał też o Saladynie. - Przerwał, po czym dodał: - Sądzę, że taka lojalność kosztuje dziś co najmniej dziesięć milionów dolarów. Czy on istnieje?

- Saladyn? Bez wątplenia, albo ktoś taki jak on. I na pewno nie jest to Syryjczyk.

- Czyżby to ktoś z nas?

- Masz na myśli agenta wywiadu?

- Tak.

- Przypuszczamy, że to ekspracownik Muchabaratu. Nabil Awad też tak uważał.

- Niech spoczywa w spokoju. - Carter zmarszczył czoło. - Czy on naprawdę nie żyje, czy może ta strzelanina to też bluff?

Gabriel wzruszył ramionami na potwierdzenie pierwszej wersji.

- Cieszę się, że ktoś jeszcze umie ostro grać. Gdybym się odważył nieuprzejmie zwrócić do terrorysty, zostałbym oskarżony. Ale jakoś naloty dronów na ich domy i dzieci nikomu nie przeszkadzają.

- Wiesz, Adrianie, czasem żywy terrorysta jest lepszy niż martwy. Może nam wiele powiedzieć, na przykład kiedy i gdzie nastąpi kolejny atak.

- Mój prezydent ma inne zdanie. Uważa, że więzienie terrorystów tylko ich umacnia.

- To sukces ich umacnia, Adrianie. A żaden nie prześcignie ataku na Amerykę.

- Co prowadzi do początku tej rozmowy. - Carter otarł pot spływający mu po szyi. - Nakłonię Pentagon, żeby zachował ostrożność w czasie nalotów w Syrii. W zamian przekażesz nam wszystko, czego dowie się wasza dziewczyna podczas wakacji w Kalifornii.

- Zgoda - odparł Gabriel.

- Zakładam, że francuska armia jest gotowa do akcji.

- I brytyjska - dodał Gabriel.
- Dość dziwnie się czuję, słysząc o tym jako ostatni.
- Witaj w postamerykańskim świecie.

Carter nie odpowiedział.

- A więc żadnych nalotów na ten budynek - rzekł cicho Gabriel. - I zawiść szkolenia do czasu, gdy ona wróci.

- Kiedy się jej spodziewasz?
- Z końcem sierpnia, chyba że Saladyn ma inne plany.
- Oby nie.

W końcu dotarli z powrotem do budynku przy N Street. Carter zatrzymał się u stóp półokrągłych schodów.

- Jak twoje dzieci? - spytał nieoczekiwanie.
- Nie jestem pewny.
- Nie spieprz tego, chłopie. Jesteś za stary, żeby mieć ich więcej.

Gabriel się uśmiechnął.

- Wiesz co - ciągnął Carter - przez jakieś dwanaście godzin naprawdę myślałem, że nie żyjesz. To było paskudne świństwo.

- Nie miałem wyboru.
- Wierzę. - Carter spojrzał mu w oczy. - Ale więcej mnie nie nabieraj. Nie jestem twoim wrogiem. Chcę pomóc.

Rakka, Syria

Już na początku jasno powiedziała Dżalalowi Nasserowi, że może pozostać w Syrii tylko przez określony czas. Musi wrócić do pracy nie później niż trzydziestego sierpnia, gdyż wtedy kończy się jej urlop. Jeśli się nie pojawi, zarówno koledzy jak i rodzina uznają, że spotkało ją coś złego. Przecież udzielała się politycznie i wypowiadała w internecie, a jedyny mężczyzna, którego kochała, oddał życie w imię dżihadu. Ktoś na pewno zgłosi to policji, a ta przekaże sprawę Dyrekcji Generalnej Bezpieczeństwa Wewnętrznego, DGSI, która dołączy jej nazwisko do długiej listy europejskich muzułmanów zasilających szeregi ISIS. W prasie pojawią się liczne opowieści na temat wykształconej kobiety, lekarki, którą uwiódł szerzony przez ISIS kult śmierci. Gdyby tak się stało, nie miałyby innego wyboru niż pozostać na zawsze w Syrii. A przecież nie tego pragnie. Nie teraz. Jej celem jest zemsta. Dąży do tego, by pomścić śmierć Zijada, biorąc udział w ataku na Zachód. Dopiero wtedy, inszallah, powróci do Syrii, poślubi bojownika i urodzi wiele dzieci na chwałę kalifatu.

Dżalal Nasser odparł, że i on tego pragnie. Dlatego była głęboko zdziwiona, gdy przez trzy dni i noce od jej przybycia do Rakki nikt się nią nie zainteresował. Mieszkała w pobliżu parku Ar-Raszida wraz ze swą opiekunką, Mirandą Ward. Miranda nie pierwszy raz odwiedzała Rakkę. Pełniła funkcję

przewodniczki w sekretnym tunelu, którym kierowano brytyjskich muzułmanów ze wschodniego Londynu i środkowej Anglii do Syrii i islamskiego kalifatu. Jej niewinną śliczną twarz wykorzystywano jako wabik i kamuflaż. Eskortowała zarówno mężczyzn, jak i kobiety, udając kochanki lub przyjaciółki. Żartowała, że jest bidżyahadystką.

Pomieszczenie, w którym się znalazły, trudno było uznać za mieszkanie. Koczowały w pustym pokoju ze zlewem na ścianie i kilkoma kocami na gołej podłodze. Przez pojedyncze okno jakby za sprawą osmozy przenikał gęsty kurz, a koce cuchnęły wonią pustynnych zwierząt, wielbłądów i kóz. Czasami z kranu w zlewie ciekła strużka wody, ale na ogół jej nie było. Korzystały zatem z cysterny ustawionej przez ISIS na ulicy, a gdy ta nie przyjeżdżała, nosiły wodę wiadrami z Eufratu. Czas w Rakce cofnął się do siódmego stulecia, duchowo i materialnie.

Prąd włączano najwyżej na kilka minut dziennie, odcięto również gaz do gotowania. Zresztą i tak nie było nic do jedzenia. W kraju, gdzie pieczywo stanowiło podstawę pożywienia, wciąż go brakowało. Każdy dzień zaczynał się od poszukiwań cennego bochenka chleba. Oficjalną walutę kalifatu stanowiły dinary ISIS, ale większość transakcji na targowiskach odbywała się w starych syryjskich funtach lub dolarach. Nawet członkowie ISIS używali waluty swego wroga. Za sugestią Dżalala Nassera Natalie przewiozła z Francji kilkaset dolarów. Pieniądze otwierały wiele drzwi, za którymi znajdowały się magazyny pełne ryżu, fasoli, oliwek, a czasem nawet mięsa. Ci, którzy nie obawiali się *husbah* -

budzącej grozę policji szariatu - kupowali na czarnym rynku papierosy i alkohol. Ale za palenie i picie surowo karano - chłostą i krzyżowaniem, a nierzadkie bywały ścięcia. Natalie widziała, jak *husbah* wymierza jakiemuś mężczyźnie chłostę za to, że przeklinał. To było haram.

Wychodząc na ulice Rakki, miała wrażenie, że wkracza w jakiś obłąkany świat. Sygnalizacja świetlna nie działała z powodu braku energii, toteż ruchem na skrzyżowaniach kierowała policja ISIS. Wyposażono ją w pistolety, lecz nie miała gwizdków, gdyż i te były haram. Fotografie modelek w witrynach sklepów retuszowano stosownie do zasad obyczajowości narzuconej przez ISIS. Zamazywano ich twarze, gdyż przedstawienia ludzi i zwierząt - tworów Boga - oraz zdobienie nimi ścian było również haram. Przeróbce poddano też rzeźbę dwóch wieśniaków na szczycie słynnej wieży zegarowej - po prostu obcięto im głowy. Plac Naeem, ongiś ulubione miejsce dziecięcych zabaw, też był pełen ściętych głów, tyle że nie kamiennych, lecz ludzkich. Ze szpikulców ogrodzenia posępnie spoglądali syryjscy żołnierze, kurdyjscy wojownicy, zdrajcy, sabotażyści i zakładnicy. W odwecie syryjskie siły powietrzne często bombardowały to miejsce. Tak wyglądało życie w islamskim kalifacie. Bomby padały tu na ścięte głowy w parku, gdzie kiedyś bawiły się dzieci.

To był mroczny świat. Tak duchowo, jak i kolorystycznie. Na każdym domu i latarni powiewały czarne flagi, po ulicach paradowali mężczyźni w czarnych strojach ninja, a przez targowiska niczym duchy przesuwwały się kobiety w czarnych

abajach. Natalie dostała abaję wkrótce po przejściu tureckiej granicy. Było to ciężkie szorstkie okrycie, które leżało na niej jak prześcieradło rzucone na mebel. Pod nim nosiła wyłącznie czarną odzież, gdyż wszystkie inne barwy, nawet brąz, były haram i *husbah* mogła ukarać za to chłostą. Burka całkowicie ją zakrywała. Przez zasłonę na twarzy widziała tylko niewyraźne obrazy w ponurych ciemnoszarych barwach. W upalne południa miała wrażenie, że zamknięto ją w piecu, gdzie wolno się przypieka jako przysmak dla ISIS. Z abają wiązało się jeszcze inne zagrożenie. Niewiele widząc sama, łatwo mogła ulec złudzeniu, że i ona jest niewidoczna. Oparła mu się jednak. Pamiętała, że nieustannie ją obserwują.

Jednakże nie tylko ISIS zmieniło obraz Rakki. Syryjskie siły powietrzne i ich rosyjscy wspólnicy prowadzili naloty w dzień, zaś Amerykanie ze swoją koalicją w nocy. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągał się krajobraz zniszczeń – zrujnowane budynki mieszkalne, wraki spalonych aut osobowych i ciężarowych, poczerńiałe czołgi i zdemolowane pojazdy opancerzone.

W odpowiedzi na kampanię powietrzną ISIS rozmieściła swych bojowników oraz arsenał zbrojeniowy wśród ludności cywilnej. Na parterze domu, w którym mieszkała Natalie, zgromadzono naboje do pistoletów i karabinów, a także pociski artyleryjskie, granatniki przeciwpancerne i wszelkiego typu karabiny. Brodaci, czarno odziani bojownicy zainstalowali się na pierwszym i drugim piętrze. Tylko nieliczni pochodzili z Syrii. Przeważali Saudyjczycy, Egipcjanie i Tunezyjczycy. Byli tam również islamiści z Kaukazu o dzikim wejrzeniu,

którzy rwali się do walki z Rosją, a także wielu Europejczyków, w tym trzech Francuzów. Wszyscy oni widzieli Natalie, ale nawet nie próbowali jej zaczepiać. Była poza zasięgiem ich możliwości. Była dziewczyną Saladyna.

Syryjczycy i Rosjanie nie wahali się bombardować celów cywilnych, ale Amerykanie działali z większą precyzją. Wszyscy jednak dostrzegli, że ostatnio rzadziej dokonywali nalotów. Nikt nie wiedział dlaczego, ale każdy to komentował, zwłaszcza zagraniczni ochotnicy, którzy triumfowali, że dekadenska niewierna Ameryka traci wolę walki. Nie podejrzewali nawet, że brak aktywności amerykańskich sił powietrznych wynika z innej przyczyny. I że ta przyczyna mieszka tuż obok, w pokoju z jednym oknem wychodzącym na park Ar-Raszida, gdzie sypia pod kocem cuchnącym kożą i wielbłądem.

Służba zdrowia w Syrii znajdowała się w opłakanym stanie jeszcze przed wybuchem powstania. Teraz jednak, w chaosie spowodowanym wojną domową, niemal przestała istnieć. Narodowy Szpital w Rakce był pozbawioną leków i środków medycznych ruiną przepełnioną rannymi bojownikami ISIS. Nieszczęśni mieszkańcy miasta mogli liczyć jedynie na taką opiekę, jaką oferowały małe okoliczne ośrodki medyczne. Natalie natknęła się na jeden z nich, błędząc w poszukiwaniu chleba, na drugi dzień pobytu w Rakce.

Ujrzała tłum ofiar rosyjskiego bombardowania, wśród nich wielu martwych i konających. Nie było tam lekarza, tylko kierowcy ambulansów i „pielęgniarki” ISIS, które otrzymały zaledwie podstawowe przeszkolenie. Powiedziała więc, że jest

lekarzem, i natychmiast przystąpiła do opatrywania rannych wszelkimi środkami, jakie zdołała znaleźć. Pracowała, nie zdejmując z siebie krępującej ruchy brudnej abai, obawiała się bowiem, że w przeciwnym razie brutalni funkcjonariusze *husbah* ukarzą ją chłostą. Tego wieczoru, gdy w końcu wróciła do pokoju, zmywała z krew, używając wody zaczerpniętej z Eufratu. Rakka była miastem, w którym cofnął się czas.

Wprawdzie w mieszkaniu zdejmowały abaje, ale pozostawały w hidżabach. Chusta Mirandy podkreślała jej delikatne celtyckie rysy i morską zieleń oczu. Tego wieczoru, przygotowując coś do zjedzenia, opowiedziała Natalie o tym, jak przeszła na islam. Jej dzieciństwo było wyjątkowo nieszczęśliwe - z matką alkoholiczką i bezrobotnym prymitywnym ojcem, który molestował córkę. Jako trzynastolatka zaczęła ostro pić i używać narkotyków. Dwukrotnie była w ciąży i dwukrotnie przeszła aborcję.

- Stałam się zupełnym śmieciem - mówiła. - Sięgnęłam dna.

Ale pewnego dnia, pijana, zatrzymała się przypadkiem przed islamską księgarnią w centrum Bristolu. Jakiś muzułmanin zobaczył, że patrzy na wystawę, i zaprosił ją do środka. Odmówiła, ale przyjęła książkę, którą jej dał, nie żądając zapłaty.

- Chciałam ją wyrzucić na najbliższym śmietniku, ale na szczęście tego nie zrobiłam. Bo ta książka zmieniła moje życie.

Przestała pić, używać narkotyków i uprawiać seks z kim popadnie. Potem przeszła na islam, nałożyła chustę i zaczęła się modlić pięć razy dziennie. Jej rodzice, ongiś anglikanie, nie

byli ludźmi wierzącymi, ale mimo to nie chcieli mieć córki muzułmanki. Wyrzucona z domu z jedną walizką i stoma funtami w gotówce wyruszyła do wschodniego Londynu, gdzie przygarnęła ją grupa muzułmanów z Tower Hamlets. Tam też poznała Jordańczyka Dżalala Nasserę, który uświadomił jej piękno dżihadu i męczeństwa. Wstąpiła w szeregi ISIS, potajemnie wyjechała na szkolenie w Syrii i wróciła do Wielkiej Brytanii, niezauważona przez władze. Mówiła o Dżalalu Nasserze z nabożną czcią i zapewne się w nim podkochiwała.

- Jeśli kiedyś będzie miał żony - oświadczyła - mam nadzieję, że zostanę jedną z nich. Ale w tej chwili jest na to zbyt zajęty. Poślubił Saladyna.

Natalie znała to imię, ale doktor Hadawi słyszała je po raz pierwszy. Zareagowała właściwie.

- Kogo? - spytała ostrożnie.

- Saladyna. To przywódca siatki.

- Znasz go?

- Saladyna? - Miranda uśmiechnęła się z rozmarzeniem i pokręciła głową. - Jestem za małą płótką. Tylko członkowie kierownictwa wiedzą, kim on naprawdę jest. Ale kto wie? Może będziesz miała szczęście go poznać.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo mają wobec ciebie wielkie plany.

- Dżalal ci to powiedział?

- Nie musiał.

Ale Natalie nie była przekonana. W rzeczywistości podejrzewała, że jest wręcz przeciwnie i że o niej

zapomniano. Tej nocy, jak i następnych leżała bezsennie na swym kocu, wpatrzona w skrawek nieba w kwadratowym obramowaniu okna. Miasto w nocy spowijała zupełna ciemność, tym silniejszy więc wydawał się blask gwiazd. Wyobrażała sobie, jak szpiegowski satelita Ofek 10 przygląda jej się z góry, obserwując, jak przesuwa się czarnymi ulicami.

W końcu jednak o trzeciej w nocy, tuż przed świtem, usłyszała kroki przed pokojem. Cztery potężne uderzenia wstrząsnęły drzwiami, które stanęły otworem, jakby pchnięte podmuchem eksplozji. Natalie błyskawicznie okryła się abają, zanim jeszcze światło latarki padło na jej twarz.

Zabrali tylko ją. Miranda została. Na ulicy czekał poobijany i zakurzony SUV. Brodaci, czarno odziani bojownicy islamu o dzikim wejrzeniu wepchnęli ją na tylne siedzenie i SUV błyskawicznie ruszył. Patrzyła przez przyciemnione okno i ciemny welon abai na obłąkany świat wokół – na ścięte głowy zatknięte na szpikulcach ogrodzenia, na ciała konające na krzyżach, na fotografie kobiet bez twarzy w sklepowych witrynach. Jestem doktor Lajla Hadawi, powtarzała sobie. Jestem Lajlą, która kocha Zijada, Lajlą z Sumajriji. I wiem, że niedługo umrę.

Wschodnia Syria

Jechali ku wschodzącemu słońcu drogą prostą jak linia i czarną od plam oleju. Ruch był tu niewielki. Raz minęła ich ciężarówka wioząca towar z prowincji Anbar w Iraku, kiedy indziej wieśniak jadący ze swymi produktami na targ w Rakce, a jeszcze innym razem wojskowa ciężarówka wyładowana pijanymi krwią bojownikami, którzy wracali z północy po nocnych walkach. Tak wygląda poranna godzina szczytu w kalifacie, pomyślała Natalie. Od czasu do czasu mijali jakiś spalony czołg lub wóz pancerny. W tym pustym krajobrazie porzucone wraki wyglądały jak insekty pod szkłem powiększającym. Jakaś japońska furgonetka wciąż płonęła, gdy ją mijali, a z tyłu zwęglony bojownik nadal ścisnął skierowany w niebo karabin maszynowy, kaliber .50.

- *Allahu akbar* - mruknął kierowca, a Natalie spod swej czarnej abai odpowiedziała:

- *Allahu akbar*.

Nie miała żadnych punktów odniesienia oprócz słońca, szybkościomierza SUV-a oraz zegara na desce rozdzielczej. Z pozycji słońca wynikało, że po wyjeździe z Rakki kierują się wprost na wschód. Natomiast szybkościomierz i zegar wskazywały, że od siedemdziesięciu minut mkną z szybkością blisko stu czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Rakka leżała jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od granicy z Irakiem.

Starej granicy, szybko się poprawiła, która już nie istniała. Linie wytyczone na mapach przez niewiernych dyplomatów z Londynu i Paryża zostały unieważnione i przekreślone. Zlikwidowano nawet stare syryjskie znaki drogowe.

- *Allahu akbar* - odezwał się kierowca, gdyż znów mijali jakiś płonący wrak. A Nathalie, smażąc się pod swą abają, zawtórowała:

- *Allahu akbar*.

Podążali na wschód przez kolejne dwadzieścia minut. Z każdym kilometrem teren stawał się bardziej wyschnięty i wyludniony. Było jeszcze wcześniej, zegar wskazywał siódmą dwadzieścia, ale dotyk szyby już parzył. W końcu dotarli do małego miasteczka o białych domach z wypalonego słońcem kamienia. Główna ulica była wystarczająco szeroka dla ruchu, a wokół niej w labiryncie ścieżek sennie krążyli w upale nieliczni mieszkańcy: zawoalowane kobiety, mężczyźni w długich szatach i kefijach, bose dzieci. Przy ulicy był targ i mała kawiarnia, gdzie kilku starych mężczyzn o pomarszczonych twarzach słuchało, jak przemawia z nagrania sam kalif Abu Bakr al-Bagdadi. Natalie wypatrywała wszędzie nazwy tej miejscowości, lecz nigdzie jej nie było. Obawiała się, że przekroczyli już niewidoczną granicę i są w Iraku.

Nieoczekiwanie SUV skręcił w sklepioną łukowo bramę i zatrzymał się na podwórzu dużego domu. W cieniu palm daktylowych odpoczywało sześciu islamskich bojowników. Jeden z nich, około dwudziestopięcioletni, ze świeżo zapuszczoną rudawą brodą, otworzył drzwi od strony Natalie

i wprowadził ją do środka. W domu panował chłód, a gdzieś zza ścian dobiegał uspokajający szmer kobiecych głosów. Gdy weszli do pokoju, w którym za wszystkie meble służyły dywany i poduszki, młody człowiek z wątlą brodą zaprosił ją, by usiadła. Zaraz się wycofał, a w drzwiach pojawiła się kobieta w nikabie, niosąc szklanke herbaty. Po chwili i ona znikła, a Natalie została w pokoju sama.

Odsunęła nikab i niepewnie podniosła szklanke do ust. Słodki napój zaczął krążyć w jej krwi jak narkotyk spływający z igły strzykawki. Piła wolno i ostrożnie, by nie oparzyć ust, i jednocześnie patrzyła na cień zbliżający się do niej po dywanie. Gdy dotarł do jej stóp, znów ujrzała kobietę, która tym razem przyszła odebrać pustą szklanke. Chwilę później pokój zadrżał od huku kolejnego pojazdu wjeżdżającego na podwórze. Jednocześnie otworzyło się i zatrzęsnęło czworo drzwi i do domu weszło czterech mężczyzn.

* * *

Nie ulegało wątpliwości, który z nich dowodzi. Był kilka lat starszy od pozostałych, miał bardziej zdecydowane ruchy i spokojny sposób bycia. Trzej młodszy mężczyźni trzymali wielkie automatyczne karabiny, których modelu nie potrafiła określić, natomiast ich dowódca miał tylko pistolet w kaburze na biodrze. Był ubrany na podobieństwo Abu Musaba az-Zarkawiego - w czarny kombinezon, białe adidas i czarną kefię ciasno owinięta wokół dużej głowy. Jego zaniedbana broda z pasmami siwizny zwilgotniała od potu, a brązowe dziwnie łagodne oczy przypominały oczy bin Ladena. Prawą

rękę miał całą, ale w lewej dłoni ocalał tylko kciuk i palec wskazujący, pozostałe zapewne stracił przy budowie bomby. Przez kilka minut spoglądał na nieruchomy czarny kształt skulony na dywanie, a gdy w końcu przemówił, w jego arabskim Natalie rozpoznała iracki akcent.

- Odsłoń twarz.

Nie drgnęła. To było haram. W państwie islamskim kobieta nie pokazuje twarzy mężczyźnie, który nie jest z nią spokrewniony, nawet gdy tym mężczyzną jest ważny Irakijczyk z otoczenia Saladyna.

- W porządku - dodał po chwili. - To konieczne.

Wolno i ostrożnie uniosła woal, wbijając wzrok w dywan.

- Patrz na mnie - rozkazał, a ona posłusznie podniosła oczy. Długo się przyglądał, po czym ujął jej brodę między kciuk i palec wskazujący swej okaleczonej dłoni i obrócił jej twarz z boku na bok, badawczo oglądając profil. Patrzył tak krytycznie, jakby oceniał konia.

- Powiedzieli mi, że jesteś Palestynką.

Skinęła na potwierdzenie głową.

- Wyglądasz jak Żydówka, ale muszę przyznać, że wszyscy Palestyńczycy wyglądają dla mnie jak Żydzi. - Wypowiedział te słowa z pogardą, jaką Arab z pustyni żywi wobec mieszkańców miast, bagien i wybrzeży. - Byłaś w Palestynie? - spytał, wciąż trzymając ją za brodę.

- Nie, nigdy.

- Przecież masz francuski paszport. Mogłaś tam bez trudu pojechać.

- Zbyt bolesne byłoby dla mnie patrzeć na ziemię przodków

w rękach syjonistów.

Wyglądało na to, że odpowiedź go zadowoliła. Skinieniem polecił jej znów zakryć twarz, co przyjęła z ulgą. Pod osłoną obowiązującego ubioru mogła się na chwilę uspokoić. Ukryta w swym czarnym namiocie z twarzą niewidoczną dla nikogo przygotowywała się do przesłuchania, które musiało nastąpić. Łatwość, z jaką historia Lajli znalazła drogę z jej podświadomości do świadomości, zdumiała ją samą. Intensywne szkolenie odniosło skutek. Miała wrażenie, że przypomina sobie wydarzenia, które zaistniały w rzeczywistości. Zapomniała o Natalie Mizrahi. Pogrzebała ją. To Lajla Hadawi przybyła do tej wioski pośrodku pustyni i to ona ufnie oczekiwała na najtrudniejszy egzamin w swym życiu.

Do pokoju znów weszła kobieta, tym razem niosąc herbatę dla wszystkich. Irakijczyk usiadł naprzeciwko Natalie, a trzech pozostali usadowili się za nim, kładąc karabiny w poprzek kolan. Pamięć nasunęła jej obraz skazanego Europejczyka w pomarańczowym kombinezonie. Błady jak śmierć siedział ze związanymi rękami przed ustawionymi niczym chórem, czarno odzianymi egzekutorami o zamaskowanych twarzach. Chroniąc się pod abają, wymazała tę straszliwą scenę z myśli. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że zalewa ją pot. Spływał wzdłuż kręgosłupa i skraplał się między piersiami. Przecież mogę się pocić, uspokajała się w duchu. W końcu jestem rozpieszczoną Paryżanką nienawykłą do upału pustyni. Pokój nie był już chłodny. Dom rozgrzewał się w upale przedpołudnia.

- Jesteś lekarką - przemówił w końcu Irakijczyk, trzymając szklankę z herbatą między kciukiem i palcem wskazującym, podobnie jak chwilę wcześniej ujmował jej twarz. Potwierdziła, manewrując szklanką pod okryciem głowy. Była lekarzem, studiowała na Uniwersytecie Paris- Sud, pracowała w przychodni im. Jacques'a Chiraca na paryskim *banlieue* Aubervilliers. Wyjaśniła również, że Aubervilliers jest przedmieściem głównie muzułmańskim, a większość jej pacjentów to Arabowie z północnej Afryki.

- Tak, wiem - rzekł niecierpliwie Irakijczyk, jasno dając do zrozumienia, że dobrze zna jej życiorys. - Powiedziano mi, że wczoraj przez kilka godzin zajmowałaś się rannymi w Rakce.

- To było dzień wcześniej - poprawiła go. Jasne, myślała, patrząc przez czarną siatkę nikabu, że ty i twoi kumple obserwowaliście mnie przez cały czas.

- Powinnaś przybyć tu już dawno - ciągnął. - Kalifat potrzebuje lekarzy.

- Pracuję w Paryżu.

- Ale teraz jesteś tutaj - podkreślił.

- Jestem - odparła ostrożnie - bo zostałam zaproszona.

- Przez Dżalalą.

Milczała. Irakijczyk w zamyśleniu sączył herbatę.

- Dżalal często nam przysyła chętnych Europejczyków, ale to ja decyduję, czy warto ich przyjąć do naszych obozów. - Jego słowa zabrzmiały jak groźba. Uznała, że było to celowe.

- Czy pragniesz walczyć za państwo islamskie?

- Tak.

- Czemu nie za Palestynę?

- Przecież to robię.
- Jak?
- Walcząc za państwo islamskie.

Jego spojrzenie zmiękło.

- Zarkawi zawsze mówił, że droga do Palestyny prowadzi przez Amman. Najpierw zdobędziemy resztę Iraku i Syrię. Potem Jordanię. A wtedy, inszallah, Jerozolimę.

- Tak jak Saladyn - odparła, zastanawiając się kolejny raz, czy człowiek zwany Saladynem nie siedzi naprzeciwko niej.

- Słyszałaś o nim? - zapytał. - O Saladynie?

Potwierdziła. Irakijczyk zerknął przez ramię i burknął coś do jednego z trzech siedzących z tyłu mężczyzn. Ten podał mu plik kartek związanych spinaczem. Przypuszczała, że jest to jej teczka założona przez ISIS. Ta myśl sprawiła, że niemal uśmiechnęła się pod abają. Irakijczyk przewertował strony z miną biurokratycznej rozterki. Zastanawiała się, kim był, zanim amerykańska inwazja zdołała zmienić niemal każdy aspekt życia w Iraku. Urzędnikiem ministerialnym? Nauczycielem? Pracownikiem banku? A może tylko sprzedawał warzywa na bazarze? Nie, odrzuciła tę myśl. To nie ubogi handlarz, lecz zapewne oficer irackiej armii. Albo, myślała, gdy pot strużkami spływał jej po plecach, członek osławionej tajnej policji Saddama.

- Jesteś niezamężna - stwierdził znienacka.
- Owszem - odparły obie, Lajla i Natalie.
- Byłaś kiedyś zaręczona?
- Niezupełnie. Ale miałam kogoś.
- Był jednym z nas?

- Niezupełnie - powtórzyła. - Aresztowali go Jordańczycy, zanim zdążył przedostać się do Syrii.

- Zmarł w jordańskim więzieniu?

Wolno skinęła głową.

- Gdzie go poznałaś?

- Na uniwersytecie.

- Co studiował?

- Elektronikę.

- Tak, wiem. - Odłożył kartki na dywan. - Mamy licznych zwolenników w Jordanii. Wielu z naszych braci było kiedyś jordańskimi obywatelami. Ale żaden z nich - wbił w nią wzrok - nie słyszał o kimś, kto nazywał się Zijad al-Masri.

- Zijad nie udzielał się politycznie w Jordanii - odparła dużo spokojniej, niż wydawało się to możliwe. - Zradykalizował się dopiero po przyjeździe do Europy.

- Był członkiem Hizb at-Tahrir?

- Nieformalnie.

- To tłumaczy, dlaczego żaden z naszych braci z Hizb at-Tahrir też nigdy o nim nie słyszał. - Patrzył na nią spokojnie, podczas gdy ją zalewała kolejna fala potu. - Nie pijesz herbaty - zauważył.

- To dlatego, że mnie denerwujesz.

- O to mi chodziło. - Jego odpowiedź wywołała stłumiony śmiech siedzących za nim mężczyzn.

Czekał, aż ucichną, nim znów zaczął:

- Przez długi czas Amerykanie i ich przyjaciele w Europie nie traktowali nas poważnie. Lekceważyli naszą obecność i wymyślali dla nas jakieś głupie określenia. Teraz jednak zdali

sobie sprawę, że jesteśmy groźni i za wszelką cenę starają się przeniknąć do naszej organizacji. Najgorsi są Brytyjczycy. Kiedy tylko złapią brytyjskiego muzułmanina, który próbuje wyjechać do kalifatu, starają się przerobić go na szpiega. Zawsze szybko demaskujemy takich ludzi. Czasem przeciągamy ich na naszą stronę. A czasem – dokończył, wzruszając ramionami – po prostu ich zabijamy.

W dusznym powietrzu nagrzewającego się pokoju zawisła ciężka cisza. To Natalie ją przerwała.

- Nie prosiłam, żebyście mnie przyjęli – powiedziała wyraźnie. – Sami zwróciliście się do mnie.

- Dżalal zaprosił cię do Syrii, nie ja. Ale to ja zdecyduję, czy tu zostaniesz. – Złożył jej akta personalne. – Chciałbym od początku usłyszeć twoją historię, Lajlo. To mi się przyda.

- Urodziłam się...

- Nie – uciął w pół zdania. – Powiedziałem „od początku”.

Speszona zamilkła. Tymczasem Irakijczyk znów zaczął przeglądać jej akta.

- Widzę tutaj, że twoja rodzina pochodzi z miejscowości o nazwie Sumajrijja.

- Rodzina mojego ojca – odparła.

- Gdzie to jest?

- W Zachodniej Galilei. Ale Sumajrijja już nie istnieje.

- Opowiedz mi o niej – powiedział. – Wszystko.

Ukryta pod zasłoną zamknęła oczy. Znów szła przez pole ciernistych krzewów, wśród zwalonych kamiennych bloków, obok mężczyzny średniego wzrostu, którego twarzy i imienia nie mogła sobie przypomnieć. Mówił do niej teraz gdzieś

z głębi studni, a jego słowa stawały się jej słowami. W Sumajriji uprawiano banany i melony, najśodsze w całej Palestynie. Nawadniano pola ze starożytnego akweduktu, a zmarłych grzebano na cmentarzu nieopodal meczetu. Sumajrija była rajem na ziemi, Sumajrija była Edenem. Aż nagle, pewnej majowej nocy 1948 roku, przybrzeżną drogą nadciągnął konwój żydowskich wojsk, oślepiając wszystkich światłami reflektorów. A potem Sumajrija przestała istnieć.

* * *

W centrum operacyjnym przy bulwarze Króla Saula stoi krzesło zarezerwowane wyłącznie dla szefa. Nikt inny nie ma prawa na nim usiąść. Nikt też nie waży się go dotknąć. Przez cały ten długi dzień krzesło trzeszczało i ugięło się pod ciężarem Uziego Navota. Gabriel nieprzerwanie trwał u jego boku, to siadając na miejscu zastępcy, to znów nerwowo spacerując z dłonią wciśniętą w brodę i lekko przechyloną w bok głową.

Obaj, tak zresztą jak wszyscy obecni w centrum operacyjnym, nie odrywali wzroku od potężnego ekranu wideo. Wypełniał go satelitarny obraz dużego domu stojącego w wiosce nieopodal syryjskiej granicy. Na podwórzu w cieniu palm daktylowych siedziało kilku mężczyzn. Stały tam też dwa SUV-y, z których jeden przywiózł kobietę z centralnie położonej Rakki, a drugi czterech mężczyzn z sunnickiego Trójkąta w Iraku. Gabriel przekazał współrzędne budynku Adrianowi Carterowi w siedzibie CIA, na zlecenie którego z tajnej bazy w Turcji wysłano niezwłocznie dron. Od czasu do czasu na obrazie emitowanym z satelity Ofek 10 pojawiał się

samolot. Krążył leniwie na wysokości czterech tysięcy metrów nad celem, pilotowany przez dzieciaka siedzącego w przyczepie kempingowej na innej pustyni, w innej części świata.

Adrian Carter zaangażował jeszcze inne siły do rozpracowania celu. Przede wszystkim polecił NSA, by zebrali tyle danych z telefonów komórkowych w tym domu, ile się tylko da. NSA namierzyło nie mniej niż dwanaście aparatów, z których jeden uprzednio wiązano z wyższym dowódcą ISIS, Abu Ahmedem al-Tikritim, byłym pułkownikiem tajnych służb irackich. Gabriel podejrzewał, że to właśnie on przesłuchuje Natalie. Na myśl o tym ogarniały go mdłości, choć pocieszał się myślą, że dobrze ją do tego przygotował. Mimo to najchętniej sam zająłby jej miejsce. Może jednak – myślał, patrząc jak Uzi Navot spokojnie siedzi na swym niezwykłym miejscu – nie nadaje się do dźwigania ciężaru władzy?

Dzień z wolna mijał. Dwa SUV-y wciąż stały na podwórzu, a dżihadyści siedzieli w cieniu palm daktylowych. Potem, wraz z zachodem słońca, cień zniknął i w ciemności zapłonęły światła. Ofek 10 włączył tryb podczerwieni. O dziewiątej wieczorem zarejestrował kilka czerwonych plam o ludzkich kształtach, które wyłoniły się z domu. Cztery z nich wsiadły do jednego SUV-a, a piąta postać, kobieca, do drugiego. Dron śledził pierwszy z pojazdów aż do Mosulu, Ofek 10 monitorował drugi w drodze powrotnej do Rakki, gdzie zatrzymał się przed budynkiem obok parku Ar-Raszida. Z tylnego siedzenia wysiadła kobieta i weszła do budynku tuż przed północą, znikając z pola widzenia.

* * *

W jednym z pokoi na piętrze chudy i pomarszczony saudyjski duchowny nauczał kilkudziesięciu zasłuchanych bojowników o roli, jaką mogą odegrać, inszallah, w przybliżeniu końca dni. Kres jest bliski, głosił, bliższy, niż wam się wydaje. Wykończona długim przesłuchaniem, na pół oślepiona przez zasłonę na oczach Natalie skłonna była uwierzyć w proroctwa starego kaznodziei.

Na klatce schodowej jak zwykle panowała nieprzenikniona ciemność. Wchodząc na górę, cicho liczyła po arabsku: czternaście stopni w jednym ciągu, dwa ciągi w kondygnacji. Tak doszła na piąte piętro. Jej pokój znajdował się dwanaście kroków od schodów. Wchodząc, bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi. Promień księżyca padł przez okno na kobiecy kształt, który leżał skulony na podłodze. Natalie cicho zdjęła abaję i przygotowała sobie posłanie. Lecz gdy tylko ułożyła na nim głowę, postać leżąca po drugiej stronie pokoju poruszyła się i usiadła.

- Miranda?- spytała Natalie, ale w odpowiedzi rozległ się tylko trzask zapalniczki. Płomień dotknął knota oliwnej lampki i ciepłe światło wypełniło pokój.

Usiadła, spodziewając się, że zobaczy delikatne celtyckie rysy. Tymczasem uświadomiła sobie, że patrzy w hipnotyzujące brązowe oczy lśniące miedzianym blaskiem.

- Kim jesteś? - spytała po arabsku, ale jej nowa współlokatorka odpowiedziała po francusku:

- Nazywam się Safia Bourihane. - Wyciągnęła rękę. - Witaj w kalifacie.

Palmyra, Syria

Obóz rozciągał się tuż za starożytnym miastem Palmyra, w pobliżu osławionego pustynnego więzienia Tadmor, gdzie ojciec władcy wtrącał tych, którzy odważyli mu się przeciwstawić. Przed wybuchem wojny domowej była to baza armii syryjskiej w prowincji Hims, ale wiosną 2015 roku ISIS zajęło ją niemal bez walki. Islamiści dokonali grabieży i zniszczeń wielu bezcennych zabytków Palmyry, nie wyłączając więzienia. Oszczędzili jednak obóz. Za wysokim, ponadtrzyipółmetrowym murem zwieńczonym zwojami drutu kolczastego stały baraki, w których mieściło się pięćset osób. Znajdowały się tam również pokoje rekreacyjne i recepcyjne, stołówka, siłownia oraz generator z silnikiem diesla, który zapewniał klimatyzację w upale dnia i światło po zmroku. Zlikwidowano wszystkie dawne syryjskie symbole wojskowe, a nad centralnym dziedzińcem zwisła czarna flaga ISIS. Nigdy też nie używano dawnej nazwy tego obiektu. Absolwenci nazywali go po prostu Obozem Saladyna.

Natalie przybyła tam nazajutrz SUV-em w towarzystwie Safii Bourihane. Od zamachu na Centrum Weinberga w Paryżu minęły cztery miesiące, w czasie których Safia stała się ikoną dżihadyzmu. Opiewano ją w wierszach, nadawano jej imię ulicom i placom, a dziewczęta pragnęły naśladować jej czyny. W świecie, w którym gloryfikowano śmierć, ISIS dokładało

wszelkich starań, by utrzymać ją przy życiu. Poruszała się w sieci kolejnych tajnych mieszkań w Syrii i Iraku, zawsze z uzbrojoną eskortą, a w trakcie jedyne wystąpienia w propagandowym nagraniu miała zasłoniętą twarz. Nie używała telefonu i nigdy nie dotykała komputera. Natalie z ulgą przyjęła wiadomość, że Safia będzie jej towarzyszyć, oznaczało to bowiem, że przesłuchanie wypadło pomyślnie i nie wzbudziła cienia podejrzeń. Stała się jedną z nich.

Safia najwyraźniej przywykła do swej uprzywilejowanej pozycji. We Francji była drugorzędną obywatelką z ograniczoną perspektywą kariery, natomiast w postawionym na głowie świecie kalifatu stała się celebrytką. Obecność Natalie najwyraźniej ją niepokoiła, gdyż stanowiła potencjalne zagrożenie dla jej pozycji. Natalie natomiast z zapałem odgrywała rolę początkującej terrorystki. Safia Bourihane stanowiła ponure tło, na którym rozwijała się doktor Lajla Hadawi. O ile jednak Lajla podziwiała Safię, o tyle Natalie Mizrahi z trudem znosiła jej obecność. Gdyby miała okazję, z radością wbiłaby w jej żyły strzykawkę z trucizną, inszallah, myślała, gdy SUV mknął przez syryjską pustynię.

Arabski Safii był bardzo ubogi, toteż w czasie podróży rozmawiały cicho po francusku, każda ukryta w namiocie swej abai. Gdy zaczęły opowiadać o swym dzieciństwie, okazało się, że niewiele je łączy. Lajla Hadawi, córka wykształconych Palestyńczyków, żyła zupełnie inaczej niż Safia, dziecko algierskich robotników z ubogiego przedmieścia. Jedyнным łączącym je mostem był islam, tyle że Safia niewiele rozumiała z doktryny dżihadu, nie mówiąc o podstawach islamskich

praktyk religijnych.

Przyznała natomiast, że tęskni za smakiem francuskich win, ale przede wszystkim chciała się dowiedzieć, jak wspominają ją w kraju, w którym dokonała zamachu. Nie chodziło jej przy tym o Francję wielkomiejskich centrów i zamożnych miasteczek, lecz o Francję arabskich przedmieść. Natalie odpowiedziała zgodnie z prawdą, że w *cités* Aubervilliers mówią o niej z podziwem. Safia przyjęła to z wyraźną satysfakcją, po czym dodała, że zamierza tam kiedyś wrócić.

- Do Francji? - Natalie nie wierzyła własnym uszom.

- Tak, oczywiście.

- Jesteś najbardziej poszukiwaną kobietą w całym kraju. To niemożliwe.

- To dlatego, że Francją wciąż jeszcze rządzą Francuzi, ale Saladyn mówi, że ten kraj wkrótce stanie się częścią kalifatu.

- Poznałaś go?

- Saladyna? Tak, poznałam.

- Gdzie? - rzuciła naturalnym tonem Natalie.

- Nie umiem powiedzieć. Podczas podróży zasłonili mi oczy.

- Kiedy to było?

- Parę tygodni po zamachu. Chciał mi osobiście pogratulować.

- Mówią, że jest Irakijczykiem.

- Nie mam pewności. Nie znam arabskiego na tyle, żeby zauważyć różnicę między Syryjczykiem i Irakijczykiem.

- Jaki on jest?

- Potężny, władczy i ma cudowne oczy. Przerasta wszelkie wyobrażenia. Inszallah, i ty poznasz go pewnego dnia.

Przyjazd Safii do obozu powitano salwą honorową i okrzykami „*Allahu akbar!*„. Świeżo zwerbowana Natalie była zaledwie dodatkiem. Dostała dla siebie pokój zajmowany wcześniej przez jakiegoś syryjskiego bojownika niższej rangi i wieczorem po modłach pierwszy raz zasiadła do wspólnej kolacji w sali jadalnej. Kobiety jadały osobno, oddzielone od mężczyzn czarną zasłoną. Posiłek – fatalny, lecz obfity – składał się z ryżu, chleba, jakiegoś pieczonego ptaka i szarobrązowego rosółu z żylastego mięsa. Pomimo separacji kobiety w czasie posiłków zobowiązane były nosić abaje, co sprawiało, że czynność jedzenia graniczyła ze sztuką cyrkową. Zgłodniała Natalie łapczywie pochłaniała chleb i ryż, lecz kierując się medycznym doświadczeniem, unikała mięsa. Po jej lewej stronie siedziała cicha Saudyjka o imieniu Buszra, a po prawej Selma, gadatliwa Tunezyjka. Selma przybyła do kalifatu za swoim mężem, ale ten zginął w walce z Kurdami. Teraz pragnęła go pomścić, a jej największym marzeniem był samobójczy zamach bombowy. Miała dziewiętnaście lat.

Czas po kolacji był zaprogramowany. Po wygłoszonym przez duchownego kazaniu jeden z bojowników odczytał swój poemat, a potem na scenę wyszła Safia, by udzielić wywiadu. Prowadził go jakiś sprytny brytyjski muzułmanin, pracownik wydziału promocji i marketingu ISIS. Tej nocy pustynią wstrząsał huk ostrzału sił powietrznych koalicji, a Natalie, samotna w swym pokoju, modliła się o przetrwanie.

Szkolenie terrorystyczne rozpoczęło się nazajutrz po śniadaniu. Zawieziono ją na pustynię w ramach ćwiczeń w posługiwaniu się bronią. Ich zakres obejmował obsługę

karabinów automatycznych, pistoletów, wyrzutni raketowych i granatów. Wyruszała na ćwiczenia każdego ranka, nawet wtedy, gdy uznano, że opanowała już wymagany program. Wśród instruktorów nie było dżihadystów o zdziwałym wzroku. Kadra szkoleniowców składała się wyłącznie z Irakijczyków - ekswojskowych oraz doświadczonych weteranów powstania sunnickiego. Walczyli z Amerykanami głównie po to, by ściągnąć ich siły do Iraku. Nie pragnęli bowiem bardziej niczego, niż ponownie stoczyć walkę z siłami Zachodu na równinach północnej Syrii, w miejscu o nazwie Dabik. Tam to bowiem wedle prastarego proroctwa Amerykanie oraz ich sojusznicy, w leksykonie ISIS zwani armią Rzymu, mieli zostać pokonani, rozgromieni i starci w proch i pył. Taki cel stawiali sobie iraccy dowódcy, a rekruci szkoleni w obozie mieli służyć za narzędzie ich działań.

W upalnych godzinach południa Natalie wracała do klimatyzowanych baraków, gdzie prowadzono instruktaż w zakresie budowy bomb i bezpiecznej łączności. Ponadto cierpliwie znosiła długie wywody na temat rozkoszy życia po życiu, przeznaczone dla wybranych do samobójczych misji. Od czasu do czasu iraccy instruktorzy pytali ją, czy byłaby gotowa umrzeć dla kalifatu, a ona bez wahania odpowiadała, że niczego bardziej nie pragnie. Wkrótce też polecono jej w trakcie ćwiczeń zakładać pas samobójcy, instruując, jak uzbroić i odpalić materiał wybuchowy przy użyciu detonatora ukrytego w dłoni. Gdy za pierwszym razem instruktor polecił, by nacisnęła detonator, jej kciuk zamarł bez ruchu nad przełącznikiem.

- *Jalla* - ponaglił ją. - No już, to nie wybuchnie.

Natalie zamknęła oczy i nacisnęła detonator.

- Bum! - zawołał instruktor. - I już jesteś w drodze do raju.

Za pozwoleniem zwierzchnictwa obozu Natalie zaczęła przyjmować pacjentów w dawnym szpitalu bazy. Początkowo rekruci wahali się ją odwiedzać z obawy, że iraccy instruktorzy uznają to za przejaw słabości. Wkrótce jednak pacjenci zaczęli napływać do niej szerokim strumieniem w „godzinach przyjęć”, które przypadały między lekcjami budowy bomb i popołudniowymi modłami. Mieli różnorodne dolegliwości, począwszy od infekcji wojennych ran, poprzez koklusz, cukrzycę i zapalenie zatok. I choć niemal nie dysponowała lekarstwami i materiałami opatrunkowymi, cierpliwie zajmowała się wszystkimi. W trakcie leczenia wiele się dowiadywała o swych kolegach ochotnikach. Poznawała ich imiona, kraje pochodzenia, okoliczności przybycia do kalifatu i status paszportów. Pewnego dnia odwiedziła ją również Safia Bourihane. Miała kilka kilogramów niedowagi, lekki stan depresyjny i wadę wzroku wymagającą okularów. Poza tym była zdrowa. Natalie z trudem powstrzymywała się, by nie podać jej śmiertelnej dawki morfiny.

- Jutro rano wyjeżdżam - poinformowała ją Safia, nakładając na siebie abaję.

- Dokąd?

- Nie wiem. Nigdy tego nie mówią. A ty?

Natalie wzruszyła ramionami.

- Muszę być za tydzień we Francji.

- Szczęściara. - Safia zsunęła się z lekarskiej kozetki

i ruszyła w stronę drzwi.

- Jakie to było? - spytała nieoczekiwanie Natalie.

Safia się odwróciła. Jej oczy zjawiskowo lśniły nawet przez gęstą siatkę abai.

- Co takiego? - spytała zdziwiona.

- Ten zamach. - Natalie zawahała się, po czym dodała: - Zabijanie tych Żydów.

- Wspaniałe - odparła Safia. - Jak spełnienie marzeń.

- A gdyby to była misja samobójcza? Mogłabyś ją wykonać?

Safia uśmiechnęła się z żalem.

- Niczego bardziej nie pragnęłam.

Palmyra, Syria

Dowódcą obozu był Masud, Irakijczyk z prowincji Anbar. Walcząc z Amerykanami w 2006 roku, stracił lewe oko, ale prawym zerkał teraz podejrzliwie na Natalie, gdy po całkowicie niesmacznej kolacji zwróciła się do niego z prośbą o pozwolenie na przechadzkę poza granicami obozu.

- Nie należy nas oszukiwać, doktor Hadawi - odparł ostro. - Jeśli chcesz opuścić obóz, to nie zatrzymujemy.

- Nie zamierzam go opuszczać.

- Nie jesteś zadowolona? Źle cię traktujemy?

- Ależ skąd. Bardzo dobrze.

Jednooki Masud ostentacyjnie się zastanawiał.

- W mieście nie ma łączności telefonicznej, jeśli o to chodzi.

- Nie mam takiej potrzeby.

- A także sieci komórkowej ani internetu.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Przydzielę ci jednego z mudżahedinów - zdecydował w końcu.

- To niekonieczne.

- Owszem. Jesteś dla nas zbyt cenna, żebym mógł ci pozwolić na samotne spacery.

Mudżahedin, którego wybrał Masud, miał na imię Ismail i był przystojnym wykształconym Egipcjaninem z Kairu. Zrezygnowany i sfrustrowany przyłączył się do ISIS wkrótce

po zamachu stanu w Egipcie w 2013 roku, kiedy to Bractwo Muzułmańskie zostało zdelegalizowane. Wyszli z obozu kilka minut po dziewiątej. Nad północnym pasmem gór wisiał nisko księżyc niczym białe słońce na czarnym niebie, oświetlając jak jupiter południową część masywu. Natalie podążała za własnym cieniem wzdłuż zakurzonej ścieżki, a Ismail włókł się kilka kroków za nią. Jego czarny strój w księżycowym świetle niemal fosforyzował, podobnie jak broń, którą trzymał na piersi.

Gaje palm daktylowych rosnące po obu stronach ścieżki przesuwały się obok w mroku nocy. Żyzna ziemia wzdłuż Wadi al-Kubur, rzeczki wypływającej z górskiego źródła Efka, zapewniała im bujny wzrost. Właśnie to źródło i otaczająca je oaza przyciągnęły ludzi w to miejsce być może jeszcze w siódmym tysiącleciu p.n.e. Powstało tam warowne miasto liczące dwieście tysięcy mieszkańców, którzy posługiwali się palmyreńskim dialektem języka aramejskiego i bogacili dzięki ruchowi karawan wędrujących Jedwabnym Szlakiem. Mocarstwa powstawały i upadały, aż w I wieku n.e. Palmyra uznała zwierzchnią władzę Rzymu. Starożytne miasto powstałe na granicy oazy odtąd się zmieniło.

Chłodny powiew pustynnego wiatru poruszał liśćmi palm rosnących wzdłuż ścieżki. W końcu jednak palmy zniknęły i pojawiła się świątynia Bela, jedno z najważniejszych miejsc kultu w starożytnej Palmyrze. Natalie zwolniła i stanęła, patrząc z otwartymi ustami na zdewastowane części budowli rozrzucone wśród piasków pustyni. Ruiny świątyni z monumentalnymi bramami i kolumnami należały do najlepiej

zachowanych zabytków Palmyry. Teraz leży w gruzach. Zachowała się tylko część jednej ze ścian. Ismail najwyraźniej nie przejmował się ich losem.

- *Szirk* - rzucił, wzruszając ramionami, co po arabsku oznacza bałwochwalstwo. - Należało to zniszczyć.

- Byłeś przy tym?

- Pomagałem rozmieszczać ładunki.

- *Alhamdulillah*^[6] - usłyszała swój własny szept.

Zwalone w piasek kamienne bloki lśniły w zimnym świetle księżyca. Wolno ruszyła między gruzy, uważając, by nie skręcić nogi. Posuwała się teraz dawną główną ulicą prowadzącą wzdłuż Wielkiej Kolumnady od świątyni Bela do Łuku Triumfalnego, Tetrapiłonu i Świątyni Pogrzebowej. ISIS i tutaj wydało islamski wyrok śmierci na nieislamską przeszłość. Kolumny wysadzono, a łuki doszczętnie rozbito. Niezależnie od dalszych losów tej organizacji pewne jest jedno - zostawi ona nieusuwalny ślad w dziejach Bliskiego Wschodu. Palmyra, myślała Natalie, nigdy już nie będzie taka, jaka była.

- I to też zrobiłeś?

- Pomagałem - przyznał z uśmiechem.

- A co z wielkimi piramidami w Gizie? - spytała prowokacyjnie. - Też je zniszczymy?

- Inszallah - wyszeptał.

Natalie skierowała się w stronę świątyni Baalszamina, ale czuła, że ciężą jej nogi, a łzy zamazują obraz. Odwróciła się więc i holując za sobą Ismaila, ruszyła wśród palm daktylowych z powrotem do obozu Saladyna. W głównej sali rekreacyjnej kilku rekrutów oglądało nowe nagranie

reklamujące przyjemności życia w kalifacie: brodaty młody dżihadysta bawił się z dzieckiem w jakimś zielonym parku, gdzie oczywiście nie było ściętych głów. W stołówce wypła herbatę razem z Selmą, koleżanką z Tunisu, i wzbudzając jej zdumienie, opowiedziała o cudach, które napotkała tuż za bramami obozu. Potem wróciła do swojego pokoju i padła na łóżko. We śnie wędrowała wśród ruin – widziała wielkie rzymskie miasto i arabską wioskę w Galilei. Jej przewodnikiem była trupioblada kobieta o brązowych oczach lśniących jak miedź.

- On przerasta wszystkie wyobrażenia - mówiła. - Inszallah, może kiedyś go poznasz.

Na koniec śniła, że śpi we własnym łóżku, nie w Jerozolimie, lecz w swym dzieciennym łóżeczku we Francji. Wtem rozległo się walenie w drzwi i do pokoju wdarli się potężnie zbudowani mężczyźni o długich włosach i brodach. Ich imiona pochodziły od nazw rodzinnych wiosek na wschodzie. Natalie gwałtownie się zerwała, uświadamiając sobie, że nie śni. Pokój ze snu był pokojem w obozie. A mężczyźni... prawdziwi.

Prowincja Anbar, Irak

Tym razem nie mogła zobaczyć słońca ani wskaźników na desce rozdzielczej, które pozwalałyby określić kierunek jazdy. Tuż po wyjeździe z Palmyry nałożono jej na oczy opaskę. Krótco przedtem zdążyła jednak zarejestrować w pamięci trzy rzeczy – mężczyzn było czterech, SUV inny niż poprzednio, a także to, że kierowali się na wschód syryjską autostradą zwaną kiedyś M20. Zapytała, dokąd ją zabierają, ale nie dostała odpowiedzi. Protestowała, próbując tłumaczyć, że nie zrobiła w Palmyrze nic złego, chciała tylko zobaczyć na własne oczy zniszczone świątynie, *szirk*, ale mężczyźni milczeli. Zresztą przez cały czas podróży również do siebie nie odezwali się ani słowem. Dla zabicia czasu słuchali rozwlekłego kazania kalifa, a gdy się skończyło, włączyli jakiś talk-show w Al-Bajan, propagandowej stacji radiowej ISIS. Al-Bajan nadawała z Mosulu na falach FM. Dyskutanci omawiali niedawno rzuconą przez islamskie państwo fatwę na związki seksualne między mężczyznami i kobietami, które wzięto do niewoli. Początkowo sygnał z Mosulu był słaby i zakłócany trzaskami, ale w miarę upływu czasu coraz bardziej się wzmacniał.

Zatrzymali się raz, by wlać do baku benzynę z kanistra, a potem drugi, gdy przekraczali punkt kontrolny ISIS. Strażnik mówiący z irackim akcentem zwracał się do mężczyzn w SUV-

ie z głębokim szacunkiem, wręcz bojaźliwie. Przez otwarte okno Natalie słyszała w oddali jakieś hałasy - ktoś wykrzykiwał rozkazy, płakały dzieci, zawodziły kobiety.

- *Jalla, jalla* - ponaglał czyjś głos. - Ruszajcie, to już niedaleko. - W głowie Natalie pojawił się obraz: rząd niewiernych w łachmanach i znaczone łzami droga na miejsce egzekucji. Niedługo, myślała, stanę się jedną z nich.

Minęło kolejne pół godziny, zanim SUV zatrzymał się po raz trzeci. Silnik ucichł i głośno otworzyły się drzwi, do wnętrza wtargnęła fala gęstego wilgotnego upału. Natychmiast poczuła, jak pod ciężką materią abai oblewa ją pot. Jakaś ręka ujęła ją za nadgarstek i delikatnie pociągnęła. Przesunęła się, spuściła nogi i dotknęła stopami ziemi. Przez cały czas czyjaś ręka trzymała ją za nadgarstek. Nie było w tym jednak agresji, jedynie chęć pomocy.

Opuszczając w pośpiechu obóz, nie zdążyła włożyć sandałów i teraz czuła pod stopami palącą ziemię. Jej pamięć nagle przywołała wspomnienie równie dotkliwe jak upał, który ją osaczał. Tak jak teraz był sierpień. Przebywała z matką w południowej Francji i obie wybrały się na plażę. Matka poleciła jej zdjąć z szyi wisiołek z gwiazdą Dawida z obawy, że ktoś go zobaczy. Zdjęła łańcuszek, schowała go i ruszyła w stronę błękitnego Morza Śródziemnego. Przypomniała sobie teraz, jak szybko biegła po piasku, który podobnie jak ten parzył stopy.

- Ostrożnie - odezwał się głos, pierwszy, który usłyszała od wyjazdu z obozu. - Przed tobą są schody.

Były gładkie i szerokie. Gdy dotarła na ich szczyt, ręka

łagodnie pchnęła ją w przód. Miała wrażenie, że idzie przez jakiś wielki dom – chłodne pokoje i skąpane w słońcu podwórza. Na koniec dotarła do kolejnych schodów, dłuższych niż pierwsze, gdyż miały dwanaście stopni, nie sześć. Na najwyższym uświadomiła sobie, że gdzieś w pobliżu są mężczyźni i usłyszała stłumiony szcęk broni trzymanej w sprawnych rękach.

Nastąpiła wymiana słów wypowiedzianych szeptem i otworzyły się drzwi. Natalie zrobiła dokładnie dziesięć kroków, po czym niewidzialna ręka ścisnęła jej nadgarstek i delikatnie pociągnęła w dół. Posłusznie usiadła na podłodze, krzyżując nogi na dywanie i składając ręce na piersi. Zaraz też zdjęto opaskę przesłaniającą oczy. Przez siatkę w zasłonie okrywającej twarz zobaczyła mężczyznę, który siedział obok w identycznej pozie. Natychmiast rozpoznała jego twarz. To był ten sam Irakijczyk wysokiej rangi, który przesłuchiwał ją przed wyjazdem do Palmyry. Ale teraz jego władcza postawa gdzieś zniknęła. Czarny strój pokrywał pył, a w brązowych przekrwionych oczach odbijało się skrajne wyczerpanie. Ta noc, pomyślała Natalie, nie była dla niego łaskawa.

Gestem polecił, by uniosła zasłonę. Zawahała się, lecz usłuchała. Brązowe oczy długo się w nią wpatrywały, podczas gdy ona uparcie patrzyła w dywan. W końcu – jak krab szczypcami – ujął jej brodę okaleczoną dłonią i uniósł tak, by na niego spojrzała.

– Doktor Hadawi – powiedział cicho. – Wielkie dzięki za przybycie.

* * *

Przeszła przez jeszcze jedne drzwi i znalazła się w kolejnym pokoju. Miał nagą białą podłogę i podobne ściany. W górze widniał mały okrągły otwór, przez który przeciskały się promienie palącego słońca. Poza tym jednak przeważał cień. W najdalszym kącie stało nierównym kręgiem czterech uzbrojonych bojowników ISIS z opuszczonym wzrokiem, jak żałobnicy nad otwartym grobem. Ich czarne stroje pokryte były pyłem. Ale nie zielonkawym pyłem pustyni, lecz jasnoszarym pyłem betonu zmiażdżonego potężną siłą, która niczym młot uderzyła z nieba.

U stóp tych czterech mężczyzn leżał piąty. Był ułożony na wznak na noszach z jedną ręką na piersi, a drugą, lewą, wzdłuż boku. Ręka ta była zakrwawiona, na nagą podłogę spływała krew. Twarz rannego miała bladość śmierci. A może to tylko ten szary pył? Natalie nie umiała tego ocenić z drugiego krańca pokoju.

Irakijczyk polecił, by przeszła dalej. Gdy przekroczyła plamę palącego słońca, żałobnicy się poruszyli, robiąc jej miejsce. Zatrzymała się i spojrzała na szarą twarz mężczyzny na noszach. To nie pył ją pokrywał. Popielaty odcień był naturalny, spowodowany upływem krwi. Mężczyzna miał dwie widoczne rany – u góry klatki piersiowej i na prawym udzie. Pomyślała, że dla przeciętnego człowieka mogłyby się okazać fatalne, lecz nie dla niego. Był wielki i mocno zbudowany.

„Przerasta wszelkie wyobrażenia...”

- Kto to jest? – spytała po chwili.

- Nieważne – odparł Irakijczyk. – Ważne jest tylko to, żeby żył. Nie możesz pozwolić mu umrzeć.

Zebrała w dłoń materiał swej abai, kucnęła przy noszach i wysunęła rękę, by dotknąć rany. Jeden z bojowników natychmiast chwycił ją za przegub. Ale tym razem nie był to delikatny uścisk. Miała wrażenie, że pękają jej kości. Odwróciła się w milczeniu, karcąc go spojrzeniem za to, że odważył się jej dotknąć – kobiety, która nie była z nim spokrewniona. A potem przeniosła wzrok na Irakijczyka. Ten skinął głową i uścisk zelżał. Przez moment delectowała się swym małym zwycięstwem. Po raz pierwszy od przybycia do Syrii doznała uczucia siły. Pomyślała, że w tej chwili są od niej zależni.

Ponownie wyciągnęła rękę, tym razem bez przeszkód, i odsunęła z piersi leżącego czarny podarty materiał. Rana była duża, szeroka na jakieś pięć centymetrów, z poszarpanymi brzegami. Coś gorącego i ostrego z niezwykłą szybkością przeszło jego ciało, dokonując straszliwego spustoszenia – łamiąc kość, miażdżąc tkanki i rozrywając naczynia krwionośne. Oddychał płytko i z wysiłkiem. Co i tak graniczyło z cudem.

- Co się stało?

Odpowiedziała jej cisza.

- Nie mogę mu pomóc, jeśli się nie dowiem, co jest przyczyną obrażeń.

- Był w domu, na który spadła bomba.

- Bomba?

- To był nalot.

- Dron?

- Coś znacznie większego. - Irakijczyk mówił, jakby to

widział. – Znaleźliśmy go pod gruzami. Był nieprzytomny, ale oddychał.

– Równomiernie?

– Tak.

– I nie odzyskał świadomości?

– Ani na chwilę.

Rozpoczęła oględziny czaszki porośniętej gęstymi ciemnymi włosami. Nie dostrzegła wyraźnych obrażeń ani ran, ale to nic nie znaczyło. Wciąż nie mogła wykluczyć poważnego urazu mózgu. Uniosła powiekę lewego, a potem prawego oka. Reakcja źrenic stanowi dobry znak. Czyżby? Odsunęła dłoń.

– O której to się stało?

– Tuż po północy.

– Która jest teraz?

– Dziesiąta piętnaście.

Zacząła badać ranę uda. Najogledniej mówiąc, jest to ambitne wyzwanie, myślała beznamiętnie. Pacjent bez kontaktu od dziesięciu godzin, dwie rany penetrujące, nie wspominając o możliwości licznych dodatkowych pęknięć i obrażeń typowych u ofiar katastrof budowlanych. Należy zakładać krwotok wewnętrzny. W każdej chwili może się rozwinąć sepsa. Jediną szansą byłby dla niego transport na szpitalny oddział chirurgii urazowej. Przekazała swą opinię Irakijczykowi bez palców.

– To nie wchodzi w rachubę.

– Jest w stanie krytycznym. Wymaga intensywnej terapii.

– To nie Paryż, doktor Hadawi.

– Gdzie my jesteśmy?

- Nie mogę powiedzieć.
- Dlaczego?
- Ze względów bezpieczeństwa - odparł.
- Czy w Iraku?
- Zadaje pani zbyt wiele pytań.
- Czy tak? - Nie dawała za wygraną.

Milczeniem potwierdził jej przypuszczenia.

- Przecież jest szpital w Ramadi, prawda?
- Tam nie będzie bezpieczny.
- A Faludża? - Nie mogła wprost uwierzyć, że ta nazwa padła z jej ust. Faludża...

- Nigdzie go nie wyślemy - oznajmił Irakijczyk. - To jedyne miejsce, w którym jest bezpieczny.

- Umrze, jeśli tu zostanie.
- Nie, nie umrze - zapewnił. - Bo pani go uratuje.
- W jaki sposób? Czym?

Jeden z bojowników wręczył jej tekturowe pudełko oznaczone czerwonym krzyżem.

- Ależ to zwykły zestaw pierwszej pomocy...
- Nie mamy nic więcej.
- Czy w pobliżu jest jakiś szpital lub przychodnia?

Irakijczyk przez chwilę się wahał.

- Mosul jest godzinę drogi stąd - odparł w końcu. - Ale Amerykanie prowadzą ostrzał ruchu drogowego.

- Ktoś musi spróbować się przedostać.
- Proszę sporządzić listę potrzebnych rzeczy - odparł w końcu i wyjął z kieszeni swego czarnego kombinezonu brudny notes. - Wyślę którąś z kobiet. To może trochę

potrwać.

Natalie wzięła notes i pióro, po czym sporządziła wykaz niezbędnych środków medycznych – antybiotyki, strzykawki, narzędzia i nici chirurgiczne, rękawiczki, stetoskop, worki i roztwory infuzyjne, dreny, klamry, środki przeciwbólowe i uspokajające, gaza, opaski gipsowe oraz gips syntetyczny do unieruchomienia złamanych kończyn.

- Może wie pan przypadkiem, jaką ma grupę krwi?

- Grupę krwi?

- Potrzebna mu jest krew. W przeciwnym razie umrze.

Irakijczyk pokręcił głową. Natalie podała mu listę, po czym otworzyła zestaw pierwszej pomocy i zajrzała do środka. Były tam bandaże, rolka gazy, aspiryna i jakaś maść. Beznadziejne. Uklękła przy rannym i uniosła mu powiekę. Wciąż reagował.

- Muszę wiedzieć, jak się nazywa – powiedziała.

- Dlaczego?

- Muszę się do niego zwrócić jego prawdziwym imieniem, jeśli ma odzyskać przytomność.

- Niestety to niemożliwe, doktor Hadawi.

- Więc jak mam go nazywać?

Irakijczyk spojrzał na umierającego u jego stóp.

- Jeśli to naprawdę konieczne – rzekł po chwili – może pani nazywać go Saladynem.

Prowincja Anbar, Irak

Jako lekarz na oddziale ratunkowym Centrum Medycznego Hadassa doktor Natalie Mizrahi niemal codziennie stawała wobec różnorodnych problemów etycznych. Trafiali do niej ciężko ranni i umierający, których heroicznie usiłowała ratować, choć nie mieli szansy na przeżycie. Trafiali też mordercy, niedoszli zamachowcy samobójcy i nożownicy, których poranione ciała opatrywała z pełnym poświęceniem.

Ale sytuacja, w której znalazła się teraz, była inna niż jakakolwiek wcześniej, a także, uznała, zapewne i później. Mężczyzna leżący w pustym pokoju gdzieś w okolicy Mosulu okazał się przywódcą siatki terrorystycznej, która dokonała morderczych zamachów w Paryżu i Amsterdamie. Natalie zdołała przeniknąć do tej sieci w ramach operacji, której celem było wykrycie jej struktur kierowniczych oraz ich likwidacji. I oto, dzięki nalotowi amerykańskich sił powietrznych, życie przywódcy tej siatki znalazło się w jej fachowych rękach. Jako lekarz była moralnie zobowiązana do udzielenia mu pomocy, ale jako obywatelka cywilizowanego świata najchętniej obojętnie patrzyłaby na to, jak powoli kona, wypełniając w ten sposób misję, do której została powołana.

Ale co zrobiliby mężczyźni z ISIS z kobietą lekarzem, gdyby ta pozwoliła umrzeć wielkiemu Saladynowi, nim ten zakończy misję zjednoczenia muzułmańskiego świata pod czarną flagą

kalifatu? Z pewnością nie okazaliby jej wdzięczności za starania i nie odesłali spokojnie w drogę powrotną. Jej los najpewniej przecięłoby ostrze noża lub ciosy zadane kamieniami. A przecież nie przybyła do Syrii z misją samobójczą i nie zamierzała umierać w tym strasznym miejscu z rąk czarnych proroków apokalipsy. Ponadto stan Saladyna dostarcza pewnej niepowtarzalnej szansy. Ona może przywrócić mu zdrowie, zdobyć jego przyjaźń i zaufanie, a potem wykraść śmiertelne sekrety, jakie lęgną się w jego głowie. „Nie możesz pozwolić mu umrzeć”, powiedział Irakijczyk. Ale dlaczego? Odpowiedź, myślała, jest prosta. Iracki dowódca nie zna planów Saladyna. Ten człowiek nie może umrzeć, gdyż wraz z nim umarłyby cele i ambicje jego organizacji.

Okazało się, że zamówione materiały dostarczono w ciągu zaledwie półtorej godziny. Kimkolwiek były te kobiety, potrafiły zdobyć większość niezbędnych środków. Wciągnęła rękawiczki, nałożyła maskę chirurgiczną i szybko wbiła igłę w lewą rękę Saladyna, podając torbę z roztworem Irakijczykowi, który patrzył jej nieufnie przez ramię. Potem przy pomocy nożyc chirurgicznych rozcięła i zdjęła z rannego zabłocone, nasiąkłe krwią ubranie. Stetoskop był praktycznie zabytkiem muzealnym, ale działał prawidłowo. Lewe płuco pracowało normalnie, ale prawe odpowiedziało ciszą.

- Ma krwawkę opłucnej z odmą.
- Co to znaczy?
- Jego prawe płuco nie pracuje, gdyż wypełniają je powietrze i krew. Muszę go przewrócić na bok.

Irakijczyk skinął na jednego z bojowników, a ten pomógł jej ułożyć Saladyna na lewym boku. Następnie wykonała małe nacięcie między dziewiątym i dziesiątym zębem, wprowadziła klemy hemostatyczne i wsunęła dren w tkankę prawego płuca. Rozległ się wyraźny odgłos usuwanego powietrza, a następnie przez rurkę popłynęła krew, lejąc się na podłogę.

- Wykrwawi się na śmierć! - krzyknął Irakijczyk.

- Cicho bądź! - warknęła - bo każę ci wyjść.

Spłynęło około pół litra krwi, nim zaczęły kapać już tylko skąpe jej krople. Natalie zacisnęła dren, by zapobiec napływowi powietrza z zewnątrz do płuc, po czym ostrożnie ułożyła Saladyna na plecach i zajęła się raną w klatce piersiowej. Odlamek pocisku złamał dwa żebra i poważnie uszkodził główny mięsień piersiowy. Zdezynfekowała ranę alkoholem, po czym za pomocą szczypiec chirurgicznych usunęła odlamek. Wystąpiło wprawdzie krwawienie, lecz nieznaczne. Oczyszczyła też ranę z fragmentów kości i włókien pochodzących z czarnego stroju Saladyna. Ponad to niewiele mogła zrobić. Wiedziała, że jeśli ten człowiek przeżyje, żebra się zrosną, ale uszkodzony mięsień piersiowy najpewniej już nigdy nie odzyska pierwotnego kształtu i sprawności. Zszyła więc nićmi chirurgicznymi tkankę głęboką, pozostawiając otwarty wlot rany. Od chwili, gdy doznał urazu, minęło dwanaście godzin. Gdyby teraz zszyła wierzchnią warstwę skóry, doszłoby do infekcji, w dalszej kolejności powodując sepsę i powolną śmierć w męczarniach. Była to myśl kusząca, lecz nierozważna. Przykryła ranę bandażem z gazy i skupiła uwagę na nodze rannego.

I tu Saladyń też miał szczęście. Odłamek pocisku dokonał wprawdzie poważnych zniszczeń, druzgocąc kość i miażdżąc tkanki, ale ominął główne naczynia krwionośne. Postępowanie Natalie było tu takie samo jak w przypadku pierwszej rany – dezynfekcja z pomocą alkoholu, usunięcie fragmentów kości i włókien tkaniny, szycie tkanki głębokiej, zabezpieczenie bandażem otwartej skóry. W sumie ta niewyszukana chirurgia trwała niecałą godzinę. Na koniec Natalie dodała do kroplówki silną dawkę antybiotyku i przykryła pacjenta czystym białym prześcieradłem, pozostawiając dren w piersi.

- To wygląda jak całun pogrzebowy – rzekł ponuro Irakijczyk.

- Jeszcze nie – odparła.

- Dostał środki przeciwbólowe?

- W tym momencie ból jest naszym sprzymierzeńcem – wyjaśniła. - Działa bodźcowo. Pomaga w odzyskaniu przytomności.

- Ma szansę?

- Co chcesz usłyszeć?

- Prawdę.

- Prawda jest taka – odparła – że zapewne umrze.

- Jeśli umrze – odrzekł zimno Irakijczyk – ty umrzesz wkrótce po nim.

Nie odpowiedziała. Irakijczyk patrzył na obdarzonego potężną władzą mężczyznę, który leżał teraz spowity w biel u jego stóp.

- Zrób wszystko, co możesz, żeby oprzytomniał – powiedział w końcu. - Choćby na chwilę. Za wszelką cenę muszę z nim

pomówić.

Ale dlaczego? – zastanawiała się, gdy wyszedł z pokoju. Dlatego, że nie wiedział tego, co wie Saladyn. Jeśli więc umrze Saladyn, jego siatka umrze wraz z nim.

* * *

Po zakończeniu zabiegów chirurgicznych Natalie należycie okryła się abają na wypadek, gdyby wielki Saladyn odzyskał przytomność. Nie mógł przecież ujrzeć przy sobie kobiety z odkrytą twarzą. Zażądała natomiast zegarka, by regularnie notować stan pacjenta, i dostała od Irakijczyka jego własny. Co pół godziny sprawdzała puls i ciśnienie Saladyna, monitorując poziom roztworu w kroplówce. Puls był wciąż przyspieszony i słaby, ale ciśnienie stopniowo rosło, co stanowiło objaw korzystny. Wskazywało bowiem, że nie ma innych źródeł krwotoku wewnętrznego i że kroplówka wpływa na zwiększenie objętości krwi.

Mimo to Saladyn wciąż nie odzyskiwał przytomności i nie reagował na łagodne bodźce. Prawdopodobną przyczyną był silny wpływ krwi i szok spowodowany odniesionymi ranami. Nie mogła jednak wykluczyć urazu mózgu. Tomografia komputerowa ujawniłaby obrzęk lub krwotok mózgowy, ale Irakijczyk kategorycznie oświadczył, że Saladyn musi pozostać na miejscu. Zapewne i tak nie miało to znaczenia. W kraju, gdzie brakuje chleba, a kobiety noszą wiadrami wodę z Eufratu, szansa na znalezienie sprawnej aparatury skanującej jest niemal zerowa.

Dwóch bojowników nie opuszczało pokoju, a Irakijczyk

wchodził co godzinę i wpatrywał się w bezwładnego człowieka na podłodze, jakby chciał go zmusić do odzyskania przytomności. W trakcie jego trzeciej wizyty Natalie pociągnęła Saladyna za koniuszek ucha, a potem szarpnęła jego gęstą brodę. Nie wywołało to jednak reakcji.

- Czy to konieczne? - spytał Irakijczyk.

- Tak - odparła. - Konieczne.

Uszczypnęła go w przedramię. Bez skutku.

- Spróbuj do niego mówić - zasugerowała. - Może zareaguje na znajomy głos.

Irakijczyk ukucnął obok noszy i zaczął mruczeć do ucha Saladyna coś, czego nie mogła zrozumieć.

- Byłoby lepiej, żebyś powiedział to głośno. Tak, żeby mógł cię usłyszeć. A najlepiej, gdybyś zaczął na niego krzyczeć.

- Krzyczeć na Saladyna? - Potrząsnął głową. - Nikt nie odważa się nawet podnieść na niego głosu.

Było już późne popołudnie. Promień przenikający przez rozetę w suficie przewędrował wolno przez pokój i teraz ogrzewał fragment gołej podłogi w miejscu, gdzie siedziała Natalie. Wyobraziła sobie, że sam Bóg patrzy na nią przez to okienko w górze i ją osądza. A także, że przygląda jej się Gabriel. Zapewne nawet w najśmielszych scenariuszach operacyjnych nie brał pod uwagę podobnego rozwoju wydarzeń. Wyobrażała sobie powrót, powitanie w którymś z lokali operacyjnych i swój nerwowy raport, w którym będzie zmuszona wyjaśnić, z jakiego powodu ratowała życie najbardziej niebezpiecznego terrorysty na świecie.

Natychmiast odepchnęła tę myśl od siebie, gdyż była to myśl

zgubna. Nigdy nie widziała żadnego Gabriela Allona, przypomniała sobie, i nie interesują jej opinie żadnego Boga. Dla Lajli Hadawi liczy się tylko Allah, a On na pewno pochwalałby jej czyn.

W budynku nie było elektryczności i z zapadnięciem nocy pogrążał się w ciemnościach. Bojownicy zapalili lampy naftowe i rozstawili je wokół pokoju, a Irakijczyk siadł z nią do kolacji. Pożywienie było tu znacznie lepsze niż w obozie Palmyry, a kuskus równie dobry jak nad lewym brzegiem Sekwany. Oczywiście nie podzieliła się tą uwagą ze swym współbiesiadnikiem. Był w ponurym nastroju i nie próbował podtrzymać rozmowy.

- Zapewne nie możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz - odezwała się w końcu.

- Nie - odparł z pełnymi ustami. - Nie mogę.

- Nie ufasz mi? Nawet teraz?

- Zaufanie nie ma tu nic do rzeczy. Jeśli aresztują cię w przyszłym tygodniu po powrocie do Paryża, francuski wywiad zapyta, z kim się kontaktowałeś podczas wakacji w kalifacie. A ty podasz im moje dane.

- Nigdy nie będę rozmawiać z francuskim wywiadem.

- Każdy rozmawia. - I znów odniosła wrażenie, że Irakijczyk odwołuje się do własnego doświadczenia. - Poza tym - dodał po chwili - mamy wobec ciebie pewne plany.

- Jakie plany?

- Operacyjne.

- Kiedy je poznam?

Nie odpowiedział.

- A jeśli on umrze? - spytała, kierując wzrok na Saladyna. -
Czy ta operacja się odbędzie?

- To nie twoja sprawa. - Nałożył sobie porcję kuskusu.

- Byłeś tam, kiedy to się stało?

- Czemu pytasz?

- Próbuję rozmawiać.

- Rozmowy w kalifacie mogą być niebezpieczne.

- Zapomnij, że pytałam.

Nie zapomniał.

- Przyjechałem wkrótce potem - odpowiedział. - To ja
wyciągnąłem go spod gruzów. Myślałem, że nie żyje.

- Były tam inne ofiary?

- Wiele.

- Czy mogłabym coś dla nich...

- Masz jednego i tylko jednego pacjenta. - Wbił swe ciemne
oczy w Saladyna. - Jak długo może trwać w takim stanie?

- Jest potężnie zbudowany, silny i ma zdrowy organizm. To
może ciągnąć się bardzo długo.

- Czy możesz jakoś sprawić, żeby się ocknął? Może jakimś
zastrzykiem?

- Najlepiej zacznij do niego mówić. Wymów wyraźnie jego
imię. Ale nie pseudonim - dodała - tylko prawdziwe imię.
Takie, jakim wołała go matka.

- On nie miał matki.

Z tymi słowy Irakijczyk wyszedł. Kobieta sprzątnęła ze
stołu, by postawić na nim herbatę i baklawę, przysmaki,
o jakich nie słyszano w syryjskiej części kalifatu. Natalie co
pół godziny sprawdzała puls i ciśnienie Saladyna, a także

pracę jego płuca. Wszystko wskazywało na poprawę. Rytm serca z wolna się wyrównywał, ciśnienie rosło, prawe płuco się oczyszczało. Z pomocą zapalniczki sprawdziła też reakcję oczu - najpierw prawego, a potem lewego. Źrenice nadal reagowały. Mózg, bez względu na swój stan, był żywy.

O północy, mniej więcej dobę po amerykańskim nalocie, Natalie poczuła, że ogarnia ją niezmożona senność. W oknie sufitu świecił księżyc, biały i zimny, ten sam, który oświetlał ruiny Palmyry. Zmierzyła puls, ciśnienie i osłuchiwała płuca. Oznaki poprawy były wyraźne. Na koniec w błękitnym świetle płomienia zapalniczki na butan sprawdziła reakcję oczu - prawego, a potem lewego.

Po zakończonym badaniu pozostały otwarte.

- Kim jesteś? - rozległ się głos, szokująco silny i dźwięczny.

Natalie, gwałtownie zaskoczona, musiała się opanować, nim odpowiedziała:

- Nazywam się Lajla Hadawi. Jestem twoim lekarzem.

- Co się stało?

- Zostałeś ranny w czasie bombardowania.

- Gdzie teraz jestem?

- Nie umiem powiedzieć.

Przez moment wydawał się zdezorientowany. A potem zrozumiał. Zmęczonym głosem spytał:

- Gdzie jest Abu Ahmed?

- Kto?

Z wysiłkiem uniósł lewą rękę i jak krab poruszył kciukiem oraz palcem wskazującym.

Mimo woli się uśmiechnęła.

- Jest za drzwiami. Koniecznie chce rozmawiać.
- Saladyn zamknął oczy.
- Wyobrażam sobie.

Prowincja Anbar, Irak

- Jesteś moim Majmonidesem.

- Kim?

- Majmonides był Żydem, który leczył Saladyna podczas jego pobytu w Kairze.

Natalie milczała.

- To jest komplement. Uratowałaś mi życie.

Zamknął oczy. Był późny ranek. Krąg światła z rozety w suficie dopiero zaczął swą wolną podróż po nagiej podłodze i w pokoju panował przyjemny chłód. Po odzyskaniu przytomności Saladyn spokojnie zasnął, częściowo dzięki dawce morfiny, którą Natalie dodała do kroplówki. Początkowo się sprzeciwiał, ale przekonała go, że to konieczność.

- Ból nie pozwoli ci wyzdrowieć - oświadczyła kategorycznie. - Dla dobra kalifatu musisz się zgodzić.

I tym razem nie mogła uwierzyć, że przeszło jej to przez gardło.

Przyłożyła stetoskop do jego klatki piersiowej. Lekko drgnął pod wpływem chłodu głowicy.

- Czy ja naprawdę żyję? - spytał.

- Nie odzywaj się, proszę. Nie mogę prawidłowo cię osłuchać. Zamilkł. Jego prawe płuco pracowało teraz prawidłowo, a serce biło mocno i równomiernie. Owinęła

górną część jego lewego przedramienia mankietem ciśnieniomierza i nadmuchała go, kilkakrotnie naciskając pompkę. Saladyn się skrzywił.

- Co takiego?
- Nic - odparł, zaciskając zęby.
- Czy to sprawia ból?
- Nie, nie.
- Powiedz mi prawdę.
- Ręka - przyznał po chwili.

Natalie wolno opróżniła mankiet z powietrza, zdjęła go i delikatnie obmacała palcami przedramię. Jeszcze poprzedniego wieczoru dostrzegła obrzęk i podejrzewała pęknięcie kości. Teraz, gdy odzyskał przytomność, podejrzenie się potwierdziło.

- Mogę jedynie unieruchomić rękę. To wszystko.
- Może należałoby to zrobić.

Założyła mu rękaw na prawe przedramię.

- Boli?
- Nie.

Ciśnienie kształtowało się w dolnej granicy normy. Zdjęła mankiet i zmieniła opatrunki na nodze i klatce piersiowej. Żadna z ran nie wykazywała objawów infekcji. Wyglądało na to, że zabieg przeprowadzony w niesterylnych warunkach jakimś cudem nie spowodował sepsy. Jeśli nie nastąpi nagłe pogorszenie, Saladyn przeżyje.

Otworzyła opakowanie z syntetyczną opaską stabilizującą i zaczęła usztywniać mu przedramię. Saladyn intensywnie się jej przyglądał.

- Nie musisz zakrywać twarzy w mojej obecności. W końcu - powiedział, wskazując białe prześcieradło, które okrywało jego nagie ciało - dobrze się już znamy. Zupełnie wystarczy hidżab.

Natalie zawahała się, ale zdjęła ciężkie okrycie. Surowy wzrok Saladyna objął jej twarz.

- Jesteś bardzo piękna. Ale Abu Ahmed ma rację. Wyglądasz jak Żydówka.

- Czy to też ma być komplement?

- Znałem wiele pięknych Żydówek, a wszyscy wiedzą, że Żydzi zawsze byli najlepszymi lekarzami.

- Jako arabska lekarka - odparła - czuję się urażona.

- Nie jesteś Arabką. Jesteś Palestynką. A to różnica.

- Z tym również nie mogę się zgodzić.

W milczeniu nakładała mu miękki gips. Ortopedia nie była jej specjalnością, ale przecież chirurgia też nie.

- To był błąd - powiedział, przyglądając się, jak pracuje - że wymieniałem przy tobie imię Abu Ahmeda. Imiona mają dar zabijania ludzi. Postaraj się zapomnieć o tym, co słyszałaś.

- Już zapomniałam.

- On mówi, że jesteś Francuzką.

- Kto? - spytała żartobliwie, ale Saladyn nie zareagował. - Owszem - dodała poważnie. - Jestem Francuzką.

- Popierasz nasz atak na Centrum Weinberga?

- Płakałam z radości.

- Zachodnia prasa twierdziła, że to był miękki cel. Hannah Weinberg współpracowała z izraelskim agentem wywiadu, Gabrielem Allonem, a to całe Centrum Badań nad

Antysemityzmem było w rzeczywistości przykrywką dla izraelskich służb. Dlatego się nim zająłem. – Zamilkł. Czuła na sobie ciężar jego spojrzenia, gdy usztywniała mu ramię. – Może słyszałaś o tym człowieku? O Gabrielu Allonie? – odezwał się znowu. – To wróg Palestyńczyków.

– Chyba kilka miesięcy temu pisali o nim w gazetach – odparła. – To ten, który zginął w Londynie, tak?

– Gabriel Allon? Zginął? – Wolno pokręcił głową. – Nie wierzę.

– Leż chwilę spokojnie – poleciła. – Muszę prawidłowo usztywnić ci rękę. W przeciwnym razie będziesz miał z nią później problemy.

– A z nogą?

– Noga wymaga operacji. Fachowej operacji w prawdziwym szpitalu. W przeciwnym razie według mnie nigdy nie odzyska pełnej sprawności.

– Chcesz powiedzieć, że będę kaleką?

– Będziesz miał ograniczone ruchy i potrzebował laski. No i spowoduje to przewlekły ból.

– Już mam ograniczone ruchy. – Uśmiechnął się z własnego żartu. – Podobno Saladyn, ten prawdziwy, też kulał. Ale go to nie powstrzymało. I mnie też nie powstrzyma.

– Wierzę – powiedziała. – Zwykły człowiek nigdy by nie przeżył z tak ciężkimi ranami. Niewątpliwie Allah nad tobą czuwa. Ma wobec ciebie plany.

– A ja – odrzekł Saladyn – mam plany wobec ciebie.

W milczeniu kończyła nakładać gips. Była zadowolona z efektu. Podobnie jak on.

- Być może, kiedy wykonasz już swą misję, będziesz mogła powrócić do kalifatu i zostać moim osobistym lekarzem?

- Twoim Majmonidesem?

- Właśnie tak.

- To byłby dla mnie zaszczyt - usłyszała własne słowa.

- Ale nie będziemy w Kairze. Tak jak Saladyn, zawsze wolałem Damaszek.

- A Bagdad?

- W Bagdadzie żyją *rafida*.- Tak religijni sunnici obelżywie określali szyitów.

Natalie bez słowa przygotowała nową kroplówkę.

- Co ty dajesz do tego roztworu? - spytał niespokojnie.

- Środek przeciwbólowy. To ci pozwoli przespać popołudniowy upał.

- Nie czuję bólu. I nie chcę zasypiać.

Podłączyła kroplówkę i nacisnęła worek, by roztwór zaczął spływać do żył. W ciągu kilku sekund oczy Saladyna stały się senne. Walczył, by ich nie zamknąć.

- Abu Ahmed ma rację - powiedział, patrząc na nią. - Ty naprawdę wyglądasz na Żydówkę.

- A ty - odparła Natalie - powinieneś spać.

Jego powieki opadły jak żaluzje w oknach i Saladyn bezradnie zapadł w sen.

Prowincja Anbar, Irak

Jej dni wyznaczał rytm życia Saladyna. Spała, gdy on spał, i budziła się, gdy tylko drgnął na pościeli. Monitorowała jego funkcje życiowe, zmieniała opatrunki, wbrew jego woli podawała morfinę, by uśmierzyć ból. Przez kilka sekund od wprowadzenia opiatu w krwioobieg popadał w stan halucynacyjny i słowa płynęły mu z ust jak powietrze, które uszło z uszkodzonego płuca. Natalie mogła przedłużyć tę gadatliwość, podając mniejszą dawkę morfiny, lub przeciwnie – uciszyć go na zawsze większą dawką.

Nigdy jednak nie była sama ze swym pacjentem. Dwaj bojownicy nie odstępowali go na moment, a Abu Ahmed ze swą ponurą miną i krabimi szczypcami zamiast dłoni był zawsze gdzieś w pobliżu. Często naradzał się z Saladysem, ale Natalie nie była w to wtajemniczana. Gdy omawiali sprawy związane z ich państwem lub działaniami terrorystycznymi, wypraszano ją z pokoju.

Nie mogła jednak zbyt daleko się oddalać. Wychodziła najwyżej do sąsiedniego pokoju, toalety lub na zalany słońcem dziedziniec, gdzie Abu Ahmed zachęcał ją do ćwiczeń, powtarzając, że misja, która ją czeka, wymaga sprawności. Nigdy też nie pozwolono jej zwiedzić reszty wielkiego domu, w którym się znajdowała, ani też nie powiedziano, gdzie jest. Zauważyła jednak, że sygnał radia Al-Bajan, którego słuchała

w antycznym tranzystorze, brzmi bez zakłóceń. Słuchanie innych stacji było zabronione, gdyż mogłoby ją narażać na wpływy nieislamskich poglądów lub, Boże uchron, słuchanie muzyki. Brak muzyki był bardziej dotkliwy, niż kiedykolwiek sobie wyobrażała. Tęskniła do choćby kilku nut jakiejś melodii, do dziecięcego rzępolenia gam, a nawet łomotu hip-hopu dobiegającego z przejeżdżającego samochodu. Jej pokoje stały się więzieniem, w zestawieniu z którym obóz w Palmyrze był rajem. Nawet w Rakce czuła się lepiej, bo tam przynajmniej mogła chodzić po ulicach. Mimo ściętych głów i konających na krzyżach skazańców istniała tam przynajmniej jakaś namiastka życia. Kalifat, myślała ponuro, potrafi odebrać nadzieję.

Przez cały czas obserwowała zegar, który stworzyła we własnej wyobraźni, i przewracała kartki równie nierzeczywistego kalendarza. Miała wylecieć z Aten do Paryża w niedzielę wieczorem, by w poniedziałek rano wrócić do pracy w Aubervilliers. Wcześniej jednak musiała przedostać się z kalifatu do Turcji, a stamtąd na Santorini. Saladyn i Ahmed wciąż zapowiadali, że ma ważną rolę do spełnienia w planowanej operacji. Zastanawiała się jednak, czy mają wobec niej jeszcze inne zamiary. Saladyn będzie wymagał stałej opieki lekarskiej przez miesiące. A kto zapewni mu lepszą niż kobieta, która uratowała jego życie?

Nazywał ją swoim Majmonidesem, a ona, nie wiedząc, jak naprawdę się nazywa, używała imienia Saladyn. Nie zostali przyjaciółmi ani powiernikami, do tego było daleko, ale połączyła ich pewna więź. Podobnie jak w przypadku Abu

Ahmeda zabawiała się odgadywaniem, kim był Saladyn przed amerykańską inwazją na Irak. Miał niewątpliwą inteligencję i znajomość historii. W czasie jednej z rozmów wspomniał, że wielokrotnie odwiedzał Paryż, ale nie wyjaśnił, w jakim celu. Mówił po francusku źle, ale bardzo chętnie. Znacznie lepiej znał natomiast angielski. Być może, myślała Natalie, uczęszczał do jakiejś prywatnej szkoły średniej lub akademii wojskowej, gdzie ten język był obowiązkowy. Próbowała wyobrazić go sobie uczesanego i ogolonego, w garniturze i krawacie. Nie wyglądał jednak dobrze. Znacznie lepiej prezentował się w szarozielonym mundurze, a gdy dodała mu wąsy, jakie nosili zwolennicy Saddama, obraz był kompletny. Uznała, że musiał być funkcjonariuszem tajnej policji, a może agentem wywiadu. I dlatego zawsze budził w niej lęk.

Nie był zięjącym nienawiścią dżihadystą. W jego przypadku islam miał wymiar raczej polityczny niż duchowy. Stanowił instrument, z pomocą którego zamierzał na nowo nakreślić mapę Bliskiego Wschodu. Dominowałyby na niej potężne państwo sunnickie rozciągające się od Bagdadu do Półwyspu Arabskiego oraz przez Lewant do Afryki Północnej. Nie wygłaszał wściekłych tyrad, nie oskarżał, nie recytował Koranu ani sentencji Proroka. Był w pełni racjonalny, co czyniło go jeszcze groźniejszym. Wyzwolenie Jerozolimy, powiedział, było jednym z jego głównych celów. Pragnął przed śmiercią choć raz modlić się w sanktuarium na Wzgórzu Świątynnym.

- A ty, Majmonides? Byłaś tam?

- W Jerozolimie? Nie, nigdy.

- No tak, wiem. Abu Ahmed mi mówił.

- Kto?

W końcu jednak opowiedział jej, że wychował się w małej biednej wiosce w irackim Trójkącie Sunnickim, choć celowo nie wymienił jej nazwy. Wstąpił do irackiej armii, co w kraju masowego poboru nie było niczym dziwnym, i służył w niej podczas długiej wojny z Irańczykami, których nazywał Persami lub pogardliwie *rafida*. Nie wypowiadał się na temat okresu między wojną z Iranem i pierwszą wojną w Zatoce. Nadmienił wprawdzie coś o pracy rządowej, ale się nad tym nie rozwodził. Ale kiedy zaczął mówić o drugiej wojnie z Amerykanami, tej, która zniszczyła Irak, jaki znał, jego oczy rozbłysły gniewem. Gdy Amerykanie rozwiązali armię iracką i usunęli wszystkich członków partii Baas ze stanowisk rządowych, znalazł się na ulicy razem z tysiącami innych, głównie irackich sunnitów. Włączył się więc w świecki ruch oporu, a później wstąpił do irackiej Al-Kaidy, gdzie działał Abu Musab az-Zarkawi, z którym się zaprzyjaźnił. W odróżnieniu od Zarkawiego, który podobnie jak bin Laden lubował się w roli supergwiazdy terroryzmu, Saladyn wolał nie rzucać się w oczy. To on, nie Zarkawi, był głównym strategiem wielu najbardziej spektakularnych i śmiertelnych zamachów przeprowadzonych przez iracką Al-Kaidę. A przecież nawet teraz, co stwierdził z satysfakcją, Amerykanie i Jordańczycy nie wiedzą, jak naprawdę się nazywa.

- Ale ty, Majmonides, nie będziesz mieć tyle szczęścia. Wkrótce staniesz się najbardziej poszukiwaną kobietą na naszej planecie. Wszyscy poznają twoje imię, a zwłaszcza

Amerykanie.

Znów spytała o cel zamachu, którego miała dokonać. Rozdrażniony, odmówił odpowiedzi. Ze względu na ostrożność operacyjną, wyjaśnił, zamachowców nie informowano o wyznaczonym celu możliwie jak najdłużej, czasem wręcz do ostatniej chwili.

- Twoja znajoma Safia Bourihane nie знаła celu ataku aż do poprzedzającego go wieczoru. Ale twoje zadanie będzie znacznie większe niż to, którego ona dokonała. Kiedyś będą pisać o tobie książki.

- To operacja samobójcza?

- Majmonides, proszę...

- Muszę to wiedzieć.

- Czy ci nie obiecałem, że zostaniesz moim osobistym lekarzem? Czy nie mówiłem, że zamieszkamy razem w Damaszku?

Ogarnięty nagłym zmęczeniem, zamknął oczy. Natalie pomyślała, że mówił to wszystko bez przekonania. I wtedy zrozumiała, że doktor Lajla Hadawi nie wróci do kalifatu. Uratowała mu życie, lecz on bez cienia wątpliwości i poczucia winy gotów jest wysłać ją na śmierć.

- Czy coś cię boli? - spytała.

- Nic nie czuję.

Położyła palce wskazujący na jego piersi i ją nacisnęła. Gwałtownie otworzył oczy.

- Wygląda jednak na to, że tak.

- Trochę - wyznał.

Zabrała się do przygotowania zwykłej dawki morfiny.

- Zaczekaj, Majmonides. Muszę ci coś powiedzieć.

Podniosła oczy, przerywając swą czynność.

- Za kilka godzin wyjeżdżasz z powrotem do Francji.

W odpowiednim czasie ktoś skontaktuje się z tobą i powie, jak masz postępować.

Skończyła odmierzać dawkę morfiny.

- Być może - powiedziała - spotkamy się znów w raju.

- Inszallah, Majmonides.

Wprowadziła morfinę przez wenflon w żyłę. Oczy mu się zamgliły i wzrok odpłynął w dal. Był bezbronny. Zapragnęła podwoić dawkę opiatu i wysłać go na tamten świat. Nie odważyła się na to. Gdyby umarł, ostrze noża lub grad kamieni przypieczętowałyby jej los.

W końcu, półprzytomny, zamknął oczy. Po raz ostatni sprawdziła jego funkcje życiowe, po czym uśpionemu wyjęła z piersi dren i zszyła cięcie. Tego wieczoru po kolacji założono jej na oczy opaskę i wsadzono na tył kolejnego SUV-a. Była zbyt zmęczona, by się bać. Zapadła w sen bez snów, a gdy się ocknęła, dojeżdżali do granicy tureckiej. Dwaj przemytnicy przeprowadzili ją na drugą stronę i zawieźli na terminal promowy w Bodrum, gdzie czekała Miranda Ward. Dopłynęły razem na Santorini i nocowały we wspólnym pokoju w hotelu Panorama. Dopiero nazajutrz, gdy późnym rankiem przybyły do Aten, Miranda oddała jej telefon. Natalie wysłała esemesa do „taty”, informując, że podróż się udała i że jest bezpieczna. A potem, już sama, na pokładzie Air France odleciała do Paryża.

Część trzecia

KRES DNI

Lotnisko Charles'a de Gaulle'a, Paryż

Na prostokątnym kartonie widniało nazwisko Moresby. Christian Bouchard wybrał je osobiście. Pochodziło z książki, którą kiedyś czytał. Opowiadała o bogatych naiwnych Amerykanach, którzy wyruszyli na wędrowkę wśród arabskich plemion Afryki Północnej. Dla Amerykanów ta wyprawa skończyła się źle, gdyż któryś z nich przypłacił ją życiem. Bouchard nie przepadał za książkami i bez żenady przyznawał, że niemal ich nie czyta. Ten mankament nie zaskarbił mu początkowo sympatii Paula Rousseau, który wedle powszechnej wiedzy czytał nawet podczas szczotkowania zębów. Nieustannie też wciskał swemu zastępcy grube tomy poezji i prozy. Bouchard natomiast układał je w swym mieszkaniu na stoliku, gdzie leżały nietknięte, budząc respekt znajomych jego żony.

Ścisnął teraz tekturkę z nazwiskiem w zwilgotniałej prawej ręce, a w lewej trzymał komórkę, która od kilku godzin nieprzerwanie pikała, sygnalizując strumień esemesów dotyczących niejkiej doktor Lajli Hadawi, obywatelki francuskiej pochodzenia arabsko-palestyńskiego. Wczesnym popołudniem w Atenach doktor Hadawi weszła na pokład samolotu Air France, rejs numer 1533, po spędzonym w Grecji miesiącu wakacji. Przeszła kontrolę graniczną niepytana o nic i teraz kierowała się do hali przylotów terminalu 2F,

a przynajmniej tak wynikało z wiadomości, którą właśnie dostał Bouchard. On sam gotów był w to uwierzyć dopiero wtedy, gdy zobaczy ją na własne oczy. Izraelczyk stojący obok, szczupły mężczyzna o jasnoszarych oczach, myślał chyba podobnie. Francuscy koledzy z zespołu mówili o nim „Michel”, ale coś sprawiało, że Bouchard czuł się niepewnie w jego towarzystwie. Nie potrafił wyobrazić go sobie inaczej niż z bronią wycelowaną w człowieka, którego zamierzał zgładzić.

- Jest - mruknął Izraelczyk, patrząc w ziemię, ale Bouchard nadal jej nie widział. Samolot z Aten przybył niemal jednocześnie z innym, lecącym z Kairu, i teraz jak okiem sięgnąć, roило się od hidżabów.

- Jaki kolor? - spytał Bouchard.

- Burgund - odparł tamten. Było to jedno z zaledwie kilku francuskich słów, które znał.

Bouchard omiatał wzrokiem kolejne fale pasażerów napływających do hali przylotów, aż w końcu ją dostrzegł. Niczym liść niesiony rwącym strumieniem przesunęła się niecały metr od nich. Ze wzrokiem utkwionym przed siebie i lekko uniesioną brodą ciągnęła swą małą walizkę na kółkach. Niebawem dotarła do wyjścia i zniknęła im z oczu.

Bouchard spojrział na Izraelczyka, który, o dziwo, się uśmiechał. Ulga, którą odczuwał, była wręcz namacalna. Ale Francuz, który znał się trochę na sprawach serca, wyczuł coś jeszcze. Izraelczyk był zakochany w kobiecie, która właśnie wróciła z Syrii. W tej kwestii Bouchard nie miał żadnych wątpliwości.

* * *

Spokojnie wróciła do mieszkania w *banlieue* Aubervilliers i swego poprzedniego życia. Była Lajlą, zanim jeszcze Dżalal Nasser podszedł do niej w kawiarni po przeciwnej stronie ulicy i zanim ślicznotka z Bristolu przeprowadziła ją do Syrii. Nigdy nie widziała potworności Rakki ani tragedii Palmyry, nigdy nie wyjmowała odłamków szrapnela z ciała mężczyzny zwanego Saladynem. Była w Grecji, na uroczej wyspie Santorini. Owszem, wyspa jest tak piękna, jak sobie wyobrażała. Nie, chyba już tam nie wróci. Jeden raz wystarczy.

Jak na kogoś, kto spędził miesiąc na wakacjach, była dziwnie wychudzona, a jej twarz nosiła ślady napięcia i zmęczenia. Zresztą to zmęczenie nadal nie ustępowało, gdyż po powrocie do Paryża cierpiała na bezsenność i nie mogła odzyskać apetytu. Wmuszała w siebie słodkie rogaliki, bagietki, różnego rodzaju spaghetti i tłusty camembert, lecz zdołała przybrać na wadze zaledwie kilogram lub dwa, co niewiele zmieniło. Wyglądała jak kolarz, który właśnie ukończył Tour de France – a może dżihadysta, który spędził miesiąc na ćwiczeniach w Syrii i w Iraku.

Roland Girard, rzekomy kierownik przychodni, starał się nie obciążać jej zbyt dużą liczbą pacjentów, ale nie chciała nawet o tym słyszeć. Po miesiącu w obłąkanym świecie kalifatu tęskniła choćby do namiastki normalnego życia, nawet jeśli to było życie Lajli, nie jej. Uświadomiła sobie również, że tęskni do swych pacjentów – ubogich mieszkańców *cités*, obywateli innej Francji niż ta, którą znała.

I po raz pierwszy spojrzała na arabski świat tak, jak zapewne oni go widzieli – miejsce bezlitosne i okrutne, ziemię bez przyszłości, z której trzeba uciekać. Przeważająca ich większość nie pragnęła niczego więcej, niż żyć w spokoju i troszczyć się o rodziny. Ale istniała też mniejszość – niewielka procentowo, lecz znaczna liczbowo – którą uwiódł syreni śpiew radykalnego islamu. Byli wśród niej ludzie gotowi mordować swych przyjaciół Francuzów w imię kalifatu. A zapewne i tacy, którzy bez wahania poderznąliby gardło doktor Hadawi, gdyby znali sekret ukryty pod jej hidżabem.

Mimo to cieszyło ją, że znów jest wśród nich i że wróciła do Francji. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego nikt nie wzywa jej do złożenia raportu, czego w głębi duszy się obawiała. Obserwowali ją. Widziała ich na ulicach *banlieue* i w oknie mieszkania naprzeciwko. Przypuszczała, że po prostu są ostrożni, gdyż na pewno nie tylko oni śledzą jej kroki. Niewątpliwie Saladyn robi to samo.

W końcu jednak, w pierwszy piątek po powrocie, Roland Girard znów zaprosił ją po pracy na kawę. Ale zamiast skierować się do centrum, jak to zrobił przed jej wyjazdem do Syrii, ruszył na północ, w głąb kraju.

- Nie zawiążesz mi oczu? - zapytała.

- Słucham?

W milczeniu spoglądała na zegar i szybkościomierz, myśląc o prostej jak strzała, zaplamionej olejem drodze, która biegła na wschód ku pustyni. Na jej końcu stał wielki dom o licznych pokojach i podwórzach. W jednym z tych pokoi, obandażowany i słaby, leżał Saladyn.

- Mogę cię o coś prosić, Rolandzie?
- Oczywiście.
- Włącz mi jakąś muzykę.
- Jaką?
- Nieważne. Każda będzie dobra.

* * *

Przez imponującą bramę wjechali na długi zwirowany podjazd. Na samym końcu wznosił się obrośnięty bluszczem, okazały dwór. Roland Girard zatrzymał się kilka metrów przed głównym wejściem, nie gasząc silnika.

- Dalej nie mogę ci towarzyszyć. Nie mam pozwolenia. Żałuję, bo bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak tam było.

Nie odpowiedziała.

- Trzeba wielkiej odwagi, żeby wejść w gniazdo tych bestii.
- Zrobiłbyś to samo.
- Za żadne skarby.

Zapaliło się światło przed domem i otworzyły drzwi.

- Idź - rzekł Girard. - Długo na ciebie czekali.

W wejściu stał Michał. Natalie wysiadła z samochodu i wolno do niego podeszła.

- Zaczynałam już myśleć, że zapomnieliście o mnie.
- Ani na chwilę. - Przyjrzał jej się z uwagą - Wyglądasz okropnie.

Spojrzała ponad jego ramieniem w głąb wielkiego domu.

- Jak tu pięknie. Znacznie ładniej niż w moim mieszkanku w Aubervilliers.

- Albo w tej norze przy parku Ar-Raszida.

- Śledziliście mnie?

- Na tyle, na ile się dało. Wiemy, że przewieźli cię do jakiejś wioski w pobliżu granicy z Irakiem i że zapewne przesłuchiwał cię tam niejaki Abu Ahmed al-Tikriti. Wiemy też, że spędziłaś kilka dni w obozie szkoleniowym w Palmyrze. I że nawet znalazłaś czas, żeby zwiedzać ruiny w świetle księżyca. - Zawahał się, nim dokończył: - Wiemy również, że zawieźli cię do wioski nieopodal Mosulu, do dużego domu, w którym mieszkałaś przez kilka dni. Widzieliśmy, jak spacerowałaś po jednym z małych dziedzińców.

- Trzeba było zbombardować ten dom.

Michaił odsunął się i gestem zaprosił ją do środka. Ale ona nie ruszała się z miejsca.

- Co się stało?

- Boję się, że go zawiodłam.

- To niemożliwe.

- Zobaczymy. - Westchnęła i weszła do środka.

* * *

Obejmowali ją, całowali i przytulali do siebie tak mocno, jakby się obawiali, że nagle zniknie i nigdy już nie wróci. Dina zdjęła z głowy Natalie hidżab, a Gabriel wcisnął w jej dłoń kieliszek chłodnego białego wina. Rozpoznała sauvignon blanc z zachodniej Galilei, które uwielbiała.

- Nie mogę - parsknęła śmiechem. - To haram.

- Nie dziś - powiedział. - Dziś jesteś jedną z nas.

Była kolacja i muzyka, i choć w powietrzu zawisło tysiąc

pytań, nikt nie odważył się ich zadać. Czas na to miał przyjść później. Wysłali swą agentkę do jaskini bestii, a ona z niej wróciła. Teraz pragnęli upajać się sukcesem. Cieszyć się życiem.

Jedynie Gabriel, jak się zdawało, nie podzielał ogólnej wesołości. Nie tknął wina ani jedzenia, sączył tylko kawę. Nie spuszczał natomiast wzroku z Natalie, przyglądając jej się z tak denerwującą uwagą, jakby pragnął ją sportretować. Pamiętała, jak pierwszego dnia jej pobytu na farmie w Dolinie Jezreel opowiadał o swojej matce. O tym, jak rzadko się śmiała, a nawet uśmiechała, i że nawet odświętne okazje nie sprawiały jej radości. Być może to właśnie po niej odziedziczył skłonność do smutku. A może, myślała, już wiedział, że ten wieczór nie jest radosnym wydarzeniem.

Po jakimś czasie, jakby na niewidzialny znak, przyjęcie się zakończyło. Uprzątnięto stoły, wyniesiono wina. W jednym z pokoi czekał na nią wygodny fotel i choć nigdzie nie dostrzegła kamer ani mikrofonów, była pewna, że jej relacja zostanie nagrana. Gabriel stał.

- Z reguły - zaczął - słucham raportów od początku. Ale tym razem należałoby chyba zacząć od końca.

- Tak - potwierdziła. - Chyba tak.

- Kto był w tym wielkim domu w pobliżu Mosulu?

- Saladyn - odparła bez wahania.

- Dlaczego cię tam zawieźli?

- Bo wymagał pomocy lekarskiej.

- I ty jej udzieliłaś?

- Tak.

- Dlaczego?

- Dlatego - odparła Natalie - że umierał.

Seraincourt, Francja

- Kiedyś - powiedział Gabriel - napiszą o tobie książkę.

- To śmieszne - odparła - ale to samo mówił Saladyn.

Spacerowali po ścieżce w ogrodzie wokół *château*. Słabe światło sączyło się przez wysokie okna salonu, ale poza tym wszędzie panowała ciemność. W ciągu wielu godzin ich rozmowy rozpętała się burza i choć zdążyła ucichnąć, żwir pod stopami Natalie był jeszcze mokry. Zadrzała. Chłód powietrza niósł zapowiedź jesieni.

- Zmarzłaś - stwierdził Gabriel. - Wracajmy.

- Jeszcze nie. Chciałabym powiedzieć ci coś prywatnie.

Przystanął, by spojrzeć jej w twarz.

- On wie, kim jesteś.

- Saladyn? - Uśmiechnął się. - To pochlebne, ale specjalnie mnie nie dziwi. Mam licznych fanów w arabskim świecie.

- Niestety chodzi o więcej. Wie o twoich powiązaniach z Hannah Weinberg. I uważa, że wcale nie zginąłeś.

Tym razem nie zareagował uśmiechem.

- Co to znaczy? - zapytała.

- To znaczy, że nasze przypuszczenia są trafne. Saladyn był zapewne funkcjonariuszem wywiadu irackiego. I może mieć powiązania z pewnymi środowiskami w Arabii Saudyjskiej. Kto wie? Może nawet otrzymuje od nich wsparcie.

- Przecież ISIS chce zniszczyć Dom Saudów i włączyć

Półwysep Arabski do kalifatu.

- W teorii.

- Więc dlaczego Saudyjczycy mieliby popierać islamistów?

- Teraz ty jesteś ekspertem od ISIS. Sama na to odpowiedz.

- Arabia Saudyjska nie umie zająć jednoznacznego stanowiska. To kraj stojący w rozkroku. Z jednej strony zwalcza sunnicki ekstremizm, a z drugiej dostarcza mu paliwa. Zachowuje się jak człowiek trzymający tygrysa za uszy. Jeśli je puści, zostanie pożarty.

- Widzę, że uważnie słuchałaś długich wykładów na naszej farmie - stwierdził Gabriel z uznaniem. - Ale pominęłaś pewną istotną kwestię, czyli Iran. Ten kraj budzi w Saudyjczykach więcej obaw niż ISIS. Bo Iran to szyici, a ISIS, choć jest wcieleniem zła, składa się z sunnitów.

- A z perspektywy saudyjskiej - kontynuowała - znacznie bardziej pożądanym byłby sunnicki kalifat niż szyicki półksiężyc rozciągający się od Iranu po Liban.

- Właśnie tak. - Znów się uśmiechnął. - Będziesz dobrym agentem wywiadu. W gruncie rzeczy - poprawił się zaraz - już nim jesteś.

- Dobry agent wywiadu nie ocaliłby życia takiego potwora jak Saladyn.

- Postąpiłaś właściwie.

- Naprawdę tak uważasz?

- Nie jesteśmy tacy jak oni, Natalie. Skoro chcą umierać za Allaha, chętnie im w tym pomożemy, jeśli tylko zdołamy, ale w tym działaniu nie będziemy poświęcać siebie. Poza tym - dodał po chwili - gdybyś zabiła Saladyna, jego miejsce zająłby

Abu Ahmed al-Tikriti.

- Po co więc zabijać jednego, skoro jego miejsce natychmiast zajmie inny?

- To pytanie, które nie daje nam spokoju.

- I jak brzmi odpowiedź?

- A jaki mamy wybór?

- Może należy zbombardować ten dom?

- Zły pomysł.

- Dlaczego?

- Ty mi to powiedz.

Przez chwilę poważnie się zastanawiała.

- Ponieważ zaczęliby podejrzewać, że kobieta, która uratowała Saladyna i którą nazywał swoim Majmonidesem, była szpiegiem. I że ujawniła swym mocodawcom miejsce, w którym przebywał.

- Bardzo dobrze. Poza tym możesz być pewna, że przewieźli go gdzie indziej już w chwili, kiedy przekroczyłaś granicę turecką.

- Obserwowaliście to?

- Nasz satelita został przekierowany na ciebie.

- Widziałam kilkakrotnie, że Al-Tikriti używał telefonu.

- Ten telefon jest już nieaktywny. Poproszę Amerykanów, żeby przejrzyli swoje dane satelitarne i komórkowe. Może oni zdołają odtworzyć ruchy Saladyna, ale to mało prawdopodobne. Bardzo długo szukali Al-Bagdadięgo. Bez powodzenia. W takich przypadkach jak ten powinniśmy wiedzieć, gdzie Saladyn zamierza się przenieść, a nie gdzie jest teraz. - Rzucił jej krótkie spojrzenie. - Czy istnieje jakaś

szansa, żeby mógł umrzeć z powodu tych ran?

- Zawsze jakaś jest. Ale obawiam się, że miał zbyt dobrego lekarza.

- Bo to żydowski lekarz, a wszyscy wiedzą, że Żydzi to najlepsi lekarze.

Uśmiechnęła się.

- Masz inne zdanie?

- Nie, tylko że Saladyn powiedział to samo.

- Nawet stojący zegar dwa razy dziennie poprawnie wskazuje czas.

Przez chwilę szli w milczeniu, zwir chrzęścił pod ich stopami. W pewnej chwili z ciemności wyłonił się widmowy posąg Apolla. Na moment Natalie znów znalazła się w Palmyrze.

- I co teraz? - spytała w końcu.

- Zaczekamy, aż Saladyn cię wezwie. I powstrzymamy następny zamach.

- A jeśli nie włączą mnie do operacji?

- Zainwestowali w ciebie sporo czasu i wysiłku. Niemal tyle ile my - dodał.

- Jak długo będziemy musieli czekać?

- Tydzień, miesiąc... - Wzruszył ramionami. - Saladyn od dawna zna ten fach, można by powiedzieć, że od tysiąca lat. To bardzo cierpliwy człowiek.

- Nie mogę wiecznie udawać, że jestem Lajlą Hadawi.

Nie odpowiedział.

- Jak się czują moi rodzice?

- Martwią się, ale są zdrowi.

- Wiedzą, że wyjeżdżałam do Syrii?
- Nie. Ale wiedzą, że jesteś bezpieczna.
- Mam jedną jedyną prośbę.
- Cokolwiek zechcesz - powiedział. - Oczywiście w granicach rozsądku.
- Chcę ich zobaczyć.
- Niemożliwe. - Wymownie machnął ręką.
- Proszę. - Patrzyła na niego błagalnie. - Choć na kilka minut.
- Na kilka minut?
- Tak, to wszystko. Chcę tylko usłyszeć głos mojej matki i przytulić się do taty.
Przez chwilę udawał, że się zastanawia.
- Chyba można to jakoś zorganizować.
- Naprawdę? Kiedy?
- Teraz.
- Co ty mówisz?
Wyciągnął rękę w stronę domu, ku światłu sączącemu się z przeszklonych drzwi. Natalie odwróciła się i jak dziecko ruszyła biegiem przez ciemną ogrodową ścieżkę. Jest piękna, pomyślał Gabriel. Nawet wtedy, kiedy płacze.

Paryż – Tyberiada, Izrael

Ostatnie dni września minęły w mgnieniu oka, a potem cały październik. Jak rzadko o tej porze Paryż kąpał się w słońcu i ciepłe ku zadowoleniu zespołu obserwatorów, tych niedocenianych bohaterów operacji. Ale gdy nadszedł listopad, wszystkich zaczęła ogarniać panika. Nawet zazwyczaj spokojny Paul Rousseau tracił opanowanie, chociaż jemu należało to wybaczyć. Czuł na plecach nie tylko oddech swego szefa i ministra, ale również ciężki wzrok prezydenta, zbyt słabego politycznie, by utrzymać stanowisko w przypadku kolejnego zamachu na terytorium Francji. Na szczęście prezydent wyjeżdżał wkrótce do Waszyngtonu na spotkanie ze swym amerykańskim odpowiednikiem, za co Rousseau był niewymownie wdzięczny losowi.

Natalie dzielnie odgrywała swoją rolę, ale nie ulegało wątpliwości, że podwójne życie, które prowadziła na ponurym przedmieściu, zaczyna ją już męczyć. Nie wzywano jej więcej na spotkania członków zespołu, a komunikację ograniczono do esemesów. Na rutynowe pytania kontrolne odpowiadała zdawkowo. Nie narzeka. Jest zdrowa. Nudzi się. Jest samotna. W wolne dni wsiadała do kolejki RER, by uciec od nędzy przedmieścia, i wykańczała swych obserwatorów długimi wędrówkami po ulicach centralnego Paryża. W czasie jednej z takich przechadzek jakaś aktywistka z Frontu

Narodowego przyczepiła się do jej hidżabu. Natalie ostro zareagowała i natychmiast obie, zaciskając pięści, stanęły twarzą w twarz na ruchliwym rogu ulicy. Gdyby nie interwencja żandarma, mogłoby dojść do rękoczynów.

- Świetna zagrywka - skomentował Paul Rousseau, gdy tego wieczoru spotkał się z Gabrielem w siedzibie Grupy Alfa przy rue de Grenelle. - Miejmy nadzieję, że Saladyn to oglądał.

- Owszem - zgodził się Gabriel. - Miejmy nadzieję.

Ale czy w ogóle żył? A jeśli tak, to czy utracił wiarę w kobietę, która go uratowała? Tego obawiali się najbardziej. Bo co, jeśli nowa operacja Saladyna nabiera jak pociąg tempa, a doktor Lajla Hadawi nie dostała biletu? Tymczasem międzynarodowy system monitoringu mrugał ostrzegawczą czerwienią. W stolicach europejskich, również w Paryżu, ogłoszono alert. W Waszyngtonie Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego niechętnie podniósł dotychczasowy stopień zagrożenia terrorystycznego, choć prezydent w wystąpieniach publicznych nadal je bagatelizował. To, że po ostrzeżeniach nie następował atak, najwyraźniej potwierdzało jego opinię, że islamiści nie mają zdolności do przeprowadzenia prawdziwie spektakularnego ataku na amerykańskiej ziemi.

Podpisano porozumienie klimatyczne, słynna gwiazda popu wydała długo oczekiwany album, nastąpiło załamanie na chińskiej giełdzie i świat wkrótce o wszystkim zapomniał. Tyle że świat nie wiedział tego, co wiedzieli Gabriel, Natalie i pozostali członkowie zespołu - że gdzieś w Iraku lub Syrii żyje mężczyzna zwany Saladynem. I że nie jest to kompletny

wariat, lecz przeciwnie, człowiek rozumny, sunnicki nacjonalista i zapewne były agent wywiadu. Rażony odłamkiem szrapnela odniósł ciężkie rany prawej strony ciała - klatki piersiowej i uda, jeśli więc mógł poruszać się o własnych siłach, to nie inaczej niż z laską lub o kulach. Dzięki bliznom był łatwo rozpoznawalny. Miał też niezwykle ambicje. Zamierzał dokonać zamachu na taką skalę, by zmusić Zachód do ataku na islamski kalifat. Wierzył, że gdy armie Rzymu i brodaci długowłosi bojownicy pod czarnymi flagami zewrą się z sobą na równinie północnej Syrii w miejscu o nazwie Dabik, zwycięstwo odniosą wojska spod czarnych flag. A wówczas rozpęta się ciąg apokaliptycznych wydarzeń, które doprowadzą do nadejścia Mahdiego i kresu starego świata.

Ale nawet w świętym mieście Jerozolima, ostatecznym celu Saladyna, uwagę pochłaniały inne sprawy. Od czasu gdy Gabriel miał przejąć kierownictwo Biura, upłynęło kilka miesięcy, i premier, który dotąd akceptował to opóźnienie, tracił już cierpliwość. Miał zresztą sojusznika w Arim Szamronie, który od początku był przeciwny zwłoce. Zdesperowany Szamron skontaktował się z zaprzyjaźnionym dziennikarzem i poinformował, oczywiście anonimowo, że zmiana kierownictwa Biura nastąpi niebawem, raczej w ciągu najbliższych dni niż tygodni. Zasugerował też, że decyzja premiera w tej sprawie może, oględnie mówiąc, być zaskakująca. Spowodowało to burzę spekulacji medialnych, w trakcie których padało wiele nazwisk, ale o Gabrielu Allonie wspomiano tylko przypadkiem i z żalem. Gabriel był szefem,

który nigdy nie objął stanowiska. Gabriel zginął.

On tymczasem jak najbardziej żył. Był zmęczony długą podróżą i pełen niepokoju, że jego starannie planowana i wykonana operacja poniosła fiasko, ale bez wątpienia żywy. Pewnego piątkowego popołudnia w połowie listopada wrócił do Jerozolimy po kilku dniach w Paryżu, pragnąc spędzić spokojny weekend z żoną i dziećmi. Ale kilka minut po jego przyjeździe Chiara poinformowała go, że jeszcze tego wieczoru Szamronowie oczekują ich na kolacji w swej willi w Tyberiadzie.

- Nie ma mowy - odparł.

- Jest szabat. - Chiara nie dodała słowa więcej. Dla niej, córki głównego rabina Wenecji, szabat to as atutowy. Unieważniał wszelkie argumenty. Zamykał sprawę.

- Jestem zbyt zmęczony. Zadzwoń do Gilah i powiedz, że wpadniemy kiedy indziej.

- Sam zadzwoń.

Tak więc zrobił. Rozmowa trwała krótko, niecałą minutę.

- Co powiedziała?

- Powiedziała, że jest szabat.

- To wszystko?

- Nie. Dodała, że Ari nie czuje się dobrze.

- Chorował całą jesień. Byłeś zbyt zajęty, żeby to zauważyć, a Gilah nie chciała cię martwić.

- Co się tym razem stało?

Wzruszyła ramionami.

- Twój *abba* się starzeje, Gabrielu.

Wyjazd rodziny Allonów nie był prostym przedsięwzięciem.

Należało przymocować dziecięce foteliki z tyłu SUV-a, który prowadził Gabriel, i zaangażować dodatkowy samochód ochrony. W końcu jednak kawalkada przetoczyła się w popołudniowym szczycie przez Bab al-Wad, by skierować się na północ ku nadbrzeżnym równinom, a potem pomknąć na zachód przez Galileę. Miodowa willa Szamronów wznosiła się na szczycie skalistego urwiska nad jeziorem. Wjazdu strzegł niewielki posterunek za metalową bramą, gdzie ochrona pełniła dyżury. Przypominało to zabezpieczenie bazy wojskowej na wrogim terytorium.

Do zachodu słońca pozostało dokładnie trzy minuty, gdy samochody zatrzymały się przed wejściem do willi. Gilah Szamron stała już na schodach, poklepując zegarek na nadgarstku, by ich ponaglić. Musieli się pospieszyć, jeśli chcieli o czasie zapalić świece. Gabriel wziął dzieci na ręce i wniósł je do środka, podczas gdy Chiara wyjmowała dania, które przyrządzała przez pół dnia. Gilah również spędziła cały dzień w kuchni, toteż jedzenia wystarczyłoby dla całej rzeszy głodnych.

Słuchając tego, co mówiła Chiara o stanie zdrowia Szamrona, Gabriel spodziewał się najgorszego. Doznał więc głębokiej ulgi, gdy zobaczył go w niezłej formie. W każdym razie wyglądał znacznie lepiej niż wtedy, gdy widzieli się ostatnio. Miał na sobie jak zwykle białą koszulę typu oksford, wyprasowane spodnie khaki, choć tego listopadowego wieczoru włożył jeszcze granatowy blezer. Niewiele zostało mu już włosów, cerę zaś miał tak bladą, że wręcz przezroczystą, ale jego niebieskie oczy rozpromieniły się za

szkłem okularów, gdy Gabriel wszedł, trzymając jedno dziecko na każdym z ramion. Szamron wyciągnął pokryte plamami wątrobowymi ręce, o wiele za duże jak na tak małego człowieka, a Gabriel bez obaw powierzył mu Raphaela. Ari trzymał malca jak odbezpieczony granat i szeptał mu do ucha jakieś głupstwa swym ciężkim polskim akcentem, aż w końcu Raphael radośnie zachichotał. Gabriel poczuł się nagle szczęśliwy, że przyjechał.

Obce były mu praktyki religijne, ale jak zawsze wtedy, gdy Gilah przysuwała do oczu płomień szabasowych świec, recytując błogosławieństwo, pomyślał, że nie widział nic równie pięknego. Potem Szamron odprawił błogosławieństwo nad chlebem i winem z intonacją jidysz swojej młodości i rozpoczęli posiłek. Gabriel nie zdążył jeszcze nic przełknąć, gdy przyjaciel zaczął go wypytywać o szczegóły operacji. Słyszając to, Gilah zręcznie skierowała rozmowę na temat dzieci. Chiara zrelacjonowała ostatni etap ich rozwoju – przyrost wagi i wzrostu, postępy w mowie i sprawności ruchowej, a także zmiany wprowadzone w żywieniu. Gabriel jedynie przelotnie mógł to obserwować w ciągu ostatnich miesięcy, a tymczasem już za kilka tygodni bliźniaki obchodziły swe pierwsze urodziny. Tę okazję mieli również uczcić na spotkaniu w Tyberiadzie. Zastanawiał się tylko, czy plany Saladyna pozwolą mu na udział w tym przyjęciu.

Jednak przez większość czasu próbował zapomnieć o swych służbowych obowiązkach przynajmniej na tyle, by cieszyć się spokojnym wieczorem z rodziną. Nie odważył się wprowadzić wyłączyć telefonu, ale też nie sprawdzał, czy nie dostał

nowych wiadomości z Paryża. Nie musiał. Wiedział, że za kilka minut Natalie opuści przychodnię przy avenue Victor Hugo w *banlieue* Aubervilliers. Może pójdzie do swojej kawiarni, by coś wypić lub zjeść, a może uda się wprost do mieszkania, by spędzić tam kolejny samotny wieczór. Ogarnęło go silne poczucie winy. Natalie też powinna spędzać ten szabat z rodziną. Zastanawiał się, jak długo jeszcze zdoła to wszystko wytrzymać. Miał nadzieję, że na tyle długo, by Saladyn w końcu się odezwał.

Szamron w czasie kolacji nie mówił wiele. Towarzyskie rozmowy nigdy nie były jego mocną stroną. Gdy wypili kawę, włożył swoją starą skórzaną kurtkę i wyprowadził Gabriela na taras. Rozciągał się stamtąd widok na wschód, w stronę srebrzystego jeziora i mającego nad nim czarnego masywu Wzgórz Golan. Za nimi wyrastała góra Arbel ze starożytną synagogą i wydrążonymi w skale jaskiniami, które służyły za kryjówki Żydom walczącym z Rzymianami, a na południowo-wschodnim zboczu rozłożyło się małe miasto. Ongiś była to arabska wioska zwana Hittin, a znacznie dawniej, przed tysiącem lat – Hattin. To właśnie tam, o rzut kamieniem od miejsca, w którym stali teraz Gabriel i Szamron, Saladyn – ten prawdziwy – dokonał pogromu chrześcijańskiej armii.

Szamron włączył dwa grzejniki gazowe, by nieco złagodzić ostry chłód powietrza. A potem, lekceważąc słabe protesty Gabriela, zapalił jednego ze swych tureckich papierosów. Usiedli na dwóch fotelach ustawionych na brzegu tarasu, Gabriel po prawej ręce Szamrona, kładąc telefon na stoliku między nimi. Sierp księżycy wędrował nad Wzgórzami Golan,

szczodrze oświetlając ziemię kalifatu. Z wnętrza domu dobiegały przez otwarte drzwi głosy Gilah i Chiary, a także szczebiotanie i śmiech dzieci.

- Czy zauważyłeś - zapytał Szamron - podobieństwo twojego syna do Daniela?

- Trudno go nie dostrzec.

- Jest szokujące.

- W istocie. - Gabriel patrzył na księżyc.

- Szczęściarz z ciebie.

- Czyżby?

- Nieczęsto dostajemy drugą szansę.

- Ale wraz ze szczęściem - odparł Gabriel - rodzi się poczucie winy.

- Nie ponosisz żadnej winy. To ja cię zwerbowałem. I to ja pozwoliłem ci zabrać do Wiednia żonę i dziecko. Jeśli ktokolwiek ma się tu czuć winny - ciągnął posępnie Szamron - to wyłącznie ja. Uświadamiam to sobie za każdym razem, kiedy widzę twarz twojego syna.

- I kiedy wkładasz tę starą kurtkę.

Szamron rozdarł lewy rękaw kurtki, gdy na wiadomość o wybuchu bomby w Wiedniu pospiesznie wsiadał do samochodu. Nigdy nie pozwolił jej zaszyć. To rozdarcie przypominało mu Daniela. Znów rozległy się z tyłu ciche głosy kobiet i śmiech dziecka. Gabriel nie rozpoznał którego. Tak, myślał, jest człowiekiem szczęśliwym. Ale w jego życiu nie było godziny, w której by nie trzymał na rękach bezwładnego ciała syna lub nie wyciągał żony z za kierownicy płonącego samochodu. Szczęście było karą za to, że przeżył.

- Rozbawił mnie artykuł na temat rychłej zmiany kierownictwa Biura - odezwał się po chwili.

- Doprawdy? - Nawet Szamron zdawał się zadowolony ze zmiany tematu. - Cieszę się.

- To chwyt poniżej pasa, Ari. Nawet jak na twoje standardy.

- Nigdy nie wierzyłem w skuteczność czystej walki. Dlatego jestem szpiegiem, nie żołnierzem.

- To destrukcyjne - odrzekł Gabriel.

- Dlatego to zrobiłem.

- Czy premier wie, że to twoja sprawka?

- A jak myślisz, kto mi to zlecił? - Szamron drżącą ręką podniósł papierosa do ust. - Ta sytuacja - stwierdził pogardliwie - trwa już zbyt długo.

- Prowadzę operację.

- Można jednocześnie spacerować i żuć gumę.

- To znaczy?

- Kierując Biurem, byłem również szefem operacji - odparł - i spodziewam się, że ty też nim będziesz.

- W chwili, gdy siatka Saladyna nawiąże kontakt z Natalie, rozpoczniemy wojnę. Nie mogę się zajmować sprawami pracowników i przydziałem miejsc na parkingu, próbując jednocześnie powstrzymać kolejny zamach.

- Jeśli nawiąże ten kontakt... - Szamron spojrzał wymownie i zdusił papierosa w popielniczce. - Dwa i pół miesiąca to dużo czasu.

- Dwa i pół miesiąca to nic. I dobrze o tym wiesz. Oni tak właśnie działają. Safia Bourihane po powrocie z Syrii była nieaktywna przez wiele miesięcy. Tak bierna, że Francuzi

przestali się nią interesować. O co właśnie Saladynowi chodziło.

- Obawiam się, że premier nie zechce dłużej czekać. Podobnie jak ja.

- Naprawdę? Dobrze wiedzieć, że wciąż cię słucha.

- A dlaczego miałyby nie słuchać? - Płomień starej zapalniczki marki Zippo rozjaśnił mrok. Szamron przypalił kolejnego papierosa.

- Jak długo?- spytał Gabriel.

- Jeśli nie skontaktują się z Natalie do przyszłego piątku, premier osobiście ogłosi w telewizji twoją nominację. A w następną sobotę po raz pierwszy weźmiesz udział w radzie gabinetu jako szef Biura.

- Kiedy premier zamierza mi to powiedzieć?

- Mówi ci to teraz - oznajmił Szamron.

- Dlaczego teraz? Skąd ten nagły pośpiech?

- Polityka - odparł Ari Szamron. - W koalicji rysują się pęknięcia. Premier widzi potrzebę jakiegoś pozytywnego bodźca i wierzy, że ty go dostarczysz.

- Nie widzę powodu, żeby wspierać jego pozycję polityczną.

- Mogę ci dać pewną radę, synu?

- Jeśli musisz.

- Pewnego dnia, może wkrótce, popełnisz jakiś błąd. Dojdzie do skandalu albo katastrofy operacyjnej, a wtedy premier będzie ci potrzebny. Nie zrażaj go do siebie.

- Zamierzam ograniczyć skandale i katastrofy do minimum.

- Nie rób tego. Pamiętaj, kariera bez skandalu...

- To żadna kariera.

- A więc jednak słuchałeś.

- Co do słowa.

Szamron podniósł zmęczony wzrok na Wzgórza Golan.

- Jak myślisz, gdzie on jest?

- Saladyn?

Szamron przytaknął.

- Amerykanie myślą, że gdzieś w pobliżu Mosulu.

- Nie pytam Amerykanów, tylko ciebie.

- Nie mam bladego pojęcia.

- Radziłbym nie udzielać takich odpowiedzi w czasie rozmowy z premierem.

- Będę o tym pamiętać.

Nastąpiło krótkie milczenie.

- Czy to prawda, że ocalała mu życie? - spytał w końcu Szamron.

- Obawiam się, że tak.

- I w nagrodę Saladyn wyśle ją na śmierć.

- Nie będzie miał tyle szczęścia.

W tym momencie rozbłysł ekran komórki Gabriela. Gdy czytał wiadomość, oświetlił jego twarz i Szamron zauważył, że się szeroko uśmiecha.

- Dobre wiadomości?

- Bardzo.

- Co takiego?

- Wygląda na to, że uzyskałem kolejne odroczenie.

- Od premiera?

- Nie. - Gabriel wyłączył telefon. - Od Saladyna.

Amman, Jordania – siedziba CIA

Gabriel wrócił na ulicę Narkiss jedynie po to, by wrzucić do walizki jakieś ubranie. Gdy wsunął się na tylne siedzenie swego SUV-a, kierowca w rajdowym tempie ruszył przez Zachodni Brzeg do Ammanu. Tam, na lotnisku Królowej Alii, czekał jeden z gulfstreamów Jego Wysokości Króla Jordanii, zatankowany i gotów do odlotu. Farid Barakat siedział wyciągnięty na fotelu obrotowym z rozluźnionym krawatem. Wyglądał jak zapracowany menedżer u kresu długiego, lecz owocnego dnia. Zanim jeszcze Gabriel zajął miejsce, samolot zaczął kołować i po chwili wzbił się w powietrze. Wciąż nabierał wysokości, gdy przelatywali nad Jerozolimą.

- Spójrz na te osiedla. - Farid wskazał równe rzędy żółtych ulicznych lamp spływających zboczami starożytnych wzgórz ku Zachodniemu Brzegowi. - Co rok jest ich więcej. Jeśli dalej będziecie budować w takim tempie, Amman stanie się wkrótce przedmieściem Jerozolimy.

Ale Gabriel patrzył w inną stronę - na stary budynek z piaskowca przy końcu ulicy Narkiss, gdzie jego żona i dzieci spały spokojnym snem dzięki ludziom takim jak on.

- Może to jednak był błąd - rzekł cicho.
- Że nie lecisz waszymi El Al?
- Dostałbym tam koszerny posiłek i nie musiałbym słuchać wykładów o występkach Izraela.

- Obawiam się, że nie mamy tu koszernych potraw.
- Nie martw się, Farid. Już jadłem.
- Więc może byś coś wypił? Albo obejrzał film? Jego Wysokość otrzymuje najnowsze amerykańskie filmy od swych przyjaciół w Hollywood.
- Chyba jednak się prześpię.
- Mądra decyzja.

Farid zgasił lampkę nad swym fotelem, gdy odrzutowiec opuszczał izraelską przestrzeń powietrzną, i po chwili głęboko spał. Gabriel nigdy nie potrafił usnąć w samolocie i nawet w pełni rozkładany fotel gulfstreama nie zdołał tego zmienić. Poprosił o kawę i z roztargnieniem patrzył na niemądry film migający na jego prywatnym ekranie. Telefon nie dostarczył mu towarzystwa. Samolot miał wprawdzie Wi-Fi, ale Gabriel wyłączył i zdemontował swą komórkę jeszcze przed granicą z Jordanią. Nie chciał, by znalazła się w zasięgu bezprzewodowej sieci monarchy, tak zresztą jak sieci izraelskiej.

Godzinę przed dotarciem do wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych Farid obudził się tak punktualnie, jakby niewidzialny lokaj lekko klepnął go po ramieniu. Wstał i poszedł do prywatnych pomieszczeń królewskiego odrzutowca, gdzie ogolił się, wziął prysznic, przebrał w świeży garnitur i zmienił krawat. Gdy obsługa przyniosła obfite śniadanie angielskie, uniósł pokrywkę dzbanka z earl greyem i głęboko wciągnął aromat. Herbata była właściwie zaparzona.

- A dla ciebie nic? - spytał, nalewając sobie herbatę.

- Zjadłem kanapkę, kiedy spałeś - skłamał Gabriel.
- Nie krępuj się korzystać z gościnności naszego monarchy.
- Właśnie ukradłem ręcznik na pamiątkę.

Samolot wylądował na waszyngtońskim lotnisku Dullesa w szary deszczowy poranek i pokołował do odległego hangaru. Czekają tam trzy czarne SUV-y oraz liczny zespół ochrony złożony wyłącznie z Amerykanów. Gabriel i Farid wsiedli do jednego z pojazdów, który błyskawicznie ruszył drogą dojazdową na wschód w stronę Capital Beltway. Kompleks Liberty Crossing, powstały w ramach strategii bezpieczeństwa narodowego po zamachu z 11 września, zajmował kilka hektarów terenu przylegającego do potężnego węzła autostrad. Jednakże cel ich podróży leżał kilka kilometrów dalej na wschód, wzdłuż Route 123. Było nim Centrum Wywiadu im George'a Busha, zwane również Siedzibą Główną CIA.

Po wjeździe za stalowe bariery i zabezpieczenia posterunku kontrolnego skierowali się do podziemnego parkingu. Tam wsiedli do windy przeznaczonej dla kierownictwa, która zawiozła ich na siódme piętro budynku będącego siedzibą agencji wywiadu. W holu wyłożonym drewnianą boazerią oczekiwał już funkcjonariusz ochrony, by przejąć w depozyt ich telefony. Farid posłusznie podał im aparat, natomiast Gabriel odmówił. Nastąpił chwilowy postój, ale zaraz skierowano ich dalej.

- Czemu na to nie wpadłem? - mruknął Farid, gdy w milczeniu stąpali po grubym dywanie.
- Co sobie ubzdurali? Że sam będę siebie podsłuchiwać?

Gdy weszli do sali konferencyjnej z oknami wychodzącymi na lasy nad Potomakiem, Adrian Carter już na nich czekał. Był w luźnej błękitnej marynarce i pogniecionych chinosach, jak przystało na asa wywiadu w sobotni poranek. Z wyraźną niechęcią powitał dwóch najbliższych sojuszników z Bliskiego Wschodu.

- Przypuszczam, że to nie jest wizyta towarzyska?
- Obawiam się, że nie - potwierdził Gabriel.
- Co tam macie?
- Bilet lotniczy, rezerwację hotelową i wynajem samochodu.
- Co to znaczy?
- To znaczy, że uniwersytecka drużyna rezerwowa wkrótce dokona poważnego zamachu na amerykańskiej ziemi.

Carter zrobił się popielaty. Milczał.

- Czy teraz mnie rozgrzeszysz, Adrianie?
- To zależy.
- Od czego?
- Od tego, czy pomożesz mi to powstrzymać.

* * *

- Czym ona przyleci?
- Air France rejs pięćdziesiąt cztery.
- Kiedy?
- We wtorek.
- Kilka godzin przed wizytą prezydenta Francji - zauważył Carter.
- Wątpię, żeby to był przypadek.
- Który hotel?

- Key Bridge Marriott.
- Gdzie wynajmuje samochód?
- U Hertza.
- Pewnie nie podali jej celu, co?
- Niestety, Adrianie, to nie w stylu Saladyna.
- Pytam na wszelki wypadek. W końcu to dzięki niej przeżył. Gabriel zmarszczył brwi, lecz nie odpowiedział.
- Zakładam - powiedział Carter - że pozwolicie jej wsiąść do tego samolotu.
- Za twoją zgodą - odparł Gabriel. - I mądrze zrobicie, wpuszczając ją do Stanów.
- Żeby ją obserwować? To sugerujesz? I czekać, aż pozostali członkowie komórki nawiążą z nią kontakt? A potem zwinąć wszystkich, nim zaatakują?
- Masz jakiś lepszy pomysł?
- A co, jeśli jej jednostka nie jest jedyna? Jeśli są inne grupy? I inne cele?
- Powinieneś z góry zakładać, że są inne grupy i cele, Adrianie. I że jest ich wiele. Saladyn powiedział Natalie, że ma zamiar powierzyć jej naprawdę ważną misję. Tak ważną, że zmusi to Stany Zjednoczone do wkroczenia na terytorium Syrii.
- A jeśli nikt się z nią nie skontaktuje? Lub jeśli ją wyznaczyli do drugiej fali ataków?
- Wybacz, Adrianie, że nie przywiozłem ci w prezencie pełnego planu operacji, ale to się nie zdarza w rzeczywistym świecie.
- Farid Barakat lekko się uśmiechnął. Nieczęsto mu się

zdarzało być naocznym świadkiem amerykańsko-izraelskiej wymiany złośliwości.

- Ile wie Dżalal Nasser? - zapytał Carter.

- Mam zadzwonić i go zapytać? Jestem pewny, że chętnie nam pomoże.

- Może czas wyciągnąć go na małą pogawędkę?

Farid ponuro pokręcił głową.

- To kiepski pomysł.

- Dlaczego?

- Bo wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie zna całego planu. A poza tym - dodał - aresztując Dżalala, wyślemy Saladynowi sygnał, że jego siatka została rozpracowana.

- Może właśnie taki sygnał należy wysłać.

- Wtedy uderzy na oślep, Adrianie. Zaatakuje w każdy dostępny sposób.

Carter wolno wypuścił powietrze.

- Kto prowadzi obserwację w Londynie?

- Pracujemy razem z Brytyjczykami.

- Chcę się w to włączyć.

- Trzech to już tłum, Adrianie.

- Gównu mnie to obchodzi. - Carter, marszcząc czoło, spojrzał na zegarek. Była ósma trzydzieści, sobota rano. - Dlaczego wszystko zawsze dzieje się w weekendy? - W ciszy, która nastąpiła, wbił wzrok w Gabriela. - Za chwilę kilkuset pracowników naszego rządu usłyszy, że Biuro wprowadziło swego agenta w struktury ISIS. Jesteś na to przygotowany?

- W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj.

- Z chwilą, kiedy wysiądzie z samolotu, przestanie być

waszą agentką. Stanie się wyłącznie naszą agentką i to będzie wyłącznie nasza operacja. Rozumiemy się?

- Doskonale - odparł Gabriel. - Ale cokolwiek zrobicie, radzę wam cholernie uważać, żeby włos nie spadł jej z głowy.

Carter sięgnął po telefon i wybrał numer.

- Muszę rozmawiać z dyrektorem. Natychmiast.

Arlington, Wirginia

Qasim al-Banna obudził się na dźwięk wezwania do modłów. Śniło mu się coś, czego nie zapamiętał. Jego sny ulatywały równie szybko jak chwile beztroski. Od wczesnych lat chłopięcych w egipskiej delcie Nilu wierzył, że został stworzony do zadań wielkich. W szkole pilnie się uczył, dzięki czemu został przyjęty na drugorzędny uniwersytet w którymś ze wschodnich stanów i po długich staraniach zdołał przekonać Amerykanów, by pozwolili mu pracować w ich kraju. Tymczasem w zamian za wszystkie te wysiłki został skazany na życie w nieznośnej monotonii. Była to typowo amerykańska monotonia wiecznie zakorkowanych ulic, zadłużonych kart kredytowych, fast foodów i weekendowych wypraw do centrum handlowego Tysons Corner, gdzie szybko przepychał syna obok witryn ze zdjęciami półnagich kobiet z bezwstydnie odkrytymi twarzami. Przez długi czas obwinał Allaha za swój los. Czyżby dał mu wielkie nadzieje tylko po to, by następnie skazać na przeciętność? Co gorsza, jego wybujałe ambicje doprowadziły do tego, że Qasim był zmuszony zamieszkać w Domu Wojny, na ziemi niewiernych. Jednak im dłużej rozmyślał, tym częściej dochodził do wniosku, że Allah nie bez powodu umieścił go w Ameryce. W ten bowiem sposób wskazał mu drogę prowadzącą do wielkości. A wielkość oznacza nieśmiertelność.

Podniósł swego samsunga z nocnego stolika i ściszył jednostajne, nosowe zawodzenie muezina. Amina głęboko spała, jak zawsze. Tak głęboko, że nigdy nie słyszała płaczu dziecka, grzmotów, alarmu przeciwpożarowego, a tym bardziej uderzeń jego palców w klawiaturę laptopa. Ona również była zawiedziona, ale nie z powodu Allaha, lecz Qasima. Przyjechała do Ameryki skuszona telewizyjną wizją życia w Bel Air, a tymczasem czekała ją wegetacja obok sklepu 7-Eleven w bocznej uliczce odchodzącej od Carlin Springs Road. Codziennie łajała Qasima za to, że za mało zarabia, i szukając pocieszenia, zaciągała coraz większe długi. Jej ostatnim nabytkiem był nowy luksusowy samochód. Właściciel salonu zgodził się na tę transakcję mimo potężnych obciążeń kredytowych ich rodziny. Takie rzeczy są możliwe tylko w Ameryce, myślał Qasim.

Bezszelestnie wysunął się z łóżka i rozwinął małą matę, by odprawić poranne modły. Ledwie musnął czołem podłogę z obawy przed odcisnięciem na nim śladu zwanego *zabiba* – czyli po arabsku rodzynek – jaki często widywał u religijnych mieszkańców swej wioski. Islam nie odcisnął na nim piętna. Qasim nie uczestniczył w modłach w żadnym z meczetów północnej Wirginii i na tyle, na ile było to możliwe, unikał innych muzułmanów. Usiłował nawet zmienić swe arabskie nazwisko. W miejscu pracy, małej firmie informatycznej, zwany był Q lub Q-Ban, co mu odpowiadało, gdyż niejasno kojarzyło się z czymś latynoskim albo z hip-hopem. Nie, nie należy do tych muzułmanów, którzy z wypiętym tyłkiem wciskają głowę w ziemię, zapewniał kolegów przy piwie swym

angielskim z lekkim arabskim akcentem. Przyjechał do Ameryki po to, by od nich uciec. Owszem, jego żona nosi hidżab, ale nie w imię wiary, lecz z powodu tradycji i mody. Tak, jego syn ma na imię Muhammad, ale nie z powodu Proroka. Przynajmniej to było prawdą. Qasim al-Banna nazwał syna na cześć Muhammada Aty, jednego z pięciu terrorystów, którzy dokonali zamachu 11 września 2001 roku. Ata, podobnie jak on, pochodził z delty Nilu. Ale nie tylko to ich łączyło.

Po ukończeniu modłów wstał i cicho zszedł do kuchni, gdzie wsunął do ekspresu kapsułkę kawy french roast. Potem wykonał w saloniku dwieście pompek i pięćset ćwiczeń mięśni brzucha. Powtarzając te ćwiczenia dwa razy dziennie, wyrobił sobie atletyczną sylwetkę. Nie był już wychudzonym dzieckiem z egipskiej delty. Miał ciało zapaśnika. Ponadto był mistrzem karate i brazylijskiego jujitsu. Qasim al-Banna, Q-Ban, stał się zabójczą maszyną.

Zakończył poranne ćwiczenia, wykonując kilka śmiertelnych chwytów z każdej z uprawianych dyscyplin, po czym z powrotem ruszył na górę. Amina nadal spała, podobnie jak Muhammad. W trzecim pokoju ich małego bliźniaczego domu Qasim urządził sobie biuro. Był to hakerski raj. Usiadł przy jednym z trzech komputerów i szybko przebiegł wzrokiem po kilkunastu mejlach i stronach społecznościowych. Jeszcze kilka kliknięć i stanął u progu mrocznego świata ukrytego pod powierzchnią sieci i dostępnego tylko posiadaczom właściwych protokołów, portów, haseł i aplikacji. Ale on, zawodowy informatyk, miał wszystko co trzeba. A nawet więcej.

Z łatwością przeszedł przez bramkę i niebawem zatrzymał się przed kolejną. Właściwe hasło otworzyło mu dalszą drogę, a powitalny tekst życzył pokoju i pytał o interesy. Wysłał odpowiedź do wskazanej skrzynki i niebawem dostał wiadomość.

- *Alhamdulillah* - szepnął.

Serce biło mu mocno. Mocniej niż podczas najbardziej intensywnych ćwiczeń. Musiał dwukrotnie wprowadzać hasło, gdyż w pośpiechu wpisał je nieprawidłowo. Początkowo wiadomość zdawała się nieczytelna - litery, wersy i liczby pozbawione sensu, ale odpowiednie hasło natychmiast zmieniło ów bezład w klarowny tekst. Qasim czytał go powoli i w skupieniu, gdyż nie mógłby wydrukować, zachować, skopiować ani odzyskać tej wiadomości. Jej słowa również były zakodowane, ale on wiedział, co znaczą. Allah w końcu otworzył przed nim drogę do chwały, a wraz z nią czeka go nieśmiertelność.

* * *

Gabriel odmówił, gdy Carter zaproponował, by wybrał się wraz z nim do Białego Domu. Jego poprzednie spotkanie z prezydentem odbyło się w napiętej atmosferze i ponowna wizyta w Zachodnim Skrzydle mogłaby niekorzystnie wpłynąć na przebieg rozmowy. Lepiej, by to Adrian zawiadomił władze, że ich kraj stoi w obliczu zamachu zorganizowanego przez grupę, którą amerykański prezydent ongiś zlekceważył jako słabą i nieudolną. Gdyby tę wiadomość przekazał Izraelczyk, potraktowano by ją z dystansem. A do tego nie mogli dopuścić.

Gabriel przyjął natomiast propozycję zamieszkania w agencji przy N Street. Ponadto Carter oddał mu do dyspozycji agencyjnego SUV-a i zapewnił ścisłą ochronę. Po wyjeździe z Langley ruszył więc do ambasady Izraela w dalekim północno-wschodnim Waszyngtonie. Tam, w sekcji Biura, nawiązał bezpieczną łączność ze swymi zespołami w Paryżu i Londynie, a następnie zadzwonił do gabinetu Paula Rousseau przy rue de Grenelle. Rousseau właśnie wrócił z Pałacu Elizejskiego, gdzie przekazał tę samą wiadomość, z jaką Adrian Carter wybrał się do Białego Domu. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ISIS zaplanowało atak na Amerykę w czasie wizyty prezydenta Francji.

- Co on ma jeszcze w programie oprócz spotkania z prezydentem w Białym Domu i oficjalnej kolacji?

- Koktajl w ambasadzie Francji.

- Odwołaj to.

- On nie zgadza się na zmiany w programie wizyty.

- Cóż za odwaga.

Rousseau powstrzymał się od komentarza. Gabriel spytał go jeszcze, kiedy przylatuje do Waszyngtonu.

- W poniedziałek, z ekipą rozpoznawczą. Zatrzymujemy się w Four Seasons.

- Kolacja?

- Chętnie.

Z ambasady pojechał do swego tajnego mieszkania, by na kilka godzin zdrzemnąć się po bezsennej nocy.

Carter obudził go późnym popołudniem.

- Zaczynamy. - To wszystko, co powiedział.

- Rozmawiałaś z nim?
- Przez minutę lub dwie.
- Jak przyjął tę wiadomość?
- Jak należało przypuszczać.
- Czy padło moje nazwisko?
- O, tak.
- I?
- Masz pozdrowienia.
- To wszystko?
- Przynajmniej wie, jak się nazywasz. Do mnie wciąż mówi Andrew.

Gabriel próbował znów zasnąć, lecz bez skutku. Wziął więc prysznic, przebrał się i w asyście nieodstępnej ochrony wymknął się na ulicę tuż przed zapadnięciem mroku. Chłodne powietrze gęstniało przed nadchodzącą burzą, liście barwy złota i miedzi leżały na chodnikach. Wypił café crème w kawiarni przy Wisconsin Avenue, po czym ruszył spacerem przez East Village w Georgetown w stronę M Street z jej licznymi sklepami, restauracjami i hotelami. No tak, myślał, wyślą tu inne zespoły wyznaczone do innych celów. I jeśli nawet zdołamy powstrzymać atak z udziałem doktor Lajli Hadawi, to bardzo prawdopodobne, że za kilka dni Amerykanie znów będą umierać we własnym kraju z powodu ideologii i wyznania zrodzonego w regionie, którego większość z nich nie umiałaby nawet wskazać na mapie. Ten wróg nie uznaje porozumienia, nie ma z nim układów. Nie uspokoi go nawet odwrót Amerykanów z islamskiego świata. Ameryka może zostawić w spokoju Bliski Wschód, ale Bliski

Wschód nigdy nie zostawi w spokoju Ameryki.

Nagle pękły chmury i ulewa zmusiła przechodniów z M Street do ucieczki w poszukiwaniu schronienia. Gabriel patrzył na nich przez chwilę, wyobrażając sobie, że uciekają przed innym zagrożeniem - nacierających na nich hord brodatych długowłosych wojowników o nazwiskach wziętych od nazw rodzimych miast. Do rzeczywistości przywołał go dopiero widok SUV-a, który stanął obok przy krawężniku. Wsiadł do środka w przemoczonej skórzanej kurtce i w strugach deszczu wrócił na N Street.

Alexandria, Wirginia

Ten sam deszcz, który zalał Georgetown, uderzał w szyby niepozornego koreańskiego sedana, gdy Qasim al-Banna jechał wysadzonym drzewami odcinkiem Route 7. Powiedział Aminie, że ma spotkanie służbowe, co tylko częściowo mijają się z prawdą.

Minął już rok, odkąd odszedł z firmy informatycznej. Oznajmił kolegom i żonie, że zamierza otworzyć własny interes, co wydawało się ryzykownym posunięciem w najeżonym high-tech świecie, jakim była północna Wirginia. Tyle że prawdziwy powód tej nagłej zmiany leżał gdzie indziej. Qasim porzucił swe dawne miejsce zatrudnienia, gdyż potrzebował czegoś cenniejszego niż pieniądze. Potrzebował czasu. Nie chciał być dłużej zależny od swego szefa Larry'ego Blackburna z jego cuchnącym oddechem, skrytym uzależnieniem od środków przeciwbólowych i skłonnością do tanich dziwek z Salwadoru. Qasim był teraz związany z człowiekiem znacznie większego formatu i ambicji. Nie znał jego prawdziwej tożsamości, jedynie pseudonim, ale wiedział, że pochodzi z Iraku i że nazywają go Saladynem.

Nie ma w tym nic dziwnego, że jego podróż rozpoczęła się w cyberprzestrzeni, gdzie starannie ukrywając swe dane, folgował nienasyconej żądzy krwi i fascynacji zamachami bombowymi, oglądając pornografię na stronach dżihadystów.

Te upodobania rozwinął podczas amerykańskiej okupacji Iraku jeszcze jako student. Pewnego wieczoru, po beznadziejnym dniu w pracy i koszmarnym powrocie do domu, nawiązał w sieci kontakt z rekruterem ISIS, pytając o możliwość wyjazdu do Syrii, gdzie pragnął zasilić islamską armię. Rekruter zadał mu liczne pytania i na koniec przekonał Qasima, by pozostał na przedmieściu Waszyngtonu. W niedługim czasie, po mniej więcej miesiącu, zauważył, że ktoś go obserwuje. Początkowo obawiał się, że to FBI, ale wkrótce zdał sobie sprawę, że dzień w dzień widuje tego samego człowieka. W końcu nieznajomy się zbliżył, gdy Qasim siedział w Starbucksie nieopodal Seven Corners. Był Jordańczykiem zamieszkałym w Londynie i przedstawił się jako Dżalal Nasser.

Deszcz walił w okna jak letnia nawałnica, a nie jesienna mżawka. Być może proroctwa nadchodzącego końca dni stają się prawdą? – myślał Qasim. Może świat naprawdę uległ nieodwracalnemu zepsuciu. Kontynuował jazdę przez Route 7 do centrum Alexandrii, gdzie skierował się w stronę kompleksu przemysłowego przy Eisenhower Avenue. Pomiędzy warsztatem samochodowym a strzelnicą znajdowały się biura firmy przewozowej Dominion Movers. Dwie z należących do niej ciężarówek, amerykańskie freight linery, parkowały na zewnątrz, a pozostałe dwa wewnątrz kontenerowego magazynu, którego nie opuszczały od pół roku. Qasim al-Banna był nominalnym właścicielem firmy. Zatrudniał dwunastu pracowników – siedmiu świeżo przybyłych do Stanów, pięciu z obywatelstwem amerykańskim.

Wszyscy byli członkami ISIS.

Qasim nie wjechał na teren swego przedsiębiorstwa. Włączył funkcję stopera w komórce i zawrócił w stronę Eisenhower Avenue. Jego koreański sedan, szybki i zwinny, jechał teraz w ospałym tempie załadowanej po brzegi ciężarówki. Drogą dojazdową Eisenhower Avenue Connector dotarł do węzła Capital Beltway, a następnie, posuwając się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, do Route 123 w Tysons. Gdy zbliżał się do Anderson Road, zapaliły się żółte światła. W normalnych okolicznościach wcisnąłby pedał gazu, ale teraz, wyobrażając sobie, że siedzi za kierownicą załadowanej ciężarówki, zwolnił i się zatrzymał.

Gdy światła rozbłysły na zielono, ruszył tak wolno, że kierowca za nim włączył reflektory i nacisnął klakson. Ale Qasim, bynajmniej niespieszony, posuwał się dalej w stronę Lewisville Road osiem kilometrów poniżej prędkości dozwolonej. Skręcił w lewo kilkaset metrów przed skrzyżowaniem z Tysons McLean Drive. Po jego lewej stronie droga lekko wznosiła się w stronę zabudowań, które wyglądały na kompleks technologiczny. Qasim skręcił w prawo i zatrzymał się obok jasnożółtego znaku z napisem „Uwaga, dzieci!”. Spojrzał na ekran komórki: 24:23:45... 24:23:46... 24:23:47... 24:23:48...

Kiedy stoper wskazał dokładnie dwudziestą piątą minutę, uśmiechnął się i szepnął:

- Bum.

Georgetown

Deszcz lał nieustannie przez cały weekend, zmieniając Waszyngton w bagno, na którym ongiś powstał. Gabriel przez większość czasu był więźniem kryjówki przy N Street. Raz dziennie podróżował do ambasady Izraela, by skontaktować się ze swymi zespołami, a także z bulwarem Króla Saula. I raz dziennie otrzymywał od Adriana Cartera raporty na temat bieżącej sytuacji. FBI i inne amerykańskie agencje bezpieczeństwa ściśle monitorowały ponad tysiąc osób podejrzanych o członkostwo ISIS.

- I żadna z nich - informował Carter - nie wydaje się zaangażowana w przygotowania do zamachu.

- Jest tylko jeden problem, Adrianie.

- Jaki?

- Obserwujecie niewłaściwe osoby.

Do poniedziałkowego popołudnia deszcz osłabł, a wieczorem przez rzednące chmury przebiło się kilka gwiazd. Gabriel zamierzał wybrać się pieszo do Four Seasons na umówioną kolację z Paulem Rousseau, ale przydzielona mu przez CIA ochrona skłoniła go do przejazdu SUV-em. Wysiadł przed zadaszonym wejściem do hotelu, skąd ruszył do holu asekurowany już tylko przez jednego ochroniarza. Grupa Francuzów w wymiętych garniturach i z zaczerwienionymi oczami, zapewne wyżsi urzędnicy po transatlantyckim locie,

stała przed recepcją za wysokim mężczyzną o szerokich barach i arabskiej powierzchowności. Patrząc na jego ubiór, trudno było oprzeć się wrażeniu, że i on korzysta z usług londyńskiego krawca Farida Barakata. I tylko on zresztą zauważył szczupłego Izraelczyka z ochroną osobistą. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały, po czym przybysz o arabskim wyglądzie obrócił się do kobiety w recepcji. Przechodząc obok, Gabriel uważnie przyjrzał mu się z tyłu. Nie wydawał się uzbrojony. Jego niewielka skórzana walizka stała przy prawym bucie, a o kontuar recepcji opierała się elegancka czarna laska.

Gabriel przeciął hol i wszedł do restauracji. W barze panował taki hałas, jakby zwołano tam konwencję głuchych. Gdy podał kierownikowi sali nazwisko, oczywiście fałszywe, zaprowadzono go do stolika z widokiem na autostradę Rock Creek Parkway. Dobrze było przynajmniej to, że miał stamtąd niezakłócony widok na hotelowe lobby, gdzie wysoki i wytwornie ubrany Arab, utykając, wolno szedł w stronę wind.

* * *

Zażądał apartamentu na najwyższym piętrze. Jego życzenie spełniono w znacznej mierze dlatego, że kierownik hotelu uznał go za dalekiego krewnego króla Arabii Saudyjskiej. Chwilę po wejściu do pokoju usłyszał dyskretne pukanie. Był to portier z bagażem. Wysoki Arab podziwiał widok z okna, podczas gdy młody Afrykańczyk wieszał w szafie pokrowiec na garnitury, a następnie umieszczał walizkę na stojaku

w sypialni. Kończąc, rutynowo zadeklarował gotowość wszelkiej pomocy, ale gdy dostał szeleszczący dwudziestodolarowy banknot, przepełniony wdzięcznością wycofał się z pokoju. Cicho zamknął drzwi i wysoki Arab znów został sam.

Patrzył na ruch pojazdów mknących przez Rock Creek Parkway, ale jego myśli krążyły wokół mężczyzny, którego widział w lobby hotelowym - nieznanego o siwych skroniach i niezwykłych zielonych oczach. Był niemal pewien, że gdzieś go już widział, nie osobiście, ale na fotografiach oraz w telewizji. Możliwe, że się mylił. W gruncie rzeczy, myślał, to bardzo prawdopodobne. Ale dawno już nauczył się ufać instynktowi. Wyostrzył się jak klinga noża w ciągu lat spędzonych na służbie najbardziej okrutnego z dyktatorów świata. I pomógł mu przetrwać w długiej wojnie z Amerykanami, podczas gdy wielu innych unicestwiła broń rażąca z nieba niczym błyskawica.

Wyjął z aktówki laptopa i połączył się z bezprzewodowym internetem. Był pewien, że hotel sieci Four Seasons, odwiedzany przez dygnitarzy z wszystkich stron świata, jest przedmiotem szczególnej uwagi NSA. Nie miało to jednak znaczenia. Twardy dysk jego komputera był czysty jak łąka. Otworzył przeglądarkę i wpisał nazwisko w pole wyszukiwania. Na ekranie pojawiło się kilka zdjęć, w tym jedno z londyńskiego „The Telegraph”. Ukazywało mężczyznę biegnącego chodnikiem przed Katedrą Westminsterską z pistoletem w dłoni. Obok fotografii umieszczono artykuł dziennikarki, Samantha Cooke. Mówił o jego zasługach

i tragicznej śmierci. Najwyraźniej jednak reporterka się myliła, gdyż bohater dramatycznej relacji przed chwilą spokojnie wszedł do hotelu Four Seasons w Waszyngtonie.

Znowu rozległo się nieśmiałe pukanie. Tym razem wniesiono tradycyjną powitalną paterę z owocami. Dołączona do niej wizytówka hotelu adresowana do pana Omara al-Faruka zapewniała o gotowości spełnienia wszelkich jego życzeń. On zaś miał w tej chwili tylko jedno – by przez kilka minut nikt nie zakłócał mu spokoju. Wpisał adres darknetu, otworzył chronioną szyfrem bramkę i wszedł w wirtualną przestrzeń, gdzie wszystko było zakodowane. Czekał tam na niego stary przyjaciel.

„Jak udała się podróż?” – spytał.

„Dobrze, ale nigdy nie zgadniesz, kogo właśnie widziałem”.

„Kogo?”.

Wpisał imię archaniola i dość pospolite izraelskie nazwisko.

Odpowiedź nadeszła po kilku sekundach.

„Nie żartuj sobie w ten sposób”.

„Nie żartuję”.

„Jak myślisz, co to znaczy?”.

Dobre pytanie. Wylogował się, zamknął laptopa i wolno pokuśtykał do okna. Jego prawe udo przeszył ostry gwałtowny ból, w piersi czuł palące rwanie. Patrzył na sznur samochodów sunący autostradą i na kilka sekund ból jakby osłabł. A potem obraz za oknem przesłoniła mgła i przeniósł się myślami na szczyt nad Jeziorem Galilejskim. Z grzbietu wspaniałego rumaka krwi arabskiej spoglądał na spalone słońcem miejsce o nazwie Hattin.

Nie była to wizja nowa. Często go nawiedzała. Zazwyczaj gotowały się w niej do boju dwa potężne wojska: muzułmanie i krzyżowcy, armia Rzymu. Teraz jednak widział tylko dwóch mężczyzn. Jednym był Izraelczyk, Gabriel Allon. A drugim – Saladyn.

* * *

Paul Rousseau wciąż żył według czasu paryskiego, toteż nie celebrowali kolacji. Gabriel odprowadził go do windy, życząc dobrej nocy, i wraz z nieodłącznym ochroniarzem ruszył w kierunku recepcji. Za kontuarem stała ta sama kobieta, którą widział poprzednio.

- Czy mogę w czymś pomóc? – spytała, gdy się zbliżył.

- Mam nadzieję, że tak. Nieco wcześniej widziałem, jak meldował się tutaj pewien dżentelmen. Wysoki, elegancki, porusza się o lasce.

- Pan Al-Faruk?

- Tak, to on. Dawno temu pracowaliśmy razem.

- Ach, rozumiem.

- Czy wie pani, jak długo się tu zatrzyma?

- Przykro mi, ale nie mogę...

Wyciągnął rękę.

- Proszę się nie tłumaczyć. Znam zasady.

- Ale chętnie przekażę mu wiadomość.

- To nie będzie konieczne. Zatelefonuję do niego jutro rano. Proszę mnie nie zdradzić – dodał konspiracyjnie. – Chcę go zaskoczyć.

Wyszedł w chłodne nocne powietrze. Dopiero siedząc z tyłu

suburbana, zadzwonił do Adriana Cartera. Carter wciąż jeszcze był w swoim biurze w Langley.

- Chciałbym, żebyś kogoś sprawdził. Nazywa się Al-Faruk. Ma jakieś czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat. Nie znam jego imienia i nie wiem, jaki ma paszport.

- A co wiesz?

- Zatrzymał się w Four Seasons.

- Czy ja czegoś nie wiem?

- Mam dziwne przeczucie, Adrianie. Lepiej sprawdź, kto to jest.

Gabriel się rozłączył i wsunął komórkę do kieszeni.

- Wracamy na N Street? - spytał kierowca.

- Nie - odparł. - Zawieź mnie do ambasady.

Aubervilliers, Francja

Budzik w telefonie Natalie zadzwonił o siódmej piętnaście, choć nie pamiętała, by nastawiała go na tę godzinę. Co więcej, była tego zupełnie pewna. Wyłączyła go z irytacją i próbowała znów zasnąć, ale pięć minut później rozległ się ponownie.

- No dobra - westchnęła, spoglądając na sufit, gdzie wyobraziła sobie ukrytą kamerę. - Wygrałeś. Wstaję.

Zrzuciła kołdrę i zsunęła stopy na podłogę. W kuchni zaparzyła w kawiarence oleście czarną *carte noire* i wlała ją do kubka z gorącym mlekiem. Na zewnątrz, nad jej ponurą uliczką, z wolna rozpraszał się mrok. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był to ostatni paryski poranek, jaki doktor Hadawi miała zobaczyć. Jeśli Saladyn osiągnie swój cel, Lajla nigdy już nie wróci do Francji po swej nagłej i nieoczekiwanej podróży do Ameryki. Powrót Natalie był równie niepewny. Stojąc przed brudnym małym okienkiem z kubkiem *café au lait* w dłoniach, zdała sobie sprawę, że nie będzie tego żałować. Życie w *banlieues* utwierdziło ją w przekonaniu, że Francja nigdy nie będzie jej ojczyzną. To Izrael jest jej domem. Izrael i Biuro. Gabriel miał rację. Była teraz jedną z nich.

Ani ISIS, ani Biuro nie poinformowały jej, co zabrać w tę podróż, toteż zdając się na instynkt, spakowała niewiele. Samolot odlatywał o trzynastej czterdzieści pięć z lotniska

Charles'a de Gaulle'a. Dotarła tam szybką koleją miejską RER i o wpół do jedenastej stanęła w długiej kolejce do kontroli paszportowej dla pasażerów klasy ekonomicznej. Po półgodzinnym czekaniu niesympatyczna Francuzka poinformowała, że przyznano jej miejsce w klasie biznes.

- Dlaczego? - Natalie nie rozumiała.

- Woli pani zostać w ekonomicznej?

Kobieta wręczyła jej kartę pokładową i oddała paszport. Przez kilkanaście minut Natalie błąkała się po strefie bezcłowej pod okiem obserwatorów z francuskich służb specjalnych, po czym skierowała się do stanowiska odlotu. Rejs pięćdziesiąt cztery do Stanów Zjednoczonych ze względu na port przeznaczenia podlegał zaostrożnym procedurom bezpieczeństwa. Jej hidżab oraz arabskie nazwisko wzbudziły czujność służb ochrony lotniska i przyczyniły się do szczegółowej kontroli. W końcu jednak pozwolono jej dołączyć do oczekujących na boarding. Rozejrzała się, wypatrując jakiejś znajomej twarzy, lecz bez skutku. W darmowym egzemplarzu „Le Monde” przeczytała o planowanej wkrótce wizycie prezydenta Francji w Stanach, a na którejś z dalszych stron pisma informowano, że Izrael ogarnęła kolejna fala ataków nożowników. Natalie palił gniew. Lajlę rozpieierała radość.

W pewnej chwili z głośników rozległo się chrapliwe wezwanie pasażerów na pokład samolotu. Przydzielono jej miejsce przy oknie z prawej strony przejścia. Fotel obok był pusty jeszcze długo po wejściu pasażerów z klasy ekonomicznej. Obudziło to w niej nadzieję, że przez następne

siedem i pół godziny nie będzie skazana na towarzystwo zupełnie obcej osoby. Nadzieja ta rozwiąła się jednak z chwilą, gdy nagle obok niej pojawił się mężczyzna w eleganckim garniturze. Miał kruczoczarne włosy, odpowiednio dobrane okulary i nie sprawiał wrażenia zadowolonego z sąsiedztwa Arabki w hidżabie. Usiadł i bez słowa wbił wzrok w swą komórkę. Natalie wpatrywała się w swoją.

Po kilku sekundach na jej ekranie pojawiła się wiadomość.

„Samotna?”.

„Tak” – wystukała.

„Spragniona towarzystwa?”.

„Jak nigdy”.

„Spójrz w lewo”.

Odwróciła głowę w tę stronę. Mężczyzna o kruczoczarnych włosach i idealnie dobranych okularach, nie odrywając wzroku od ekranu komórki, lekko się uśmiechał.

„Czy to dobry pomysł?” – zapytała.

„Jaki pomysł? – odpisał Michał.

„Ja i ty. Razem”.

„Powiem ci, jak wylądujemy”.

„Co wtedy?”.

Zanim odpowiedział, głośniki poinformowały pasażerów o obowiązku wyłączenia telefonów. Natalie i jej sąsiad posłusznie wykonali polecenie. Gdy samolot z rykiem silników mknął pasem startowym, położyła dłoń na jego ręce.

- Jeszcze nie – szepnął.

- Kiedy? – spytała, odwracając głowę w drugą stronę.

- Niedługo – odparł. - Bardzo niedługo.

Hume, Wirginia

Deszcz w Waszyngtonie w końcu ustał i fala zimnego czystego powietrza rozproszyła resztki chmur. W ostrym świetle słońca wielkie marmurowe pomniki lśniły bielą kości, a porywisty wiatr wzbijał opadłe liście nad ulicami Georgetown. Jedynie Potomac nie zdołał się uchronić przed skutkami potopu. Wezbrany gwałtownym napływem wód, niosąc konary, gałęzie i odpadki, brązowy i zamulony przetaczał się pod Key Bridge, gdy Saladyn jechał w stronę Wirginii. W sztruksowych spodniach, wełnianym swetrze z wycięciem pod szyją i ciemnozielonej kurtce od Barboura wyglądał na dżentelmena, który zamierza spędzić weekend na angielskiej wsi. Skręcił na prawo w George Washington Memorial Parkway i ruszył w kierunku zachodnim. Trasa biegła wzdłuż brzegu rzeki przez niecałe pół kilometra, po czym zaczęła piąć się w górę wąwozu. W jaskrawym słońcu jesienne liście mieniły się wszystkimi barwami, a za błotnistą rzeką ruch pojazdów sunął wzdłuż równoległej drogi.

Nawet Saladyn musiał przyznać, że to korzystna odmiana po surowym świecie zachodniego Iraku i kalifatu, tym bardziej że skórzany fotel luksusowego niemieckiego sedana dostarczał mu rozkoszy dawno zapomnianego komfortu. Jeden z członków siatki podstawił ten samochód na mały parking mieszczący się na rogu M Street i Wisconsin Avenue, kilka

przeznaczone od hotelu Four Seasons. Walcząc z bólem, Saladyn dotarł tam pieszo, lecz gdy tylko zapalił silnik, ogarnęła go pokusa, by wypróbować możliwości maszyny na idealnie gładkiej krętej drodze. Całą siłą woli zmusił się jednak do przestrzegania dozwolonej prędkości, mimo że inni kierowcy siedzieli mu na zderzaku lub wyprzedzali go z rykiem silnika, wykonując obelżywe gesty.

Och, ci Amerykanie, myślał. Wiecznie się spieszą. W tym ich siła, a także źródło klęski. Uważają, że wystarczy pstryknąć palcem, by zmienić polityczny krajobraz Bliskiego Wschodu. Cóż za naiwność! Tacy mężowie jak on, Saladyn, nie mierzą czasu czteroletnimi cyklami wyborczymi. W dzieciństwie mieszkał nad brzegiem jednej z czterech rzek, które biorą początek w Rajskim Ogrodzie. Jego cywilizacja kwitła już tysiące lat na surowych niewdzięcznych ziemiach Mezopotamii, zanim ktokolwiek słyszał o lądzie zwanym Ameryką. I przetrwa kolejne wieki po tym, jak wielki amerykański eksperyment odejdzie do historii. Tego był zupełnie pewien. Wszystkie wielkie imperia w końcu upadają. Jedynie islam jest wieczny.

Nawigacja skierowała go na Capital Beltway. Jechał teraz na południe drogą dojazdową Dulles, obok centrum handlowego Tysons Corner, do I-66, gdzie ponownie skierował się na zachód w stronę Parku Narodowego Shenandoah. Pasy wiodące na wschód wciąż blokował poranny ruch jadących do pracy, podczas gdy przed nim otworzył się, o dziwo, pusty odcinek asfaltu długości kilku samochodów, zjawisko nader rzadkie. Mimo to trzymał się uparcie przepisowej prędkości,

obojętny na nerwowe reakcje waszyngtońskich kierowców. Za żadną cenę nie mógł ryzykować kontroli. Naraziłby w ten sposób cały precyzyjny spisek, którego wdrożenie kosztowało miesiące żmudnej pracy. Paryż i Amsterdam były jedynie próbą kostiumową. Ostateczny cel stanowił Waszyngton, gdyż tylko Amerykanie posiadali odpowiedni potencjał, by uruchomić łańcuch wydarzeń, które Saladyn pragnął urzeczywistnić. Pozostawało jeszcze tylko podsumowujące spotkanie z głównym waszyngtońskim agentem. Było to niebezpieczne, zawsze bowiem istniała możliwość, że agent działa na dwie strony. Ale mimo tych obaw chciał osobiście dostać potwierdzenie, że wszystko jest gotowe.

Minął zjazd do miasta o charakterystycznie brzmiącej amerykańskiej nazwie Gainesville. Od tej pory ruch wyraźnie osłabł, teren zaczął falować, a błękitne wzgórza Shenandoah zbliżyły się niemal na odległość ręki. Prowadził już niemal godzinę i jego prawa noga zaczęła boleśnie pulsować. Starając się o tym zapomnieć, przywołał obraz mężczyzny, którego widział w hotelowym lobby Four Seasons poprzedniego wieczoru.

Gabriel Allon...

Być może jego obecność w Waszyngtonie ma jakiś przypadkowy cel. W końcu Izraelczycy od lat blisko współpracują z Amerykanami. Ale Saladyn w to wątpił. Wielu obywateli Izraela zginęło w paryskim zamachu, w tym Hannah Weinberg - kobieta, z którą Allon się przyjaźnił, a przy tym agentka izraelskiego wywiadu. Jest wysoce prawdopodobne, że teraz prowadził śledztwo w sprawie tego zamachu.

Możliwe również, że dowiedział się o istnieniu siatki Saladyna. A może i tego, że przygotowuje on poważny zamach na amerykańskiej ziemi.

Tylko jak mógł to odkryć? Odpowiedź była prosta. Należało przyjąć, że udało mu się przeniknąć do struktur ISIS. Irakijczyk przypomniał sobie, że Allon miał szczególne talenty. A jeśli on o tym wie, to wiedzą też Amerykanie. Większość agentów Saladyna docierała do Stanów dzięki nieszczelnemu systemowi imigracyjnemu oraz zbyt liberalnej polityce wizowej. Ale kilku uczestników operacji, w tym mężczyzna, z którym miał się spotkać, posiadało prawo stałego pobytu, co czyniło ich bardziej podatnymi na naciski amerykańskich służb antyterrorystycznych. I choć odgrywali zasadniczą rolę w planowanej operacji, jednocześnie stanowili słabe ogniwo w długim łańcuchu jej wykonawców.

Nawigacja kierowała go teraz w stronę zjazdu numer osiemnaście z I-66. Podążając za jej wskazówkami, dotarł do miasta o nazwie Markham. Choć właściwie, pomyślał, nie było to miasto, lecz niewielkie skupisko domków o zadaszonych gankach i zachwaszczonych trawnikach. Stamtąd podążył na południe drogą Leeds Manor, mijając ogrodzone pastwiska i budynki gospodarcze, aż w końcu pojawiło się kolejne miasteczko o nazwie Hume. Było wprawdzie nieco większe niż poprzednie, ale i tak nie dostrzegł tam sklepów ani marketów. Budynki użyteczności publicznej ograniczały się do warsztatu samochodowego, wiejskiej gospody i kilku kościołów, gdzie niewierni modlili się do swej bluźnierczej wersji Boga.

Dalej nawigacja okazała się bezużyteczna. Cel jego podróży

leżał poza jej zasięgiem, na zupełnym odludziu. Skręcił w prawo, w Hume Road, i po kilkuset metrach dotarł do drogi gruntowej. Prowadziła przez pastwisko, wzdłuż grzbietu zalesionych wzgórz, do małej dolinki. Nad czarnym stawem o tafli gładkiej jak szkło stała drewniana chata z ostrym spadzistym dachem. Saladyn zgasił silnik. Wokół panowała cisza podobna ciszy pustyni. Otworzył bagażnik. Leżał tam glock 19, kaliber 9 mm, oraz wysokiej klasy tłumiki dźwięku i płomienia, wszystko kupione legalnie w Wirginii za pośrednictwem jednego z członków siatki.

Z pistoletem w lewej i laską w prawej, ostrożnie wszedł do domu. Jego skromny wystrój tworzyły surowe wiejskie meble. W kuchni zagotował w czajniku wodę, której woń skłaniała do przypuszczeń, że pochodzi ze stawu i nie jest filtrowana. Potem wyciągnął ze starego pudełka zwietrzałą torebkę herbaty twinings, zaparzył ją i z kubkiem w dłoni przeszedł do pokoju. Siadł na kanapie i przez wysokie potrójne okno spoglądał na grzbiet wzgórz. Kilka minut później przed domem zaparkował mały koreański sedan, wzbijając chmurę kurzu. Saladyn ukrył broń pod ozdobną poduszką, na której widniał haft: „Boże, pobłogosław ten dom”. Potem dmuchnął na swoją herbatę i czekał.

* * *

Nigdy nie zetknął się z tym człowiekiem, ale wiedział, że to Egipcjanin z zieloną kartą, że nazywa się Qasim al-Banna, ma mocno kręcone włosy, jasnobrązowe oczy, metr siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu i waży osiemdziesiąt trzy kilogramy.

Mężczyzna, który wszedł, sprawiał wrażenie zdenerwowanego, lecz odpowiadał temu opisowi. Saladyn skinieniem głowy polecił mu, by usiadł, po czym rzekł po arabsku:

- Pokój niech będzie z tobą, bracie Qasimie.

Młody Egipcjanin poczuł się wyraźnie zaszczycony. Cicho powtórzył tradycyjne islamskie pozdrowienie, nie wymieniając jednak imienia tego, do kogo się zwracał.

- Czy wiesz, kim jestem? - zapytał Saladyn.

- Nie - odparł szybko Egipcjanin. - Nigdy pana nie widziałem.

- Ale musiałeś o mnie słyszeć.

Było oczywiste, że młody człowiek nie wie, jak na to odpowiedzieć, zaczął więc ostrożnie:

- Otrzymałem wiadomość z poleceniem, żeby stawić się w tym miejscu na spotkanie. Nie powiedziano mi, z kim i w jakim celu.

- Czy ktoś cię śledził?

- Nie.

- Jesteś pewny?

Egipcjanin energicznie skinął głową.

- A jak twoja firma transportowa? - zapytał Saladyn. - Chyba nie masz z nią problemów?

Nastąpiła chwila ciszy.

- Firma transportowa?

Saladyn posłał mu uspokajający uśmiech. Jak wielu fachowców w swej branży miał zniewalający urok.

- Twoja ostrożność budzi podziw, Qasimie. Ale mogę cię

zapewnić, że nie jest już konieczna.

Egipcjanin nadal milczał.

- Czy wiesz, kim jestem? - spytał ponownie Saladyn.

- Tak. Myślę, że wiem.

- Więc odpowiedz na moje pytanie.

- Nie - odparł młody mężczyzna. - Firma transportowa nie ma żadnych problemów. Wszystko jest w porządku.

Saladyn znów się uśmiechnął.

- To już ja osądzę.

* * *

Wysłuchał sprawozdania Qasima z cierpliwością doświadczonego fachowca. Zresztą ta fachowość miała podłoże dwojakie. Był przecież agentem wywiadu, zanim stał się mózgiem siatki terrorystycznej. Doskonalił swe umiejętności na pustkowiach prowincji Anbar, gdzie knuł plany niezliczonych ataków samobójczych oraz zamachów bombowych z użyciem samochodów pułapek. Sypiał wtedy co noc w innym miejscu, kryjąc się przed dronami i myśliwcami F-16. Teraz miał dowodzić atakiem na amerykańską stolicę z luksusowego apartamentu w hotelu Four Seasons. Trudno wyobrazić sobie równie gorzką ironię, myślał. Przygotowany do tej chwili jak żaden terrorysta w historii, był tworem Ameryki. I jej koszmarnym snem.

Żaden szczegół operacji nie uszedł jego uwadze. Dokładnie wypytywał o wszystko - cele główne, plan awaryjny, broń, samochody pułapki i kamizelki samobójców. Młody Egipcjanin odpowiadał na jego pytania wyczerpująco i bez wahania.

Dżalal Nasser i Abu Ahmed al-Tikriti dokonali mądrego wyboru. Jego mózg był jak twardy dysk. Poszczególni agenci operacyjni znali zaledwie część planu, ale Qasim al-Banna wiedział niemal wszystko. Gdyby wpadł w ręce FBI w drodze powrotnej do Arlington, byłaby to katastrofa. I choćby tylko z tego powodu nie mógł opuścić chaty na pustkowiu w okolicach miasteczka Hume.

- Czy wszyscy zamachowcy znają swoje cele? - spytał Saladyn.

- Wszyscy oprócz tej palestyńskiej lekarki.

- Kiedy przylatuje?

- Wedle planu jej samolot powinien lądować o szesnastej trzydzieści, ale będzie kilka minut przed czasem.

- Sprawdziłeś?

Skinął twierdząco głową. Jest dobry, myślał Saladyn. Tak dobry jak Muhammad Ata. Szkoda, że nigdy nie zdobędzie jego sławy. Muhammad Ata cieszył się należnym szacunkiem w kręgach dżihadystów, a o Qasimie wiedziała zaledwie garstka jego współbraci.

- Obawiam się - powiedział - że musieliśmy nieco zmienić plany.

- Czego dotyczą?

- Ciebie.

- W jaki sposób?

- Chciałbym, żebyś jeszcze dziś wieczór wyjechał do kalifatu.

- Przecież jeśli w ostatniej chwili dokonam rezerwacji, Amerykanie...

- Niczego nie zauważą - uciął Saladyn. - Twoja obecność tutaj jest zbyt niebezpieczna, bracie Qasimie. Za dużo wiesz.

Egipcjanin milczał.

- Wyczyściłeś swój komputer? - zapytał Saladyn.

- Oczywiście.

- A twoja żona? Wie, czym się zajmujesz?

- Nie ma pojęcia.

- Wyjedzie z tobą?

- Wątpię.

- Szkoda. - Saladyn pokręcił głową. - Ale zapewniam cię, że w Kalifacie nie brak pięknych młodych kobiet.

- Słyszałem o tym.

Egipcjanin uśmiechnął się po raz pierwszy. Kiedy jednak Saladyn uniósł haftowaną poduszkę, spod której ukazał się Glock z tłumikiem, uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Nie niepokój się, bracie - uspokoił go Saladyn. - To z ostrożności na wypadek, gdyby zamiast ciebie w drzwiach stanęła FBI. - Wyciągnął rękę. - Pomóż mi wstać. Odprowadzę cię do auta.

Z pistoletem w jednej, a laską w drugiej ręce ruszył za Qasimem do wyjścia.

- Gdyby z jakiegoś powodu aresztowano cię w drodze na lotnisko...

- Nie powiem słowa - zapewnił Egipcjanin nieprzejednanym tonem. - Nawet gdyby mnie podtapiali.

- Ależ bracie Qasimie! Nie słyszałeś? Amerykanie nie robią już tych rzeczy.

Al-Banna usiadł za kierownicą swego koreańskiego sedana,

zamknął drzwi i włączył silnik. Nim jednak ruszył, Saladyn delikatnie postukał w okno ręką laski. Szyba zjechała w dół. Młody Egipcjanin spojrzał pytająco.

- I jeszcze jedno... - Saladyn jakby coś sobie przypomniał.

- Tak?

W tym momencie Saladyn wsunął glocka z tłumikiem w otwarte okno i czterokrotnie strzelił. Potem sięgnął do kierownicy, ostrożnie, by nie zaplamieć kurtki krwią, i skierował auto na podjazd. Wóz potoczył się w dół i chwilę później zamknęła się nad nim czarna tafla stawu. Saladyn czekał, aż znikną bąbelki powietrza i powierzchnia wody znów odzyska gładkość szkła. Potem wsiadł do swego samochodu i ruszył z powrotem do Waszyngtonu.

Kompleks Liberty Crossing, Wirginia

W odróżnieniu od Salady na Gabriel spędził bezczynny, choć nerwowy poranek w kryjówce przy N Street, obserwując, jak mały zielonkawy samolot wolno przesuwa się po ekranie jego samsunga. W końcu o wpół do trzeciej po południu wsiadł na tył czarnego suburbana, by wyruszyć do McLean, jednej z zamożnych enklaw Wirginii. W pewnym miejscu Route 123 dostrzegł znak wskazujący zjazd do Centrum Wywiadu im. George'a Busha. Kierowca minął go, nawet nie zwalniając.

- Przejechałeś zjazd - zwrócił się do niego Gabriel.

Ten uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Podążając nadal Route 123, mijał rozległe centra handlowe i kompleksy biurowe w centrum McLean, by na koniec skręcić w Lewisville Road. Po kilkuset metrach skręcił ponownie w Tysons McLean Drive, która pięła się w górę łagodnego wzniesienia. Po jednym skręcie w lewo i drugim w prawo dotarli do dużego posterunku kontroli z co najmniej dwunastoosobową uzbrojoną załogą. Wartownik sprawdził ich na liście gości, a psy obwąchały samochód w poszukiwaniu ładunków wybuchowych. Następnie suburban wolno ruszył w stronę dziedzińca przed dużym biurowcem - siedzibą NCTC, Narodowego Centrum Antyterrorystycznego. Rozglądając się wokół, Gabriel pomyślał, że ten kompleks jest pomnikiem klęski. Amerykańska wspólnota wywiadowcza, największa

i najlepiej zaawansowana technologicznie na świecie, nie zdołała zapobiec tragedii 11 września. I oto za swoje grzechy została zreorganizowana i nagrodzona pieniędzmi, nieruchomościami oraz pięknymi budynkami.

W holu czekała na Gabriela pracownica Centrum – około trzydziestoletnia kobieta w spodniemie, z włosami związanymi w koński ogon. Wręczyła mu wejściówkę, którą przypiął do kieszeni marynarki, i zaprowadziła na Piętro Operacyjne – trzon nerwowy całej instytucji. Potężne ekrany wideo i podłużne obłe biurka nadawały mu wygląd studia telewizyjnego, a optymistycznie jasny odcień sosnowego drewna nasuwał skojarzenia z wzornictwem Ikei. Przy jednym z biurek siedział Adrian Carter w towarzystwie Farida Barakata i Paula Rousseau. Gdy Gabriel zajął przeznaczone miejsce, Carter podał mu fotografię ciemnowłosego mężczyzny po czterdziestce.

- Czy to koleś, którego widziałeś w Four Seasons?
- Całkiem udane faksymile. Kim on jest?
- To Omar al-Faruk, obywatel saudyjski, może niezupełnie członek rodziny królewskiej, ale z nią związany.
- Kto tak mówi?
- Nasz człowiek w Rijadzie. Sprawdził go. Jest czysty.
- Sprawdził go? Jak? I przez kogo?
- Przez Saudyjczyków.
- Aha. – Gabriel uśmiechnął się ironicznie. – To przesądza sprawę.

Carter nie odpowiedział.

- Przyjrzyjcie mu się dobrze, Adrianie – nalegał Gabriel.

- Chyba nie dosłyszałeś. Może niezupełnie członek rodziny królewskiej, ale z nią związany. Ponadto Arabia Saudyjska jest naszym sojusznikiem w walce z islamistami. Co miesiąc - dodał Carter, zerkając na Farida Barakata - Saudyjczycy przekazują królowi Jordanii okazały czek na wsparcie jego działań przeciw ISIS. A jeśli czek opóźnia się choć o jeden dzień, król wnosi do Rijadu skargę na zwłokę. Czy nie tak, Faridzie?

- I co miesiąc - odrzekł Farid - inni bogaci Saudyjczycy przelewają dla ISIS pieniądze i udzielają różnych form wsparcia. Zresztą nie są w tym osamotnieni. Mieszkańcy Kataru i Emiratów robią to samo.

Carter nie sprawiał wrażenia przekonanego. Spojrzał na Gabriela.

- FBI nie ma wystarczających środków, żeby opierać się na twoich przeczuciach.

- Więc pozwól, że my to zrobimy. - Gabriel nie rezygnował.

- Udam, że tego nie słyszałem. - Rozległ się dźwięk komórki. Carter spojrział na ekran i zmarszczył brwi. - Biały Dom. Muszę odebrać, to prywatne.

Wszedł do przeszklonego pomieszczenia konferencyjnego w głębi korytarza i zamknął drzwi. Gabriel spojrział na jeden z ekranów wideo i zobaczył, że zielonkawy samolot zbliża się do wybrzeży Stanów.

- Jakie macie źródła w Arabii Saudyjskiej? - spytał cicho Farida Barakata.

- Lepsze niż wy, przyjacielu.

- Wyświadcz mi zatem przysługę. - Podał mu fotografię -

I sprawdź, kim naprawdę jest ten dupek.

Farid sfotografował zdjęcie komórką i przesłał je natychmiast do siedziby jordańskiego wywiadu w Ammanie. Jednocześnie Gabriel wysłał na bulwar Króla Saula polecenie, by objęto obserwacją niejakiego Omara al-Faruka, gościa hotelu Four Seasons.

- Chyba zdajesz sobie sprawę - mruknął Farid - że przeginamy.

- Wyślę Adrianowi wielki kosz owoców, jak to się skończy.

- Nie wolno mu przyjmować prezentów. Wierz mi, przyjacielu, że próbowałem.

Gabriel uśmiechnął się mimo woli i zerknął na ekran wideo. Zielonkawy samolot właśnie wszedł w przestrzeń powietrzną USA.

Port Lotniczy Waszyngton-Dulles

Na lotnisku Dullesa doktor Lajlę Hadawi czekało chłodne powitanie. Przez czterdzieści minut stała w długiej, krętej jak labirynt kolejce do kontroli paszportowej, a kolejne dwadzieścia spędziła przed obliczem urzędnika imigracyjnego. Najwyraźniej nie należał do wtajemniczonych, gdyż szczególnie wypytywał o jej ostatnie podróże, kładąc szczególny nacisk na urlop w Grecji, i równie uparcie dociekał celu wizyty w Stanach Zjednoczonych. Nie przekonała go odpowiedź, że odwiedza przyjaciół, gdyż słyszał już podobne wielokrotnie.

- Gdzie przyjaciele mieszkają?

- Falls Church.

- Jak się nazywają?

Podawała dwa arabskie nazwiska.

- Zamieszka pani u nich?

- Nie.

- Gdzie się pani zatrzyma?

Nastąpiły kolejne pytania. Na koniec poproszono ją o uśmiech do kamery i odcisk palców na chłodnym szkle skanera cyfrowego. Oddając paszport, funkcjonariusz obojętnym tonem życzył jej miłego pobytu w Stanach. Po przejściu do stanowisk odbioru bagaży dostrzegła, że jej walizka powoli krąży po dawno opróżnionym pasie

transmisyjnym. Kiedy wreszcie weszła do hali przylotów, zaczęła szukać wzrokiem mężczyzny o kruczoczarnych włosach i odpowiednio dobranych okularach, ale nigdzie go nie dostrzegła. Nie była zdziwiona. Podczas lotu nad Atlantykiem poinformował ją, że Biuro odgrywa teraz rolę drugorzędną. Dowództwo przejęli Amerykanie i to oni będą prowadzić operację.

- Więc co mam zrobić, kiedy w końcu wyznaczą mi mój cel?
- Wyślij nam wiadomość dotychczasowym kanałem.
- A jeśli odbiorą mi telefon?
- Wybierz się na spacer. Z torebką na lewym ramieniu.
- A jeśli nie pozwolą mi wyjść?

Ciągnąc swą torbę na kółkach, wyszła na zewnątrz razem z postawnym, krótko ostrzyżonym Amerykaninem i wsiadła do wahadłowego busa Hertza. Jej samochód, jaskrawoczerwony chevrolet impala, stał w ustalonym miejscu. Włożyła torbę do bagażnika i z wahaniem zapaliła silnik. Widok pokręteł i wskaźników na tablicy rozdzielczej wydał jej się zupełnie obcy. Uświadomiła sobie, że nie prowadziła samochodu od dnia, w którym po powrocie do mieszkania w Jerozolimie zobaczyła przy kuchennym stole Dinę Sarid. Cóż by to była za katastrofa, pomyślała, gdyby teraz zginęła lub poważnie ucierpiała w wypadku samochodowym. Wpisała adres w komórkę i uzyskała informację, że z powodu szczególnego nasilenia ruchu przejazd trzydziestu kilometrów potrwa ponad godzinę. Uśmiechnęła się. Cieszyła ją ta zwłoka. Zdjęła hidżab i ostrożnie włożyła go do torebki. Potem wrzuciła bieg i wolno skierowała się do wyjazdu.

* * *

Kolor impali nie był dziełem przypadku. FBI dyskretnie interweniowało w rezerwację samochodu. Dodatkowo technicy Biura zainstalowali w nim nadajnik sygnału umożliwiający jego lokalizację oraz podsłuch. W efekcie tych działań dyżurni analitycy z Piętra Operacyjnego w Centrum Antyterrorystycznym słyszeli, jak Natalie cicho podśpiewuje francuską piosenkę, jadąc z lotniska do Waszyngtonu przez Dulles Access Road. Na jednym z potężnych ekranów wideo kamery drogowe śledziły każdy jej ruch. Na drugim migotało błękitne światło nadajnika. Jej komórka emitowała własny sygnał, a francuski numer telefonu widniał w szarawym prostokątnym pudełku obok mrugającego błękitnego światła. Biuro w rzeczywistym czasie odbierało jej głos, wiadomości oraz mejle. A teraz, gdy ten telefon znajdował się na terenie Stanów i był podłączony do amerykańskiej sieci komórkowej, Centrum Antyterrorystyczne również miało do nich pełny dostęp.

Jaskrawoczerwony samochód przejechał kilkaset metrów od kompleksu Liberty Crossing i posuwał się I-66 w stronę dzielnicy Rosslyn w Arlington. Tam skręcił na naziemny parking hotelu Key Bridge Marriott. Błękitne światło nadajnika przestało migać. Ale po jakichś trzydziestu sekundach - wystarczających, by kobieta mogła poprawić włosy i wyjąć z bagażnika walizkę - szarawe prostokątne pudełko komórki ruszyło w stronę wejścia do hotelu. Zatrzymało się na krótko przed recepcją, gdzie właścicielka urządzenia, Arabka tuż po trzydziestce z zakrytą twarzą

i francuskim paszportem, podała swoje dane. Nie wymagano od niej karty kredytowej. ISIS opłaciło z góry koszty jej pobytu i pozostałe wydatki. Zmęczona długą podróżą z ulgą odebrała kartę elektroniczną i wolno ruszyła przez hol w stronę wind.

* * *

Przywołując windę, Natalie dostrzegła w głębi lśniącego chromem i laminatami holu atrakcyjną blondynkę. Przyglądała jej się ze stołka przy barze. Miała około trzydziestki, długie do ramion włosy, a jej bagaż był podróbką Vuittona. Zakładając, że to agentka wywiadu amerykańskiego, Natalie wsiadła do windy, unikając kontaktu wzrokowego. Wcisnęła przycisk ósmego piętra i przesunęła się w głąb kabiny. Ale gdy drzwi się zasunęły, w szczelinę wsunęła się ręka. Należała do atrakcyjnej blondynki z holu. Kobieta stanęła pod przeciwną ścianą, patrząc wprost przed siebie. Ciężki konwaliowy zapach jej perfum przyprawiał o mdłości.

- Które piętro? - spytała Natalie po angielsku.

- Może być ósme - odparła nieznajoma. Miała francuski akcent i dziwnie znajomy głos.

Nie odezwały się, gdy winda powoli się wznosiła. Na ósmym piętrze rozsunęły się drzwi i Natalie wysiadła pierwsza. Zatrzymała się na chwilę, by sprawdzić, w którą stronę iść, po czym ruszyła korytarzem. Atrakcyjna blondynka podążyła za nią. A gdy Natalie zatrzymała się przed pokojem osiemset dwadzieścia dwa, przystanąła i ona. Dopiero wtedy po raz pierwszy spojrzały sobie w oczy. Natalie, o dziwo, zdołała się uśmiechnąć.

Patrzyła w oczy Safii Bourihane.

* * *

W oczekiwaniu na przyjazd Natalie, FBI również umieściło dwoje agentów, kobietę i mężczyznę, w holu Key Bridge Marriott. Włamano się ponadto do hotelowego systemu ochrony, umożliwiając tym samym Centrum Antyterrorystycznemu nieskrępowany dostęp do niemal trzystu kamer. Nie tylko agenci, lecz i kamery dostrzegły atrakcyjną blondynkę, która wsunęła się za Natalie do windy. Agenci nie próbowali nawet śledzić tych dwóch kobiet, ale kamery były mniej ostrożne. Obserwowały z góry ich krótki kontakt i śledziły ich ruchy w przyciemnionym świetle korytarza aż do drzwi pokoju osiemset dwadzieścia dwa. Tutaj również ingerowało FBI, instalując cztery mikrofony i tyleż kamer. Wszystkie one słuchały i obserwowały wejście kobiet do pokoju. Blondynka mruknęła po francusku coś, czego mikrofony nie zdołały wychwycić, a dziesięć sekund później szarawe prostokątne pudełko zniknęło z potężnego ekranu wideo w Centrum Antyterrorystycznym.

- Wygląda na to, że siatka właśnie nawiązała z nią kontakt - rzekł Carter, patrząc, jak kobiety lokują się w pokoju. - Źle, że nie widać telefonu.

- To było do przewidzenia.

- Owszem - zgodził się Carter. - Nie można za wiele oczekiwać.

Gabriel poprosił o powtórkę nagrania z windy. Na polecenie Cartera kilka sekund później pojawiło się na ekranie.

- Ładna dziewczyna - orzekł Carter.

- Natalie czy ta blondynka?

- W gruncie rzeczy obie ładne, ale mówiłem o blondynce.
Myślisz, że to jej własny kolor?

- Wykluczone. - Gabriel poprosił o zbliżenie twarzy.

Carter znów wydał stosowne polecenie.

- Poznajesz ją?

- Tak. - Gabriel zerknął na Paula Rousseau. - Obawiam się, że tak.

- Kto to jest?

- To jest ktoś, kto absolutnie nie powinien znaleźć się w tym kraju - odparł złowróźnie Gabriel. - A jeśli tak się stało, to znaczy, że jest tu również wielu jej podobnych.

Arlington, Wirginia

Prezydent Francji i jego piękna żona, eksmodelka, przylecieli do bazy wojskowej Joint Base Andrews o siódmej wieczorem. Kawalkada towarzysząca prezydenckiej parze z prowincjonalnego Marylandu do Blair House - przeznaczonej dla gości rezydencji w federalnym stylu przy Pennsylvania Avenue, naprzeciwko Białego Domu - była największa z wszystkich, jakie pamiętano. Liczne blokady ulic sparaliżowały ruch na mostach nad Potomakiem, zmieniając centrum Waszyngtonu w parking dla tysięcy przyjezdnych. Niestety zakłócenia życia publicznego miały się jeszcze nasilić. Wcześniej tego poranka „Washington Post” informował, że środki bezpieczeństwa związane ze szczytem francusko-amerykańskim zostaną zaostrzone. Wedle gazety miały one przeciwdziałać zagrożeniom ze strony ISIS, ale nawet szacowny „Post” mimo swych licznych źródeł w łonie wspólnoty wywiadowczej nie był świadom prawdziwej skali niebezpieczeństwa grożącego miastu.

Tego wieczoru intensywne wysiłki, by zapobiec atakowi, koncentrowały się na hotelu położonym u stóp Key Bridge w okręgu Arlington, w stanie Wirginia. Pewien pokój na ósmym piętrze zajmowały dwie kobiety - jedna była agentką wywiadu izraelskiego, druga agentką przywódcy siatki terrorystycznej zwanego Saladynem. Obecność tej kobiety na

terytorium Stanów Zjednoczonych wywołała alarm w Centrum Antyterrorystycznym i pozostałych amerykańskich strukturach bezpieczeństwa wewnętrznego. Kilkadziesiąt różnych agencji rządowych desperacko próbowało zbadać, jak ta kobieta zdołała przekroczyć granice ich kraju i jak długo ma w nim pozostać. O sytuacji powiadomiono Biały Dom. Podobno prezydent był wściekły.

O wpół do dziewiątej wieczorem dwie kobiety postanowiły wybrać się na kolację. W recepcji poradzono im, by omijały George town. Tam jest prawdziwy cyrk przez te korki, ostrzegła recepcjonistka, proponując, by pojechały do baru sieciowego z grillem w dzielnicy Clarendon. Natalie wyruszyła tam swoją czerwoną impalą i zaparkowała na parkingu przy bulwarze Wilsona. W barze z grillem nie wymagano rezerwacji. Lokal słynął z dużych rozmiarów podawanych porcji i długości kolejek. Czas oczekiwania wynosił pół godziny, ale dostępne były miejsca przy wysokich stolikach w barze. Jadłospis składał się z dziesięciu laminowanych stron w spiralnej plastikowej oprawie. Safia przekartkowała je ze zdumioną miną.

- Kto może tyle zjeść? - spytała po francusku, przewracając kolejną stronę.

- Amerykanie - odparła Natalie, zerkając na dobrze odżywioną klientelę wokół nich. W wysokiej sali panował straszliwy hałas, ale dzięki temu można było swobodnie rozmawiać.

- Chyba straciłam apetyt - oświadczyła Safia.

- Powinnaś coś zjeść.

- Jadłam w pociągu.
- Jakim pociągu?
- Z Nowego Jorku.
- Długo tam byłaś?
- Jeden dzień. Po przylocie z Paryża.
- Chyba żartujesz.
- Przecież ci mówiłam, że jeszcze wrócę do Francji.

Uśmiechnęła się. Ze swymi blond włosami i w zgrabnej obcisłej sukience miała prawdziwie francuski szyk. Natalie wyobraziła sobie, jaką kobietą Safia mogłaby się stać, gdyby nie radykalny islam oraz ISIS.

Ich rozmowę przerwała kelnerka, która podeszła, by przyjąć zamówienia na napoje. Obie poprosiły o herbatę. To chwilowe zakłócenie zirytowało Natalie, nastąpiło bowiem w chwili, gdy Safia stała się bardziej rozmowna.

- Jak zdołałaś wrócić do Francji?
- A jak myślisz?
- Z cudzym paszportem?

Safia przytaknęła.

- Czyim?
- Należy do nowej dziewczyny. Ma nie tylko podobną twarz, ale też wzrost i wagę.

- Algierka?
- Oczywiście.
- Czym podróżowałaś?

- Głównie autobusami i pociągami. Ale jak już wróciłam do Unii, nikt nawet nie spojrzał na mój paszport.

- Ile czasu byłaś we Francji?

- Z dziesięć dni.
- W Paryżu?
- Tylko pod sam koniec.
- A przedtem?
- Ukrywano mnie w Vaulx-en-Velin.
- A tu? Pokazałaś ten sam paszport?

Safia potwierdziła.

- I żadnych problemów?
- Najmniejszych. Ci amerykańscy urzędnicy imigracyjni byli nawet bardzo sympatyczni.

- Miałaś tę sukienkę?

Nim Safia zdążyła odpowiedzieć, pojawiła się kelnerka z herbatą. Natalie po raz pierwszy otworzyła jadłospis.

- Na kogo wystawiony jest ten paszport?
- Dlaczego pytasz?
- A co będzie, jeśli nas zatrzymają? Jeśli zapytają mnie, jak się nazywasz, a ja nie zdołam odpowiedzieć?

Safia poważnie się zastanowiła.

- Nazywa się Asma - powiedziała w końcu. - Asma Dumaz.
- Skąd Asma pochodzi?

Lekko się skrzywiła.

- Z Clichy-sous-Bois - odparła z ociąganiem.
- Współczuję.
- Co zamawiasz? - Safia zmieniła temat.
- Jakiś omlet.
- Myślisz, że potrafią tu zrobić omlet?
- Zobaczymy.
- A na przystawkę?

- Zastanawiałam się nad zupą.
- Okropność. Lepiej weź sałatkę.
- Te porcje są gigantyczne.
- Podzielimy się. I nie bierz tego okropnego dressingu.

Poproś tylko o ocet i olej.

Gdy kelnerka podeszła ponownie, Natalie złożyła zamówienie.

- Bardzo dobrze mówisz po angielsku - niechętnie zauważyła Safia.

- Oboje moi rodzice znali angielski, a poza tym uczyłam się go w szkole.

- Ja niczego nie uczyłam się w szkole. - Safia zerknęła na ekran telewizora nad barem. Odbierał program CNN. - Co oni mówią?

- O groźbie ataku ISIS podczas wizyty prezydenta Francji.

Safia milczała.

- Znasz już swój cel? - spytała cicho Natalie.

- Tak.

- To operacja samobójcza?

Safia, nie odrywając wzroku od ekranu, wolno przytaknęła.

- A co ze mną?

- Wkrótce się dowiesz.

- Od kogo?

Safia wymijająco wzruszyła ramionami.

- Wiesz, co to jest?

- Nie.

Natalie spojrzała na telewizor.

- A co mówią teraz? - zapytała Safia.

- To samo.

- Zawsze mówią to samo.

Natalie zsunęła się ze stołka.

- Gdzie idziesz?

Wskazała przejście prowadzące do toalet.

- Przecież byłeś w toalecie przed wyjściem z hotelu.

- To przez tę herbatę.

- Tylko nie siedź tam długo.

Natalie narzuciła torebkę na lewe ramię i wolno ruszyła przez bar, manewrując w labiryncie wysokich stolików. Damska toaleta była pusta. Weszła do jednej z kabin, zamknęła drzwi i zaczęła wolno liczyć. Gdy doszła do czterdziestu pięciu, usłyszała, że drzwi wejściowe otwierają się i zamykają. Rozległ się szum wody spływającej do umywalki i głośny podmuch suszarki do rąk. Do tej symfonii dźwięków dołączył wodospad przemysłowej spłuczki, którą sama nacisnęła. Gdy wyszła z kabiny, ujrzała młodą, niespełna trzydziestoletnią kobietę. Stała przed lustrem, poprawiając makijaż. Miała suchą porowatą skórę typową dla mieszkańców pustyni lub wysokich gór, a obcisłe dzinsy i sweter bez rękawów podkreślały jej zwalistą sylwetkę o szerokich ramionach i muskularnych rękach atlety.

Natalie podeszła do drugiej umywalki i puściła wodę. Gdy spojrzała w lustro, dostrzegła, że kobieta też w nie patrzy.

- Witaj, Lajlo.

- Kim jesteś?

- To bez znaczenia.

- Jeśli jedną z nich, to ma duże znaczenie.

Kobieta nałożyła puder na zniszczoną skórę twarzy.

- Jestem Megan - powiedziała do lustra. - Megan z FBI. A ty tracisz cenny czas.

- Wiesz, z kim tu przyszedłam? - spytała Natalie.

Kobieta przytaknęła. Odłożyła puder i zaczęła malować usta.

- Jak tu przyjechała?

- Ma fałszywy paszport.

- Gdzie wylądowała?

- W Nowym Jorku.

- Kiedy?

Natalie udzieliła odpowiedzi.

- Kennedy czy Newark?

- Nie wiem.

- Jak dotarła do Waszyngtonu?

- Pociągiem.

- Na jakie nazwisko jest paszport?

- Asma Dumaz.

- Podali ci już cel?

- Nie. Ale ona swój zna. To zamach samobójczy.

- Wiesz gdzie?

- Nie.

- Spotkałaś innych członków komórki?

- Nie.

- Gdzie twój telefon?

- Zabrała mi go. Nie wysyłaj żadnych wiadomości.

- Zmykaj.

Natalie zakręciła wodę i wyszła. Safia nieufnie patrzyła, jak

zbliża się do stolika. Potem skierowała wzrok na atletycznie zbudowaną kobietę, która powróciła na swoje miejsce przy barze.

- Czy ta kobieta próbowała cię zagadnąć?

- Jaka kobieta?

Safia skinęła w stronę baru.

- Ta? - Natalie potrząsnęła głową. - Cały czas rozmawiała przez telefon.

- Naprawdę? - Safia fachowo doprawiła sałatę oliwą i octem. - *Bon appétit.*

Key Bridge Marriott, Arlington

Pokój był jednoosobowy, a łóżko za wąskie dla nich obu. Jak na kobietę, która wiedziała, że wkrótce czeka ją śmierć, Safia nieźle spała. Tylko raz w ciągu nocy usiadła wyprostowana, recytując przez sen, jak prawidłowo nałożyć kamizelkę szahida. Natalie uważnie słuchała jej bełkotliwych zdań w nadziei, że zdradzi swój cel, lecz Safia po chwili ucichła. W końcu, około trzeciej nad ranem, Natalie też usnęła. Ocknęła się, czując, że Safia jak torbacz przylgnęła do jej pleców. Za oknem było szaro i deszczowo. Gwałtowna zmiana ciśnienia przyprawiła ją o pulsujący ból głowy, zażyła więc dwie tabletki przeciwbólowe, po czym znów się zdrzemnęła. Ponownie obudził ją ryk odrzutowca, który, jak się zdawało, przeleciał metr od ich okna, po czym wykonał przechył nisko nad Potomakiem i zniknął w chmurach, nim dotknął pasa lotniska Waszyngton-Reagan-National.

Natalie przewróciła się na bok i zobaczyła, że Safia siedzi na łóżku, wpatrzona w komórkę.

- Jak spałaś? - spytała, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Dobrze. A ty?

- Nieźle. - Safia wyłączyła telefon. - Ubieraj się. Mamy robotę.

* * *

Wzięły prysznic, ubrały się i zeszły na dół do hotelowej restauracji na przysługujące gościom śniadanie. Safia nie miała apetytu. Tak zresztą jak i Natalie. Wypiła trzy filiżanki kawy w nadziei, że uwolni się od bólu głowy, i wmusiła w siebie pojemnik greckiego jogurtu. W restauracji oprócz tłumu turystów siedzieli dwaj przystojni mężczyźni, którzy wyglądali na przyjezdnych biznesmenów. Jeden z nich nie mógł oderwać wzroku od Safii. Drugi oglądał wiadomości na ekranie zawieszzonego na ścianie telewizora. W prawym dolnym rogu widniał napis: „Na żywo”. Prezydenci Stanów i Francji siedzieli przed kominkiem w Gabinetcie Owalnym. Prezydent USA coś mówił, ale prezydent Francji nie miał szczęśliwej miny.

- Co on mówi? - zapytała Safia.

- Coś o współpracy z naszymi przyjaciółmi i sojusznikami na Bliskim Wschodzie w celu pokonania ISIS.

- Serio?

- Nasz prezydent najwyraźniej tak nie uważa.

Safia dostrzegła uporczywe spojrzenie wielbiciela z przeciwnej strony sali. Szybko odwróciła głowę.

- Czemu ten facet się gapi?

- Bo mu się podobasz.

- Jesteś pewna, że tylko dlatego?

Natalie przytaknęła.

- To irytujące.

- Wiem.

- Szkoda, że nie mogę nałożyć hidżabu.

- To by nic nie dało.

- Dlaczego?

- Bo i tak byłąbyś piękna. - Natalie wyskrobała resztki jogurtu z dna plastikowego pojemnika. - Naprawdę powinnaś coś zjeść.

- Po co?

Nie znalazła na to odpowiedzi.

- Co robimy dziś rano? - zapytała.

- Idziemy na zakupy.

- A co kupujemy?

- Ubrania.

- Ależ ja mam ubrania.

- To będą piękne ubrania.

Safia zerknęła na ekran telewizora, gdzie rzecznik prasowy Białego Domu wyprowadzał tłum reporterów z Gabinetu Ovalnego. Potem bez słowa wstała i opuściła restaurację. Natalie podążała kilka kroków za nią z torebką na prawym ramieniu. Na zewnątrz deszcz zmienił się w zimną mżawkę. Szybko przeszły przez parking i wsiadły do impali. Natalie wsunęła kluczyk w stacyjkę i zapaliła silnik, podczas gdy Safia wyciągnęła z torebki komórkę i wpisała „Tyson's Corner” w mapę Google'a. Kiedy na ekranie pojawiła się błękitna trasa, wskazała w kierunku Lee Highway.

- Jedź w prawo.

* * *

Na Piętrze Operacyjnym w NCTC Gabriel i Adrian Carter obserwowali, jak jaskrawoczerwona impala wjeżdża na prowadzący w kierunku zachodnim pas autostrady I-66,

a w ślad za nią podąża ford explorer z dwójką funkcjonariuszy Specjalnej Grupy Obserwacyjnej FBI. Na sąsiednim ekranie błękitne światło nadajnika migало na gigantycznej cyfrowej mapie Waszyngtonu.

- Co ty chcesz zrobić, Adrian? - spytał Gabriel.

- To nie ja zleciłem. Nie mam w tym żadnego udziału.

- A kto?

- On. - Carter wskazał transmitowane przez CNN spotkanie w Gabinetcie Ovalnym. - Idzie teraz do Pokoju Dowodzenia. Są tam już wszyscy zwierzchnicy służb bezpieczeństwa narodowego.

W tym momencie zadzwonił jego telefon. Była to zdecydowanie jednostronna rozmowa.

- Zrozumiałem. - To wszystko, co Carter powiedział. Potem się rozłączył i wbił wzrok w mrugające błękitne światło pełznące na zachód wzdłuż I-66.

- Jaka decyzja? - spytał Gabriel.

- Pozwalamy im jechać dalej.

- Słusznie.

- Może - odparł Carter. - A może nie.

* * *

Natalie dotarła I-66 do Beltway, a następnie przez Beltway do centrum handlowego Tysons Corner. Na pierwszym poziomie zadaszzonego Parkingu B było kilka wolnych miejsc, ale Safia poleciła jej wjechać na drugi poziom.

- Tam. - Wskazała odległy pusty ką. - Stań tam.

- Dlaczego tak daleko od wejścia?

- Rób, co mówię - syknęła Safia.

Natalie wjechała na wyznaczone miejsce i zgasiła silnik. Safia wpatrywała się w tablicę rozdzielczą, gdy tuż za nimi przejeżdżał ford explorer, by zaparkować na końcu tego samego rzędu. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni, biali Amerykanie tuż po trzydziestce, i ruszyli w stronę wejścia do centrum. Safia, jak się zdawało, ich nie widziała. Znow patrzyła na wskaźniki tablicy rozdzielczej.

- Czy jest tu gdzieś zwalniacz klapy bagażnika?

- Tam. - Natalie wskazała przycisk niemal pośrodku deski rozdzielczej.

- Nie zamykaj drzwi.

- Dlaczego?

- Bo tak ci każę.

Safia bez słowa wysiadła. Ruszyły w stronę schodów i zatrzymały się przed Bloomingdale's. Dwaj Amerykanie z forda udawali, że kupują płaszcze zimowe. Kierując się znakami, Safia udała się do działu odzieży damskiej i spędziła następne pół godziny, przechodząc z jednego butik do drugiego i przeglądając wieszaki. Natalie wyjaśniła ekspedientce, że koleżanka szuka czegoś odpowiedniego na służbową kolację, na przykład spódnicy z żakietem, przy czym żakiet nie może być zbyt obcisły. Safia przymierzyła kilka modeli proponowanych przez ekspedientkę, ale w końcu nic nie wybrała.

- Za ciasny - stwierdziła swym szkolnym angielskim, przesuwając dłońmi po kształtnych biodrach i płaskim brzuchu. - Ma być luźny.

- Gdybym miała pani figurę - zdziwiła się ekspedientka - kupiłabym tak obcisły, jak to możliwe.

- Chce zrobić dobre wrażenie - wyjaśniła Natalie.

- Proszę jej poradzić, żeby zajrzała do Macy's. Może tam uda się coś znaleźć.

I rzeczywiście się udało. Po kilku minutach Safia dostrzegła zapinany na pięć guzików żakiet Tahari do pół uda, który w końcu uznała za odpowiedni. Wybrała dwa - czerwony i szary, oba w rozmiarze sześć.

- Są o wiele za duże - zdziwiła się sprzedawczyni. - Pani powinna nosić najwyżej rozmiar cztery.

Natalie bez słowa przeciągnęła kartę kredytową nad skanerem i złożyła niedbały podpis na ekranie dotykowym. Sprzedawczyni spakowała żakiety do białej plastikowej torby z logo Macy's i podała ją przez kontuar. Natalie wzięła torbę i wyszła za Safią ze sklepu.

- Dlaczego kupiłaś dwa żakiety?

- Jeden jest dla ciebie.

Natalie poczuła, że ogarniają ją mdłości.

- Który?

- Jasne, że czerwony.

- W czerwonym nie wyglądam dobrze.

- Nie bądź głupia.

Po wyjściu do holu Safia sprawdziła swój telefon.

- Potrzebujesz czegoś? - spytała po chwili.

- Na przykład czego?

- Jakiegoś kosmetyku, biżuterii.

- Sama zdecyduj - odparła Natalie zrezygnowanym tonem.

- A co byś powiedziała na kawę?

Nie miała ochoty na kawę, ale nie chciała drażnić Safii. Weszły do sąsiedniego Starbucksa i zamówiły dwie latte, po czym siadły przy jednym ze stolików w rozległym holu. Kilka mużłmanek, wszystkie z zakrytymi twarzami, cicho rozmawiało po arabsku, a liczne kobiety w hidżabach, w średnim wieku i bardzo młode, przechadzały się przed wystawami. Natalie miała wrażenie, że wróciła do swego *banlieue*. Spojrzała na Safię, która bezmyślnie wpatrywała się w przestrzeń, mocno ściskając w dłoni telefon. Jej kawa stała nietknięta na stoliku.

- Muszę iść do toalety - powiedziała Natalie.

- Nie możesz.

- Dlaczego?

- To niedozwolone.

Komórka w dłoni Safii zawibrowała. Przeczytała wiadomość i gwałtownie wstała.

- Możemy iść.

Wróciły na Parking B i weszły na schody, by wjechać na drugi poziom. Odległy kąt, wcześniej pusty, wypełnił się tymczasem samochodami. Gdy zbliżały się do impali, Natalie otworzyła pilotem bagażnik, ale Safia szybko go zamknęła.

- Połóż ubrania na tylnym siedzeniu.

Postąpiła zgodnie z poleceniem. Potem wsunęła się za kierownicę i zapaliła silnik, podczas gdy Safia wpisała Key Bridge Marriott w mapę Google'a.

- Kieruj się znakami do wyjazdu - powiedziała. - A potem skręć w lewo.

* * *

Telegraficzne komunikaty grupy obserwacyjnej FBI migają na ekranach wideo w NCTC jak ogłoszenia na lotniskowych tablicach informacyjnych: obiekty kupują ubrania w Macy's... obiekty piją kawę w Starbucksie... obiekty opuszczają centrum... co dalej...

Prezydent i szefowie służb bezpieczeństwa narodowego stłoczeni w Pokoju Dowodzenia Białego Domu wydali polecenie: słuchać, obserwować, czekać. Niech robią swoje.

- Słuszna decyzja - ocenił Gabriel.

- Może - powiedział Carter. - A może nie.

O dwunastej piętnaście czerwona impala wjechała na parking przed hotelem Key Bridge Marriott, by zatrzymać się na tym samym miejscu, które zwolniła przed dwoma godzinami. Część dalszych wydarzeń zarejestrował hotelowy monitoring, a krótkie komunikaty obserwatorów FBI dopełniły obrazu. Obiekty wysiadły z samochodu. Obiekt numer jeden, agentka izraelska, wzięła z tylnego fotela torbę z Macy's. Obiekt numer dwa, Francuzka, wyjęła dwie duże papierowe torby z bagażnika.

- Jakie dwie torby z bagażnika? - spytał Gabriel.

Carter nie odpowiedział.

- Skąd się tam wzięły?

Carter, niemal krzycząc, przekazał to pytanie dyżurnym na Piętrze Operacyjnym NCTC. Odpowiedź pojawiła się na ekranie kilka sekund później.

Torby pochodziły z L.L. Bean.

- Niech to ...- Gabriel i Carter jednocześnie zmełli

przekleństwo w ustach.

Natalie i Safia nie wchodziły do L.L. Bean.

Biały Dom

Znacznie później wspomiano spotkanie przywódców USA i Francji jako najczęściej zakłócanie w historii stosunków dyplomatycznych. Prezydent Stanów był trzykrotnie wzywany do Pokoju Dowodzenia. Dwa razy wychodził tam sam, zostawiając prezydenta Francji i jego najbliższych współpracowników w Gabinetcie Owalnym. Za trzecim razem prezydent Francji dotrzymał mu towarzystwa. Dwie kobiety z pokoju osiemset dwadzieścia dwa w Key Bridge Marriott miały przecież francuskie paszporty, choć były one fałszywe. W końcu jednak dwaj przywódcy zdołali wspólnie spędzić niczym niezakłóconą godzinę przez rozpoczęciem konferencji prasowej w Pokoju Wschodnim. Przez cały czas jej trwania amerykański prezydent miał ponury wyraz twarzy i w nietypowy dla siebie sposób odpowiadał na pytania chaotycznie i z roztargnieniem. Jeden z reporterów sugerował nawet, że był to wyraz niezadowolenia z rozmów z przywódcą Francji. Trudno o bardziej mylny pogląd.

Prezydent Francji opuścił Biały Dom o trzeciej po południu i wrócił do Blair House. W tej samej chwili Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego wydał niejasno sformułowane ostrzeżenie przed groźbą zamachu terrorystycznego na terenie Stanów Zjednoczonych, być może nawet Waszyngtonu. Ponieważ jednak komunikat nie przyciągnął właściwej uwagi –

przekazał go tylko jeden kanał informacyjny - sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego pośpiesznie zwołał konferencję prasową, by powtórzyć ostrzeżenie przed kamerami. Tym razem nie wynikało to z zawodowej asekuracji, na co wskazywało jego wyraźne napięcie. Zagrożenie było rzeczywiste.

- Czy w związku z tym program zajęć prezydenta ulegnie zmianie? - spytał któryś z reporterów.

- Na razie nie - odparł wymijająco sekretarz.

Następnie wymienił środki, jakie podjął rząd federalny, by zapobiec potencjalnemu atakowi lub go udaremnić. Nie wspomniał jednak o sytuacji rozwijającej się po przeciwnej stronie Potomacu, gdzie o dwunastej osiemnastej po południu dwie kobiety, obiekt numer jeden i obiekt numer dwa, wróciły do hotelu po krótkiej wyprawie na zakupy. Obiekt numer jeden powiesił torbę z Macy's w szafie, podczas gdy obiekt numer dwa postawił dwie podejrzane torby z logo L.L. Bean na podłodze przy oknie. Mikrofony trzykrotnie słyszały, jak obiekt numer jeden pyta o zawartość toreb. I jak obiekt numer dwa trzykrotnie odmawia odpowiedzi.

Cały aparat bezpieczeństwa krajowego rozpaczliwie zadawał sobie to samo pytanie. Sposób, w jaki torby znalazły się w bagażniku impali, ustalono jednak dość szybko dzięki kamerom monitoringu gęsto rozmieszczonym w centrum handlowym Tysons Corner. Torby dostarczono o jedenastej trzydzięci siedem. Mężczyzna w nieokreślonym wieku i o nieustalonym pochodzeniu etnicznym wszedł pieszo na drugi poziom Parkingu B, trzymając w każdej ręce torbę

z napisem L.L. Bean. Umieścił je w bagażniku impali, który otworzył od środka samochodu, wsiadając do niego przez otwarte drzwi. Następnie tak jak wszedł, wyszedł z parkingu i skierował się w stronę Route 7, gdzie kamery drogowe zarejestrowały, jak wsiada do nissana altimy z tablicami Delaware. Wóz odebrano w piątek po południu od Hertza przy Union Station. W rejestrze wypożyczalni figurowała kobieta - Francuzka, Asma Dumaz. Nic to jednak nikomu nie mówiło.

Nie dostarczało również wyjaśnień co do zawartości toreb, choć fachowy sposób ich transferu skłaniał do najgorszych przypuszczeń. Pewien wysoki funkcjonariusz FBI, a zarazem główny doradca polityczny prezydenta, za jedyny skuteczny środek działania uznał natychmiastowy nalot służb na pokój osiemset dwadzieścia dwa. Przeważało jednak stanowisko osób chłodniej myślących, w tym samego prezydenta. W przekonaniu, że kamery i mikrofony zaalarmują FBI w chwili, gdy dwa obserwowane obiekty zaczną przygotowania do operacji, postanowili czekać. Zakładali bowiem, że nim to nastąpi, urządzenia monitorujące wejdą w posiadanie bezcennych informacji na temat tożsamości zamachowców oraz celów ataku. W ramach szczególnych środków ostrożności jednostka specjalna SWAT i Zespół Ratowania Zakładników dyskretnie zajęły strategiczne pozycje wokół hotelu. Na razie jednak kierownictwo Marriotta o niczym nie wiedziało.

Sygnaly z kamer i mikrofonów zainstalowanych w pokoju osiemset dwadzieścia dwa płynęły przez Centrum Antyterrorystyczne do Białego Domu i dalej. Główną kamerę

ukryto wewnątrz konsoli radiowo-telewizyjnej. Wpatrywała się w śledzone obiekty niczym kamery telewizyjne w bohaterów reality show. Obiekt numer dwa leżał w negliżu na łóżku, paląc papierosa, pogwałcając tym samym regulamin hotelowy i zasady ISIS. Obiekt numer jeden, wróg palenia, domagał się pozwolenia, by wyjść z pokoju na świeże powietrze, ale numer dwa nie wyrażał zgody, twierdząc, że to haram.

- Kto tak mówi? - zdziwił się obiekt numer jeden.

- Tak mówi Saladyn.

Wzmianka na temat głównego stratega operacji rozbudziła na nowo nadzieję NCTC i Białego Domu, że w ślad za tym numer dwa ujawni kluczowe informacje. Tymczasem obiekt zapalił kolejnego papierosa i pilotem włączył telewizor. Sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego stał na podium przed dziennikarzami.

- Co on mówi?

- Mówi, że nastąpi zamach.

- Skąd wie?

- Tego nie powie.

Kobieta zwana obiektem numer dwa, wciąż paląc, sprawdziła swój telefon, do którego ani FBI, ani NSA nie zdołały uzyskać dostępu. Potem zerknęła na ekran telewizora. Sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego zamknął konferencję. Teraz panel ekspertów do spraw terroryzmu analizował zagrożenie.

- Co oni mówią?

- To samo - odparł numer jeden. - Że będzie zamach.

- Wiedzą o nas?
- Gdyby wiedzieli, to już dawno by tu byli.

Ale tamta nie wydawała się przekonana. Znów sprawdziła telefon, podobnie jak piętnaście sekund później i po kolejnych dziesięciu sekundach. Najwyraźniej oczekiwała, aż siatka nawiąże łączność. Nastąpiło to o szesnastej czterdzieści siedem.

- *Alhamdulillah* - wyszeptała.
- O co chodzi? - spytała Natalie.
- Już czas.

Safia zgmiotła papierosa i zgasiła telewizor. Dziesiątki dyżurnych analityków na Piętrze Operacyjnym Narodowego Centrum Antyterrorystycznego patrzyło i czekało. Był tam również obecny dowódca elitarnej francuskiej organizacji antyterrorystycznej, szef wywiadu Królestwa Jordanii oraz przyszły dyrektor tajnych służb wywiadowczych Państwa Izrael. Jedynie Izraelczyk nie mógł zobaczyć tego, co nastąpiło dalej. Siedział w wyznaczonym miejscu przy podłużnym biurku z łokciami opartymi na sosnowym blacie i słuchał, zakrywając dłońmi oczy.

- W imię Boga łaskawego i miłosiernego...
- Natalie nagrywała swoje samobójcze przesłanie.

Alexandria, Wirginia

Firma przewozowa Dominion Movers z Alexandrii w stanie Wirginia miała wyjątkowo spokojny dzień. Dostała tylko jedno niewielkie zlecenie od samotnej kobiety, która przenosiła się z wynajętej rudery na Capitol Hill do ciasnego domku w North Arlington, kupionego okazjnie za siedemset tysięcy dolarów. Wymagało to zaledwie jednej ciężarówki i dwóch pracowników. Jednym z nich był Jordańczyk, drugim Tunezyjczyk. Obaj należeli do ISIS i szkolili się, a także walczyli w Syrii. Kobieta, która była asystentką znanego senatora republikańskiego, oczywiście nic o tym nie wiedziała. Poczęstowała ich kawą i ciasteczkami, a po zakończeniu roboty nagrodziła sutym napiwkiem.

Dwaj mężczyźni wyjechali z North Arlington o piątej trzydzieści po południu i ruszyli z powrotem do swej firmy przy Eisenhower Avenue w Alexandrii. Z powodu korków w godzinie szczytu dotarli tam dopiero o osiemnastej piętnaście, kilka minut później, niż planowali. Zaparkowali ciężarówkę, freightlinera model 2011, przed magazynem i weszli do biura przeszkłonymi drzwiami. Fatima, młoda kobieta, która przyjmowała zlecenia telefoniczne, była nieobecna, a jej biurko puste. Poprzedniego wieczoru wyleciała do Frankfurtu i teraz była w Stambule. Nazajutrz rankiem, inszallah, miała dotrzeć do kalifatu.

Drugie drzwi prowadziły do hali magazynowej. Stały tam dwa inne freightlinery, oba z logo Dominion, a także trzy białe hondy pilot. W hondach mieścił się arsenał karabinów automatycznych AR-15, a także pistolety glock, kaliber .45, bomby plecakowe i kamizelki samobójcze. Natomiast w każdym z freightlinerów ukryta została bomba z pięciusetkilogramowym ładunkiem saletrolu. Obie stanowiły dokładne kopie potężnej bomby, która zdevastowała londyński kompleks biurowy Canary Wharf w lutym 1996 roku. Nieprzypadkowo. Człowiek, który zbudował prototyp, terrorysta z IRA Eamon Quinn, sprzedał swój projekt ISIS za dwa miliony dolarów.

Inni członkowie komórki wykonawczej już czekali. Dwaj w zwykłych cywilnych ubraniach, ale pozostali, w sumie jedenastu, nałożyli czarne bojowe kombinezony i białe sportowe buty na wzór Abu Musaba az-Zarkawiego. Ze względów operacyjnych Tunezyjczyk i Jordańczyk pozostali w błękitnych kombinezonach firmowych. Czekali ich jeszcze jeden transport, ostatni tego dnia.

O siódmej wieczorem wszystkich piętnastu mężczyzn po raz ostatni odprawiło wspólnie modły. Większość grupy zamachowców odjechała krótko potem, pozostawiając tylko Tunezyjczyka i Jordańczyka. Wsiedli do kabin freightlinerów pół godziny później. Tunezyjczyka wyznaczono do prowadzenia. Pod wieloma względami było to ważniejsze zadanie, gdyby bowiem w czymś zawiódł, druga ciężarówka nie dotarłaby do celu. Nadał swemu pojazdowi nazwę Al-Burak, imię niebiańskiego rumaka, na którym Mahomet latał

z Mekki do Jerozolimy podczas swej Nocnej Podróży. On sam miał tej nocy odbyć podobną podróż, wierząc, że jej celem, inszallah, będzie raj.

Zaczynała się ona jednak w ponurej przemysłowej części Eisenhower Avenue, którą dotarł do łącznika, a nim do Beltway. Ruch był znaczny, ale auta posuwały się niewiele poniżej dozwolonej granicy prędkości. Kierowca zjechał na prawy pas i zerknął w boczne lusterko. Drugi freightliner był około czterystu metrów za nim, dokładnie tam, gdzie powinien. Tunezyjczyk spojrział wprost przed siebie i zaczął się modlić.

- W imię Allaha, litościwego, miłosiernego...

* * *

Saladyn również dopełnił obowiązku wieczornej modlitwy, z mniejszym jednak zapalem niż mężczyźni z firmy przewozowej, nie zamierzał bowiem tej nocy zdobywać palmy męczeństwa. Potem przywdział popielaty garnitur, białą koszulę i zawiązał szeroki granatowy krawat. Jego walizka, spakowana, stała przy drzwiach. Wytoczył ją na korytarz i podpierając się laską, ruszył do windy. Na dole, nim wyszedł na zewnątrz, odebrał z recepcji rachunek. Samochód już czekał. Poleciał portierowi umieścić walizkę w bagażniku i usiadł za kierownicą.

* * *

Po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko Four Seasons, znajdowało się wejście do sieciowej apteki CVS.

Przed nim stał wynajęty buick regal. Fotel pasażera zajmował Eli Lavon, a za kierownicą siedział Michaił Abramow. Przez cały długi dzień obserwowali hotelowe wejście z wygodnego wnętrza samochodu lub z perspektywy chodnika. Wkradli się też na krótko do hotelu. Nigdzie jednak nie dostrzegli obiektu swych poszukiwań, domniemanego obywatela Arabii Saudyjskiej, Omara al-Faruka. Telefon do operatora hotelu potwierdził jednak, że pan Al-Faruk jest gościem Four Seasons, polecił jednak, by centrala z nikim go nie łączyła. Na jego kłamce, jak wykazał spacer właściwym korytarzem, wisiała tabliczka z napisem: „Do not disturb”.

Michaił, bardziej człowiek czynu niż cierpliwy obserwator, nerwowo bębnił palcami w deskę rozdzielczą, natomiast Lavon, zaprawiony w boju weteran wielu podobnych czatów, siedział nieruchomo jak kamienny Budda. Utkwił swe piwne oczy w podjeździe przed hotelem, na którym stał czarny sedan bmw, czekając, by skręcić w M Street.

- No i jest nasz chłopak - stwierdził bez emocji.
- Jesteś pewien, że to on?
- Całkowicie.

Bmw okrążyło wysepkę obsadzoną krzewami oraz małymi drzewkami i pomknęło przez M Street.

- Tak, to niewątpliwie on - zgodził się Michaił.
- Już jakiś czas się tym zajmuję.
- Jak myślisz, gdzie on jedzie?
- Dobre pytanie. Może byś ruszył za nim, żeby się dowiedzieć?

* * *

Saladyn skręcił w prawo w Wisconsin Avenue, po czym szybko w lewo w Prospect Street. Po jej północnej stronie znajdowało się Café Milano, jedna z najbardziej popularnych restauracji w Georgetown, a dokładnie naprzeciwko niej był jeden z najdroższych parkingów w Waszyngtonie. Zostawił samochód obsłudze i wszedł do restauracji. Za kontuarem w holu stał maitre d'hôtel, a obok dwie hostessy.

- Al-Faruk - przedstawił się krótko. - Mam rezerwację dla dwóch osób.

Jedna z hostess spojrzała w komputer.

- Na godzinę ósmą?

- Tak - potwierdził, unikając jej wzroku.

- Jest pan przed czasem.

- Mam nadzieję, że nie stanowi to problemu.

- W najmniejszym stopniu. Czy jest pan z towarzystwem?

- Na razie nie.

- Chętnie zaprowadzę do stolika, chyba że woli pan zaczekać w barze.

- Wolałbym usiąść przy stoliku.

Hostessa zaprowadziła go do nakrytego stolika stojącego kilka kroków od baru.

- Czekam na młodą kobietę. Powinna nadejść za kilka minut.

Hostessa uśmiechnęła się i odeszła. Saladyn usiadł i rozejrzał się po wnętrzu restauracji. Jej goście sprawiali wrażenie zamożnych, zadowolonych i wpływowych. Ku swemu zaskoczeniu kilku z nich rozpoznał, w tym mężczyznę siedzącego przy stoliku obok. Współpracował stale z „New York Timesem” i wspierał - nie, to zbyt mało powiedziane -

prowadził kampanię na rzecz amerykańskiej inwazji Iraku. Uśmiechnął się. Qasim al-Banna dobrze wybrał. Szkoda, że nie zobaczy wyników swej ciężkiej pracy.

Podszedł kelner, proponując mu koktajl. Ze swobodą bywalca zamówił martini z wódką, wymieniając przy tym preferowaną markę alkoholu. Kelner powrócił po kilku minutach i z namaszczaniem nalał ze srebrnego shakera koktajl do szklanki. Stała na stole nietknięta, a na jej ściankach skraplała się para. Przy barze trzy skąpo ubrane kobiety śmiały się wrzaskliwie, a przy stoliku obok znany publicysta rozwodził się na temat Syrii. Jego zdaniem krwawa banda zbirów zwana ISIS nie stanowiła poważnego zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych. Saladyn uśmiechnął się i zerknął na zegarek.

* * *

Przy Prospect Street nigdzie nie było miejsca do zaparkowania. Michaił zawrócił przy końcu ulicy i nieprawidłowo zaparkował naprzeciw baru z kanapkami, który często odwiedzali studenci Uniwersytetu Georgetown. Wejście do Café Milano rysowało się niewyraźnie ponad sto metrów dalej.

- To na nic - stwierdził oczywistość Eli Lavon. - Jeden z nas musi tam wejść i mieć go na oku.

- Idź ty. Ja zostanę w samochodzie.

- To nie jest miejsce dla takich jak ja - odrzekł Lavon.

Michaił wysiadł i ruszył w stronę restauracji. Nie był to jedyny lokal przy tej ulicy. Oprócz baru kanapkowego mieściła się tam jeszcze restauracja tajska i eleganckie bistro. Minął je

i wszedł po dwóch stopniach do Café Milano. Kierownik sali uśmiechnął się na powitanie, jakby Michaił był oczekiwanym gościem.

- Jestem umówiony w barze - rzucił, nie przystając.

Kierownik wskazał mu drogę. Tylko jedno miejsce było wolne. Znajdowało się kilka kroków od stolika, przy którym samotnie siedział elegancko ubrany mężczyzna o wyglądzie Araba. Puste nakrycie naprzeciwko wskazywało na to, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wytworny klient nie będzie jadł samotnie. Michaił usadowił się na wolnym stołku, stanowczo za blisko obiektu obserwacji, za to z dobrym widokiem na drzwi wejściowe. Zamówił kieliszek wina i wyciągnął z kieszeni komórkę.

* * *

Gabriel odebrał jego wiadomość trzydzieści sekund później. Musiał podjąć decyzję - zachować ją dla siebie czy wyznać Adrianowi Carterowi, że go oszukał. Pod presją okoliczności zdecydował się jednak na drugie rozwiązanie. Carter przyjął jego słowa z zadziwiającym spokojem.

- Tracisz czas - odparł. - Swój i mój.

- A więc nie będziesz miał za złe, jeśli jeszcze trochę poczekamy, żeby sprawdzić, z kim się umówił?

- Nie przejmuj się. Mamy ważniejsze kłopoty niż randka bogatego Saudyjczyka z jakąś piękną w Café Milano.

- Czyli jakie?

- Czyli takie.

Carter wskazał ekran, na którym obiekt numer dwa, czyli

Safia Bourihane, układała na łóżku torby z logo L.L. Bean. Potem z jednej z nich ostrożnie wyjęła czarną nylonową kamizelkę wyposażoną w ładunki wybuchowe oraz mechanizm detonacyjny. Przyłożyła ją do siebie i z uśmiechem przyglądała się swemu odbiciu w lustrze, podczas gdy służby antyterrorystyczne całych Stanów Zjednoczonych ze zgrozy wstrzymały oddech.

- Gra skończona - warknął Gabriel. - Wyciągajcie stamtąd moją dziewczynę.

Key Bridge Marriott

Nastąpiła chwila wahania co do tego, która ma nałożyć którą kamizelkę. Wydawało się to Natalie dziwne, gdyż były identyczne. Safia nalegała jednak, by Natalie włożyła kamizelkę z cienkim czerwonym ścięciem po wewnętrznej stronie suwaka. Zgodziła się bez sprzeciwu i ruszyła z kamizelką do łazienki tak ostrożnie, jakby niosła wypełnioną po brzegi filiżankę wrzątku. Z podobną ostrożnością traktowała w szpitalu ofiary zamachów, nieszczęśników podobnych Dinie Sarid, których ciała i organy wewnętrzne rozszarpane były przez gwoździe i śruby lub zmiażdżone siłą eksplozji. Znała również makabryczne historie o zmasakrowanych szczątkach tych, którzy w imię Allaha opasywali ładunkami wybuchowymi własne ciała. Ajelet Malkin, jej koleżanka ze szpitala Hadassa, siedziała pewnego popołudnia w swym mieszkaniu w Jerozolimie, gdy na jej balkonie niczym orzech kokosowy wylądowała głowa zamachowca samobójcy. Leżała tam jeszcze ponad godzinę, z wyrzutem wpatrzona w Ajelet, zanim w końcu pojawiła się policjantka, która włożyła ją do pojemnika na dowody rzeczowe i odjechała.

Natalie wyczuła delikatną woń ładunków wybuchowych. Miały zapach marcepanu. Lekko trzymając detonator w prawej ręce, ostrożnie wsunęła ją w rękaw czerwonego

żakietu Tahiri. Wsuniecie w rękaw lewej było trudniejszym zadaniem. Nie odważyła się jednak pomagać sobie prawą, by przypadkiem nie nacisnąć detonatora, wysadzając w powietrze siebie oraz większą część ósmego piętra hotelu. Na koniec zapięła lewą ręką wszystkie pięć ozdobnych guzików żakietu, wygładziła go z przodu i wyprostowała ramiona. Przyglądając się sobie w lustrze, pomyślała, że Safia dokonała właściwego wyboru. Fason żakietu idealnie maskował kamizelkę. Choć ugiwała się pod ciężarem ładunków wybuchowych, nigdy by się nie domyśliła ich obecności. Czuła jedynie zapach, lekką woń migdałów i cukru.

Zaczęła się przyglądać wnętrzu łazienki, przesuając wzrokiem wzdłuż krawędzi luster i sprawdzając punkty świetlne nad głową. Przecież Amerykanie muszą ją widzieć i słyszeć, myślała. I z pewnością Gabriel też ją widzi. Na co jeszcze czekają? Przyleciała do Waszyngtonu, by umożliwić im poznanie celów ataku oraz identyfikację zamachowców. Do tej pory nie dowiedziała się jednak niczego, gdyż Safia świadomie nie ujawniała jej nawet elementarnych informacji. Tylko dlaczego? I dlaczego nalegała, by to ona, Natalie, włożyła kamizelkę z suwakiem obszytym wewnątrz czerwoną nicią? Znowu rozejrzała się po łazience.

Widzicie mnie? Widzicie, co tu się dzieje? Najwyraźniej postanowili jeszcze zwlekać. Oby nie za długo, modliła się w duchu. Przecież nie można dopuścić, by bezwzględna terrorystka, czarna wdowa z niewinną krwią na rękach, spacerowała po ulicach Waszyngtonu w kamizelce szahida. Jako obywatelka Izraela Natalie wiedziała, że podobne

eksperymenty są nieprzewidywalne i obarczone poważnym ryzykiem. Safię należało zlikwidować z wielkokalibrowej broni celnym strzałem w pień mózgu, tak by mieć pewność, że w śmiertelnym spazmie nie zdoła już nacisnąć detonatora. Gdyby do tego doszło, eksplozja poszatkowałaby na kawałki wszystkich w jej pobliżu.

Po raz ostatni przyjrzała się sobie w lustrze, jakby chciała zapamiętać rysy swej twarzy – nos, którym tak gardziła, zbyt duże jej zdaniem usta, a także ciemne kuszące oczy. Wtem niespodziewanie ujrzała kogoś obok. Był to mężczyzna o bladej cerze i oczach przejrzystych jak lód. Ubrany na jakąś specjalną okazję – ślub, a może pogrzeb – w jednej ręce trzymał broń.

„W gruncie rzeczy jesteście bardziej podobni, niż ci się wydaje...”

Zgasiła światło i wyszła z łazienki do pokoju. Safia siedziała na brzegu łóżka w popielatym żakiecie nałożonym na kamizelkę. Pustym wzrokiem patrzyła w telewizor. Była blada jak ściana, jej włosy zwisały przerzucone przez ramię. Ta młoda kobieta, która w imię islamu spowodowała masakrę niewinnych ludzi, była najwyraźniej przerażona.

– Jesteś gotowa? – spytała Natalie.

– Nie mogę – wykrztusiła Safia, jakby niewidzialna ręka dławiała jej krtań.

– Ależ możesz. Nie ma się czego bać.

Safia ścisnęła papieros drżącymi palcami lewej ręki. W prawej trzymała detonator. Za mocno, pomyślała z niepokojem Natalie.

- Może powinnam wypić trochę wódki albo whisky - odezwała się Safia. - Mówią, że to pomaga.

- Czy naprawdę chcesz stanąć przed Allahem, cuchnąc alkoholem?

- Raczej nie. - Jej spojrzenie przesunęło się z ekranu telewizora na twarz Natalie. - Nie boisz się?

- Tylko trochę.

- Nie wyglądasz na to. Chyba się nawet cieszysz.

- Długo na to czekałam.

- Na śmierć?

- Na zemstę - odparła Natalie.

- Myślałam, że i ja pragnę zemsty. Myślałam, że chcę umrzeć...

Niewidzialna ręka znów ścisnęła ją za gardło. Nie mogła wydobyć głosu. Natalie wyjęła papieros z jej dłoni, zgmiotła go i położyła niedopałek obok dwunastu innych, które Safia wypaliła tego popołudnia.

- Chyba już na nas pora? - zapytała.

- Za minutę.

- Dokąd idziemy?

Safia milczała.

- Musisz mi podać cel.

- Wkrótce go poznasz.

Miała śmiertelnie bladą twarz, głos kruchy jak martwe liście.

- Myślisz, że to wszystko jest prawdą? - zapytała. - Myślisz, że pójdziemy do raju, jak nasze bomby wybuchną?

Nie wiem, dokąd pójdiesz, myślała Natalie, ale na pewno

nie trafisz w kochające ramiona Boga.

- Dlaczego nie miałyby być prawdą? - spytała na głos.

- Czasem zastanawiam się, czy to wszystko nie jest tylko... -
Jej głos znów się załamał.

- Tylko czym?

- Tylko czymś, co Dżalal i Saladyn wmawiają kobietom takim jak my, żeby zrobić z nich męczennice.

- Saladyn włożyłby tę kamizelkę, gdyby tu był.

- Naprawdę tak uważasz?

- Poznałam go po twoim wyjeździe z obozu w Palmyrze.

- Wiem. Bardzo cię polubił. - Cień zazdrości wdarł się w głos Safii, jakby oprócz trwogi była zdolna do tego jedyne go uczucia. - Powiedział mi, że uratowałaś mu życie.

- Bo tak było.

- A teraz wysyła cię na śmierć.

Natalie nie odpowiedziała.

- A co z ludźmi, których dziś zabijemy? - pytała Safia. -
I tymi, których zabiłam w Paryżu?

- To niewierni.

Natalie miała wrażenie, że detonator rozgrzał się w jej dłoni jak rozżarzony węgiel. Niczego nie pragnęła bardziej, niż zerwać z siebie śmiertelny pancerz.

Rozejrzała się po pokoju.

Widzicie mnie? Na co jeszcze czekacie?!

- Zabiłam we Francji pewną kobietę - ciągnęła Safia. - Tę Weinberg, Żydówkę. Umierała z ran, ale ją zastrzeliłam. Boję się... - Nie dokończyła zdania.

- Czego się boisz?

- Że ją znowu spotkam w raju.

Natalie nie potrafiła wydobyć odpowiedzi z głębokiej studni kłamstw. Lekko, by nie przestraszyć Safii, położyła jej dłoń na ramieniu.

- Czy nie powinniśmy już iść?

Otumaniona strachem Safia tępo spojrzała na swój telefon i niepewnie dźwignęła się z łóżka. Stała tak chwiejnie, że Natalie złąka się, czy przypadkiem nie naciśnie detonatora, próbując utrzymać równowagę.

- Jak wyglądam? - zapytała.

Jak kobieta, która wie, że ma przed sobą zaledwie minuty życia, pomyślała Natalie.

- Wyglądasz pięknie. Zawsze wyglądasz pięknie.

Na te słowa Safia wyprostowała się, ruszyła do drzwi i bez wahania je otworzyła, natomiast Natalie została z tyłu, szukając czegoś w łóżku wśród zmiętych prześcieradeł i rozrzuconych koców. Miała nadzieję, że zaraz usłyszy wystrzał z wielkokalibrowej broni, który wyśle Safię w podróż do raju. Tymczasem usłyszała tylko jej głos. Był lekko zirytowany.

- Na co czekasz? - ponaglała. - Już czas.

Biały Dom

Uroczysta kolacja miała się rozpocząć o ósmej wieczorem. Prezydent Francji wraz z małżonką stawili się punktualnie w Północnym Portyku Białego Domu, pokonawszy w rekordowym czasie odległość z Blair House. Otaczał ich tak szczelny kordon ochrony, jakiego nikt dotąd nie widział. Spiesznie weszli do środka, jakby chcieli umknąć przed nagłą ulewą, i ruszyli do Holu Wejściowego, gdzie oczekiwała ich prezydencka para w wieczorowych strojach. Amerykański prezydent olśniewająco się uśmiechał, lecz jego dłoń drżała ze zdenerwowania.

- Mamy problem - powiedział szeptem, gdy wokół rozbłysły kamery.

- Problem?

- Zaraz wyjaśnię.

Sesja zdjęciowa była znacznie krótsza niż zazwyczaj, trwała bowiem zaledwie piętnaście sekund. Potem prezydent poprowadził gości do holu przejściowego, skąd pierwsza dama i jej francuska partnerka skierowały się w lewo, do Pokoju Wschodniego, zaś obaj prezydenci w prawo, do Skrzydła Zachodniego. Na dole w Pokoju Dowodzenia wszyscy stali - szefowie służb obok miejsc zajmowanych przy stole, ich zastępcy i asystenci pod ścianami. Na jednym z ekranów dwie kobiety, blondynka i brunetka, szły hotelowym korytarzem.

- Safia Bourihane i ta izraelska agentka?

Prezydent ponuro przytaknął, po czym wprowadził Francuza w bieżącą sytuację. Kilka minut wcześniej Safia zaprezentowała dwie samobójcze kamizelki. Pospieszna ewakuacja hotelu nie wchodziła w rachubę jako zbyt czasochłonna i ryzykowna. Bezpośredni atak na pokój też wykluczono.

- Co więc nam pozostaje? - spytał prezydent Francji.

- Jednostka SWAT oraz oddziały wsparcia taktycznego czuwają przed wejściem do hotelu i w holu. Jeśli pojawi się możliwość likwidacji Safii Bourihane bez strat w niewinnych ludziach, zwrócą się o zgodę na wykonanie zadania.

- Kto ją wydaje?

- Ja i tylko ja. - Prezydent spojrzał z powagą na swego gościa. - Nie wymaga to pańskiego pozwolenia, ale chciałbym uzyskać aprobatę.

- W pełni pana popieram, panie prezydencie. - Przywódca Francji patrzył, jak dwie kobiety wsiadają do windy. - Czy mógłbym jednak służyć małą radą?

- Oczywiście.

- Proszę powiedzieć snajperom, żeby nie chybili.

* * *

W chwili gdy Tunezyjczyk dotarł do zjazdu w Route 123, drugi freightliner znajdował się tuż za nim, dokładnie tam, gdzie być powinien. Spojrzał na zegarek. Ósma pięć. Pięć minut przed czasem. Lepsze to niż spóźnienie, lecz nie idealne. Dla Saladyna punktualność była priorytetem. Wierzył,

że terrorem, jak życiem, rządzi czas.

Tunezyjczyk sześć razy wykonał próbną rundę i tak jak teraz sześć razy zatrzymywały go światła drogowe przy Lewisville Road. Gdy zmieniły się na zielone, potoczył się wolno krętą podmiejską drogą, prowadząc za sobą drugiego freightlinera. Na wprost niego znajdowało się skrzyżowanie Tysons z McLean Drive. Ponownie spojrzął na zegar: mieścili się w czasie. Skręcił w lewo i przeładowana ciężarówka mozolnie zaczęła się wspinać po łagodnym zboczu.

Tej części trasy Tunezyjczyk w praktyce nie znał, choć razem z Jordańczykiem wielokrotnie ćwiczyli przejazd tym odcinkiem na symulatorze komputerowym. Droga stopniowo biegła w lewo, po czym, na szczycie wzniesienia, gwałtownie skręcała w prawo, prowadząc do dużego posterunku kontroli. Dobrze wyszkoleni i uzbrojeni strażnicy zdali już sobie sprawę z obecności freightlinerów. Amerykanie nieraz doświadczyli eksplozji bomb ukrytych w samochodach. Pamiętali zamach na koszary piechoty morskiej w Bejrucie w 1983 roku i masakrę żołnierzy w Al-Chubar w Arabii Saudyjskiej w 1996 roku. Nie ulegało zatem wątpliwości, że ta placówka strategiczna, trzon amerykańskiego aparatu antyterrorystycznego, była przygotowana na podobny atak. Ale nieszczęśliwie dla Amerykanów Saladyn również się przygotował. Bloki silników ciężarówek miały żeliwną osłonę, a opony i okna były kuloodporne. Jedynie rakiet przeciwpancerna mogłaby powstrzymać nadciągający nieubłagany pojazd.

Tunezyjczyk czekał do pierwszego łagodnego skrętu, po czym wcisnął gaz w podłogę. Rząd jaskrawo pomarańczowych

pachołków po prawej stronie kierował ruch pojazdów wjeżdżających na jeden pas. On jednak nawet nie próbował ich wyminąć, sygnalizując w ten sposób, że bynajmniej nie żywi niewinnych zamiarów. Nie zwalniając, ostro skręcił w prawo, obawiając się przez chwilę, że przeładowany pojazd się wywróci. Na drodze przed nim kilku strażników gorączkowo wymachiwało rękami, próbując go zatrzymać. Kilku innych wycelowało w niego broń. W jednej chwili oślepiło go palące białe światło – łuk elektryczny, a może laser. Potem rozległy się pierwsze strzały. Ale pociski odbijały się od szyb jak grad. Tunezyjczyk ścisnął kierownicę lewą ręką, a włącznik detonatora prawą.

„W imię Allaha, litościwego, miłosiernego...”

* * *

Mężczyźni i kobiety na Piętrze Operacyjnym Centrum Antyterrorystycznego nie byli świadomi sytuacji przy bramie wjazdowej. Wpatrywali się w gigantyczny ekran na frontowej ścianie, gdzie dwie kobiety, blondynka i brunetka, obiekt numer jeden i numer dwa, jak je nazwano, właśnie wsiadły do hotelowej windy w niedalekim Arlington. Ujęcie z góry i pod lekkim kątem ukazywało blondynkę, obiekt numer jeden, odrętwiałą ze strachu, natomiast brunetka była zdumiewająco pogodna. Wpatrywała się prosto w oko kamery, jakby pozowała do ostatniego portretu. Gabriel też się w nią wpatrywał z ręką przyciśniętą do brody i lekko przechyloną w bok głową. Adrian Carter stał obok niego z telefonami przy każdym uchu. Farid Barakat nerwowo obracał papierosa

w wypielęgnowanych palcach, nie odrywając od ekranu czarnych jak onyks oczu. Jedynie Paul Rousseau, który nie znosił widoku krwi, nie chciał na to patrzeć. Wbił wzrok w dywan, jakby szukał tam czegoś cennego.

Przed hotelem agenci Grupy Reagowania Kryzysowego FBI uważnie obserwowali jaskrawoczerwoną impalę stojącą na naziemnym parkingu. Błękitne światło nadajnika mrugało na ekranach NCTC niczym ikona kanału. Ukryte w samochodzie mikrofony przekazywały odległy szum ruchu z North Fort Meyer Drive. Dwóch zakonspirowanych członków SWAT przyjaźnie rozmawiało przed wejściem do hotelu. Dwóch innych czekało w pobliżu postoju taksówek. Oprócz nich agenci SWAT byli również w hotelu – dwaj w lśniącym chromem i laminatami lobby, a dwaj przy kontuarze recepcji. Każdy z nich był uzbrojony w półautomat Springfield, kaliber .45, z magazynkiem na osiem naboji i zapasem w komorze. Jeden ze stojących przy recepcji, weteran powstania w Iraku, został wyznaczony do likwidacji obiektu numer dwa. Zamierzał podejść go z tyłu, po czym na rozkaz prezydenta, nie ryzykując przypadkowych ofiar, oddać śmiertelny strzał.

Wszystkich ośmiu członków SWAT zastygło w oczekiwaniu, gdy otworzyły się drzwi windy i dwie kobiety, obiekt numer jeden i numer dwa, wysiadły z kabiny. Odtąd ich obserwację przejęła kolejna kamera. Ruszyły przez hol, aż nagle, przy samym końcu, blondynka stanęła i położyła rękę na ramieniu brunetki, by ją zatrzymać. Zamieniły kilka słów niezrozumiałych dla NCTC, po czym blondynka zaczęła

sprawdzać jakieś dane w telefonie. Potem nastąpiło coś, czego nikt się nie spodziewał – ani agenci FBI wewnątrz i na zewnątrz hotelu, ani prezydent i jego najbliżsi współpracownicy w Pokoju Dowodzenia, ani też żaden z czterech asów wywiadu, którzy obserwowali scenę wydarzeń z Piętra Operacyjnego w NCTC. Kobiety zawróciły, opuściły hol i ruszyły korytarzem na parterze w stronę tylnego wyjścia.

- Idą w niewłaściwym kierunku – orzekł Carter.

- Przeciwnie – odparł Gabriel. – Idą tam, gdzie polecił im Saladyn.

Carter milczał.

- Nie mogą się oddalić. Nie pozwól na to! Niech SWAT wreszcie odda ten strzał.

- To niemożliwe – warknął Carter. – Nie w hotelu.

- Działaj teraz, Adrian, bo to ostanía szansa.

W tym momencie na Piętrze Operacyjnym rozbłysło ostre białe światło, po czym rozległ się huk, który gwałtownie wstrząsnął całym budynkiem. Carter i Paul Rousseau na moment stracili orientację, lecz Gabriel i Farid Barakat, obywatele Bliskiego Wschodu, natychmiast pojęli, co się dzieje. Gabriel dopadł okna w chwili, gdy nad głównym posterunkiem straży rozbłysnął potężny grzyb ognia, a sekundy później zobaczył wielki samochód ciężarowy, który zmierzał na pełnym gazie w stronę dziedzińca oddzielającego NCTC od Biura Dyrekcji Wywiadu Narodowego.

Odwrócił się, krzycząc jak szalowiec do stojących najbliżej okien, by cofnęli się i uciekali. A gdy zerknął na wielki ekran

wideo, zobaczył, że dwie kobiety, obiekt numer jeden i numer dwa, wchodzą na zadaszony parking Key Bridge Marriott. Ale wtedy nastąpiła druga eksplozja, po czym ekran, tak jak wszystko inne, zasnuła ciemność.

* * *

W Pokoju Dowodzenia Białego Domu ekrany również zgasły. Konferencyjna łączność z dyrektorem NCTC została przerwana.

- Co się stało?- spytał prezydent.

Odpowiedział sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego:

- Najwyraźniej wystąpił jakiś problem z zasilaniem.

- Nie mogę wydać rozkazu jednostkom SWAT, nie widząc, co tam się dzieje.

- Sprawdzamy, panie prezydencie.

Zajęli się tym wszyscy obecni - dowódcy, zastępcy i doradcy. Trzydzieści sekund później dyrektor CIA poinformował prezydenta, że dwukrotnie słyszano potężny odgłos, zapewne huk eksplozji, na obszarze McLean-Tysons Corner, nieopodal skrzyżowania Route 123 z Beltway.

- Kto to słyszał? - spytał prezydent.

- Huk eksplozji dotarł do siedziby CIA, panie prezydencie.

- Na odległość dwóch kilometrów?

- Ponad dwóch, panie prezydencie.

Prezydent znów spojrział na ciemny ekran.

- Co się stało? - spytał ponownie, ale tym razem w pokoju nie odezwał się nikt. Rozległ się natomiast huk innej eksplozji, na tyle bliskiej, by Biały Dom zadrżał. - Co to, u diabła, było?

- Sprawdzamy, panie prezydencie.
- Sprawdzajcie szybciej.

Piętnaście sekund później uzyskał odpowiedź, jednak nie od dowództwa służb zgromadzonych w Pokoju Dowodzenia, lecz od agentów wywiadu rozmieszczonych na dachu Executive Mansion. Chmury dymu unosiły się nad Mauzoleum Lincolna.

Nastąpił atak na Amerykę.

Mauzoleum Lincolna

Dotarł tutaj pieszo. Miał ciemne włosy, ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, a na sobie obszerny wełniany płaszcz chroniący przed wieczornym chłodem. Na ramieniu niósł plecak. Później FBI stwierdziło, że SUV marki Honda Pilot z tablicami Wirginii podwiózł go na róg Dwudziestej Trzeciej Ulicy i Constitution Avenue. Honda ruszyła stamtąd na północ, podążając Dwudziestą Trzecią Ulicą do Virginia Avenue, gdzie skręciła w lewo. Mężczyzna z plecakiem w ciężkim wełnianym płaszczu ruszył w kierunku południowym przez odległy zachodni kraniec parku Washington Mall do Mauzoleum Lincolna. Kilku funkcjonariuszy z U.S. Park Police pełniło wartę u stóp schodów. Nie zatrzymali ani nawet nie zauważyli mężczyzny z plecakiem w zbyt obszernym płaszczu.

Zbudowaną na wzór doryckiej świątyni monumentalną budowlę zalewało ciepłe złociste światło, które - jak się zdawało - promieniowało od środka. Mężczyzna z plecakiem zatrzymał się na kilka sekund w miejscu, w którym doktor Martin Luther King wygłosił swe słynne przemówienie zaczynające się od słów: „Miałem sen”, po czym pokonał kilka ostatnich stopni, by wejść do głównej części mauzoleum. Około dwudziestu turystów zgromadziło się przed niemal sześciometrowym pomnikiem siedzącego Lincolna, a podobna ich liczba znajdowała się w dwóch częściach bocznych przed

wyrytą na ścianie Mową Gettysburską oraz Drugim Przemówieniem Inauguracyjnym. Człowiek w za dużym płaszczu położył plecak przy podstawie jednej z historycznych kolumn i wyciągnąwszy z kieszeni komórkę, zaczął fotografować budowlę. Co dziwne, poruszał przy tym ustami.

„W imię Allaha, litościwego i miłosiernego...”

Jakaś młoda para łamaną angielszczyzną poprosiła, by zrobił jej zdjęcie na tle mauzoleum. Odmówił, gwałtownie się odwrócił i zbiegł po schodach w stronę lustrzanej sadzawki. Funkcjonariuszka Policji Parkowej, dwudziestoosmioletnia matka dwójki dzieci, zauważyła porzucony plecak i poleciła turystom natychmiast opuścić mauzoleum. Za późno. Sekundę później okrążyła obręcz łożyska kulowego wyrzucona z plecaka eksplozją obcięła jej głowę, podobnie jak mężczyźnie i kobiecie, którzy chcieli się sfotografować. Fala wybuchu powaliła zamachowca na ziemię, ale jakiś turysta z Oklahomy, sześćdziesięciodziewięcioletni weteran wojny w Wietnamie, nieświadomie pomógł mu się podnieść i za swoją uczynność dostał prosto w serce z glocka 19, który tamten wyjął spod płaszcza. Potem zdołał zabić jeszcze sześć osób, zanim sam padł od strzałów policji strzegącej mauzoleum. W sumie z jego ręki zginęło dwadzieścia osiem osób.

W chwili wybuchu bomby honda pilot zwalniała przed głównym wejściem do Centrum Sztuki im. J.F. Kennedy'ego. Jeden z pasażerów wysiadł i wszedł do Hall of States. Jego płaszcz był taki sam jak płaszcz mężczyzny, który zaatakował Mauzoleum Lincolna, ale ten mężczyzna nie miał plecaka. Ładunki wybuchowe przytroczone były do pasa, którym owinał

ciało. Minął centrum informacji i ruszył do głównej kasy, gdzie je zdetonował. Wtedy z hondy wysiadło pozostałych trzech mężczyzn, w tym jej kierowca, wszyscy uzbrojeni w półautomaty AR-15. Najpierw zamordowali rannych i dobili konających, po czym, przesuając się metodycznie od Teatru im. Eisenhowera przez operę do sali koncertowej, dokonali bezlitosnej rzezi. W sumie ich ofiarą padło ponad trzysta osób.

Do czasu gdy przybyły pierwsze jednostki policji metropolitalnej, trzech nadal żywi terroryści przeszli pieszo przez Rock Creek i Potomac Parkway, by wejść do kompleksu Washington Harbor, gdzie, przechodząc od restauracji do restauracji, zabijali wszystkich po kolei. Fiola Mare, Nick's Riverside Grill, Sequoia - wszystkie te lokale znalazły się pod ich ostrzałem. I tym razem nie spotkali się z oporem policji. Wyglądało to tak, jakby Amerykanie byli kompletnie bezbroni. A może, myślał szef komórki zamachowców, Saladyń wyprowadził ich w pole. Wszyscy trzech przeładowali broń i ruszyli do centrum Georgetown w poszukiwaniu dalszych ofiar.

W sytuacji ogólnego chaosu dwie kobiety - brunetka i blondynka, obiekt numer jeden i numer dwa - weszły na parking na tyłach hotelu Key Bridge Marriott. Czekał tam drugi samochód, wynajęta toyota corolla. Znacznie później ustalono, że została podstawiona nieco wcześniej tego samego dnia przez mężczyznę, który dostarczył samobójcze kamizelki na parking przy centrum handlowym Tysons Corner.

Zazwyczaj to obiekt numer jeden, agentka izraelska, prowadził auto. Teraz jednak za kierownicą siadła Francuzka,

obiekt numer dwa. Wyjeżdżając z zadaszonego parkingu, przemknęła obok budki dozorczy, łamiąc szlaban, i ruszyła do wyjazdu na Lee Highway. Zamaskowane jednostki SWAT rozmieszczone na parkingu naziemnym nie oddały śmiertelnego strzału do Francuzki zwanej obiektem numer dwa, gdyż nie otrzymały zezwolenia prezydenta ani dyrektora FBI. Nawet ekipy obserwacyjne FBI były chwilowo sparaliżowane, gdyż nie uzyskały żadnych wskazówek z NCTC. Chwilę wcześniej obserwatorzy słyszeli w swoich odbiornikach radiowych coś, co brzmiało jak eksplozja. Ale teraz w Centrum Antyterrorystycznym zapadła cisza.

Przy wyjeździe z hotelu w kierunku Lee Highway obowiązywał skręt w prawo. Tymczasem Francuzka skręciła w lewo w North Lynn Street, ze zdumiewającą zręcznością unikając pojazdów jadących z naprzeciwka, i po kilku sekundach mknęła już przez Key Bridge do Georgetown. Grupa specjalna SWAT oraz zespoły obserwacyjne nie miały innego wyjścia, niż łamiąc przepisy, podążać za nią. Dwa wozy ruszyły do wyjazdu na Lee Highway, a kolejne dwa wyjechały na North Fort Meyer Drive. Do czasu, gdy dotarły na Key Bridge, corolla już skręcała w M Street. Nie miała nadajnika sygnalizującego jej położenie ani zamontowanych wewnątrz mikrofonów. Z wysokości mostu ekipy FBI widziały tylko błysk czerwonych i błękitnych świateł mknących w stronę Georgetown.

Narodowe Centrum Antyterrorystyczne NCTC

Gabriel otworzył jedno oko, a potem wolno, z bolesnym wysiłkiem, drugie. Zdawał sobie sprawę, że stracił przytomność, ale nie miał pojęcia, na jak długo – kilka sekund, minut, godzinę czy więcej. Nie potrafił również określić pozycji swojego ciała. Wiedział tylko, że ugrzązł w rumowisku, lecz nie umiałby powiedzieć, czy leży na wznak, do góry nogami, czy może znajduje się w pionie. Nie wyczuwał nienaturalnego ucisku wewnątrz czaszki, co uznał za dobry znak, ale obawiał się, że stracił słuch. Ostatnim odgłosem, jaki zapamiętał, był huk detonacji, a potem świst efektu próżniowego. Nie miał też pewności, czy ponaddźwiękowa fala wybuchu nie uszkodziła mu organów wewnętrznych. Wszystko go bolało – płuca, serce, wątroba. Wszystko.

Odepchnął gruz rękami i zdołał się podźwignąć. Przez chmurę pyłu dostrzegł odarty z muru stalowy szkielet budynku oraz zerwane arterie sieci kabli i przewodów elektrycznych. Sypały iskrami jak fajerwerki, a przez wyrwę w suficie dostrzegł dyszel Wielkiego Wozu. Chłodził go zimny listopadowy wiatr. W zasięgu ręki usiadła zięba, obojętnie mu się przyjrzała i odfrunęła.

Zepchnął więcej pokrywającego go gruzu i krzywiąc się z bólu, usiadł. Jeden z owalnych stołów przygniatał mu nogi. Obok, nieruchomo, leżała przysypana pyłem kobieta. Oprócz

kilku niewielkich zadraśnień odłamkami szkła miała nietkniętą twarz, ale jej otwarte oczy wpatrywały się w nieskończoność śmierci. Rozpoznał ją. Była analitykiem i pracowała w zespole obok niego. Na imię miała Jill, a może Jen? Jej praca polegała na badaniu napływających materiałów w poszukiwaniu potencjalnie niebezpiecznych treści. Ta bystra młoda kobieta tuż po studiach, zapewne pochodząca z jakiegoś zdrowego miasta w Iowie czy Utah, przyjechała do Waszyngtonu, żeby pracować w służbie dla swojego kraju, myślał. I teraz straciła życie.

Delikatnie wyciągnął rękę i zamknął jej oczy. Potem zepchnął stół ze swych nóg i chwiejąc się, wstał. Natychmiast całe Piętro Operacyjne zaczęło wirować. Położył dłonie na kolanach, czekając, aż karuzela wyhamuje. Prawa strona jego głowy była gorąca i mokra. Krew zalewała mu oczy.

Otarł ją i podszedł do okna, z którego wcześniej zobaczył nadjeżdżającą ciężarówkę. Po tej stronie budynku nie widział martwych ciał ani gruzu. Podmuchał wszystko do środka. Nigdzie też nie było okien ani zewnętrznych murów. Cała południowa fasada Narodowego Centrum Antyterrorystycznego runęła. Ostrożnie podszedł na skraj urwiska i spojrzął w dół. W miejscu dziedzińca ujrzał głęboki krater, znacznie głębszy niż ten, który powstał w Paryżu przed Centrum Weinberga. Wydawało się, że uderzył tam meteor. Napowietrzna kładka łącząca NCTC z biurem Dyrekcji Wywiadu Narodowego zniknęła. Podobnie jak cała północna ściana budynku. W doszczętnie zniszczonych salach konferencyjnych i biurach nie paliło się żadne światło. Jakiś

ocalony pomachał do niego znad krawędzi wyższego piętra. Nie wiedząc, co innego mógłby zrobić, Gabriel odmachął mu w odpowiedzi.

Ruch na Beltway stanął. Na obwodnicy zewnętrznej lśniły białe światła drogowe, na wewnętrznej tylne czerwone.

Gabriel pomacał front marynarki i stwierdził, że wciąż ma przy sobie komórkę. Wyjął ją i włączył. O dziwo, działała. Wcisnął numer Michaiła i podniósł telefon do ucha, ale odpowiedziała mu cisza. A może Michaił odebrał, tylko on go nie słyszał. ,

Uświadomił sobie, że od chwili, gdy odzyskał przytomność, nie dotarł do niego żaden dźwięk. Nie słyszał wycia syren alarmowych, jęków bólu, wołania o pomoc, a nawet chrzęstu własnych kroków wśród gruzów. Świat wokół niego był niemy. Zastanawiając się, czy nie jest to stan trwały, myślał o wszystkich dźwiękach, których nigdy już nie usłyszy – świergotu swoich dzieci, czarownych arii „Cyganerii”, a także miękkiego szelestu pędzla Winsor & Newton Series 7 na płótnie Caravaggia. Ale najbardziej brak mu będzie głosu Chiary i jej śpiewu. Zawsze żartował, że zakochał się, kiedy po raz pierwszy przyrządziła dla niego fettuccine z grzybami, ale nie było to prawdą. Stracił dla niej głowę i serce, słysząc, jak śpiewa prostą włoską piosenkę miłosną, pewna, że nikt jej nie słyszy.

Rozłączył się i ruszył wśród ruin tego, co jeszcze chwilę wcześniej było Piętnem Operacyjnym. Musiał oddać Saladynowi sprawiedliwość: to był majstersztyk. Należało mu się uznanie. Wszędzie leżały ciała zabitych. Ocaleni

szczęściarze w oszołomieniu wydobywali się z rumowiska. Rozpoznał miejsce, w którym stał, gdy usłyszał pierwszą eksplozję. Paul Rousseau obficie krwawił z powodu licznych skaleczeń, z wysiłkiem podtrzymując najpewniej złamaną rękę. Natomiast Farid Barakat nie odniósł szwanku i teraz z lekką irytacją strzepywał pył ze swego szytego na miarę angielskiego garnituru. Adrian Carter wciąż trzymał przy uchu słuchawkę, nieświadom, że kabel oderwał się od podstawy telefonu.

Gabriel delikatnie wyjął mu ją z rąk i spytał, czy Safia Bourihane nie żyje. Nie słyszał jednak własnego głosu ani odpowiedzi. Miał wrażenie, że ktoś wyłączył wszelkie dźwięki. Spojrzał w stronę potężnego ekranu wideo, ale ekran zniknął. I wtedy zdał sobie sprawę, że Natalie też zniknęła.

Georgetown

Safia dobrze wiedziała, dokąd zmierza. Po zjeździe w prawo w M Street przecięła na czerwonych światłach Trzydziestą Czwartą i gwałtownie zboczyła w Bank Street, brukowaną aleję, która pięła się łagodnym zboczem do Prospect. Lekceważąc znak stopu, skręciła w prawo, a potem w lewo na Trzydziestą Trzecią. Była to jednokierunkowa ulica prowadząca z południa na północ przez całą długość West Village w Georgetown. Przed każdą z przecznic obowiązywał znak stopu, ona jednak pruła przez N Street, nie zwalniając. Mocno trzymała kierownicę lewą ręką, a prawą, z detonatorem, zmieniała biegi.

- Są za nami?

- Kto?

- Amerykanie! - wrzasnęła Safia.

- Jacy Amerykanie?

- Ci z hotelu. I ci, co szli za nami do centrum handlowego.

- Nikt nas nie śledził.

- A jakże! Czekali na nas na parkingu przed hotelem. Ale on ich przechytrzył.

- Kto ich przechytrzył?

- Oczywiście Saladyn! Nie słyszysz tych syren? Atak się zaczął.

Natalie dobrze je słyszała. Docierały z każdej strony.

- *Alhamdulillah* - wyszeptała.

- Tak - przytaknęła Safia. - *Alhamdulillah*.

Jakiś starszy mężczyzna prowadzący na smyczy basseta wszedł na zebra, gdy pędziły przez O Street. Safia nacisnęła klakson ręką z detonatorem. Mężczyzna, a także pies, w ostatniej chwili uskoczyli sprzed kół. Natalie zerknęła przez ramię. Wyglądało na to, że nic im się nie stało. Daleko w tyle jakiś samochód z dużą prędkością skręcił za róg Prospect Street.

- Co atakują? - spytała Natalie.

- Nie wiem.

- Gdzie jest mój cel?

- Zaraz zobaczysz.

- A twój?

- Nieważne. - W oczach Safii pojawiła się panika. - Zbliżają się!

- Kto?

- Amerykanie!

Wcisnęła gaz do dechy, śmigając przez P Street. Przy Volta Place ponownie skręciła w prawo.

- Twój cel to francuska restauracja Bistrot Lepic przy Wisconsin Avenue. Jest po lewej stronie ulicy jakiś kilometr stąd. Dyplomaci z ambasady francuskiej mają tam dziś kolację z ludźmi z francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Będzie tłok. Wejdz jak najdalej i naciśnij detonator. Jeśli zatrzymają cię w drzwiach, zrób to od razu.

- Mam być sama czy ktoś się dołączy?

- Sama. Tworzymy drugą falę ataku.

- A twój cel?

- Już ci mówiłam, to nieważne.

Ostro zahamowała przy Wisconsin Avenue.

- Wysiadaj.

- Ale...

- Wysiadaj! - Machnęła jej przed twarzą zaciśniętą pięścią, tą, w której trzymała detonator. - Spadaj albo zaraz zabiję nas obie!

Natalie wysiadła i patrzyła, jak toyota pędzi dalej przez Wisconsin Avenue na południe. Potem spojrzała w głąb Volta Place. Ulica była pusta. Wyglądało na to, że Safia zdołała zmylić pościg. Natalie znów była sama.

Stała przez chwilę niezdolna do podjęcia decyzji, słuchając wycia syren. Wydawało się, że dobiega z południowej części Georgetown, gdzieś znad Potomacu. W końcu jednak ruszyła w przeciwnym kierunku, ku swemu celowi, jednocześnie wypatrując budki z telefonem. I przez cały czas dręczyło ją pytanie, dlaczego Safii tak zależało na tym, by to ona włożyła kamizelkę z suwakiem obszytym czerwoną nitką.

* * *

Upłynęło pięć bezcennych minut, nim FBI zdołało odnaleźć samochód. Stał na rogu Wisconsin i Prospect, nieprawidłowo zaparkowany prawym przednim kołem na krawężniku. Drzwi od strony kierowcy były uchylone, silnik i światła włączone. Ale co najważniejsze, dwie jadące nim kobiety, brunetka i blondynka, obiekt numer jeden i numer dwa, zniknęły.

Café Milano, Georgetown

Safia lekko zdyszana weszła do Café Milano. Ze spokojną twarzą mężczyzny podszła w holu do kierownika sali.

- Al-Faruk - powiedziała.

- Pan Al-Faruk już jest. Proszę tędy.

Zaprowadził ją do głównej sali, a potem do stolika, przy którym samotnie siedział Saladyn. Powoli wstał, wspierając się na rannej nodze, i lekko pocałował ją w policzek.

- Asmo, moja kochana - odezwał się bezbłędną angielszczyzną. - Wyglądasz naprawdę cudownie.

Nie rozumiała, co mówi, więc tylko uśmiechnęła się i usiadła. Ponownie zajmując miejsce, Saladyn zerknął na mężczyznę siedzącego nieopodal przy barze. Miał ciemne włosy i dobrze dobrane okulary. Wszedł do restauracji kilka minut wcześniej, intensywnie przypatrywał się Safii i nie odrywał ucha od komórki. Może to oznaczać tylko jedno, myślał Saladyn. Jego obecność w Waszyngtonie nie uszła uwadze służb.

Podniósł wzrok na telewizor nad barem. Nadawano serwis CNN. Stacja dopiero zaczynała zapoznawać się z rozmiarami katastrofy, jaka dotknęła Waszyngton. Zaatakowano Narodowe Centrum Antyterrorystyczne, Mauzoleum Lincolna i Centrum Sztuki Kennedy'ego. Podano również niepotwierdzone informacje o atakach na liczne restauracje

w kompleksie Washington Harbour. Stali goście Café Milano zastygli ze zgrozy i niedowierzania. Większość wpatrywała się w komórki, a kilkunastu zgromadziło się przy barze, nie odrywając wzroku od ekranu. Ale ciemnowłosa mężczyzna w okularach pozostał na swym miejscu i przez cały czas próbował ukryć, że wpatruje się w Safię. Saladyn uznał, że nadszedł czas, by wyjść.

Lekko położył dłoń na rękę Safii, patrząc w jej hipnotyzujące oczy. A potem spytał po arabsku:

- Zostawiłaś ją tam, gdzie kazałem?

Przytaknęła.

- Czy Amerykanie cię śledzili?

- Próbowali, ale stracili orientację.

- Mają powody - odrzekł, kierując wzrok w stronę telewizora.

- Udało się?

- Lepiej, niż przypuszczałem.

Zbliżył się kelner, ale gestem go odprawił.

- Widzisz tego mężczyznę przy barze? - spytał cicho. - Na samym brzegu.

- Tego z telefonem?

Saladyn przytaknął.

- Czy gdzieś go widziałaś?

- Nie wydaje mi się.

- Będzie chciał cię powstrzymać. Nie pozwól na to.

Nastąpiła chwila ciszy. Saladyn po raz ostatni powiódł wzrokiem po sali. To dla takiej chwili wybrał się w ryzykowną podróż do Waszyngtonu. Pragnął na własne oczy zobaczyć lęk

na twarzach Amerykanów. Muzułmanie boją się już zbyt długo. Czas, by Amerykanie też poznali smak trwogi. Zniszczyli jego kraj. A tego wieczoru on rozpoczął dzieło niszczenia ich kraju.

Spojrzał na Safię.

- Jesteś gotowa?

- Tak - odparła.

- Po moim wyjściu odczekasz dokładnie minutę. - Pokrzepiająco uściśnął jej dłoń, a potem się uśmiechnął. - Nie obawiaj się, moja kochana. Nic nie poczujesz. A potem ujrzysz twarz Allaha.

- Pokój niech będzie z tobą - powiedziała.

- I z tobą.

Z tymi słowami wstał, wziął laskę i ruszył do wyjścia, mijając ciemnowłosego mężczyznę w okularach.

- Wszystko w porządku, proszę pana? - spytał kierownik sali.

- Mam rozmowę telefoniczną - odparł - a nie chciałbym niepokoić innych gości.

- Obawiam się, że już są zaniepokojeni.

- Tak wygląda.

Saladyn wyszedł w mrok. Na chodniku przystanął na krótko, wsłuchując się w dźwięk syren. Przy krawężniku czekała czarna limuzyna lincoln town car. Usadowił się na tylnym fotelu i polecił kierowcy, jednemu z członków siatki, by przejechał kilka metrów. W restauracji, wśród ponad setki osób, samotnie siedziała młoda kobieta, wpatrując się w zegarek. I choć nie zdawała sobie z tego sprawy, poruszała

ustami.

Wisconsin Avenue, Georgetown

Po przejściu na drugą stronę Q Street Natalie spotkała dwie śmiertelnie przerażone studentki. Przekrzykując wycie pędzącego ambulansu, zaczęła im tłumaczyć, że została okradziona i musi zadzwonić do swojego chłopaka, by jej pomógł. Dziewczęta powiedziały, że uniwersytet ogłosił alarm i nakazał wszystkim studentom natychmiast powrócić do miejsc zakwaterowania i pozostać tam do odwołania. Ale gdy Natalie zaczęła błagać, wyższa z nich podał jej swój iPhone. Trzymając aparat w lewej dłoni, prawą, tą z detonatorem, połączyła się z numerem, z którego mogła korzystać tylko w ostateczności. Telefon zadzwonił na konsoli operacyjnej przy bulwarze Króla Saula w Tel Awiwie. Odpowiedział po hebrajsku szorstki męski głos.

- Muszę natychmiast mówić z Gabrielem - rzuciła w tym samym języku.

- Kto mówi?

Zawahała się, po czym po raz pierwszy od miesiący podała swe prawdziwe imię.

- Gdzie jesteś?

- Wisconsin Avenue w Georgetown.

- Nic ci nie grozi?

- Nie, chyba nie. Ale mam na sobie kamizelkę samobójczą.

- To może być pułapka. Nie próbuj jej zdejmować.

- Tak jest.
- Zaczekaj.

Mężczyzna przy konsoli operacyjnej w Tel Awiwie dwukrotnie próbował połączyć ją z Gabrielem. Dwukrotnie bez odbioru.

- Chyba mają jakiś problem.
- Gdzie on jest? - zapytała.
- W Narodowym Centrum Antyterrorystycznym w Wirginii.
- Proszę próbować dalej.

Obok z wyciem syreny przemknął wóz policyjny. Studentki z Georgetown zaczynały się niecierpliwić.

- Jeszcze chwileczkę - poprosiła Natalie po angielsku.
- Proszę się pospieszyć - odrzekła niecierpliwie właścicielka telefonu.

Mężczyzna w Tel Awiwie nadal usiłował połączyć się z Gabrielem. Po kilku sygnałach odezwał się po angielsku męski głos.

- Z kim rozmawiam? - zapytała Natalie.
- Nazywam się Adrian Carter. Jestem z CIA.
- Gdzie Gabriel?
- Jest obok mnie.
- Muszę z nim mówić.
- Obawiam się, że to niemożliwe.
- Dlaczego?
- Czy to Natalie?
- Tak.
- Gdzie jesteś?

Odpowiedziała.

- Czy wciąż masz na sobie tę kamizelkę?
 - Tak.
 - Nie ruszaj jej.
 - Tak, wiem.
 - Możesz zatrzymać ten telefon?
 - Nie.
 - Zaraz cię stamtąd zabierzemy. Idź na północ Wisconsin Avenue, trzymając się zachodniej strony.
 - Zaraz nastąpi kolejny atak. Safia jest gdzieś blisko.
 - Dobrze wiemy, gdzie jest Safia. Ruszaj.
- Połączenie zostało przerwane. Natalie oddała telefon i ruszyła na północ Wisconsin Avenue.

* * *

Stojąc wśród ruin Centrum Antyterrorystycznego Carter zdołał w końcu zakomunikować Gabrielowi, że Natalie jest bezpieczna i lada chwila znajdzie się pod opieką FBI. Ogłuszony i krwawiący, nie doznał nawet poczucia ulgi. Michaił wciąż tkwił w Café Milano, niecałe sześć metrów od stołu, przy którym samotnie siedziała Safia Bourihane, trzymając kciuk na detonatorze i wpatrując się w zegarek. Carter podniósł telefon do ucha i po raz kolejny rozkazał mu natychmiast opuścić restaurację. Gabriel wciąż nie słyszał jego głosu. Miał tylko nadzieję, że Michaił usłucha rozkazu.

* * *

Podobnie jak Saladyń, Michaił też zlustrował elegancką salę Café Milano, nim wstał ze stołka. On też zobaczył lęk

w twarzach tych, którzy go otaczali. I tak jak Saladyn wiedział, że za chwilę wielu z nich zginie. Saladyn miał możliwość odwołania ataku, on jej nie miał. Nawet gdyby był uzbrojony, choć nie był, szanse powstrzymania zamachu równały się zeru. Kciuk Safii spoczywał na przycisku detonatora, a ona – jeśli nie wpatrywała się w zegarek – patrzyła na niego. Nie mógł też w żaden sposób ostrzec gości. Wywołałoby to tylko panikę, zwiększając liczbę ofiar. W tej sytuacji mógł jedynie czekać na eksplozję. Szczęśliwcy przy najdalszych stołach mogli przetrwać. A tym, którzy siedzieli najbliżej Safii, na najbardziej pożądanym miejscach, mogło to oszczędzić straszliwej wiedzy o nieuchronnej śmierci.

Michał powoli zsunął się z barowego stołka i wstał. Nie próbował nawet opuścić z restauracji przez główne drzwi, gdyż wtedy musiałby przejść tuż obok stołu Safii. Skierował się spokojnie przez całą długość baru w stronę toalet. Drzwi do męskiej toalety były zamknięte. Szarpnął lichą gałką, aż zamek odskoczył, i wszedł do środka. Jakiś mężczyzna po trzydziestce z naželowanymi włosami podziwiał swe odbicie w lustrze.

- Co jest, człowieku?

- Za minutę się dowiesz.

Mężczyzna próbował wyjść, ale Michał złapał go za ramię.

- Zostań. Będziesz mi wdzięczny.

Zamknął drzwi i pociągnął go na posadzkę.

* * *

Z punktu obserwacyjnego przy Prospect Street Eli Lavon

przyglądał się kolejnym, coraz bardziej niepokojącym wydarzeniom. Pierwszym było przybycie do Café Milano Safii Bourihane, a po kilku minutach wyjście z tejże restauracji potężnego Araba, rzekomego Omara al-Faruka. Arab siedział teraz na tylnym fotelu limuzyny lincoln town car, zaparkowanej niecałe pięćdziesiąt metrów od wejścia do Café Milano, a przed nim stała błękitna honda pilot. Co gorsza, mimo licznych telefonów do Gabriela, który był w NCTC, Lavon nie zdołał się z nim połączyć. Po czym dowiedział się z bulwaru Króla Saula oraz radia samochodowego, że Centrum Antyterrorystyczne stało się celem zamachu bombowego. Lavon obawiał się, że człowiek, z którym łączyła go najdłuższa przyjaźń, nie żyje. Tym razem naprawdę. I że za kilka sekund Michał również zginie.

Ale właśnie wtedy nadeszła wiadomość z bulwaru Króla Saula. Wprawdzie w zamachu na NCTC Gabriel doznał lekkich obrażeń, ale był jak najbardziej żywy. Ulga, którą odczuł Eli Lavon, trwała jednak krótko, gdyż niemal jednocześnie huk eksplozji wstrząsnął całą Prospect Street. Limuzyna lincoln town car miękko zjechała z krawężnika i przemknęła obok okna, przez które patrzył. A chwilę później z hondy wyskoczyli czterej uzbrojeni mężczyźni i ruszyli biegiem w stronę ruin Café Milano.

Wisconsin Avenue, Georgetown

Natalie usłyszała eksplozję, zbliżając się do R Street, i od razu wiedziała, że to Safia. Obróciła się, by spojrzeć w dół Wisconsin Avenue z jej łagodnym skrętem w prawo w M Street, i zobaczyła setki ludzi w panice kierujące się na północ. Przypominało to sceny z 11 września, kiedy dziesiątki tysięcy osób wybiegły z biur w najpotężniejszym mieście świata i na oślep ruszyły przed siebie. Teraz Waszyngton stał się celem ataku. Tym razem terroryści nie posłużyli się samolotami, lecz bombami i bronią palną. Wszystko jednak wskazywało na to, że skutki zamachu są jeszcze bardziej przerażające.

Obróciła się i dołączyła do pochodu sunącego na północ. Z coraz większym trudem dźwigała ciężar śmiercionośnej kamizelki, a także bolesną świadomość własnej porażki. Uratowała życie potwora, który obmyślił i zorganizował tę rzeź, a po przybyciu do Stanów nie zdołała zdobyć ani jednej informacji na temat celów ataku, terminu, a także zamachowców. Utrzymywali to w tajemnicy przed nią nie bez powodu. Tego była zupełnie pewna.

Nagle z tej samej strony, z której wcześniej dobiegł huk eksplozji, rozległy się strzały. Szybko przeszła przez R Street, wciąż kierując się na północ i trzymając zachodniej strony ulicy, jak polecił jej mężczyzna nazywający się Adrian Carter.

Zaraz cię zabierzemy, obiecał. Nie wiedziała tylko, jak to zrobią. Cieszyła się w duchu, że ma na sobie ten czerwony żakiet, bo choć sama ich nie widziała, oni nie mogli jej nie dostrzec.

Na północ od R Street, na odcinku dzielącym dwie przecznice, Wisconsin Avenue prowadziła w dół, by następnie znów wspiąć się w górę w okolicy Burleith i Glover Park. Natalie dostrzegła w oddali błękitno-żółtą markizę z napisem Bistrot Lepic & Wine Bar. To w tej restauracji miała zdetonować ładunki. Dotarłszy tam, przystanęła i zajrzała przez okno do środka. Był to uroczy lokalik – mały, przytulny i ładząco paryski. Safia twierdziła, że będzie zatłoczony, lecz nie odpowiadało to prawdzie. Ludzie siedzący przy stolikach również nie sprawiali wrażenia dyplomatów ani urzędników francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wyglądali na zwykłych Amerykanów. I jak wszyscy w Waszyngtonie byli przerażeni.

W tym momencie usłyszała, że ktoś ją woła. Nie jej prawdziwym imieniem, lecz imieniem kobiety, którą się stała, by zapobiec tragediom takim jak ta. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła, że za nią na krawężniku stanął samochód. Za kierownicą siedziała kobieta z osmaganą wiatrem twarzą. To była Megan. Megan z FBI.

Natalie wsunęła się do środka tak ufnie, jakby czekały na nią ramiona matki. Gdy usiadła, ciężar kamizelki przygniół ją do fotela. Miała wrażenie, że w dłoni trzyma nie detonator, lecz żywe zwierzę. Samochód zawrócił i podążył za tłumem kierującym się z Georgetown na północ. Zewsząd wyły syreny.

Zakryła uszy, ale nic to nie dało.

- Proszę, włącz jakąś muzykę - powiedziała błagalnie.

Kobieta włączyła radio, ale nikt nie nadawał muzyki. Zewsząd docierały przerażające wiadomości. Narodowe Centrum Antyterrorystyczne, Mauzoleum Lincolna, Centrum Kennedy'ego, Harbor Place - przypuszczano, że liczba ofiar sięga tysiąca. Natalie zdołała to wytrzymać minutę lub dwie. Sięgnęła do pokrętła odbiornika, lecz zastygła w pół ruchu, gdy nagle jej ramię przeszył ból ostry jak ukąszenie żmii. Spojrzała na kobietę obok i spostrzegła, że ona również coś trzyma w prawej ręce. Nie był to jednak detonator, na jakim spoczywał jej kciuk. Był to tłok strzykawki.

Wzrok Natalie niemal jednocześnie zasnuł się mgłą. Szorstka twarz kobiety była coraz dalsza, a policyjny radiowóz, który je mijał, zostawił za sobą w mroku gasnące smugi czerwieni i błękitu. Zawołała kogoś po imieniu, jedynym, jakie zdołała zapamiętać, po czym zapadła się w mrok głęboki jak czerń abai. Szła przez wielki arabski dom o wielu podwórzach i pokojach. A w ostatnim, zalanym światłem spływającym z rozetowego okienka w suficie, ujrzała Saladyna.

Café Milano, Georgetown

Na kilka sekund po wybuchu zapadła cisza. Taka jest cisza cementarnej krypty, myślał Michaił, cisza śmierci. Ale zaraz rozległ się czyjś jęk, potem kaszel, a potem pierwszy krzyk bólu i zgrozy. Wkrótce odezwali się inni, wielu innych – okaleczonych, oślepionych, tych, którzy nigdy już nie odważą się spojrzeć w lustro. Kilku z nich zapewne umrze jeszcze tej nocy, ale liczni przeżyją. Znowu ujrzą swe dzieci, będą tańczyć na ślubach i płakać na pogrzebach. I może pewnego dnia wejdą do jakiejś miłej restauracji wolni od strachu, że kobieta przy sąsiednim stoliku jest tykającą bombą. W takim strachu żyli wszyscy Izraelczycy w mrocznych dniach Drugiej Intifady, a teraz za sprawą mężczyzny zwanego Saladynem ten strach ogarnął Amerykę.

Michaił sięgał już do klamki, ale się zatrzymał, słysząc pierwszy strzał. Jednocześnie poczuł w kieszeni wibrację komórki. Spojrzał na ekran. Eli Lavon.

- Gdzie, do cholery, jesteś?

Michaił odpowiedział mu szeptem.

- Właśnie czterej faceci z bronią weszli do restauracji – poinformował Lavon.

- Słyszę ich.

- Wynoś się stamtąd.

- Gdzie jest Natalie?

- FBI zaraz ją zgarnie.

Wsunął telefon do kieszeni. Zza cienkich drzwi toalety dobiegł kolejny strzał - rozpoznał wojskową broń dużego kalibru. A potem dwa następne - trach, trach...

Z każdym strzałem cichł kolejny krzyk. Najwyraźniej terroryści nie zamierzali dopuścić, by z „Café Milano” ktokolwiek wyszedł żywy. To nie byli mordercy z gier komputerowych. Dobrze wyszkoleni i zdyscyplinowani, metodycznie posuwali się wśród ruin restauracji, szukając niedobitków. A na koniec, myślał Michaił, ich poszukiwania doprowadzą do drzwi toalety.

Mężczyzna z naželowanymi włosami dygotał ze strachu. Michaił rozejrzał się za czymś, czego mógłby użyć jako broni, ale nie dostrzegł nic odpowiedniego. Skinieniem głowy polecił Amerykaninowi, by ukrył się w kabinie. Jakimś cudem restauracja wciąż miała zasilanie. Zgasił światło, tłumiąc dłonią trzask przełącznika, i przylgnął plecami do ściany przy drzwiach. W ciemności, która zapadła, przysięgł sobie, że nie da się zabić w restauracyjnej toalecie w Georgetown razem z nieznanym mężczyzną. Dla żołnierza nie byłoby to chlubne odejście ze świata, nawet jeśli ten żołnierz jest agentem tajnych służb.

Zza drzwi dobiegł kolejny ostry trzask strzału, bliższy niż poprzednie, i ucichł kolejny krzyk. Potem w korytarzu rozległy się kroki. Michaił napiął palce prawej dłoni. Otwórz drzwi, sukinsynu, myślał. Otwórz no te pieprzone drzwi.

* * *

Mniej więcej w tej samej chwili Gabriel zdał sobie sprawę,

że nie utracił słuchu. Najpierw usłyszał dźwięk, który wielu mieszkańców Waszyngtonu miało odtąd na zawsze kojarzyć z tą nocą – wycie syren. Pierwsze służby ratownicze nadciągały przez Tysons McLean Drive w kierunku tego, co zostało z posterunku kontroli bezpieczeństwa przy wjeździe do Centrum Antyterrorystycznego i Biura Dyrekcji Wywiadu Narodowego. W ruinach budynków lżej ranni nieśli pomoc kolegom z ciężkimi obrażeniami, desperacko próbując tamować krwotoki i ratować ich życie. Farid Barakat zajmował się Paulem Rousseau, natomiast Adrian Carter próbował ratować resztki operacji Gabriela. Korzystając z pożyczonych telefonów, zdołał nawiązać kontakt z siedzibą FBI w Langley oraz z Pokojem Dowodzenia w Białym Domu. Waszyngton ogarnął chaos, a rząd federalny z trudem usiłował nad nim zapanować. Do tej pory uzyskał potwierdzone informacje o atakach na kompleks Liberty Crossing, Mauzoleum Lincolna, Centrum Sztuki Kennedy'ego, Washington Harbor oraz Café Milano. Ponadto napływały wiadomości o dalszych atakach na budynki położone wzdłuż M Street. Obawiano się, że zginęły setki osób.

W tej chwili jednak uwaga Gabriela skupiała się tylko na dwóch. Byli nimi Michaił Abramow i Natalie Mizrahi. Michaił był uwięziony w toalecie Café Milano, a Natalie szła na północ zachodnią stroną Wisconsin Avenue.

- Dlaczego FBI jeszcze jej nie zdjęło? – warknął do Cartera.
- Wydaje się, że nie mogą jej znaleźć.
- Aż tak trudno wypatrzeć kobietę w samobójczej kamizelce i czerwonym żakiecie?

- Starają się.
- Każ im się bardziej starać.

* * *

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wsunął się karabin. Michaił rozpoznał kształt. Był to snajperski AR-15. Chwycił lewą ręką rozgrzaną lufę i gwałtownie pociągnął, wraz z karabinem wciągając mężczyznę, który go trzymał. Wśród gruzów sali restauracyjnej był on może świętym bojownikiem dżihadu, ale w ciemnej klatce toalety utracił całe swe męstwo. Michaił kantem dłoni zadał mu dwukrotnie cios w bok szyi. Za pierwszym razem otarł się o kość szczęki, ale za drugim coś z trzaskiem pękło. Mężczyzna bezgłośnie osunął się na ziemię. Michaił wyjął automat z jego bezwładnych rąk, strzelił mu w głowę i wypadł na korytarz.

Na wprost, w kącie sali restauracyjnej, jeden z terrorystów właśnie celował w kobietę, której eksplozja wyrwała rękę z barku. Ukryty w ciemnym korytarzu Michaił położył dżihadystę strzałem w tył głowy, po czym ostrożnie ruszył dalej. W głównej sali nie było już żadnego z nich, ale w niewielkim pokoju na tyłach restauracji kolejny członek ekipy dokonywał egzekucji na resztkach ocalałych, likwidując jednego po drugim jak esesman przesuwający się nad krawędzią dołu wykopanego na zwłoki. Celnym strzałem w jego pierś Michaił ocalił życie co najmniej dwunastu osób.

Właśnie wtedy usłyszał inny strzał, dochodzący z przyległego pokoju. Była to prywatna jadalnia, którą zauważył, gdy wchodził do restauracji. Mijając rozbity barowy stółek, na którym przed chwilą siedział, oraz przewrócony stół

i krwawe strzępy wnętrzości Safii Bourihane, wyszedł do holu. Natknął się tam na ciała szefa sali i dwóch hostess. Wyglądało na to, że przeżyli eksplozję tylko po to, by zginąć od kul zamachowców.

Cicho przemknął obok ciał i zajrzał do prywatnej jadalni, gdzie czwarty terrorysta dokonywał właśnie egzekucji dwudziestu elegancko ubranych mężczyzn i kobiet. Pochłonięty czynnością, zbyt późno zdał sobie sprawę, że mężczyzna stojący w drzwiach nie jest jego sprzymierzeńcem. Michaił posłał mu kulę prosto w serce, a potem drugą w głowę, by mieć pewność, że położył go trupem.

Wszystko to trwało niecałą minutę, w ciągu której jego telefon nieprzerwanie wibrował. Wyrwał go teraz z kieszeni i spojrzał na ekran.

- Proszę, powiedz, że żyjesz - rozległ się głos Gabriela.
- Nic mi nie jest, ale czterech facetów z ISIS poszło do raju.
- Łap ich komórki i tyle sprzętu, ile zdołasz, a potem zjeżdżaj.
- Co się dzieje?

Połączenie zostało przerwane. Przeszukał kieszenie terrorysty, który leżał u jego stóp, i wyciągnął samsunga galaxy jednorazowego użytku. Identyczne aparaty znalazł przy ciałach islamistów z głównej sali jadalnej i pokoju na tyłach restauracji. Ale ten, który zginął w toalecie, wyraźnie preferował produkty Apple'a. Kiedy w końcu Michaił wymknął się tylnymi drzwiami dla dostawców, miał przy sobie cztery telefony komórkowe, a także dwa AR-15 i cztery zapasowe magazynki z amunicją, choć zupełnie nie wiedział, po co.

Niemal biegiem pokonał ciemną uliczkę, modląc się w duchu, by nie wpaść na jednostkę SWAT, ale w końcu dotarł do Potomac Street. Stamtąd skierował się na południe do Prospect, gdzie Eli Lavon czekał za kierownicą buicka.

- Co się tak grzebałeś? - spytał, gdy Michaił opadł na fotel pasażera.

- Gabriel przekazał mi listę zakupów. - Położył AR-15 i magazynki na podłodze z tyłu. - Co tu się, do cholery, dzieje?

- FBI nie może znaleźć Natalie.

- W czerwonym zakiecie i samobójczej kamizelce?

Lavon zawrócił i ruszył przez Georgetown na zachód.

- Jedziesz w złą stronę - zwrócił mu uwagę Michaił. - Wisconsin Avenue jest za nami.

- Nie jedziemy na Wisconsin Avenue.

- Dlaczego?

- Ona zniknęła, rozumiesz? Zniknęła!

Bulwar Króla Saula, Tel Awiw

Zespół, który pracował w pokoju 414 C przy bulwarze Króla Saula, nie miał oficjalnej nazwy, gdyż formalnie nie istniał. Ci, których informował o postępach prac, używali nazwy Minjan, gdyż składał się z dziesięciu osób, wyłącznie płci męskiej. Kilkoma kliknięciami w klawiaturę komputera potrafili wyłączyć zasilanie w całym mieście, zmylić systemy kontroli ruchu powietrznego lub sprawić, by centryfugi w irańskich zakładach wzbogacaniu uranu wymknęły się spod nadzoru i wirowały w niepohamowanym tempie. Dlatego trzy samsungi i iPhone nie mogły dla nich stanowić poważnego wyzwania.

Michał i Eli Lavon przesłali zawartość czterech telefonów z izraelskiej ambasady o ósmej czterdzieści dwie czasu lokalnego, a o dziewiętej czasu waszyngtońskiego Minjan już wiedział, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy cztery telefony spędziły wiele czasu pod tym samym adresem przy Eisenhower Avenue w Alexandrii, w stanie Wirginia. W istocie były tam wszystkie wcześniej tego wieczoru, zanim wyruszyły do Waszyngtonu w tym samym tempie i tą samą trasą. Co więcej, wszystkie odbyły liczne rozmowy z lokalną firmą przewozową mieszczącą się pod tym adresem. Minjan przekazał tę wiadomość Uzi Navotowi, który z kolei przesłał ją do Gabriela. Do tej pory tak on, jak i Adrian Carter opuścili już zbombardowane NCTC i znajdowali się w Globalnym

Centrum Operacyjnym CIA w Langley. Gabriel zadał Carterowi tylko jedno pytanie:

- Kto jest właścicielem Dominion Movers w Alexandrii?

Minęło piętnaście cennych minut, nim Carter mógł odpowiedzieć. Podał Gabrielowi nazwisko i adres, dając mu całkowicie wolną rękę w poszukiwaniach Natalie. Ale słowa Cartera nie miały mocy prawnej. Jako zastępca dyrektora CIA nie mógł zezwolić obcym służbom wywiadowczym na swobodne działania na terenie Stanów Zjednoczonych. Takie uprawnienia leżały wyłącznie w gestii prezydenta, a ten miał w tej chwili poważniejsze problemy niż zaginiona agentka izraelska. Ameryka stała w obliczu ataku. Tak więc, chcąc nie chcąc, Gabriel Allon miał pierwszy podjąć kroki odwetowe.

Dwadzieścia po dziewiątej Carter podwiózł go pod główną bramę siedziby Agencji i szybko odjechał, jakby uciekał z miejsca przestępstwa dokonanego albo przestępstwa, które wkrótce się dokona. Gabriel stał samotnie w ciemnościach, patrząc na ambulanse i pojazdy służb ratowniczych mknące Route 123 w stronę Liberty Crossing, i czekał. Pomyślał, że to właściwy sposób zakończenia kariery w terenie. Czekanie... wieczne czekanie... Czekanie na samoloty i pociągi. Czekanie na wiadomość. Czekanie na wschód słońca po nocy zabijania. A teraz czekanie na Michaiła i Elię Lavona przy wejściu do kwatery CIA, by zacząć poszukiwania kobiety, która z jego inicjatywy przeniknęła w samo jądro najbardziej niebezpiecznej grupy terroru na świecie. Dokonała tego. Ale czy na pewno? Może Saladyn od początku ją podejrzewał? Może dopuścił ją do siebie tylko po to, by zmylić zachodni

wywiad? I może wysłał ją do Stanów na przynętę, by odwrócić uwagę Amerykanów od prawdziwych terrorystów, pracowników firmy przewozowej w Alexandrii w stanie Wirginia, którzy w tym czasie spokojnie kończyli przygotowania do zamachu. Czym bowiem wyjaśnić to, że Safia ukrywała przed Natalie jej cel do ostatniej minuty? Natalie nie miała celu. Natalie była celem.

Pomyślał o mężczyźnie, którego widział w holu Four Seasons, o potężnym kulejącym Arabie podającym się za niejakiego Omara al-Faruka. Tym samym, który wyszedł z Café Milano kilka minut wcześniej, zanim Safia zdetonowała swoją kamizelkę. Czy naprawdę był Saladysem? Czy ryzykował wyjazd do Ameryki tylko po to, by podziwiać swe dzieło? Teraz zresztą nie miało to znaczenia. Kimkolwiek był, wkrótce i tak umrze. Podobnie jak wszyscy ci, którzy mieli cokolwiek wspólnego z zaginięciem Natalie. Gabriel wiedział, że nie spocznie, dopóki ich nie doścignie. I dopóki nie zniszczy ISIS, zanim ISIS zdoła zniszczyć Bliski Wschód, a także to, co jeszcze zostało z cywilizowanego świata. Sądził, że napotka życzliwego sojusznika w amerykańskim prezydencie. ISIS znajdowało się teraz bowiem w odległości dwóch godzin jazdy od stanu Indiana.

Jego myśli przerwało pulsowanie komórki. Przeczytał wiadomość, schował telefon do kieszeni i ruszył na skraj Route 123. Kilka sekund później obok zatrzymał się buick, tak blisko niego, że od razu wsunął się na tylny fotel. Na podłodze leżały dwa automaty AR-15 i kilka magazynków z amunicją. Pomyślał, że druga poprawka ma niewątpliwe zalety. Spojrzał

w lusterko wsteczne i spotkał wzrok Michaiła.

- Którędy, szefie?

- Zawróć przez GW Parkway do Key Bridge - powiedział. -
Beltway to pieprzony bajzel.

Hume, Wirginia

Natalie ocknęła się z uczuciem, że spała przez całą wieczność. W ustach miała watę, a jej głowa opadała na zimną szybę z boku. Tu i ówdzie nad frontowymi gankami domów i w oknach zasłoniętych firankami migotały mdłe światła, poza tym jednak wszystko tchnęło tu atmosferą opuszczenia. Jakby mieszkańcy całej okolicy na wieść o zamachach w Waszyngtonie spakowali dobytek i zbiegli w góry.

Głowę rozsadzał jej tępy ból. Próbowwała ją unieść, lecz na próżno. Przesunęła wzrok w lewo, obserwując kobietę, którą mylnie wzięła za Megan z FBI. Ścisnęła kierownicę prawą ręką, a w lewej trzymała pistolet. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał godzinę dziewiątą dwadzieścia dwie. Oszołomiona środkiem usypiającym starała się przez mgłę odtworzyć wydarzenia tego wieczoru – pamiętała samochód na tyłach hotelu, szaleńczą jazdę przez Georgetown, przytulną małą francuską restaurację, która rzekomo była jej celem, i jeszcze kamizelkę z zamkiem obszytym czerwoną nitką. Wciąż trzymała w prawej dłoni detonator. Lekko przesunęła po nim opuszką palca wskazującego.

Bum, pomyślała, przypominając sobie szkolenie w Palmyrze. I już jesteś w drodze do rajów...

Po prawej stronie wyłonił się kościół, a wkrótce potem dotarły do pustego skrzyżowania. Kobieta zwolniła, po czym

zgodnie z nawigacją skręciła w drogę noszącą imię jakiegoś filozofa. Była bardzo wąska, pozbawiona nawet żółtej linii oddzielającej przeciwległe kierunki. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Wydawało się, że poza pasmem asfaltu oświetlonym reflektorami samochodu nie ma już nic. W końcu nawet nawigacja odmówiła posłuszeństwa. Poleciała kierowcy zawrócić, a gdy to nie nastąpiło, zapadła w karcące milczenie.

Kobieta posuwała się wąską drogą przez jakiś kilometr, po czym skręciła w zwirowany trakt. Przecinał pastwisko i dalej prowadził grzbietami lesistych wzgórz do małej dolinki, gdzie nad czarnym stawem stał drewniany dom ze spadzistym dachem. Wewnątrz paliło się światło, a przed nim stały trzy samochody – lincoln town car, honda pilot oraz sedan bmw. Kobieta zatrzymała się za bmw i zgasiła silnik. Natalie, opierając głowę o szybę, udawała nieprzytomną.

- Możesz iść? – spytała tamta.

Natalie milczała.

- Widziałam, że poruszasz oczami. Wiem, że nie śpisz.

- Co mi dałaś?

- Propofol.

- Skąd go wzięłaś?

- Jestem pielęgniarką. – Wysiadła i otworzyła drzwi od strony pasażera. – Wysiadaj.

- Nie mogę.

- Propofol to krótkotrwały lek usypiający – recytowała kobieta. – Po zastosowaniu go pacjenci z reguły poruszają się o własnych siłach kilka minut po przebudzeniu.

Kiedy Natalie nadal nie reagowała, wycelowała pistolet w jej głowę. Natalie uniosła prawą rękę i lekko dotknęła kciukiem detonatora.

- Nie odważysz się - powiedziała tamta, po czym złapała ją za nadgarstek i wyciągnęła z samochodu.

Od drzwi chaty dzieliło je niecałe dwadzieścia metrów, ale ołowiany ciężar kamizelki i działanie propofolu sprawiały, że ta niewielka odległość urosła do kilometra. Pokój, do którego w końcu weszły, miał staromodny wiejski charakter, toteż widok obecnych tam mężczyzn zdawał się tym bardziej absurdalny. Czterej w czarnych kombinezonach taktycznych ściskali wojskowe automaty, natomiast piąty, ubrany w elegancki garnitur, odwrócony tyłem do wejścia, stał przed kominkiem i ogrzewał dłonie w ciepłe ognia. Miał z metr dziewięćdziesiąt wzrostu i szerokie bary, a jednak wydawał się dziwnie niedołączny, jakby po niedawnej kontuzji z wolna odzyskiwał siły.

W końcu się odwrócił. Mimo starannie ostrzyżonych włosów i gładko ogolonej twarzy jego ciemne oczy były dokładnie takie, jak zapamiętała. A także pełen pewności siebie uśmiech. Postąpił krok w jej stronę, oszczędzając kontuzjowaną nogę, po czym stanął.

- Majmonides - odezwał się serdecznie. - Miło cię znów widzieć.

Natalie mocno trzymała w dłoni detonator. Pod jej stopami płonęła ziemia.

Arlington, Wirginia

Był to mały piętrowy bliźniak obłożony aluminiowym sidingiem. Jego lewą część pomalowano na szary kolor granitu. Natomiast prawa, zamieszkała przez Qasima al-Bannę, przypominała barwą koszulę zbyt często suszoną na grzejniku. Oba segmenty miały po jednym oknie na parterze i jednym na piętrze, a ogrodzenie z siatki dzieliło teren z frontu na dwie działki. Tę po lewej utrzymywano wzorowo, ale część Qasima sprawiała wrażenie doszczętnie wyżartej przez kozy.

- Najwyraźniej - zauważył ponuro Eli Lavon z tylnego siedzenia buicka - nie ma zbyt wiele czasu na ogrodnictwo.

Zaparkowali po przeciwnej stronie ulicy przed bliźniakiem o identycznym wyglądzie. Na wolnym miejscu obok domu Qasima stał sedan acura, wciąż na tablicach dealera.

- Niezły wózek - stwierdził Lavon. - A czym jeździ małżonek?

- Ma zwykłą kię - odparł Gabriel.

- Nie widzę tu żadnej kii.

- Ani ja.

- Żona jeździ acurą, a mąż zwykłą kią? Co tu nie gra?

Gabriel nie znalazł wyjaśnienia.

- Jak ona ma na imię?

- Amina.

- Ładnie. Egipcjanka?
- Najwyraźniej.
- Dzieci?
- Chłopiec.
- Wiek?
- Dwa i pół roku.
- No to nie będzie pamiętał tego, co tu się wydarzy.
- Nie - zgodził się Gabriel. - Nie będzie pamiętał.

Obok nich przejechał jakiś samochód. Kierowca wyglądał na rdzennego Latynosa - Boliwijczyka, może Peruwiańczyka. Wydawało się, że nie widzi trzech izraelskich agentów siedzących w buicku regal naprzeciwko domu egipskiego dżihadysty, który zdołał wśliznąć się w nieszczelności potężnej amerykańskiej struktury bezpieczeństwa powstałej po 11 września.

- Czym się ten Qasim zajmował, zanim wszedł w biznes z transportem?

- Techniką informacyjną.
- Czemu aż tylu z nich w tym siedzi?
- Bo nie muszą studiować nieislamskich przedmiotów, takich jak literatura angielska czy malarstwo włoskiego renesansu.
- Wszystkich rzeczy, dla których warto żyć.
- Im nie chodzi o życie, Eli. Im chodzi o śmierć.
- Myślisz, że zostawił swoje komputery?
- Bardzo na to liczę.
- A jeśli zniszczył twarde dyski?

Gabriel nie odpowiedział. Minął ich kolejny samochód z kolejnym Latynosem za kierownicą. Ameryka też ma swoje

banlieues, pomyślał.

- Jak chcesz to rozegrać? - spytał Lavon.
- Na pewno nie zapukam, żeby wprosić się na herbatkę.
- Tylko nie rób zadymy.
- Nie - odparł Gabriel - nie zrobię zadymy.
- Zawsze tak mówisz.
- I?
- Zawsze jest zadyma.

Gabriel podniósł jeden z automatów AR-15 i sprawdził, czy jest prawidłowo załadowany.

- Drzwi wejściowe czy tylne? - spytał Lavon.
- Nie korzystam z tylnych drzwi.
- A jeśli mają psa?
- Wypluj to, Eli.
- Co mam robić?
- Zostań w samochodzie.

Gabriel bez słowa wysiadł i szybko przebiegł na drugą stronę ulicy z bronią w ręce i Michailem u boku. Zabawne, myślał Lavon, patrząc, jak się oddala - mimo upływu tylu lat wciąż ma ruchy tamtego dwudziestodwulatka, który po Monachium stał się izraelskim aniołem zemsty. Pokonał siatkę ogrodzenia jednym skokiem i dopadł frontowych drzwi Al-Banny. Rozległ się ostry trzask pękającego drewna i kobiecy krzyk, który zaraz ucichł. Potem drzwi głośno się zamknęły i światła w domu zgasły. Lavon wsunął się za kierownicę i obserwował cichą uliczkę. No i kończy się jak zwykle, pomyślał. Zawsze jest zadyma.

Hume, Wirginia

Natalie miała wrażenie, że jej ciało topnieje ze strachu. Mocno ścisnęła detonator, by nie wysliznął jej się z ręki, wpadając jak moneta w studnię życzeń. Rozpaczliwie odtwarzała fragmenty swego rzekomego życiorysu. Była Lajlą z Sumajriji. Lajlą, która kochała Zijada. Po manifestacji na place de la République powiedziała młodemu Jordańczykowi, który nazywał się Nabil, że pragnie ukarać Zachód za wsparcie dla Izraela. Nabil przekazał to Dżalalowi Nasserowi, a Dżalal wysłał ją do Saladyna. W globalnym ruchu dżihadystów takie opowieści są powszechne. Rzecz w tym, że ta opowieść była zmyślona i jakimś sposobem Saladyn się tego dowiedział.

Ale od kiedy wie? Od początku? Nie, myślała Natalie, to niemożliwe. Jego asysta nigdy by jej nie pozwoliła przebywać w tym samym pokoju, gdyby powątpiewano w jej lojalność. I na pewno nie zostawiliby jego losu w jej rękach. Przecież powierzyli jej życie Saladyna, a ona ku swej hańbie je ocaliła. Teraz stała przed nim opasana ładunkami wybuchowymi z detonatorem w prawej ręce. „Nie uznajemy misji samobójczych”, powiedział Gabriel, gdy powróciła z kalifatu. „Nie frymarczymy życiem naszych ludzi w zamian za życie tamtych”. Położyła kciuk na przycisku, by sprawdzić jego opór, i lekko nacisnęła. Saladyn obserwował ją z uśmiechem.

- Jesteś bardzo dzielna, Majmonides - odezwał się po arabsku. - Ale przecież o tym wiedziałem.

Sięgnął do górnej kieszeni marynarki. W obawie, że ma tam broń, mocniej ścisnęła detonator. On jednak nie wyjął pistoletu, lecz komórkę. Kilkakrotnie dotknął ekranu i w aparacie rozległ się głośny szum. Dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że słyszy odgłos wody spływającej do umywalki. Pierwszym dźwiękiem, jaki się potem rozległ, był jej własny głos.

„Wiesz, z kim tu przyszłam?”.

„Jak tu się dostała?”.

„Ma fałszywy paszport”.

„Gdzie wylądowała?”.

„W Nowym Jorku”.

„Kennedy czy Newark?”.

„Nie wiem”.

„Jak dotarła do Waszyngtonu?”.

„Pociągiem”.

„Na jakie nazwisko jest paszport?”.

„Asma Dumaz”.

„Podali ci już cel?”.

„Nie. Ale ona swój zna. To zamach samobójczy”.

„Wiesz gdzie?”.

„Nie”.

„Spotkałaś innych członków komórki?”.

„Nie”.

„Gdzie twój telefon?”.

„Zabrała mi go. Nie wysyłaj żadnych wiadomości”.

„Zmykaj”.

Saladyn dotknięciem palca przerwał nagranie, a potem przyglądał się jej przez kilka nieznośnie długich sekund. Jego wzrok nie wyrażał gniewu ani oburzenia. Było to chłodne spojrzenie profesjonalisty.

- Dla kogo pracujesz? - spytał w końcu, znów zwracając się do niej po arabsku.

- Dla ciebie. - Nie wiedziała, z jakich zasobów odwagi zaczerpnęła tę odpowiedź, ale najwyraźniej rozbawiła nią Saladyna.

- Jesteś bardzo dzielna, Majmonides - powtórzył. - Zbyt dzielna, żeby wyszło ci to na dobre.

Dopiero teraz dostrzegła, że w pokoju jest telewizor. Był nastawiony na CNN. Trzystu zaproszonych gości w wieczorowych strojach ewakuowano pod eskortą tajnych służb ze Wschodniego Pokoju Białego Domu.

- Pamiętny wieczór, prawda? Wszystkie ataki się powiodły z wyjątkiem jednego. Jego celem była francuska restauracja, miejsce spotkań znanych figur waszyngtońskiego światka. Z jakiegoś powodu wyznaczona agentka nie wykonała zadania. Natomiast wsiadła do samochodu kierowanego przez kobietę, którą uważała za agentkę FBI.

Przerwał, dając jej czas odpowiedź, lecz milczała.

- Jej zdradziecka działalność nie zaszkodziła naszej operacji - ciągnął. - W gruncie rzeczy okazała się przydatna, gdyż odciągnęła uwagę Amerykanów od finalnych zabiegów operacyjnych. Z końcem rozgrywki - dodał złowieszczo - ty i Safia stanowiłyście przynętę dla wroga. Jestem żołnierzem

Allaha, ale też gorącym wielbicielem Winstona Churchilla. I to on powiedział, że podczas wojny prawda jest tak cenna, że należy ją chronić pod osłoną kłamstw.

Wygłaszał te uwagi do ekranu telewizora. Teraz jednak ponownie zwrócił się do Natalie.

- Ale na jedno pytanie nie znaleźliśmy zadowalającej odpowiedzi - ciągnął. - Dla kogo ty właściwie pracujesz? Abu Ahmed przypuszczał, że jesteś Amerykanką, ale to mi nie wyglądało na amerykańską operację. Szczerze mówiąc, uznałem cię za Brytyjkę, bo jak wszyscy wiemy, Brytyjczycy najlepiej prowadzą agentów. Ale i to się nie potwierdziło. Nie pracujesz dla Amerykanów ani dla Brytyjczyków. Pracujesz dla kogoś zupełnie innego. I dziś wieczorem w końcu nam to zdradziłaś.

Ponownie dotknął ekranu komórki. I znów usłyszała odgłos podobny do szumu wody w umywalce. Tym razem jednak nie była to woda, lecz monotonny pomruk silnika samochodu, który opuszczał pogrążony w chaosie Waszyngton. Ale również tym razem jedynym głosem, który słyszała, był jej własny głos. Pod wpływem środka nasennego z trudem wydobywała hebrajskie słowa:

„Gabrielu... proszę, pomóż mi... Nie chcę umierać”.

Saladyn wyłączył telefon i wsunął go do górnej kieszeni swej wytwornej marynarki. Sprawa zamknięta, myślała Natalie. Ale jego twarz nadal nie wyrażała gniewu, tylko litość.

- Zrobiłaś głupio, przyjeżdżając do kalifatu.

- Nie - odparła. - Zrobiłam głupio, ocalając ci życie.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo inaczej byś umarł.

- A teraz - odparł - umrzesz ty. Pozostaje tylko pytanie, czy sama, czy wciśniesz detonator i zabierzesz ze sobą mnie. Założę się, że brak ci odwagi lub wiary, aby to zrobić. Bo tylko my, muzułmanie, tę wiarę mamy. W przeciwieństwie do was, Żydów, gotowi jesteśmy umierać za naszą religię. Wy wierzyacie w życie, my w śmierć. Ale walkę wygrywa ten, kto gotów jest umrzeć. - Na chwilę zamilkł, a potem zakończył: - No proszę, Majmonides, udowodnij, że kłamię. Pokaż, że się mylę. Naciśnij przycisk.

Natalie uniosła detonator, patrząc wprost w jego ciemne oczy. Przełącznik jakby się poddał, gdy lekko wzmocniła nacisk.

- Nie pamiętasz szkolenia w Palmyrze? Specjalnie używaliśmy twardych urządzeń spustowych, żeby zapobiec wypadkom. Musisz nacisnąć silniej.

Nacisnęła. Rozległ się trzask, a potem zapadła cisza. Saladyn się uśmiechnął.

- Najwyraźniej - powiedział - coś tu nie zadziało.

Arlington, Wirginia

Amina al-Banna od ponad pięciu lat mieszkała legalnie w Stanach Zjednoczonych, ale prawie nie mówiła po angielsku. W związku z tym Gabriel, przesłuchując ją, używał arabskiego, który też nie był jego mocną stroną. Odbywało się to przy małym kuchennym stole i kręcącym się w drzwiach Michaile, na dodatek niemal szeptem, by nie zbudzić dziecka, które spało na piętrze. Gabriel nie próbował nawet udawać Amerykanina. Nie miałoby to zresztą sensu. Amina al-Banna, Egipcjanka znad delty Nilu, z miejsca rozpoznała w nim Izraelczyka. I tym bardziej się bała. On zaś bynajmniej nie zamierzał koić jej nerwów. Lęk Aminy ułatwiał mu zadanie, a nawet więcej. W sytuacji, gdy jego agentka znajdowała się w rękach najbardziej okrutnej grupy terrorystycznej, jaką świat kiedykolwiek znał, jej strach był jego jedyną szansą.

Przedstawił fakty, które już znał. Poinformował, że jej mąż jest członkiem terrorystycznej komórki ISIS, która właśnie dokonała ataku na Waszyngton. I wcale nie jest w niej pionkiem, lecz jednym z głównych agentów – strategiem, który systematycznie koordynował elementy operacji i zapewniał kamuflaż grupom wykonawców. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Amina zostanie oskarżona o współudział w zbrodni i spędzi resztę życia w więzieniu. Oczywiście, jeśli nie zechce współpracować.

- Ale jak mogę pomóc? Ja nic nie wiem.
 - Czy wiedziałaś, że Qasim prowadzi firmę przewozową?
 - Qasim? Firmę przewozową? - Z niedowierzaniem potrzęsnęła głową. - Qasim pracuje jako informatyk.
 - Kiedy go ostatnio widziałaś?
 - Wczoraj rano.
 - Gdzie teraz jest?
 - Nie wiem.
 - Próbowiałaś do niego dzwonić?
 - Oczywiście.
 - I?
 - Włącza się poczta głosowa.
 - Dlaczego nie zgłosiłaś tego policji?
- Nie udzieliła odpowiedzi. Nie musiała. Gabriel wiedział, że nie zgłosiła się na policję, bo od dawna podejrzewała, że jej mąż jest terrorystą ISIS.
- Czy przygotował ciebie i dziecko do wyjazdu do Syrii?
- Zawahała się, a potem odparła:
- Powiedziałam mu, że nigdzie nie pojedę.
 - Bardzo mądrze. Czy jego komputery wciąż tu są?
- Przytaknęła.
- Gdzie?
- Podniosła wzrok na sufit.
- Ile?
 - Dwa. Ale są wyłączone, a ja nie znam hasła.
 - Oczywiście, że znasz. Każda żona zna hasło swego męża, nawet jeśli jest islamskim terrorystą.
- Nie odezwała się więcej.

- No więc jakie to hasło?
- Szahada.
- W transliteracji angielskiej czy arabskiej?
- Angielskiej.
- Ze spacjami czy bez?
- Bez spacji.
- Chodźmy.

Cicho, by nie obudzić dziecka, poprowadziła go wąskimi schodami na górę i otworzyła drzwi do pokoju Qasima al-Banny. Urzeczywistniał się koszmarne sen oficera brygady antyterrorystycznej. Gabriel usiadł przy jednym z komputerów. Obudził go lekkim ruchem myszy i delikatnie położył palce na klawiaturze, wpisując: NIEMABOGAPROCZBOGAJEDYNEGO. Wcisnął „Enter”.

- Szlag by to - zaklął cicho.

Twardy dysk był zupełnie czysty.

* * *

Qasim znał się na swojej robocie, ale hakerzy z Minjanu byli znacznie lepsi. W ciągu kilku minut od zgrania dysku przez Gabriela odnaleźli cyfrowe ślady folderu z plikami Qasima. W folderze znajdował się drugi folder, zablokowany hasłem, a w nim dokumenty dotyczące firmy przewozowej Dominion Movers z siedzibą w Alexandrii. Wśród tych dokumentów znajdowała się również umowa najmu małej nieruchomości w pobliżu miasteczka o nazwie Hume.

- To niedaleko od tej starej kryjówki CIA w The Plains - tłumaczył Uzi Navot przez telefon. - Godzinę od miejsca,

gdzie jesteś, może trochę więcej. Ale jeśli zrobisz taki kawał i jej tam nie będzie...

Gabriel się rozłączył i zadzwonił do Adriana Cartera w Langley.

- Potrzebuję samolotu z przetwornikiem termowizyjnym do inspekcji nieruchomości położonej w bok od Hume Road w okręgu Fauquier. I nie próbuj mi nawet mówić, że go nie masz.

- Ja nie. Ale FBI ma.

- Mogą go użyczyć?

- Sprawdzę.

Mogli. Co więcej jedna z ich maszyn - Cessna 182T Skylane, własność firmy przykrywki LCT Research z Reston w Wirginii - krążyła właśnie nad Liberty Crossing. Ta jednosilnikowa maszyna w ciągu dziesięciu minut dotarła do okręgu Fauquier i zlokalizowała mały dom z drewna w dolince na północ od Hume Road. Zarejestrowała również wyraźnie widoczne wewnątrz sygnatury ciepła siedmiu postaci. Jedna z nich, najmniejsza, była nieruchoma. Przed chatą stały trzy pojazdy. Wszystkie niedawno zaparkowane.

- Czy w tej dolinie są jeszcze inne sygnatury ciepła? - spytał Gabriel.

- Tylko zwierząt - odparł Carter.

- Jakich?

- Kilku saren i dwóch niedźwiedzi.

- Świetnie - mruknął.

- Gdzie ty jesteś?

Gabriel podał współrzędne. Jechali na zachód I-66. Właśnie

minęli Beltway.

- Gdzie jest najbliższa jednostka SWAT lub zespół ratowania zakładników? - spytał.

- Wszystkie zespoły skierowano do Waszyngtonu w związku z zamachami.

- Jak długo możemy korzystać z cesso?

- Nie za długo. Biuro jej potrzebuje.

- Poproś o jeszcze jedno okrążenie, ale niezbyt nisko. Mężczyźni w tym domu zidentyfikują dźwięk maszyny rozpoznawczej, kiedy go usłyszą.

Gabriel rozłączył się i spoglądał na krajobraz amerykańskich przedmieść, które przesuwały się za oknem. Ale jego myśli wypełniały liczby, które nie wróżyły nic dobrego. Siedem sygnatur cieplnych, dwa automaty AR-15, jeden weteran izraelskiej elitarniej specjednostki IDF, jeden ekszabójca, który wkrótce zostanie szefem izraelskiego wywiadu, jeden wybitny zwiadowca, który nigdy nie lubił mokrej roboty, i dwa niedźwiedzie. Spojrzał na swą komórkę. Odległość od celu wynosiła siedemdziesiąt siedem kilometrów. Czas podróży: godzina i siedem minut.

- Szybciej, Michaił. Musisz jechać szybciej.

Hume, Wirginia

Nie będzie rozprawy. Nie widzieli takiej potrzeby. Wciskając detonator, przyznała się do winy. Chcieli tylko nagrać jej spowiedź, by następnie przekazać ją na tysiące propagandowych platform ISIS. Podobnie jak scenę egzekucji, której mieli dokonać przez ścięcie. Wszystko to nastąpiłoby niezwłocznie, gdyby nie Saladyn. Niewielkie opóźnienie nie było jednak aktem litości. Wynikało stąd, że w istocie wciąż nie przestawał być szpiegiem. A tym, czego najbardziej pożąda szpieg, nie jest krew, tylko informacja.

Sukces ataków na Waszyngton i pewność śmierci Natalie rozwiązały mu język. Przyznał, że owszem, był funkcjonariuszem irackiego Mukhabaratu za rządów Saddama Husajna. Jego praca, jak twierdził, polegała na dostarczaniu materiału i wsparcia logistycznego palestyńskim ugrupowaniom terrorystycznym, zwłaszcza tym, które bezkompromisowo przeciwstawiały się obecności państwa żydowskiego na Bliskim Wschodzie. W okresie drugiej intifady organizował wypłaty wysokich pośmiertnych odpraw dla rodzin palestyńskich zamachowców-samobójców. Abu Nidal, chełpił się, był jego przyjacielem. I to właśnie on, przywódca najbardziej nieprzejednanej frakcji terrorystycznej, nadał mu przydomek Saladyn.

Dzięki wymogom swej pracy zdobył znaczną wiedzę na

temat wywiadu izraelskiego. Jednocześnie rosło jego uznanie dla zasług Biura, a także asa wywiadu Ariego Szamrona, który z niewielkimi przerwami pełnił w nim funkcję szefa przez blisko trzydzieści lat. Przyglądał się też z podziwem osiągnięciom słynnego podopiecznego Szamrona, legendarnego zabójcy i agenta o nazwisku Allon. Gabriel Allon.

- Toteż wyobraź sobie moje zdumienie - mówił do Natalie - gdy zobaczyłem, jak idzie przez hol hotelu Four Seasons w Waszyngtonie, a potem usłyszałem, że wymieniłaś jego imię.

Gdy zakończył przemówienie wstępne, zaczął ją wypytywać o wszelkie możliwe aspekty operacji, w której uczestniczyła - o jej życie przed podjęciem współpracy z wywiadem izraelskim, okoliczności werbunku, szkolenie, początki działań w terenie. Świadoma nieuchronnej śmierci Natalie nie miała żadnych motywów, by z nim współpracować. Chciała tylko choć o kilka minut opóźnić egzekucję. I nie bez powodu, gdyż była przekonana, że jej zniknięcie nie pozostanie bez echa.

Chcąc zaspokoić swą szpiegowską ciekawość, Saladyn umożliwił jej grę na zwłokę. Na początek zapytał, jak się naprawdę nazywa. Milczała przez kilka cennych minut, aż ogarnięty wściekłością zagroził, że odkroi jej ciało od kości tym samym nożem, którym zetną jej głowę.

- Amit - odparła w końcu. - Na imię mam Amit.
- Amit i co dalej?
- Meridor.
- Skąd pochodzisz?
- Z Jaffy.

- Gdzie nauczyłaś się tak dobrze mówić po arabsku?
 - W Jaffie mieszka wielu Arabów.
 - A po francusku?
 - Jako dziecko mieszkałam przez kilka lat w Paryżu.
 - Dlaczego?
 - Moi rodzice pracowali w ministerstwie spraw zagranicznych.
 - Jesteś lekarką?
 - Bardzo dobrą.
 - Kto cię zwerbował?
 - Nikt. Sama zgłosiłam się do Biura.
 - Dlaczego?
 - By służyć mojej ojczyźnie.
 - To twoja pierwsza operacja?
 - Oczywiście, że nie.
 - Czy Francuzi też biorą w niej udział?
 - Nigdy nie pracujemy z innymi służbami. Wolimy samodzielność.
 - Niebieski i biały? - spytał, używając jednego z haseł używanych przez izraelskie władze wojskowe i służby bezpieczeństwa.
 - Tak - odparła, wolno kiwając głową. - Niebieski i biały.
- Pomimo nietypowej sytuacji Saladyn zażądał, by w czasie przesłuchania zasłonięto jej twarz. Ponieważ w chacie nie było abai, przykryli ją prześcieradłem ściągniętym z jednego z łóżek. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak komicznie wygląda w tej białej płachcie. Ale płachta miała pewną zaletę - zapewniała prywatność. Zmyślała więc, mając pewność, że

Saladyn nie spojrzę jej w oczy, by szukać w nich prawdy. Udało jej się również zachować pozory równowagi, a nawet spokoju, choć w rzeczywistości myślała tylko o bólu, który zada jej nóż kata. Wprawdzie niewiele widziała, lecz jej słuch się wyostrzył. Potrafiła określić kierunek, w którym zmierzał Saladyn, kuśtykając przez pokój, a także pozycje czterech uzbrojonych dżihadystów. Zdołała też wychwycić inny dźwięk: dobiegający z wysoka odgłos jednosilnikowego samolotu krążącego nad doliną. Wyczuła, że Saladyn też go słyszy. Na chwilę zamilkł, lecz podjął przesłuchanie, gdy samolot zniknął.

- Jak zdołałaś tak przekonująco udawać Palestynkę?
- Mamy specjalną szkołę.
- Gdzie?
- Na pustyni Negew.
- Czy jacyś inni agenci Biura też infiltrują ISIS?
- Owszem, wielu.
- Jak się nazywają?

Podawała mu sześć nazwisk - czterech mężczyzn i dwóch kobiet. Powiedziała również, że nie wie, jakie przydzielono im zadania. Wiedziała tylko, że wysoko nad chatą ze spadzistym dachem znowu krąży samolot. Pomyślała, że Saladyn także o tym wie. Miał jeszcze jedno pytanie. Dlaczego? Dlaczego uratowała mu życie w domu o wielu pokojach i licznych dziedzińcach nieopodal Mosulu?

- Chciałam zdobyć twoje zaufanie - odparła, tym razem zgodnie z prawdą.

- I zdobyłaś - przyznał. - A potem je zdradziłaś. I za to, Majmonides, dziś wieczorem umrzesz.

W pokoju zapanowała cisza, ale nie na niebie nad domem. Teraz ona zadała mu ostatnie pytanie spod swego śmiertelnego całunu. Czym wzbudziła jego podejrzliwość? Nie dostała jednak odpowiedzi, bo znów rozległ się szum samolotu. A potem stukanie laski i szuranie jego kroków, gdy wolno przemierzał pokój, kierując się do wyjścia. Wtedy po raz ostatni go słyszała.

* * *

Stał przez chwilę na podjeździe z głową zwróconą ku niebu. Noc była bezksiężycowa, lecz rozświetlona gwiazdami. Ciszę zakłócał jedynie niski pomruk jednosilnikowca. Nie od razu go dostrzegł, gdyż światła nawigacyjne na końcówkach skrzydeł były przygaszone. Tylko szum śmigła zdradzał jego położenie. Spokojnie okręzał małą dolinę na wysokości jakichś trzech tysięcy metrów, a gdy osiągnął punkt wysunięty najdalej na północ, zawrócił na wschód, w stronę Waszyngtonu, po czym zniknął. Ten samolot wróży kłopoty, pomyślał Saladyn. Mówił mu to instynkt, a ten zawiódł go tylko raz - wtedy gdy uwierzył, że kobieta o imieniu Lajla, zdolna lekarka, która podawała się za Palestynkę, zasługuje na jego zaufanie. A nawet miłość. Wkrótce tę kobietę spotka taka śmierć, na jaką zasłużyła.

Nadal nie odrywał wzroku od nieba. Tak, tej nocy gwiazdy świeciły jasno, lecz nie tak jasno jak gwiazdy pustyni. Jeśli ma znów je zobaczyć, musi zaraz opuścić to miejsce. Wkrótce rozpęta się nowa wojna - ta, którą zakończy pogrom armii Rzymu w miejscu o nazwie Dabik. To niemożliwe, by

amerykański prezydent zdołał jej uniknąć, myślał. Nie po dzisiejszym dniu.

Wsiadł do bmw, zapalił silnik i wpisał cel w system nawigacji. Ten wskazał mu dojazd do drogi, którą zapamiętał. Podobnie jak samolot rozpoznawczy Saladyn zgasił światła i posłuszny wskazówkom nawigacji ruszył gruntową drogą nad skrajem doliny, a potem przez pastwisko do Hume Road. System zalecił mu teraz skręt w lewo i powrót do szosy I-66. On jednak, bardziej ufając instynktowi, skręcił w prawo. Po chwili włączył radio. Uśmiechnął się. To nie koniec, pomyślał. To zaledwie początek.

Hume, Wirginia

Ostatni raport z cesseney należącej do FBI brzmiał tak samo jak pierwszy: siedem osób w domu, trzy pojazdy przed nim. Jedna postać nieruchoma, jedna powoli się porusza. W dolinie brak innych sygnatur ciepła oprócz dwóch niedźwiedzi. Znajdowały się niecałe pięćdziesiąt metrów na północ od chaty i między innymi dlatego Gabriel z Michailem nadjechali z południa.

Do doliny wiódł wąski trakt, prywatna droga prowadząca tam z Hume Road. Ale traktowali ją tylko jako punkt odniesienia. Szli przez pastwisko. Michał prowadził, Gabriel posuwał się krok za nim. Teren był podmokły i zdradliwy, pełen jam ryjących w ziemi zwierząt. Chwilami Michał oświetlał drogę telefonem komórkowym, ale głównie poruszali się w ciemności.

Nas skrajem pastwiska wznosiło się strome wzgórze porośnięte dębami i klonami. Leżące na ziemi gałęzie utrudniały przejście i spowalniały ich tempo. Kiedy w końcu wyrzeli sponad krawędzi zbocza, które opadało ku dolinie, po raz pierwszy ujrzeli dom. Od czasu odlotu cesseney jedno się zmieniło - teraz stały tam dwa pojazdy, nie trzy. Michał ruszył zboczem w dół. Gabriel krok za nim.

* * *

Po nagłym wyjeździe Saladyna przygotowania do egzekucji nabrały tempa. Zdjęli z niej białe prześcieradło, związali z tyłu ręce. Między czterema mężczyznami wywiązał się krótki spór o to, komu przypadnie zaszczyt ścięcia jej głowy. Wygrał najwyższy z nich. Sądząc po jego akcencie, Natalie uznała, że to Jemeńczyk, poza tym coś w jego zachowaniu wydawało jej się dziwnie znajome. Wtem zdała sobie sprawę, że oboje w tym samym czasie odbywali szkolenie w Palmyrze. Miał wtedy długie włosy i brodę. Teraz był gładko ogolony i starannie uczesany. Gdyby nie jego taktyczny kombinezon, można by go wziąć za sprzedawcę w sklepie Apple'a.

Czterej mężczyźni nałożyli na twarze maski, z których wyzierały tylko ich bezlitosne oczy. W najmniejszym stopniu nie próbowali zmienić wystroju wnętrza – przeciwnie, napawali się swoją obecnością w tym typowo amerykańskim domu. Zmusili Natalie, by uklękła przed kamerą trzymaną przez kobietę, którą wzięła za Megan. Była to prawdziwa kamera, nie telefon komórkowy. Jeśli chodzi o jakość produkcji, ISIS nie miało sobie równych. Nakazali jej patrzeć w obiektyw, ale odmówiła. Nie poddała się nawet wtedy, gdy Jemeńczyk boleśnie uderzył ją w twarz. Patrzyła wprost przed siebie, w okno nad prawym ramieniem kobiety, i próbowała myśleć o czymkolwiek innym niż stalowe ostrze myśliwskiego noża w prawej ręce Jemeńczyka.

Stał tuż za nią, a pozostali utworzyli szereg po jego prawej stronie. Zaczął czytać przygotowane oświadczenie – najpierw po arabsku, a potem w języku, w którym dopiero po chwili rozpoznała łamaną angielszczyznę. Nie miało to znaczenia.

Zespół produkcji medialnej ISIS po prostu dołączy podpisy. Próbowała nie słuchać, skupiając całą uwagę na oknie.

Na zewnątrz było ciemno, toteż szyba odbijała wewnątrz jak lustro. Widziała nieostro scenę własnej egzekucji tak, jak rejestrowała ją kamera: bezbronna kobieta na klęczkach, trzech zamaskowani mężczyźni z automatami i Jemeńczyk z nożem recytujący w niezrozumiałym języku. Ale w szybie było coś jeszcze, coś mniej wyraźnego niż odbicie jej i jej katów. Widziała w niej twarz. Nagle uświadomiła sobie, że to twarz Michała. Dziwne, pomyślała. Spośród wszystkich twarzy, które mogła przywołać jej pamięć chwilę przed śmiercią, nie tej się spodziewała.

Jemeńczyk podniósł głos w oratorskim zapale, kończąc swe przemówienie. Po raz ostatni spojrzała na odbicie w szybie i na twarz człowieka, którego mogłaby pokochać. Widzisz to? – myślała. Na co czekasz?

* * *

Uświadomiła sobie, że otacza ją cisza. Nie umiała powiedzieć, czy trwała sekundę czy dwie, godzinę czy jeszcze dłużej. Wtem Jemeńczyk rzucił się na nią jak dzikie zwierzę, a ona upadła na bok. Gdy złapał ją za gardło, czekała już tylko na cios noża. Odpręż się, mówiła sobie. Jeśli zwolnisz napięcie mięśni i ścięgien, ból nie będzie tak straszny. Wtedy rozległ się ostry trzask. Pomyślała, że to nóż przecina jej szyję, lecz nagle zobaczyła, że Jemeńczyk osuwa się na ziemię. Po nim padli trzech dżihadyści, jeden za drugim, jak figury na strzelnicy. Ostatnia była kobieta. Osunęła się po strzale w głowę, jakby

otworzyła się pod nią zapadnia. Kamera wysliznęła jej się z rąk i uderzyła w podłogę, miłosiernie odwrócona obiektywem od twarzy Natalie. Jest piękna, myślał Gabriel, uwalniając jej ręce z więzów. Nawet kiedy krzyczy.

Część czwarta

SZEF

Waszyngton - Jerozolima

Oskarżenia pojawiły się, zanim jeszcze wzeszło słońce. Odpowiedzialnością za katastrofę, która spotkała Amerykę, jedna partia obarczała prezydenta, a druga z tych samych powodów winiła jego przeciwnika. W tych dniach Waszyngton zdolny był tylko do tego, by oskarżać i szukać winnych. Był taki czas, w najbardziej mrocznym okresie Zimnej Wojny, gdy amerykańską politykę zagraniczną cechowała jednomyślność i konsekwencja. Teraz partie nie były w stanie uzgodnić nawet tego, kogo uznać za wroga, a co dopiero, jak z nim walczyć. Trudno się zatem dziwić, że atak na stolicę państwa stał się kolejną okazją do sporów stronnictw.

Tymczasem w Centrum Antyterrorystycznym, przy Mauzoleum Lincolna, w Centrum Sztuki Kennedy'ego, w Harbor Place, w restauracjach położonych wzdłuż M Street i w Café Milano liczono ofiary. Sto szesnaście w NCTC i Biurze Dyrekcji Wywiadu Narodowego, dwadzieścia osiem przy Mauzoleum Lincolna, trzysta dwanaście w Centrum Kennedy'ego, sto czterdzieści siedem w Harbor Place, sześćdziesiąt dwie przy M Street i czterdzieści dziewięć w Café Milano. Wśród zabitych w tej słynnej restauracji w Georgetown było czterech terrorystów ISIS. Zginęli od strzałów. Ale bezpośrednio po zamachu nikt nie wiedział, kto tego dokonał. Policja twierdziła, że FBI. FBI natomiast

przypisywało to policji.

Zamachowiec samobójca został zidentyfikowany jako kobieta, blondynka około trzydziestu lat. W krótkim czasie ustalono, że przyleciała do Nowego Jorku z Paryża, legitymując się francuskim paszportem, i spędziła jedną noc w hotelu Key Bridge Marriott w Arlington, w pokoju zarezerwowanym przez doktor Lajlę Hadawi, również francuską obywatelkę. Rząd Francji musiał również przyjąć do wiadomości, że samobójczynią z paszportem na nazwisko Asma Dumaz była w rzeczywistości Safia Bourihane, kobieta, która dokonała zamachu na Centrum Weinberga w Paryżu. Ale w jaki sposób najbardziej poszukiwana terrorystka w świecie, ikona dżihadyzmu, zdołała wrócić do Francji, a następnie wejść na pokład samolotu lecącego nad Atlantykiem i dostać się do Stanów Zjednoczonych? Na Wzgórzu Kapitolińskim członkowie obu partii politycznych jednogłośnie domagali się rezygnacji sekretarza bezpieczeństwa narodowego oraz komisarza służby celnej i ochrony granic. Przerzucano się w zarzutach i wzajemnych oskarżeniach, ulubionym zajęciu Waszyngtonu.

Ale kim była doktor Lajla Hadawi? Władze Francji twierdziły, że urodzoną we Francji Palestynką zatrudnioną w jednej z placówek państwowej służby zdrowia. Wedle informacji paszportowych spędziła sierpień w Grecji, choć funkcjonariusze francuskich służb bezpieczeństwa i wywiadu podejrzewali teraz, że potajemnie wyjechała stamtąd na szkolenie do Syrii. Dziwne było to, że ISIS nie przyznawało się do niej. Nie pojawiła się na żadnym z nagrań wideo

produkowanych dla uczczenia sukcesów organizacji, a także w postach mediów społecznościowych, które zalewały internet wiele godzin po zamachu. Miejsce jej obecnego pobytu również nie było znane.

Po obu stronach Atlantyku media zaczęły używać określenia „francuskie koneksje”, wskazując na kłopotliwy związek między atakiem na Waszyngton i obywatelami najstarszego sojusznika Ameryki. „Le Monde” ujawnił w dodatku kolejne „koneksje”, podając, że Paul Rousseau – wysoki funkcjonariusz DGSI, bohater tajnej kampanii przeciwko zbrojnemu ugrupowaniu Action directe – został ranny w zamachu na NCTC. Ale dlaczego w ogóle tam był? DGSI twierdziła, że został skierowany do rutynowych zadań związanych z wizytą prezydenta Francji w Waszyngtonie. Jednakże „Le Monde” taktownie wyraził swe obiekcje. Rousseau, przekonywała gazeta, dowodził niejaką Grupą Alfa, supertajną jednostką antyterrorystyczną znaną z podejrzanych praktyk i nieczystej gry. Minister spraw wewnętrznych zaprzeczał jej istnieniu, podobnie jak szef DGSI. Ale nikt we Francji im nie wierzył.

Nikt się tym zresztą nie przejął, przynajmniej w Stanach, gdzie wszystkich łączyła podobna żądza odwetu. Prezydent natychmiast wydał rozkaz przeprowadzenia masowych nalotów na wszelkie znane obiekty ISIS w Syrii, Iraku i Libii, jednocześnie usiłując za wszelką cenę przekonać świat islamski, że Ameryka nie prowadzi z nim wojny. Odrzucał też apele o przystąpienie do szeroko zakrojonej inwazji na kalifat. Odpowiedź Ameryki, oznajmił, ograniczy się do nalotów powietrznych i operacji specjalnych zmierzających do

likwidacji lub ujęcia dowódców ISIS, takich jak wciąż niezidentyfikowany mężczyzna, który zaplanował i zrealizował atak. Krytycy prezydenta byli wściekli. Podobnie jak ISIS, które nie pragnęło niczego bardziej niż wojny z armią Rzymu w miejscu o nazwie Dabik. Prezydent nie spełnił życzeń ISIS. Został wybrany po to, by położyć kres niekończącym się wojnom na Bliskim Wschodzie, a nie po to, by zaczynać nowe. Oświadczył, że tym razem Ameryka powstrzyma swój gniew, przetrwa atak na Waszyngton i tym samym potwierdzi własną siłę.

Jednym z pierwszych obiektów militarnej reakcji USA był budynek nieopodal parku Ar-Raszida w Rakce, a po nim dom o wielu pokojach i dziedzińcach na zachód od Mosulu. Ale krajowe media zajmowały się zupełnie innym domem - drewnianą chatą o spadzistym dachu w pobliżu miasteczka Hume w Wirginii. Został on wynajęty przez podstawioną firmę z północnej Wirginii, właścicielem której był Egipcjanin Qasim al-Banna. Ten sam, którego znaleziono w stawie na tejże posesji za kierownicą osobowej kii. Zabił go strzał w głowę oddany z bliskiej odległości. Pięć kolejnych ciał odkryto wewnątrz domu - czterech terrorystów ISIS w kombinezonach taktycznych oraz kobietę, którą z czasem zidentyfikowano jako Megan Taylor, nawróconą na islam, a w rzeczywistości Amerykankę z Valparaiso w stanie Indiana. FBI stwierdziło, że wszyscy zginęli od pocisków 5,56 x 45 mm wystrzelonych z dwóch automatów AR-15. Późniejsza analiza balistyczna wykazała, że tych samych karabinów używano w zamachu na Café Milano w Georgetown. Ale kto naprawdę

z nich strzelał? Dyrektor FBI twierdził, że nie zna odpowiedzi. Nikt mu nie uwierzył.

Niedługo po odkryciu dokonanym na wiejskim obszarze Wirginii FBI zatrzymało w celu przesłuchania Aminę al-Bannę, żonę mężczyzny znalezionego w stawie. Od tej chwili w historii nastąpił zaskakujący zwrot. Wkrótce bowiem po zwolnieniu pani Al-Banna zaangażowała prawnika z organizacji ochrony praw człowieka silnie powiązanej z Bractwem Muzułmańskim. Niebawem zwołano konferencję prasową, która odbyła się na trawniku przed niewielkim bliźniakiem Al-Bannów w Arlington. Z prawnikiem w roli tłumacza pani Al-Banna, mówiąc po arabsku, zaprzeczyła, jakoby jej mąż był członkiem ISIS i odegrał jakąkolwiek rolę w ataku na Waszyngton. Następnie oświadczyła, że tej samej nocy, gdy nastąpił atak, do jej domu włamali się dwaj mężczyźni i brutalnie ją przesłuchiwali. Jeden z nich był wysoki i bardzo szczupły, a drugi średniego wzrostu i budowy. Miał posiwiałe skronie i najbardziej zielone oczy, jakie w życiu widziała. Obaj bez wątplenia byli Izraelczykami. Twierdziła, że grozili, iż zabiją ją i jej syna - ukryła jednak, że nazwano go na pamiątkę Muhammada Aty - jeśli nie poda im hasła do komputerów męża. Po skopiowaniu ich zawartości szybko się ulotnili. Nie, przyznała, nie zgłosiła incydentu na policji. Jak oświadczyła, bała się, bo jest muzułmanką.

Pretensje pani Al-Banna uszłyby zapewne uwadze, gdyby nie podany przez nią opis jednego z mężczyzn, którzy wtargnęli do jej domu - człowieka średniego wzrostu i szczupłej budowy, o posiwiałych skroniach i oczach żywej barwy zieleni. Dawni

obywatele tajnego świata rozpoznali w nim słynnego izraelskiego agenta, Gabriela Allona, i kilku oświadczyło to w telewizji. Każdy jednak szybko przypominał, że Allon nie mógł wtargnąć do domu pani Al-Banny, gdyż przed blisko rokiem zginął w zamachu bombowym przy Brompton Road w Londynie. Ale czy na pewno? Ambasador Izraela w Waszyngtonie mimowolnie zagmatwał dodatkowo sprawę, odmawiając wydania kategorycznego i nieodwołalnego oświadczenia, że Gabriel Allon nie należy do świata żywych.

- Czego ode mnie chcecie? - warknął w trakcie wywiadu. - Mam powiedzieć, że nadal nie żyje? - Potem, powołując się na zasadę nieudzielania komentarzy w sprawach wywiadu izraelskiego, poprosił dziennikarza o zmianę tematu. Tak rozpoczął się powolny proces zmartwychwstania legendy.

Niebawem w waszyngtońskiej prasie pojawiły się doniesienia, że go widziano, wszystkie z wątpliwych źródeł, o małej wiarygodności. Podobno wchodził i wychodził z dużego domu w federalnym stylu przy N Street, a przynajmniej tak twierdził ktoś z sąsiedztwa. Podobno pił kawę przy Wisconsin Avenue, a przynajmniej tak mówiła kobieta siedząca przy sąsiednim stoliku. Widziano nawet, jak jadł kolację w hotelu Four Seasons przy M Street, jakby wielki Gabriel Allon ścigany przez zastępy śmiertelnych wrogów mógł być tak nierozważny, by występować publicznie. Pojawiła się również pogłoska, że podobnie jak Paul Rousseau, Gabriel w trakcie zamachu znajdował się w Narodowym Centrum Antyterrorystycznym. Ambasador Izraela, który nigdy nie tracił rezonu, nie odpowiadał na telefony i esemesy, podobnie

jak jego rzecznik. Nikt nawet nie próbował zwrócić się w tej sprawie do NCTC. Rzecznik Centrum zginął w zamachu, podobnie jak dyrektor instytucji. Praktycznie rzecz biorąc, NCTC przestało istnieć.

Cała sprawa mogłaby pójść w niepamięć, gdyby nie przedsiębiorcza dziennikarka z „Washington Post”. Przed wielu laty, wkrótce po 11 września, ujawniła łańcuch tajnych więzień CIA, gdzie terroryści z Al-Kaidy byli poddawani brutalnym przesłuchaniom. Teraz poszukiwała odpowiedzi na wiele pytań dotyczących zamachów w Waszyngtonie. Kim jest doktor Lajla Hadawi? Kto zabił czterech terrorystów w Café Milano i pięciu w chacie nieopodal Hume? I dlaczego nieżyjący legendarny agent znalazł się w NCTC, gdy nastąpił wybuch czterystapięćdziesięciokilogramowej bomby?

Artykuł pojawił się dokładnie tydzień od dnia ataku. Sugerował, że doktor Lajla Hadawi jest w rzeczywistości agentką wywiadu izraelskiego, która zdołała przeniknąć do siatki tajemniczego bossa terrorystów zwanego Saladynem. Był on w Waszyngtonie podczas zamachu, ale zdołał uciec. Przypuszczano, że powrócił do kalifatu i ukrywa się przed nalotami koalicji oraz Amerykanów. Gabriel Allon, twierdził artykuł, też się ukrywa. I na pewno nie jest martwy. Premier Izraela na prośbę o komentarz w tej sprawie tylko chytrze się uśmiechnął, a potem tajemniczo dał do zrozumienia, że więcej na ten temat powie już niedługo. Bardzo niedługo.

* * *

W Nachlaot, starej części centralnej Jerozolimy, od pewnego

czasu pojawiły się wątpliwości dotyczące śmierci Gabriela Allona. Wiadomości z ulicy Narkiss jeszcze je pogłębiły. Allon mieszkał tam od lat w budynku z piaskowca ocienionym z frontu potężnym eukaliptusem i podobno tego samego wieczoru, gdy na stronie internetowej „Posta” pojawiła się wieść o jego zgonie, widziano go z rodziną w restauracji Focaccia przy ulicy Rabina Akiwy. Tak przynajmniej twierdziło małżeństwo siedzące przy sąsiednim stoliku. Twierdziło też, że Allon zamówił wątróbki z kurczaka i ziemniaczane piure, a jego urodzona we Włoszech żona wybrała spaghetti. Dwójka niespełna rocznych dzieci zachowywała się wzorowo, a mama i tata mieli dobry humor i byli wyraźnie odprężeni w przeciwieństwie do ich obstawy, wykazującej stan skrajnego napięcia. Podobnie jak całe miasto. Nieco wcześniej tego popołudnia w pobliżu Bramy Damasceńskiej w ataku nożownika zginęli trzej Żydzi. Ich zabójca, młody Palestyńczyk ze wschodniej Jerozolimy, zginął od strzałów policji. Zmarł w Szpitalu Hadassa mimo heroicznego wysiłku personelu, by ratować jego życie.

Kolejnego popołudnia widziano Allona w centrum handlowym Mamilla Mall. W jednej z tamtejszych kawiarni jadł lunch ze swym starym przyjacielem, znanym archeologiem biblijnym Elim Lavonem, a o czwartej po południu był już na lotnisku Ben Guriona, czekając na samolot Air France z Paryża. Po podpisaniu dokumentów odebrał wielkie drewniane pudło, płaskie i prostokątne, i ostrożnie umieścił je z tyłu swego prywatnego opancerzonego SUV-a. Wewnątrz pudła znajdowała się pełna zapłata za nieukończone zadanie – obraz

olejny Vincenta van Gogha „Marguerite Gachet przy toaletce”. Godzinę później, po błyskawicznym przejeździe przez Bab al-Wad, płótno umieszczono na sztalugach w laboratorium działu konserwacji Muzeum Izraela. Gabriel stał przed nim z brodą wspartą na dłoni i lekko przechyloną w bok głową. Efraim Cohen stał obok. Przez długi czas żaden się nie odezwał.

- Wiesz - Cohen przerwał w końcu milczenie - że wciąż jeszcze możesz zmienić zdanie.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Bo ona chciała, żebyś to ty go miał. - Po chwili dodał: - I pamiętaj, że jest wart ponad sto milionów dolarów.

- Daj mi dokumenty, Efraimie.

Znajdowały się w oficjalnym skórzanym etui z wytłoczonym na nim emblematem muzeum. Umowa była krótka i prosta. Gabriel Allon zrzeka się niniejszym wszelkich praw i roszczeń do obrazu van Gogha. Od tej pory staje się on własnością Muzeum Izraela. Istniało wszakże jedno niepodważalne zastrzeżenie. Nigdy i w żadnych okolicznościach obraz ten nie podlega sprzedaży i nie może być wypożyczony innej instytucji. Jak długo istnieje Muzeum Izraela, czyli jak długo istnieje Izrael, „Marguerite Gachet przy toaletce” ma tu pozostać.

Gabriel zamaszyście podpisał dokument i powrócił do sztalug. Na koniec wyciągnął rękę i lekko przesunął palcem wskazującym po twarzy Marguerite. Nie wymaga już zabiegów renowacyjnych, myślał. Jest gotowa i może wystąpić publicznie. Pragnął jedynie móc to samo powiedzieć o Natalie.

Ale Natalie wymagała jeszcze starań. Natalie była dziełem wciąż nieukończonym.

Nahalal, Izrael

Zawieźli ją tam, gdzie wszystko się zaczęło, do wielkiego domu w starej moszawie Nahalal. Jej pokój był taki sam jak wtedy, gdy go opuściła. Zniknął tylko tom poezji Darwisza, podobnie jak ogromne fotografie cierpień Palestyńczyków. Ściany salonu zdobiły teraz obrazy.

- Twoje? - spytała wieczorem po przyjeździe.
- Kilka - odparł Gabriel.
- Które?
- Te bez podpisu.
- A reszta?
- Mojej matki.

Przesunęła wzrokiem po płótnach.

- Widać, że miała na ciebie silny wpływ.
- W gruncie rzeczy oboje mieliśmy na siebie wpływ.
- Rywalizowaliście z sobą?
- I to jak.

Podeszła do wysokich okien i spojrzała ponad ciemną dolinę w stronę światła arabskiej wioski na wzgórzu.

- Jak długo mogę tu zostać?
- Jak długo zechcesz.
- A potem?
- To już - odparł - zależy tylko od ciebie.

Była jedynym mieszkańcem domu na farmie, ale nigdy nie

zostawała sama. Ochrona monitorowała każdy jej ruch, podobnie jak kamery i mikrofony, które rejestrowały jej przeraźliwe krzyki, gdy nocą prześladowały ją koszmary. Często w jej snach pojawiał się Saladyń. Czasem jako bezbronny ranny człowiek, którego zobaczyła w domu nieopodal Mosulu, a kiedy indziej jako silny elegancki mężczyzna, który z satysfakcją skazał ją na śmierć w chacie na granicy parku narodowego Shenandoah. W jej snach pojawiała się też Safia, ale nigdy w hidżabie lub abai, tylko zawsze w popielatym żakiecie zapiętym na pięć guzików, który miała na sobie w chwili śmierci. Jej włosy zawsze miały kolor blond. Była taką Safią, jaką mogłaby być, gdyby nie znalazła się w szponach radykalnego islamu. Była po prostu piękną dziewczyną.

Natalie wyznała to wszystko zespołowi lekarzy i terapeutów, którzy ją co kilka dni odwiedzali. Przepisali jej tabletki nasenne, które odrzuciła, i leki przeciwlękowe, które powodowały otępienie i apatię. By się otrząsnąć, zmuszała się do codziennego biegania po ścieżkach doliny. Tak jak poprzednio trenowała w bluzie z długimi rękawami i w długich spodniach, ale tym razem nie z powodu nabożności, lecz późnojesiennego chłodu. Zespół ochrony nie spuszczał jej z oka, podobnie jak inni mieszkańcy Nahalal. Była to silnie zintegrowana społeczność złożona z licznych weteranów izraelskich sił obronnych oraz służb bezpieczeństwa. Z czasem zrodziło się w nich poczucie odpowiedzialności za Natalie. Z wolna zaczęli też wierzyć, że to ona jest bohaterką historii, o której czytali w gazetach. Kobieta, która

przeniknęła do wnętrza najgroźniejszej grupy terrorystycznej, jaką znał świat. Tą, która dotarła w głąb kalifatu i przeżyła, by dać świadectwo.

Odwiedzali ją nie tylko lekarze. Często również bywali na farmie jej rodzice i czasem zostawali na noc. A wczesnym popołudniem odbywała sesje ze swymi dawnymi instruktorami. Tym razem ich zadanie polegało na odwróceniu skutków procesu, który zapoczątkowali poprzednio – przekształceniu palestyńskiej wrogości i islamskiego fanatyzmu w zatracone poczucie izraelskiej tożsamości.

- Tylko bez przesady – mruknął Gabriel.

Poświęcił wiele czasu i wysiłków, by rozpalić w niej wrogość wobec siebie, i nie chciał bez reszty zniszczyć owoców swej pracy z powodu kilku straszliwych chwil, które przeżyła w chacie na pustkowiach Wirginii.

Odwiedzała ją również Dina Sarid. W ciągu sześciu niekończących się rozmów, wszystkich nagrywanych, wypytywała Natalie znacznie bardziej szczegółowo niż poprzednio. Domagała się dokładnej relacji na temat jej pobytu w Rakce i w Palmyrze, wstępnego przesłuchania przez Abu Ahmeda al-Tikriti oraz licznych godzin, które spędziła sam na sam z byłym funkcjonariuszem wywiadu irackiego, który nazwał się Saladynem. Wszystkie te materiały miały wkrótce trafić do obszernej kartoteki Diny, która przewidywała kolejną falę zamachów. To nie jest sprawa zamknięta, ostrzegała Biuro. Pewnego dnia, i to wkrótce, Saladyn uderzy w Jerozolimę.

Po zakończeniu ostatniej sesji, gdy Dina wyłączyła komputer

i spakowała notatki, obie długo siedziały w milczeniu, patrząc, jak mrok opada na dolinę.

- Jestem ci winna przeprosiny - odezwała się w końcu Dina.

- Za co?

- Za to, że cię do tego namawiałam. Nie powinnam była. Nie miałam racji.

- Gdybym to nie była ja - spytała Natalie - to kto?

- Ktoś inny.

- Zrobiłabyś to?

- Nie - odparła Dina, zasługując tym na uznanie. - Nie sądzę, żebym mogła. W końcu jednak nie było to tego wszystkiego warte. Przegraliśmy.

- Tym razem - powiedziała Natalie.

Tak, pomyślała Dina. Tym razem...

* * *

Michaił odczekał tydzień, zanim się pojawił na farmie. I nie on był przyczyną tej zwłoki. Lekarze obawiali się, że jego obecność może jeszcze bardziej utrudnić już i tak skomplikowany proces rekonwalescencji Natalie. Dlatego też po raz pierwszy widzieli się krótko, nieco ponad godzinę, a jego wizyta miała charakter czysto zawodowy. Pozwolili sobie tylko na chwilę intymności w świetle księżyca, gdy wymknęli się do ogrodu sprzed oczu kamer i uszu mikrofonów. Następnego wieczoru oglądali film francuski z hebrajskimi podpisami, a kolejnego, za zgodą Uziego Navota, pojechali na pizzę do Cezarei. Później, gdy spacerowali w rzymskich ruinach, Michaił opowiedział jej o najtrudniejszych kilku

minutach, które kiedykolwiek przeżył. Wydarzyło się to, o dziwo, w jego ojczyźnie, na daczynie położonej wiele kilometrów na wschód od Moskwy, po tym, jak operacja odbicia zakładników się nie powiodła, a on i dwoje agentów czekali na śmierć. Ale wtedy ktoś ofiarował życie za nich i wszyscy troje ocalili. Wśród nich była kobieta, która niedawno urodziła bliźnięta, a ten drugi agent, mężczyzna, rzekł z naciskiem Michaił, wkrótce zostanie szefem Biura.

- Gabriel?

Wolno skinął głową.

- A ta kobieta?

- To jego żona.

- O Boże. - Przez chwilę szli w milczeniu. - Ale jaki jest morał tej strasznej historii?

- Nie ma morału - odparł Michaił. - Tacy po prostu jesteśmy. A potem próbujemy zapomnieć.

- I zapomniałeś?

- Nie.

- Jak często o tym myślisz?

- Co noc.

- Chyba mimo wszystko miałeś rację - odezwała się po chwili.

- W czym?

- Że jestem bardziej do ciebie podobna, niż mi się zdaje.

- Teraz jesteś.

Ujęła jego dłoń.

- Kiedy? - szepnęła mu do ucha.

- A to - Michaił się uśmiechnął - zależy tylko od ciebie.

* * *

Nazajutrz po południu, gdy wróciła na farmę po codziennym treningu, zobaczyła w salonie Gabriela. W popielatym garniturze i białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem wyglądał bardzo oficjalnie. Na stoliku przed nim leżały trzy teczki z dokumentami. Pierwsza, jak wyjaśnił, zawierała końcową opinię lekarzy na temat stanu jej zdrowia.

- I co stwierdza?

- Stwierdza - odparł spokojnie - że cierpisz na stres pourazowy, co, zważywszy na twoje przeżycia w Syrii i Stanach, jest w pełni uzasadnione.

- Jakie są rokowania?

- Całkiem niezłe. Odpowiednia terapia farmakologiczna i psychologiczna umożliwi ci powrót do pełnego zdrowia. W gruncie rzeczy - dodał - wszyscy uważamy, że możesz stąd wyjechać, kiedy zechcesz.

- A pozostałe dwie teczki?

- To sprawa wyboru - odparł zagadkowo.

- Jakiego wyboru?

- Twojej przyszłości.

Wskazała jedną z nich.

- Co w niej jest?

- Rozwiązanie umowy.

- A w drugiej?

- Coś wręcz przeciwnego.

Zapadła cisza. W końcu Gabriel przemówił:

- Przypuszczam, że słyszałaś pogłoski o mojej nominacji.

- Myślałam, że nie żyjesz.

- Informacja o moim zgonie okazała się przedwczesna.
- Jak i o moim.

Uśmiechnął się serdecznie, ale szybko spoważniał.

- Niektórzy szefowie mają szczęście i sprawują urząd w stosunkowo spokojnych czasach. Odbywają swoją kadencję, zbierają hołdy, a potem ruszają w świat i robią pieniądze. Ja natomiast wiem, że taki los nie przypadnie mi w udziale. Następne lata zapowiadają się burzliwie dla Bliskiego Wschodu i Izraela, a to, czy przetrwamy, w znacznym stopniu zależy od roli Biura. - Spojrzał na dolinę, miejsce swej młodości. - Byłoby to z mojej strony poważne zaniedbanie, gdybym nie próbował pozyskać kogoś z twoimi zdolnościami.

Na tym skończył. Natalie udawała, że się zastanawia.

- O co chodzi? - spytał. - O wyższe wynagrodzenie?
- Nie. - Pokręciła głową. - Zastanawiałam się nad stosunkiem Biura do prywatnych relacji między pracownikami.
- Oficjalnie ich nie popieramy.
- A nieoficjalnie?
- Przecież wiesz, że my, Żydzi, uwielbiamy kojarzyć związki.
- Jak dobrze znasz Michaiła?
- Znam go tak, jak tylko ty możesz zrozumieć.
- Opowiedział mi o Rosji.
- Naprawdę? - Gabriel zmarszczył brwi. - Niezbyt to przezorne.
- Zrobił to dla sprawy.
- Jakiej sprawy?

Natalie sięgnęła po trzecią teczkę. Tę, która zawierała umowę o pracę.

- Czy masz przy sobie pióro? - zapytała.

Petach Tikwa, Izrael

Koniec był już bliski. Nikt nie miał wątpliwości. W czwartek widziano, jak Uzi Navot taszczy kilka tekturowych pudeł ze swego gabinetu, w tym potężną dostawę ciasteczek maślanych, którą dostał na pożegnanie od szefa wiedeńskiej placówki. Nazajutrz, podczas spotkania kierownictwa Biura, które rozpoczęło się o dziewiątej rano, zachowywał się tak, jakby wielki ciężar spadł mu z ramion. A po południu, nim rozpoczął się weekend, powoli obszedł cały budynek przy bulwarze Króla Saula, począwszy od najwyższego piętra aż do podziemnych archiwów, ściskając dłonie, poklepując ramiona i całując kilka mokrych policzków. Ominął jednak, o dziwo, mroczny, odpychający matecznik działu kadr – miejsce, gdzie gasły kariery.

Navot spędzał sobotę za murem swej rezydencji w Petach Tikwa pod Tel Awiwem. Gabriel wiedział o tym, gdyż *ramsad* – jak oficjalnie w skrócie nazywano szefa Biura – podobnie jak on sam, był obiektem stałego nadzoru kamer w centrum operacyjnym. Uznał, że będzie lepiej, jeśli pojawi się bez uprzedzenia, wykorzystując w ten sposób element zaskoczenia. Po dotarciu na miejsce wysliznął się z tylnego siedzenia swego służbowego SUV-a, w ulewnym deszczu pobiegł do frontowej bramy i wcisnął przycisk interkomu. Upłynęło dwadzieścia długich sekund w falach ulewy, nim ktoś

się odezwał. Niestety był to głos Belli.

- Czego chcesz?
- Muszę pomówić z Uzi.
- Jeszcze ci nie wystarczy?
- Proszę, Bello. To ważne.
- Jakby mogło być inaczej.

Nastąpiła kolejna zwłoka, nim rozległ się nieprzyjazny trzask i zamek puścił. Gabriel otworzył bramę i szybko przeszedł ogrodową ścieżką do drzwi, w których czekała Bella. W eleganckim spodniemie z gniecionej jedwabiu i złotych sandałach, ze starannym, lecz dyskretnym makijażem oraz świeżą fryzurą wyglądała tak, jakby oczekiwała gości. Zawsze taka była. Wygląd miał dla niej ważne znaczenie i dlatego Gabriel nigdy nie rozumiał, dlaczego zdecydowała się poślubić kogoś takiego jak Uzi Navot. Może zrobiła to ze zwykłej złośliwości? – zastanawiał się. Zawsze podejrzewał, że jest z gatunku tych, którzy lubią wyrywać muchom skrzydełka.

Chłodno podała mu dłoń. Jej paznokcie miały krwistoczerwoną barwę.

- Wyglądasz kwitnąco, Bello.
- Ty też. Ale w końcu trudno się dziwić.

Wskazała mu gestem salon, gdzie Navot zgłębiał ostatni numer tygodnika „The Economist”. Pokój z oknami do sufitu i widokiem na fontanny oraz pedantycznie strzyżone krzewy w ogrodzie był wzorowym przykładem współczesnej architektury Azji. Natomiast Navot wyglądał w nim jak jeden z robotników, których Bella terroryzowała podczas długich

prac renowacyjnych. Miał na sobie wygniecione chinosy i rozciągniętą bawełnianą bluzę, a jego policzki i brodę pokrywał siwy zarost. Niechlujny wygląd Uziego zaskoczył Gabriela, gdyż jeśli chodzi o ubiór, Bella nigdy nie tolerowała weekendowego niedbalstwa.

- Czego się napijesz? - zapytała.

- Cykuty - odparł.

Marszcząc czoło, wyszła. Gabriel rozejrzał się po pokoju. Był trzykrotnie większy niż salonik w jego małym mieszkaniu przy ulicy Narkiss. Pomyślał, że może powinien nieco podwyższyć swój standard. Usiadł na wprost Navota, który patrzył w przyciszony telewizor. Wcześniej tego dnia Amerykanie, używając dronów, dokonali nalotu na dom w zachodnim Iraku, gdzie, jak podejrzewali, ukrywał się Saladyn. Zginęły dwadzieścia dwie osoby, w tym kilkoro dzieci.

- Myślisz, że on tam był?

- Nie - odparł Gabriel, patrząc na bezwładne ciało, które wyciągano z gruzów. - Myślę, że nie.

- Ja też tak myślę. - Navot wyłączył telewizor. - Słyszę, że przekonałeś Natalie do podpisania umowy o pracę.

- W gruncie rzeczy to zasługa Michaiła.

- Myślisz, że to coś poważnego?

Gabriel zagadkowo wzruszył ramionami.

- Miłość w rzeczywistym świecie jest trudniejsza niż w tajnym.

- Coś o tym wiem - mruknął Navot, skubiąc niskokaloryczny ryż z miseczki na stoliku. - A co z Lavonem? Słyszę, że wraca.

- To prawda.

- Jako kto?
- Nominalnie będzie nadzorował obserwatorów. Ale w rzeczywistości wykorzystam go zależnie od sytuacji.
- Kto bierze specoperacje?
- Jakow.
- Słuszna decyzja - zgodził się Uzi. - Ale Michaił będzie zawiedziony.
- Michaił nie jest gotowy. Jakow tak.
- A co z Jossim?
- Obejmie dział badań. Z Diną jako zastępczynią.
- Rimona?
- Zastępca dyrektora działu planowania.
- Dobry ruch. Mam nadzieję, że ci się powiedzie. - Navot patrzył pustym wzrokiem w ciemny ekran telewizora.
- Ostatnio w sekretariacie premiera krążą na twój temat pogłoski - zauważył Gabriel.
- Czyżby?
- Mówią, że przenosisz się do Kalifornii. Ponoć masz się zatrudnić w przedsiębiorstwie z branży obronnej. I że rocznie zgarniesz milion dolarów, nie licząc premii.
- Jeśli szukasz prawdy - stwierdził filozoficznie Navot - to sekretariat premiera jest ostatnim miejscem, w którym ją znajdziesz.
- Moje źródła mówią, że Bella wybrała już tam dom. Navot sięgnął do miseczki po ryż.
- A jeśli nawet, to co? Jakie to ma znaczenie?
- Potrzebuję cię, Uzi. Nie dam rady bez ciebie.
- W jakim charakterze? Co miałbym robić?

- Kierowałbyś firmą i polityką, a ja prowadziłbym operacje.
- Miałbym być kierownikiem?
- Lepiej radzisz sobie z ludźmi niż ja, Uzi.
- Mówiąc oględnie - mruknął Navot.

Gabriel spojrział przez okno, za którym ulewa chłostała ogród Belli.

- Jak możesz wyjeżdżać do Kalifornii w takiej chwili? Jak możesz opuszczać Izrael?

- Dobrze ci mówić. Przez lata mieszkałeś za granicą i zbiłeś kupę forsy, odnawiając te wszystkie obrazy. Teraz moja kolej. A poza tym - dodał ponuro Navot - nie jestem ci potrzebny.

- Nie składam tej propozycji z dobroci serca, Uzi. Moje motywy są czysto egoistyczne. - Gabriel zniżył głos i dodał: - Jesteś dla mnie jak brat, którego nigdy nie miałem. Ty i Eli Lavon. Zapowiada się trudny okres. Potrzebuję was obu.

- Są jeszcze argumenty, do jakich się nie odwołasz?
- Uczyłem się od najlepszych, Uzi. Tak jak i ty.
- Przykro mi, Gabrielu, ale już przyjąłem tę pracę.
- Więc powiedz im, że zmieniłeś zdanie. Powiedz, że twój kraj cię potrzebuje.

Navot skubał w zamyśleniu ryż ziarnko po ziarnku, co Gabriel uznał za pomyślny znak.

- Czy premier wyraził na to zgodę?
- Nie ma wyboru.
- Gdzie będzie mój gabinet?
- Naprzeciwko mojego, po drugiej stronie holu.
- A sekretarka?
- Pomoc Orit nam wystarczy.

- Ale jeśli spróbujesz mnie od czegoś odciąć czy coś w tym rodzaju - ostrzegł Navot - odejdę. Muszę mieć do ciebie dostęp, kiedykolwiek i gdziekolwiek będę chciał.

- Wkrótce będziesz miał mnie dość.

- W to akurat wierzę.

Opróżnił miseczkę z ryżem do końca, a potem ciężko westchnął.

- Co takiego, Uzi?

- Zastanawiam się, jak mam powiedzieć Belli, że odrzucam milionowy kontrakt w Kalifornii, żeby zostać w Biurze.

- Jestem pewny, że coś wymyślisz - pocieszył go Gabriel. - Zawsze dobrze radziłeś sobie z ludźmi.

Jerozolima

Gdy Gabriel wrócił na ulicę Narkiss, Chiara była już ubrana w ciemne eleganckie spodnium, a dzieci przypięte do fotelików w samochodzie. Razem ruszyli przez zachodnią Jerozolimę w krótką drogę do szpitala psychiatrycznego na Wzgórzu Herzla. W dawnych czasach, nim powtórnie się ożenił i zyskał niechcianą sławę celebryty, Gabriel wchodził tam i wymykał się niezauważony, zazwyczaj późnymi wieczorami. Teraz przyjechał z całą urzędową pompą, w asyście licznej ochrony. Raphael kręcił się w jego ramionach, a Chiara, stukając obcasami po bruku dziedzińca, szła w milczeniu obok, niosąc na rękach Irene. Nie zazdrościł jej w tej chwili. Ujął jej rękę i mocno ją uściskał, podczas gdy Raphael ciągnął go za ucho.

W holu czekał na nich pulchny lekarz w średnim wieku o wyglądzie rabina. Popierał tę wizytę. Więcej nawet, przypomniał sobie Gabriel, to on wpadł na ten pomysł. Teraz jednak nie wydawał się zbyt pewny skutków swej inicjatywy.

- Co ona wie? - spytał Gabriel, gdy jego syn sięgał po okulary lekarza.

- Powiedziałem jej, że będzie miała gości. Poza tym... - lekarz wzruszył swymi okrągłymi ramionami - lepiej, żebyś ty jej to wytłumaczył.

Gabriel podał Chiarze Raphaela i ruszył za doktorem przez korytarz z jerozolimskiego piaskowca do drzwi świetlicy dla

pacjentów. Oprócz jednej osoby nie było tam nikogo. Siedziała w wózku nieruchomo jak postać z obrazu, a za nią bezgłośnie migotał telewizor. Gabriel przelotnie ujrzał na ekranie własną twarz. Było to nieruchome zdjęcie sprzed wielu wielu lat, zrobione po zakończeniu operacji Gniew Boży. Wyglądałby na nim jak dzieciak, gdyby nie posiwiałe skronie. „Smugi popiołu na skroniach księcia ognia...”

- Mazeł tow - pogratulował mu doktor.

- Kondolencje byłyby bardziej stosowne - odparł Gabriel.

- To niełatwe czasy, ale jestem pewien, że sprostasz zadaniu. I pamiętaj, jeśli kiedykolwiek będziesz chciał z kimś pogadać - poklepał go po ramieniu - zawsze ci służę.

Twarz Gabriela zniknęła z ekranu. Spojrzał na Leah. Nie poruszyła się ani nawet nie mrugnęła. „Kobieta na wózku inwalidzkim”, pomyślał. Olej na płótnie. Dzieło Tarika al-Huraniego.

- Dasz mi jakąś radę?

- Bądź z nią szczery. Nie lubi, jeśli próbujesz mydlić jej oczy.

- A jeśli to będzie zbyt bolesne?

- Będzie. Ale wkrótce o tym zapomni.

Lekarz lekkim szturchnięciem pchnął go do przodu. Gabriel wolno wszedł do świetlicy i usiadł w fotelu, który ustawiono obok Leah. Jej włosy, kiedyś długie i niesforne jak włosy Chiary, teraz - zgodnie z wymogami zakładu - były krótko ostrzyżone, a ręce, zniekształcone i pokryte bliznami, przywodziły mu na myśl białe fragmenty płótna. Pragnąłby im przywrócić dawny wygląd, ale nie mógł. Stan Leah nie podlegał naprawie. Delikatnie pocałował jej policzek i czekał,

aż uświadomi sobie jego obecność.

- Spójrz na ten śnieg, Gabrielu - odezwała się nagle. - Czyż nie jest piękny?

Popatrzył za okno, gdzie jaskrawe słońce padało na pinie w szpitalnym ogrodzie.

- Tak, Leah - odrzekł z roztargnieniem, bo łązy przesłoniły mu widok. - Jest piękny.

- Śnieg oczyszcza Wiedeń z jego grzechów. Śnieg pada na Wiedeń, ale na Tel Awiw spadają pociski.

Gabriel ścisnął jej rękę. Te słowa były jednymi z ostatnich, jakie wypowiedziała tego wieczoru w Wiedniu, nim wybuchła bomba. Cierpiała na szczególnie ostre połączenie depresji psychotycznej i stresu pourazowego. Zdarzało się, że odzyskiwała pełną świadomość, ale przez większość czasu pozostawała więźniem przeszłości. Wiedeń nieustannie powracał w jej myślach niczym taśma z nagraniem, którego nie mogła przerwać: ich ostatnia wspólna kolacja, ostatni pocałunek, ogień, który zabił ich jedyne dziecko i spalił jej ciało. Całe jej życie skurczyło się do pięciu minut, które odtwarzała wciąż na nowo od ponad dwudziestu lat.

- Widziałam cię w telewizji - odezwała się nagle przytomnym głosem. - Wygląda na to, że jednak nie zginąłeś.

- Nie, Leah. Po prostu musieliśmy tak mówić.

- Ze względu na twoją pracę?

Potwierdził skinieniem głowy.

- A teraz mówią, że będziesz szefem.

- Niebawem.

- Myślałam, że Ari jest szefem.

- Od wielu lat już nie.

- Od ilu?

Nie odpowiedział. Ta myśl była zbyt przygnębiająca.

- Dobrze się miewa? - spytała.

- Ari?

- Tak.

- No cóż, ma dni lepsze i gorsze.

- Tak jak ja...

Jej twarz spochmurniała. Znów napływały wspomnienia. Jakoś dołała im się przeciwstawić.

- Nie mogę w to uwierzyć, że to ty będziesz teraz *memun*. - Było to stare słowo. Znaczyło: przywódca, ten, który ma władzę. - Dotąd tylko Szamron zasługiwał na to miano.

- Ja też nie mogę w to uwierzyć - przyznał Gabriel.

- *Memun...* Nie jesteś trochę za młody, żeby nim zostać?

Przecież masz dopiero...

- Jestem teraz starszy, Leah. Oboje jesteśmy starsi.

- Wyglądasz dokładnie tak, jak pamiętam.

- Przyjrzyj mi się, Leah. Zobaczysz zmarszczki i siwe włosy.

- Dzięki Ariemu wcześniej osiwiąłeś. Tak jak ja. - Spojrzała przez okno. - Wygląda jak w zimie.

- Istotnie.

- Który to rok?

Powiedział.

- W jakim wieku są teraz twoje dzieci?

- Jutro są ich pierwsze urodziny.

- Będzie przyjęcie?

- Tak, w domu Szamrona w Tyberiadzie. Ale przywiozłem je

tutaj. Jeśli chciałabyś je zobaczyć...

Jej twarz się rozjaśniła.

- Jakie mają imiona?

Mówił jej to już kilkakrotnie. I znów powtórzył.

- Ale przecież Irene to twoja matka - zaniepokoiła się.

- Moja matka od dawna już nie żyje.

- Wybacz mi, Gabrielu. Ja czasem...

- Nieważne.

- Przynieś je - powiedziała z uśmiechem. - Chcę je zobaczyć.

- Na pewno?

- Ależ tak, oczywiście.

Gabriel wstał i wyszedł do holu.

- No i co? - jednocześnie spytali Chiara i lekarz.

- Mówi, że chce je zobaczyć.

- Jak to zrobimy? - zapytała Chiara.

- Po jednym - zasugerował doktor. - Żeby nie rozbudzać zbyt silnych emocji.

- Słusznie - zgodził się Gabriel.

Wyjął Raphaela z ramion Chiary i wrócił do świetlicy. Leah patrzyła niewidzącym wzrokiem przez okno, pogrążona w odmętach swej pamięci. Delikatnie posadził synka na jej kolanach. Wzrok Leah odzyskał ostrość, a świadomość wróciła do teraźniejszości.

- Kto to jest? - zapytała.

- To on, Leah. Mój syn.

Patrzyła na dziecko jak zaczarowana, obejmując je mocno swymi okaleczonymi rękami.

- Wygląda zupełnie jak...

- Jak ja - przerwał jej szybko. - Wszyscy mówią, że jest podobny do mnie.

Leah przesunęła wykrzywionym palcem po włosach dziecka i dotknęła ustami jego czoła.

- Spójrz na ten śnieg - wyszeptała. - Czyż nie jest piękny?

Jerozolima – Tyberiada

Nazajutrz o dziesiątej rano Muzeum Izraela poinformowało o nabyciu nieznanego dotąd dzieła Vincenta van Gogha „Marguerite Gachet przy toaletce”, olej na płótnie, sto cztery centymetry na sześćdziesiąt centymetrów, z masy spadkowej Hannah Weinberg. Później jednak zmuszone było przyznać, że w rzeczywistości otrzymało ów obraz od anonimowego darczyńcy, który odziedziczył arcydzieło po zamordowanej w paryskim zamachu mademoiselle Weinberg. Z czasem kierownictwo muzeum znalazło się pod silną presją, by ujawnić tożsamość ofiarodawcy, jednak konsekwentnie odmawiało, podobnie jak rząd Francji, który zezwolił na transfer arcydzieła z terytorium Francji do Izraela ku oburzeniu prasy i elity kulturalnej. W powszechnej opinii był to kolejny cios wymierzony w dumę Francji, tym razem z własnej woli.

Jednakże tej grudniowej niedzieli sprawa obrazu zeszła na drugi plan w związku z innym wydarzeniem. Premier Izraela wydał bowiem oświadczenie, że legendarny agent Gabriel Allon żyje i wkrótce obejmie urząd szefa Biura. Nie było to wielkim zaskoczeniem, gdyż prasa od wielu dni żyła pogłoskami i spekulacjami na ten temat. Niemniej na widok anioła zemsty, który sprawiał wrażenie zwykłego śmiertelnika, mieszkańcy Izraela doznali szoku. Ubrany z tej okazji ze

szczególną starannością Gabriel miał na sobie białą koszulę typu oksford, czarną skórzaną kurtkę, wąskie spodnie khaki i zamszowe mokasyny na gumowych podszewkach, w których poruszał się bezszelestnie. Ogłaszając jego nominację, premier celowo nie użył określenia *ramsad*, lecz odwołał się do starożytnego słowa *memun*, co znaczy: przywódca, ten, który sprawuje władzę.

W błysku kamer oślepiających jak lampy halogenowe stał nieruchomo z rękami założonymi w tył niczym żołnierz na komendę „spocznij”, podczas gdy premier streszczał w mocno ocenzurowanej wersji jego życiowe osiągnięcia. Potem oddał mu głos, a on oznajmił, że zamierza sprawować swój urząd, patrząc w przyszłość, lecz czerpiąc z wielkiej tradycji przeszłości. Przekaz był bezsporny. Funkcję szefa izraelskiego wywiadu objął dawny zabójca, a zatem każdy, kto zagrozi jego ojczyźnie lub jej obywatelom, poniesie poważne, może nawet śmiertelne konsekwencje swych czynów.

Gdy reporterzy próbowali zadawać mu pytania, uśmiechnął się tylko, po czym ruszył za premierem do jego gabinetu. Tam w trakcie długiej rozmowy przedstawił swoje plany i priorytety, a także zagrożenia, niektóre bliskie, inne odległe, którym żydowskie państwo musi stawić czoła. Szczególny nacisk kładł na niebezpieczeństwo wiążące się z ISIS, którego, przekonywał, nie wolno ignorować. Na koniec stanowczo oświadczył, że dotychczasowy *ramsad* będzie nadal pracownikiem Biura.

- W jakim charakterze? - spytał z niedowierzaniem minister spraw zagranicznych.

- W każdym, jaki uznam za potrzebny.
- To rzecz bez precedensu.
- Przywyknij do tego.

Szef Biura nie składa przysięgi, podpisuje tylko umowę. Po zakończeniu formalności Gabriel pojechał na bulwar Króla Saula, gdzie wygłosił przemówienie do swego zespołu i spotkał się na krótko z odchodzącą kadrą kierowniczą. Na koniec razem z Navotem wyruszyli jednym opancerzonym SUV-em do willi Szamrona w Tyberiadzie. Stromy podjazd był tak zatłoczony samochodami, że musieli zaparkować daleko od domu. Gdy weszli na taras z widokiem na jezioro, rozległy się tak głośne wiwaty, że zapewne echo poniosło je w dal nad Wzgórzami Golan do Syrii.

Trudno było oprzeć się wrażeniu, że stawili się wszyscy, którzy kiedykolwiek w zawiłej przeszłości Gabriela mieli z nim kontakt. Pojawili się Adrian Carter, Farid Barakat i Paul Rousseau, a z Londynu przyleciał nie tylko sam Graham Seymour, lecz również Julian Isherwood, marszand sztuki, który w swoim czasie zapewnił Gabrielowi przykrywkę renowatora obrazów, oraz Samantha Cooke, reporterka z „The Telegraph”, która zadbała o to, by rozpowszechnić wiadomość o jego śmierci.

- Jesteś mi coś winien - powiedziała, całując go w policzek.
- Czek jest w drodze.
- Kiedy mam się go spodziewać?
- Wkrótce.

Oczywiście było jeszcze wiele innych osób. Timothy Peel, chłopiec z Kornwalii, który mieszkał w sąsiedztwie, gdy

Gabriel ukrywał się przy Helford Passage, przybył na koszt Biura, podobnie jak Sarah Bancroft, amerykańska historyk sztuki i kurator, która pomogła Gabrielowi przy poprzednich sprawach. Chłodno uścisnęła dłoń Michaiła i obrzuciła niechętnym spojrzeniem Natalie, poza tym jednak wieczór przebiegał w niczym niezakłóconej atmosferze.

Z Paryża przyjechał również Maurice Durand, słynny złodziej dzieł sztuki, zręcznie unikając Paula Rousseau, który bez wątplenia zapamiętał go z brasserie przy rue de Miromesnil. Wśród gości znajdował się także monsignore Luigi Donati, prywatny sekretarz Jego Świątobliwości Papieża Pawła VII, oraz Christoph Bittel, nowy sprzymierzeniec Gabriela w łonie służb bezpieczeństwa Szwajcarii. Przybyła także połowa Knesetu oraz wyżsi funkcjonariusze Sił Obronnych Izraela, a także szefowie pozostałych izraelskich agencji wywiadowczych. A na wszystko patrzył z uśmiechem zadowolenia Ari Szamron, jakby cała ta uroczystość miała służyć jego prywatnej rozrywce. Nigdy jeszcze nie widziano go w tak radosnym nastroju. Dzieło jego życia doczekało się w końcu spełnienia. Gabriel ponownie się ożenił, był ojcem i szefem Biura. Renowator został poddany renowacji.

Ale nie była to wyłącznie uroczystość na cześć Gabriela. Świętowano również pierwsze urodziny jego dzieci. Chiara nadzorowała zapalanie świeczek, podczas gdy dumny ojciec nagrywał scenę służbową komórką. Kiedy całe zgromadzenie gromko zaintonowało „Happy Birthday”, Irene zaniósła się histerycznym szlochem. Wtedy jednak Szamron szepnął jej do ucha jakiś nonsens swym polskim akcentem i dziecko umilkło,

a potem z zachwytu się rozchichotało. Około dziesiątej wieczorem pierwsze samochody zaczęły wolno opuszczać podjazd, a o północy przyjęcie dobiegło końca.

Gdy dom opustoszał i tylko obsługa cateringu sprzątała po przyjęciu, Gabriel z Szamronem usiedli w swym zwykłym miejscu na brzegu tarasu obok grzejnika gazowego. Szamron z trudem powstrzymał się od palenia ze względu na Raphaela, który głęboko spał w objęciach ojca.

- Jestem pod wrażeniem twojego dzisiejszego wystąpienia - odezwał się po chwili. - Podobało mi się twoje ubranie. Ale i to, co mówiłeś.

- Chciałem coś zasygnalizować.

- Co mianowicie?

- Że zamierzam się skupić na zadaniach operacyjnych. - Zamilkł i dodał: - Ale też nie będę zaniedbywać innych spraw.

Szamron zapatrzył się na Wzgórze Golan.

- Nie wydaje mi się, żebyś miał wybór.

Dziecko poruszyło się w ramionach ojca, po czym znów zapadło w sen. Szamron kręcił w palcach swą starą zapalniczkę Zippo - dwa obroty w prawo, dwa w lewo.

- Podejrzewałeś, że tak się to skończy? - spytał po chwili.

- Co masz na myśli?

- Ciebie i mnie. - Spojrzał na Gabriela i dodał: - Nas.

- O czym ty mówisz, Ari?

- Jestem stary, synu. Trzymałem się życia dla tego wieczoru. Teraz, kiedy się już skończył, mogę odejść. - Uśmiechnął się smutno. - Jest późno, Gabrielu, czuję się bardzo zmęczony.

- Nigdzie nie odejdziesz, Ari. Jesteś mi potrzebny.

- Nie, nie jestem - odparł. - Bo teraz ty jesteś mną.
- To zabawne, że tak się to potoczyło.
- Mam wrażenie, że uważasz to za przypadek. Ale się mylisz. Wszystko było częścią planu.
- Czyjego planu?
- Być może mojego, a może jest w tym palec Boży. - Wzruszył ramionami. - Co za różnica? Jeśli chodzi o ciebie, On i ja gramy w tej samej lidze. Jesteśmy współnikami.
- Kto o tym wszystkim przesądził?
- A jak myślisz? - Szamron położył swą wielką dłoń na główce Raphaela. - Czy pamiętasz ten dzień, kiedy przyjechałem po ciebie do Kornwalii?
- Jakby to było wczoraj.
- Prowadziłeś jak wariat wśród żywoptotów w Lizard. Zjedliśmy po omlecie w tej małej restauracyjce na klifach. Potraktowałeś mnie wtedy - dodał z nutą goryczy - jak egzekutora.
- Pamiętam - odparł chłodno Gabriel.
- Myślisz, że jak potoczyłoby się twoje życie, gdybym się tam nie wybrał?
- Całkiem dobrze.
- Wątpię. Wciąż restaurowałbyś obrazy dla Juliana i żeglował na tym starym keczu przez Helford do morza. Nigdy byś nie wrócił do Izraela i nie poznał Chiary. A teraz nie trzymałbyś na rękach tego ślicznego dziecka.
- Gabriel nie polemizował z tą opinią. To prawda, że był wtedy zagubiony, załamany i przepelniony goryczą.
- Przecież nie wszystko było złe, prawda? - zapytał

Szamron.

- Mógłbym jakoś przeżyć bez widoku lochów Łubianki.

- A pamiętasz tego psa w szwajcarskich Alpach, który chciał ci urwać rękę?

- W końcu go dopadłem.

- A ten motocykl, który rozbiłeś w Rzymie? A galerię antyków w Sankt Moritz, która wyleciała w powietrze tuż przed twoim nosem?

- Dobre stare czasy - odrzekł Gabriel ponuro. - Ale straciłem po drodze wielu przyjaciół.

- Takich jak Hannah Weinberg.

- Tak - przyznał. - Takich jak Hannah.

- Może trochę staroświeckiej zemsty by nie zaszkodziło.

- Umowa stoi.

- Kto jej dokona?

- Chciałbym zrobić to osobiście. Ale chyba w tej chwili nie byłoby to rozsądne posunięcie.

Szamron się uśmiechnął.

- Będzie z ciebie wspaniały szef, synu.

Bethnal Green, Londyn

Dżalal Nasser, łowca talentów, rekruter i zausznik Saladyna, stał się człowiekiem przez nikogo niechcianym. W dniu zaprzysiężenia Gabriela brytyjscy i izraelscy obserwatorzy w Londynie dowiedzieli się, że Jordańczyk zamierza zbiec do kalifatu, i to przesądziło o jego losie.

Aresztowanie nie wchodziło w rachubę, gdyż rozprawa zdemaskowałaby nie tylko operację Gabriela, lecz również niekompetencję brytyjskich i francuskich służb bezpieczeństwa. Równie mało pociągającym wyjściem byłaby deportacja, gdyż ani Jego Wysokość, ani Farid Barakat nie chcieli powrotu Dżalala. W Jordanii trafiłby wprost do piwnic Fabryki Paznokci, a potem, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, do anonimowego grobu w jakimś wzgardzonym miejscu.

Istniało jedno proste rozwiązanie, które podsunął Szamron. Wymagało tylko przyzwolenia jordańskich służb, co, zważywszy na przytoczone racje, nietrudno było uzyskać. W rzeczy samej porozumienie w tej sprawie zawarto na przyjęciu w domu Szamrona w trakcie prywatnej rozmowy w kuchni. Znacznie później uznano je za pierwszą oficjalną decyzję Gabriela jako szefa wywiadu izraelskiego.

Drugą stroną umowy był Graham Seymour z MI6. Jednak bez współpracy Amandy Wallace, jego odpowiednika w MI5,

operacja nie wchodziła w rachubę. Seymour zapewnił sobie poparcie Amandy przy kieliszku martini w Thames House. Nie było to trudne. Obserwatorzy z MI5 już dawno znudzili się śledzeniem Dżalala na ulicach Londynu. Dla Amandy była to decyzja kadrowa. Pozbywając się tej sprawy, zyskiwała dodatkowe środki do inwigilacji głównego obiektu swych zainteresowań, a mianowicie Rosjan.

- Tylko żadnych hałasów - ostrzegła.

- Oczywiście - zapewnił Seymour, energicznie potrząsając swą siwą głową. - Żadnych.

W ciągu czterdziestu ośmiu godzin Amanda wycofała nadzór nad wyznaczonym obiektem, co później tłumaczyła zwykłym zbiegiem okoliczności. Graham Seymour zadzwonił wtedy na bulwar Króla Saula i poinformował Gabriela, że daje mu wolną rękę. W głębi duszy Gabriel żałował, że nie może wykorzystać tego osobiście, ale zdawał sobie sprawę, że nie byłoby to stosowne. Nie teraz, gdy został szefem. Jeszcze tego wieczoru odwiózł Michaiła na lotnisko Ben Guriona, skąd wysłał go samolotem do Londynu. Wcześniej do jego fałszywego rosyjskiego paszportu wsunął karteczkę. Zawierała cztery słowa, jedenaste przykazanie Szamrona: „Nie daj się złapać”.

* * *

Zarezerwował bilety na okrężną trasę do islamskiej Ziemi Obiecanej - prom do Holandii, pociąg do Berlina i tani lot do Sofii, skąd jakimś wynajętym gruchotem zamierzał dotrzeć do Turcji. Ostatni dzień w Londynie spędził tak samo jak sto poprzednich, na pozór nieświadom faktu, że został odtrącony.

Robił zakupy przy Oxford Street, wałęsał się po Leicester Square, modlił we wschodniolondyńskim meczecie, a potem spotkał się na herbacie z obiecującym kandydatem. Gabriel przekazał dane ochotnika Amandzie Wallace, uznając, że choć tyle może zrobić.

Jeszcze tego wieczoru Dżalal spakował torby i wyczyścił dyski w komputerach. Do tego czasu z jego mieszkania przy Chilton Street usunięto ukryte kamery i mikrofony, skazując zespół po drugiej stronie ulicy na obserwację metodą tradycyjną, czyli za pomocą lornetki i kamery z teleobiektywem. Z dystansu sprawiał wrażenie człowieka pozbawionego jakichkolwiek trosk, choć może tylko udawał. Bardziej prawdopodobny wydawał się jednak inny scenariusz. Zapewne Saladyn nie pofatygował się nawet, by uprzedzić swego agenta, że Brytyjczycy, Amerykanie, Izraelczycy i Jordańczycy odkryli jego związki z siatką terrorystyczną, a także udział w zamachach w Paryżu, Amsterdamie i Waszyngtonie.

Przy bulwarze Króla Saula, podobnie jak w Langley, Vauxhall Cross i w eleganckim budynku przy rue de Grenelle uznano, że to dobry znak. Wyglądało na to, że Dżalal nie ukrywa żadnych sekretów i że – przynajmniej chwilowo – siatka nie jest aktywna. Dla Dżalala oznaczało to jednak, że stał się zbędny. Dla terrorysty, którego przywódcą jest ktoś taki jak Saladyn, był to los nie do pozazdroszczenia.

O siódmej wieczorem Jordańczyk rozłożył matę na podłodze swego ciasnego saloniku i po raz ostatni odbył modły. Potem, o siódmej dwadzieścia, wybrał się do Noodle King przy

Bethnal Green Road, gdzie obserwowany przez Eliego Lavona zjadł samotnie smażony ryż i skrzydełka z kurczaka w pikantnym sosie. Po wyjściu z restauracji wstąpił jeszcze do Saver Plus po butelkę mleka, po czym ruszył do swego mieszkania, nieświadom, że Michaił podąża kilka kroków za nim.

Scotland Yard stwierdził później, że dotarł do drzwi dwadzieścia po ósmej i że wyjmując klucze z kieszeni płaszcza, upuścił je na chodnik. Schylając się, zauważył postać stojącą na ulicy. Zostawił klucze tam, gdzie leżały, i wolno się wyprostował, w obronnym geście przyciskając do piersi torbę na zakupy.

- Cześć, Dżalal - odezwał się Michaił. - Miło cię w końcu poznać.

- Kim jesteś? - zapytał Jordańczyk.

- Ostatnią osobą, którą widzisz w życiu.

Z tylnej kieszeni błyskawicznie wyjął pistolet. Była to beretta, kaliber .22. Cicha, choć pozbawiona tłumika.

- To za Hannah Weinberg - powiedział spokojnie. - Za Rachel Lévy i Artura Goldmana, a także wszystkich, których zamordowałeś w Paryżu. Za ofiary z Amsterdamu i Waszyngtonu. Mówię w imieniu umarłych.

- Proszę - wyszeptał Dżalal. - Mogę ci pomóc. Dużo wiem. Znam plany następnego ataku.

- Naprawdę?

- Tak, przysięgam.

- Gdzie nastąpi?

- Tu, w Londynie.

- Znasz cel?

Nim nastąpiła odpowiedź, Michaił strzelił. Pocisk roztrzaskał butelkę z mlekiem i utkwił w piersi Dżalala. Michaił niespiesznie ruszył naprzód, oddając dziewięć kolejnych strzałów, raz po raz, aż Dżalal osunął się na ziemię i znieruchomiał w kałuży krwi i mleka. Magazynek był pusty. Michaił błyskawicznie wcisnął zapas w kolbę beretty, przystawił lufę do głowy Jordańczyka i wypalił po raz ostatni. Jedenasty. Za nim na krawężniku zatrzymał się motocykl. Michaił wskoczył na tylne siedzenie i po chwili go nie było.

[1] Chajbar, Chajbar, ja-Jahud! - Żydzi, pamiętajcie o Chajbar, armia Mahometa wróci!

[2] Habibi (arab.) - mój drogi.

[3] Mazeł tow (jidysz) - gratulacje.

[4] Chodzi o Amu-darię i Syr-darię.

[5] Kuffar - niewierny.

[6] Alhamduilillah (arab.) - Bogu niech będzie chwała.

Tytuł oryginału: *The Black Widow*

Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers Ltd, Toronto. Ontario, 2016

Opracowanie graficzne okładki: Madgrafik

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Ewa Godycka

Korekta: Joanna Morawska

© 2016 by Daniel Silva

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Projekt graficzny okładki: Robin Bilardello.

Zdjęcie na okładce: copyright by Gary Yeowell/Getty Images.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-2137-5

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.